

JAMES S. A. COREY

△

3

EXPANSE

W R O T A  
A B A D D O N A

# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Prolog. Manéo

Rozdział pierwszy. Holden

Rozdział drugi. Byk

Rozdział trzeci. Melba

Rozdział czwarty. Anna

Rozdział piąty. Byk

Rozdział szósty. Holden

Rozdział siódmy. Melba

Rozdział ósmy. Anna

Rozdział dziewiąty. Byk

Rozdział dziesiąty. Holden

Rozdział jedenasty. Melba

Rozdział dwunasty. Anna

Rozdział trzynasty. Byk

Rozdział czternasty. Melba

Rozdział piętnasty. Byk

Rozdział szesnasty. Holden

Rozdział siedemnasty. Byk

Rozdział osiemnasty. Anna

Rozdział dziewiętnasty. Melba

Rozdział dwudziesty. Holden  
Rozdział dwudziesty pierwszy. Byk  
Rozdział dwudziesty drugi. Holden  
Rozdział dwudziesty trzeci. Melba  
Rozdział dwudziesty czwarty. Anna  
Rozdział dwudziesty piąty. Holden  
Rozdział dwudziesty szósty. Byk  
Rozdział dwudziesty siódmy. Melba  
Rozdział dwudziesty ósmy. Anna  
Rozdział dwudziesty dziewiąty. Byk  
Rozdział trzydziesty. Holden  
Rozdział trzydziesty pierwszy. Melba  
Rozdział trzydziesty drugi. Anna  
Rozdział trzydziesty trzeci. Byk  
Rozdział trzydziesty czwarty. Clarissa  
Rozdział trzydziesty piąty. Anna  
Rozdział trzydziesty szósty. Holden  
Rozdział trzydziesty siódmy. Clarissa  
Rozdział trzydziesty ósmy. Byk  
Rozdział trzydziesty dziewiąty. Anna  
Rozdział czterdziesty. Holden  
Rozdział czterdziesty pierwszy. Byk  
Rozdział czterdziesty drugi. Clarissa  
Rozdział czterdziesty trzeci. Holden

Rozdział czterdziesty czwarty. Anna  
Rozdział czterdziesty piąty. Byk  
Rozdział czterdziesty szósty. Clarissa  
Rozdział czterdziesty siódmy. Holden  
Rozdział czterdziesty ósmy. Byk  
Rozdział czterdziesty dziewiąty. Anna  
Rozdział pięćdziesiąty. Holden  
Rozdział pięćdziesiąty pierwszy. Clarissa  
Rozdział pięćdziesiąty drugi. Holden  
Rozdział pięćdziesiąty trzeci. Clarissa  
Epilog. Anna  
Podziękowania  
O autorze

3

EXPANSE

JAMES S. A. COREY

WROTA  
ABADDONA

PRZEŁOŻYŁ MAREK PAWELEC

WYDAWNICTWO MAG  
WARSZAWA 2018

Tytuł oryginału: *Abaddon's Gate: Book 3 of the Expanse*

Copyright © 2013 by James S. A. Corey

Copyright for the Polish translation © 2018 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Iwona Sośnicka

Korekta: Elwira Wyszynska

Ilustracja na okładce: Dark Crayon

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Cieśliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Wydanie II

ISBN 978-83-66065-50-5

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228 134 743

[www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227213000

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

Skład wersji elektronicznej:

[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

*Dla Waltera Jona Williamsa,  
który pokazał nam, jak to się robi,  
oraz Carrie Vaughn,  
która dopilnowała, żebyśmy nie spieprzyli za mocno*

# Prolog

## *Manéo*

Manéo Jung-Espinoza – dla kumpli na Ceres po prostu Néó – kulił się w kokpicie małego stateczku, który nazwał *Y Que*. Po niemal trzech miesiącach lotu do czasu zapisania się na kartach historii zostało mu może około pięćdziesiąt godzin. Jedzenie skończyło się dwa dni temu, a do picia miał tylko pół litra wody po recyklingu szczyln; wody, która przeszła przez jego ciało więcej razy, niż potrafił zliczyć. Wyłączył już wszystko, co się dało, nawet reaktor. Wciąż miał pasywne monitory, ale żadnych aktywnych czujników. Jedyne światło w kokpicie pochodziło z ekranów terminali. Koc, którym się owinął, wciskając brzegi pod pasy bezpieczeństwa, żeby nie odleciał, nie miał nawet zasilania. Nadajniki szerokopasmowe i nadajniki wiązek kierunkowych wyłączył, a transponder spalił, jeszcze zanim namalował nazwę na kadłubie. Nie poleciał tak daleko tylko po to, żeby jakiś przypadkowy sygnał ostrzegł przed nim flotyllę.

Pięćdziesiąt godzin – nawet mniej – i jedyne, co musiał zrobić, to nie dać się zobaczyć. Oraz w nic nie wlecieć, ale to już pozostawało w *as manos de Dios*.

Do podziemnego bractwa balistyków wprowadziła go kuzynka Evita trzy lata temu, tuż przed jego piętnastymi urodzinami. Siedział w rodzinnej dziurze. Matka poszła do pracy przy obsłudze instalacji oczyszczania wody, ojciec miał spotkanie z kierowaną przez niego grupą konserwatorów, a Néó został w domu, wagarując po raz czwarty w tym miesiącu. Kiedy system poinformował, że ktoś czeka



przed drzwiami, spodziewał się ochrony szkoły z awanturą z powodu z wagarów. Zamiast tego zobaczył Evitę.

Była córką siostry mamy, dwa lata starszą od niego. Prawdziwa Pasiarka. Ich ciała miały podobną budowę z wysoką, chudą sylwetką, ale ona była *stąd*. Był nią zauroczony, od kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Czasami śniło mu się, jak wyglądałaby bez ubrania. Jak to byłoby ją pocałować. A teraz stała przed drzwiami jego pustego mieszkania. Serce przyśpieszyło mu trzykrotnie, zanim otworzył drzwi.

– Esá, unokabátya – odezwała się na powitanie z uśmiechem i wzruszeniem jednej ręki.

– Hoy – odpowiedział, próbując udawać spokój. Dorastał w wielkim mieście, w przestrzeni stacji Ceres, tak jak ona, ale jego ojciec miał niską, masywną budowę zdradzającą ziemskie pochodzenie. Do kosmopolitycznego slangu Pasa miał takie samo prawo, jak ona, ale u niej brzmiał on naturalniej. Kiedy on tak mówił, przypominało to zakładanie cudzej kurtki.

– Paru coyos spotyka się koło portu. Wrócił Silvestari Campos – powiedziała z lekko wysuniętym biodrem, ustami miękkimi jak poduszka i lśniącymi wargami. – Mit?

– Que no? – odpowiedział. – Nie mam nic lepszego do roboty.

Później domyślił się, że zabrała go, bo była nim zainteresowana Mila Sana, Marsjanka o końskiej twarzy, i wszyscy uznali, że będą się dobrze bawić, obserwując, jak brzydka dziewczyna wewnętrzniaków ugania się za mieszkańcem, ale wtedy już się tym nie przejmował. Poznał Silvestari Campos i usłyszał o lotach balistycznych z asystą.

Robiło się to tak: jakiś coyo zapewniał sobie działającą łajbę. Może brał ją z odzysku, może montował z części. Przynajmniej niektóre z nich były kradzione. Nie trzeba było wiele więcej poza silnikiem plazmowym, pryczą przeciążeniową i minimalnym zapasem powietrza i wody. Potem wszystko sprowadzało się do wyliczenia trajektorii. Bez Epsteina napęd plazmowy spalał peletki za szybko, żeby gdziekolwiek dolecieć bez pomocy. Cała sztuka polegała na tym, żeby ciąg (najlepsi włączali go tylko raz) pchnął statek na trajektorię asysty grawitacyjnej (dzięki czemu zbierał energię planety czy

księżycyca) i dał możliwość polecieć po balistycznej najdalej, jak się dało. A potem trzeba było wykombinować, jak wrócić żywym. Loty były śledzone przez podwójnie szyfrowaną tajną sieć, równie trudną do złamania, jak cokolwiek oferowanego przez Loca Griega czy Złotą Gałąź. Może i oni się tym bawili. Taka zabawa była cholernie nielegalna i ktoś przyjmował zakłady. Oraz niebezpieczna, o co właśnie chodziło. A kiedy się wróciło, wszyscy wiedzieli, kim jesteś. Można było przesiadywać na imprezach w magazynach i pić, co tylko się chciało, mówić wszystko, na co przyszła ochota, i chwycić prawy cycek Evity Jung, a ona się nawet nie odsuwała.

I w ten właśnie sposób Néó, który nigdy dotąd niczym się specjalnie nie interesował, rozbudził w sobie ambicję.

\* \* \*

– Należy pamiętać o tym, że Pierścień nie jest magiczny – mówiła Marsjanka. Néó spędził mnóstwo czasu w ciągu ostatnich miesięcy, oglądając wiadomości o Pierścieniu, i jak dotąd właśnie ją lubił najbardziej. Ładna twarz, miły akcent. Nie była tak masywna, jak Ziemianie, ale nie należała też do Pasa. Jak on. – Nie rozumiemy go jeszcze i może tak zostać przez dziesięciolecia, ale ostatnie dwa lata dały nam jedne z najbardziej ciekawych i ekscytujących przełomów w technologii materiałowej od czasów wynalezienia koła. W ciągu następnych dziesięciu czy piętnastu lat pojawią się praktyczne zastosowania wiedzy zdobytej przez obserwację protomolekuły, a to...

– Owoc. Zatrutego. Drzewa – powiedział dobitnie stary, zasuszony coyo obok niej. – Nie możemy pozwolić sobie zapomnieć, że to coś powstało w wyniku ludobójstwa. Kryminaliści i potwory z Protogenu i Mao-Kwik uwolnili tę broń wśród niewinnych ofiar. To wszystko zaczęło się od rzezi, a korzystanie z jej owoców czyni nas współwinnymi.

Obraz przełączył się na moderatora, który z uśmiechem potrząsnął głową w stronę zasuszonego staruszka.

– Rabbi Kimble – powiedział – napotkaliśmy niewątpliwie obcy

artefakt, który przejął stację Eros, spędził nieco ponad rok, przygotowując się w zabójczym ciśnieniu Wenus, a potem wystrzelił olbrzymią, złożoną strukturę tuż poza orbitę Urana i zbudował tam pierścień o średnicy tysiąca kilometrów. Nie może pan sugerować, że moralność nakazuje nam zignorować te fakty.

– Eksperymenty Himmlera w Dachau dotyczące hipotermii... – zaczął zasuszony coyo, wymachując palcem w powietrzu, ale tym razem przerwała mu ładna Marsjanka.

– Czy moglibyśmy już sobie darować lata czterdzieste dwudziestego wieku? – powiedziała z uśmiechem sugerującym *jestem miła, ale zamknij się, do cholery*. – Przecież nie rozmawiamy tu o kosmicznych nazistach. To najważniejsze zdarzenie w historii ludzkości. Rola, jaką odegrał w nim Protogen, była straszna i winni zostali za to ukarani, ale teraz musimy...

– Nie *kosmiczni* naziści! – krzyknął stary coyo. – Naziści nie pochodzą z *kosmosu*. Są tutaj, pośród nas. To bestie ucieleśniające to, co najgorsze w naszej naturze. Korzystając z tych odkryć, *legitymizujemy* sposób, w jaki je zdobyliśmy.

Kobieta przewróciła oczami i spojrzała na moderatora, jakby oczekiwała jego pomocy, ale mężczyzna tylko wzruszył ramionami, przez co staruszek jeszcze bardziej się zapienił.

– Pierścień to pokusa grzechu – wykrzyknął. W kącikach jego ust pojawiły się małe, białe kropki, których edytor postanowił nie wymazywać z obrazu.

– Nie wiemy, czym jest – przypomniała kobieta. – Biorąc pod uwagę fakt, że oryginalnie miało to działać na pierwotnej Ziemi, zasiedlonej w najlepszym razie przez organizmy jednokomórkowe, a wylądowało na Wenus z nieskończone bardziej złożonym materiałem, prawdopodobnie wcale nie działa, ale mogę stanowczo stwierdzić, że pokusa i grzech nie mają z tym nic wspólnego.

– To ofiary. Pani nazywa je „złożonym materiałem”? To zbezczeszczone ciała niewinnych istot!

Néo przyciszył transmisję i przez chwilę tylko przyglądał się, jak rozmówcy gestykują z przejęciem.

Spędził całe miesiące na planowaniu trajektorii lotu *Y Que*,

wyliczeniu chwili, gdy Jupiter, Europa i Saturn znajdują się we właściwych pozycjach. Okno było tak wąskie, że przypominało to rzucanie strzałki w skrzydła muszki owocówki z odległości pół kilometra. Udało się dzięki Europie. Bliski przelot obok tego księżycy Jowisza, potem tak blisko gazowego olbrzyma, że prawie czuł tarcie atmosfery. Dalej znowu długi lot do Saturna, przechwycenie energii z jego prędkości orbitalnej i dalej w czerń, już bez przyśpieszania, choć i tak leciał szybciej niż ktokolwiek przypuszczał. Trudno było uwierzyć, że można rozpędzić taką łajbę do lotów między asteroidami, a jednak się udało. Leciał przez miliony kilometrów próżni, by trafić w cel mniejszy od dziury w dupie komara.

Néo wyobrażał sobie miny ludzi na tych wszystkich statkach wojskowych i naukowych zaparkowanych wokół Pierścienia, gdy mały stateczek lecący balistycznie bez transpondera pojawi się znikąd i przeleci przez Pierścień z prędkością stu pięćdziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę. Potem będzie musiał działać bardzo szybko. Nie miał dość paliwa, żeby wyhamować, ale powinno wystarczyć na zwolnienie na tyle, by mogli wysłać do niego statek ratunkowy.

Nie wątpił, że spędzi trochę czasu w pierdłu. Może dwa lata, jeśli sędzia bardzo się wkurzy, ale było warto. Warto było choćby dla wiadomości z tajnej sieci, gdzie jego lot śledzili wszyscy znajomi i narastała fala głosów *cholera jasna, uda mu się!* Trafi na karty historii. Jeszcze za sto lat ludzie będą mówić o najodważniejszym locie balistycznym w historii. Stracił wiele miesięcy na przyśpieszaniu *Y Que*, więcej niż na samym przelocie i późniejszym więzieniu. Było warto. Będzie żył wiecznie.

Dwadzieścia godzin.

\* \* \*

Największe niebezpieczeństwo stanowiła flotylla otaczająca Pierścień. Ziemia i Mars niedawno całkiem solidnie uszczupliły nawzajem swoje floty, ale większość z tego, co im zostało, tkwiła teraz wokół Pierścienia. Albo przy planetach wewnętrznych, ale te Néo nie

obchodziły. Siedziało tam może ze dwadzieścia albo trzydzieści dużych okrętów wojennych pilnujących się wzajemnie, podczas gdy każdy statek naukowy w układzie zaglądał, nasłuchiwał i podlatywał ostrożnie na kilka tysięcy kilometrów do Pierścienia. Wszystkie te napakowane okręty pilnowały, żeby nikt niczego nie dotknął. Wszyscy się bali. Nawet z całym metalem i ceramiką upchanymi w ten sam kąt przestrzeni, nawet przy stosunkowo małej wewnętrznej średnicy Pierścienia, wynoszącej raptem tysiąc kilometrów, ryzyko, że w coś wleci – było minimalne. Było tam dużo więcej pustki niż materii. A nawet gdyby trafił w któryś ze statków flotylli, nie przeżyje, żeby się tym martwić, więc zostawił to w rękach Dziewicy i zaczął ustawiać kamerę do nagrywania z dużą szybkością. Kiedy w końcu do tego dojdzie, przelot będzie tak szybki, że nawet nie będzie w stanie stwierdzić, czy trafił, dopóki nie przeanalizuje danych. Musiał dopilnować, żeby powstał zapis jego dokonania. Z powrotem włączył nadajniki.

– Hoy – odezwał się do kamery. – Tu Néó. Néó solo. Kapitan i załoga souverän pasiarского ścigacza *Y Que*. Melista me. Zostało sześć godzin do największego osiągnięcia od czasów stworzenia człowieka. Es pa mi mama, słodką Sophię Brun i Jezusa, naszego Pana i Zbawcę. Oglądajcie uważnie, bo wystarczy mrugnięcie, a przegapicie, que sa?

Obejrzał nagranie. Paskudnie wyglądał. Pewnie miał jeszcze czas, mógł ogolić niechlujną brodę i przynajmniej związać włosy. Pożałował, że odpuścił sobie codzienne ćwiczenia, dzięki którym nie wyglądałby na aż tak wychudzonego. Teraz jest już za późno. Mimo wszystko mógł chociaż zmienić ustawienie kamery. Leciał balistycznie, przecież nie musiał się martwić ciężeniem ciągu.

Spróbował jeszcze dwa razy z innych kątów, aż jego próżność została zaspokojona, po czym przełączył się na obraz z kamer zewnętrznych. Jego wprowadzenie zajęło niewiele ponad dziesięć sekund. Zacznie transmisję dwadzieścia sekund przed celem, potem przełączy na kamery zewnętrzne. Będzie nagrywał ponad tysiąc klatek na sekundę, ale i tak może zgubić Pierścień między obrazami. Miał nadzieję, że mu się uda. Teraz i tak nie mógł zdobyć lepszej kamery, nawet gdyby taka istniała.

Wypił resztę wody i znowu pożałował, że nie zapakował choć trochę więcej jedzenia. Tubka pasty białkowej byłaby teraz naprawdę mile widziana. Niedługo będzie po wszystkim. Wyląduje w jakimś ziemskim lub marsjańskim areszcie okrętowym z przyzwoitą ubikacją, wodą do picia i więziennymi racjami. Prawie cieszył się na tę myśl.

Jego milczący zestaw łączności obudził się i wyemitował powiadomienie o wiązce kierunkowej. Otworzył połączenie. Szyfrowanie wskazywało, że pochodziło z tajnej sieci i zostało wysłane na tyle dawno temu, by dotarło do niego właśnie teraz. Nie tylko on się popisывał.

Evita była wciąż piękna, jednak teraz bardziej wyglądała na kobietę niż wtedy, gdy zaczął zbierać pieniądze i części na budowę *Y Que*. Za pięć lat będzie wyglądać całkiem zwyczajnie, ale na razie wciąż miał do niej słabość.

– Esá, unokabátya – powiedziała. – Oczy świata. Toda auge. Moje też.

Uśmiechnęła się i przez sekundę myślał, że może podniesie sukienkę. Na szczęście. Połączenie się skończyło.

Dwie godziny.

\* \* \*

– Powtarzam, tu marsjańska fregata *Lucien* do niezidentyfikowanego statku zbliżającego się do Pierścienia. Odpowiedz natychmiast albo otworzymy ogień.

Trzy minuty. Zobaczyli go za szybko. Od Pierścienia dzieliły go jeszcze trzy minuty, a nie powinni go zobaczyć w odległości większej niż minuta lotu.

Néo odchrząknął.

– Nie trzeba, que sa? Nie trzeba. Mówi *Y Que*, ścigacz ze stacji Ceres.

– Nie masz włączonego transpondera, *Y Que*.

– No tak, zepsuł się. Będę potrzebował pomocy przy nim.

– Twoje radio działa całkiem dobrze, a nie słyszę sygnału

alarmowego.

– Bo nie ma alarmu – odpowiedział, rozciągając sylaby, by zdobyć każdą możliwą sekundę. Mógł z nimi rozmawiać. – Po prostu leczę balistycznie. Mogę odpalić reaktor, ale to zajmie kilka minut. Może będziecie mogli mi pomóc, co?

– Jesteś w przestrzeni z ograniczonym dostępem, *Y Que* – powiedział Marsjanin, a Néo poczuł uśmiech na twarzy.

– Nic groźnego – zapewnił. – Nikomu nie zagrażam. Poddam się. Muszę tylko trochę zwolnić. Za kilka sekund odpalę silnik. Poczekajcie chwilę.

– Masz dziesięć sekund na zmianę trajektorii poza Pierścień, w przeciwnym razie otworzymy ogień.

Strach bardzo przypominał triumf. Robił to. Leciał prosto na Pierścień, a oni się przestraszyli. Jedna minuta. Zaczął rozgrzewać reaktor. Teraz nawet już nie kłamał. Włączył sekwencję uruchamiania pełnego zestawu czujników.

– Nie strzelajcie – poprosił, robiąc przy tym pogardliwy gest. – Proszę pana, proszę do mnie nie strzelać. Zwalniam najszybciej, jak mogę.

– Masz pięć sekund, *Y Que*.

Miał ich jeszcze trzydzieści. Ekrany swój-obcy ożyły, gdy tylko włączył się pełny system statku. *Lucien* przemknął bardzo blisko, na oko jakieś siedemset kilometrów od niego. Nic dziwnego, że go zobaczyli. Z tej odległości *Y Que* musiał rozjarzyć wszystkie panele zagrożeń jak lampki na Boże Narodzenie. Zwykły pech.

– Możecie strzelać, jeśli chcecie, ale hamuję najszybciej, jak tylko mogę – powiedział.

Rozbrzmiał alarm. Na ekranie pojawiły się dwie nowe kropki. *Hijo de puta* wystrzelił w niego torpedy.

Piętnaście sekund. Uda mu się. Rozpoczął nadawanie swojego przekazu i obrazu z zewnętrznej kamery. Pierścień był gdzieś tam, z tysiąckilometrową średnicą wciąż zbyt małą i ciemną, by zobaczyć go gołym okiem. Wszędzie dookoła jarzyły się tylko gwiazdy.

– Wstrzymać ogień! – krzyknął do marsjańskiej fregaty. – Nie strzelać!

Trzy sekundy. Torpedy zbliżały się szybko.

Jedna sekunda.

Wszystkie gwiazdy zgasły równocześnie.

Néo stuknął w monitor. Nic. Ekran swój-obcy nie pokazywał niczego. Żadnej fregaty, żadnych torped, niczego.

– A to – powiedział w przestrzeń – jest dziwne.

Na monitorze coś rozbłysło na niebiesko i przysunął się bliżej, jakby fizyczne zbliżenie do ekranu pomogło mu się zorientować w sytuacji.

Czujniki ostrzegające o przeciążeniu potrzebowały na aktywację pięciu setnych sekundy. Sprzętowo zaimplementowany alarm potrzebował na reakcję trzech setnych sekundy, puszczając zasilanie do czerwonej diody LED i klaksonu alarmowego. Mała kontrolka na konsoli, wyświetlająca ostrzeżenie o hamowaniu z przeciążeniem dziewięćdziesięciu dziewięciu g, potrzebowała na obudzenie diod całej połowy sekundy. Do tej chwili Néo był już tylko czerwoną plamą na przedniej ścianie kokpitu, rzucony hamowaniem statku przez pasy bezpieczeństwa i ekrany w czasie krótszym niż aktywacja synapsy. Przez pięć długich sekund statek trzeszczał i prężył się, nie tylko zatrzymując się, lecz także będąc zatrzymywanym.

W jednolitej ciemności zewnętrzna szybka kamera wciąż nadawała, wysyłając tysiąc klatek na sekundę niczego.

A potem czegoś innego.



# Rozdział pierwszy

## *Holden*

Kiedy był jeszcze małym chłopcem na Ziemi, żyjącym pod otwartym, błękitnym niebem, jedna z jego matek przez trzy lata cierpiała na ciężkie migreny. Oglądanie jej bladej i spoconej z bólu twarzy było trudne, ale jeszcze gorsze były objawy aury migrenowej prowadzącej do tego stanu. Sprzątała w domu lub pracowała nad umowami w ramach działalności swojej firmy prawniczej, a potem nagle jej lewa dłoń zaczynała się zaciskać, zwijając się tak, że żyły i ścięgna zdawały się trzeszczeć z wysiłku. Potem spojrzenie traciło ostrość, a źrenice rozszerzały się do tego stopnia, że jej błękitne oczy robiły się czarne. Przypominało to obserwowanie kogoś ogarniętego atakiem padaczkowym i za każdym razem myślał, że *tym razem* mama umrze.

Miał wtedy sześć lat i nigdy nie powiedział żadnemu z rodziców, jak bardzo te migreny go przerażały i jak bardzo się ich obawiał, nawet gdy wszystko wydawało się toczyć dobrze normalnym trybem. Strach stał się czymś znajomym, prawie wyczekiwany. Powinno to łagodzić przerażenie i może faktycznie tak było, ale zastąpiło je poczucie uwięzienia. Atak mógł przyjść w każdej chwili i nie dało się go uniknąć.

To wszystko go zatruwało, nawet jeśli tylko odrobinę.

Jakby był nawiedzony.

\* \* \*

– Kasyno zawsze wygrywa – krzyknął Holden.

Razem z załogą – Alekssem, Amosem i Naomi – siedzieli przy prywatnym stole w sali dla VIP-ów najdroższego hotelu na Ceres. Nawet tutaj dzwonki, gwizdy i cyfrowe odgłosy automatów na żetony były dość głośne, by stłumić większość normalnych rozmów. Nieliczne częstotliwości, których nie zdominowały wymienione odgłosy, były zapchane wysokimi dźwiękami maszyn pachinko i niskim basowym dudnieniem zespołu grającego na jednej z trzech scen kasyna. Wszystko to składało się na ścianę dźwięku, od którego Holdenowi wibrowały wnętrzności i dzwoniło mu w uszach.

– Co? – odkrzyknął do niego Amos.

– W końcu kasyno zawsze wygrywa!

Amos popatrzył na leżącą przed nim wielką stertę żetonów. Razem z Alekssem liczyli je i dzielili, przygotowując się do następnego wypadu do stołów z gramami. Sądząc po wielkości sterty, Holden szacował, że w ciągu ostatniej godziny wygrali około piętnastu tysięcy nowych yenów Ceres. Liczba żetonów była imponująca. Gdyby teraz skończyli, mieliby z tego niezły zysk, ale oczywiście nie mogli.

– Dobra – krzyknął znowu Amos. – Co?

– Nic – odpowiedział Holden, wzruszając ramionami.

Jeśli jego załoga chciała stracić kilka tysięcy dolarów, żeby rozluźnić się przy stołach do blackjacka, dlaczego miał im w tym przeszkadzać? Prawdę mówiąc, nie zrobiłoby to nawet widocznej różnicy w wypłacie za ostatni kontrakt, a to był tylko jeden z trzech kontraktów, które wykonali w ciągu poprzednich czterech miesięcy. Zapowiadał się bardzo korzystny rok.

Przez ostatnie trzy lata Holden popełnił wiele błędów, ale decyzja o zakończeniu pracy w charakterze goryla SPZ i przejścia na własny rachunek nie była jednym z nich. W ciągu miesięcy, które upłynęły od czasu rozpoczęcia kariery niezależnego okrętu kurierskiego i eskortowego, *Rosynant* przyjął siedem zleceń i wszystkie przyniosły niezły zysk. Pieniądze wydawali na remontowanie statku od dziobu po rufę. Okręt zaliczył kilka trudnych lat i zdecydowanie potrzebował dopieszczenia.

Kiedy skończyli, a na ogólnym koncie wciąż mieli pieniądze, z

którymi nie wiedzieli, co zrobić, Holden poprosił załogę o listę życzeń. Naomi zapłaciła za wycięcie ścianki dzielącej ich kajuty, łącząc je w jedną większą. Mieli teraz łóżko wygodnie mieszczące dwie osoby i sporo miejsca do chodzenia wokół niego. Aleks zwrócił uwagę na problemy ze zdobywaniem wojskowej klasy torped dla statku i poprosił o zainstalowanie na *Rosie* stępkowego działka szynowego. Dzięki niemu zyskali większą siłę ognia od zapewnianej przez działka obrony punktowej, a jedyną wymaganą amunicją były kilogramowe pociski z wolframu. Amos wydał trzydzieści kawałków podczas postoju na *Kalisto*, montując dodatkowe usprawnienia silników. Gdy Holden zwrócił uwagę, że *Ros* i bez tego może przyśpieszać dostatecznie szybko, by zabić załogę, i zapytał, po co im te dodatki, Amos odpowiedział:

– Bo to cholerstwo jest fantastyczne.

Holden tylko kiwnął głową, uśmiechnął się i zapłacił rachunek.

Nawet po początkowej gorączce wydawania pieniędzy mieli ich dość, by wypłacić sobie pensje pięciokrotnie wyższe od zarabianych na *Canterbury* i zapewnić wyposażenie statku w wodę, powietrze oraz peletki paliwowe na następne dziesięciolecie.

Prawdopodobnie był to stan przejściowy. Przyjdą czasy chude, gdy nie będą mogli znaleźć żadnej pracy i będą musieli liczyć każdy grosz. Ale nie dzisiaj.

Amos i Aleks skończyli liczyć żetony i krzyczeli do Naomi coś o niuansach gry w blackjacka, próbując namówić ją do przyłączenia się do nich przy stole. Holden machnął na kelnera, który pośpiesznie podszedł przyjąć zamówienie. W sali dla VIP-ów nie zamawiało się przez menu ekranowe.

– Macie jakąś szkocką, którą zrobiono z prawdziwego ziarna? – zapytał Holden.

– Mamy kilka gatunków z destylarni na *Ganimedzie* – odpowiedział kelner. Nauczył się sztuczki mówienia tak, by było go słychać pomimo hałasu. Uśmiechnął się do Holdena. – Ale dla wybrednego gentlemana z Ziemi odłożyliśmy też kilka butelek szesnastoletniej *lagavulin*.

– Chcesz powiedzieć, że macie prawdziwą szkocką ze Szkocji?

– Dokładniej rzecz biorąc, z wyspy *Islay* – uściślił kelner. – Kosztuje

tysiąc dwieście za butelkę.

– Poproszę jedną.

– Tak jest, proszę pana, i cztery szklaneczki. – Kelner uklonił się i ruszył do baru.

– Idziemy zagrać w blackjacka – powiedziała ze śmiechem Naomi, a Amos wydzielił właśnie ze swojej tacy stosik żetonów i pchnął je do niej przez stół. – Przyłączysz się?

Kapela w sąsiedniej sali przestała grać i poziom hałasu na chwilę spadł do prawie znośnego poziomu, zanim ktoś zaczął puszczać muzykę przez nagłośnienie kasyna.

– Poczekaście kilka minut – poprosił Holden. – Kupiłem butelkę czegoś naprawdę dobrego i chciałbym wypić z wami ostatni toast, zanim rozejdziemy się na resztę nocy.

Amos wyglądał na zniecierpliwionego aż do chwili, gdy przyniesiono butelkę, a potem przez kilka sekund przyglądał się etykietce.

– No dobra, na to warto było czekać.

Holden nalał każdemu porcję, a potem uniósł swoją szklaneczkę.

– Za najlepszy statek i najlepszą załogę, z jaką ktokolwiek kiedykolwiek miał zaszczyt służyć, i za dobrą wypłatę.

– Za dobrą wypłatę! – powtórzył Amos, a potem alkohol zniknął ze szklaneczek.

– Jasna cholera, kapitanie – skomentował Aleks, a potem wziął butelkę, by ponownie przyjrzeć się etykietce. – Możemy zabrać trochę tego na *Rosa*? Możesz mi potrącić z wypłaty.

– Popieram – rzuciła Naomi, a potem przejęła butelkę i rozlała następną kolejkę.

Na kilka minut zapomnieli o stosach żetonów i pokusie stołów z kartami. A Holden dokładnie tego chciał: zatrzymać tych ludzi razem jeszcze na kilka chwil. Na każdym statku, na którym służył, przybicie do portu zawsze było szansą parodniowej ucieczki od ciągle tych samych twarzy. Już nie. Nie z tą załogą. Kolejną szklaneczką szkockiej spłukał cisnące mu się na usta, bełkotliwe *kocham was!*

– Ostatni na drogę – powiedział Aleks, podnosząc butelkę.

– Muszę iść do kibla – odpowiedział Holden i odepchnął się od stołu.

Idąc do łazienki, chwiał się trochę bardziej, niż się spodziewał. Whisky szybko uderzyła do głowy.

Łazienki dla VIP-ów urządzone luksusowo. Żadnych rzędów pisuarów i umywalek, zamiast nich kilkoro drzwi prowadziło do prywatnych kabin z ubikacją i umywalką. Holden wszedł do jednej z nich i zamknął za sobą drzwi. Gdy tylko się zamknęły, poziom hałasu spadł prawie do zera. Przypominało to trochę wyjście poza świat i pewnie specjalnie tak je zaprojektowano. W każdym razie ucieszył się, że projektant kasyna przewidział miejsce oferujące względny spokój, bo wcale nie zdziwiłby się na widok automatu na żetony tuż obok umywalki.

Korzystając z pisuaru, musiał się oprzeć jedną ręką o ścianę i był w połowie załatwiania się, gdy w pomieszczeniu na chwilę zrobiło się jaśniej i w chromowanym uchwycie pisuaru zaczął się odbijać delikatny błękitny blask. Strach ścisnął mu żołądek.

Znowu.

– Przysięgam na Boga – powiedział Holden, urywając, by dokończyć i zapiąć rozporek. – Lepiej, żeby cię tam nie było, Miller, gdy się odwrócę.

Odwrócił się.

Miller tam był.

– Cześć – odezwał się trup.

– Musimy porozmawiać – dokończył za niego Holden, a potem podszedł do umywalki, żeby umyć ręce.

Jego śladem poleciał maleńki błękitny świetlik, lądując na blacie. Holden zgniótł go dłonią, ale kiedy ją podniósł, niczego nie zobaczył.

Odbicie Millera w lustrze wzruszyło ramionami. Ruszał się nieprzyjemnie szarpanymi ruchami, jakby kierował nim jakiś mechanizm. Równocześnie po ludzku i zupełnie obco.

– Są tu wszyscy – powiedział trup. – Nie chcę rozmawiać o tym, co stało się z Julie.

Holden wyciągnął ręcznik z koszyka obok umywalki, a potem oparł się o nią, zwrócony w stronę Millera, i powoli wytarł ręce. Drżał, tak jak zawsze. Wzdłuż pleców pełzło poczucie zagrożenia i niepokoju, jak podczas każdego z tych spotkań. Nie znosił tego.

Detektyw Miller uśmiechnął się, reagując na coś niewidocznego dla Holdena.

Facet pracował w ochronie Ceres, został zwolniony i ruszył na samodzielne polowanie, szukając zaginionej dziewczyny. Raz uratował Holdenowi życie. Holden patrzył, jak miasto w asteroidzie, gdzie Miller utknął z setkami tysięcy ofiar protomolekuły z kosmosu, rozbiło się na Wenus. Wraz z Julie Mao, dziewczyną, którą Miller w końcu odnalazł, gdy było już za późno. Przez rok artefakt obcych pracował i tworzył coś niezrozumiałego pod pokrywą chmur planety. Gdy się pokazał, unosząc olbrzymie struktury z głębin studni grawitacyjnej i lecąc poza orbitę Neptuna niczym jakaś tytaniczna morska bestia przeniesiona w próżnię, wraz z nim pojawił się Miller.

I przemawiał czystym szaleństwem.

– Holden – powiedział Miller, nie mówiąc do niego, opisując go. – Jasne, to ma sens. Nie jesteś jednym z nich. Hej, musisz mnie posłuchać.

– A ty musisz coś powiedzieć. Te bzdury wymykają się spod kontroli. Robisz te swoje objawienia już prawie od roku i nigdy jeszcze nie powiedziałeś nic, co miałyby sens. Ani razu.

Miller niedbale machnął ręką. Staruszek zaczynał oddychać szybciej, dysząc, jakby miał za sobą bieg. Na jego szarej, bladej skórze pojawiły się krople potu.

– W sektorze osiemnastym był taki nielicencjonowany burdel. Poszliśmy tam, licząc, że zgarniemy piętnaście, może dwadzieścia osób. Albo nawet więcej. Weszliśmy do środka i okazało się, że było tam całkiem pusto. Powinienem się nad tym zastanowić. To coś znaczy.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytał Holden. – Po prostu powiedz, czego *chcesz*, dobra?

– Nie zwariowałem – zapewnił go Miller. – Kiedy wariuję, zabijają mnie. Boże, czy oni mnie zabili? – Miller złożył usta w małe o i zaczął wciągać powietrze. Jego wargi ciemniały od krwi pod skórą zmieniającą kolor na czarny. Położył na ramieniu Holdena zdecydowanie za ciężką dłoń. Zbyt twardą. Jakby Miller został odtworzony z żelaza, zamiast z kości. – Wszystko się spieprzyło.

Dotarliśmy tam, ale jest pusto. Całe niebo jest puste.

– Nie wiem, co to znaczy.

Miller nachylił się bliżej. Jego oddech pachniał oparami octanów. Wbił wzrok w oczy Holdena, unosząc brwi, jakby pytał go, czy rozumiał.

– Musisz mi pomóc – oświadczył. Żyłki w jego oczach były już prawie czarne. – Oni wiedzą, że potrafię odnajdywać różne rzeczy. Wiedzą, że mi pomogłeś.

– Ty nie żyjesz – przypomniał Holden, mówiąc bez namysłu ani planowania.

– Wszyscy nie żyją – odparł Miller. Zabrał dłoń z ramienia Holdena i odwrócił się. Zmarszczone brwi świadczyły o zmieszaniu. – Prawie. Prawie.

Zabrzącał terminal Holdena, więc wyjął go z kieszeni. „Wpadłeś tam?”. Naomi wysłała pytanie tekstem. Holden zaczął odpisywać, ale przestał, zdając sobie sprawę, że nie wiedział, co powiedzieć.

Kiedy Miller znów się odezwał, mówił cicho, prawie jak dziecko przepełnione zdumieniem i zachwytem.

– Kurwa. Stało się – powiedział.

– Co się stało? – zapytał Holden.

Ktoś wchodzący do kabiny obok trzasnął drzwiami i Miller zniknął. Jedyнным dowodem na jego obecność był utrzymujący się jeszcze w powietrzu zapach ozonu i bogatej mieszanki związków organicznych, jakby skwaśniałych egzotycznych przypraw. Zresztą to też mogło być tylko wyobrażeniem Holdena.

Stał przez chwilę, czekając, by zniknął miedziany posmak w ustach. Czekając, aż serce znowu zacznie bić w normie. Potem zrobił to, co zawsze po tych spotkaniach. Gdy minęło najgorsze, umył twarz zimną wodą i wytarł ją miękkim ręcznikiem. Odległe, stłumione dźwięki kasyna gwałtownie się nasiliły. Pula.

Nie powie im. Naomi, Aleksowi i Amosowi. Zasługiwali na korzystanie z przyjemności bez ingerencji tego czegoś, czym był Miller. Holden rozumiał, że impuls zatajenia tego przez nimi był irracjonalny, ale tak bardzo chciał ich chronić, że nie kwestionował go za bardzo. Czymkolwiek stał się Miller, Holden będzie stał między nim

a *Rosem*.

Przyglądał się swojemu odbiciu, aż zrobiło się idealne. Beztroski, nieco podchmielony kapitan odnoszącego sukcesy, niezależnego statku podczas przepustki na lądzie. Wyluzowany. Szczęśliwy. Wrócił do szaleństwa kasyna.

Przez moment poczuł się jakby cofnął się w czasie. Kasyno na Erosie. Śmiertelna pułapka. Światła wydawały się trochę zbyt jaskrawe, dźwięki za głośne. Holden wrócił do stołu i nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę. Tę będzie pił trochę dłużej, ciesząc się smakiem i nocą. Ktoś za nim ryknął śmiechem. To tylko śmiech.

Po kilku minutach pojawiła się Naomi, wyłaniając się ze zgiełku i chaosu jak ucieleśnienie spokoju. Patrząc, jak idzie w jego stronę, znowu poczuł wcześniejszą pijaną, zaborczą miłość. Latali razem na *Canterbury* przez całe lata, zanim odkrył, że się w niej zakochuje. Z perspektywy czasu każdy poranek, gdy budził się przy boku kogoś innego, był straconą okazją wdychania tego samego powietrza, co Naomi. Nie potrafił zrozumieć, co sobie wtedy myślał. Przesunął się w bok, robiąc jej miejsce.

– Już cię oskubali? – zapytał.

– Aleksa – odpowiedziała. – Oskubali Aleksa do czysta. Dałam mu swoje żetony.

– Jesteś niezwykle hojną kobietą – skomentował z szerokim uśmiechem.

Ciemne oczy Naomi złagodniały pod wpływem współczucia.

– Znowu pojawił się Miller? – zapytała, nachylając się bliżej, żeby usłyszał ją przez hałas.

– Trochę niepokojące jest to, jak łatwo mnie prześwietlasz.

– Bardzo łatwo cię odczytać. Zresztą to nie byłby pierwszy łazienkowy napad Millera. Czy tym razem mówił coś z sensem?

– Nie – odpowiedział Holden. – Zachowuje się, jakby rozmawiał z jakąś wadliwą maszyną. Mam wrażenie, że przez połowę czasu nawet nie wie, że tam jestem.

– Tak naprawdę to nie może być Miller, prawda?

– Jeśli to protomolekuła przebrana za Millera, to jest to chyba jeszcze mniej fajne.



– Słusznie – zgodziła się Naomi. – Powiedział przynajmniej coś nowego?

– Może odrobinę. Powiedział, że coś się stało.

– Co?

– Tego nie wiem. Powiedział tylko „stało się” i zniknął.

Siedzieli razem przez kilka minut w prywatnej oazie ciszy pośród zgiełku, splatając palce. W końcu Naomi nachyliła się, pocałowała go w czoło i pociągnęła go z krzesła.

– Chodź – powiedziała.

– Gdzie idziemy?

– Nauczę cię grać w pokera – wyjaśniła.

– Wiem, jak to się robi.

– Tylko ci się tak wydaje.

– Chcesz powiedzieć, że masz mnie za leszcza?

Uśmiechnęła się i pociągnęła go.

Holden pokręcił głową.

– Jeśli chcesz, to chodźmy na statek. Możemy zebrać parę osób i zagrać w spokoju. Nie ma sensu robić tego tutaj, bo kasyno zawsze wygrywa.

– Nie przyszliśmy tu wygrać – odpowiedziała Naomi, a powaga jej głosu nadała słowom znacznie głębsze znaczenie. – Przyszliśmy grać.

\* \* \*

Wiadomość nadeszła dwa dni później.

Holden siedział w kambuzie, jedząc porcję na wynos z jednej z portowych restauracji: ryż w sosie czosnkowym, trzy rodzaje warzyw i coś na tyle podobnego do kurczaka, że mogło faktycznie nim być. Amos z Naomi nadzorowali ładowanie odżywek i filtrów do systemu recyklingu powietrza, a Aleks spał w fotelu pilota. Na innych statkach, na których służył Holden, zebranie całej załogi z powrotem na statku przed wylotem było czymś absolutnie niesłychanym, zresztą oni też spędzili kilka nocy w portowych hotelach. Ale teraz wrócili do domu.

Holden sprawdzał miejscowe kanały z wiadomościami na ręcznym

terminalu, oglądając serwisy informacyjne i rozrywkę z całego układu. Dziura w zabezpieczeniach nowej gry Bandao Solice pozwoliła na przejście na piracki serwer na orbicie Tytana danych osobowych i finansowych sześciu milionów osób. Marsjańscy eksperci wojskowi nawoływali do zwiększenia budżetu w celu uzupełnienia strat poniesionych w bitwie wokół Ganimeda. Na Ziemi afrykańska koalicja rolnicza złamała zakaz stosowania szczepu bakterii wiążącej azot. Protestujący po obu stronach konfliktu wyszli na ulice Kairu.

Holden skakał po kanałach, pozwalając myślom prześlizgiwać się po powierzchni informacji, gdy na jednym z kanałów pojawił się czerwony pasek. Potem na drugim. I kolejnym. Zmroziło go zdjęcie nad artykułem. Nazywali to Pierścieniem. Olbrzymia struktura obcych, która opuściła Wenus i poleciała w miejsce odległe o niecałe dwie jednostki astronomiczne poza orbitą Urana, gdzie wyhamowała i złożyła się.

Holden czytał uważnie, czując ciężar w żołądku. Kiedy podniósł wzrok, w drzwiach zobaczył Naomi i Amosa. Amos trzymał swój terminal. Holden zobaczył na jego ekranie te same czerwone paski.

- Widziałeś to, kapitanie? – zapytał Amos.
- Owszem – potwierdził Holden.
- Jakiś powalony dureń próbował przelecieć przez Pierścień.
- Właśnie.

Nawet przy odległości między Ceres a Pierścieniem, rozdzielonych olbrzymim przestworem pustki, wiadomość o tym, że jakiś dureń wleciał tanim stateczkiem z jednej strony struktury i nie wyleciał z drugiej – powinna tu dotrzeć w ciągu jakichś pięciu godzin. A jednak doszło do tego dwa dni później. Tak długo obserwujące Pierścień rządy były w stanie tuszować tę sprawę.

- O to chodziło, prawda? – powiedziała Naomi. – To się stało.

# Rozdział drugi

## *Byk*

Carlos C de Baca – dla przyjaciół Byk – nie lubił kapitana Ashforda. Od zawsze.

Kapitan był jednym z tych ludzi, którzy potrafili drwić bez ruszania ustami. Zanim Ashford wstąpił do SPZ na pełny etat, zrobił doktorat z matematyki w księżycowym kampusie Uniwersytetu Bostońskiego i nigdy nikomu nie pozwalał o tym zapomnieć. Jakby posiadanie tytułu naukowego nadanego przez uniwersytet z Ziemi czyniło go lepszym od innych Pasiarzy. A przy tym radośnie obgadywał facetów w rodzaju Byka czy Freda, którzy naprawdę dorastali w studni. Ashford nie był prostym człowiekiem. Sposób, w jaki przypinał się do różnych spraw, jakby robiły z niego kogoś ważniejszego – wykształcenie, powiązania z Ziemią, dorastanie w Pasie – sprawiał, że trudno było go lubić.

I to Ashford będzie dowodził misją.

– Dochodzi do tego element czasowy – powiedział Fred Johnson.

Fred wyglądał okropnie. Był zbyt chudy. Ostatnio wszyscy wyglądali na chudych, ale ciemna skóra Freda przybrała popielaty odcień, przywodzący Bykowi na myśl sprawy takie jak zaburzenia odporności i nieleczone nowotwory. Prawdopodobnie był to tylko efekt stresu, wieku i niedożywienia. To samo, co przytrafiało się wszystkim, jeśli nie pojawiło się nic innego. Właściwie to Byk też zaczął trochę siwieć na skroniach i nie podobały mu się tanie diody, które rzekomo miały naśladować światło Słońca. Fakt, że jego skóra

wciąż była ciemniejsza od skorupki jajka, miał więcej wspólnego z ciemną skórą jego meksykańskiej matki niż z ultrafioletem.

Przebywał w ciemności od dwudziestego drugiego roku życia, a teraz miał już czterdziestkę. Fred zaś, jego dowódca pod dwoma rządami, był od niego wyraźnie starszy.

Rusztowanie konstrukcyjne odchyłało się przed nimi, z elastycznymi ścianami lśniącoymi jak łuski węża. Dobiegał go nieustanny, cichy pisk wibracji sprzętu konstrukcyjnego, przesuwanego po powierzchni stacji. Ciężenie wirowe miało tu siłę nieco mniejszą od standardowej jednej trzeciej g właściwej stacji Tycho, a Ashford popisывał się, przyśpieszając i zwalniając, żeby Ziemia mogła nadążyć. Byk zwolnił odrobinę, żeby facet musiał czekać chwilę dłużej.

– Element czasowy? Jak to wygląda, pułkowniku? – zapytał Ashford.

– Nie aż tak źle, jakby mogło – odparł Fred. – Od czasu dużej zmiany podczas zdarzenia Pierścień nie wykazuje żadnych innych wahań. Nikt inny przez niego nie przeleciał i nic się nie wyłoniło ze środka. W tej chwili ludzie już nie robią w gacie, tylko siedzą w gotowości. Mars traktuje to jako sprawę ściśle wojskową i naukową. Wysłali tam już pół tuzina jednostek badawczych na dużym ciągu.

– Jaka eskorta? – zapytał Byk.

– Jeden niszczyciel i trzy fregaty – odpowiedział Fred. – Ziemia leci wolniej, ale większymi siłami. W przyszłym roku będą mieli wybory, a sekretarz generalny mocno obrywa za potajemną współpracę rządu ze zbuntowanymi korporacjami.

– Ciekawe dlaczego – skomentował cierpko Byk.

Nawet Ashford się uśmiechnął. Dzięki Protogenowi i Mao-Kwikowski ładu i stabilność Układu Słonecznego wylądowały w mikserze. Stacja Eros przepadła, przejęta przez obcą technologię, rozbita o Wenus. Ganimed produkował ledwie jedną czwartą wcześniejszych ilości jedzenia, zmuszając wszystkie zamieszkałe ośrodki planet zewnętrznych do polegania na zapasowych źródłach żywności. Sojusz Ziemi i Marsa stał się czymś w rodzaju miłego wspomnienia, o którym czyjś dziadek mógł opowiadać po wypiciu zbyt dużej ilości alkoholu. Stare, dobre czasy, zanim wszystko poszło

w diabły.

– Popisuje się – mówił dalej Fred. – Dziennikarze, przywódcy religijni, poeci i artyści. Wiozą wszystkich do Pierścienia, żeby żadne studio wiadomości nie patrzyło na niego.

– Typowe – rzucił Ashford, ale nie rozwijał tematu. Typowe dla polityka. Typowe dla Ziemiańszczyzny. – Czego tam szukamy?

Rusztowanie zaśpiewało przez chwilę, wzbudzone spiętrzeniem drgań harmonicznymi, uciszonych po chwili przemysłowymi tłumikami gaszącymi wibracje, zanim mogłyby doprowadzić do szkód.

– Na razie wiemy na pewno tylko tyle, że jakiś dureń wleciał balistycznie w Pierścień z dużą prędkością i nie pojawił się z drugiej strony – odpowiedział Fred, ruszając dłońmi w pasiarskim odpowiedniku wzruszenia ramionami. – A teraz w Pierścieniu pojawiła się jakaś fizyczna anomalia. Możliwe, że statek dzieciaka został zjedzony przez Pierścień i w coś zmieniony. Pierścień puścił sporo promieniowania gamma i rentgenowskiego, ale za mało, żeby była to cała masa statku. Możliwe, że go uszkodził. Albo otworzył wrota i lada chwila wyleci stamtąd banda zielonych ludzików w latających talerzach, żeby zmienić Układ Słoneczny w przydrożny parking.

– Co... – zaczął Byk, ale przerwał mu Ashford.

– Jakaś reakcja na Wenus?

– Nic – odpowiedział Fred.

Wenus była martwa. Przez lata po tym, jak przejęty Eros spadł pod chmury, spojrzenia wszystkich ludzi skierowane były na tę planetę, wszyscy obserwowali, jak obca protomolekuła pracuje w ekstremalnym środowisku. Kryształowe wieże wznosiły się na kilometry i upadały. Planetę oplótły sieci węglowych włókien, rozpadając się w pył. Broń miała wieść prymitywne życie na Ziemi miliardy lat temu, jednak zamiast tego dostała do dyspozycji złożony ekosystem ludzkich ciał i struktury do utrzymania ich w toksycznym piecu na Wenus. Może z tego powodu potrzebowała więcej czasu na realizację planu, a może dysponowanie złożonymi organizmami ułatwiło jej działanie. W każdym razie wszystko wskazywało na to, że

skończyła już z Wenus. W tej chwili liczyło się już tylko to, że wystrzeliła na wpół złożony Pierścień w pustkę poza orbitą Urana, który to Pierścień po dotarciu na miejsce złożył się do końca i wisiał tam bez śladu życia.

Aż do teraz.

– I co mamy z tym zrobić? – zapytał Byk. – Bez urazy, ale nie mamy najlepszych statków badawczych, a Ziemia i Mars uszczupliły swoje floty, walcząc o Ganimeda.

– Być na miejscu – odpowiedział Fred. – Skoro Ziemia i Mars wysyłają swoje statki, my wyślemy nasz. Jeśli chcą być tam obecni, będziemy też i my. Jeśli wysuną roszczenie do Pierścienia, zrobimy to samo. Wszystko, co zrobiliśmy, żeby przekształcić planety zewnętrzne w realną siłę polityczną, przynosi realne korzyści, ale jeśli pozwolimy im prowadzić, nasza pozycja może szybko przestać się liczyć.

– Planujemy do kogoś strzelać? – zainteresował się Byk.

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie – wyznał Fred.

Łagodna krzywizna rusztowania doprowadziła ich w końcu do łuku platformy. Na tle usłanej gwiazdami czerni unosiła się nad nimi oświetlona tysiącem lamp olbrzymia płaszczyzna z ceramiki i stali. Oglądanie tego przypominało obserwację krajobrazu – konstrukcja była zbyt wielka na dzieło ludzkich rąk. Wyglądała jak wąwóz lub góra. Zarośnięty łąką krater wygasłego wulkanu. Skala sprawiała, że nie dało się w tym zobaczyć statku, a jednak nim był. Mechy konstrukcyjne pełzające po jego boku były większe od domu, w którym Byk dorastał, ale wyglądały jak piłkarze grający na odległym boisku. Długa, cienka linia windy stępkowej rozciągała się wzdłuż korpusu cylindra, przenosząc robotników z jednego końca statku na drugi. Ustawiona na zewnątrz druga kabina mogła pomieścić kilkanaście osób, ale wyglądała jak ziarenko soli. Z łagodnej krzywizny sterczały wieżyczki dział szynowych i kanciaste, gniewne wybrzuszenia wyrzutni torped.

Kiedyś statek nazywał się *Nauvoo*. Miał być arką pokoleniową, lecącą do gwiazd z pobożnymi mormonami na pokładzie, oddającymi swój los w ręce Boga i systemów środowiskowych. Teraz stał się *Behemotem*, największą i najgroźniejszą platformą bojową w Układzie

Słonecznym. W jego wnętrzu mogłyby się swobodnie zmieścić cztery pancerniki klasy *Donnagera*, mając jeszcze miejsce na manewry. Mógł magnetycznie przyśpieszać pociski do zauważalnego ułamka prędkości światła i pomieścić więcej torped jądrowych, niż posiadał Sojusz Planet Zewnętrznych. Jego laser łączności miał moc wystarczającą, by przebić się przez stal. Nie dało się zbudować niczego bardziej ewidentnie i skutecznie przeznaczonego do zastraszania, może poza namalowaniem na kadłubie zębów i dospawaniem półkilometrowej płetwy rekina.

I bardzo dobrze, bo tak naprawdę statek był przerobionym złomem i jeśli kiedyś będzie musiał faktycznie walczyć, będą mieli przerąbane. Byk zerknął na Ashforda. Kapitan wysoko trzymał podbródek, a jego oczy lśniły z dumy. Byk zacisnął zęby.

Ostatnie ślady wagi zniknęły, gdy platforma z rusztowaniem dostosowała się do bezruchu *Behemota*. Jeden z odległych mechów konstrukcyjnych rozjarzył się jasno jak słońce, rozpoczynając spawanie.

– Ile czasu jeszcze potrzeba, zanim będziemy mogli go wyprowadzić? – zapytał Ashford.

– Trzy dni – odpowiedział Fred.

– Według raportu działu inżynieryjnego statek będzie gotowy za dziesięć – zauważył Byk. – Chcemy pracować nad nim w locie?

– Taki jest plan – potwierdził Fred.

– Bo wiesz, moglibyśmy poczekać jeszcze kilka dni tutaj, skończyć pracę w doku, a potem dać trochę większy ciąg i dotrzeć w tym samym terminie.

Cisza była nieprzyjemna. Byk wiedział, że tak będzie, ale trzeba to było powiedzieć.

– Komfort i morale załogi wymagają takiego samego wsparcia, jak sam statek – odpowiedział w końcu Fred, dyplomacją zmieniając kształt słów. Byk znał go dość długo, by to usłyszeć. *Pasiarze nie chcą ostrego przyśpieszenia*. – Zresztą łatwiej będzie zrobić przejściowe roboty w niższym ciężeniu. To wszystko efekt kompromisów, Byk. Wylatujecie za trzy dni.

– Czy to problem? – zapytał Ashford.

Byk wykrzywił twarz w głupkowskim uśmiechu używanym, gdy chciał powiedzieć prawdę i nie wpakować się przez to w kłopoty.

– Lecimy obrzucić Ziemię i Marsa znakami naszego gangu, podczas gdy Pierścień robi dziwne i tajemnicze rzeczy. Mamy załogę, która nigdy nie pracowała razem, statek w połowie z odzysku i za mało czasu, żeby to wszystko utrząsnąć. Jasne, że to problem, ale nie aż taki, żeby sobie z nim nie poradzić, więc i tak to zrobimy. Najgorsze, co może się zdarzyć, to śmierć nas wszystkich.

– Radosna myśl – skomentował Ashford. Wręcz ociekał dezaprobatą.

Byk uśmiechnął się jeszcze szerzej i wzruszył ramionami.

– Prędzej czy później i tak nas to czeka.

\* \* \*

Byk miał na Tycho luksusową kwaterę. Cztery pokoje, wysokie sufity i własna łazienka z dostawą wody. Nie miał tak dobrze nawet jako dziecko na Ziemi. Dzieciństwo spędził w blokach Strefy Współpracy Nowego Meksyku, mieszkając z rodzicami, babcią, dwoma wujkami, trzema ciotkami i jakimś tysiącem kuzynów. Kiedy skończył szesnaście lat i odmówił życia na podstawie, udał się na południe od Alamagodro i odpracował dwuletni przydział, rozbierając stare elektrownie słoneczne z czasów przed fuzją jądrową. Mieszkał w baraku z dziesięcioma innymi chłopakami. Wciąż ich pamiętał; takich, jakimi byli wtedy, chudzi i umięśnieni, z koszulami obwiązany wokół głów. Nadal pamiętał napór promieni słońca w Nowym Meksyku, wciskających się w pierś jak ręka, gdy kąpał się w żarze i promieniowaniu niekontrolowanego reaktora fuzyjnego, chroniony tylko odległością i szerokim, błękitnym niebem.

Kiedy skończył dwuletni kontrakt, spróbował studiów na politechnice, ale dał się rozproszyć hormonom i alkoholowi. Gdy go wyrzucili, jego wybór w praktyce ograniczył się do wojska lub podstawowego utrzymania, więc wybrał to, co mniej przypominało śmierć. W marines nigdy nie miał pryczy większej niż przedpokój w



jego kwaterze na stacji Tycho. Do czasu rezygnacji ze służby tak naprawdę nigdy nie miał nawet miejsca, które mógłby nazwać swoim. Stacja Ceres nie była dla niego dobrym miejscem. Wynajęta przez niego dziura mieściła się blisko osi obrotu, oferując niskie ciężenie i silny efekt Coriolisa. Miejsce nadawało się właściwie tylko do odespania pijaństwa poprzedniej nocy, ale należało do niego. Nagie ściany z wypolerowanego kamienia, łóżko ze statkowego demobilu, z pasami bezpieczeństwa do niskiego ciężenia. Któryś z poprzednich właścicieli wyrył na ścianie słowa *besso o nadie*. Był to pasiarski slang, oznaczający *lepiej lub nic*. Wtedy jeszcze nie wiedział, że to hasło polityczne. Rzeczy, których dorobił się od czasu zamieszkania na stacji Tycho – ramka wyświetlająca kilkanaście przyzwoitych zdjęć rodzinnych z Ziemi, cynowy świecznik, którego nie zabrała jego była dziewczyna, odchodząc, cywilne ciuchy – wypełniłyby jego mieszkanie na Ceres tak, że nie miałby gdzie spać. Miał za dużo rzeczy, musiał się ich pozbyć.

Ale nie przed tą robotą. Apartament pierwszego oficera na *Behemocie* był jeszcze większy.

System zabrzączał, informując, że ktoś stoi przed drzwiami. Kierowany długoletnim przyzwyczajeniem przed otwarciem drzwi Byk zajrzał na ekran. Przed drzwiami Fred przestępował z nogi na nogę. Miał na sobie cywilne ciuchy: białą koszulę i dresowe spodnie, które próbowały ukryć opadający brzuch. W tym starciu nie miały szans, Fred nie był w formie ani trochę lepszej niż Byk. Po prostu się starzeli.

– Hej – przywitał go Byk. – Siądź gdzieś, właśnie się pakuję.

– Już się zbierasz?

– Chcę spędzić trochę czasu na statku, zanim wylecimy – wyjaśnił Byk. – Zobaczyc, czy nie zaplątali się tam jacyś zapomniani mormoni.

Fred zrobił bolesną minę.

– Jestem przekonany, że wszystkich wybraliśmy poprzednim razem – odpowiedział, wchodząc w ton. – Ale to duże miejsce, możesz sprawdzić, jeśli chcesz.

Byk otworzył komodę, licząc palcami koszulki. Miał ich dziesięć. To był wyraźny znak dekadencji. Kto potrzebował dziesięciu T-shirtów?

Wyciągnął pięć i rzucił je na krzesło obok szafki.

– Mogą narobić mnóstwa problemów, jeśli odzyskają prawa do *Nauvoo* – zauważył. – Biorąc pod uwagę wszystkie wprowadzone w nim zmiany.

– Nie odzyskają – uciął Fred. – Przejęcie statku było całkowicie legalne. To była wyjątkowa sytuacja, mógłbym przez dziesięć godzin wymieniać precedensy.

– Jasne, ale potem go odzyskaliśmy i uznaliśmy za własny – przypomniał Byk. – To jakby powiedzieć, że muszę pożyczyć twój samochód, ale skoro wleciałem nim do rowu i wyciągnąłem go z powrotem, teraz należy do mnie.

– Prawo ma wiele aspektów, Byku – stwierdził Fred. Jego głos świadczył o zmęczeniu. Coś jeszcze nie dawało mu spokoju.

Byk wysunął kolejną szufladę, wyrzucił do recyklera połowę skarpetek, a resztę położył na T-shirtach.

– Tylko że jeśli sędzia nie przyjmie tego punktu widzenia, może się zrobić niezręcznie – skomentował.

– Sędziowie na Ziemi nie mają tu jurysdykcji – przypomniał Fred. – A ci w naszym systemie sądowym są lojalni względem SPZ. Znają szerszy obraz. Nie zdejmą ze stołu naszego największego statku, żeby go oddać mormonom. W najgorszym razie każą nam wypłacić odszkodowanie.

– Stać nas na to?

– W tej chwili nie – przyznał Fred.

Byk parsknął rozbawiony.

– Zastanawiałeś się kiedyś, gdzie popełniliśmy błąd, że wylądowaliśmy tutaj? Ty siedzisz za największym biurkiem w SPZ, a ja jestem pierwszym oficerem Ashforda. To raczej nie świadczy o dobrych wyborach życiowych, stary.

– A właśnie – rzucił Fred. – Doszło do małej zmiany planów.

Byk otworzył szafkę, mocno zaciskając wargi. Fred nie przyszedł tu tylko porozmawiać. Był jakiś problem. Byk wyjął z szafy dwa garnitury, wciąż owinięte w lepką błonę ochronną. Od lat nie zakładał żadnego z nich. Pewnie już nie pasowały.

– Ashford uważa, że lepiej byłoby mieć za pierwszą Michio Pa.

Rozmawialiśmy o tym. Zmieniłem ci przydział na szefa ochrony.

– Czyli teraz jestem trzeci w strukturze dowodzenia – skomentował Byk. – Dlaczego? Ashford boi się, że go sprzątnę i zajmę jego miejsce?

Fred pochylił się, splatając palce. Powaga malująca się na jego twarzy sugerowała, że zdawał sobie sprawę, jak paskudna to sytuacja, ale próbował coś z niej uratować.

– Chodzi o politykę – wyznał. – To flota SPZ. *Behemot* jest odpowiedzią Pasa na największe pancerniki Marsa i Ziemi. Obecność Ziemianina na mostku będzie źle odbierana.

– W porządku – rzucił Byk.

– Dobrze wiesz, że jestem w tej samej sytuacji. Nawet po całym tym czasie muszę pracować dwukrotnie ciężiej, żeby zasłużyć sobie na lojalność i szacunek, tylko dlatego, że pochodzę z Ziemi. Nawet ludzie, którzy lubią moje towarzystwo, bo uważają, że przy mnie Ziemia wygląda na słabszą, nie chcą przyjmować ode mnie rozkazów. Muszę wciąż na nowo zdobywać każdy strzępek szacunku.

– Dobra – rzucił Byk. Stanowisko szefa ochrony oznaczało mniej czasu w mundurze. Westchnął i położył oba garnitury na krześle.

– Wcale nie twierdzę, że tak nie jest – zapewnił Fred. – Nikt nie wie lepiej niż ja, że jesteś najlepszym z najlepszych. Po prostu są pewne ograniczenia, z którymi musimy się pogodzić. Żeby zrealizować zadanie.

Byk złożył ręce i oparł się o ścianę. Fred popatrzył na niego spod przyprószonych siwizną brwi.

– Latam z panem od bardzo dawna, sir – powiedział Byk. – Jeśli musi mnie pan o coś poprosić, wystarczy to zrobić.

– Chciałbym, żebyś dopilnował, żeby to wszystko zadziało – powiedział Fred. – To, co się tam dzieje, to najważniejsza rzecz w całym układzie, a my nie mamy pojęcia, co to takiego. Jeśli się zbłąznimy albo pozwolimy planetom wewnętrznym na zdobycie jakiejś kluczowej przewagi, stracimy bardzo dużo. Ashford i Pa to dobrzy ludzie, ale to Pasiarze. Nie mają takiego samego doświadczenia w pracy z siłami ziemskimi, jak ty i ja.

– Myślisz, że coś namieszają?

– Nie. Ashford będzie się ze wszystkich sił starał postąpić słusznie,

ale będzie reagował jak Pasiarz i zaskoczy go, gdy inni zachowają się inaczej.

– Jeśli Już cię oskubali postąpił słusznie, to *wyłącznie* dlatego, że bał się zbłąźnić. To ładny mundur z próżnią w środku. Nie możesz na tym polegać.

– I nie polegam – zgodził się z nim Fred. – Wysyłam cię tam, bo wierzę, że zdołasz sprawić, żeby to wszystko zadziało.

– Ale nie dajesz mi żadnej władzy.

– Ale nie daję ci żadnej władzy.

– To może chociaż podwyżkę?

– Tego też nie – stwierdził Fred.

– Niech to szlag – rzucił Byk. – Cała odpowiedzialność i żadnej władzy? Jak mógłbym odrzucić taką ofertę?

– Bez żartów. Wsadziłem cię po szyję w gówno i to wyłącznie z powodów polityki i tym podobnych bzdur. Ale bardzo mi zależy, żebyś się na to zgodził.

– W takim razie zgodzę się – powiedział Byk.

Przez chwilę w pokoju słychać było tylko cichy szum wymiennika powietrza. Byk odwrócił się z powrotem do pakowania swojego życia do szafki. Gdzieś wysoko nad nim, ukryty za tonami stali i ceramiki, surowego kamienia i próżni, czekał *Behemot*.

# Rozdział trzeci

## *Melba*

Po wejściu do salonu gier Melba poczuła na sobie spojrzenia wszystkich dookoła. Pomieszczenie oświetlone było na różowo, niebiesko i złoto za pomocą ekranów automatów do gier. Większość gier skupiała się na seksie lub przemocy albo obu na raz. Naciśnij przycisk, wydaj pieniądze, a czekając na wynik, oglądaj, jak dziewczyny wsadzają w siebie obce i odrażające przedmioty. Jednoręcy bandyci, poker, loterie w czasie rzeczywistym. Dwóch grających na automatach mężczyzn emanowało aurą głupoty, desperacji i niemal namacalnej nienawiści do kobiet.

– Skarbie – odezwał się siedzący za ladą, niezwykle otyły mężczyzna. – Nie wiem, gdzie chciałaś wejść, ale to nie jest właściwe miejsce. Lepiej będzie, jak stąd pójdziesz.

– Jestem umówiona – odpowiedziała. – Z Travinem.

Grubas uniósł nieco wyżej ciężkie powieki. Ktoś w mroku rzucił przekleństwo, które miało ją wytrącić z równowagi. Obruszyła się, ale nie pokazała tego po sobie.

– Travin jest na tyłach, jeśli go chcesz, skarbie – powiedział mężczyzna za blatem, machając głową.

Na drugim końcu pomieszczenia, za salą pełną obleśnych spojrzeń i gróźb, czekały czerwone metalowe drzwi.

Wszystkie jej odruchy pochodziły z przeszłości, z czasów, gdy była Clarissą, więc teraz się nie sprawdzały. Od kiedy urosła na tyle, by chodzić sama, uczono ją samoobrony, ale jej celem było radzenie

sobie z porwaniem. Jak zwracać na siebie uwagę policji, jak rozładowywać napięcia z porywaczami. Oczywiście, były też inne zajęcia, a ich częścią był trening fizyczny, jednak celem zawsze miało być wyrwanie się. Ucieczka. Znalezienie pomocy.

Teraz, gdy nie mogła liczyć na pomoc, nic z tego się nie przydawało. Jednak to właśnie miała do dyspozycji, więc tego użyła. Melba – nie Clarissa, *Melba* – kiwnęła głową grubasowi i ruszyła przez ciasną, ciemną salę. Pełne ciężenie Ziemi przygniatało ją jak choroba. Na jednym z ekranów kreskówkowa kobieta była napastowana seksualnie przez trzech małych, szarych obcych, nad którymi unosił się latający talerz. Ktoś zgarnął pomniejszą pulę. Melba odwróciła wzrok. Za jej plecami roześmiał się niewidoczny mężczyzna i poczuła, jak napina się jej skóra na karku.

Z całego rodzeństwa ona najbardziej lubiła trening fizyczny. Kiedy się skończył, zaczęła ćwiczyć tai chi z instruktorem samoobrony. Potem, gdy miała czternaście lat, jej ojciec zażartował z tego podczas rodzinnego spotkania. Według niego – o ile nauka walki miała sens, i potrafił to uszanować, o tyle taniec udający walkę wyglądał głupio i był stratą czasu. Nigdy więcej nie ćwiczyła. To było dziesięć lat temu.

Otworzyła czerwone drzwi i weszła do środka. W biurze było prawie jasno. Małe biurko z wbudowanym wyświetlaczem, podłączonym do taniego systemu księgowego. Matowe szyby wpuszczające światło słońca, ukrywające równocześnie ulice Baltimore. Formowana kanapa z plastiku z tapicerką ozdobioną korporacyjnym logo taniego piwa, na które mogli sobie pozwolić nawet ludzie żyjący na podstawie. Na kanapie siedziało dwóch wielkich mężczyzn. Jeden z nich miał wszczepione okulary przeciwsłoneczne, które nadawały mu wygląd owada. T-shirt drugiego z trudem opinał napakowane sterydami barki. Widziała ich już wcześniej.

Travin stał przy biurku, opierając się o nie udami. Włosy ze śladami siwizny na skroniach miał przycięte blisko skóry, broda była niewiele dłuższa. Ubrany był w coś, co w jego kręgach uchodziło za dobry garnitur. Ojciec nie założyłby tego nawet na bal przebierańców.

– No proszę, niepowtarzalna Melba.

– Wiedziałaś, że tu jestem – odparła. W pokoju nie było krzeseł ani żadnego wolnego miejsca, gdzie mogłaby usiąść. Stała.

– Oczywiście, że tak – potwierdził Travin. – Gdy tylko weszłaś z ulicy.

– Robimy interes? – zapytała ostrym głosem.

Travin się uśmiechnął. Miał krzywe, poszarzałe przy dziąsłach zęby, co uchodziło za świadectwo bogactwa, dowód na to, że był zbyt potężny, by zawracać sobie głowę kosmetyką. Poczula falę pogardy. Przypominał wyznawcę antycznego kultu cargo: naśladowanie pustych oznak władzy bez zrozumienia, co tak naprawdę znaczą. Upadła tak nisko, że musiała robić z nim interesy, ale przynajmniej miała dość klasy, by się tego wstydzić.

– Wszystko załatwione, panienko – zapewnił Travin. – Melba Alzbeta Koh. Urodzona na Lunie, córka Alsice, Beccy i Sergia Koha, już nieżyjących. Żadnego rodzeństwa, żadnych zobowiązań podatkowych. Licencjonowana technik elektrochemii. Twoje nowe ja czeka, co?

– A kontrakt?

– *Cerisier*, cywilne wsparcie wielkiej misji do Pierścienia. Nasza panna Koh ma na nim koję, nawet jako starszy technik. Kilka osób personelu do nadzorowania, nie trzeba sobie brudzić rąk.

Travin wyciągnął z kieszeni białą plastikową kopertę. Przez powłokę przeświecał zarys taniego terminala ręcznego.

– Wszystko tu jest, wszystko gotowe. Możesz wziąć i wyjść przez te drzwi jako nowa kobieta.

Melba wyciągnęła z kieszeni własny ręczny terminal. Był mniejszy od tego w ręku Travina i dużo lepiej wykonany. Będzie jej go brakować. Zalogowała się kciukiem, autoryzowała przelew i schowała go z powrotem do kieszeni.

– W porządku – powiedziała. – Masz pieniądze, wezmę towar.

– Ach, kiedy jest jeszcze *jeden* drobny problem – odpowiedział Travin.

– Mamy umowę – przypomniała Melba. – Zrobiłam swoją część.

– I bardzo dobrze to o tobie świadczy – zapewnił Travin. – Ale robienie z tobą interesów chyba sprawia mi przyjemność. Można dokonać fascynujących odkryć. Żeby przygotować twoją nową

tożsamość, musieliśmy umieścić w bazach danych DNA i usunąć powielone rekordy. Chyba nie byłaś ze mną całkiem szczerą.

Przełknęła ślinę, próbując rozluźnić nagle zaciśnięte gardło.

Owadzioki facet poprawił się na kanapie, przez co zaskrzypiała tapicerka.

– Wydałam pieniądze – powiedziała.

– I słusznie, całkiem słusznie – zgodził się Travin. – Clarissa Melpomene Mao, córka Julesa-Pierre’a Mao z Mao-Kwikowski Mercantile. Bardzo ciekawe nazwisko.

– Mao-Kwikowski zostało znacjonalizowane, gdy mój ojciec trafił do więzienia – przypomniała Melba. – Firma już nie istnieje.

– Korporacyjny wyrok śmierci – potwierdził Travin, kładąc kopertę na biurku. – Bardzo smutne. Ale nie dla ciebie, prawda? Bogacze znają pieniądze. Potrafią znaleźć sposoby na ukrycie ich tam, gdzie oczy maluczkich ich nie dostrzegą. Mogą przekazać je żonom albo córkom.

Złożyła ręce, krzywiąc się. Mięśniak na kanapie stłumił ziewnięcie. Mogło być nawet nieudawane. Pozwoliła ciszy przeciągnąć się nie dlatego, by chciała wymusić na Travinie odezwanie się, po prostu nie wiedziała, co powiedzieć. Oczywiście, miał rację. Tatuś zadbał o nie wszystkie najlepiej, jak potrafił. Zawsze to robił. Nawet prokuratura Organizacji Narodów Zjednoczonych nie mogła dorwać wszystkiego. Clarissa miała dość pieniędzy, by prowadzić spokojne życie na Lunie lub Marsie i umrzeć ze starości, zanim zabraknie jej funduszy. Tylko że nie była już Clarissą, a sytuacja Melby była diametralnie różna.

– Mogę ci dać jeszcze dziesięć tysięcy – oznajmiła w końcu. – To wszystko, co mam.

Travin posłał jej swój szary uśmiech.

– Wszystkie te śliczne pieniążki odleciały, co nie? I co sprawiło, że postanowiłaś udać się w mrok, hm? Zastanawiałem się, więc zacząłem szukać. Jesteś bardzo, bardzo dobra. Mimo tego, że wiedziałem, gdzie patrzeć, nie zobaczyłem za wiele w cieniach. Nie słyszałem nic, poza echem. Ale... – Przesunął kopertę na biurku przed sobą, trzymając na niej jeden palec tak, jak jej brat Petyr, gdy był prawie pewien ruchu szachowego, ale jeszcze nie zdecydował się go wykonać. Gest posiadacza. – Mam coś, czego nie ma nikt inny. Wiem, że należy



patrzeć na Pierścień.

– Dziesięć tysięcy to wszystko, co mam. Naprawdę. Całą resztę wydałam.

– W takim razie może potrzebujesz więcej? – zapytał Travin. – Powiedzmy, kapitału inwestycyjnego? Nasza mała Melba może dostać dziesięć tysięcy, jeśli chce. Nawet pięćdziesiąt, jeśli potrzebuje. Tylko że będę chciał więcej z powrotem. Dużo więcej.

Ścisnęło ją w gardle. Kiedy przechyliła głowę, ruch wydawał się zbyt szybki, zbyt ostry. Ptasi. Przerażony.

– O czym mówisz? – zapytała, zmuszając głos do spokoju.

W powietrzu unosiła się bezkształtna groźba, jak kiepska woda po goleniu: męska i tania. Kiedy znów się odezwał, z jego głosu zniknęły wszelkie ślady życzliwości.

– Partnerzy. Planujesz coś dużego, coś z Pierścieniem i flotyllą, co nie? Wszyscy ci ludzie lecą w mrok, żeby stanąć twarzą w twarz z potworami, a ty lecisz z nimi. Sądzę, że takie ryzyko oznacza, że spodziewasz się bardzo dużej nagrody. W rodzaju takich, jakich ludzie spodziewają się po Mao. Powiesz mi, na czym polega twój plan, ja pomogę ci, na ile będę mógł, a potem podzielimy się tym, co na tym zarobisz.

– Nic z tego. – Słowa wypowiedziała prawie odruchowo. Zrodziły się w jej kręgosłupie, decyzja była zbyt oczywista, by angażować mózg.

Travin zabrał kopertę, przesuwając ją z sykiem po blacie. Cichy dźwięk cmokania był równie współczujący, jak fałszywy.

– Poruszyłaś niebo i ziemię – stwierdził. – Przekupywałaś, kupowałaś, organizowałaś. I kiedy mówisz, że nie masz już żadnych rezerw, wierzę ci. A teraz przychodzisz do mojego stołu i odmawiasz mi udziału w interesie? Nie ma interesu, to nie ma interesu.

– Zapłaciłam ci.

– Nie obchodzi mnie to. Jesteśmy partnerami. *Pełnymi* partnerami. Cokolwiek na tym zarobisz, ja też to dostanę. W przeciwnym wypadku są tacy, których jak sądzą, bardzo zainteresowałoby to, co po cichu robiła niesławna Mao.

Mężczyźni siedzący na kanapie skupiali teraz na niej uwagę. Wbijali w nią wzrok. Obejrzała się przez ramię. Metalowe drzwi do

salonu z automatami były zamknięte. Okno szerokie. Zainstalowany w nim przewód zabezpieczający był z rodzaju tych, które zwijały się, jeśli chciało się otworzyć okno i wpuścić do środka trochę brudnego miejskiego powietrza. Owadziooki wstał.

Jej implanty aktywowały się, gdy przesuwiała język po podniebieniu. Dwa kręgi w lewo. Ruch był ukryty, niewidoczny. Wewnętrzny i dziwnie zmysłowy. Było to prawie równie łatwe, jak myślenie. Zestaw sztucznie stworzonych gruczołów upchniętych w gardle, głowie i brzuchu opróżnił pęcherze, wstrzykując do krwi złożone chemikalia. Zadygotała. Przypominało to orgazm bez rozkoszy. Poczwała, jak sumienie i hamulce oddalają się niczym złe sny. Była w pełni obudzona i żywa.

Wszystkie dźwięki pokoju – zgiełk ulicznego ruchu, stłumiona kakofonia automatów do gier, nieprzyjemny głos Travina – przycichły, jakby koktajl płynący do jej głowy wcisnął jej pianę do uszu. Mięśnie napięły się i naprężyły, usta wypełnił smak miedzi. Czas zwolnił.

Co robić? Co robić?

Pierwszym zagrożeniem byli goryle siedzący na kanapie. Ruszyła ku nim, zapominając o przygniatającym ciężeniu. Napakowanego mięśniaka kopnęła w kolano, gdy wstawał, wybiła mu rzepkę ze ścięgien i przesunęła nogą po udzie. Na jego twarzy odmalowało się komiczne wręcz zaskoczenie i przejęcie. Gdy zaczął spadać, uniosła drugie kolano, wbijając je w opadającą krtani. Mierzyła w jego twarz. *Gardło jest równie dobre*, pomyślała, gdy chrząstka zapadała się w kontakcie z kolanem.

Owadziooki rzucił się na nią. Ruszał się szybko, jakby też miał zmodyfikowane ciało. Pewnie zintegrowane neurony mięśniowe. Coś, co skracało długą, powolną przerwę neurotransmiterów przenikających przez synapsy. Co dawało mu przewagę podczas walki z innymi zbirami. Zacisnął rękę na jej ramieniu, chwytając szerokimi, twardymi palcami. Odwróciła się w jego stronę, opadając, by pociągnąć go w dół. Uderzyła dłonią od wewnętrznej strony łokcia, by osłabić chwyt, a potem obiema dłońmi objęła nadgarstek, skręcając go. Żaden z jej ataków nie był podyktowany rozumem ani

zaplanowany. Ruchy wypływały z jej tyłomózgowia, uwolnionego z ograniczeń, obdarzonego czasem do zaplanowania tej masakry. Nie było w tym więcej sztuki walki, niż u krokodyla atakującego bawołu – tylko szybkość, siła i kilkaset milionów lat uwolnionego instynktu przetrwania. Jej instruktor tai chi z niesmakiem odwróciłby wzrok.

Napakowany mięśniak zjechał na podłogę z krwią tryskającą z ust. Owadziooki odsunął się od niej, robiąc dokładnie to, czego chciała. Przycisnęła jego unieruchomione stawy blisko do ciała i skręciła biodrami. Był od niej większy i całe życie przeżył w studni grawitacyjnej, napakowany sterydami i wszczepionym tanim wspomaganiami. Tylko że wcale nie musiała być od niego silniejsza. Wystarczyło, żeby jej siła poradziła sobie z małymi kostkami nadgarstka i łokcia. Złamał się, padając na kolano.

Melba – nie Clarissa – wykręciła się wokół niego, obejmując prawą ręką szyję, a potem blokując ją lewą, chroniąc własną głowę przed nadchodzącymi uderzeniami. Nie musiała być silniejsza od niego, tylko silniejsza od tętnic doprowadzających krew do mózgu.

Wystrzelił pistolet Travina, wyrывая dziurę w kanapie. Mały wytrysk piany z wyściółki przypominał wybuchającą gąbkę. Nie ma czasu. Wrzasnęła, kierując moc krzyku do ramion i rąk. Poczwała, jak pęka kark owadziookiego mężczyzny. Travin znowu strzelił. Jeśli ją trafi, zginie. Ale nie czwała strachu. Został zamknięty w miejscu, gdzie nie mogła go doświadczać. Choć niedługo wróci. Zostało jej mało czasu, musiała działać szybko.

Powinien był spróbować trzeciego strzału. Tak byłoby rozsądnie. Mądrze. Nie był jednak rozsądny ani mądry, zrobił to, co podyktowało mu ciało, i spróbował uciec. Był małą i miliony lat ewolucji powiedziały mu, by uciekać przed drapieżnikiem. Nie miał czasu na kolejny błąd. Poczwała narastający w jej gardle kolejny krzyk.

Czas przeskoczył. Jej palce zaciskały się wokół szyi Travina, wpychając jego czaszkę w róg biurka. Miała na nich krew i kawałek skóry z włosami. Pchnęła jeszcze raz, ale był zbyt ciężki, uderzenie nie miało żadnej siły. Puściła go, a on upadł na podłogę, jęcząc.

Czyli żyje. Wrócił strach, pierwsza zapowiedź mdłości. On wciąż żył. Nie mógł żyć, gdy pojawi się zapaść. Miał pistolet. Musiała sprawdzić,

co się z nim stało. Szybko drętwiejącymi palcami wyciągnęła spod niego mały pistolet.

– Partnerzy – powiedziała i dwa razy strzeliła mu w głowę.

Musieli to usłyszeć nawet w sali z automatami. Zmusiła się do podejścia do drzwi i sprawdziła zamek. Były zaryglowane. O ile nie było tam kogoś z kluczem, była bezpieczna do czasu, aż się przebija. Mogła odpocząć. Nie wezwą policji. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Osunęła się na podłogę. Pot zalał jej twarz i zaczęła się trząść. Wydawało się niesprawiedliwe, że traciła czas podczas wspaniałej i oczyszczającej przemocy, a potem musiała walczyć o zachowanie świadomości przez następującą zapaść fizjologiczną, ale nie mogła sobie pozwolić na sen. Nie tutaj. Objęła kolana, przyciskając je do piersi i łkając nie z powodu żalu lub strachu, a tylko dlatego, że jej ciało robiło to, gdy nadchodził dół. Ktoś pukał do drzwi, ale robił to niepewnie. Ostrożnie. Jeszcze kilka minut i będzie... nie w porządku. Tak nie. Ale dostatecznie dobrze. Tylko kilka minut.

Dlatego właśnie modyfikacja gruczołowa nigdy nie przyjęła się wśród wojskowych. Oddział żołnierzy działających bez wahania i wątpliwości, tak pełnych adrenaliny, że mogli rozerwać własne mięśnie i wcale się tym nie przejąć, mógł wygrywać całe bitwy, ale gdy ci sami żołnierze zwijali się i łkali przez pięć minut po walce, szala zwycięstwa mogła się przechylić w drugą stronę. Technologia się nie sprawdziła, ale wciąż była dostępna. Oczywiście, jeśli miało się dość pieniędzy i przysług do wykorzystania oraz dojście do pozbawionych skrupułów naukowców. To było łatwe. Właściwie to była najłatwiejsza część planu.

Jej łkanie nasiliło się, zmieniło tonację. Zaczęły się wymioty. Z doświadczenia wiedziała, że nie potrwają długo. Między poszczególnymi atakami przyglądała się, jak unosi się klatka piersiowa powalonego goryla, usiłował wciągnąć powietrze przez zmiażdżone gardło, ale było już po nim. Powietrze wypełniał gęsty smród krwi i wymiocin. Melba złapała oddech i przetarła usta wierzchem dłoni. Bolały ją zatoki i nie była pewna, czy to efekt wymiotów, czy fałszywych gruczołów ukrytych w miękkim ciele. To nie miało znaczenia.

Pukanie do drzwi robiło się coraz bardziej energiczne. Słyszała dobiegający zza nich głos grubasa. Skończył się czas. Wzięła z biurka plastikową kopertę i schowała ją do kieszeni. Melba Alzbeta Koh precyzyjnie się przez okno i zeskoczyła na ulicę. Śmierdziała, miała krew na rękach. Trzęsa się przy każdym kroku. Słabe światło słońca boleśnie ją oślepiało i musiała je osłonić dłonią. W tej części Baltimore mogły ją zobaczyć tysiące ludzi, niczego jednocześnie nie zauważając. Tarcza anonimowości zapewniana przez handlarzy prochami, niewolnikami i alfonsów chroniła także i ją.

Wszystko będzie dobrze. Udało jej się. Miała wreszcie ostatnie narzędzie i zostało jej tylko dostać się do hotelu, wypić coś, by przywrócić prawidłowy poziom elektrolitów i trochę się przespać. A potem, za kilka dni, zgłosi się na służbę na *Cerisiera* i rozpocznie długi lot na skraj Układu Słonecznego. Szła ulicą wyprostowana, unikając spoglądania ludziom w oczy. Kilkanaście przecznic do jej hotelu wydawało się olbrzymią odległością. Ale da radę. Zrobi wszystko, co będzie potrzebne.

Była Clarissą Melpomene Mao. Jej rodzina kontrolowała los miast, kolonii i planet. Teraz jej ojciec siedział w anonimowym więzieniu i nie wolno mu było rozmawiać z nikim oprócz adwokata, przeżywał resztę swoich dni w niełasce. Jej matka mieszkała w prywatnym osiedlu na Lunie, powoli doprowadzając się do śmierci prochami. Rodzeństwo – przynajmniej ci, którzy jeszcze żyli – rozproszyło się do swoich kryjówek, chroniąc się przed nienawiścią dwóch światów. Kiedyś nazwisko jej rodziny pisano światłem gwiazd i krwią, teraz zrobiono z nich przestępców. Zostali zniszczeni.

Ona to naprawi. Nie było łatwo, a będzie jeszcze gorzej. W niektóre noce poświęcenie wydawało się prawie nie do zniesienia, ale robi to. Mogła sprawić, żeby wszyscy zobaczyli, jak niesprawiedliwy los zgotował jej rodzinie James Holden. Ujawni go. Upokorzy.

A potem go zniszczy.

# Rozdział czwarty

## *Anna*

Kiedy przyszedł damski bokser, Annuszka Wołowodow (pastor Anna – dla jej zgromadzenia na Europie, oraz wielebna doktor Wołowodow – dla ludzi, których nie lubiła), siedziała na wysokim skórzanym fotelu w swoim biurze.

– Nicholas – przywitała go, starając się tchnąć w swój głos jak najwięcej ciepła. – Dziękuję, że poświęciłeś mi swój czas.

– Nick – powiedział i usiadł na jednym z metalowych krzeseł stojących przed biurkiem.

Krzesła były niższe od jej fotela, co nadawało pomieszczeniu wrażenie sali sądowej, z Anną jako sędzią. Dlatego właśnie nigdy nie siedziała za biurkiem, spotykając się ze swoimi parafianami. Przy jednej ze ścian stała wygodna kanapa, znacznie bardziej nadająca się do osobistych rozmów i udzielania porad. Czasami jednak przydawało się poczucie autorytetu nadawane jej przez wielki fotel i masywne biurko.

Tak jak teraz.

– Nick – powtórzyła, a potem złożyła czubki palców i oparła na nich podbródek. – Dziś rano przyszła do mnie Sophia.

Nick wzruszył ramionami, odwracając wzrok jak uczeń przyłapany na ściąganiu. Był wysokim mężczyzną z chudym, surowym wyglądem mieszkańców planet zewnętrznych, ciężko pracujących fizycznie. Anna wiedziała, że pracuje przy konstrukcjach powierzchniowych, a tu, na Europie, oznaczało to długie dni spędzane

w ciężkich skafandrach próżniowych. Wykonujący tę pracę ludzie byli niezwykle twardzi. Nick emanował aurą człowieka zdającego sobie sprawę ze swojego wyglądu i przywykłego do zastraszania innych.

Anna uśmiechnęła się do niego. *Na mnie to nie działa.*

– Z początku nie chciała powiedzieć, co się stało – wyznała. – Musiałam długo nakłaniać ją do uniesienia koszuli. Choć nie musiałam widzieć siniaków i tak wiedziałam, że tam będą. Ale potrzebowałam zdjęć.

Kiedy powiedziała *zdjęć*, nachylił się do przodu, mrużąc oczy i lekko przechylił głowę w bok. Prawdopodobnie sądził, że przez to wyglądał groźniej, ale nadało mu to tylko wygląd gryzonia.

– Upadła... – zaczął.

– W kuchni – dokończyła za niego Anna. – Wiem, mówiła mi. A potem bardzo długo płakała. I w końcu wyznała, że znowu zacząłeś ją bić. Rozmawialiśmy już o tym, co się stanie, jeśli znowu ją uderzysz, pamiętasz?

Nick poprawił się na krześle z nerwową energią, poruszając przed sobą długimi nogami. Ścisnął duże, kościste dłonie, aż kostki zrobiły się białe. Nie chciał jej spojrzeć prosto w oczy.

– Nie chciałem tego – powiedział. – To się samo stało. Chyba mogę znowu spróbować doradztwa.

Anna odchrząknęła, a kiedy wreszcie na nią spojrzął, przyglądała mu się tak długo, aż przestał ruszać nogami.

– Nie, na to już za późno. Zapewniliśmy ci pomoc w radzeniu sobie ze złością. Kościół zapłacił za doradztwo, na które chodziłeś, aż sam zrezygnowałeś. To już przerabialiśmy i nie ma powrotu.

Przybrał hardy wyraz twarzy.

– Poczęstuje mnie pani jedną z tych przemów o Jezusie? Mam już potąd – Nick przystawił dłoń do szyi – takich gadek. Sophia nie chce się zamknąć, ciągle o tym gada. „Pastor Anna mówi!”. Wie pani co? Pieprzyć, co mówi pieprzona pastor Anna.

– Nie – odpowiedziała Anna. – Żadnych przemów o Jezusie. Z tym też już skończyliśmy.

– To co tu robimy?

– Czy pamiętasz – powiedziała, przeciągając słowa – co

powiedziałam, że się stanie, jeśli jeszcze raz ją uderzysz?

Znowu wzruszył ramionami, a potem odepchnął się od krzesła i wstał, odwracając się od niej. Stał pod ścianą i odezwał się, udając, że patrzy na jeden z zawieszonych tam dyplomów.

– Dlaczego miałyby mnie obchodzić, co pani mówi, *pastor Anno*?

Anna cicho odetchnęła z ulgą. Przygotowując się do tego spotkania, nie była pewna, czy będzie w stanie zrobić to, co konieczne. Odczuwała głęboką, organiczną wręcz odrazę do nieszczerości, a właśnie miała kogoś zniszczyć kłamstwem. A jeśli nie kłamstwem, to przynajmniej podstępem. Usprawiedliwiała się przed sobą, wierząc, że faktycznym celem jej działań było uratowanie kogoś, ale wiedziała, że to nie wystarczy. Za to, co zamierzała zrobić, zapłaci wieloma bezsennymi nocami i długim gdybaniem. Przynajmniej jego złość w jakimś sensie jej pomoże, chociaż na krótką metę.

Anna odmówiła szybką modlitwę: proszę pomóż mi uratować Sophię przed tym mężczyzną, który ją zabije, jeśli go nie powstrzymam.

– Powiedziałam – Anna odpowiedziała do jego pleców – że dopilnuję, żebyś trafił za to do więzienia.

Po tych słowach Nick odwrócił się, znowu z wyrazem szczurzej chytrychoci na twarzy.

– Czyżby?

– Tak.

Ruszył ku niej w dostosowanej do niskiego ciężenia wersji groźnego kroku. Miał wyglądać niebezpiecznie, ale dla dorastającej na Ziemi Anny wyglądało to po prostu głupio. Zdusiła śmiech.

– Sophia nie powie ani słowa – rzucił Nick, podchodząc do jej biurka, by popatrzeć na nią groźnie. – Ma dość rozumu. Wywróciła się w kuchni i dokładnie tak powie śledczym.

– To prawda – stwierdziła Anna, po czym otworzyła szufladę biurka i wyciągnęła z niej taser. Trzymała go na podolku tak, że Nick go nie widział. – Ona się ciebie bardzo boi. Ale ja nie, i wcale nie chcę się już tobą przejmować.

– Doprawdy? – rzucił Nick, nachylając się i próbując ją przestraszyć, naruszając jej osobistą przestrzeń.



Anna nachyliła się ku niemu.

– Jednak Sophia jest członkiem tego zgromadzenia i jest moją przyjaciółką. Jej dzieci bawią się z moją córką. Kocham je. A jeśli czegoś nie zrobię, ty ją w końcu zabijesz.

– Na przykład czego?

– Zadzwoń na policję i powiem im, że mi groziłeś. – Lewą ręką sięgnęła do biurkowego terminala. Ten gest miał go sprowokować. Równie dobrze mogła powiedzieć *powstrzymaj mnie*.

Posłał jej dziki uśmiech i chwycił jej rękę, ściskając kości nadgarstka tak mocno, że poczuła ból. Dość mocno, by zostawić ślad. Drugą ręką skierowała w niego taser.

– Co to?

– Dziękuję – powiedziała – za ułatwienie mi tego.

Strzeliła, a on opadł na ziemię w drgawkach. Poczuła lekkie echo wstrząsu przez jego dłoń na swojej ręce. Zjeżyły jej się od tego włosy. Włączyła biurkowy terminal i zadzwoniła do Sophii.

– Sophia, skarbie, mówi pastor Anna. Posłuchaj mnie, proszę. Policja niedługo przyjdzie do ciebie rozmawiać na temat Nicka. Musisz im pokazać siniaki i powiedzieć, co się stało. Nick będzie już wtedy w więzieniu, będziesz bezpieczna. Ale Nick mnie zaatakował, gdy spytałam go o to, co ci się stało, i jeśli chcesz, żebyśmy obie były bezpieczne, musisz im powiedzieć prawdę.

Po kilku minutach rozmowy zdołała w końcu przekonać Sophię, że porozmawia z policją, gdy do niej przyjdą. Nick zaczął słabo ruszać rękami i nogami.

– Nie ruszaj się – rzuciła Anna ostrzegawczo. – Niedługo będzie po wszystkim.

Zadzwoń na komisariat policji Nowego Dolińska. Mająca kiedyś kontrakt ziemską korporacja odeszła, ale w tunelach wciąż była policja, więc ktoś przejął ich zadania. Może firma z Pasa albo sam SPZ. To nie miało znaczenia.

– Dzień dobry, z tej strony wielebna doktor Annuszka Wołowodow. Jestem pastorem Zjednoczonego Zgromadzenia Świętego Jana. Chciałabym zgłosić napad. Niejaki Nicholas Turbaczew próbował mnie zaatakować, gdy rozmawiałam z nim na temat pobicia jego

żony. Nie, nie skrzywdził mnie, mam tylko siniaki na ręce. Miałam w biurku taser i użyłam go, zanim zdążył zrobić coś gorszego. Tak, z przyjemnością złożę zeznania, kiedy przyjdziecie. Dziękuję.

– Suka – rzucił Nick jadownicę, próbując chwiejnie wstać.

Anna znowu do niego strzeliła.

\* \* \*

– Ciężki dzień? – zapytała Nono, gdy Anna w końcu wróciła do domu. Kołysała ich córkę na kolanie, a mała Nami pisnęła radośnie i sięgnęła do Anny, gdy tylko zamknęły się za nią drzwi.

– Jak się ma moja dziewczynka? – przywitała ją Anna i usiadła na kanapie obok nich, wzdychając ciężko.

Nono podała jej malucha, a Nami natychmiast zajęła się rozplataniem jej warkocza i próbami wyciągnięcia z niego włosów. Anna przytuliła córkę i głęboko wciągnęła zapach jej włosów. Delikatny i potężny aromat, który poznała, gdy sprowadziły Nami do domu, osłabł, ale wciąż potrafiła wyczuć jego ślad. Naukowcy mogli sobie twierdzić, że ludzie nie potrafili wymieniać informacji na poziomie feromonów, Anna wiedziała, że to bzdury. Niezależnie od tego, jakie chemikalia Nami wysyłała jako noworodek, były one najsilniejszym narkotykiem, z jakim zetknęła się Anna. Czasami miała ochotę urodzić jeszcze jedno dziecko tylko po to, żeby znowu je poczuć.

– Żadnego ciągnięcia za włosy, Namono – powiedziała Nono, próbując wyplątać długie, rude włosy Anny z piąstki malucha. – Nie chcesz o tym rozmawiać? – zwróciła się do Anny.

Pełne imię Nono także brzmiało Namono, ale stała się Nono, od kiedy tylko jej starsza bliźniaczka nauczyła się mówić. Kiedy Anna i Nono nazwały po niej swoją córkę, imię w jakiś sposób przekształciło się w Nami. Większość ludzi prawdopodobnie nie miała pojęcia, że mała została nazwana po jednej ze swoich matek.

– W końcu opowiem – stwierdziła Anna. – Ale najpierw potrzebuję czasu z małą.

Pocałowała Nami w jej zadarty noseć. Był równie szeroki i płaski jak u Nono i mieścił się tuż pod jasnozielonymi oczami Anny. Miała skórę koloru kawy z mlekiem po Nono, ale ostry podbródek Anny. Anna mogła godzinami siedzieć i przyglądać się Nami, wchłaniając zdumiewające połączenie jej i ukochanej kobiety. Doświadczenie było tak potężne, że graniczyło z cudem. Nami wsadziła sobie lok włosów Anny do buzi, więc Anna delikatnie wyciągnęła je z powrotem, a potem posłała jej całusa.

– Nie wolno jeść włosów! – powiedziała, a Nami roześmiała się jakby była to najśmieszniejsza rzecz na świecie.

Nono ujęła dłoń Anny i mocno ścisnęła. Siedziały tak bardzo długo.

\* \* \*

Nono gotowała ryż z grzybami. Dodała do potrawy trochę odtworzonej cebuli i kuchnię wypełnił jej silny zapach. Anna kroїła jabłka do sałatki. Były małe i niezbyt świeże, nie za bardzo nadawały się do chrupania, ale były w sam raz do sałatki Waldorf, gdzie inne smaki i tekstury ukryją ich niedoskonałość. I poszcęściło im się, że je miały. Owoce pochodziły z pierwszego zbioru, jaki dotarł tu z Ganimeda po tamtejszych niepokojach. Anna nie chciała nawet myśleć o tym, jak bardzo wszyscy byliby głodni, gdyby nie wyjątkowa szybkość odbudowy upraw na księżycu.

– Nami będzie spać jeszcze przynajmniej przez godzinę – stwierdziła Nono. – Jesteś już gotowa porozmawiać o swoim dniu?

– Skrzywdziłam kogoś i skłamałam dzisiaj policji – wyznała Anna. Zbyt mocno nacisnęła przy tym nóż, który przeciął miękkie jabłko i dotarł do jej kciuka. Na szczęście skaleczenie nie było dość głębokie, by krwawić.

– No... tak, będziesz musiała mi to wyjaśnić – powiedziała Nono, dodając z rondelka bulion do mieszanki ryżu z grzybami.

– Nie, nie mogę. Część z tego, co wiem, powiedziano mi w tajemnicy.

– Czy to kłamstwo powiedziałaś, żeby komuś pomóc?

– Tak sądzę. Taką mam nadzieję – odpowiedziała Anna, wrzucając

do miski ostatnie kawałki jabłka, a potem dodając orzechy i rodzynki. Wymieszała sos.

Nono znieruchomiła i obróciła się, patrząc na nią.

– A co zrobisz, jeśli zostaniesz przyłapana na kłamstwie?

– Przepraszę – przyznała Anna.

Nono kiwnęła głową, a potem odwróciła się z powrotem do garnka z ryżem.

– Włączyłam dzisiaj twój terminal biurkowy, żeby sprawdzić pocztę. Nie wylogowałaś się. Jest tam wiadomość od Organizacji Narodów Zjednoczonych w sprawie projektu sekretarza generalnego, dotycząca komitetu humanitarnego. Tych wszystkich ludzi, których wysyłają do Pierścienia.

Anna poczuła ostre szarpnięcie poczucia winy. Przyłapania jej na czymś.

– Cholera – rzuciła. Nie lubiła przeklinania, ale czasami inaczej się nie dało. – Jeszcze nie odpowiedziałam. – Poczowała się jakby znowu skłamała.

– Miałyśmy o tym porozmawiać, zanim podejmiesz decyzję?

– Oczywiście, ja...

– Nami ma już prawie dwa lata – powiedziała Nono. – Tyle też tutaj jesteśmy. Przyjdzie taki moment, że podjęcie decyzji o zostaniu będzie decyzją o tym, kim Nami zostanie na resztę życia. W Rosji i Ugandzie ma rodzinę, która nigdy jej jeszcze nie widziała, a jeśli zostanie tu jeszcze trochę, to już nigdy się nie spotkają.

Nami dostawała taki sam koktajl leków, jak wszystkie noworodki na planetach zewnętrznych. Leki wspomagały wzrost kości i zwalczały najgorsze z efektów dorastania w środowisku z niskim ciążeniem na rozwój dziecka. Ale Nono miała rację, jeśli zostaną tu jeszcze trochę, sylwetka Nami zacznie się dostosowywać do życia w niskim ciążeniu, dziewczynka będzie wysoka i szczupła. Anna skaże ją na wieczne życie poza rodzimą planetą.

– Europa zawsze miała być tymczasową pozycją – powiedziała. – To dobre miejsce. Znam rosyjski, a miejscowe zgromadzenie jest małe i bardzo delikatne...

Nono wyłączyła kuchenkę i podeszła, siadając obok niej i trzymając

jej dłoń na stole. Anna po raz pierwszy uznała, że blat ze sztucznego drewna wygląda tanio. Lepko. Z przerażającą jasnością dojrzała przyszłość, w której Nami nigdy nie zamieszka w miejscu z prawdziwym drewnem. Poczuła się, jakby ktoś uderzył ją w brzuch.

– Nie złość się na ciebie za przyłot tutaj – zapewniła Nono. – To było nasze marzenie: przybywanie do miejsc takich, jak to. Ale kiedy poprosiłaś o przeniesienie tutaj, byłaś w trzecim miesiącu ciąży.

– Szansa na to, że zostanę wybrana, była tak niewielka – odpowiedziała Anna i sama słyszała obronny ton swojego głosu.

Nono przytaknęła.

– A jednak *zostałaś* wybrana. A teraz to coś dla ONZ. Lot do Pierścienia w ramach grupy doradczej sekretarza generalnego. A nasze dziecko nie ma nawet dwóch lat.

– Wydaje mi się, że mają chyba setkę kandydatów na to miejsce – zauważyła Anna.

– Ale wybrali ciebie. Chcą, żebyś ty poleciała.

– To było tak mało prawdopodobne... – zaczęła Anna.

– Zawsze wybierają ciebie – przerwała jej Nono. – Bo jesteś wyjątkowa. Wszyscy to widzą. Ja to widzę. Zobaczyłam to, gdy tylko pierwszy raz cię spotkałam, kiedy przemawiałaś na konferencji wiary w Ugandzie. Byłaś tak zdenerwowana, że upuściłaś notatki, ale w tamtej sali dałoby się usłyszeć każdą muchę. Błyszcziałaś.

– Wykrałam cię z twojego kraju – zauważyła Anna. Zawsze to mówiła, gdy Nono przywoływała ich pierwsze spotkanie. – Kościół w Ugandzie skorzystałby, mając tak młodą pastorkę, jak ty.

– To ja ukrałam ciebie – powiedziała Nono jak zawsze, tylko tym razem brzmiało to niepokojąco rytualnie. Jakby było to elementem irytującego zwyczaju, który należy jak najszybciej zakończyć. – Ale ty zawsze mówisz to samo. „Było tyle innych osób. Szansa na to, że mnie wybiorą, była tak niewielka”.

– Bo to prawda.

– To twoja wymówka. Zawsze należałaś do tych, którzy wolą prosić o wybaczenie, zamiast o zgodę.

– Nie polecę – oświadczyła Anna, przyciskając dłonie do oczu, tamując zbierające się tam łzy. Łokciem uderzyła o miskę z sałatką,

prawie zrzucając ją ze stołu. – Nie wysłałam im potwierdzenia. Napiszę, że to była pomyłka.

– Annuszka – odpowiedziała Nono, ściskając jej rękę. – *Polecisz*. Ale ja zabiorę Nami do Moskwy. Może poznać dziadków i dorastać w prawdziwym ciężeniu.

Anna poczuła w żołądku ogniste ukłucie strachu.

– Opuszczasz mnie?

Uśmiech Nono był mieszanką irytacji i miłości.

– Nie. To *ty* opuszczasz nas. Na trochę. A kiedy wrócisz, będziemy na ciebie czekać w Moskwie. Twoja rodzina. Znajdę nam tam miłe miejsce do mieszkania i razem z Nami zrobimy z niego dom. Miejsce, w którym będziemy szczęśliwe. Ale nie polecimy z tobą.

– Dlaczego? – To było jedyne, co przyszło Annie do głowy.

Nono wstała i wyjęła z szafki dwa talerze, nałożyła na nie potrawę i postawiła talerze na stole.

– Bardzo się boję tego czegoś – wyznała, nakładając sałatkę z miski.

– Tego czegoś z Wenus. Boję się tego, co będzie oznaczać dla wszystkiego, co jest dla nas ważne. Dla ludzkości, Boga i naszego miejsca w Jego wszechświecie. Oczywiście, boję się tego, co zrobi, ale znacznie bardziej boję się tego, co to *oznacza*.

– Ja też – przyznała Anna.

Co było prawdą. Właściwie było to jednym z powodów, dla których poprosiła o dołączenie do ekspedycji, gdy tylko usłyszała, że jest organizowana. Odczuwała ten sam lęk, o którym mówiła Nono. Anna chciała mu spojrzeć w twarz. Dać Bogu szansę, by pomógł jej go zrozumieć. Dopiero wtedy będzie mogła pomóc innym sobie z nim radzić.

– W takim razie idź szukać odpowiedzi – stwierdziła Nono. – Kiedy wrócisz, rodzina będzie na ciebie czekać.

– Dziękuję – odpowiedziała Anna, zachwycona tym, co oferowała jej Nono.

– Sądzę – Nono odezwała się z ustami częściowo pełnymi grzybów i ryżu – że może będą tam potrzebować ludzi takich jak ty.

– Jak ja?

– Ludzi, którzy nie pytają o pozwolenie.

# Rozdział piąty

## *Byk*

– Nie ma tego w budżecie – powiedziała Michio Pa, pierwszy oficer *Behemota*.

Gdyby była Ziemią, byłaby drobną kobietą, ale życie spędzone w nieważkości zmieniło ją tak, jak wszystkich. Jej ręce, nogi i kręgosłup były trochę wydłużone, choć niezupełnie chude. Po prostu nieco inaczej zbudowane. Głowę miała większą niż Ziemi, a idąc w umiarkowanej jednej trzeciej g ciężenia ciągu, była równie wysoka jak Byk, choć wydawała się perwersyjnie dziecinna. Czuł się przy niej niższy niż naprawdę był.

– Może trzeba będzie to zmienić – stwierdził. – Kiedy montowali działą szynowe, traktowali je tak, jakbyśmy mieli standardowe ścianki i wsporniki. Problem w tym, że mormoni robili wszystko, by zmniejszyć masę, więc użyli mnóstwa ceramiki i krzemianów tam, gdzie zwykle daje się metal. Kwestia kierunków obciążenia. Jeśli teraz wystrzelimy pocisk, możemy oderwać powłokę.

Pa maszerowała długim, zakrzywionym korytarzem. Sufit zakrzywiał się nad nią, biały i umieszczony dwukrotnie wyżej niż potrzeba, co było estetycznym gestem projektantów niezdających sobie sprawy, że tworzą okręt wojenny. Robiła dłuższe kroki niż on, poruszając się nieco swobodniej w niskim ciężeniu i zmuszając go do podbiegania, żeby nadążyć. Był to jeden z tysiąca drobnych sposobów, w jaki Pasiarze przypominali urodzonym na Ziemi, że nie należą do tego miejsca. Pierwsza pokręciła głową.

– Trafiliśmy tu z planem operacyjnym – powiedziała. – Jeśli zaczniemy go zmieniać za każdym razem, gdy znajdziemy modyfikację, która by nam pasowała, równie dobrze możemy sobie w ogóle odpuścić wyprawę.

Prywatnie Byk uważał tak samo, ale z inaczej położonym akcentem. Gdyby to on był pierwszym, plan operacyjny zostałby nazwany *sugerowanymi wytycznymi* i otwierałby go tylko, gdyby chciał się pośmiać. A Pa zapewne dobrze o tym wiedziała. Dotarli do rampy tranzytowej, łagodnie wznoszącej się krzywizny prowadzącej z poziomów dowodzenia na dziobie *Behemota* w dół, do potężnego cylindra korpusu. Z miejsca, które było dziedziną Pa, w miejsce, które było jego królestwem.

– Słuchaj – rzuciła Pa, wykrzywiając usta w łagodnym uśmiechu – zapiszę uwagę o potrzebie przeróbki, ale nie zacznę zmieniać przydziałów, dopóki nie będę miała szerszego obrazu. No wiesz, jeśli zacznę ściągać zasoby z kontroli środowiska, żeby coś z tym zrobić, a w przyszłym tygodniu trafimy na coś, co trzeba będzie tam zrobić, to tylko z powrotem je zabiorę, prawda?

Byk spojrział w dół rampy. Łagodne światła osadzone w ścianach napełniały powietrze blaskiem bez cieni, niczym w taniej wizji niebios. Pa położyła dłoń na jego ramieniu. Prawdopodobnie miał to być wyraz współczucia, ale odebrał ten gest jako protekcyjny.

– No dobra – rzucił.

– Wszystko będzie w porządku, szefie – powiedziała, ściskając lekko jego ramię.

Kiwnął głową i pomaszerował rampą w stronę platformy transferowej. Odgłosy jej kroków zniknęły za jego plecami, gubiąc się w szumie wymienników powietrza. Byk stłumił chęć splunięcia.

*Behemot*, jeszcze w czasach, gdy był *Nauvoo*, został zbudowany z myślą o innym życiu. Większość statków budowanych do lotów międzyplanetarnych przypominała olbrzymie budynki, z piętrami jedno nad drugim i ciągiem umieszczonego na dole silnika Epsteina, zapewniającym złudzenie wagi na całą podróż, poza kilkoma godzinami w połowie drogi, gdy statek obracał się, przechodząc z przyśpieszania na hamowanie. Jednak nawet z silnikiem Epsteina



żaden statek nie mógł zaspokoić potrzeb energetycznych nieskończonego przyśpieszania ani poradzić sobie z generowanym przez nie ciepłem. Na dodatek Einstein miał też coś do powiedzenia na temat poruszania masy z prędkościami relatywistycznymi. *Nauvo* był statkiem pokoleniowym, a jego trasę mierzono w latach świetlnych, nie minutach. Ułamek życia, jaki mógł spędzić na przyśpieszaniu, był w porównaniu z całym lotem bardzo niewielki. Centrum dowodzenia na dziobie statku, główne silniki oraz powiązane z nimi elementy inżynieryjne na rufie mogły prawie należeć do standardowego statku, połączonego dwoma kilkukilometrowymi tunelami – jednym na windę stępkową służącą do przewożenia ludzi i drugim zapewniającym dostęp do powierzchni bębna.

Wszystko inne zbudowano z myślą o obrotach.

W ciągu stuleci lotu do Tau Ceti korpus *Nauvo* miał się obracać. Dziesięć poziomów sprzętu środowiskowego, pomieszczenia załogi, świątynie, szkoły, oczyszczalnie ścieków, warsztaty i kuźnie, a w samym środku olbrzymie wnętrze. Wyglądałoby to jak kawałek Ziemi, który zwinął się do środka. Gleba, pola uprawne i złudzenie otwartego powietrza z centralnym rdzeniem rozświetlonym fuzją i żarem tak łagodnym i ciepłym, jak letni dzień.

Wszystkie pokoje i korytarze w korpusie – czyli w przeważającej większości statku – zbudowano z myślą o tym długim, powolnym i wielowiekowym locie. Krótkie okresy przyśpieszania i hamowania na początku i końcu podróży nie miały wielkiego znaczenia. Ale teraz statek musiał się liczyć tylko z nimi. Miejsca, które powinny być ścianami, stały się podłogami, i zostanie tak już na zawsze. Olbrzymie wzmocnione pokłady, które miały utrzymywać warstwę gleby, stały się bokami praktycznie nienadającej się do użytku studni. Ktoś, kto potknąłby się w miejscu, gdzie poziomy dowodzenia stykały się z wielką komorą, mógłby spadać przez prawie dwa kilometry. Systemy hydrauliczne zaprojektowane do wykorzystania ciężenia wirowego i siły Coriolisa stały bezużyteczne na bokach. *Nauvo* był cudem ludzkiego optymizmu i inżynierii, produktem wiary w połączoną moc Boga i starannej produkcji. *Behemot* był odzyskanym złomem z

przyczepionymi do boków działami, które mogły mu zaszkodzić bardziej niż wrogowi.

A Bykowi nie pozwalano nawet rozwiązać problemów, o których istnieniu wiedział.

Przeszedł przez stację transferową i udał się w dół, do swojego biura. Pokoje i korytarze w tej części zbudowano skośnie, z myślą o ciężeniu wirowym, które miało nigdy nie nadejść. Połacie nagiego metalu i odsłoniętych przewodów świadczyły o pośpiesznym wykańczaniu, a potem odzysku i przeróbce. Samo chodzenie nimi wywoływało u Byka depresję.

W przedpokoju czekała na niego Samara Rosenberg, wieloletnia ekspertka od napraw na stacji Tycho, a teraz główna inżynier *Behemota*. Rozmawiała właśnie z nowym zastępcą Byka. Miał na imię Serge, a Byk nie był pewien, co o nim myśleć. Serge był w SPZ jeszcze w czasach, gdy nie było to zbyt bezpieczne. Na szyi dumnie nosił wytatuowany tradycyjny symbol rozerwanego kręgu, ale podobnie jak reszta ochrony został zatrudniony przez Michio Pa i Byk nie wiedział do końca, na czym stoi, jeśli o niego chodzi. Jeszcze mu nie ufał, a brak zaufania powstrzymywał go przed wyrobieniem sobie dobrego zdania na jego temat.

Z drugiej strony bardzo lubił Sam.

- Cześć, Byku – przywitała go, gdy tylko opadł na piankową kanapę.
- Rozmawiałaś z pierwszą?
- Rozmawialiśmy – potwierdził Byk.
- Jaki mamy plan? – zapytała Sam, składając ręce w sposób sugerujący, że już się domyśliła.

Byk przeczesał włosy palcami. Kiedy był młodszy, jego włosy były miękkie, a teraz miał wrażenie, że czuje każdy włoszek ocierający się o czubki palców. Wyciągnął swój ręczny terminal i przewinął ekran. Czekają na niego pięć raportów: trzy rutynowe, dotyczące zabezpieczeń, i dwa ze zdarzeń – raport z wypadu i zgłoszenie kradzieży. Nic, co nie mogło poczekać.

- Hej, Serge – odezwał się Byk. – Utrzymasz fort przez godzinę?
- Co tylko chcesz, szefie – odpowiedział zapytany z uśmiechem.

Prawdopodobnie tylko paranoja sprawiła, że Byk usłyszał w jego

słowach pogardę.

– No dobrze. Chodź, Sam, podstawię ci drinka.

W dawnych czasach na statku koalicji, gdy istniała Koalicja Ziemska-Marsjańska, byłaby kantyna. Na okręcie SPZ był bar i kilka rodzinnych restauracyjek serwujących podstawowe, przygotowane wstępnie racje żywnościowe, o które wystarczyło poprosić. Bar znajdował się w rozległej przestrzeni, która mogła w zamierzeniu służyć za salę gimnastyczną albo boisko i mogła się tam swobodnie zmieścić setka ludzi, ale Byk jeszcze nigdy nie widział tam więcej niż parę dziesiątek. Oświetlenie przerobiono na białe i niebieskie diody osłonięte plastikiem o strukturze piasku. Stoły były gładkie, czarne i namagnesowane, żeby utrzymywać na sobie bańki z piwem i alkoholem. Niczego tu nie podawano w szklankach.

– Che-che! – zawołał barman, gdy tylko Byk z Sam przeszli przez drzwi. – Morgen! Alles-mesa, wy.

– Mech-ya – odpowiedziała Sam, posługując się pomieszaną gwarą Pasa równie swobodnie, jak Byk hiszpańskim czy angielskim. To był jej rodzimy język.

– Czego się napijesz? – zapytał Byk, siadając przy stoliku. Lubił miejsca, z których mógł widzieć drzwi. Stary nawyk.

– Jestem na służbie – odparła, zajmując miejsce naprzeciw.

Byk nachylił się, ściągając uwagę barmana i podniósł do góry dwa palce.

– Lemoniady – poprosił.

– Sa sa! – odpowiedział barman, unosząc pięść w odpowiedniku przytaknięcia.

Byk cofnął się na oparcie i popatrzył na Sam. Miała krótkie włosy. Była bardzo ładną kobietą. Uroczą i skorą do uśmiechu. Kiedy Byk zobaczył ją po raz pierwszy, przez jakąś minutę poważnie się zastanawiał, czy uważa ją za atrakcyjną. Jednak jeśli nawet zobaczył, że kalkulowała podobnie na jego temat, ten etap mieli za sobą.

– Nie poszło najlepiej? – zapytała Sam.

– Nie.

Uniosła brwi i oparła się łokciami o stół. Zrelacjonował zastrzeżenia Pa wraz z jej uzasadnieniem, a wyraz twarzy Sam powoli przeszedł w

pełne fatalizmu rozbawienie.

– Czekanie na przeróbki jest dobrym pomysłem – skomentowała, gdy skończył – ale jeśli spróbujemy oddać testowy strzał z tej pukawki, zrobimy sobie bardzo duże kuku.

– Jesteś tego pewna?

– Nie na sto procent – przyznała. – Ale na solidne osiemdziesiąt.

Byk rzucił przekleństwo, a chwilę później barman przyniósł dwie bańki lemoniady. Miały wielkość zaciśniętej pięści Byka, były cytrynowożółte, a na bokach mienił się jaskrawą czerwienią napis [Плодоовощ малыша потехи.

– Może powinnam z nią pogadać – zasugerowała Sam. – Jeśli usłyszysz to bezpośrednio ode mnie...

– Jeśli usłyszysz to prosto od ciebie, to pewnie posłucha – przyznał – a potem będą mi już wszystkiego odmawiać. Byk prosił? No cóż, gdyby to było ważne, przysłałby Pasiarza. Prawda?

– Naprawdę uważasz, że chodzi o miejsce urodzenia?

– Owszem.

– No... cóż, pewnie masz rację – przyznała Sam. – Przepraszam.

– Nie twoja wina – rzucił Byk, udając, że mu to nie przeszkadza.

Sam wzięła lemoniadę ze stołu i napiła się w zamyśleniu. Bańka kliknęła, gdy po odstawieniu magnes z powrotem przyczepił się do blatu.

– Nie mam nic przeciwko wewnętrznym. Często z wami pracowałam i odsetek dupków nie był większy niż w przypadku Pasiarzy. Tylko że musimy doprowadzić do wzmocnienia osad dział szynowych. Jeśli tylko jest jakiś sposób na zrobienie tego bez naruszania twojego autorytetu, to jestem otwarta.

– Ale jeśli musisz wybierać mnie albo uszkodzenie statku – dokończył Byk, kiwając głową. – Daj mi jeszcze trochę czasu. Coś wymyślę.

– Zaczynaj od chwili, gdy będziesz chciał do kogoś strzelić, a potem odejmij osiemnaście dni – zasugerowała Sam. – Tyle potrzebuję. Nawet jeśli wszyscy będą trzeźwi i będą pracować na akord, moja załoga nie da rady zrobić tego szybciej.

– Coś wymyślę – powtórzył Byk.

\* \* \*

Zgłoszenie kradzieży okazało się wynikiem nieporozumień ekipy naprawczo-konserwacyjnej, która nie mogła dojść do porozumienia w sprawie sposobu przechowywania narzędzi. Raport z wypadku dotyczył chłopaka, który utknął między płytą pokładu a kierowanym przez kogoś mechem budowlanym. Chrząstka w kolanie została zgnieciona na kilkanaście kawałeczków. Według lekarza dużo lepsze byłoby proste, czyste złamanie. Chłopak będzie mógł chodzić, ale został zdjęty z aktywnej służby przynajmniej na miesiąc, kiedy to wszystkie kawałki będą sklejane z powrotem.

Raporty bezpieczeństwa były standardowe, co znaczyło, że wszystko szło bardzo dobrze albo że ktoś ukrywał problemy, choć to pierwsze było bardziej prawdopodobne. Lot do Pierścienia był kursem, na którym załoga miała się dopiero dotrzeć, a to zawsze oznaczało krótki okres spokoju, gdy cała załoga pracowała ramię w ramię. Wszyscy spodziewali się problemów, więc przez pewien czas morale nie podupadało.

Pozycja szefa ochrony na okręcie SPZ była dość nietypowym stanowiskiem: po części policjant, po części był to ekspert od wydajności, a w dużym stopniu – kwoka pilnująca tysiącosobowej załogi ze swoimi własnymi planami, drobnymi zmaganiem o władzę i prywatnymi opiniami na temat tego, jak powinien wykonywać swoją pracę, aby przynosiła lepsze efekty. Dobry szef ochrony po prostu na pełny etat pilnował, żeby kapitan nie musiał się zajmować bzdurami.

Jednak najgorsze było to, że formalne obowiązki Byka skupiały się na wydarzeniach wewnątrz statku. W tej chwili flotylla ziemskich jednostek leciała pełnym ciągiem w mrok. Na zbieżnym kursie sunęła równoważna grupa marsjańskich okrętów, pozostałości floty, która przeżyła dwa konflikty – „nie nazywajmy ich wojnami”. *Behemot* leciał ciężko w to samo miejsce, mając przewagę wynikającą z miejsca startu odleglejszego od Słońca, lecz był hamowany ograniczeniem niskiego ciążenia. Wszystko skupiało się na Pierścieniu.

Raporty lądowały w kolejce do kapitana Ashforda, były czytane

także przez jego pierwszą oficer, Pa. Bykowi przypadały rzucane mu przez nich ochłapy plus mieszanka domysłów i paniki, wypełniająca kanały wiadomości. Ashford i Pa większość część zmian będą spędzać na rozmowach, wypracowując strategie, opcje i ćwicząc scenariusze możliwego rozwoju sytuacji po dotarciu do Pierścienia. Byk miał się zajmować trywialnymi kwestiami, żeby oni nie musieli tego robić, a przy tym w jakiś sposób musiał dopilnować, by misja się powiodła. Bo poprosił go o to Fred.

– Hej, szefie – rzucił Serge.

Byk podniósł wzrok znad terminala przy biurku. Serge stał w drzwiach do biura.

– Koniec zmiany, wychodzę.

– Dobra – potwierdził Byk. – Ja tu jeszcze posiedzę, zamknę, kiedy skończę.

– Bien alles. – Serge podziękował, kiwając głową.

Szurając, przeszedł kawałek lekkimi krokami przez pomieszczenie. Na korytarzu Gutmansdottir pogłaskała swą białą brodę, a Casimir powiedział coś, od czego obaj zachichotali. Corin wyżej uniosła głowę na widok Serge'a. Zamknęły się za nim drzwi. Gdy Byk był pewien, że został sam, wywołał plan operacyjny i zaczął polowanie. Nie miał prawa go zmieniać, ale to nie znaczyło, że nie mógł niczego ruszyć.

Skończył dwie godziny później, wyłączył ekran i wstał. Biuro było ciemne i chłodniejsze, niż lubił. Jego nerwy koił szum systemu wentylacji. Gdyby było tu całkiem cicho, powinien zacząć się martwić. Przeciągnął się, a kręgi między łopatkami zachręściły jak żwir.

Pewnie nadal będą siedzieć w barze. Serge, Corin i Casimir. Macondo i Garza, tak do siebie podobni, że mogliby być braćmi. Jojo. Jego ludzie, do tego stopnia, do jakiego faktycznie byli jego. Powinien iść, usiąść z nimi. Zaprzyjaźnić się.

Powinien iść na swoją pryczę.

– Chodź, staruszkule – powiedział. – Czas trochę odpocząć.

Wyszedł z biura i zamknął za sobą drzwi, gdy z pamięci odezwał się głos Sam. *Nawet jeśli wszyscy będą trzeźwi i będą pracować na akord, moja załoga nie da rady zrobić tego szybciej.* Zawahał się z palcami nad klawiaturą. Było późno. Potrzebował jedzenia, snu i jakiejś

godziny na przejrzenie – zorganizowanego przez jednego z kuzynów wiele lat temu – agregatora wiadomości rodzinnych, dzięki któremu wszyscy mogli na bieżąco śledzić losy pozostałych. Czekał na niego pojemnik zamrożonego zielonego chili z Hatch na Ziemi. To wszystko będzie tu jeszcze rano, plus cały zestaw nowych spraw. Nie musiał sam sobie dokładać pracy. Nikt mu za to nie podziękuje.

Wrócił do środka, z powrotem włączył swoje biurko i jeszcze raz przeczytał raport z wypadku.

\* \* \*

Sam ładnie się śmiała. Jej śmiech pochodził z samego serca, wypełniając warsztaty, odbijając się od sufitu i ścian, aż można było mieć wrażenie, że jest ich tu przynajmniej kilkanaście. Dwóch techników z drugiej strony hali odwróciło się, by na nią popatrzeć z uśmiechem, choć nie znali powodu jej wesołości.

– Wsparcie techniczne? – powiedziała. – Chyba żartujesz.

– Działo szynowe to dość techniczny kawał sprzętu – zauważył Byk.

– Wymaga wsparcia.

– Czyli zmieniłeś definicję tego, co robię w ramach wsparcia technicznego.

– Dokładnie.

– To się nie uda.

– To szybko wykonaj robotę – zasugerował Byk.

– Ashford zrobi ci dyscyplinarkę – powiedziała z gasnącym, choć jeszcze nie do końca, rozbawieniem.

– Ma takie prawo. Ale jest jeszcze coś, o czym chciałem porozmawiać. Wczoraj wspomniałaś coś o tym, ile potrwałoby wykonanie tej roboty, gdyby wszyscy w ekipie byli trzeźwi?

Jakby nagle zgasło światło. Uśmiech zniknął z twarzy Sam, jakby nigdy go tam nie było. Złożyła ręce na piersi. W kącikach jej ust pojawiły się maleńkie zmarszczki w kształcie półksiężyców, nadając jej wygląd starszej, niż faktycznie była. Byk kiwnął głową, jakby coś powiedziała.

– Masz techników przychodzących do pracy pod wpływem – oświadczył.

– Czasami – przyznała. A potem, niechętnie dodała. – Czasem to alkohol, ale głównie magiczny pył, którym nadrabiają brak snu.

– Mam raport o chłopaku, który ma rozwalone kolano. Jego krew była czysta, ale wygląda na to, że nikt nie sprawdził gościa prowadzącego mecha. W raporcie nawet nie ma jego nazwiska. Dziwne, nie?

– Jeśli tak twierdzisz.

Byk popatrzył na swoje stopy. Na czarno-szare buty robocze. Na nieskazitelnie czystą podłogę.

– Potrzebuję nazwiska, Sam.

– Wiesz, że nie mogę tego zrobić – odpowiedziała. – Te dupki to moja ekipa. Jeśli stracę ich szacunek, nie będzie już o czym rozmawiać.

– Nie posadzę twoich ludzi, chyba że dilują.

– Nie możesz kazać mi wybierać stron. I przepraszam, że to mówię, ale i bez tego nie masz tu wielu przyjaciół. Powinieneś bardzo uważać, jak zrażasz do siebie ludzi.

Pracujący po drugiej stronie hangaru technicy dźwignęli uszkodzonego mecha na stalowe rusztowanie naprawcze. Dźwięki ich rozmowy były tylko odgłosami w tle, bez możliwości rozpoznania słów. Byk uznał, że skoro on ich nie słyszy, to oni nie mogli usłyszeć jego.

– Jasne. To jak, Sam?

– Byku.

– Muszę cię poprosić o wybranie strony.

Obserwował, jak się waha. Trwało to tylko kilka sekund. Potem popatrzył przez hangar. Technicy zaczęli rozbierać mecha, wyciągając z niego elektryczny silnik. Był mniejszy od sześciopaka z piwem i zapewniał dość momentu obrotowego, by rozerwać stal. Raczej nie było to coś, z czym należy się bawić po pijaku. Sam poszła za jego spojrzeniem i ciągiem myśli.

– Jak na faceta, który nagina tyle zasad, potrafisz być cholernie bezkompromisowy.



– Mocno wierzę w to, co trzeba zrobić.  
Musiał czekać jeszcze minutę, ale w końcu podała mu nazwisko.

# Rozdział szósty

## *Holden*

– Uran jest naprawdę bardzo daleko – skomentowała Naomi, idąc do hangaru. Była to już trzecia obiekcja zgłoszona przez nią do kontraktu, a coś w jej głosie sugerowało Holdenowi, że ma ich na liście dużo więcej. W innych warunkach uznaliby, że jest po prostu zła z powodu przyjęcia zlecenia. Była zła, ale nie *po prostu*.

– Tak – zgodził się. – To prawda.

– A Tytania to gówniany, mały księżyc z jedną maleńką stacją badawczą – kontynuowała Naomi.

– Tak.

– Moglibyśmy *kupić* Tytanię za to, co płacą nam za przelot tam – powiedziała.

Holden wzruszył ramionami. Ta część Ceres była labiryntem tanich tuneli magazynowych i jeszcze tańszej przestrzeni biurowej. Ściany miały białawy kolor natryskiwanej pianki izolacyjnej. Ktoś ze scyzorykiem i kilkoma wolnymi minutami mógłby się przez nią bez trudu dostać do skały Ceres, a sądząc po mizernym wyglądzie korytarza, było tu sporo ludzi z nożami i wolnym czasem.

Z przeciwka w ich stronę jechał mały wózek widłowy, jęcząc silnikiem elektrycznym i piszcząc ostrzegawczo. Holden odsunął się pod ścianę i pociągnął Naomi do siebie, żeby zeszła maszynie z drogi. Kierowca, przejeżdżając, lekko skinął Holdenowi głową w podziękowaniu.

– W takim razie dlaczego nas zatrudniają? – zapytała. Zażądała

odpowiedzi.

– Bo jesteśmy fantastyczni?

– Tytania ma ile, kilkaset osób żyjących w tej bazie naukowej? – spytała Naomi. – Wiesz, jak zwykle wysyłają im zaopatrzenie? Ładują je na jednorazową raketę hamującą i wystrzeliwiają w stronę orbity Urana działem szynowym.

– Zwykle – podkreślił Holden.

– A ta firma? Przewozy na obrzeża? Wiesz, jak nazwałabym tanią, jednorazową korporację, gdybym chciała ją utworzyć?

– Przewozy na obrzeża?

– Przewozy na obrzeża – potwierdziła.

Naomi zatrzymała się przy włączniku prowadzącym do wynajętego hangaru, w którym dokował *Rosynant*. Wyświetlacz nad wejściem zawierał nazwę obecnego użytkownika: Przewozy na obrzeża. Holden sięgnął do panelu, by otworzyć gródź ciśnieniową, ale Naomi powstrzymała go, kładąc mu dłoń na rękę.

– Ci ludzie wynajmują okręt bojowy do przewiezienia czegoś na Tytanię – powiedziała, ścisząc głos, jakby bała się, że ktoś może podsłuchiwać. – Jak może ich być na to stać? Ładownię mamy wielkości pudełka na buty.

– Zaproponowaliśmy im dobrą stawkę? – odpowiedział Holden, bezskutecznie próbując być zabawny.

– Co takiego ktoś może wysłać na Tytanię, co wymaga szybkiego, niewykrywalnego i silnie uzbrojonego statku? Zapytałeś, co znajduje się w skrzyniach, które zgodziłeś się zabrać?

– Nie – przyznał Holden. – Nie zapytałem. Normalnie bym to zrobił, ale tym razem bardzo staram się tego nie wiedzieć.

Naomi zmarszczyła brwi, a złość na jej twarzy zaczęła ustępować zaniepokojeniu.

– Dlaczego?

Holden wyciągnął ręczny terminal i wywołał mapę Układu Słonecznego.

– Widzisz to coś, na samej krawędzi? To Pierścień. – Przewinął wyświetlacz na drugi skraj Układu Słonecznego. – A tu jest Uran. To w tej chwili dosłownie najbardziej oddalone we wszechświecie punkty,

przy których znajdują się ludzie.

– I? – zapytała Naomi.

Holden głęboko wciągnął powietrze. Poczul wzbierającą w sobie falę nerwowości, do której nie chciał się przyznać, i stłumił ją z wysiłkiem.

– Wiem, że nie rozmawiamy o tym za wiele, ale coś bardzo nieprzyjemnego, wielkiego i z bardzo dużą liczbą trupów na koncie zna moje imię i jest powiązane z Pierścieniem.

– Miller – powiedziała Naomi.

– Pierścień się otworzył, a *on wiedział, że się to stało*. To była najbardziej sensowna rzecz, jaką powiedział, od kiedy...

*Od kiedy powstał z martwych*. Te słowa nie przeszły mu przez gardło, a Naomi nie zmusiła go do wypowiedzenia ich. Wystarczyło jej skiniecie. Rozumiała. Postępując jak wyjątkowy tchórz, uciekał na drugą stronę Układu Słonecznego, żeby uniknąć Millera, Pierścienia i wszystkiego, co się z nimi w jakikolwiek sposób wiązało. Jeśli w związku z tym miał przewozić czarnorynkowe ludzkie narządy, narkotyki, roboty seksualne czy cokolwiek mieściło się w tych skrzyniach, był na to gotów. Ponieważ się bał.

Nie potrafił odczytać wyrazu jej oczu. Po całym tym czasie wciąż potrafiła ukryć przed nim swoje myśli, jeśli tylko tego chciała.

– Dobrze – powiedziała w końcu i otworzyła przed nim drzwi.

Przy zewnętrznej powierzchni Ceres ciężenie wirowe było najsilniejsze i Holden czuł się prawie tak, jakby był na Lunie albo na Marsie. Rusztowania załadunkowe wnikały w skórę stacji jak grube żyły, czekając na mechy do załadowania towaru. Ściany upstrzone były kiepsko nałożonymi łatami w miejscach, gdzie uszkodziły je wypadki. Powietrze pachniało płynem chłodniczym i tanimi filtrami powietrza, kojarzącymi się Holdenowi z wkładami do pisuarów. Amos z zamkniętymi oczami opierał się o mały elektryczny wózek widłowy.

– Dostaliśmy robotę?

– Dostaliśmy – potwierdziła Naomi.

Gdy podeszli, Amos otworzył jedno oko. Na jego szerokim czole pojawiła się zmarszczka zwątpienia.

– Jesteśmy z tego zadowoleni? – zapytał.

– Jest w porządku – odpowiedziała Naomi. – Niech podnośnik się rozgrzeje. Towar ma dotrzeć za dziesięć minut i pewnie chcemy go zabrać ze stacji najszybciej, jak się da, bez wzbudzania podejrzeń.

W wydajności pracy załogi latającej ze sobą od tak dawna jak oni było coś pięknego. Płynność, intymność i wdzięk wynikające z długotrwałej współpracy. Osiem minut po przyjsciu Holdena i Naomi *Rosynant* był gotów do przyjęcia ładunku. Dziesięć minut później nic się nie stało. Dwadzieścia minut. Godzina. Holden maszerował przy rusztowaniu najbliżej włazu wejściowego, czując na karku nieprzyjemne mrowienie.

– Jesteś *pewny*, że dostaliśmy robotę? – zapytał Amos.

– Goście wydawali się niewyraźni – odezwała się Naomi przez interkom z konsoli na statku. – Uznałabym, że nas oszukali, ale nie podaliśmy nikomu numerów naszych kont.

– Jesteśmy trochę pod presją czasu, szefie – przypomniał z kokpitu Aleks. – Te hangary załadunkowe liczą sobie za każdą minutę.

– Zadzwońię jeszcze raz – rzucił Holden, tłumiąc irytację.

Wyciągnął terminal i wybrał numer biura firmy transportowej. Odpowiedział ich system sekretarski, tak samo jak podczas trzech ostatnich prób nawiązania połączenia. Czekał na sygnał, po którym będzie mógł zostawić kolejną wiadomość, ale zanim to nastąpiło, ekran rozjarzył się prośbą o przyjęcie połączenia przychodzącego z tego samego biura. Przełączył się na nie.

– Tu Holden.

– To połączenie grzecznościowe, kapitanie Holden – powiedział głos z drugiej strony. Na ekranie widział tylko logo Przewozów na obrzeża na szarym tle. – Wycofujemy się z kontraktu, a panu sugerujemy bardzo, bardzo szybkie opuszczenie tego doku.

– Nie możecie się teraz wycofać – powiedział Holden, starając się zachować spokój i profesjonalizm w głosie, pomimo odczuwanej nagle paniki. – Podpisaliśmy umowę, mamy wasz depozyt. Nie podlega zwrotowi.

– Niech go pan zachowa – powiedział dzwoniący. – Ale uznajemy fakt, że nie poinformował nas pan o bieżącej sytuacji, za wcześniejsze naruszenie warunków.

*Sytuacji?* – pomyślał Holden. Nie mogli wiedzieć o Millerze. Chyba nie było na to sposobu.

– Ja nie...

– Szukająca pana strona opuściła nasze biura jakieś pięć minut temu, więc pewnie powinien pan czym prędzej odlecieć z Ceres. Do widzenia, panie Holden...

– Czeka! – rzucił Holden. – Kto tam jest? Co się dzieje?

Połączenie zostało zakończone.

Amos tarł obiema dłońmi bladą, porośniętą szczeciną skórę głowy.

– Mamy problem, prawda? – powiedział, wzdychając.

– Owszem.

– Zaraz wracam – odpowiedział mechanik i wspiął się na wózek widłowy.

– Aleks? Ile czasu potrzebujemy na opuszczenie doku? – zapytał Holden.

Ruszył przez hangar w stronę grodzi wejściowej. Wyglądało na to, że nie było żadnego sposobu na zablokowanie jej od środka. Dlaczego miałyby być? Hangary były wynajmowanymi czasowo miejscami załadunku i rozładunku towarów. Nie było potrzeby ich ochraniać.

– Statek jest rozgrzany – odpowiedział Aleks, nie zadając oczywistego pytania, za co Holden był mu bardzo wdzięczny. – Daj mi czas na przejście sekwencji odłączania, to powinno wystarczyć.

– Zaczynaj – polecił Holden, biegnąc z powrotem do śluzy. – Śluzę zostaw otwartą do ostatniej chwili. Będziemy z Amosem przy wejściu i przypilnujemy, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

– Potwierdzam, kapitanie – odpowiedział Aleks i się rozłączył.

– Nie przeszkadzał? – zapytała Naomi. – Co się dzieje... dobra, dlaczego Amos idzie do drzwi ze strzelbą?

– Chodzi o tych podejrzanych, groźnych gangsterów, z którymi właśnie podpisaliśmy kontrakt.

– Tak?

– Zerwali go. A to, co ich przestraszyło na tyle, żeby to zrobili, idzie teraz tutaj. Nie wydaje mi się, żeby broń była przesadną reakcją.

Amos biegł rampą, trzymając w prawej ręce swoją automatyczną strzelbę i karabinek szturmowy w lewej. Karabinek rzucił Holdenowi,

zajął pozycję za podnośnikiem i wycelował w gródź prowadzącą do hangaru. Podobnie jak Aleks nie pytał o powody.

– Mam tam wyjść? – zapytała Naomi.

– Nie, ale przygotuj się do obrony statku, jeśli przebiją się przeze mnie i Amosa – odpowiedział Holden, a potem podszedł do stacji ładowania podnośnika. To była jedyna pozostała osłona w tym pustym hangarze.

– Masz jakieś pojęcie, czego spodziewamy się tym razem? – zapytał Amos konwersacyjnym tonem.

– Nie – odpowiedział Holden. Przełączył karabin na ogień ciągły i poczuł wzbierające w gardle mdłości.

– No dobrze – rzucił Amos radośnie.

– Osiem minut – z ręcznego terminala zabrzmiał głos Naomi.

Niezbyt dużo czasu, ale jeśli mieli próbować utrzymać hangar ostrzeliwani przez przeciwnika, będzie się to wydawać wiecznością.

Światło ostrzegawcze przy wejściu towarowym błysnęło trzy razy na żółto, a potem gródź się otworzyła.

– Nie strzelaj, dopóki ja nie zacznę – powiedział cicho Holden. Amos burknął na potwierdzenie.

Do hangaru weszła wysoka blondynka. Była zbudowana jak Ziemianka, miała twarz gwiazdy filmowej i nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat. Kiedy zobaczyła wycelowaną w siebie broń, podniosła rękę i pomachała palcami.

– Nie jestem uzbrojona – oświadczyła. Na jej policzkach pojawiły się dołeczki uśmiechu.

Holden próbował sobie wyobrazić, z jakiego powodu mogłaby go szukać supermodelka.

– Cześć – rzucił Amos. Szcherzył się do niej.

– Kim jesteś? – zapytał Holden, nie przestając w nią celować.

– Nazywam się Adri. Pan jest James Holden?

– Ja mogę nim być, jeśli chcesz – rzucił Amos.

Uśmiechnęła się. Amos odpowiedział uśmiechem, ale nadal trzymał broń w ostrożnie neutralnej pozycji.

– Co my tam mamy? – zapytała Naomi z wyraźnym napięciem w głosie. – Zagrożenie?

– Jeszcze nie wiem – przyznał Holden.

– Jest pan nim, prawda? Pan to James Holden – powiedziała Adri, ruszając w jego stronę. Karabinek szturmowy wydawał się nie robić na niej żadnego wrażenia. Z bliska pachniała truskawkami i wanilią. – *Kapitan James Holden, z Rosynanta?*

– Tak – potwierdził.

Wyciągnęła do niego wąski, jednorazowy terminal ręczny. Wziął go odruchowo. Na terminalu zobaczył swoje zdjęcie wraz z nazwiskiem oraz numerami identyfikacyjnymi obywatelstwa ONZ i personelu floty.

– Ma pan wezwanie – powiedziała. – Przepraszam. Ale miło było pana poznać.

Odwróciła się do drzwi i odeszła.

– Co jest, kurwa? – Amos rzucił w przestrzeń, opuszczając lufę broni do podłogi i znowu pocierając głowę.

– Jim? – odezwała się Naomi.

– Daj mi chwilę.

Przejrzał wezwanie, przeskakując przez siedem stron prawniczego języka, by odnaleźć istotę sprawy: Marsjanie chcieli odzyskać okręt. Rozpoczęto przeciw nim oficjalne postępowanie w sądach Ziemi i Marsa, kwestionując prawo odzysku w stosunku do *Rosynanta*. Tylko że wciąż nazywali go *Tachi*. Statek podlegał natychmiastowemu zatrzymaniu do czasu wydania wyroku.

Krótką rozmową z przedstawicielem Przewozów na obrzeża nagle nabrała sensu.

– Kapitanie? – odezwał się Aleks przez radio. – Mam czerwone światło na zwolnieniu klamry dokowej. Wysłałem zapytanie. Gdy tylko się to wyjaśni, będziemy mogli wylecieć.

– Co się tam dzieje? – chciała wiedzieć Naomi. – Nadal odlatujemy?

Holden głęboko wciągnął powietrze, westchnął i rzucił przekleństwem.

\* \* \*



Najdłuższa przerwa w lotach, jaką zaliczył *Rosynant*, od kiedy Holden z pozostałymi zawiązali niezależną firmę, trwała pięć i pół tygodnia. Dwanaście dni, które *Ros* spędził w zamknięciu, ciągnęły się w nieskończoność. Naomi i Aleks większość czasu spędzali na statku, wysyłając zapytania do prawników i stowarzyszeń pomocy prawnej w całym układzie. Z każdym listem i rozmową obraz robił się coraz wyraźniejszy. Mars postąpił bardzo sprytnie, podnosząc sprawę nie tylko we własnych, ale i ziemskich sądach. Nawet gdyby Holden z *Rosem* wymknęli się prawu na Ceres, nie przyjąłby ich żaden większy port. Musieliby się ograniczyć do działających na granicy prawa baz Pasiarzy. I nawet gdyby znaleźli tam dość pracy, mogliby nie być w stanie kupić dostatecznej ilości zaopatrzenia, by dalej latać.

Jeśli stawia się przed sądem, mogą stracić statek lub nie, ale przekonanie się o tym może być kosztowne. Konta, które Holden uważał za bezpiecznie pełne, nagle wydały się zawierać o rząd wielkości za mało pieniędzy. Pozostawanie na Ceres sprawiało, że robił się nerwowy, a spanie na *Rosie* wzbudzało smutek.

Wielokrotnie podczas podróży *Rosynantem* wyobrażał sobie – a nawet się spodziewał – że wszystko to spotka tragiczny koniec, jednak wszystkie scenariusze obejmowały walki, potwory z kosmosu lub desperackie rzucanie się w którąś z planetarnych atmosfer. Z niezdrową fascynacją i strachem wyobrażał sobie, jak byłoby stracić Aleksa lub Amosa. Albo Naomi. Zastanawiał się, czy pozostała trójka latałaby dalej bez niego. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że wszystko może się skończyć, gdy będą całkiem zdrowi. Że mogą stracić nie siebie, a *Rosynanta*.

Nadzieja pojawiła się w postaci zespołu dokumentalistów z Biura Transmisji Publicznych ONZ. Monika Stuart, szefowa zespołu, była piegowatą kobietą o kasztanowych włosach i profesjonalnie ukształtowanej urodzie, dzięki której wydawała się znajoma, gdy pierwszy raz zobaczył ją na ekranie pokładu pilota. Nie przyszła osobiście.

– O ilu osobach mówimy? – zapytał Holden.

– Czterech – odparła. – Dwóch kamerzystów, dźwiękowiec i ja.

Holden podrapał się po ośmiodniowej, nierównej brodzie.

Wrażenie nieuchronności przygniatało mu żołądek jak kamień.

– Do Pierścienia – powiedział.

– Do Pierścienia – potwierdziła. – Musimy lecieć z dużym ciągiem, żeby dostać się tam przed Marsjanami, ziemską flotyllą i *Behemotem*. I chcielibyśmy się też czuć choć trochę bezpiecznie, gdy już tam dotrzemy, a *Rosynant* mógłby nam to zapewnić.

Naomi odchrząknęła, a dokumentalistka przeniosła na nią uwagę.

– Jest pani pewna, że może doprowadzić do zwolnienia *Rosa*? – zapytała Naomi.

– Chroni mnie ustawa o wolności prasy. Mam prawo do rozsądnego wykorzystania wynajętych materiałów i personelu podczas wykonywania zadań związanych z dokumentowaną historią. W innym wypadku każdy mógłby zablokować materiał, który mu się nie podoba, przez wrogie wykorzystanie nakazów sądowych, jak w przypadku *Rosa*. Mam wstecznie datowane umowy, według których wynajęłam was miesiąc temu, zanim dotarłam na Ceres, i zespół prawników głęboki na dziesięć ław, oni mogą utopić każdego protestującego w papierach tak głęboko, że nie wygrzebie się spod nich przez całe życie.

– Czyli przez cały czas pracowaliśmy dla pani – skomentował Holden.

– Tylko jeśli chce pan, by wycofano to zatrzymanie. Ale chciałabym czegoś więcej, niż tylko transportu. Dlatego właśnie rozsądne jest stwierdzenie, że nie mogę po prostu wynająć innego statku.

– Wiedziałem, że będzie tam jakieś „ale” – rzucił Holden.

– Chcę też wywiadów z załogą. Choć jest pół tuzina statków, których mogłabym użyć do lotu, to tylko pański obsadzony jest ludźmi, którzy przeżyli *Erosa*.

Naomi obejrzała się na niego, zachowując bardzo starannie neutralny wyraz twarzy. Czy lepiej było siedzieć tutaj, być więźniem na Ceres, gdy *Ros* odsuwał się od niego centymetr za centymetrem, czy lecieć z załogą prosto w otchłań? I Pierścień.

– Muszę się nad tym zastanowić – powiedział. – Będę w kontakcie.

– Oczywiście, rozumiem – powiedziała Monika. – Ale niech pan nie myśli za długo. Jeśli nie polecimy z panem, będziemy musieli znaleźć

kogoś innego.

Rozłączył się. W zapadłej ciszy podkład wydał się większy niż był faktycznie.

– To nie jest przypadek – stwierdził Holden. – Akurat *trafiło się*, że zostaliśmy zablokowani przez Marsa i jedyne, co może nas wyrwać z blokad dokowych, *przypadkiem* kieruje się w stronę Pierścienia? Nie ma mowy. Ktoś nami manipuluje. Ktoś to zaplanował. To on.

– Jim...

– To on. To Miller.

– To nie Miller. Przecież on ledwie potrafi złożyć spójne zdanie – zaprotestowała Naomi. – Jak miałyby zorganizować coś takiego?

Holden nachylił się do przodu, a fotel pod nim się przesunął. Jego głowa sprawiała wrażenie wypchanej trocinami.

– Jeśli polecimy i tak będą mogli nam go zabrać – powiedział. – Gdy ona skończy swoją historię, nie będziemy w ani trochę lepszej pozycji niż teraz.

– Za to nie będziemy też unieruchomieni na Ceres – zauważyła Naomi. – A przed nami długa droga. I bardzo długi powrót. Wiele może się zmienić.

– To wcale nie jest tak pocieszające, jak planowałam.

Uśmiech Naomi był krzywy, ale nie gorzki.

– Słuszna uwaga – przyznała.

*Rosynant* szumiał wokół nich systemami przechodzącymi automatyczne kontrole funkcjonalne i powietrzem przepychanym przez przewody. Oddech i sny statku. Ich dom w spoczynku. Holden wyciągnął rękę i splótł palce z palcami Naomi.

– Wciąż mamy trochę pieniędzy, możemy wziąć pożyczkę – zasugerowała. – Moglibyśmy kupić inny statek. Niezbyt dobry, ale... to nie musi być koniec wszystkiego.

– Ale byłby nim.

– Prawdopodobnie.

– Czyli nie mamy wyboru – stwierdził Holden. – Lećmy do Niniwy.

\* \* \*

Monika z zespołem dotarła wczesnym rankiem, ładując kilka niewielkich, niesionych osobiście przez ekipę skrzyń ze sprzętem. Na żywo Monika była szczuplejsza niż wydawała się na ekranie. Jej ekipa składała się z żylastej Ziemiarki, Okju, i brązowoskórego Marsjanina, nazywanego Clip. Niesione przez nich kamery wyglądały jak odpalana z ramienia broń, z obudowami ze stopów, które mogły rozciągać się na prawie dwa metry lub kurczyć tak, że zmieściłyby się w najciaśniejszych zakątkach statku.

Dźwiękowiec był niewidomy. Miał krótkie, siwe włosy i czarne okulary na nosie. Zęby miał pożółkłe, jak stara kość słoniowa, uśmiechał się łagodnie i sympatycznie. Według dokumentów nazywał się Elio Casti, ale z jakiegoś powodu zespół dokumentalistów zwracał się do niego Cohen.

Zebrali się w kambuzie: czworo ludzi Holdena i czworo Moniki. Widział, jak obie grupy w ciszy oceniają się wzajemnie. Będą siedzieć sobie na głowach przez wiele miesięcy. Obcy upakowani w metalowo-ceramicznym pudle pośród bezkresnego oceanu próżni. Holden odchrząknął.

– Witamy na pokładzie – powiedział.

# Rozdział siódmy

## *Melba*

Gdyby nie doszło do rozpadu sojuszu Ziemi z Marsem, gdyby nie doszło do wojny – albo dwóch, w zależności od wybranej definicji – statki cywilne w rodzaju *Cerisiera* nie miałyby czego szukać w wielkim konwoju. Jednak podczas bitwy przy Ganimedzie i w licznych utarczkach w Pasie, mających na celu kontrolowanie asteroid, które najbardziej nadawały się do zrzucenia w studnie grawitacyjne, utracono mnóstwo statków. Przepadły całe setki, od potężnych maszyn zniszczenia, takich jak *Donnager*, *Agatha King* czy *Hyperion*, po niezliczone trzy- i czteroosobowe jednostki wsparcia.

Melba wiedziała też dobrze, że to nie były jedyne bliźny. Fobos ze stacją nasłuchową stał się jedynie cienkim, prawie niewidocznym pierścieniem wokół Marsa. Eros przepadł. Febe został skąpany w nuklearnym ogniu i zepchnięty w objęcia Saturna. Farmy na Ganimedzie upadły. Wenus została wykorzystana i porzucona przez obcą protomolekułę. Protogen oraz imperium Mao-Kwikowski, kiedyś jedna z największych firm przewozowych w układzie, zostały wypatroszone, rozkradzione i sprzedane.

*Cerisier* zaczął swe życie jako statek badawczy, teraz przekształcono go w latającą szopę. Hangary ze sprzętem badawczym zmieniono w warsztaty, a pomieszczenia, które kiedyś były hermetycznymi laboratoriami, zapchano po same sufity materiałami eksploatacyjnymi sieci kontroli środowiskowych – płuczkami, przewodami, uszczelniaczami i systemami alarmowymi. Statek sunął

przez obojętną próżnię na fuzyjnym płomieniu silnika Epsteina. Obejmująca sto sześć osób załoga składała się z małej elity dowodzenia statkiem – w sumie najwyżej dwunastu osób – i większości techników, inżynierów i chemików przemysłowych.

Melba uważała, że kiedyś jednostka była na samym czele ludzkiej eksploracji. Gnała przez nieba księżyców Jowisza, oglądając rzeczy, których ludzkość nie widziała nigdy wcześniej, a teraz stała się posłuszną pomocnicą rządu, nie odkrywając niczego ciekawszego niż to, co spłukano do zbiorników oczyszczania wody. Ta degradacja dała Melbie poczucie więzi z wąskimi korytarzami i szarymi plastikowymi drabinami jednostki. Clarissa Melpomene Mao była kiedyś gwiazdą swojej szkoły. Popularna i piękna, pełna władzy i wpływów wiążących się z nazwiskiem ojca. Teraz ojciec był oznaczonym numerem więźniem, któremu każdego dnia w bezimiennym więzieniu wolno było tylko przez kilka minut rozmawiać ze światem zewnętrznym reprezentowanym przez adwokata, a nie żonę czy dzieci.

Ona zaś stała się Melbą Koh i spała na żelowej pryczy śmierdzącej cudzym ciałem w kabinie mniejszej od szafy. Kierowała zespołem czworga techników elektrochemicznych: Stannim, Renem, Bobem i Soledad. Stanni i Bob byli kilkadziesiąt lat starsi od niej. Trzy lata młodsza Soledad miała już za sobą dwie szesnastomiesięczne tury. Ren, oficjalnie jej zastępca, był Pasiarzem i jak wszyscy Pasiarze z pasją traktował systemy kontroli środowiska, mniej więcej tak, jak Ziemianie mogli traktować seks lub religię. Nie pytała, jak wylądował na ziemskim statku, a on nie wyglądał, jakby chciał się dzielić tą informacją.

Wiedziała, że miesiące lotu do Pierścienia będą trudne, ale nie zrozumiała, co będzie najtrudniejszą częścią.

– To cholerna suka, nie? – powiedział Stanni. Rozmawiał na prywatnym kanale z Renem. Gdyby była tym, za kogo się podawała, nie byłaby w stanie ich podsłuchać. – Nie ma zielonego pojęcia o tej robocie.

Ren prychnął, nie broniąc jej ani nie dołączając się do ataku.

– Gdybyś nie zauważył niewłaściwego zainstalowania tego bufora spadku napięcia na *Macedonie* w zeszłym tygodniu, mielibyśmy

kolejną awarię kaskadową, si no? Trzeba byłoby wyrzucić cały harmonogram, żeby tam wrócić i to naprawić.

– Możliwe – zgodził się Ren.

Była poziom nad nimi. Wokół niej szumiał niszczyciel *Seung Un*. Zespół przyleciał tu na przegląd konserwacyjny. Zaplanowany, rutynowy, przewidywalny. Wylecieli z *Cerisiera* dziesięć godzin temu jednym z tuzina transportowców przyczepionych do kadłuba statku. Spędzą tu jeszcze piętnaście godzin, wymieniając wysokowydajne płuczki i sprawdzając ciągłość dostawy powietrza. Nauczyła się już, że największym zagrożeniem była kondensacja prowadząca do uszkodzeń uszczelek.

Był to jeden z drobnych szczegółów, które powinna była wiedzieć.

Przecisnęła się przez tunel dostępowy. Jej zestaw narzędzi zwiślał ciężko z przodu przy ciężeniu ciągu pełnego g. Wyobrażała sobie, że tak właśnie musiało się odczuwać ciężę. O ile nie zdarzyło się coś dziwnego, Soledad i Bob powinni spać w łodzi, a Ren i Stanni byli poziom niżej, z każdą godziną schodząc coraz głębiej. Oczekiwali, że ona będzie dokonywać końcowej kontroli ich pracy. I najwyraźniej spodziewali się, że będzie w tym kiepska.

Oczywiście, mieli rację. Nie wiedziała, dlaczego odczuwała tak głębokie zawstydzenie z powodu faktu, że prawdziwy technik elektrochemiczny z łatwością dostrzegał jej brak doświadczenia. Przeczytała kilka podręczników, obejrzała trochę filmów szkoleniowych. Liczyło się tylko to, że uważali ją za autentycznie na wpół kompetentną szefową. Nie miało znaczenia, czy ją szanowali, nie byli jej przyjaciółmi.

Powinna się przełączyć na prywatne częstotliwości Soledad i Boba, żeby się upewnić, że żadne z nich się nie obudziło i nie zacznie jej szukać. Ta część planu była bardzo ważna, nie mogła nikomu pozwolić się odnaleźć. Jednak z jakiegoś powodu nie potrafiła się oderwać od rozmowy Rena i Stanniego.

– Ona niczego nie robi, to wszystko. Trzyma się swojej kabiny, nie pomaga w projektach. Przychodzi tylko na koniec, patrzy w górę, patrzy na dół, podpisuje i wraca do kabiny.

– Prawda.

Trudno było nie zauważyć węzła. Ściany zostały wzmocnione i wyraźnie obmalowane jaskrawopomarańczowymi hasłami ostrzegawczymi w pięciu językach. Zatrzymała się przed nim z rękami na biodrach i poczekała, aż dozna poczucia spełnienia. I przyszło, choć nie było tak czyste, jak oczekiwała. Rozejrzała się po tunelu technicznym, choć szansa na to, że ktoś jej przeszkodzi, była bardzo niewielka.

Materiał wybuchowy przykleiła sobie do brzucha, a ciepło jej skóry utrzymało go w stanie plastyczności, nadając masie jasnozielony kolor. Stygnąc do temperatury otoczenia, kit stwardnieje i zrobi się szary. Materiał znowu zaskoczył ją swoją gęstością. Dociskając go wzdłuż spoin węzła, miała wrażenie, jakby gołymi dłońmi formowała ołów. Wysilek sprawił, że palce bolały ją, jeszcze zanim wykonała połowę pracy. Zaplanowała na to zadanie pół godziny, jednak zajęło jej prawie dwa razy tyle. Detonator był czarną kropką średnicy czterech milimetrów, z dziesięcioma czarnymi, ceramicznymi stykami, które wciskało się w twardniejącą już masę. Wyglądał jak kleszcz.

Kiedy skończyła, dwukrotnie wytarła ręce nasączanymi ręcznikami, upewniając się, że nie ma żadnych pozostałości materiału wybuchowego pod palcami ani na ubraniu. Spodziewała się pominąć kontrole na jednym poziomie, ale Ren i Stanni pracowali szybko, więc zamiast tego zjechała windą o dwa poziomy. Wciąż rozmawiali, choć teraz już nie o niej. Stanni rozważał romans z Soledad, a Ren odradzał mu to w lakonicznych, odmienianych na sposób Pasiarzy frazach. Jej zastępca był mądrym człowiekiem.

Winda stanęła i do środka wsiadło trzech żołnierzy, samych mężczyzn. Melba przywarła plecami do ściany, żeby zrobić im miejsce, a najbliższy z uprzejmą wdzięcznością kiwnął jej głową. Według plakietki na mundurze nazywał się Marcos. Odpowiedziała skinieniem, a potem wbiła wzrok w stopy, w duchu namawiając ich, by na nią nie patrzyli. Jej mundur wydawał się kostiumem. Choć wiedziała, że nie ma na to szans, miała wrażenie, że przejrzą jej maskę, jeśli tylko uważniej się przyjrzą. Jakby miała przeszłość wypisaną na skórze.



*Jestem Melba Koh, pomyślała. Nigdy nie byłam nikim innym.*

Winda zatrzymała się na jej poziomie i żołnierze rozsunęli się, by ją przepuścić. Zaczęła się zastanawiać, czy Marcos zginie, gdy przyjdzie czas.

\* \* \*

Nigdy nie była w więzieniu ojca, a nawet gdyby wolno mu było przyjmować gości, wizyta odbyłaby się w specjalnym pokoju, byłaby monitorowana i rejestrowana. Ciężar oficjalnego nadzoru pozbawiłby ją wszelkich ludzkich emocji. Nigdy nie pozwolono by jej zobaczyć go w korytarzach, którymi chadzał, ani w celi, w której spał, jednak po uwięzieniu go przez ONZ przestudiowała budowę więzień. Jej kabina była o trzy centymetry węższa, za to o półtora centymetra dłuższa. Prycza przeciążeniowa, na której spała, została osadzona na przegubach kardanowych, by niwelować zmiany przyśpieszenia, podczas gdy jego pryczę przyspawano do podłogi. Ona mogła wybierać, czy chce iść pod prysznic, czy do mesy, jej drzwi zamykały się od środka i nie miała w kabinie żadnych kamer ani mikrofonów.

W każdy liczący się sposób miała więcej swobody od ojca. Fakt, że większość czasu spędzała w odosobnieniu, wynikał z jej wyboru i to była podstawowa różnica. Jutro przyjdzie kolej na kolejną zmianę. Kolejny statek, kolejne przeglądy techniczne, których nadzorowanie będzie mogła udawać. Dzisiaj mogła leżeć na pryczy ubrana w prostą bawełnianą bieliznę, którą kupiła jako coś, co nosiłaby Melba. Jej ręczny terminal miał zapisanych w lokalnej pamięci piętnaście kursów, plus dziesiątki dodatkowych w dzielonej przestrzeni statku. Obejmowały wszystko, od odzyskiwania składników odżywczych na bazie mikroorganizmów, przez specyfikacje systemów chłodzenia, po zasady zarządzania. Powinna je studiować. A jeśli nie, to przynajmniej nie powinna zaglądać do swoich tajnych plików.

Na ekranie Jim Holden wyglądał na zelotę. Obraz został stworzony przez połączenie dziesiątków godzin transmisji, które wyemitował przez te wszystkie lata, z większą wagą zastosowaną do najnowszych

nagrań i zdjęć. Oprogramowanie, którego użyła do stworzenia idealnej symulacji wizualnej tego człowieka, kosztowało więcej niż stworzenie Melby. Fałszywy Holden musiał być dość dobry, by oszukać zarówno ludzi, jak i komputery, przynajmniej na trochę. Na ekranie jego brązowe oczy mrużyły się ze szczerością idioty. Pod szczęką dostrzegła pierwsze oznaki podwójnego podbródka, tylko częściowo ukrytego przez niskie ciążenie. Lizusowski półuśmieszek powiedział jej wszystko, co chciała wiedzieć o człowieku, który zniszczył jej rodzinę.

– Mówi kapitan James Holden – odezwał się. – To, co zobaczyliście, to zaledwie demonstracja grożącego wam niebezpieczeństwa. Moi współpracownicy umieścili podobne bomby na wszystkich statkach znajdujących się obecnie w pobliżu Pierścienia. Wycofacie się, a ja przejmuję wyłączną i absolutną kontrolę nad Pierścieniem w imieniu Sojuszu Planet Zewnętrznych. Każdy statek, który zbliży się do Pierścienia bez mojej *osobistej* zgody, zostanie zniszczony bez...

Zatrzymała obraz, zamrażając swego małego, sztucznego Holdena w pół ruchu. Jej palec przesunął się po obrysie jego ramienia, policzka, a potem dźgnął go w oczy. Zaczęła żałować, że nie zdecydowała się na jeszcze bardziej wojowniczy tekst. Na Ziemi, gdy wszystko przygotowywała, sądziła, że wystarczy, jeśli pokaże, że Holden jednostronnie spróbuje przejąć kontrolę nad Pierścieniem. Teraz za każdym razem, gdy to oglądała, przemowa wydawała się spokojniejsza.

Zabicie Holdena byłoby dużo łatwiejsze. W porównaniu z jej planami zabójstwo było bardzo tanie, ale dostatecznie dobrze znała się na kontrolowaniu obrazu i dynamice społecznej, by wiedzieć, do czego by to doprowadziło. Zostałby męczennikiem, kanonizowano by go i pokochano. Powstałoby mnóstwo teorii spiskowych obarczających winą wszystkich, od SPZ po jej ojca. Zdecydowanie nie o to jej chodziło. Holden musiał zostać upokorzony w sposób, który sięgał wstecz. Ktoś śledzący jego dokonania musiał przyjrzeć się wszystkiemu, co Holden zrobił, wszystkim jego oświadczeniom i zadufanym, pełnym fałszywej prawości decyzjom podejmowanym za innych, przy równoczesnym pozostawaniu przy sterze, i dostrzec, że

oczywiście to wszystko prowadziło właśnie do obecnej sytuacji. Jego nazwisko zostanie umieszczone pośród największych zdrajców, oszustów i megalomanów historii. Kiedy z nim skończy, wszystko, czego Holden kiedykolwiek dotknął, zostanie skażone skojarzeniem z nim, włącznie ze zniszczeniem jej rodziny. Jej ojca.

Gdzieś głęboko w strukturze *Cerisiera* jeden z nawigatorów rozpoczął wykonywanie drobnej korekty kursu i kierunku ciążenia przesunął się o pół stopnia. Prycza ruszyła się pod nią, a ona próbowała tego nie zauważyć. Wołała chwile, gdy mogła udawać, że znajduje się w studni grawitacyjnej, zamiast przypominania, że tak naprawdę rządzą nią przyśpieszenie i inercja.

Jej ręczny terminal zadzwonił, informując o otrzymaniu wiadomości. Dla kogoś, kto nie przyjrzałby się uważnie, wiadomość wyglądałaby jak kolejna reklama. Okazja do inwestycji, którą zignorowałyby tylko głupiec, z załączoną prezentacją wideo, która wydawałaby się uszkodzonym plikiem dla każdego bez właściwego klucza deszyfracyjnego. Usiadła, spuszczaając nogi z boku pryczy, i nachyliła się nad terminalem.

Mężczyzna, który pojawił się na ekranie, miał na oczach okulary tak ciemne, że musiały być całkiem nieprzejryste. Włosy miał przystrzyżone blisko skóry, ale po tym, jak się ruszały, dostrzegła, że znajduje się w silnym przyśpieszeniu. Dźwiękowiec odchrząknął.

– Przesyłka dostarczona i gotowa do testów. Docenię przelew uzgodnionej kwoty natychmiast po potwierdzeniu. Mam do zapłacenia parę rachunków, a jestem trochę pod kreską. – Coś w tle zasyczało i rozległ się odległy śmiech. Kobięcy. Nagranie się skończyło.

Odtworzyła je jeszcze cztery razy. Jej serce biło jak oszalałe, a palce sprawiały wrażenie, jakby przebiegał przez nie prąd. Oczywiście, musiała potwierdzić, ale to był ostatni, najniebezpieczniejszy krok. W chwili, gdy wpadł w ręce Holdena, *Rosynant* był najnowocześniejszym sprzętem wojskowym. W ciągu kolejnych lat w jego systemach mogły też zostać wprowadzone różnorodne zmiany. Skonfigurowała proste zdalne połączenie przekierowane przez jednorazowe konto komercyjne na stacji Ceres. Może upłynąć wiele dni, zanim wróci do niej potwierdzenie z *Rosynanta* z informacją, że jej dostęp do systemu

został zainstalowany i działa, że statek należy do niej.

Ale jeśli to nastąpi...

To był ostatni element. Wszystko na swoim miejscu. Ogarnęło ją uczucie niemal religijnej ekstazy. Mały pokój z odrapanymi ścianami i zbyt jasnymi diodami nigdy jeszcze nie wydawał się tak przyjazny. Wstała z pryczy. Miała ochotę świętować, choć oczywiście nie mogła nikomu powiedzieć. Może wystarczy z kimś porozmawiać.

Korytarze *Cerisiera* były tak wąskie, że nie dało się normalnie przejść obok kogoś idącego z przeciwnej strony, konieczne było obrócenie się. W mesie mogło się zmieścić dwadzieścia osób, pod warunkiem że siedziałyby ściśnięte. Najluźniejszym miejscem była sala gimnastyczna obok pokładowego ambulatorium. Bieżnie i maszyny do ćwiczeń wymagały stosunkowo dużo przestrzeni, by nikt nie został zaczepiony ich elementami i pasami. Przepisy bezpieczeństwa sprawiły, że sala była najobszerniejszym i najmniej zatłoczonym pomieszczeniem na statku, a przez to przyjemnie przebywało się tam z innymi.

Z jej zespołu był tam tylko Ren. W panującym zwykle na statku obniżonym ciężeniu zapewne siedziałby po szyję w żelu utrudniającym ruchy, ale przy locie z pełnym g biegł po zwykłej bieżni. Bładą skórę zraszał mu pot, a marchewkowe włosy związał w niedbały koński ogon. Dziwnie się go obserwowano: duża głowa wydawała się jeszcze większa z powodu włosów, a chude ciało nadawało mu wygląd kogoś z kreskówki, a nie prawdziwego człowieka. Kiwnął jej głową, gdy weszła.

– Ren – rzuciła na powitanie, podchodząc do jego urządzenia. Poczula na sobie spojrzenia innych członków załogi, ale na *Cerisierze* nie czuła się tak odsłonięta, a może po prostu niosła ją dobra wiadomość. – Masz wolną chwilę?

– Szefowo – odpowiedział zamiast potwierdzenia, ale przełączył bieżnię na wolny marsz. – Que sa?

– Usłyszałam trochę z tego, co mówił o mnie Stanni – powiedziała, a jego twarz się zamknęła. – Chciałam tylko... – Zmarszczyła brwi, spuściła wzrok, a potem poddała się niespodziewanemu impulsowi. – Ma rację – przyznała. – Nie radzę sobie z tą robotą. Dostałam ją dzięki

plecom, ale tak naprawdę nie mam kwalifikacji do tej pracy.

Zamrugnął gwałtownie, a potem rozejrzył się wokół, by sprawdzić, czy nikt inny tego nie usłyszał. Nie przejmowała się tym szczególnie, ale uznała za bardzo miłe, że tak postąpił.

– Nie jesteś taka zła – powiedział. – Znaczy tak, trochę źle tutaj, trochę tam. Ale miałem gorszych szefów.

– Potrzebuję pomocy – wyznała. – Chciałabym robić wszystko tak, jak należy, ale potrzebuję do tego pomocy. Kogoś, komu mogłabym zaufać, na kim mogłabym polegać.

Ren przytaknął, ale na jego czole pojawiły się zmarszczki. Głośno wypuścił powietrze i zszedł z bieżni.

– Chcę porządnie wykonywać swoją pracę – powiedziała. – Niczego nie przeoczyć. I żeby zespół mnie szanował.

– Dobra, jasne.

– Wiem, że to ty powinieneś mieć to stanowisko.

Ren sapnął jeszcze raz, wydymając przy tym policzki. Wyrażał więcej uczuć, niż kiedykolwiek wcześniej. Gdy w końcu spojrzął jej w oczy, miała wrażenie, że patrzy na nią po raz pierwszy.

– Doceniam, że to mówisz, szefowo, ale oboje jesteśmy tu outsiderami – powiedział. – Będziemy się trzymać razem, bien?

– Świetnie – zgodziła się, opierając się o ścianę obok niego. – No dobrze. Te bufory spadku napięcia? Co zrobiłam z nimi źle?

Ren westchnął.

– Bufory są inteligentne, ale projekt głupi – odparł. – Rozmawiają ze sobą, więc tworzą też odrębną sieć, nie? Ale co będzie, jak wsadzisz jeden odwrotnie? Działa dobrze, tylko że gdy następnym razem się zresetuje, sygnał do kolejnych jest nieprawidłowy. Aktywuje procedurę diagnostyczną w następnym w szeregu, a potem w następnym. Cała sieć zaczyna migać jak lampki bożonarodzeniowe. Za dużo błędów w sieci i ta się zamyka, zabiera ze sobą *całą instalację*. A wtedy musimy iść i każdy z osobna sprawdzać to ręcznie. Z latarkami i szefem wrzeszczącym nam nad głowami.

– To... to nie może być prawda – skomentowała. – Poważnie? Można tak wyłączyć całą instalację?

– Wiem, co nie? – potwierdził Ren z uśmiechem. – A wystarczyłoby

tylko zmienić projekt tak, żeby nie pasował, jeśli spróbujesz włożyć w złą stronę. Ale nigdy tego nie robią. Mnóstwo naszej pracy to właśnie takie rzeczy, szefowo. Próbuje się złapać drobne problemy, zanim urosną. Niektóre błędy nic nie znaczą, ale inne potrafią narobić wielkiego bałaganu.

Odebrała jego słowa jak uderzenie w kościelny dzwon. Wywołały rezonans. Ona była tą usterką, tym błędem. Nie miała pojęcia, co robi, nie do końca, ale dotąd jakoś udawało się jej nie mieć z tym problemów. Zaliczała. Aż przyszłaby taka chwila, gdy wszystko by się rozpadło. Ścisnęło ją w gardle. Prawie zaczęła żałować, że się odezwała.

To ona była buforem spadku napięcia, skierowanym w złą stronę. Łatwą do przeoczenia usterką, która potencjalnie mogła wszystko zepsuć.

– A co do innych... nie bierz ich do siebie. To głównie spuszczenie pary. Nie znaczy za wiele. Reakcja na strach.

– Strach?

– Jasne – potwierdził. – Wszyscy na tej łajbie są śmiertelnie przerażeni. Nie pokazują tego po sobie i pracują, ale wszyscy mamy koszmary. Normalne, nie?

– Czego się tak boją? – zapytała.

Gdzieś blisko otworzyły się i zamknęły drzwi. Mężczyzna powiedział coś w nieznanym jej języku. Ren przekrzywił głowę i doznała paskudnie nieprzyjemnego uczucia, że zrobiła coś bardzo złego. Nie zachowała się normalnie, choć nie wiedziała, na czym polegał błąd.

– Pierścień – wyjaśnił w końcu. – To właśnie zabiło Erosa i mogło zabić Marsa. Wszystkie te dziwne rzeczy, które robił na Wenus, choć nikt nie wie, co to było. Zabił tego dzieciaka od lotu balistycznego. Połowa załogi uważa, że powinniśmy posłać w niego atomówki, druga połowa, że tylko go tym wkurzymy. Lecimy dalej niż ktokolwiek dotąd – tylko po to, żeby spojrzeć diabłu w oko, a Stanni, Solé i Bob? Są śmiertelnie przerażeni tym, co możemy w nim zobaczyć. Ja też.

– Ach – rzuciła. – W porządku, rozumiem.

Ren spróbował się uśmiechnąć.

- A ty? Ciebie to nie przeraża?
- Nigdy się jeszcze nad tym nie zastanawiałam.

# Rozdział ósmy

## *Anna*

Nami i Nono poleciały na Ziemię tydzień przed wylotem promu Anny. Te ostatnie dni samotnego mieszkania w miejscu, do którego nigdy już nie wróci – gdzie one nigdy już nie wrócą – było niczym łagodne przypomnienie o śmierci: nieustanne uczucie melancholii i budząca zawstydzienie lekka ulga.

Prom z Europy był ostatnią jednostką, która miała dołączyć do flotyli, co wymagało osiemnastu godzin lotu ostrym ciągiem. Kiedy stanęła wreszcie na pokładzie FONZ *Thomas Prince*, chciała tylko położyć się na pryczy i przespać dwanaście godzin. Młody marynarz, który został wysłany na jej powitanie i doprowadzenie do kabiny, miał jednak inne plany, a wysiłek, który musiałyby włożyć w bycie nieuprzejmą, chwilowo przekraczał jej możliwości.

– *Prince* to pancernik klasy *Kserkses* albo, jak czasem go określamy, pancernik trzeciej generacji – mówił, wskazując na ceramiczne wewnętrzne ściany hangaru, osadzone na żelu. Prom, którym przyleciała, spoczął na swoim stanowisku, wyglądał na bardzo drobny pod łukami godnymi katedry. – Nazywamy go pancernikiem trzeciej generacji, ponieważ to już trzeci projekt od czasu, gdy pierwszy raz doszło do zaostrzenia konfliktów między Ziemią i Marsem.

Zdaniem Anny nie bardzo było o czym mówić. Marsjanie zaczęli wspominać coś o niepodległości, ONZ zbudowało mnóstwo statków, Mars kilka. A potem Solomon Epstein z marsjańskiego hobbisty jachtowego stał się wynalazcą pierwszego napędu fuzyjnego, który



rozwiązał problem gromadzenia ciepła i szybkiego zużywania paliwa przy stałym ciągu. Nagle Mars stał się posiadaczem kilku statków, które latały bardzo, bardzo szybko. *Hej, zamierzamy skolonizować resztę Układu Słonecznego, powiedzieli. Chcecie się dalej na nas boczyć czy się przyłączycie?* ONZ dokonała rozsądnego wyboru, z którym zgodziłaby się większość ludzi: rezygnacja z Marsa w zamian za pół Układu Słonecznego była raczej dobrym interesem.

Co oczywiście nie znaczyło, że obie strony przestały wymyślać nowe sposoby pozabijania się. Na wszelki wypadek.

– ...trochę ponad pół kilometra długości i dwieście metrów w najszerszym miejscu – mówił marynarz.

– Imponujące – odpowiedziała Anna, próbując z powrotem skupić uwagę.

Marynarz dociągnął jej bagaż na małym wózku do rzędu wind.

– Te windy prowadzą przez całą długość statku – wyjaśnił, wciskając przycisk na panelu. – Nazywamy je windami stępkowymi...

– Bo biegną wzdłuż dna statku? – zapytała Anna.

– Tak! Tak właśnie nazywano dno statków morskich, a floty kosmiczne zachowały tamto nazewnictwo.

Anna pokiwała głową. Jego entuzjazm był równocześnie męczący i bardzo uroczy. Bardzo chciał zrobić na niej wrażenie, więc postanowiła mu na to pozwolić. Drobnym prezentem dla innego człowieka.

– Oczywiście, dno statku to bardzo arbitralne pojęcie – kontynuował już w windzie. – Ponieważ korzystamy z ciężenia generowanego przez ciąg, pokład zawsze skierowany jest w kierunku, z którego działa ciąg, od dziobu do rufy. Góra jest zawsze z dala od silników i tak naprawdę nie ma nic, co odróżniałoby pozostałe cztery kierunki. Niektóre mniejsze jednostki mogą lądować na powierzchni planet i w ich przypadku dno statku zawiera wyposażenie do lądowania oraz dysze do startu.

– *Prince* jest zapewne na to za duży – zauważyła Anna.

– I to zdecydowanie! Ale nasze promy i korwety mogą lądować na planetach, choć nie zdarza się to bardzo często.

Drzwi windy otworzyły się przy akompaniamencie dzwonka i marynarz wypchnął jej bagaż na korytarz.

– Kiedy złożymy pani bagaż w kabinie, będziemy mogli kontynuować zwiedzanie.

– Marynarzu? – odezwała się Anna. – Czy to właściwy sposób zwracania się do pana?

– Oczywiście. Albo „panie Ichigawa”. Albo nawet „Jin”, ponieważ jest pani cywilem.

– Jin – kontynuowała Anna. – Czy nie obraziłbyś się, gdybym została na trochę w swoim pokoju? Jestem bardzo zmęczona.

Chłopak zatrzymał się i zamrugał.

– Ale kapitan powiedział, że wszyscy goście VIP powinni zostać oprowadzeni po całym okręcie. Włącznie z mostkiem, gdzie zwykle nie ma wstępu nikt poza załogą na służbie.

Anna położyła dłoń na jego ramieniu.

– Rozumiem, że to duży zaszczyt, ale chyba wolałabym go zobaczyć, gdy będę umiała utrzymać otwarte powieki. Rozumiesz, prawda? – Ścisnęła lekko jego rękę i posłała mu swój najbardziej promienny uśmiech.

– Oczywiście – zgodził się z uśmiechem. – Proszę tedy, proszę pani.

Rozglądając się wokół, Anna nie była pewna, czy faktycznie miała ochotę oglądać resztę okrętu. Wszystkie korytarze wyglądały tak samo: większość ścian pokrywał gładki, szary materiał z czymś w rodzaju gąbki pod spodem. Anna sądziła, że ma to być coś na kształt powierzchni ochronnej, aby marynarze nie wyrządzili sobie krzywdy, jeśli uderzą w ściany podczas gwałtownych manewrów. Wszystko, czego nie pokrywała szara tkanina, wykonano z szarego metalu. To, co mogło wywierać na gościach największe wrażenie, to różnorodne mechanizmy przeznaczone do niszczenia innych statków, ale ona zdecydowanie nie była zainteresowana tymi rzeczami.

– Czy to w porządku? – zapytał Ichigawa po chwili milczenia. Anna nie miała pojęcia, co ma na myśli. – To znaczy, zwracanie się do pani „proszę pani”. Niektórzy goście mają tytuły. *Pastor, wielebny* albo *kapłan*. Nie chciałbym pani urazić.

– No cóż, gdybym cię nie lubiła, kazałabym ci zwracać się do mnie *wielebna pani doktor*, ale naprawdę cię lubię, więc proszę, nie rób tego – odpowiedziała.

– Dziękuję – powiedział Jin, a tył jego szyi wyraźnie się zaczerwienił.

– A gdybyś był członkiem mojego zgromadzenia, poprosiłabym, żebyś zwracał się do mnie *pastor Anno*. Jesteś buddystą?

– Tylko gdy odwiedzam babcię – przyznał Jin i mrugnął. – Przez resztę czasu jestem marynarzem.

– To teraz religia? – zapytała Anna ze śmiechem.

– Flota zdecydowanie tak uważa.

– No dobrze. – Znowu się roześmiała. – Więc może po prostu mów mi *Anna*?

– Tak jest, proszę pani – odpowiedział Jin. Zatrzymał się przy drzwiach podpisanych OQ 297-11 i podał jej małą metalową kartę. – To pani pokój. Wystarczy, że będzie pani miała kartę przy sobie, żeby otworzyć drzwi. A wejście pozostanie zamknięte, gdy będzie pani w środku, chyba że naciśnie pani żółty przycisk na panelu ściennym.

– To brzmi bardzo bezpiecznie – skomentowała Anna, biorąc od Jina klucz i ściskając jego dłoń.

– To pancernik *Thomas Prince*, proszę pani. Najbezpieczniejsze miejsce w Układzie Słonecznym.

\* \* \*

Jej kwatery miała trzy metry szerokości i cztery długości. Według standardów floty – była luksusowa, dla biednego mieszkańca Europy zwyczajna, a dla Ziemianina była jak trumna. Anna odczuła chwilowy zawrót głowy, gdy dwie różne Anny w niej zareagowały na przestrzeń na trzy sposoby. Odczuła podobne wrażenie oderwania, gdy weszła na pokład *Prince'a* i pierwszy raz poczuła dociskające ją do podłogi ciążenie równe ziemskiemu. Ziemianka, którą była większość życia, odczuła euforię, ponieważ po raz pierwszy od lat ważyła *poprawnie*. Europejka poczuła się po prostu zmęczona, wyczerpana nadmiernym obciążeniem kości.

Zastanawiała się, ile potrwa, zanim Nono z powrotem przyzwyczai się do ziemskiego ciążenia. Ile czasu Nami będzie potrzebować, zanim

nauczy się tam chodzić. Obie w podróży na Ziemię przyjmowały mnóstwo stymulatorów wzrostu kości i mięśni, ale leki nie mogły załatwić wszystkiego, czekały je tygodnie lub miesiące pełne cierpienia, kiedy to ich ciała będą dostosowywać się do nowego ciążenia. Anna prawie widziała małą Nami usiłującą podnieść się na ręce i kolana, jak robiła to na Europie. Prawie słyszała jej płacz frustracji podczas nabierania sił, by móc znowu poruszać się samodzielnie. Była takim zdeterminowanym maleństwem. Utrata rozwiniętych w ciągu ostatnich dwóch lat umiejętności będzie doprowadzać ją do szału.

Myślenie o tym wywołało ból w piersi Anny, tuż pod mostkiem.

Dotknęła lśniącej, czarnej powierzchni konsoli w pokoju i obudziła terminal. Poświęciła chwilę na zapoznanie się z interfejsem użytkownika. Program pozwalał jej tylko na przeglądanie biblioteki okrętowej, a także na wysyłanie i odbieranie wiadomości tekstowych oraz multimedialnych.

Dotknęła przycisku nagrywania wiadomości.

– Cześć Nono, cześć Nami! – Pomachała do kamery. – Jestem już na okręcie i lecimy. Ja... – urwała i rozejrzała się po pokoju, patrząc na sterylne szare ściany i spartańskie łóżko. Chwyciła leżącą na nim poduszkę i obróciła się z powrotem do kamery. – Już za wami tęsknię. – Mocno przycisnęła poduszkę do piersi. – To wy. Wy obie.

Wyłączyła nagranie, zanim w jej oczach pojawiły się łzy. Myła twarz, gdy jej konsola zabrzmiała powiadomieniem o nowej wiadomości. Choć nie wydawało się możliwe, by Nami mogła już dostać jej nagranie i od razu odpowiedzieć, jej serce i tak przyśpieszyło. Natychmiast podeszła i otworzyła wiadomość, która okazała się tekstowym przypomnieniem o spotkaniu powitalnym dla gości w mesie oficerskiej o 19.00. Według zegara była równo 13.00.

Dotknęła przycisku potwierdzenia przybycia na spotkanie, a potem w ubraniu wcisnęła się pod kołdrę i usnęła, płacząc.

\* \* \*

– Wielebna doktor Wołowodow – zagrzemiał męski głos, gdy tylko weszła do mesy oficerskiej.

Pomieszczenie urządzono na przyjęcie, ustawiając stoły pełne jedzenia pod ścianami, a w środku w grupkach rozmawiało przynajmniej sto osób. W jednym z rogów za prowizorycznym barem żwawo uwijało się czterech barmanów. Wysoki, ciemnoskóry mężczyzna z idealnie ułożonymi siwymi włosami i w nieskazitelnym szarym garniturze wyłonił się z tłumu niczym Wenus wynurzająca się z fal. Anna zastanawiała się, jak mu się to udało. Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

– Tak się cieszę, że do nas dołączyłaś. Słyszałem mnóstwo dobrego o świetnej pracy, którą wykonywałaś na Europie, i nie wiem, jak Światowa Rada Metodystów mogłaby wybrać na tę ważną podróż kogokolwiek innego.

Anna uścisnęła jego dłoń, a potem ostrożnie uwolniła się z jego uchwytu. Stał przed nią doktor Hector Cortez, ojciec Hank w audycjach nadawanych co tydzień do setek milionów ludzi, bliski przyjaciel i doradca duchowy sekretarza generalnego. Nie miała pojęcia, skąd mógł cokolwiek wiedzieć na jej temat. Jej maleńka wspólnota na Europie, obejmująca niecałe sto osób, nie mogła się równać nawet z ułamkiem jego ogólnoukładowej widowni. Nie mogła się zdecydować, czy bardziej czuje się zaszczycona, niepewna czy podejrzliwa.

– Doktorze Cortez – odpowiedziała. – Tak miło pana poznać. Oczywiście, widziałam pana programy.

– Oczywiście – rzucił z lekkim uśmiechem, szukając już kogoś innego do rozmowy.

Odniosła wrażenie, że wyszedł ją powitać nie tyle z rzeczywistej radości na jej widok, co skorzystał z okazji, by uwolnić się od prowadzonej wcześniej rozmowy i nie wiedziała, czy powinna czuć ulgę, czy oburzenie. Zdecydowała się na rozbawienie.

Z tłumu na środku sali oderwał się starszy mężczyzna w stroju katolickiego księdza i niczym mały obiekt przyciągany ciężeniem większego zaczął dryfować w stronę doktora Corteza.

Zacząła się przedstawiać, gdy doktor Cortez urwał jej grzmiącym

głosem.

– Ojciec Michelu, przywitaj się z moją nową przyjaciółką, doktor Annuszką Wołowodow, robotnicą Boskiej chwały z europejskiej wspólnoty metodystów.

– Wielebna Wołowodow – przywitał się katolik. – Jestem ojciec Michel z archidiecezji Rzymu.

– Och, bardzo mi miło... – zaczęła Anna.

– Nie daj się nabrać na wizerunek skromnego księżula z prowincji.

– Cortez znowu nie dał jej dojść do głosu. – To biskup z dużymi szansami wyboru na kardynała.

– Gratuluję – powiedziała Anna.

– Och, to nic takiego. Przesada i zasłona dymna. – Staruszek się rozpromienił. – Nie stanie się nic, co nie pasuje do Bożego planu.

– Gdyby to była prawda, nie byłoby cię tu – rzucił Cortez.

Biskup się zaśmiał. Kobieta w kosztownej niebieskiej sukience podeszła śladem jednego z umundurowanych kelnerów roznoszących szampana. Sięgnęła po kieliszek równocześnie z ojcem Michele. Anna z uśmiechem odmówiła oferowanego szampana, a kelner zniknął w tłumie na środku sali.

– Proszę. – Kobieta zwróciła się do Anny. – Nie zostawiaj mnie pijącej samej z katolikiem. Moja wątroba tego nie wytrzyma.

– Dziękuję, ale...

– A ty, Hank? Słyszałam, że potrafisz wlać w siebie parę drinków. – Podkreśliła swoje słowa ruchem kieliszka.

Uśmiech Corteza mógł znaczyć cokolwiek.

– Jestem Anna – przedstawiła się Anna, wyciągając rękę, by ucisnąć dłoń kobiety. – Piękna sukienka.

– Dziękuję. Jestem Roberta Fagan – odparła z udawaną powagą kobieta. – Tilly, jeśli nie prosisz o pieniądze.

– Miło cię poznać, Tilly – powiedziała Anna. – I przepraszam, ale nie piję.

– Niech Bóg uchroni mnie przed umiarkowaniem – odparła Tilly. – Nie wiesz, co to impreza, dopóki nie zobaczysz grupy anglikanów i katolików próbujących się wzajemnie przepić.

– To bardzo nieładnie, pani Fagan – zaprotestował ojciec Michel. –

Nigdy jeszcze nie spotkałem anglikanina, który mógłby mi dotrzymać kroku.

– Hank, dlaczego Esteban pozwolił ci się od niego urwać?

Anna potrzebowała chwili na zrozumienie, że Tilly mówi o sekretarzu generalnym Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Cortez pokręcił głową i przybrał bolesny wyraz twarzy, ani na chwilę nie rezygnując z szerokiego uśmiechu.

– Pani Fagan, jestem zaszczycony wiarą i zaufaniem pokładanymi we mnie przez sekretarza generalnego w drodze do najważniejszego zdarzenia w dziejach ludzkości od czasu śmierci naszego Pana.

Tilly prychnęła.

– Masz na myśli wiarę i zaufanie, które pokłada w milionach wyborców, których będziesz mógł mu podsunąć w czerwcu.

– Ależ proszę pani. – Cortez dopiero teraz obrócił się, by spojrzeć w twarz Tilly. Jego uśmiech nie zmienił się ani trochę, ale atmosfera między nimi zrobiła się wyraźnie chłodniejsza. – Czy nie wypłała pani trochę za dużo szampana?

– Och, zdecydowanie za mało.

Ojciec Michel ruszył na ratunek, biorąc Tilly za rękę.

– Uważam, że nasz drogi sekretarz generalny jest prawdopodobnie jeszcze bardziej wdzięczny za rozliczne darowizny pani męża na rzecz jego kampanii. Choć dla pani oznacza to najkosztowniejszą wycieczkę w historii.

Tilly prychnęła i przestała patrzeć na Corteza.

– Roberta na to stać, do cholery.

Przekleństwo sprowadziło na chwilę niezręczną ciszę, a ojciec Michel posłał Annie przepraszający uśmiešek. Uśmiechnęła się do niego, czując się tak bardzo nie na miejscu, że zrezygnowała z prób nadążenia za sytuacją.

– Zastanawiam się, co na nich zyskuje – powiedziała Tilly, gestem wskazując na wszystkich poza sobą. – Artyści, pisarze i aktorzy. Ile głosów może mu zapewnić jakiś artysta? Czy oni w ogóle głosują?

– To symboliczne – odpowiedział ojciec Michel, przybierając wyćwiczony wyraz zamyślenia na twarzy. – Cała ludzkość wspólnie wyrusza badać największą zagadkę naszych czasów. Świeckie i boskie

łączy się, by wspólnie stanąć przed przemożną tajemnicą: czym jest Pierścień?

– Ładne – skomentowała Tilly. – Zwracają się próby.

– Dziękuję – odpowiedział biskup.

– Czym jest Pierścień? – powtórzyła Anna, marszcząc brwi. – To gwiazdne wrota. Co do tego chyba nie ma wątpliwości, prawda? Od stuleci rozmawialiśmy o podstawach teoretycznych czegoś takiego. Tak właśnie powinny wyglądać. Coś wlatuje do środka, a wylatuje w miejscu, które znajduje się gdzieś indziej. Dochodzą stamtąd sygnały dostrajanych transmisji, to tunel czasoprzestrzenny.

– To zdecydowanie jedna z możliwości – przyznał ojciec Michel. Tilly uśmiechnęła się na cierpkość w jego głosie. – Według ciebie, Anno, na czym polega nasze zadanie tutaj?

– Problemem nie w tym, czym to *jest* – odpowiedziała, ciesząc się, że rozmowa wróciła na zrozumiałe dla niej obszary. – Chodzi o to, co to *znaczy*. Wrota wszystko zmieniają i nawet jeśli to coś cudownego, to naruszy istniejący ład. Ludzie będą musieli zrozumieć, jak mieści się to w naszym rozumieniu wszechświata. Jakie ma to znaczenie w związku z Bogiem, co nam to o nim mówi. Będąc tutaj, możemy zaoferować komfort, który inaczej byłby nieosiągalny.

– Zgadzam się – poparł ją Cortez. – Naszym zadaniem jest pomóc ludziom pogodzić się z wielkimi tajemnicami, a ta świetnie pasuje do tej kategorii.

– Nie – zaprotestowała Anna. – Wyjaśnienia to nie...

– Jeśli dobrze rozegrasz swoje karty, możesz zapewnić Estebanowi kolejne cztery lata – powiedziała Tilly, ignorując ją. – Wtedy będziemy mogli to nazwać cudem.

Cortez posłał szeroki, biały uśmiech do kogoś stojącego w głębi sali. Mężczyzna stojący w małej grupce mężczyzn i kobiet w luźnych pomarańczowych szatach uniósł rękę i pomachał.

– Ci ludzie są niewiarygodni – rzuciła Tilly.

– Sądzę, że to delegaci Kościoła Panującej Ludzkości – skomentowała Anna.

Tilly pokręciła głową.

– Panująca Ludzkość. Poważnie? Wymyślmy sobie religię i



udawajmy, że wszyscy jesteśmy bogami.

– Ostrożnie – rzucił Cortez. – Oni nie są jedyni.

Widząc dyskomfort Anny, ojciec Michel spróbował zaoferować jej ratunek.

– Doktor Wołowodow, znam starszą tej grupy, to cudowna kobieta. Z przyjemnością panią przedstawię. Państwo wybaczą.

– Przepraszam – zaczęła Anna, ale umilkła, gdy w sali nagle zapadła cisza.

Ojciec Michel i Cortez patrzyli w stronę czegoś na środku zgromadzenia, blisko baru, a Anna obeszła Tilly, żeby mieć lepszy widok. Z początku trudno było jej zobaczyć, co się dzieje, bo wszyscy w sali odsuwali się w stronę ścian. W końcu ludzie rozeszli się na tyle, że zobaczyła młodego człowieka w koszmarnej brzydkim, jaskrawoczerwonym garniturze. Oblał się czymś, z jego włosów i ramion marynarki na podłogę kapał przezroczystry płyn. W sali rozszedł się silny zapach alkoholu.

– Robię to w imieniu Kolektywu Ashtun! – krzyknął młodzieniec głosem drżącym ze strachu i podniecenia. – Uwolnić Etienne Barbara! Uwolnić lud Afganów!

– O mój Boże – wyszeptał ojciec Michel. – On się...

Anna nie zobaczyła, co było źródłem ognia, ale młodzieńca nagle ogarnęły płomienie. Tilly krzyknęła. Wstrząśnięty mózg Anny zarejestrował tylko irytację tym dźwiękiem. Poważnie, czy krzyk kiedykolwiek rozwiązał jakiś problem? Rozpoznała skupienie na irytacji jako swój własny sposób na ucieczkę przed rozgrywającym się przed nią koszmarem, ale tylko w odległy, prawie senny sposób. Właśnie chciała powiedzieć Tilly, żeby się zamknęła, gdy włączył się system przeciwpożarowy i z ukrytych dysz w suficie i ścianach wystrzeliło pięć strumieni piany. Płonący człowiek został błyskawicznie pokryty białymi bańkami i płomienie zgasły. Smród spalonych włosów konkurował o dominację z wonią alkoholu.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, do sali wbiegli marynarze. Młodzi mężczyźni i kobiety o surowych twarzach, z bronią przy boku, spokojnie polecieli wszystkim pozostać na miejscach i pozwolić pracować ratownikom. Chwilę po nich weszli sanitariusze i zebrali z

samobójcy pianę. Wyglądał bardziej na zaskoczonego niż oparzonego. Skuli go kajdankami i położyli na noszach. Został wyniesiony z sali w niecałą minutę. Gdy tylko zniknął, ludzie z bronią lekko się rozluźnili.

– Bardzo szybko go ugasili – skomentowała Anna do stojącej najbliżej młodej żołnierki. – To dobrze.

Dziewczyna, która wyglądała, jakby mogła jeszcze chodzić do liceum, roześmiała się.

– To okręt bojowy, proszę pani. Mamy bardzo wydajne systemy przeciwpożarowe.

Cortez przeszedł przez salę i grzmiącym głosem przemawiał do najstarszego stopniem oficera floty. Brzmiał na oburzonego. Ojciec Michel wyglądał, jakby cicho się modlił, a Anna odczuła silną chęć przyłączenia się do niego.

– No cóż – odezwała się Tilly, machając w stronę sali pustym kieliszkiem od szampana. Twarz miała bladą, poza dwoma jasnoczerwonymi kropkami na policzkach. – Może ta podróż nie będzie jednak nudna.

# Rozdział dziewiąty

## *Byk*

Byłoby szybciej, gdyby Byk poprosił o więcej rąk do pomocy, ale do czasu, gdy zorientuje się, kto co robi, nie chciał ufać zbyt wielu ludziom. A właściwie nikomu.

Załoga składająca się z około tysiąca osób sprawiała, że wszystko było nieco bardziej mętne. Przy tak dużej załodze szef ochrony mógł szukać na przykład spotkań członków załogi z działów, które zwykle nie miały ze sobą nic wspólnego, odbywających się o nietypowych porach. Odstępstwa od schematów typowych dla wszystkich jednostek. Ponieważ jednak była to dziewicza podróż, *Behemot* nie wypracował jeszcze żadnych schematów. Wciąż panował chaos, a załoga i statek wzajemnie się poznawali. Podejmowali decyzje, nabierali przyzwyczajień i tworzyli własną kulturę. Nic jeszcze nie było normalne, a przez to nic nie było dziwne.

Z drugiej strony, to tylko tysiąc osób.

Każdy statek miał swój czarny rynek. Ktoś na *Behemocie* handlował seksem za przysługi, ktoś urządzał gry w karty lub ustawił maszyny do pachinko albo zajął się wymuszeniami. Ludzie będą przekupywani, żeby coś zrobić lub zrezygnować z robienia czegoś. Zawsze tak się dzieje, gdy zbiera się razem dużo ludzi. Zadaniem Byka nie było niedopuszczenie do tego, a ograniczenie tych działań do poziomu, przy którym statek mógł bezpiecznie funkcjonować. Oraz wyznaczenie granic.

Aleksy Meyerson-Freud był dietetykiem. Na *Tycho* zajmował się

pracami średniego poziomu, głównie przy kadziach z drożdżami, kontrolując parametry bioinżynieryjne tak, by wytworzyć właściwą mieszankę związków chemicznych, minerałów i soli do utrzymania ludzi przy życiu. Był dwukrotnie żonaty, miał dziecko, którego nie widział od pięciu lat, i aktywnie działał w klubie gier wojennych, gdzie symulowano historyczne bitwy, mierząc się z wielkimi historycznymi generałami. Był osiem lat młodszy od Byka, miał brązowe włosy, nieśmiały uśmiech i dorabiał sobie na boku, sprzedając narkotyk o działaniu stymulującym i euforycznym, nazywany przez Pasiarzy magicznym pyłem. Byk rozpracowywał temat, aż uzyskał pewność, że nie myli się co do dietyka, ale nawet, gdy już wiedział, odczekał kilka dni. Nie za długo, tylko tyle, by śledzić Aleksego przez kilka dni za pomocą systemu monitoringu. Musiał się upewnić, że facet nie miał nad sobą grubszej ryby, jakiegoś cichego wspólnika lub kontaktu w zespole Byka... albo – Boże broń – Ashforda. Nie odkrył niczego takiego.

Prawdę mówiąc, wcale nie miał ochoty tego robić. Wiedział, że to musi się stać, i zawsze było łatwiej odłożyć sprawę o kolejny kwadrans albo do lunchu, albo do jutra. Tylko że za każdym razem, gdy to robił, kolejna osoba szła na zmianę naćpana i istniało niebezpieczeństwo, że popełni głupi błąd, doprowadzając do uszkodzenia statku, zranienia lub śmierci któregoś z pasażerów.

Właściwa chwila nadeszła w połowie drugiej zmiany. Byk wyłączył konsolę, wstał, wyjął ze zbrojowni kilka pistoletów i otworzył połączenie z terminala ręcznego.

– Serge?

– Szefie.

– Będę potrzebował ciebie i jeszcze kogoś. Pójdziemy aresztować dilerów narkotyków.

Cisza na linii brzmiała jak zaskoczenie. Byk czekał. To też mu coś powie.

– Jasne – odpowiedział w końcu Serge. – Zaraz przyjdę.

Serge przyszedł do jego biura po dziesięciu minutach z szeregową ochraniarką imieniem Corin, barczystą kobietą o ponurej twarzy. Była dobrym wyborem. Byk zapisał sobie w pamięci plusa dla Serge'a i

podał im pistolety. Corin sprawdziła magazynek, schowała broń do kabury i czekała. Serge przerzucił broń z ręki do ręki, oceniając wyważenie, a potem wzruszył ramionami.

– Jaki mamy plan? – zapytał.

– Idziecie ze mną – odpowiedział Byk. – Jeśli ktoś będzie próbował mi przeszkodzić, dajecie mu jedno ostrzeżenie, a potem strzelacie.

– Proste – skomentował Serge z aprobatą w głosie.

Kompleks przetwarzania żywności mieścił się głęboko wewnątrz statku, blisko powierzchni olbrzymiej, pustej przestrzeni wewnętrznej. Podczas długiej podróży do gwiazd miały się tam mieścić pola uprawne małego wewnętrznego świata *Nauvoo*, ale w *Behemocie* nie było to żadne wyróżnione miejsce. Logiczne położenie stało się głupie, a wystarczyło tylko zmienić kontekst. Byk prowadził mały elektryczny samochód z piankowymi kołami szeleszczącymi na rampach. Mijani w salach i korytarzach ludzie zatrzymywali się i oglądali za nimi. Niektóry się gapili. Fakt, że trzech jadących razem agentów ochrony tak bardzo się wyróżniało, też był ciekawą obserwacją, choć Byk nie był pewien, czy to dobrze.

W okolicach kadzi powietrze pachniało inaczej, zawierało więcej lotnych związków i odfiltrowanych cząstek stałych. Sam kompleks przetwórczy był siecią rur, kadzi i kolumn destylacyjnych. Połowa urządzeń była wyłączona, ich możliwości teraz niepotrzebne, czekały na wykarmienie większej populacji. Albo na rozebranie.

Aleksy stał po kolana w jednej z płuczek wodnych, z pomarańczowymi woderami przywierającymi do nóg i rękami pełnymi gęstych zielonych wodorostów. Byk wskazał na niego, a potem na pomost, na którym stał razem z Sergem i Corin. Przez twarz Aleksego mógł przemknąć ślad niepokoju. Trudno było to stwierdzić.

– Teraz nie mogę wyjść – powiedział diler, trzymając szeroki, mokry liść. – Pracuję nad czymś.

Byk kiwnął głową i odwrócił się do Serge'a.

– Zostańcie tutaj i nie pozwólcie mu nigdzie iść. Zaraz wrócę.

– Sa sa, szefie – odpowiedział Serge.

Żeby dojść do szatni, musiał zejść po drabinie i pokonać korytarz. Rzędy groszkowozielonych szafek zostały odczepione od ścian,

obrócone o dziewięćdziesiąt stopni i zamocowane ponownie, zgodnie z kierunkiem ciągu. Przy nie do końca dopasowanych brzegach wciąż wystawały wypiętrzenia pianki montażowej. Na ławkach zastał dwójkę techników przetwarzania wody, siedzieli i flirtowali, niekompletnie ubrani. Oboje umilkli na widok Byka. Uśmiechnął się do nich, kiwnął głową i ruszył do szafki na samym końcu. Odwrócił się, kiedy do niej dotarł.

– Należy do kogoś? – zapytał.

Technicy spojrzeli po sobie.

– Nie, sir – odpowiedziała kobieta, trochę wyżej podciągając suwak kombinezonu. – Większość szafek jest pusta.

– Bardzo dobrze – rzucił Byk.

Wystukał kod łamania blokady i otworzył drzwiczki. Tkwiący w środku marynarski worek był szarozielony, w rodzaju tych, do których wsadza się ubrania na wyjście do siłowni. Przesunął palcem po zamknięciu. W środku było około stu fiolek żółtobiałego proszku o ziarnistości trochę większej niż mleko w proszku. Zamknął worek i zarzucił go sobie na ramię.

– Jakiś problem? – zapytał technik. Głos brzmiał niepewnie, ale bez strachu. Raczej był zaciekawiony. Podniecony. Bóg kochał gapiów, Byk też.

– Meyerson-Freud właśnie przestał sprzedawać na boku magiczny pył – odpowiedział Byk. – Pewnie powinniście iść powiedzieć wszystkim kumplom, co?

Technicy spojrzeli po sobie z uniesionymi brwiami, a Byk ruszył do wyjścia. Po powrocie do zbiornika z wodorostami rzucił torbę pod nogi, wskazał na Aleksego i na pomost przy sobie tak samo, jak wcześniej. Tym razem Aleksy przybrał ponury wyraz twarzy. Byk czekał na technika, który powoli przeszedł przez głęboką wodę, a potem wyszedł na pomost.

– W czym problem? – zapytał. – Co jest w torbie?

Byk tylko raz powoli pokręcił głową. Wyraz twarzy Aleksego równie dobrze mógł być przyznaniem się do winy. Choć Byk w zasadzie go nie potrzebował.

– Hej, ese – powiedział. – Wiesz, naprawdę bardzo cię za to

przepraszam.

Walnął Aleksego w nos. Chrzątki i kość ustąpiły pod jego pięścią, a znad otwartych ust zaskoczzonego technika trysnęła fontanna jaskrawoczerwonej krwi.

– Posadźcie go na wózku – powiedział Byk. – Tak, żeby wszyscy go widzieli.

Serge i Corin wymienili spojrzenia w sposób bardzo podobny do pary w przebieralni.

– Jedziemy do aresztu, szefie? – zapytał Serge, ale ton jego głosu zdradzał, że znał już odpowiedź.

– To my mamy areszt? – zapytał Byk, podnosząc z podłogi torbę.

– Raczej nie.

– To chyba tam nie pojedziemy.

Byk zaplanował trasę tak, by przejechać przez wszystkie najludniejsze przestrzenie publiczne od najbardziej wewnętrznych, po te znajdujące się najbliżej pancerza statku. Wieści już się rozeszły i wzdłuż całej drogi zbierali się gapie. Aleksy jęczał głośno w przerwach między wykrzykiwaniem, błaganiami i żądaniem spotkania z kapitanem. Byka dopadło nagle bardzo silne wspomnienie widzianej w dzieciństwie świni wiezionej na rzeź. Nie wiedział, kiedy to się stało, po prostu wspomnienie wyłoniło się z głębi pamięci, oderwane od reszty jego życia.

Dotarcie do śluzy zajęło im prawie pół godziny. Zebrał się tam tłum, małe morze twarzy, większość na szerokich głowach ze szczupłymi korpusami. Pasiarze oglądali, jak Ziemiańcin zabija jednego z nich. Byk ich zignorował. Wystukał kod, otworzył wewnętrzne drzwi śluzy, wrócił do wózka i dźwignął Aleksego jedną ręką. W niskim ciężeniu powinno to być łatwe, ale zanim doszedł do śluzy, poczuł, że traci oddech. Wcale nie pomagało, że Aleksy się rzucał. Byk wepchnął go do środka, zamknął wewnętrzne drzwi, wstukał kod obejścia blokady i otworzył zewnętrzne drzwi bez odciągania powietrza. Odgłos otwarcia zadźwięczał na metalowym pokładzie jak odległy dzwon. Monitor wskazał, że śluza jest pusta. Byk zamknął zewnętrzne drzwi. Kiedy śluza ponownie napełniała się powietrzem, wrócił do wózka, a potem stanął w jego tylnej części, tam, gdzie siedział Aleksy, obiema

rękami unosząc nad głowę jego torbę. Rękaw i lewe kolano miał umazane krwią.

– To magiczny pył, prawda? – odezwał się do tłumu. Nie użył terminala do wzmocnienia głosu. Nie musiał. – Zostawię go w służbie na szesnaście godzin, a potem wyrzucę w przestrzeń. Jeśli dołączy do niego jeszcze jakiś pył, cóż, zdarza się. Nic wielkiego. Jeśli coś z tego zniknie, będziemy mieć problem. Powiedzcie wszystkim. A następny pendejo, który zgłosi się do pracy naćpany, porozmawia sobie ze mną.

Powoli podszedł do służby, dając wszystkim szansę obserwowania, co robi. Otworzył wewnętrzne drzwi, wrzucił torbę do środka i odwrócił się, zostawiając otwarte drzwi. Kiedy siadał z powrotem za kierownicę wózka, czuł napięcie tłumu, ale wcale się tym nie przejmował. Martwiło go co innego. Miał za sobą najłatwiejszą część. To, co czekało go teraz, będzie dużo trudniejsze, ponieważ miał nad tym znacznie mniej kontroli.

– Chcesz przy tym zostawić straż? – zapytał Serge.

– Myślisz, że to potrzebne? – Byk odpowiedział pytaniem.

Nie spodziewał się odpowiedzi i jej nie dostał. Wózek ruszył, a gapie rozstępowali się przed nim jak stado antylop przed lwem. Byk skierował się w stronę ramp prowadzących do biura ochrony.

– Ostro – skomentowała Corin. W jej ustach zabrzmiało to jak pochwała.

\* \* \*

Biuro kapitana zdobiła sztuka sakralna. Anioły w błękicie i złocie podtrzymywały paraboliczne łuki wznoszące się ku górze, do obrazu spokojnego Boga z brodą. Ze ściany za biurkiem Ashforda patrzył łagodny Chrystus o rysach twarzy białego mężczyzny. W niczym nie przypominał zakrwawionego, wykrzywionego Ukrzyżowanego, tak dobrze znanego Bykowi. U boku Zbawcy zebrano symbole obfitości: zboża, kukurydzę, kozy, krowy i gwiazdy. Kapitan Ashford maszerował w tę i z powrotem na wysokości kolan Jezusa z twarzą nabrzmiałą od krwi i furii. Michio Pa siedziała na krześle dla gości,



starannie nie patrząc na Ashforda ani na Byka. Sytuacja z marsjańskimi statkami naukowymi wraz z wojskową eskortą oraz wielką flotyllą z Ziemi chwilowo poszła w zapomnienie.

Byk nie pozwolił sobie w żaden sposób okazywać niepokoju.

– To niedopuszczalne, panie Baca.

– Czemu pan tak uważa, sir?

Ashford zatrzymał się, oparł się szerokimi dłońmi na biurku i nachylił nad nim. Byk popatrzył w jego przekrwione oczy i zaczął się zastanawiać, czy kapitan sypia dostatecznie długo.

– Zabił pan członka mojej załogi – rzekł Ashford. – Zrobił pan to z wyraźną premedytacją. W obecności setki świadków.

– Cholera, jeśli mało panu świadków, są nagrania z monitoringu – odpowiedział Byk. To nie była odpowiednia reakcja.

– Zwalniam pana ze stanowiska, panie Baca. Pozostanie pan w swojej kajucie do czasu powrotu na stację Tycho, gdzie stanie pan przed sądem pod zarzutem morderstwa.

– Sprzedawał załodze narkotyki.

– W takim razie powinien był pan go *aresztować*!

Byk głęboko wciągnął powietrze, a potem powoli wypuścił je przez nos.

– Pańskim zdaniem, sir, jesteśmy bardziej stacją kosmiczną czy okrętem wojennym? – zapytał.

Ashford zmarszczył brwi i pokręcił głową. Siedząca z prawej strony Byka Pa poruszyła się na krześle. Kiedy żadne z nich się nie odezwało, Byk kontynuował.

– Pytam, bo jeśli jestem policjantem, to owszem, powinienem był go zabrać do aresztu, gdybyśmy go mieli. Powinien dostać obrońcę i przejść cały proces karny. Moim zdaniem? Nie sądzę, żeby to była stacja kosmiczna. Wydaje mi się, że jesteśmy na okręcie wojennym. Moim obowiązkiem jest utrzymanie dyscypliny w potencjalnej strefie działań wojennych. Nie dyscypliny floty Ziemi, nie dyscypliny floty Marsa. Dyscypliny SPZ. Na sposób Pasiarzy.

Ashford się wyprostował.

– Nie jesteśmy anarchistami – oświadczył głosem ociekającym pogardą.

– Może się myłę, ale w tradycji SPZ, jeśli ktoś zrobił coś świadomie zagrażającego bezpieczeństwu statku, musiał na piechotę znaleźć sobie jakieś miejsce z powietrzem – skomentował Byk.

– Wyciągnął go pan z kadzi z wodą. W jaki sposób zagrażał bezpieczeństwu statku? Rzucał w niego wodorostami? – zapytała nieco chwiejnym głosem Pa.

– Ludzie przychodzili do pracy naćpani – odpowiedział Byk, splatając palce na jednym z kolan. – Nie ufaj moim słowom, popytaj. Zresztą, w czym rzecz, przecież to oczywiste, prawda? Mamy trzy razy tyle do zrobienia, ile faktycznie możemy zrobić. Trochę magicznego pyłu i przestają czuć zmęczenie, nie robią przerw, nie zwalniają. Robią więcej. Problem z brakiem samooceny? Trzeba mieć dobrą samoocenę, żeby zauważyć jej brak. Mieliśmy już kilka wypadków, tylko kwestią czasu było, aż ktoś zginie. Albo zdarzy się coś gorszego.

– Twierdzi pan, że ten człowiek odpowiadał za złe zachowanie tych wszystkich ludzi w pracy i dlatego pan go zabił? – powiedział Ashford, ale wyraźnie stracił impet. Złoży się jak mokry karton.

Byk zrozumiał, że słabość Ashforda tym razem zadziała na jego korzyść, ale i tak wcale mu się to nie podobało.

– Twierdzą, że narażał bezpieczeństwo statku dla prywatnego zysku, dokładnie tak, jakby kradł filtry powietrza. I oczywiście, że to robił. Pojawilo się zapotrzebowanie, więc dostarczył towar. Gdybym go zamknął, to zdecydowanie zwiększyłoby ryzyko takich działań i podniosło ceny. Jeśli cię złapią, to może po powrocie na Tycho trafisz do więzienia.

– A pan dopilnował, żeby ryzykiem była śmierć.

– Nie – odpowiedział Byk. – To znaczy tak, jasne, ale go nie zastrzeliłem. Zrobiłem to, co wy robicie z ludźmi narażającymi statek. Pasiarze wiedzą, co oznacza wyrzucenie przez śluzę, prawda? To bardzo jasno naświetla całą sprawę.

– To był błąd.

– Mam listę pięćdziesięciu osób, którym sprzedał towar – odparł Byk. – Niektórzy to bardzo sprawni technicy, jest tam też kilku kierowników średniego szczebla. Moglibyśmy ich wszystkich zamknąć, ale wtedy mielibyśmy mniej ludzi do pracy. Zresztą, nie

będą już tego robić. Zniknęło źródło dostaw. Ale jeśli pan chce, mogę z nimi porozmawiać. Żeby wiedzieli, że mam na nich oko.

Śmiech Pa nie miał w sobie ani śladu rozbawienia.

– Nie będzie łatwo, jeśli będziesz siedział w areszcie – skomentowała.

– Nie mamy aresztu – odciął się Byk. – Według planu starsi Kościoła mieli po prostu wszystko wyjaśniać na zebraniach. – Starannie pilnował się, by w jego głosie nie zabrzmiał sarkazm.

Ashford się wahał. Przypominało to obserwowanie kota, który nie może się zdecydować, czy przeskoczyć z gałęzi na gałąź. Na jego twarzy rysowała się niepewność i próby podjęcia decyzji. Byk czekał.

– Nic takiego nigdy więcej się nie powtórzy – powiedział w końcu Ashford. – Jeśli uzna pan, że ktoś musi wylądować w służbie, przyjdzie pan z tym do mnie. To ja nacisnę przycisk.

– W porządku.

– Co w porządku? – rzucił cierpko Ashford.

Byk spuścił głowę, patrząc na podkład. Dostał to, czego chciał, więc mógł pozwolić Ashfordowi na poczucie zwycięstwa.

– Tak jest, kapitanie. Zdecydowanie potwierdzam. Rozumiem i będę posłuszny.

– Cholerna racja, że pan będzie – rzucił Ashford. – A teraz wracaj pan do pracy.

– Tak jest, sir.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Byk oparł się o ścianę i kilka razy głęboko odetchnął. Był głęboko świadomy odgłosów statku – niskiego szumu wymienników powietrza, odległego szumu głosów, dzwonków i elektronicznych sygnałów tysięcy różnych ostrzeżeń systemowych. Powietrze pachniało plastikiem i ozonem. Podjął duże ryzyko, ale się opłaciło.

Schodząc z powrotem poziom za poziomem, czuł na sobie uwagę załogi. W windzie jakiś mężczyzna próbował się na niego nie gapić. W korytarzu przed biurem ochrony jakaś kobieta uśmiechnęła się do niego i ukłoniła, choć nerwowo jak mysz przy kocie. Byk odpowiedział uśmiechem.

W biurze ochrony Serge i inny mężczyzna z zespołu – Europejczyk

imieniem Kazimierz – unieśli pięści na powitanie w geście Pasiarzy. Byk odpowiedział tak samo i podszedł do nich.

– Co mamy? – zapytał.

– Kilkadziesiąt osób przyszło z wyrazami szacunku – odpowiedział Serge. – W służbie pojawiło się dodatkowo z pół kilo pyłu.

– Czyli w porządku.

– Mam akta wszystkich, którzy tam weszli. Mam ich oznaczyć w systemie?

– Nie – odpowiedział Byk. – Powiedziałem im, że to nic wielkiego, i to faktycznie nic wielkiego. Możesz skasować plik.

– Załatwione, szefie.

– Będę w swoim biurze – rzucił Byk. – Dajcie znać, gdyby coś się działo. I niech ktoś nastawi kawę.

Usiadł na biurku, opierając się stopami na krześle i nachylił się do przodu. Nagle poczuł się wyczerpany. To był bardzo długi i zły dzień, a utrata niepokoju zbierającego się od tygodni była niczym zwolnienie z więzienia. Potrzebował minuty albo dwóch na zauważenie, że czeka na niego wiadomość od Michio Pa. Pierwsza oficer nie przesłała prośby o połączenie, czyli nie chciała z nim rozmawiać, a tylko coś powiedzieć.

Na nagraniu jej twarz podświetlona była od dołu blaskiem ekranu ręcznego terminala. Uśmiech na twarzy był wąski, wątpy i jakby niknął gdzieś w okolicach kości policzkowych.

– Widziałam, co zrobiłeś. Ładnie rozegrane, bardzo sprytne. Owinąłeś się flagą SPZ i zmusiłeś staruszkę do zastanowienia się, czy załoga nie stanie po twojej stronie. Bardziej pasiarski od ciebie. To było *wdzięczne*.

Byk podrapał się po brodzie. Szczecina, która pojawiła się tam od rana, sprawiła, że paznokcie wydały dźwięk podobny do przesuwania po pilniku. Prawdopodobnie nie mógł liczyć na to, że to zagranie nie przysporzy mu wrogów, ale było mu przykro, że trafiło na Pa.

– Ze mną ci się tak nie uda. Oboje wiemy, że zabicie kogoś nie robi z ciebie miłego faceta i nie zamierzam tego zapomnieć. Mam tylko nadzieję, że zostało ci dość duszy, żeby cię to męczyło.

Nagranie się zakończyło, a Byk zobaczył w ekranie odbicie swojego

zmęczonego uśmiechu.

– Za każdym razem – odpowiedział to ręcznego terminala. – I następnym razem też.

# Rozdział dziesiąty

## *Holden*

*Rosynant* nie był małym statkiem. Jego standardową załogę stanowiło dwanaście osób, włącznie z oficerami, a podczas wielu misji miał też przewozić sześcioro marines. Obsługa *Rosa* przez cztery osoby oznaczała, że każdy wykonywał pracę przewidzianą dla kilku osób i nikt nie miał wiele wolnego czasu, ale też dzięki temu z początku dość łatwo było unikać czwórki obcych na statku. Ponieważ ekipa dokumentalistów miała zakaz wchodzenia na mostek, pokład ze służą, do warsztatu i maszynowni, w praktyce ograniczało ich to do dwóch pokładów załogowych z dostępem tylko do swoich kajut, łazienki, kambuza i szpitala okrętowego.

Monika była uroczą osobą. Spokojną, przyjazną, charyzmatyczną. Jeśli choć część jej uroku przenosiła się na drugą stronę kamery, nietrudno było zrozumieć, dlaczego zrobiła taką karierę. Pozostali – Okju, Clip i Cohen – wykonywali jawne gesty przyjaźni, żartując z załogą *Rosynanta* i szykując posiłki. Wyciągali do nich rękę, choć dla Holdena nie było jasne, czy to zwykły gest dobrej woli, typowy dla nowej załogi wyruszającej w dłuższy rejs, czy też coś bardziej wyrachowanego. Może było to i jedno, i drugie.

Widział natomiast, że jego załoga się zamyka. Po dwóch dniach pobytu na pokładzie zespołu dokumentalistów Naomi po prostu wycofała się na mostek, gdzie była niedostępna. Amos bez przekonania spróbował flirtu z Moniką i trochę bardziej poważnie z Okju. Kiedy obie próby zakończyły się porażką, zaczął spędzać

większość czasu w warsztacie. Z nich wszystkich tylko Aleks poświęcał czas na kontakty towarzyskie z pasażerami, choć i on niezbyt często. Zaczął sypiać na fotelu pilota.

Zgodzili się na udzielenie wywiadów i Holden wiedział, że nie będą mogli tego unikać w nieskończoność. Nie lecieli jeszcze nawet od tygodnia, a nawet przy locie ze sporym ciągiem dotarcie do celu zajmie im całe miesiące. Zresztą, było to jeden z warunków kontraktu. Związany z tym dyskomfort był prawie dostatecznie duży, by odwrócić jego uwagę od faktu, że każdego dnia coraz bardziej zbliżał się do Pierścienia i tego, do czego chciał go tam ściągnąć Miller. Prawie.

– Dzisiaj sobota – zauważyła Naomi.

Leżała w pryczy przeciążeniowej przy konsoli łączności. Od jakiegoś czasu nie ścinała włosów i zaczęły się robić na tyle długie, że jej przeszkadzały. Ostatnie dziesięć minut spędziła, próbując splatać je w warkocz, jednak gęste loki opierały się jej próbom, wyglądało to tak, jakby poruszały się kierowane własną wolą. Holden z doświadczenia wiedział, że takie próby stanowią preludium do skrócenia ich o połowę w akcie rozpacz. Naomi bardzo podobał się pomysł zapuszczenia długich włosów, jednak za każdym razem przegrywała w starciu z rzeczywistością. Holden siedział przy panelu kierowania walką i obserwował jej zmagania, pozwalając swoim myślom płynąć swobodnie.

– Słyszałeś? – zapytała.

– Dzisiaj sobota.

– Zapraszamy gości na kolację?

Stało się to już pokładową tradycją, że załoga próbowała się zebrać na wspólną kolację choć raz w tygodniu. Dzięki ogólnemu porozumieniu zwykle była to właśnie sobota. Wybór dnia tygodnia tak naprawdę nie miał większego znaczenia na statku, jednak dzięki zbieraniu się w sobotę Holden miał wrażenie, że mogli choć w niewielkim stopniu świętować kończący się tydzień i początek nowego. Było to łagodne przypomnienie, że poza ich czwórka wciąż istniał Układ Słoneczny.

Nie pomyślał jednak o zaproszeniu zespołu dokumentalistów do

przyłączenia się do nich. Odczuwał to jak wtargnięcie. Sobotnia kolacja była dla załogi.

– Nie możemy ich przegonić. – Westchnął. – Prawda?

– Nie, chyba że chcemy jeść kolację tutaj. Pozwoliłeś im na swobodne wchodzenie do kambuza.

– Szlag – rzucił. – Należało ich zamknąć w kabinach.

– Na cztery miesiące?

– Moglibyśmy im wsuwać pod drzwiami racje żywniowe i worki do cewników.

– Dzisiaj kolej Amosa na gotowanie – odpowiedziała z uśmiechem.

– Racja. Zadzwoń i powiem mu, że będzie nas ośmioro.

\* \* \*

Amos ugotował makaron z grzybami, dodając dużo czosnku i parmezanu. Było to jego ulubione danie i zawsze starał się kupić prawdziwy czosnek i parmezan. Kolejny drobny luksus, na który nie byłoby ich stać, gdyby przegrali sądową bitwę z Marsem.

Podczas gdy Amos kończył podsmażanie grzybów z czosnkiem, Aleks zastawiał stół i zbierał zamówienia na napoje. Holden siedział obok Naomi po jednej stronie stołu, a cała ekipa filmowa usiadła po przeciwnej. Rozmowy były uprzejme i przyjazne, a jeśli nawet pod tym wszystkim wciąż krył się jakiś dyskomfort, nie był do końca pewien jego powodów.

Holden poprosił ich, żeby nie zabierali do stołu sprzętu do nagrywania, a Monika się zgodziła. Clip, Marsjanin, rozmawiał z Alekssem o historii sportu. Siedzący naprzeciw Naomi Okju i Cohen opowiadali historie o swojej ostatniej wyprawie, podczas której nagrywali reportaż o nowej stacji naukowej na orbicie stacjonarnej Merkurego. Powinno być przyjemnie, a jednak z jakiegoś powodu nie było.

– Zwykle nie jemy tak dobrze podczas lotów, ale próbujemy zorganizować coś miłego na cotygodniowe wspólne kolacje – odezwał się Holden.



– Pachnie wspaniale – skomentowała Okju z uśmiechem. Miała sześć pierścionków na palcach, bluzkę zapinaną na guziki, srebrny naszyjnik i grzebień w kolorze kości słoniowej, utrzymujący w porządku jej kasztanowe włosy.

Dźwiękowiec łagodnie wpatrywał się w przestrzeń zza czarnych okularów ukrywających górną część twarzy, na której malował się spokój. Monika z lekkim uśmiechem na ustach bez słowa przyglądała się, jak Holden lustruje jej zespół.

– Żarcie – rzucił Amos, a potem zaczął stawiać na stole miski z jedzeniem. Gdy porcje były powoli przekazywane dalej wokół stołu, Okju schyliła się i zaczęła coś cicho mamrotać. Holden potrzebował chwili, by zrozumieć, że kobieta się modli. Od lat, od kiedy opuścił dom, nie widział nikogo, kto by to robił. Caesar, jeden z jego ojców, czasami modlił się przed posiłkami. Holden poczekał, aż Okju skończy, zanim zaczął jeść.

– To było bardzo miłe – skomentowała Monika. – Dziękuję.

– Proszę bardzo – odpowiedział Holden.

– Wylecieliśmy z Ceres tydzień temu – powiedziała po chwili – i chyba wszyscy już się rozgościliśmy. Zastanawiałam się, czy może moglibyśmy zaplanować jakieś wstępne wywiady? Głównie w celu przetestowania sprzętu.

– Możesz zrobić wywiad ze mną – Amos rzucił z nieco obleśnym uśmiechem.

Monika uśmiechnęła się do niego i wbiła widelec w grzyba, a potem patrzyła na niego, wkładając potrawę do ust i żując powoli.

– W porządku – powiedziała. – Możemy zacząć od informacji o pochodzeniu. Baltimore?

Cisza zrobiła się nagle bardzo krucha. Amos zaczął wstawać, ale powstrzymała go łagodna dłoń Naomi. Otworzył usta, zamknął je, a potem spuścił wzrok na talerz z jaskrawoczerwoną skórą na zwykle bladej głowie i szyi. Monika popatrzyła na swój talerz z wyrazem twarzy gdzieś w pół drogi między zawstydzeniem a irytacją.

– To nie jest dobry pomysł – odezwał się Holden.

– Doskonale rozumiem kwestie prywatności pana i pańskiej załogi, kapitanie, ale mamy umowę. I z całym należnym szacunkiem, traktuje

pan mnie i moich ludzi, jakbyśmy nie byli tu mile widziani.

Jedzenie na stole zaczynało stygnąć. Prawie nikt go nie ruszał.

– Rozumiem. Dotrzymała pani swojej strony umowy – stwierdził Holden. – Wydostała mnie pani z Ceres i przelała pieniądze na nasze konto. Za to my nie wywiązywaliśmy się ze zobowiązań. Rozumiem. Na początek zaplanuję godzinę na jutro, może być?

– Jasne – zgodziła się. – Zjedzmy.

– Baltimore, co? – Clip zwrócił się do Amosa. – Jesteś fanem futbolu? Amos nie odpowiedział, a Clip nie napierał.

\* \* \*

Po kolacji w nieprzyjemnej atmosferze Holden pragnął jedynie schować się do łóżka, jednak kiedy szorował zęby w łazience, Aleks wszedł tam, udając niedbałość, i odezwał się do niego.

– Przyjdź na mostek, kapitanie. Musimy porozmawiać.

Kiedy Holden poszedł za nim, na miejscu zastał Amosa i Naomi, która leżała rozłożona na pryczy przeciążeniowej z rękami za głową. Amos siedział na brzegu swojej z obiema stopami na podłodze i dłońmi zaciśniętym przed sobą w pięści. Jego twarz wciąż emanowała złością.

– No więc, Jim – zaczął Aleks, podchodząc do kolejnej pryczy i opadając na nią – to nie jest dobry początek.

– Wyszukała informacje na nasz temat – powiedział Amos w przestrzeń, wciąż wbijając spojrzenie w podłogę. – Rzeczy, których nie powinna wiedzieć.

Holden rozumiał, co Amos miał na myśli. Wspomniane przez Monikę Baltimore było aluzją do dzieciństwa Amosa, który przyszedł na świat w wyniku szczególnie nieprzyjemnej odmiany nielicencjonowanej prostytucji. Tylko że Holden nie mógł wyznać, że wiedział, o co chodzi, ponieważ dowiedział się o tym dzięki podsłuchanej rozmowie. Nie chciał jeszcze bardziej zawstydząć Amosa.

– Jest dziennikarką, oni robią wywiad na temat swoich ofiar –

skomentował.

– Ona jest kimś więcej – odpowiedziała Naomi. – Jest bardzo miła, urocza i przyjazna, a każdy z nas na statku chce ją polubić.

– To jakiś problem? – zapytał Holden.

– To cholernie wielki problem – warknął Amos.

– Miałem powód, żeby latać na *Canterbury*, Jim – odezwał się Aleks. Jego akcent z doliny Marinera przestał brzmieć zabawnie i w tej chwili wydawał się zwyczajnie smutny. – Nie chcę, żeby ktoś grzebał w mojej szafie za szkieletami i wystawiał je na widok publiczny.

*Canterbury*, lodowcowiec, na którym wszyscy pracowali przed incydem z Erose, był bardzo nisko ocenianym miejscem dla ludzi zarabiających na życie lataniem. Przyciągał osoby, które wykazały się wyjątkową niekompetencją lub które nie zaliczyłyby kontroli bezpieczeństwa, wymaganych na lepsze stanowiska. Bądź, jak w jego przypadku, którzy zostali dyscyplinarnie zwolnieni z wojska, przez co jego akta nie wyglądały dobrze dla potencjalnych pracodawców. Po wspólnym wieloletnim lataniu ze swoją małą załogą Holden wiedział, że to nie brak kompetencji doprowadził ich na tamten statek.

– Wiem – powiedział.

– Ze mną jest tak samo – dorzucił Amos. – Mam sporo zaszłości.

– Ja też – dodała Naomi.

Holden zaczął odpowiadać, gdy dotarło do niego znaczenie jej słów. Naomi ukrywała coś, co doprowadziło ją do przyjęcia nieco lepiej nazwanej pracy mechanika na *Canterbury*. Cóż, oczywiście. Holden nie chciał się nad tym zastanawiać, choć było to oczywiste. Była najbardziej utalentowanym inżynierem, jakiego kiedykolwiek spotkał. Wiedział, że ma dyplomy dwóch uniwersytetów i w dwa lata ukończyła trzyletni program szkolenia oficerskiego. Zaczęła karierę, ewidentnie mierząc w stanowiska dowodzenia. Coś się wydarzyło, ale nigdy nic nie mówiła na ten temat. Zmarszczonymi brwiami posłał jej pytanie, ale zablokowała je drobnym potrząśnięciem głowy.

Z pełną siłą uderzyła go myśl, jak krucha była ich niezwykła rodzina. Ścieżki, które doprowadziły ich do spotkania, były tak różne i tak nieprawdopodobne, jak to zwykle bywa w prawdziwym świecie. A wszechświat nie mógł ich łatwo rozdzielić. Poczul się mały, podatny

na ataki i nastawiony defensywnie.

– Wszyscy pamiętają, dlaczego się na to zgodziliśmy, prawda? – zapytał Holden. – Blokada? Mars próbujący odzyskać *Rosynanta*?

– Nie mieliśmy wyboru – przypomniała Naomi. – Wiemy. Wszyscy zgodziliśmy się przyjąć zlecenie.

Amos potakująco kiwnął głową.

– Nikt nie twierdzi, że nie powinniśmy go przyjmować – powiedział Aleks. – Mówimy po prostu, że grasz pierwsze skrzypce w tej kapeli.

– Właśnie – potwierdziła Naomi. – Musisz być dla nich tak ciekawy, żeby ekipa zapomniała o reszcie załogi. To twoja praca na resztę lotu. Tylko tak może się to udać.

– Nie – rzucił Amos, wciąż nie podnosząc głowy. – *Jest* inny sposób, ale nigdy jeszcze nie wyrzuciałem ślepcy przez śluzę i nie wiem, jakby się z tym czuł. Może nie być fajnie.

– Dobra – odpowiedział Holden, uspokajającym gestem poklepując powietrze. – Rozumiem. Będę utrzymywał kamery z dala od was najdłużej jak się da, ale to długa podróż. Bądźcie cierpliwi. Kiedy dotrzemy do Pierścienia, może się nami znudzą i będziemy mogli ich przepchnąć na jakiś inny statek.

Przez chwilę wszyscy milczeli, w końcu Aleks pokiwał głową.

– Cóż – odezwał się. – Chyba właśnie znaleźliśmy jedyny powód, dzięki któremu będę miał ochotę się *tam* znaleźć.

\* \* \*

Holden obudził się gwałtownie, energicznie pocierając swędzące miejsce na nosie. Miał uczucie, jakby prawie pamiętał, że coś próbowało mu tam wpełznąć. Na statku nie było żadnych robali, więc to musiał być sen. Choć swędzenie było jak najbardziej rzeczywiste.

– Przepraszam, miałem zły sen czy coś – powiedział i poklepał łóżko obok. Było puste. Naomi musiała wyjść do łazienki. Kilka razy głośno wciągnął i wydmuchał powietrze przez nos, próbując pozbyć się swędzenia w środku. Przy trzecim wydmuchu z jego nosa wyleciał niebieski świetlik. Do Holdena dotarła delikatnie octanowa woń w

powietrzu.

– Musimy porozmawiać. – Z ciemności rozległ się znajomy głos.

Holdena ścisnęło w gardle, a serce mu przyśpieszyło. Nasunął sobie na twarz poduszkę i zdusił chęć krzyku z frustracji i złości, gdy jego pierś ścisnął znajomy strach.

– Bo wiesz. Był taki żółtodziób – zaczął Miller. – Dobry dzieciak, ale ty byś go nie lubił.

– Nie zniosę już tego – jęknął Holden, odsuwając poduszkę od twarzy i rzucając nią w stronę głosu Millera. Uderzył dłonią w panel przy łóżku, zapalając światło w pokoju.

Miller stał przy drzwiach z poduszką za plecami, mając na sobie ten sam wymięty, szary garnitur i kapelusz pork pie, co zawsze, nerwowo przebierał palcami, jakby coś go swędziało.

– Nigdy nie nauczył się sprawdzać pomieszczeń, wiesz? – mówił dalej Miller. Miał czarne wargi. – Kąty i drzwi. Próbowałem mu powiedzieć. To zawsze kąty i drzwi.

Holden sięgnął do panelu łączności, by wywołać Naomi, ale znieruchomiał. Pragnął, by tu była, żeby duch zniknął w jej obecności, jak działa się to do tej pory. Ale bał się też, że tym razem będzie inaczej.

– Słuchaj, musisz oczyścić pokój – powiedział Miller z twarzą wykrzywioną zmieszaniem i intensywnymi emocjami, jak u naćpanego, który próbuje sobie przypomnieć coś ważnego. – Jeśli nie oczyścisz pokoju, pokój cię zje.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytał Holden. – Dlaczego mnie zmuszasz do lotu w to miejsce?

Twarz Millera wykrzywiła silna irytacja.

– A co ja ci właśnie *powiedziałem*? Jak widzisz pokój pełen kości, to wiesz tylko, że coś *zginęło*. Jesteś drapieżnikiem aż do chwili, gdy stajesz się zdobyczą. – Urwał, patrząc na Holdena. Czekał na odpowiedź. Kiedy Holden nie odpowiedział, Miller podszedł krok bliżej do łóżka. Coś w jego twarzy przywołało wspomnienia tych sytuacji, gdy oglądał, jak gliniarz strzela do ludzi. Otworzył szafkę przy łóżku i wyciągnął z niej pistolet.

– Nie podchodź bliżej – powiedział Holden ostrzegawczo, jeszcze nie

celując w Millera. – Choć szczerze mówiąc, jeśli cię zastrzelę, czy ty w ogóle zginiesz?

Miller się roześmiał. Jego twarz zrobiła się prawie ludzka.

– To zależy.

Otworzyły się drzwi i Miller błyskawicznie zniknął. Naomi weszła ubrana w szlafrok, niosła bańkę z wodą.

– Nie śpisz?

Holden kiwnął głową, a potem otworzył szafkę i z powrotem schował pistolet. Wyraz jego twarzy musiał Naomi wszystko wyjaśnić.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. Zniknął w chwili, gdy otworzyłaś drzwi.

– Wyglądasz na przerażonego – skomentowała Naomi, odstawiając wodę i wsuwając się pod kołdrę obok niego.

– Teraz jest straszniejszy. Wcześniej myślałem... właściwie to nie wiem, co myślałem. Ale od kiedy wiedział o wrotach, ciągle próbuję odszyfrować, o co mu naprawdę chodzi. Było mi łatwiej, gdy mogłem uważać to za coś w rodzaju szumu. Że to... że jego słowa nic nie znaczą.

Naomi przytuliła się do jego boku, obejmując go ramieniem. Poczuł, że jego mięśnie się rozluźniają.

– Nie możemy pozwolić, żeby Monika i jej ekipa się o tym dowiedzieli – stwierdził.

Uśmiech Naomi był prawie smutny.

– Co?

– James Holden, który nie mówi wszystkim wszystkiego – powiedziała.

– To nie tak.

– Wiem.

– Co powiedział? – zapytała Naomi. – Miało to jakiś sens?

– Nie. Ale wszystko dotyczyło śmierci. Wszystko, co mówi, dotyczy śmierci.

\* \* \*

W ciągu kolejnych tygodni wszyscy na statku popadli w rutynę, która choć nie do końca wygodna, przynajmniej obejmowała całą załogę. Holden spędzał czas z ekipą dokumentalną, dając się filmować, pokazując im statek i odpowiadając na pytania. Jak wyglądało jego dzieciństwo? Było pełne miłości, złożone i słodko-gorzkie. Czy naprawdę ocalił Ziemię, przekonując na wpół świadomą dziewczynę, która stała się zarodkiem krystalizacji protomolekuły, do skierowania się na Wenus? Nie, to raczej po prostu szczęśliwie się złożyło. Czy było coś, czego żałował?

Uśmiechnął się i odpowiedział, udając, że niczego nie ukrywa. Że jedyne, co prowadzi go do Pierścienia, to podpisany z nimi kontrakt. Że nie został wybrany przez protomolekułę do jakiegoś innego zadania, którego jeszcze nawet nie zaczął rozumieć.

Czasami Monika zwracała się do pozostałych, ale Aleks i Naomi udzielali bardzo przyjaznych, uprzejmych i bardzo płytkich odpowiedzi. Amos przeplatał swoje teksty radosnymi i bardzo obrazowymi wulgaryzmami, których prawie nie dało się wyciąć w edycji wypowiedzi dla cywilizowanej widowni.

Cohen okazał się być kimś więcej niż tylko dźwiękowcem. Jego czarne okulary kryły system sonaru, dzięki któremu potrafił tworzyć trójwymiarowy model każdej zajmowanej przez siebie przestrzeni. Kiedy Amos zapytał, dlaczego zamiast tego nie zainstalował sobie protez, Cohen wyjaśnił, że w wypadku stracił nie tylko oczy, ale też zostały wypalone nerwy wzrokowe. Próba zregenerowania ich zawiodła i prawie doprowadziła do jego śmierci niekontrolowanym rozrostem nowotworu mózgu. Z drugiej strony interfejs, który pozwalał mózgowi na tłumaczenie danych sonaru w działający trójwymiarowy obraz, uczynił go przy okazji wyjątkowym fachowcem od modelowania efektów wizualnych. W czasie gdy Monika rozwijała opowieść o życiu Holdena po zniszczeniu *Canterbury*, Cohen tworzył piękne wizualne renderingi scen. Raz pokazał załodze krótki film z Holdenem opowiadającym o ucieczce z Erosa po uwolnieniu tam protomolekuły, a równocześnie wydawał się poruszać idealnie odtworzonymi korytarzami Erosa pełnymi ciał.

Holden prawie zaczął czerpać przyjemność z wywiadów, ale mógł

oglądać sceny z Erosa tylko kilka sekund, zanim poprosił Cohena o wyłączenie ich. Był pewien, że ich widok w jakiś sposób wywoła Millera, ale tak się nie stało. Holden nie lubił wspomnień towarzyszących ich historii. Ekipa dokumentalistów dostosowała się do tego, nie zmuszając go do wynurzeń głębszych, niż było to konieczne. Fakt, że byli dla niego mili, w jakiś sposób tylko pogorszył samopoczucie Holdena.

Tydzień lotu od Pierścienia dogonili *Behemota*. Monika siedziała na mostku z załogą, gdy olbrzymi okręt SPZ znalazł się w końcu na tyle blisko, by dobrze go było widać w teleskopach *Rosa*. Holden pozwolił, by wcześniejsze ograniczenia wstępu na pokłady z czasem wygasły.

Przesuwali powoli obraz wzdłuż kadłuba *Behemota*, gdy Aleks zagwizdał i wskazał na wyrzuczenie na jego boku.

– Cholera, szefie, mormoni są lepiej uzbrojeni, niż to zapamiętałem. Mają tu wieżyczkę działa szynowego, a założę się o desery z całego tygodnia, że to tutaj to wyrzutnie torped.

– Bardziej podobał mi się jako statek pokoleniowy – odpowiedział Holden. Wywołał konsolę bojową i polecił *Rosynantowi* zaklasyfikować nowy kadłub jako pancernik klasy *Behemot* i dodać do profilu wszystkie stanowiska bojowe oraz uzbrojenie.

– Tego rodzaju kradzież może ujść na sucho tylko rządowi – skomentował Amos. – Wygląda na to, że SPZ jest już teraz całkiem prawdziwym rządem.

– Właśnie – zgodził się Aleks ze śmiechem.

– Mars zgłasza podobne roszczenia do nas – przypomniał Holden.

– I gdybyśmy to *my* rozwalili ich pancernik przed odlotem na tej łajbie, mieliby jakieś uzasadnienie tego faktu – rzucił Amos. – Ale jak ostatnio sprawdzałem, zrobiły to zbiry.

Naomi nie przyłączyła się do rozmowy. Pracowała nad czymś na konsoli łączności. Holden widział, że to coś złożonego, bo nuciała cicho pod nosem.

– Byliście wcześniej na *Nauvoo*, prawda? – zapytała Monika.

– Nie – odparł Holden. *Rosynant* zaczął wyrzucać na jego ekran szybki strumień danych. Obliczenia rzeczywistej siły bojowej *Behemota*. – Wciąż nad nim pracowali, gdy pierwszy raz dotarłem na



stację Tycho, a kiedy zacząłem pracować dla Freda Johnsona, wysłali już *Nauvoo* w stronę Erosa, a potem leciał poza Układ Słoneczny. Choć raz miałem okazję przejść się po statku, który wysłali do przechwycenia go.

*Rosynant* wyświetlał dziwne przewidywania. Okręt wydawał się uważać, że *Behemot* nie dysponował wytrzymałością strukturalną wymaganą do utrzymania liczby i wielkości zainstalowanych na nim obecnie stanowisk uzbrojenia. Właściwie z obliczeń wynikało, że jeśli pancernik SPZ kiedyś wystrzeli równocześnie z dwóch olbrzymich dział szynowych, istniało trzydziestoczworoprocentowe prawdopodobieństwo rozerwania kadłuba. Żeby się czymś zająć, Holden polecił *Rosowi* przygotować pakiet taktyczny do walki z *Behemotem*, a następnie wysłać go Aleksowi i Naomi. Prawdopodobnie nigdy nie będzie im potrzebny.

– Nie podobała ci się praca dla SPZ? – zainteresowała się Monika. Na jej twarzy pojawił się uśmiezek częsty w sytuacjach, gdy zadawała pytanie, na które znała już odpowiedź.

Holden podejrzewał, że dziennikarka kiepsko grała w pokera, ale jak dotąd nie zdołał jej namówić do gry.

– Sytuacja była złożona – odpowiedział, zmuszając się do uśmiechu. Do stania się Jamesem Holdenem, którego Monika chciała i oczekiwała. Do poświęcenia się jej uwadze, żeby zostawiła w spokoju pozostałych.

– Jim? – Naomi odezwała się, podnosząc wzrok znad swojego panelu. – Pamiętasz ten wyciek pamięci, który od miesiąca próbuję wyśledzić? Pogarsza się. I doprowadza mnie do szału.

– Jak źle to wygląda? – zapytał Aleks.

– Waha się w zakresie od 0,0021 a 0,033 procent – odparła. – Muszę teraz co kilka dni robić restarty.

Amos się roześmiał.

– Naprawdę nam to przeszkadza? Bo przebijam wyciekami zasilania w łazience, który sięga prawie jednego procenta.

Naomi obróciła się w jego stronę, marszcząc brwi.

– Nic nie mówiłeś!

– Założę się o miesięczną gażę, że to zużyta dioda w lampie.

Wyciągnę dziada, gdy tylko będę miał okazję.

– Często zdarzają się takie rzeczy? – zapytała Monika.

– Cholera, nie. – Aleks odpowiedział przed Holdenem. – *Ros* jest porządny.

– Właśnie – potwierdził Aleks. – Jest tak porządnie zmontowany, że musimy się przejmować bzdetami w rodzaju minimalnych wycieków pamięci i kiepskimi żarówkami tylko po to, żeby mieć jakieś zajęcie. – Uśmiech, który posłał Monice wyglądał całkiem jak prawdziwy.

– Tak naprawdę nie odpowiedziałeś na moje pytanie dotyczące SPZ – zauważyła Monika, obracając fotel w stronę Holdena. Wskazała na mapę zagrożeń *Behemota* utworzoną przez *Rosa*, ze stanowiskami uzbrojenia niczym czerwonymi pryszczami na skórze. – Między wami wszystko w porządku?

– Jasne, nadal jesteśmy przyjaciółmi – zapewnił Holden. – Nie ma się czym przejmować.

Na konsoli rozbłysła kontrolka ostrzeżenia zbliżeniowego, gdy *Behemot* błysnął na nich laserowym dalmierzem. Odpowiedzieli tym samym. Żadnych laserów celowniczych, po prostu dwa statki upewnijające się, że nie grozi im przesadne zbliżenie.

Nie ma się czym przejmować.

Jasne.

# Rozdział jedenasty

## *Melba*

Stanni stał tuż za lewym ramieniem Melby, patrząc na wyświetlacz. Jego dłoń ocierała się o gładką tkaninę roboczych spodni, jakby próbował rozmasować skurcz mięśnia. Melba nauczyła się już, że jest to u niego oznaka nerwowości. Ciasne przestrzenie *Cerisiera* wymusiło na nich taką bliskość, że czuła ciepło jego ciała, emanujące na tył jej szyi. W każdym innym kontekście przebywanie tak blisko mężczyzny oznaczałoby wspólną intymną chwilę, ale tutaj nie znaczyło niczego. Nie była tym nawet zirytowana.

– Mira – odezwał się Stan, klepiąc dłońią. – La. Dokładnie tutaj.

Monitor był stary, z zielonym pikselem wypalonym w lewym dolnym rogu, gdzie jakaś usterka okazała się nie do naprawienia, ale też nie była na tyle szkodliwa, by wymienić urządzenie. I tak oferował lepszą rozdzielczość niż ręczny terminal. Dla niewyszkolonego oka profil poboru mocy FONZ *Thomas Prince* mógł być odczytem sygnału EEG, profilem sejsmologicznym lub spektrum nagrania muzyki bhangra. Jednak w ciągu ostatnich tygodni – właściwie już miesięcy – oko Melby przestało być niewyszkolone.

– Widzę – powiedziała, przystawiając palec do piku. – I nie potrafimy stwierdzić, skąd się to bierze?

– Za cholerę – potwierdził Stanni, pocierając udo. – Widzę to, ale tak naprawdę nie wiem, na co patrzę.

Melba przesunęła językiem po tylnej stronie zębów, skupiając się na próbie przypomnienia sobie, co w filmach szkoleniowych mówiono

o wykrywaniu źródła skoków napięcia. W pewien sposób jej brak doświadczenia okazał się korzystny dla zespołu. Stanni, Ren, Bob i Soledad mieli więcej od niej praktycznego doświadczenia, ale ona wciąż miała świeżo w pamięci podstawy. Czasami po prostu wiedziała proste rzeczy, które pozostali kiedyś też wiedzieli, tylko że zdążyli już o nich zapomnieć. Podchodziła do problemów wolniej, ale nie pomijała kroków procedur, bo jeszcze nie wiedziała, które można pominąć.

– Czy to się zaczęło po zwrocie do hamowania? – zapytała.

Stanni sapnął jak ktoś uderzony w czułe miejsce.

– Przeszli w stan nieważkości i zresetował się jeden z regulatorów – powiedział. – Przynajmniej to nic poważnego. Tylko wstyd wysłuchać teraz całego tego y sa. W każdym razie musimy tam wrócić i je sprawdzić.

Melba przytaknęła i zanotowała sobie w pamięci, żeby przeczytać opis wymaganej procedury, bo tym razem po prostu przypomniawszy sobie nieustannie powtarzany w materiałach szkoleniowych truizm, że punkt podróży, podczas którego statek wyłączał ciąg, odwracał się i zaczynał hamować, wymagał szczególnej uwagi.

– Wpiszę to do grafika – powiedziała i wywołała harmonogram zespołu.

Za dziesięć dni było wolne miejsce z dostateczną ilością czasu, by ponownie odwiedzić okręt. Zablokowała ten czas, opisała go i przesłała aktualizację dla zespołu. Wszystko to było już dla niej całkiem naturalne, jakby zajmowała się tym całe życie. W pewnym sensie tak właśnie było.

Flotylla zbliżała się do kresu podróży. Orbitę Urana przekroczyli już kilka tygodni temu, a Słońce było tylko jasną gwiazdą w przemożnej otchłani kosmosu. Wszystkie strumienie ognia skierowane były teraz w stronę Pierścienia, z każdą minutą zmniejszając ich prędkość. Choć był to standardowy sposób działania dla statków z silnikami Epsteina, Melba nie potrafiła się pozbyć wrażenia, że wszyscy próbują uciec przed celem podróży, lecz są do niego przyciągani wbrew własnej woli.

O ile nie rozmawiali o pracy, jedynym tematem rozmów – w mesie,

przy urządzeniach do ćwiczeń i podczas lotów promami do i z obsługiwanych statków – był Pierścień. Marsjańskie statki badawcze z eskortą były już na miejscu, zaglądając w głąb, ale we flocie nie publikowano żadnych oficjalnych raportów, więc zamiast nich szerzyły się plotki. Każda wiązka światła, która przechodziła przez Pierścień i trafiała w coś, odbijała się z powrotem, zupełnie jak w zwykłej przestrzeni, jednak w miarę zbliżania się do struktury niepokojąco zmieniało się kilka stałych. Mikrofalowe promieniowanie tła dochodzące z wnętrza Pierścienia było starsze od wielkiego wybuchu. Ludzie twierdzili, że jeśli uważnie wsłuchać się w szum z drugiej strony Pierścienia, można w nim było usłyszeć głosy martwych z Erosa albo potępionych. Melba słyszała lęk w głosach innych ludzi; widziała, jak Soledad wykonuje znak krzyża, gdy sądziła, że nikt nie patrzy, i czuła przytłaczającą masę obiektu. Rozumiała narastający strach nie dlatego, że sama go czuła, ale dlatego, że zbliżał się jej prywatny punkt kryzysowy.

Olbrzymi okręt bojowy SPZ miał wkrótce dotrzeć na miejsce, niemal równocześnie z flotyllą Ziemi. To jeszcze nie była kwestia dni, ale już wkrótce będzie... *Rosynant* zdołał już wyprzedzić wolniejszego *Behemota*. Statek z Holdenem na pokładzie wyłaniał się z sfery Słońca, a ich ścieżki wkrótce się skrzyżują. Wtedy nastąpi atak i publiczne upokorzenie Jamesa Holdena, a po nim jego śmierć. A później...

Dziwne było myśleć o tym, co będzie później. Im bardziej się nad tym zastanawiała, tym bardziej odpowiadała jej myśl o pozostaniu w życiu Melby. Nie było powodu, by tego nie zrobić. Clarissa Mao nie miała niczego, niczym nie rozporządzała, była nikim, a Melba Koh miała przynajmniej pracę. Jakąś historię. To była całkiem przyjemna myśl, tym bardziej atrakcyjna, że niemożliwa. Wróci do domu, znowu stanie się Clarissą i zrobi wszystko, co będzie mogła, by przywrócić dobre imię jej rodziny. Tego wymagał honor. Zostanie tutaj oznaczałoby stanie się kimś takim jak Julie.

Dorastając, Clarissa równocześnie podziwiała starszą siostrę i nie znosiła jej. Ta ładna Julie. Bystra. Mistrzyni wyścigów regatowych. Julie, która umiała rozbawić ojca. Julie, która nie robiła niczego złego. Petyr był młodszy od Clarissy, więc zawsze mniej od niej znaczył.

Bliźniaki, Michael i Anthea, zawsze żyły we własnym świecie, dzieląc się żartami i komentarzami zrozumiałymi tylko dla nich, więc czasami czuła się bardziej gościem niż członkiem rodziny. Julie była najstarsza, taka jak Clarissa chciałyby być. Była wzorem do pokonania. I nie tylko Clarissa patrzyła na Julie w ten sposób, tak traktowała ją również matka. To właśnie najbardziej zbliżało Clarissę do mamy.

A potem coś się stało. Julie odeszła od nich wszystkich, ścięła włosy, porzuciła szkołę i zniknęła w czerni. Pamiętała reakcję ojca, gdy usłyszał o tym przy kolacji. Jedli jak u murgh kari w nieformalnej jadalni z widokiem na park. Właśnie wróciła z lekcji jazdy i wciąż dało się wyczuć na ubraniu zapach konia. Petyr znowu zanudzał wszystkich, opowiadając o matematyce, gdy nagle matka z uśmiechem podniosła wzrok znad talerza i oznajmiła, że Julie napisała list, w którym zrywa kontakt z rodziną. Clarissie opadła szczeka. Zabrzmiało to równie niedorzecznie, jak wiadomość, że Słońce postanowiło zostać politykiem albo czwórka ma się zmienić w ósemkę. Coś możliwego do zrozumienia, ale z najwyższym trudem.

Ojciec się roześmiał. Powiedział, że to tylko faza. Julie pożyje trochę jak zwykli ludzie i trochę się wyszumi, a kiedy jej się to znudzi, wróci do domu. Jednak w jego oczach widziała, że w to nie wierzy. Odeszła jego idealna dziewczynka. Odrzuciła nie tylko jego, lecz także rodzinę. Nazwisko. Od tamtej pory curry z orzechami nerkowca zawsze smakowało zwycięstwem.

Melba musi więc zniknąć, gdy skończy tutaj swoje sprawy. Zostanie odłożona do pudełka i zakopana lub spalona. Clarissa wróci do życia z rodzeństwem. Petyr miał teraz własny statek. Z uśmiechem pomyślała, że mogła na nim pracować jako inżynier elektrochemii. Albo w najgorszym razie zostać z matką. Jeśli powie im, co zrobiła, jak uratowała nazwisko rodziny, Clarissa będzie mogła rozpocząć odbudowę firmy. Odtworzyć imperium na swój rachunek. Może nawet doprowadzić do uwolnienia ojca z więzienia, sprawić, by wrócił z wygnania.

Ta myśl pozostawiła po sobie nadzieję i uczucie zmęczenia.

Do teraźniejszości przywrócił ją głośny brzęk i wybuch śmiechu

gdzieś w oddali. Sprawdziła harmonogram konserwacji na następny dziesięciodniowy cykl – konserwacja systemów elektrycznych na trzech mniejszych okrętach i fizyczna inwentaryzacja kart elektrycznych – oznaczyła czas okrętowy i wyłączyła terminal. Mesa była pełna, gdy do niej dotarła. Członkowie kilku innych zespołów jedli razem, rozmawiali i oglądali wiadomości na temat Pierścienia i spotkania z nim. Soledad siedziała samotnie ze spojrzeniem utkwionym w ręcznym terminalu i jadła zielonobrazową pastę, która wyglądała jak odchody, ale rozpaczała woń najlepszej pieczonej wołowiny świata. Melba przykazała sobie myśleć o daniu jako pâté – wtedy nie było takie złe.

Wzięła talerz z bańką lemoniady i wsunęła się na miejsce naprzeciw Soledad. Oczy kobiety rozbłysły lekkim, ale szczerym uśmiechem.

– Cześć, szefowo – przywitała się. – Jak poszło?

– Wszystko świetnie. – Melba się uśmiechnęła. Uśmiechała się dużo częściej niż Clarissa. Co było ciekawą obserwacją. – Co mnie ominęło?

– Raport z Marsa. Tym razem z danymi. Ten statek, który przeleciał, nie dryfuje.

– Serio? – zainteresowała się Melba. Po tym, jak odebrano słabe transmisje z małego stateczku, który wywołał to wszystko, ogólnie sądzono, że został uszkodzony przez coś znajdującego się po drugiej stronie Pierścienia. Że dryfuje bezwładnie. – Porusza się na ciąg?

– Może – odparła Soledad. – Dane dowodzą, że się porusza, i to dużo wolniej, niż wtedy, gdy tam wleciał. A jedna z sond, które tam wysłali, została złapana. Normalny ciąg, a potem bum, zatrzymana. Sygnały są mocno pokręcone, ale wygląda na to, że leci takim samym kursem, jak tamten statek. Jakby były... zabierane w to samo miejsce. Czy coś takiego.

– Dziwne – skomentowała Melba. – Ale pewnie właśnie dziwnego się spodziewamy. Po Erosie.

– Mój tata był na Erosie – powiedziała Soledad, a Melba poczuła dziwny ucisk w gardle. – Pracował w jednym z kasyn. W ochronie, pilnował, żeby nikt nie zhakował gier. Był tam piętnaście lat i mówił, że tam przejdzie na emeryturę, kupi małą dziurę bliżej osi, gdzie nie

będzie tyle ważył i po prostu będzie się cieszył wolnym czasem.

– Przykro mi.

Soledad wzruszyła ramionami.

– Każdy umiera – skomentowała szorstko, a potem przetarła oczy wierzchem dłoni i skupiła się z powrotem na ekranie.

– Była tam moja siostra – wyznała Melba. Co było prawdą, i czymś więcej. – Moja siostra była jedną z pierwszych ofiar.

– Cholera – rzuciła Soledad, patrząc na nią i zapominając o terminalu.

– Właśnie.

Obie milczały dłuższą chwilę. Siedzący przy pobliskim stole Pasiarz, który miał nie więcej niż dwadzieścia lat, uderzył kolanami w kant stołu i zaczął głośno wyklinać meble robione przez za niskich Ziemiaków, niezmiernie bawiąc tym swoich towarzyszy.

– Myślisz, że wciąż tam są? – zapytała cicho Soledad, wskazując głową terminal. – Były te głosy. Transmisje dochodzące z Erosa. No wiesz, potem. To byli ludzie, prawda?

– Oni nie żyją – oświadczyła Melba. – Wszyscy na Erosie zginęli.

– A przynajmniej się zmienili – odpowiedziała Soledad. – Jakiś facet powiedział, że to odczytało ich wzory, wiesz? Ich ciała, ich mózgi. Myślę, że może tak naprawdę wcale nie umarli, po prostu zostali *przekształceni*, wiesz? A jeśli ich mózgi wcale nie przestały pracować i tylko zostały...

Wzruszyła ramionami, szukając właściwego słowa, ale Melba wiedziała, o czym Soledad myślała. Zmiana, nawet bardzo duża, nie była tym samym, co śmierć. Sama była na to dowodem.

– Czy to ma znaczenie?

– A jeśli ich dusze nie zostały uwolnione? – zapytała Soledad z autentycznym cierpieniem w głosie. – Co jeśli uwięziło ich wszystkich? Twoją siostrę, moją tatę. Co jeśli nie są martwi, a Pierścień wciąż więzi ich dusze?

Nie ma dusz, Melba pomyślała ze śladem współczucia. Jesteśmy worami mięsa, ożywianymi niewielkimi ładunkami prądu. Żadnych duchów, zjaw ani dusz. Jedyne, co przeżywa, to historie opowiadane o tobie przez innych. Liczy się tylko twoje imię. To były myśli typowe



dla Clarissy. Coś, co powiedziała jej ojciec. Nie powtórzyła tego na głos.

– Może to dlatego Ziemianie zabierają tych wszystkich kapłanów – dodała Soledad i nabrała łyżkę jedzenia. – Żeby dać im pokój.

– Ktoś powinien – zgodziła się Melba i sama zajęła się jedzeniem.

Zadzwoił jej terminal: to Ren prosił o prywatną rozmowę. Melba zmarszczyła brwi i przyjęła połączenie.

– Co jest? – zapytała.

Kiedy w końcu rozbrzmiał jego głos, był napięty.

– Mam tu coś i zastanawiam się, czy mogłabyś na to spojrzeć. Anomalię.

– Już idę – odpowiedziała. Rozłączyła się, zjadła resztę pasty w dwóch wielkich porcjach, a potem wrzuciła tacę do pojemnika i wyszła.

Ren stał przy stacji roboczej w jednym z magazynów. Było to jedno z nielicznych miejsc dostatecznie wysokich, by mógł pracować bez konieczności schylania się. Wokół niego stały skrzynie z niebieskiego plastiku, przymocowane do podłogi i do siebie nawzajem silnymi elektromagnesami. Jedynym źródłem dźwięku były jej kroki.

– Co znalazłeś? – zapytała.

Odsunął się i kiwnął głową w stronę monitora.

– Dane filtra powietrza z *Seung Un* – powiedział.

Zmroziło jej krew.

– Dlaczego? – odpowiedziała trochę za szybko i za ostro.

– Łapie sporo nietypowych wyników. Pojawiło się ostrzeżenie. Patrząc na profil i to wszystko są cząstki wysokoenergetyczne. Nitroethenes y sa.

O tym nie pomyślała. Wiedziała, że okręty pasywnie monitorują skład gazu, ale nie przyszło jej do głowy, że uwolnione z jej materiałów wybuchowych cząsteczki trafią do filtrów powietrza albo że ktoś może je sprawdzić. Ren uznał jej milczenie za oznakę niezrozumienia.

– Wygenerowałem profil – powiedział. – Dziewięćdziesięcioprocentowe dopasowanie do plastycznego materiału wybuchowego.

– Czyli mają na pokładzie materiały wybuchowe – odpowiedziała Melba. – To okręt wojenny. Chyba powinni mieć takie rzeczy, nie? – W jej piersi walczyły ze sobą rozpacz i zawstydzenie. Spieprzyła. W tej chwili chciała, żeby Ren się zamknął, żeby przestał mówić, to wszystko. Rzeczy, które dopiero *powie*...

– To coś bardziej przypomina materiały używane w górnictwie – wyjaśnił. – Sprawdzając tamten pokład, nie natknęłaś się tam na nic dziwnego? Mogło się nie wyróżniać, ten materiał jest bardzo plastyczny, zanim wystawi się go na powietrze.

– Myślisz, że to bomba? – zapytała.

Ren wzruszył ramionami.

– Wewnętrzni wiozą pełne skrzynie gekke. Jakiś facet próbował się podpalić. Jedna babka robi strajk głodowy. I to, co tamten coyo zrobił z kamerą.

– To nie było polityczne – zaprotestowała odruchowo. – To artysta performer.

– Chcę tylko powiedzieć, że zebrali tam mnóstwo różnych ludzi, którzy myślą na różne sposoby, a to raczej nie budzi w nich najlepszej strony. Kiedy byłem dzieckiem, widziałem, jak mój eltern skończył małżeństwo z powodu tego, że mahdi będzie Pasiarzem. A teraz wszyscy w studni patrzą na nas. Tego rodzaju uwaga zmienia ludzi i to wcale nie na lepsze. Może ktoś chce to wykorzystać do głośnego oświadczenia, si no?

– Pokazałeś to już ochronie? – zapytała.

– Najpierw zadzwoniłem do ciebie, ale z czymś takim to shikata ga nai. Musimy.

*Muszę go zabić*, pomyślała, jakby ktoś wyszeptał jej to do ucha. Zobaczyła, jak to zrobić. Skłonić go do pochylenia się nad ekranem, choćby tylko trochę. Dostatecznie, by odsłonił kark. Wtedy naciśnie językiem podniebienie, łaskocząc je przy tym trochę i zyska wielką siłę. Złamie go tutaj, a potem... zabierze do swojej kabiny. Mogła opróżnić swoją szafkę i tam go schować. Uszczelniacz sprawi, że woń ciała nie wydostanie się na zewnątrz. Napisze raport i zgłosi jego nieobecność, będzie udawać równie zdziwioną, co wszyscy inni. Zanim zwolni swoją kabinę i go znajdą, Melby już dawno nie będzie.

Nawet jeśli odkryją, że to także ona podłożyła bombę, przyjmą po prostu, że była jedną z agentek Holdena.

Ren patrzył na nią łagodnym spojrzeniem brązowych oczu, z marchewkowymi włosami zebranymi w cienki kucyk odsłaniający skórę na karku. Przypomniła sobie, jak wyjaśniał jej problem buforów napięcia. Łagodność jego twarzy. Okazaną jej dobroć.

Przepraszam, pomyślała. To nie moja wina. Muszę.

– Sprawdźmy te dane jeszcze raz – powiedziała, przechylając ciało w stronę monitora. – Pokaż mi te anomalie.

Kiwnął głową i obrócił się wraz z nią. Jak wszystko inne na *Cerisierze*, elementy sterujące zbudowano dla kogoś niższego niż Ren. Musiał się trochę schylić, żeby ich dosięgnąć. Jej szyja zgęstniała, wypełniając gardło. Groza przypominała tonięcie. Kucyk Rena przesunął się, opadając na bok. U podstawy czaszki, w miejscu zetknięcia kręgosłupa z głową miał pieprzyk, brązowy i owalny, jak cel.

– Patrzyłem na ten raport tutaj – powiedział, stukając w ekran.

Melba docisnęła język do podniebienia. A co z Soledad? Była świadkiem jej rozmowy z Renem, wiedziała, że Melba idzie z nim porozmawiać. Być może ją też będzie musiała zabić. Gdzie schowa jej ciało? To będzie musiał być wypadek. Coś wiarygodnego. Nie mogła im pozwolić się zatrzymać. Była już tak blisko.

– Z drugiej strony, nie rośnie – powiedział. – Stały poziom.

Wykonała językiem krąg w lewo, potem się zatrzymała. Czuła zawroty głowy, brakowało jej tlenu. Może któryś ze sztucznych gruczołów przeciekał, szykując się do uwolnienia zawartości. Ren ciągle mówił, ale nie rozumiała jego słów, zbyt głośno brzmiał jej w uszach własny oddech i szum krwi.

*Muszę go zabić.* Drżały jej palce, serce waliło jak oszalałe. Odwrócił się do niej i sapnął przez nos. Nie był osobą, był tylko worem mięsa napędzanym elektrycznością. Mogła to zrobić. Dla ojca, dla rodziny. Trzeba było to zrobić.

Kiedy Ren się odezwał, jego głos wydawał się dochodzić z oddali.

– Was denkt tu? Zadzwońisz do nich czy ja mam to zrobić?

Jej umysł działał równocześnie za szybko i za wolno. Pytał, czy

powinni poinformować *Seung Un* o bombie na pokładzie. O to właśnie mu chodziło.

– Ren? – odezwała się. Jej głos brzmiał cicho, niepewnie. Głos kogoś znacznie młodszego od niej. Kogoś bardzo przestraszonego albo bardzo smutnego.

Na jego twarzy pojawił się niepokój, ściągając jego brwi.

– Hej? Dobrze się czujesz, szefowo?

Dotknęła ekranu czubkiem palca.

– Spójrz jeszcze raz – rzekł cicho. – Przyjrzyj się uważnie.

Odwrócił się i pochylił nad danymi, jakby było tam coś czekającego na odkrycie. Popatrzyła na jego zgięty kark jak mogłaby popatrzeć na rzeźbę w muzeum – jak na obiekt. Nic więcej. Dwukrotnie przesunęła kłosem językiem po podniebieniu i nagle dopadł ją spokój.

Jego kark trzasnął cicho, pękając i uwalniając dyski z chrząstki, rozrywając nerwy przewodzące sygnały życia i otaczającą je tkankę łączną. Uderzała w podstawę jego czaszki, aż poczuła, że kość ustępuje pod jej ręką, a wtedy przyszła pora przenieść ciało. Szybko. Zanim ktoś ich zobaczy. Zanim przyjdzie załamanie.

Na szczęście krwi było bardzo niewiele.

# Rozdział dwunasty

## *Anna*

Po dwóch godzinach międzywyznaniowego spotkania modlitewnego Anna po raz pierwszy w życiu poczuła zmęczenie modlitwą. Jak dotąd modły zawsze dawały jej oparcie, głębokie poczucie złączenia z czymś nieskończenie większym od niej. Jej ateistyczni znajomi nazywali to zachwytem wobec nieskończonego kosmosu, ale dla niej był to Bóg. I wcale nie przeszkadzało jej, że mogli mówić dokładnie o tym samym. Możliwe, że zawsze posyłała swoje modlitwy w zimny i bezrozumny wszechświat, który wcale ich nie słuchał, ale nie tak to czuła. Nauka dała ludzkości wiele darów, które bardzo ceniła, ale jedną z ważnych rzeczy, jakie zabrała, była wartość subiektywnego, osobistego doświadczenia. Zastąpiono ją ideą, że jakkolwiek wartość mają tylko pojęcia mierzalne i dające się przetestować. Tylko że ludzie wcale nie działali w taki sposób, a Anna podejrzewała, że wszechświat również. W końcu jedną z podstaw jej wiary było stwierdzenie *na swój obraz i podobieństwo*.

Z początku spotkanie było bardzo miłe. Ojciec Michel miał przyjemnie głęboki głos, dojrzewający z wiekiem jak dobre wino. Jego długa i szczerza modlitwa do Boga o wskazanie drogi dla wszystkich badających Pierścień wzbudziła w niej mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Po nim modlił się starszy Kościoła Panującej Ludzkości; mężczyzna przeprowadził grupę przez kilka sesji medytacji i ćwiczeń oddechowych, po których Anna czuła się odświeżona i pełna energii. Zapisała sobie w terminalu, żeby pobrać kopię ich książki o medytacji

i przeczytać ją w wolnej chwili. Oczywiście, nie wszystkie wyznania reprezentowane na pokładzie przyłączyły się do prowadzenia modłów. Imam nie chciał się modlić przed wyznawcami wiary innej niż muzułmańska, choć wygłosił krótką przemowę po arabsku, którą ktoś przetłumaczył w jej słuchawce. Kiedy skończył słowami *Allah hu akbar*, wezwanie powtórzyło kilka spośród zebranych osób. Anna była jedną z nich. Dlaczego nie? Wydawało się to uprzejme, a przy tym zgadzała się z wezwaniem.

Jednak po dwóch godzinach zaczęły ją męczyć nawet najszczerze i poetyckie modlitwy. Zaczęła liczyć małe plastikowe kopyłki, które ukrywały wieżyczki systemu gaśniczego. Zrobiła się dobra w ich wypatrywaniu od czasu próby samobójczej podczas pierwszego przyjęcia. Stwierdziła, że jej myśli odpływają do wiadomości, którą planowała wysłać do Nono po spotkaniu. Krzesło, na którym siedziała, wibrowało bardzo delikatnie w sposób wyczuwalny, gdy siedziała nieruchomo. Musiał to być efekt potężnych silników napędu, a w miarę jak Anna zaczęła się dostrajać do wibracji, wyczuła w nich rytmiczne pulsowanie. Pulsowanie zmieniło się w muzykę i zaczęła nucić pod nosem. Przestała, gdy siedzący obok niej kapłan odchrząknął bardzo znacząco.

Hank Cortez oczywiście miał modlić się jako ostatni. W ciągu tygodni i miesięcy spędzonych przez Annę na statku *Prince* stało się dla niej jasne, że choć oficjalnie nikt nie przewodził wielowyznaniowemu zgromadzeniu uczestniczącemu w wyprawie do Pierścienia, doktor Hank traktowany był jako swego rodzaju „pierwszy pośród równych”. Anna podejrzewała, że wynikało to z jego bliskich związków z sekretarzem generalnym, dzięki któremu ta misja stała się możliwa. Wydawał się też być po imieniu z wieloma ważnymi artystami, politykami i konsultantami ekonomicznymi w cywilnej części wyprawy.

Wcale jej to nie przeszkadzało. Niezależnie od tego, jak egalitarna dana grupa była na początku, z czasem zawsze ktoś przejmował rolę przywódcy. Lepiej że był to doktor Hank niż ona.

Gdy zajmująca podium kapłanka neowiccan ukończyła wreszcie swoje obrzędy, okazało się, że doktora Hanka nie ma na sali. Anna

poczuła falę nadziei, że modlitwy zakończą się wcześniej, ale nic z tego. Doktor Hank wmaszerował do sali w towarzystwie ekipy kamerzystów i wkroczył na podium jak aktor na scenę. Błysnął widowni promiennym uśmiechem, uważając, by skończyć w stronę kamery ustawionej przez dziennikarzy.

– Bracia i siostry – powiedział – pochylmy głowy i podziękujmy Wszechmocnemu, prosząc go o radę i wskazówki w miarę, jak coraz bardziej zbliżamy się do końca tej historycznej podróży.

Udało mu się przemawiać w tym tonie przez kolejne dwadzieścia minut.

Anna znowu zaczęła nucić.

\* \* \*

Kiedy było po wszystkim, Anna spotkała się z Tilly na lunchu w mesie oficerskiej, przeznaczonej dla cywili. Anna nie była do końca pewna, w jaki sposób stała się najlepszą i jedyną przyjaciółką Tilly podczas tej podróży, ale kobieta przyssała się do niej po pierwszym spotkaniu i wczepiła jak kleszcz. Nie, to nie było sprawiedliwe porównanie. Choć z Tilly miały wspólną tylko budowę opartą na białku, Anna nie miała w sumie na statku wielu przyjaciół, a choć Tilly mogła się wydawać rozwydrzona i irytująca, stopniowo Anna przekonała się, że jest to tylko maska ukrywająca bardzo samotną kobietę. Wyjątkowo hojne darowizny jej męża na rzecz kampanii wyborczej sekretarza generalnego kupiły jej bilet na ten lot w charakterze cywilnego konsultanta. Nie miała w tej misji żadnego zadania poza stałym przypominaniem innym pasażerom o niezwykłym bogactwie i wpływach jej męża, co stawało się jeszcze bardziej oczywiste przez fakt, że sama w sobie nie miała niczego do zaoferowania tej grupie. Wiedziała o tym równie dobrze, jak wszyscy. Większość cywilów uczestniczących w locie traktowała ją z ledwie ukrywaną pogardą.

Kiedy czekały na zamówione jedzenie, Tilly włożyła sobie do ust cukierek i zaczęła go żuć. Powietrze wypełnił delikatny zapach nikotyny i mięty. Oczywiście, palenie na okrętach wojennych było

zakazane.

– Jak poszło twoje spotkanie? – zapytała Tilly, bawiąc się srebrnym pudełkiem z cukierkami i rozglądając się po sali. Miała na sobie spodnie i bluzkę, które razem zapewne kosztowały więcej, niż całe mieszkanie Anny na Europie. A takie rzeczy zakładała, gdy chciała wyglądać nieoficjalnie i na luzie.

– Spotkanie modlitewne? – odpowiedziała Anna. – Dobrze. A potem nie tak bardzo. Zrobiło się długie. Bardzo, bardzo długie.

Tilly popatrzyła na nią przyciągnięta szczerością.

– Boże, jakbym nie wiedziała. Nikt nie potrafi pleść tak, jak kaznodzieja z uwięzionymi słuchaczami. No dobrze, może jeszcze polityk.

Młody marynarz służący jako kelner dla cywilów o statusie VIP-ów przyniósł im jedzenie. Anna zastanawiała się przez chwilę, co sądził o tej sytuacji. Służba wojskowa ONZ była dobrowolna i prawdopodobnie wyobrażał sobie, że życie we flocie będzie wyglądało zupełnie inaczej. Ostrożnie, z wprawą wynikającą z praktyki, postawił ich dania na stole, uśmiechnął się do nich i zniknął w kuchni.

W kambuzie. Na statkach kuchnie nazywali kambuzem.

Tilly bez przekonania zaczęła dziubać ziemniaki z gruntu i sałatę z prawdziwą mozzarellą, na którą Anna na Europie mogłaby sobie pozwolić, tylko sprzedając nerkę.

– Masz jakieś wieści od Namono? – zapytała.

Anna przytaknęła z ustami pełnymi smażonego tofu.

– Wczoraj dostałam nowe nagranie. Na każdym kolejnym Nami jest coraz większa. Zaczyna się przyzwyczajać do ciężenia, ale leki sprawiają, że łatwo się irytuje. Myślmy o tym, żeby wcześniej przestać je podawać, nawet jeśli będzie to oznaczało więcej fizjoterapii.

– Uroczo – skomentowała Tilly, choć jej słowa wydały się trochę sztuczne.

Anna czekała na zmianę tematu.

– Robert nie pisał do mnie już od tygodnia – wyznała w końcu Tilly. Wydawała się bardziej zrezygnowana niż smutna.

– Nie sądzisz chyba, że...



– ...mnie zdradza? – dokończyła Tilly ze śmiechem. – Chciałabym. To przynajmniej byłoby ciekawe. Kiedy zamyka się w swoim biurze o drugiej nad ranem, wiesz, na czym go tam przyłapuję? Czyta raporty biznesowe, analizy cen akcji i arkusze kalkulacyjne. Robert to najmniej seksualna osoba, jaką kiedykolwiek spotkałam. Przynajmniej do czasu, aż wymyślą sposób na pieprzenie pieniędzy.

Annie bardzo szybko przestały przeszkadzać swobodne wulgaryzmy Tilly. Nie było w nich złości. Podobnie jak w przypadku większości tego, co robiła Tilly, wydawały się po prostu kolejnym sposobem zwracania na siebie uwagi. Przyciągania do siebie ludzi.

– Jak idzie kampania wyborcza? – zapytała.

– Estebana? Kto to wie... Zadaniem Roberta jest bycie bogatym i posiadanie bogatych przyjaciół. Nie wątpię, że ta część idzie mu świetnie.

Przez chwilę jadły w milczeniu, a potem nagle Anna odezwała się, zaskakując samą siebie.

– Chyba nie powinnam była tu lecieć.

Tilly ponuro przytaknęła, jakby Anna właśnie zacytowała jej Pismo.

– Nikt z nas nie powinien.

– Modlimy się, dajemy się fotografować i odbywamy spotkania na temat współpracy międzywyznaniowej – mówiła dalej Anna. – Wiesz, o czym nigdy nie rozmawiamy?

– O Pierścieniu?

– Nie. To znaczy tak. Chodzi o to, że cały czas rozmawiamy o Pierścieniu. Czym jest, do czego służy, dlaczego protomolekuła go zbudowała.

Tilly odsunęła od siebie sałatkę i włożyła do ust kolejnego cukierka.

– Więc w czym rzecz?

– W tym, co moim zdaniem było powodem, dla którego tu przylecieliśmy. Rozmawiać o tym, co to znaczy. Na tym statku znajduje się prawie setka przywódców duchowych i teologów, ale żadne z nas nie chce rozmawiać o tym, co oznacza Pierścień.

– Dla Boga?

– Cóż, przynajmniej o Bogu. Antropologia teologiczna jest dużo prostsza, gdy ludzie są jedynymi istotami z duszą.

Tilly przywołała kelnera i zamówiła koktajl, o którym Anna nigdy nie słyszała. Kelner sprawiał wrażenie, że go zna, więc oddalił się, żeby zrealizować zamówienie

– Wydaje się, że jest to jedna z tych rzeczy, do których potrzebuję drinka – skomentowała Tilly. – Mów dalej.

– Ale gdzie w tym wszystkim mieści się protomolekuła? Czy ona żyje? Morduje nas, ale też buduje niesamowite, zdumiewająco zaawansowane struktury. Czy to narzędzie wykorzystywane przez kogoś bardziej podobnego do nas, tylko mądrzejszego? A jeśli tak, czy są stworzeniami wrażliwymi na boskość? Czy mają wiarę? Jak ona wygląda?

– Czy w ogóle są dziećmi tego samego Boga – rzuciła Tilly, mieszając słomką drinka, a potem smakując go.

– Dla niektórych z nas istnieje tylko jeden – odpowiedziała Anna, a potem poprosiła kelnera o herbatę. – To wymaga zakwestionowania całego konceptu Zbawienia – dodała, gdy odszedł. – No może nie całego, ale przynajmniej istotnie go komplikuje. Istoty, które stworzyły protomolekułę, są inteligentne, ale czy to znaczy, że mają dusze? Napadły na nasz Układ Słoneczny, zabijają nas, kradną nasze zasoby. Gdybyśmy to robili, uznalibyśmy to za grzech. Czy to znaczy, że upadli? Czy Chrystus umarł też za nich? Czy też są inteligentni, ale bezduszni, a wszystko, co robi protomolekuła, można porównać do wirusa robiącego to, do czego został zaprogramowany?

Do jadalni weszła grupa techników w cywilnych kombinezonach, zajmując miejsca przy stołach. Złożyli zamówienie u kelnera i zaczęli głośno rozmawiać. Anna pozwoliła im się rozproszyć, a jej umysł miał troski, których dotąd nie ubrała w słowa.

– Tak naprawdę to wszystko jest mocno teoretyczne nawet dla mnie – przyznała po chwili. – Może nic z tego nie powinno mieć znaczenia dla *naszej* wiary, tylko że obawiam się, że będzie miało. Że dla większości ludzi to będzie istotne.

Tilly popijała swojego drinka, a Anna z doświadczenia wiedziała już, że w jej przypadku jest to oznaka poważnego traktowania rozmowy.

– Rozmawiałaś z kimś o tym? – zapytała w końcu Tilly, sugerując, by

kontynuowała.

– Cortez zachowuje się, jakby on tu przewodził – odpowiedziała Anna. Kelner przyniósł zamówioną herbatę i przez chwilę dmuchała na nią, by ostudzić napój. – Chyba powinnam z nim porozmawiać.

– Cortez to polityk – skomentowała z pogardliwym uśmiechem Tilly. – Nie daj się zwieść przyjaznemu obrazowi ojca Hanka. Jest tutaj, ponieważ jak długo Esteban zajmuje stanowisko, Cortez ma wpływy. W całym tym cyrku chodzi wyłącznie o głosy.

– Nie znoszę tego – rzuciła Anna. – Wierzę ci. Rozumiesz to wszystko znacznie lepiej ode mnie, ale też wcale nie podoba mi się, że masz rację. To wielkie marnotrawstwo.

– O co chciałabyś poprosić Corteza?

– Chciałabym zorganizować kilka grup. Prowadzić rozmowy.

– Potrzebujesz na to jego zgody? – zapytała Tilly.

Anna przypomniała sobie ich ostatnią rozmowę z Nono i roześmiała się głośno. Kiedy znowu się odezwała, sama słyszała powagę w swoim głosie.

– Nie – przyznała. – Chyba nie potrzebuję.

\* \* \*

Tej nocy ryk alarmu wyrwał Annę ze snu, w którym zabierała Nami na Ziemię i patrzyła, jak jej kości pękają pod wpływem ciężenia. Alarm trwał tylko kilka sekund, a potem ustał.

– Wszyscy na stanowiska! – rozległ się głos z jej panelu łączności.

Anna uznała, że jej to nie dotyczy, ponieważ nie miała pojęcia, gdzie miałyby się mieścić jej stanowisko. Więcej alarmów nie było, głos z panelu nie powrócił z kolejnymi komunikatami, ale wyrwanie z koszmaru sennego sprawiło, że czuła się nerwowa i nie umiała zasnąć. Wstała z łóżka, wysłała krótkie nagranie wideo do Nono i Nani, a potem się ubrała.

Na korytarzach i w windach nie było wielu osób. Wszyscy spotkani wojskowi wydawali się spięci, choć ku jej uldze nie wyglądali na przestraszonych. Tylko czujnych. Rozbudzonych.

Ponieważ nie miała gdzie pójść, dotarła do mesy oficerskiej i zamówiła szklanekę mleka. Kiedy je dostała, ze zdumieniem odkryła, że to prawdziwe mleko, które zostało kiedyś wyprodukowane przez żywą krowę. Ile pieniędzy ONZ wydawało na ten cywilny „cyrk”?

Oprócz niej w mesie siedziało tylko kilku wojskowych w mundurach oficerskich i mała grupka wykonawców cywilnych, pijących kawę i kulących się na siedzeniach jak pracownicy pośrodku całonocnej zmiany. W mesie do podłogi przynitowano kilkanaście metalowych stołów z ustawionymi wokół nich krzesłami na magnetycznych zaczepach. Ekranów ściennych wyświetlały przeznaczone dla oficerów informacje, które niczego jej nie mówiły. Rząd okienek prowadził do kambuza, przepuszczając talerze z jedzeniem, odgłosy przemysłowych zmywarek do naczyń i zapach środka do mycia podłóg. Przypominało to siedzenie blisko kuchni w bardzo, bardzo czystej restauracji.

Anna powoli piła mleko, ciesząc się złożonym smakiem i niezwykłym luksusem. Na którymś terminalu zabrzmiał dzwonek, dwóch cywilnych pracowników wstało i wyszło. Została piękna kobieta o smutnej twarzy, patrząca na leżący przed nią terminal pustym, zmęczonym wzrokiem.

– Przepraszam panią.

Za jej plecami zabrzmiał głos, od którego prawie podskoczyła na miejscu. W jej pole widzenia wszedł młody mężczyzna w mundurze oficera floty i niezręcznie wskazał na krzesło obok niej.

– Mogę się przysiąść?

Anna opanowała się na tyle, by się do niego uśmiechnąć, co potraktował jako zgodę i sztywno złożył się na siedzenie. Był bardzo wysoki jak na Ziemię, z krótkimi włosami blond, szerokimi ramionami i wąską talią, która zdawała się charakterystyczna dla wszystkich młodych oficerów niezależnie od płci.

Anna wyciągnęła rękę nad stołem, ucisnęła jego dłoń i przedstawiła się.

– Anna Wołowodow.

– Chris Williams – odpowiedział młody oficer, krótko, ale pewnie potrząsając jej ręką. – I tak, proszę pani, wiem, kim pani jest.

– Wie pan?

– Tak, proszę pani. Moja rodzina w Minnesocie to metodyści, a to wyznanie sięga w rodzinie tak daleko, jak sięgają dokumenty. Kiedy zobaczyłem panią na liście cywili, zapamiętałem sobie pani nazwisko.

Anna kiwnęła głową i napiła się mleka. Skoro chłopak zapamiętał ją, ponieważ była pastorką jego wyznania, to znaczy, że chciał z nią rozmawiać jako członek wspólnoty. W duchu przestawiła się na tryb „pastor Anna”.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Chris?

– Bardzo podoba mi się pani akcent. – Chłopak wyraźnie musiał się zebrać do poruszenia tematu, z którym przyszedł, więc Anna nie naciskała.

– Dorastałam w Moskwie – wyjaśniła. – Choć po dwóch latach na Europie prawie potrafię mówić po pasiańsku, sa sa?

Chris roześmiał się, a jego twarz wyraźnie się rozluźniła.

– Całkiem nieźle, proszę pani. Ale jeśli oni zaczną mówić z pełną prędkością, to nie rozumiem ani słowa wypowiedzanego przez chuderlaki.

Anna zdecydowała się zignorować przezwisko.

– Proszę, nie mów do mnie „proszę pani”. Czuję się z tym, jakbym miała ze sto lat. Najlepiej Anna, albo pastor Anna, jeśli musisz.

– Dobrze – zgodził się Chris. – Pastor Anna.

Przez chwilę siedzieli w przyjaznej ciszy, podczas której Anna obserwowała, jak Chris zbiera się do tego, co chciał powiedzieć.

– Słyszała pani alarm, prawda? – powiedział w końcu. – Założę się, że panią obudził.

– To dlatego tu jestem – potwierdziła Anna.

– Właśnie. Stanowiska. To z powodu piaskarzy... to znaczy Marsjan.

– Marsjan? – Anna stwierdziła, że ma ochotę na jeszcze jedną szklankę pysznego mleka, ale zamówienie go mogłoby rozproszyć Chrisa, więc nie wezwała kelnera.

– Jesteśmy teraz w zasięgu broni ich floty – wyjaśnił. – Dlatego mamy stan podwyższonej gotowości. Nie możemy już dzielić nieba z piaskarzami bez zachowania ostrożności. Wie pani, od czasu Ganimeda.

Anna pokiwała głową i czekała, żeby kontynuował.

– A ten Pierścień, wie pani, już kogoś zabił. To znaczy, tylko durnego jak piasek chudzielca bawiącego się w loty balistyczne, ale jednak. Kogoś.

Anna ujęła jego dłoń. W pierwszej chwili się wzdrygnął, ale rozluźnił się, gdy się do niego uśmiechnęła.

– To cię przeraża?

– Jasne. Oczywiście. Ale nie o to chodzi.

Anna czekała, zachowując neutralny wyraz twarzy. Śliczna dziewczyna w cywilnym stroju po drugiej stronie sali nagle wstała, może chciała wyjść. Jej usta poruszały się, jakby mówiła sama do siebie, ale po chwili usiadła z powrotem, oparła się rękami o stół i położyła na nich głowę. Jeszcze jedna przestraszona osoba samotnie przeczekująca długą noc w pomieszczeniu pełnym ludzi.

– To znaczy – powiedział Chris, wcinając się w jej tok myśli – w każdym razie nie tylko o to chodzi.

– Co jeszcze? – zapytała Anna.

– Stan gotowości nie został ogłoszony z powodu Pierścienia – powiedział. – Chodzi o Marsjan. Nawet przy tym czymś wiszącym w przestrzeni my wciąż myślimy o strzelaniu do siebie. To dość popieprzone. Przepraszam. Pokręcone.

– Wydawałoby się, że powinniśmy umieć wznieść się ponad nasze drobne różnice wobec konfrontacji z czymś takim, prawda?

Chris przytaknął i trochę mocniej ścisnął jej dłoń, ale nic nie powiedział.

– Chciałbyś się ze mną pomodlić, Chris?

Przytaknął i opuścił głowę, zamykając oczy.

– Wiem, że nie jestem jedynym metodystą na statku – powiedział, gdy skończyła. – Czy pani prowadzi może nabożeństwa?

Teraz już tak.

– W niedzielę o dziesiątej, sala konferencyjna 41 – powiedziała, zapamiętując sobie, by zapytać kogoś, czy będzie mogła zajmować salę konferencyjną 41 w niedzielne przedpołudnie.

– Postaram się dostać wtedy wolne – z uśmiechem odpowiedział Chris. – Dziękuję pani. Pastor Anno.

– Miło się z tobą rozmawiało, Chris. Właśnie dałeś mi powód do przebywania na tym statku.

Kiedy Chris poszedł, Anna poczuła się bardzo zmęczona i gotowa wrócić do łóżka, ale śliczna dziewczyna po drugiej stronie sali się nie ruszyła. Głowę wciąż trzymała opartą na rękach. Anna podeszła do niej i delikatnie dotknęła jej ramienia. Dziewczyna gwałtownie poderwała głowę i popatrzyła na nią dzikim, spanikowanym wzrokiem.

– Cześć – powiedziała Anna. – Jestem Anna. Jak masz na imię?

Dziewczyna patrzyła na nią jakby zadano jej bardzo trudne pytanie. Anna usiadła naprzeciw niej.

– Widziałam, jak tu siedzisz – wyjaśniła – i pomyślałam, że przydałoby ci się jakieś towarzystwo. Strach nie jest niczym dziwnym, rozumiem.

Dziewczyna szarpnięciem zerwała się na nogi jak uszkodzona maszyna. Jej spojrzenie było bezbarwne, a głowę trzymała przechyloną na bok. Anna nagle się wystraszyła. Wrażenie było takie, jakby podeszła do kanapowego pieska i nagle znalazła się przed lwem. Coś w głębi jej umysłu powiedziało: *ta nie jest miła. Ona cię skrzywdzi.*

– Przepraszam – powiedziała, wstając z częściowo uniesionymi dłońmi. – Nie chciałam cię niepokoić.

– Nie znasz mnie – odpowiedziała dziewczyna. – Niczego nie wiesz.

Dłonie zacisnęła w pięści przy bokach, a ścięgni na jej szyi drżały jak szarpnięte struny gitary.

– Masz rację – zgodziła się Anna, wciąż cofając się i dłońmi poklepując powietrze. – Przepraszam.

Inni ludzie w mesie zaczęli się im przyglądać i Anna poczuła nagłą ulgę, że nie jest już sam na sam z dziewczyną. Oponentka patrzyła na nią, drżąc jeszcze przez kilka sekund, a potem pośpiesznie uciekła z sali.

– O co tu, do cholery, chodziło? – zapytał ktoś cichym głosem za plecami Anny.

Pomyślała, że może dziewczyna też została wyrwana z koszmaru. A może nie.

# Rozdział trzynasty

## *Byk*

Przybycie do Pierścienia było polityczną fikcją, co wcale nie czyniło tego faktu mniej realnym. Nie istniała żadna fizyczna granica, przy której można by powiedzieć, że znajdowali się już przy obiekcie, nie było żadnego portu, gdzie mogliby zadokować. Zestawy czujników *Behemota* zasysały dane z Pierścienia, jeszcze zanim opuścili Tycho. Marsjańskie statki badawcze i ziemskie siły wojskowe, które przyleciały tu, zanim nieszczęsny dzieciak z Pasa stał się pierwszą tutejszą ofiarą, wciąż były na stanowiskach, teraz po prostu miały większe wsparcie. Nowe marsjańskie jednostki dołączyły do nich, dopasowały orbitę i wisały cicho na niebie. Ziemską flotylla, podobnie jak *Behemot*, była w końcowej fazie hamowania, zbliżając się do miejsca, w którym postanowili się zatrzymać. Aby powiedzieć: *Przebyliśmy olbrzymią otchłań, by unosić się w tej odległości i teraz tu jesteśmy. Dolecieliśmy.*

Na ile ktokolwiek mógł stwierdzić, Pierścienia w ogóle to nie obchodziło.

Sama struktura Pierścienia była niezwykła. Jej powierzchnię tworzyła seria powykręcanych grani, spiralami otaczających strukturę. W pierwszej chwili wydawała się nierówna, prawie chaotyczna, jednak matematycy, architekci i fizycy zapewniali, że jej budowa opierała się na głębokiej regularności: wysokość grani kompleksowo współgrała z szerokością i odległością między szczytami a zagłębieniami. Raporty były pełne zachwyty, odnajdywano



kolejne, coraz głębsze warstwy złożoności, z wszelkimi oznakami świadomego planowania, wystawionymi na widok bez żadnej wskazówki, co to wszystko miało znaczyć.

– Oficjalne raporty marsjańskie były bardzo ostrożne – powiedział oficer naukowy. Nazywał się Chan Bao-Zhi i na Ziemi byłby Chińczykiem, ale tutaj był Pasiarzem ze stacji Pallas. – Przesłali dużo podsumowań i może jedną dziesiątą zebranych przez siebie danych. Na szczęście byliśmy w stanie obserwować większość przeprowadzonych przez nich eksperymentów i wykonać własne analizy.

– Co z pewnością robili też Ziemianie – rzucił Ashford.

– Niewątpliwie, sir – zgodził się Chan.

Podobnie jak każdy rytuał, spotkania personelu miały głębsze znaczenie, niż tylko przekazywanie informacji. Przybyli szefowie wszystkich głównych struktur organizacyjnych *Behemota*: Sam z działu technicznego, Byk z ochrony, Chan reprezentował zespoły badawcze, Bennie Cortland-Mapu – personel medyczny, Anamarie Ruiz – infrastrukturę i tak dalej, zapełniając ponad dwadzieścia miejsc wokół wielkiego stołu konferencyjnego. Ashford zajmował honorowe miejsce z kolejnym Chrystusem wymalowanym na ścianie za plecami. Pa siedziała po jego prawicy, a Byk – zgodnie z tradycją – po lewej.

– Co mamy? – zapytał Ashford. – W skrócie.

– To zajebicie dziwne, sir.

Wszyscy zachichotali.

– Z naszych najlepszych analiz wynika, że Pierścień stanowi sztucznie podtrzymywany most Einsteina-Rosena. Jeśli przelecieć przez Pierścień, nie wyleci się tutaj po drugiej stronie.

– Czyli to wrota – podsumował Ashford.

– Tak jest, sir. Wygląda na to, że protomolekuła, zarazek z Febe czy jakkolwiek to nazwiemy, to coś, co wysłano w stronę Układu Słonecznego kilka miliardów lat temu, celując w stronę Ziemi w celu przekształcenia prymitywnego życia i zbudowania wrót. Zakładamy, że ktokolwiek stworzył protomolekułę, zrobił to po to, aby ułatwić podróż do Układu Słonecznego i uczynić ją bardziej praktyczną.

Byk głęboko wciągnął powietrze i powoli je wypuścił. Wszyscy tak

uważali, ale usłyszenie tego na oficjalnym zebraniu sprawiło, że ta możliwość wydała się bardziej realna. Pierścień był sposobem na dostanie się czegoś tutaj. Był nie tylko wrotami, był przyczółkiem.

– Kiedy *Y Que* przez nie przeleciał, masa i prędkość statku aktywowały jakiś mechanizm w Pierścieniu – kontynuował Chan. – Marsjanie mają dobry zestaw danych z chwili, kiedy to nastąpiło. Doszło wtedy do potężnego wydatku energetycznego w strukturze Pierścienia oraz całej kaskady zmian konformacyjnych na poziomie mniejszych struktur. Cały obiekt osiągnął temperaturę około pięciu tysięcy stopni Kelvina i od tamtej pory stopniowo stygnie. Czyli potrzeba było sporo wysiłku, żeby uruchomić ten mechanizm, ale jego utrzymanie nie wymaga go już wiele.

– Co wiemy o tym, co znajduje się z drugiej strony? – zapytała Pa. Utrzymywała neutralny wyraz twarzy oraz miły, pozbawiony emocji ton głosu. Równie dobrze mogła go prosić o uzasadnienie pozycji wpisanej do budżetu.

– Trudno stwierdzić coś konkretnego – odpowiedział Chan. – Zaglądamy przez dziurkę od klucza, a sam Pierścień wydaje się generować interferencje i promieniowanie, które utrudniają uzyskanie spójnych odczytów. Wiemy, że *Y Que* nie został zniszczony. Wciąż odbieramy przekaz wideo nadawany przez dzieciaka w chwili przelotu, po prostu nie pokazuje za wiele.

– Gwiazdy? – zapytał Ashford. – Coś, na podstawie czego można wykreślić pozycję do nawigacji?

– Nie, sir – odparł Chan. – Po drugiej stronie Pierścienia nie ma żadnych gwiazd, a mikrofalowe promieniowanie tła jest znacząco różne od tego, czego byśmy się spodziewali.

– Co to znaczy? – Ashford żądał uściślenia.

– To znaczy „hm, to dziwne” – wyjaśnił Chan. – Sir.

Ashford uśmiechnął się lodowato i gestem zaprosił naukowca do kontynuowania. Chan odchrząknął, zanim znów się odezwał.

– Mamy tam kilka innych anomalii, z którymi nie do końca wiemy, co zrobić. Wygląda to tak, jakby po drugiej stronie obowiązywała prędkość maksymalna.

– Może pan to sprecyzować? – poprosiła Pa.

– *Y Que* przeleciał przez Pierścień bardzo szybko – wyjaśnił Chan. – Jakies siedem dziesiątych sekundy po tym, jak dotarł do drugiej strony, zaczął gwałtownie hamować. Stracił prawie całą prędkość w jakieś pięć sekund. Wydaje się, że to właśnie prawie natychmiastowe hamowanie zabiło pilota. I wygląda na to, że od tamtej pory statek oddala się od Pierścienia coraz głębiej w to, co znajduje się po drugiej stronie.

– Wiemy, że gdy protomolekuła jest aktywna, potrafi... zmodyfikować to, czego spodziewamy się po inercji – wtrąciła się Sam. – Czy właśnie w taki sposób zatrzymała statek?

– To bardzo możliwe – przyznał Chan. – Mars wysłał trochę sond do Pierścienia i wygląda na to, że jakiś efekt zaczyna być widoczny w okolicy sześciuset metrów na sekundę. Poniżej tej wartości masa zachowuje się tak, jak się spodziewamy, powyżej jest zatrzymywana, a potem porusza się powoli mniej więcej w tym samym kierunku, co *Y Que*.

Sam zagwizdała cicho.

– To *naprawdę* powoli – skomentowała. – Główny silnik byłby niemal bezużyteczny.

– To wolniej niż pocisk z karabinu – zgodził się Chan. – Dobra wiadomość jest taka, że wpływa to tylko na masę powyżej poziomu kwantowego. Widmo elektromagnetyczne wydaje się zachowywać normalnie, włącznie ze światłem widzialnym.

– Bogu dzięki za drobne błogosławieństwa – rzuciła Sam.

– Czego jeszcze dowiedzieliśmy się od sond?

– Coś tam jest – powiedział Chan i po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiała nuta niepokoju. – Sondy widzą obiekty, bardzo duże. Ale nie ma tam wiele światła poza tym, które wysyłamy przez Pierścień lub montujemy na sondach. A do tego, jak mówiłem, Pierścień zawsze zwracał niespójne odczyty. Jeśli to coś w środku zrobione jest z tego samego materiału, to kto wie?

– Statki? – zapytał Ashford.

– Może.

– Ile?

– Więcej niż sto, mniej niż sto tysięcy. Prawdopodobnie.

Byk nachylił się do przodu, opierając łokcie na stole. Ashford i Pa rozglądali się po szarzejących twarzach wokół stołu. Wiedzieli wcześniej, bo nie mogli czekać na zebranie personelu, żeby uzyskać takie informacje. Teraz oceniali reakcje zebranych. No to da im reakcję. Opanowanie upadku.

– Byłoby dziwniej, gdyby nic tam nie było. A gdyby to była flota inwazyjna, do tej pory już by zaatakowali.

– Właśnie. – Ruiz chwyciła się jego słów.

Ashford zaprosił wszystkich do zadawania pytań. Ile sond wystrzelili Marsjanie? Ile czasu potrzebowałaby sonda lecąca z prędkością sześciuset metrów na sekundę, żeby dotrzeć do jednej ze struktur? Czy próbowali wysyłać małe sondy? Czy nawiązano jakiś kontakt z samą protomolekułą? Czy odebrano skradzione głosy ludzi tak jak poprzednio na Erosie? Chan robił, co mógł, by ich uspokajać, nie mając tak naprawdę nic więcej do powiedzenia. Byk uznał, że Ashford i Pa dostali pogłębioną analizę i był bardzo ciekaw, co zawiera. Bycie poza obiegiem bardzo go bolało.

– W porządku. To wszystko bardzo interesujące, ale nie na tym polega nasze zadanie – odezwał się Ashford, przerywając sesję pytań i odpowiedzi. – Nie przylecieliśmy tu wysyłać sondy przez Pierścień ani wszczynać walkę. Mamy po prostu dopilnować, żebyśmy – cokolwiek zrobią planety wewnętrzne – mieli miejsce przy stole. Jeśli coś wyłoni się z Pierścienia, dopiero wtedy będziemy się tym martwić.

– Tak jest, sir – odpowiedział Byk, popierając kapitana. W sumie nie mieli innego wyjścia, więc lepiej, żeby załoga widziała wspólny front. Ludzie obserwowali, jak to wszystko przebiegało, i to nie tylko załoga.

– Pani Pa? – odezwał się Ashford.

Pierwsza oficer kiwnęła głową i zerknęła na Byka. Instynkt zadziałał, wrzucając mu kamień do żołądka.

– Stwierdziliśmy pewne nieprawidłowości w strukturze księgowości statku – poinformowała Pa. – Główna inżynier Rosenberg?

Sam przytaknęła z zaskoczonym wyrazem twarzy.

– Pierwsza? – odpowiedziała.

– Obawiam się, że będę musiała osadzić panią w areszcie domowym

i anulować priorytet dostępu do czasu wyjaśnienia tej sprawy. Zastąpi panią inżynier Watanabe. Panie Baca, proszę się tym zająć.

W sali znowu zapanowała cisza, ale tym razem kryła całkiem inne emocje. Sam miała oczy szeroko otwarte z niedowierzania i rosnącej furii.

– Przepraszam? – powiedziała.

Pa odpowiedziała jej zimnym spojrzeniem, a Byk natychmiast wszystko zrozumiał.

– Rejestry wskazują, że w niewłaściwy sposób odciągała pani zasoby z budżetów na prace i materiały – oświadczyła Pa – a do czasu wyjaśnienia tej sprawy...

– Jeśli chodzi o sprawę wsparcia technicznego, to była moja decyzja – odezwał się Byk. – Ja to autoryzowałem. To nie ma nic wspólnego z Sam.

– Prowadzę pełny audyt, panie Baca. Jeśli odkryję, że w niewłaściwy sposób wykorzystywał pan zasoby, podejmę działania, które uznam za stosowne. Jako pana przełożona informuję, że Samara Rosenberg ma zostać zamknięta w areszcie domowym z ograniczonym dostępem do systemów statku. Czy ma pan jakieś pytania w związku z tym?

Odczekała cały lot, aż dotarli na miejsce, a teraz uznała, że nadszedł czas pokazać, kto tu rządzi. Zemścić się na nim za wyrzuconego w kosmos dilera narkotyków i ukarać Sam za bycie jego sojusznikiem. Bardzo głupio z jej strony byłoby zrobić coś takiego przed zakończeniem pierwszego lotu, ale teraz dolecieli.

Byk splótł palce. Odmowa czaiła się na końcu języka, czekając. Byłoby to niesubordynacją, łatwą jak oddychanie. Były takie lata – nawet dziesięciolecia – kiedy by to zrobił i przyjął jej konsekwencje jak zaszczytny medal. To była jego decyzja, a odsunięcie się i patrzenie, jak Sam jest karana, było więcej niż niehonorowe, było niełojalne. Pa doskonale o tym wiedziała. Wiedział o tym każdy, kto czytał historię jego służby. Gdyby na szali leżała tylko jego misja, jego kariera, zrobiłby to, ale Fred Johnson poprosił go, żeby pilnował tej misji. W tej sytuacji mógł zrobić tylko jedno.

– Nie mam pytań – odpowiedział, podnosząc się z miejsca. – Sam. Powinnaś pójść ze mną.

Pozostali milczeli, gdy wyprowadzał ją z sali konferencyjnej. Wszyscy – poza Ashfordem i Pa – wyglądali na wstrząśniętych i zmieszanych. Pa przybrała pokerową twarz, a w kącikach ust Ashforda pojawił się lekki uśmiezek samozadowolenia. Oddech Sam drżał, a jej skóra zbladła z wściekłości i podwyższonego poziomu adrenaliny. Pomógł jej usiąść w wózku ochrony, a potem usiadł za kierownicą. Ruszyli przy akompaniamencie pisku i jęku czterech małych silników. Dojechali prawie do wind, gdy Sam się roześmiała. Krótki dźwięk bez śladu rozbawienia, bardziej przypominający krzyk bólu.

– Cholerny szlag – powiedziała.

Bykowi nie przyszło do głowy nic, co mógłby powiedzieć, żeby złagodzić cios, więc tylko kiwnął głową i wprowadził pojazd do środka obszernej windy. Sam zaczęła łkać, choć na jej twarzy nie rysowało się nic przypominającego żal. Podejrzewał, że nigdy jeszcze nie została tak gruntownie upokorzona działaniem dyscyplinarnym. A jeśli nawet, nie zdarzało się to na tyle często, by zdołała wyrobić sobie odporność. Hańba związana z pozwoleniem, by to na nią spadło uderzenie, zapychała mu gardło jak coś, co próbował połknąć bez pogryzienia, i nie chciała zejść w dół.

W biurze ochrony za główną konsolą siedział Serge. Na widok wchodzącego do biura Byka uniósł brwi.

– Hoy, bossman – przywitał go oficer dyżurny, mięśniak z SPZ imieniem Jojo. – Que pasa?

– Nic dobrego. Co mnie ominęło?

– Skarga carnicería na dole przy maszynowni w sprawie zaginionej kozy. Jeden z ziemskich statków wysłał powiadomienie o zaginionym członku załogi z pytaniem, czy nie pojawił się ktoś nowy. Paru coyo się nawaliło i zamknęliśmy ich w kabinach, mówiąc, że naślemy na nich Byka.

– Jak to przyjęli?

– Kazaliśmy im po sobie posprzątać.

Byk zaśmiał się, a potem westchnął.

– Jest tak. Mam Samarę Rosenberg w wózku na zewnątrz – powiedział. – Pierwsza chce ją zamknąć w areszcie domowym za

nieautoryzowane wykorzystanie zasobów.

– A ja chcę kucyka w skafandrze. – Jojo wyszczerzył zęby.

– Pierwsza wydała rozkaz – powiedział Byk. – Zabierz ją do jej kajuty, ja zajmę się odebraniem jej dostępu. I trzeba będzie postawić tam strażnika. Jest wkurzona.

Jojo podrapał się po szyi.

– Naprawdę to robimy?

– Naprawdę.

Twarcz Jojo przestała zdradzać emocje. Byk kiwnął głową w stronę drzwi. Jojo wyszedł, a Byk zajął jego miejsce przy biurku, zalogował się do systemu i zajął się blokowaniem dostępu Sam do jej własnego statku. Oparł się na łokciach i patrzył, jak system zabezpieczeń prowadzi kontrole wszystkich podsystemów *Behemota*.

Fred Johnson pierwszy raz uratował życie Byka karabinem i apteczką. Za drugim razem kartą kredytową. Byk zwolnił się ze służby w wieku trzydziestu lat i zabrał swoją wypłatę na Ceres. Przez trzy lata po prostu tam żył. Jadł tanio, pił za dużo i spał we własnym łóżku, nie wiedząc, czy mdłości są wynikiem alkoholu czy obrotów. Nie przejmował się tym zbytnio. Wdał się w kilka bójek, parę razy zadarł z lokalnymi glinami. Nie dostrzegał swojego problemu do chwili, gdy nie dało się go zignorować, a wtedy problem zrobił się cholernie wielki.

Depresją był obciążony dziedzicznie, podobnie jak skłonnością do prochów. Jego dziadek umarł od tej kombinacji. Matka leczyła się kilka razy. Jego brat dotarł do etapu heroiny i przez pięć lat mieszkał w ośrodku leczenia uzależnień w Roswell. Bykowi wydawało się, że nie ma z tym nic wspólnego. Był marine. Odrzucił egzystencję na podstawowym utrzymaniu, by żyć wśród gwiazd, a jeśli nie wśród nich, to przynajmniej pośród skał unoszących się swobodnie na nocnym niebie. Zabijał ludzi, butelka nie mogła go pokonać. A jednak prawie to zrobiła.

Dzień, w którym przed jego drzwiami pojawił się Fred Johnson, był dziwniejszy od snu. Jego były dowódca wyglądał inaczej. Był starszy i silniejszy. Prawdę mówiąc, wcale nie był od niego wiele starszy, ale Johnson zawsze był Starym. Byk śledził wiadomości dotyczące

skutków akcji na stacji Anderson i wiedział, że Fred zmienił strony. Niektórzy ze znanych mu, mieszkających na Ceres marines byli z tego powodu źli, ale on uważał, że stary wiedział, co robi. Nie postąpiłby tak bez powodu.

*Byk*, usłyszał słowa Freda. Z początku tylko tyle. Wciąż pamiętał, jak spojrzenie ciemnych oczu Freda napotkało jego oczy. Wstyd sprawił, że spróbował się trochę wyprostować, odrobinę wciągnąć brzuch. Dopiero w tamtej chwili dostrzegł, jak nisko upadł. Wystarczyły mu do tego dwie sekundy widzenia siebie w oczach Freda Johnsona.

*Sir*, odpowiedział, a potem cofnął się i wpuścił Johnsona do swojej dziury. Mieszkanie śmierdziało drożdżami i starym tofu. I przetrawionym potem. Fred to zignorował. *Potrzebuję cię znowu na służbie, żołnierzu.*

*Dobra*, odpowiedział *Byk*. Choć od tamtej pory nosił tajemnicę, którą zamierzał zabrać ze sobą do grobu: wcale nie zamierzał tego robić. W tamtej chwili *Byk* pragnął jedynie, by Fred Johnson sobie poszedł i pozwolił mu się znowu zapomnieć. Kłamanie swojemu dowódcy, człowiekowi, który uratował go przed wykrwawieniem się pod ostrzałem, było dla niego równie łatwe, jak oddychanie. I nie miało to nic wspólnego z Ziemią, Pasem albo stacją Anderson. Nie chodziło o lojalność wobec jakiejś większej sprawy. Po prostu nie skończył się jeszcze staczać. I nawet teraz, gdy siedział samotnie przy konsoli ochrony, zdradzając *Sam*, sądził, że Fred to wiedział. Albo zgadł.

Johnson wcisnął mu w rękę chip kredytowy. Był to jeden z tych tanich, lekko przezroczystych chipów, których w tamtych czasach SPZ używało się do unikania kontroli ich funduszy. *Kup sobie nowy mundur.* *Byk* zasalutował, myśląc już o alkoholu, który będzie mógł kupić za te pieniądze.

Chip zawierał równowartość sześciomiesięcznej gaży jego starej pensji. Gdyby było tego mniej, *Byk* by je roztrwonił, ale zamiast tego ogolił się po raz pierwszy od wielu dni, kupił nowe ubranie, spakował walizkę i wyrzucił wszystko, co się do niej nie mieściło. Od tamtej pory nie pił ani razu, nawet w nocy, gdy pragnął alkoholu bardziej niż tlenu.



System zabezpieczeń zabręczał, informując o zakończeniu blokowania. Byk zapisał informację i odchylił się na oparcie fotela, czytając powiadomienie z *Cerisiera* i pozwalając swobodnie płynąć swoim myślom. Gdy Byk przyszedł objąć swoją zmianę, przeszedł dwa korytarze dalej do małego rodzinnego sklepiku, kupił czteropak baniek z piwem i ruszył do mieszkania Sam. Stojący przed drzwiami strażnik kiwnął mu głową. Formalnie Byk nie musiał pukać. Jako szef ochrony mógł wejść do mieszkania Sam w każdej chwili, będąc mile widziany lub nie. Zapukał.

Sam miała na sobie prosty sweter i czarne spodnie robocze z magnetycznymi paskami wzdłuż boków. Byk wyciągnął w jej stronę piwo. Przez dłuższą chwilę Sam mierzyła go wściekłym wzrokiem, ale w końcu cofnęła się, wpuszczając go. Wszedł za nią do środka.

Jej mieszkanie było czyste, eleganckie i zagracone. Powietrze pachniało przemysłowym smarem i praniem. Oparła się o bok piankowej kanapy.

– Podarunek na pojednanie? – zapytała gorzko.

– Zgadza się – potwierdził Byk. – Pa jest wkurzona na mnie, ale wyżywa się na tobie. Uznała, że albo wykonam polecenie i stracę najlepszego sojusznika, albo nie i wtedy to ja wyląduję w areszcie, nie? Tak czy tak, ona wygrywa.

– To gówno.

– Owszem – potwierdził Byk. – I cholernie mi z tego powodu przykro.

Oddech Sam aż drżał ze złości. Byk czekał ze spokojem. Należało mu się. Podeszła do niego, chwytając czteropak, skrzyła go, by rozerwać plastik i wyszarpnęła jedną z baniek.

– Chcesz jedną? – zapytała.

– Dla mnie tylko woda.

– Najbardziej mnie wkurza – powiedziała Sam – że Ashford tylko tam sobie siedzi, jakby to wszystko bardzo go cieszyło. Zna stawkę. Siedzi w tym tak samo, jak Pa. Albo ty. Niech ci się nie wydaje, że możesz mnie kupić kilkoma tanimi browarami. Jesteś tu winny w równym stopniu, co oni.

– Jestem.

– Zajął się inżynierią, bo nie chciałam mieć nic do czynienia z tymi wszystkimi gierkami. I proszę, gdzie wylądowałam.

– Owszem – zgodził się po raz kolejny Byk.

Sam z westchnięciem opadła na kanapę i powiedziała coś bardzo barwnego i nieprzyzwoitego. Byk usiadł naprzeciw niej.

– Dobra, przestań – rzuciła.

– Co?

– Dość tego wyglądu pokornego grzesznika. Czuję się, jakbym miała uklęknąć czy coś takiego. Przeraża mnie to. – Pociągnęła spory łyk z bańki, której miękkie plastik zapadł się od ssania, a potem rozszerzył z powrotem, gdy piwo uwolniło gaz. – Słuchaj, ty i Pa oboje robicie to, co jest waszym zdaniem najlepsze, a ja na tym cierpię. Rozumiem. Ale to nie znaczy, że musi mi się to podobać. Problem w tym, że masz rację. Ona chce, żebyś stracił sojuszników, więc niezależnie od tego, jak bardzo mam ochotę powiedzieć ci, żebyś poszedł i wsadził sobie fiuta w imadło, nie zrobię tego, bo wiem, że wtedy Pa by wygrała.

– Dziękuję ci za to, Sam.

– Idź wsadzić sobie fiuta w imadło, Byku.

Zabrzączał ręczny terminal Byka.

– Panie Baca? – zabrzmiał głos Gathoniego. – Chyba powinien pan wrócić do biura.

Sam natychmiast spowaźniała i odstawiła bańkę. Byka ścisnęło w brzuchu.

– Co się dzieje? – zapytał.

Gdy Gathoni odpowiedział, jego głos był kontrolowany i spokojny jak u lekarza żądającego nacisku w określonym miejscu.

– Ziemski niszczyciel *Seung Un*. Właśnie wybuchł.

# Rozdział czternasty

## *Melba*

Kiedy o tym myślała, planując końcowe, ostateczne etapy zemsty, widziała siebie jako dyrygentkę prowadzącą prywatną symfonię, poruszającą batutą w zaplanowanym chaosie. Wcale nie toczyło się to w ten sposób. Kiedy tego ranka leciała na *Thomasa Prince'a*, nie wiedziała, że w końcu nadszedł ten dzień.

– Wszyscy na stanowiska – poleciał męski głos na kanale ogólnym.

– Cholernie chciałabym, żeby z tym skończyli – skomentowała Melba. – Zawsze mam po tym wrażenie, że powinnam coś zrobić.

– Savvy, szefowo. Kiedy zaczną nam płacić stawki floty, będę skakać w ich ćwiczeniach – odpowiedziała Soledad głosem spłaszczonym przez głośniczek ręcznego terminala. – W tych tutaj wszystko w porządku. Jeśli Stanni niczego nie znajdzie, będziemy musieli zejść poziom niżej i spróbować jeszcze raz.

– Potwierdzam – odpowiedziała Melba. – Co tam u ciebie, Stanni?

Na kanale zapadła cisza. Melba rozejrzała się po korytarzu technicznym, widząc pół kilometra niczego: przewody i rury oraz panele dostępne, które mogły się przesuwać zgodnie z kierunkiem ciągu. Jedynymi dźwiękami były trzaski, syki i mamrotanie elementów *Thomasa Prince'a*. Sekundy się rozciągały.

– *Stanni?* – powtórzyła Soledad z niepokojem w głosie i kanał zatrzeszczał.

– Perdón – odezwał się wywołany. – Patrzę na dziwne okablowanie, ale to nie tego szukamy tym razem. Na chwilę się zamyśliłem, nic mi

nie jest. Jestem.

Soledad rzuciła pod nosem coś wulgarnego.

– Przepraszam – jeszcze raz powiedział Stanni.

– Wszystko w porządku – odezwała się Melba. – Sprawdziłeś buforę spadku napięcia?

– Tak.

– No to ruszajmy dalej. Następny poziom.

Tym, co najbardziej ją zaskoczyło i czego zupełnie nie przewidziała, był fakt, jak bardzo wszyscy na *Cerisierze* byli skłonni przypisać winę za zniknięcie Rena Pierścieniowi. Bardzo rzadko zdarzało się, by ktoś zaginął na statku. *Cerisier*, jak każda jednostka dalekiego zasięgu, był układem zamkniętym, nie było gdzie odejść. Sądziła, że pojawią się zwykłe, ludzkie podejrzenia. Ren wszedł komuś w drogę, ukradł coś, przespał się z niewłaściwą osobą i został wyeliminowany. Może wyrzucony przez służbę. Wrzucony do recyklera i przerobiony na podstawowe substancje odżywcze, a potem przefiltrowany do obiegu wody. Nie chodziło o to, że nie było sposobów na ukrycie lub usunięcie ciała – problem polegał na zrobieniu tego w sposób, który nie zostałby zauważony. Podróże międzyplanetarne nigdy nie wyeliminowały morderstw. Jeśli zamknęło się tak wiele zaawansowanych ewolucyjnie naczelników na całe miesiące, pewien wskaźnik zgonów był wręcz spodziewany.

Jednak tym razem było inaczej. Ludzie uważali, że zaginięcie czy zniknięcie kogoś w pobliżu Pierścienia było oczekiwane. Wydawało się właściwe. Sama podróż była złą wróżbą i sądzono, że będą się dziać dziwne rzeczy, gdy ludzie za bardzo zbliżą się do nieznanego, niebezpiecznego i nawiedzzonego. Wszyscy byli zdenerwowani i to też zapewniło jej ochronę. Gdyby zaczęła płakać, uważaliby, że znają powód. Uznaliby, że to strach.

Melba spakowała zestaw diagnostyczny z powrotem do pokrowca, wstała i ruszyła do windy. Wewnętrzna winda techniczna była mała, ledwie mieściła jednego człowieka z wyposażeniem. Przemieszczanie się między pokładami przypominało wejście do trumny. Przejeżdżając na następny poziom, wyobrażała sobie, co by się stało w razie awarii zasilania. Uwięzienie w kabinie. Jej umysł

przeskoczył i na chwilę zobaczyła własną szafkę. Tę w jej kabinie, wypełnioną Renem i pianką uszczelniającą. Zadrżała i zmusiła się do myślenia o czymś innym.

*Thomas Prince* był jednym z większych okrętów ziemskiej floty i przewoził całą hordeę cywilów zebranych przez Organizację Narodów Zjednoczonych. Artystów, poetów, filozofów i kapłanów. Choć w żaden sposób nie zmieniło to fizycznej struktury statku, odbierała go w mniejszym stopniu jak okręt wojskowy, a bardziej jak kiepsko urządzone, niewygodny wycieczkowiec. Clarissa podróżowała na jachtach i luksusowych jednostkach podczas większości podróży poza studnią grawitacyjną Ziemi i mogła sobie wyobrazić tysiące skarg, których kapitan musiał wysłuchiwać na temat niedostatecznej szerokości korytarzy albo zbyt niskiej jakości ekranów na ścianach. Tego rodzaju rzeczami sama przejmowałaby się w poprzednim życiu. Teraz nie miało to dla niej żadnego znaczenia.

Nie powinno być jej to w ogóle interesować. Jeszcze jedna śmierć, jedna mniej lub jedna więcej. Nie powinna mieć znaczenia. Ale to był Ren.

– Na miejscu – zgłosił Stanni.

– Daj mi chwilę – odpowiedziała Melba, wychodząc z windy.

Nowy korytarz był prawie identyczny z tym poziom wyżej. Na tych pokładach mieściły się głównie kwatery i magazyny – i bardzo niewiele różniły się między sobą, choć odbiegały wyglądem od najniższych poziomów, gdzie mieściła się maszynownia, warsztaty i hangary. Zadanie wyśledzenia anomalii elektrycznej zaczęli tutaj, ponieważ tak było najłatwiej. Im więcej czasu im to zajmie, tym robi się trudniej. Jak zwykle.

Znalazła skrzynkę, wyciągnęła zestaw diagnostyczny z pokrowca i podłączyła go.

– Solé?

– Na miejscu – zgłosiła Soledad.

– W porządku – rzuciła Melba. – Rozpocznij śledzenie.

Kiedy się to stało, zaniósł Rena do swojej kabiny i położyła go na podłodze. Czowała już nadchodzącą zapaść, więc położyła się na pryczy i pozwoliła jej nadejść. Może tylko wyobraźnia sprawiła, że wydawała

się gorsza od wcześniejszych. Przez długą, przerażającą chwilę na końcu sądziła, że puściły jej zwieracze, ale kombinezon okazał się czysty. Kiedy było po wszystkim, wyszła, wzięła sobie bańkę kawy, wsadziła ręczny terminal Rena do jednej z kabin we wspólnej ubikacji i odszukała oficera ochrony. Był nim szczupły Marsjanin, Andre Commenhi, który nieuważnie wysłuchał jej nieformalnego raportu. Ren zadzwonił do niej i poprosił o konsultację. Kiedy poszła się z nim spotkać przy zwykle zajmowanej przez niego konsoli, nie było go tam. Obeszła cały statek, ale go nie znalazła, nie odbierał też próśb o połączenie. Zaczynała się niepokoić.

Kiedy przeszukiwali statek, zgarnęła kilka pojemników pianki uszczelniającej, wróciła do kabiny i pochowała Rena. Jego włosy wydawały się jaśniejsze, pomarańczowe jak coś z rafy koralowej. W miejscach, gdzie odpłynęła krew, jego skóra była jasna jak światło słońca. Purpurowa jak siniak tam, gdzie się zebrała. Jeszcze nie zeszywniał, więc zdołała zgiąć go w pół, zwinąć w pozycję płodową i wypełnić przestrzeń wokół niego pianką. Stwardniała w kilka minut. Pianka została zaprojektowana tak, by była nieprzepuszczalna dla powietrza i odporna na ciśnienie. Jeśli wszystko zrobiła dobrze, zapach trupa nie wydostanie się na zewnątrz.

– Nadie – odezwała się Soledad zrezygnowanym głosem. – Wy coś macie?

– Hej! – krzyknął Stanni. – Ja chyba tak. Mam dziesięć procent fluktuacji na tej skrzynce.

– Dobra – powiedziała Melba. – Zresetujmy ją i zobaczmy, czy to rozwiąże sprawę.

– Już się robi – odpowiedział Stanni. – Zjemy coś, gdy będzie się przełączać?

– Spotkajmy się w kambuzie – zgodziła się Melba. Jej głos brzmiał prawie normalnie. Brzmiała jak ktoś inny.

Kambuz był prawie pusty. Według zegara okrętu był środek nocy i przy stołach siedziało tylko kilku oficerów, z zaciekawieniem oglądając przechodzących cywilów. Zgodnie z warunkami kontraktu mieli prawo korzystać z mesy oficerskiej. Docierały do niej plotki, że załogi floty niezbyt ufały cywilom takim jak ona i jej zespół – i

miałyby im to za złe, gdyby nie stanowiła żywego przykładu, że tego rodzaju podejrzania były jak najbardziej uzasadnione. Soledad i Stanni siedzieli już przy stole, pijąc kawę z baniek i jedząc z jednego talerza słodkie bułeczki.

– Będzie mi ich brakować, gdy wyłączą ciąg – skomentował Stanni, unosząc jedną z bułeczek. – Najlepsze kucharzenie w nieważkości nie równa się pieczeniu na ciągu. Jak myślisz, jak długo będziemy wisieć?

– Ile będzie trzeba – filozoficznie odparła Melba. – Słyszałam coś o dwóch miesiącach.

– Dwa miesiące w nieważkości – jęknęła Soledad, ale jej głos i szarość twarzy jasno zdradzały prawdziwy powód niezadowolenia. Dwa miesiące przy Pierścieniu.

– Właśnie – rzucił Stanni. – Jakieś wieści od Boba?

Piąty członek zespołu – teraz już czwarty – był wciąż na *Cerisierze*. Okazało się, że i Ren, i on mieli romans z członkiem zespołu medycznego, a ochrona zebrała zwykłych podejrzanych w takich sprawach. W większości wypadków zaginięć sprawa związana była z uczuciami. Melba znowu poczuła, że ściska ją w gardle.

– Jeszcze nic – odpowiedziała. – Ale oczyszczą go. Nie zrobiłby niczego takiego.

– Właśnie – zgodziła się Soledad. – Bob nikogo by nie skrzywdził, to dobry człowiek. Wszyscy o wszystkim wiedzieli i on kochał Rena.

– Mógł przestać *passato* – odpowiedział Stanni. – Nie wiemy, że nie żyje.

– Z tym *esse coisa* na zewnątrz bycie martwym to najlepsze, co mogło go spotkać – skomentowała Soledad. – Od kiedy tylko zaczęliśmy hamować, ciągle mam sny. Nie sądzę, żebyśmy mieli wrócić z tego lotu. Żadne z nas.

– Takie gadanie w niczym nie pomoże – rzucił Stanni.

Do kambuza weszła kobieta. W średnim wieku, z gęstymi, rudymi włosami zebranymi w ciasny kok, który konkurował z jej uśmiechem. Melba popatrzyła na nią, próbując uciec myślami od tematu podjętego przy stole, a potem odwróciła wzrok.

– Cokolwiek stało się z Renem – powiedziała – mamy swoją robotę do zrobienia. I zrobimy ją.

– Cholerna racja – zgodził się Stanni, a po chwili powtórzył jeszcze raz, z większym naciskiem. – Cholerna racja.

Przez chwilę siedzieli razem, milcząc, podczas gdy starszy mężczyzna łkał. Solé objęła go ramieniem, a Stanni powoli się uspokoił. Kiwnął głową i przełknął ślinę. Wyglądał jak ucieleśnienie żalu i odwagi. Szlachetnie. Melba po raz pierwszy pomyślała, że Stanni jest mniej więcej w wieku jej ojca, a nigdy nie wiedziała, żeby ojciec płakał z czyjegoś powodu.

– Przykro mi – powiedziała. Nie planowała wypowiedzieć tych słów, pojawiły się same. Wydawały się obłeśne.

– W porządku – odpowiedział Stanni. – Już mi lepiej. Proszę, szefowo, weź bułeczkę.

Melba wyciągnęła rękę, walcząc z sobą, by się nie rozplakać. Żeby się nie odezwać. Nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć, i zdecydowanie sobie nie ufała. Na jej terminalu ręcznym zabrzmiał sygnał powiadomienia. Zakończyła się procedura diagnostyczna. Wystarczyła sekunda na przekonanie się, że w systemie nadal pojawiał się skok napięcia. Stanni rzucił coś nieprzyjemnego, a potem wzruszył ramionami.

– Nie ma spoczynku dla nikczemnych ani pokoju dla prawych – powiedział, wstając.

– Idźcie – rzuciła Melba. – Dogonię was.

– Pas problema – odpowiedziała Soledad. – Prawie nie ruszyłaś swojej kawy, sa sa?

Przyglądała się, jak wychodzą, czując ulgę, że ich tu nie będzie, a jednocześnie pragnęła zawołać ich z powrotem, oboje równocześnie. Odczuwane przez nią ściśnięcie gardła przeszło na klatkę piersiową. Bułeczki wyglądały równocześnie apetycznie i mdląco. Zmusiła się do wykonania kilku głębokich oddechów.

Było już prawie po wszystkim. Floty doleciały na miejsce. *Rosynant* już tu był. Wszystko szło zgodnie z planem, a nawet jeśli nie do końca, to przynajmniej dostatecznie. Ren nie powinien mieć znaczenia. Zabijała już wcześniej. Było prawie nieuniknione, że od wybuchu jej bomby zginą ludzie. Zemsta pragnęła krwi, zawsze tak było. To leżało w naturze zemsty, a ona stała się jej narzędziem.



Śmierć Rena nie była jej winą, tylko Holdena. To Holden zabił go, czyniąc konieczną jej obecność. Gdyby uszanował honor jej rodziny, nic z tego by się nie wydarzyło. Wstała, poprawiła się i przygotowała do powrotu do pracy przy naprawie *Thomasa Prince'a*, tak jak zrobiłaby to prawdziwa Melba.

– Przepraszam, Ren – powiedziała, sądząc, że robi to po raz ostatni, ale żal, który poczuła po tych słowach, zmusił ją do opadnięcia na krzesło.

Coś było nie tak. Nie tak powinna się czuć. Traciła nad sobą kontrolę. Zaczęła się zastanawiać, czy po tym wszystkim, co zrobiła, nie zabraknie jej sił. A może to coś innego. Może sztuczne gruczoły zaczęły wypuszczać toksyny do jej krwi bez zezwolenia. Robiła się niestabilna emocjonalnie, a to mógł być jeden z objawów. Oparła głowę na rękach i spróbowała opanować oddech.

Był dla niej miły. Okazał jej tylko dobroć. Pomógł jej, a ona go za to zabiła. Wciąż czuła, jak jego czaszka ustępuje pod jej ręką, świeża i miękka, to było jak uczucie ustępowania gruntu, gdy stało się na brzegu rzeki. Jej palce pachniały pianką uszczelniającą.

Ren dotknął jej ramienia i gwałtownie podniosła głowę.

– Cześć – powiedział ktoś. – Jestem Anna. Jak masz na imię?

To była ta rudowłosa kobieta, która jeszcze przed chwilą rozmawiała z oficerem floty.

– Widziałam, jak tu siedzisz – powiedziała, siadając. – i pomyślałam, że przydałoby ci się jakieś towarzystwo. Strach nie jest niczym dziwnym, rozumiem.

Ona wie.

Ta myśl przemknęła przez ciało Melby jak błyskawica. Nawet bez przystawiania języka do podniebienia poczuła aktywację ukrytych w ciele gruczołów z ich pęcherzami. Jej twarz i dłonie zrobiły się zimne. Zanim kobieta zdążyła szerzej otworzyć oczy, żal i poczucie winy Melby zmieniły się w zimną furję. Wiedziała i wszystko ujawni, a potem wszystkie jej wyrzeczenia zostaną zmarnowane.

Nie pamiętała wstawania, ale już nie siedziała. Kobieta też wstała i cofnęła się o krok.

*Muszę ją zabić.*

– Przepraszam. Nie chciałam cię niepokoić.

Kobieta uniosła ręce, jakby to miało wystarczyć do zasłonięcia się przed uderzeniem. Byłoby tak łatwo. Nie wyglądała na silną. Nie widziała, jak się walczy. Kopniak w brzuch doprowadziłby ją do wykrwawienia się. Nic prostszego.

Odezwał się cichy głos w głębi jej umysłu: *To jedna z tych durnych kapłanek szukających kogoś do zbawienia. Ona niczego nie wie. Jesteś wśród ludzi. Jeśli ją zaatakujesz, złapią cię.*

– Nie znasz mnie – powiedziała Melba z wysiłkiem, próbując zachować spokój w głosie. – Niczego nie wiesz.

Zza jednego ze stołów najbliższej drzwi wstał młody oficer i zrobił dwa kroki w ich stronę, gotów interweniować. Jeśli ta kobieta doprowadzi do wsadzenia jej do aresztu, przyjrzą się uważnie tożsamości Melby. Znajdą ciało Rena. Dowiedzą się, kim jest. Musiała się opanować.

– Masz rację. Przepraszam – powiedziała kobieta.

W umyśle Melby wezbrała nienawiść, czysta i czarna tam, gdzie nie była czerwona. W jej gardle wezbrał ciąg obelg, gotów do wylania się na głupią kapłankę, która wszystko – wszystko – wystawiała na niebezpieczeństwo. Melba przełknęła je i szybko odmaszerowała.

Korytarze *Thomasa Prince'a* stanowiły niewyraźną obecność w burzy jej umysłu. Pozwoliła, by sprawa z Renem wytrąciła ją z równowagi. Pozbawiła ją skupienia i doprowadziła do ryzyka, które wcale nie było jej potrzebne. Nie myślała jasno, ale teraz już się opanowała. Weszła do windy i wybrała poziom, na którym Stanni z Soledad sprawdzali układ elektryczny, próbując odszukać wadliwy element. A potem anulowała wybór i wywołała hangar.

– Stanni? Solé? – powiedziała do terminala ręcznego. – Przypilnujcie tego dla mnie przez chwilę. Mam jeszcze coś do zrobienia.

Czekała na nieuniknione pytania, próby wydłubania odpowiedzi i podejrzliwość.

– Dobra – odpowiedziała Soledad. I tylko tyle.

W hangarze Melba autoryzowała lot swojego promu, odczekała dziesięć minut na zgodę i wystartowała z boku *Thomasa Prince'a*, kierując się w czerń. Monitory promu były małe i tanie, zbierały

beźmiar kosmosu w okno pięćdziesiąt na pięćdziesiąt centymetrów. Kazała komputerowi wyliczyć najszybszy kurs na *Cerisiera*. Lot wymagał niecałej godziny. Poddała się ciągowi, jakby jechała kolejką górską, i pozwoliła na pełny ciąg palnika. *Cerisier* pojawił się w bezmiarze gwiazd jako mała, sunąca ku niej szara kropka. Podobnie jak cała flotylla, statek był w końcowej fazie hamowania, które miało ich umieścić obok Pierścienia. Obiekt czekał gdzieś za jarzącymi się strumieniami z dysz silników. Melba odsunęła od siebie tę myśl. Przypominała jej o Stanni, Soledad oraz ich cichych lękach. Nie mogła teraz o nich myśleć.

Niecierpliwe pragnienie dotarcie sprawiło, że miała problem z obrotem i hamowaniem. Chciała dotrzeć na miejsce, już tam być. Chciała przemknąć do *Cerisiera* jak wiedźma na miotle, gnając z prędkością niemożliwą w atmosferze. W efekcie czekała za długo i ostatni kawałek lotu odbyła przy prawie dwóch g. Kiedy zadokowała, bolała ją głowa, a szczęka sprawiała wrażenie, jakby ktoś w nią uderzył.

Nikt nie spytał, dlaczego wróciła wcześniej, w dodatku sama. W dzienniku wpisała powody osobiste. Marsz ciasnymi korytarzami i przeciskanie się obok innych członków załogi były przytłaczające, znajome i pocieszające. Dopiero powrót tutaj pozwolił jej uświadomić sobie, jak bardzo niepewnie czuła się w znacznie przestronniejszych wnętrzach *Thomasa Prince'a*. Tamto miejsce za bardzo kojarzyło się z wolnością, a ona musiała kierować się koniecznością.

W jej kajucie panował bałagan. Wszystkie jej rzeczy – ubrania, gniazdo terminala, tampony, zestaw łączności, szczoteczka do zębów – leżały na podłodze. Będzie musiała znaleźć sposób na zabezpieczenie ich przed wyłączeniem ciągu albo wylecą na korytarz, a ludzie będą się zastanawiać, dlaczego nie były schowane. Pozwoliła sobie na zerknięcie na metalowe drzwiczki pod pryczą przeciążeniową. Z jednego rogu wystawał maleńki strumyczek zastygniętej piany. Musi zdobyć jakieś siatki i kilka magnesów. To załatwi sprawę. Teraz to nie miało znaczenia. To będzie później. Nic później się nie liczyło.

Podniosła zestaw łączności i włączyła go. Sygnał powrotny do *Rosynanta* potrzebował niecałych trzydziestu sekund. Melba wczytała

sekwencję, którą chciała wywołać już od miesięcy. Lat. Skrypt był krótki. Potwierdzenie wykonania nie zajęło nawet sekundy.

Strach zniknął. Nienawiść też. Przez chwilę mały pokój wypełniało uczucie obudzenia się ze snu, a jej ciało wreszcie się odprężyło. Było prawie zrelaksowane. Dotarła tak daleko, pracowała tak ciężko i pomimo wszystkich pomyłek, błędów oraz improwizacji w ostatniej chwili w końcu jej się udało. Wszystko w jej życiu zmierzało do tego momentu, a teraz, gdy do niego dotarła, prawie trudno było się z tym pogodzić. Czuła się, jakby kończyła uniwersytet albo wychodziła za mąż. Ta chwila, to działanie wieńczące wszystko, o co walczyła, a potem nigdy już jej świat nie będzie taki sam.

Ostrożnie, smakując każde naciśnięcie przycisku, wprowadziła kod potwierdzenia – *jules-pierre mao* – i wcisnęła przycisk wysyłania. Dioda LED konsoli łączności zaświeciła bursztynowo. Mały pakiet danych mknął z prędkością światła, niewiele większy od szumu tła. Ale oprogramowanie na *Rosynancie* go rozpozna. Urządzenia łączności na statku Holdena zostaną sprzęgnięte z zainstalowaną tam już wirtualną maszyną i nie da się ich zatrzymać bez całkowitego zresetowania systemu. *Rosynant* wyśle łatwo rozpoznawalny kod aktywacji na *Seung Un*, odczeka pięćdziesiąt trzy sekundy i ogłosi przyznanie się Holdena do odpowiedzialności, przekazując jego żądania. Potem wirtualny sterownik włączy systemu uzbrojenia i celowania. Żadna siła we wszechświecie nie mogła już zapobiec tym wydarzeniom.

Panel łączności otrzymał odpowiedź z potwierdzeniem i bursztynowa dioda LED zmieniła kolor na czerwony.

# Rozdział piętnasty

## *Byk*

Terminal ręczny Byka leżał na cienkiej plastikowej tablicy rozdzielczej wózka, podskakując na każdej nierówności podłogi korytarza. Syrena darła się standardowym dwutonowym sygnałem, przeganiając ludzi z drogi i zbierając ich z powrotem po jego przejeździe. Jeśli jeszcze nie wiedzieli, dowiedzą się w ciągu kilku minut. Zniszczenie *Seung Una* nie było czymś, co można by przegapić.

Na małym, trzęsącym się ekranie niszczyciel eksplodował po raz kolejny. W pierwszej chwili tylko błysk pomarańczowego światła na śródkręciu, coś wyglądającego jak wyładowanie elektryczne lub ostatni etap procedury przeglądu działa Gaussa. Pół sekundy później z tego miejsca zaczęły się rozchodzić żółte iskry. Po dwóch sekundach nastąpił duży wybuch. Między jedną klatką a drugą cały bok niszczyciela zmienił się w dziurę. A potem nic przez dziesięć sekund, kiedy z tyłu powoli wyłonił się rdzeń reaktora, jaśniejszy od Słońca. Byk patrzył, jak jaskrawobiałe gazy zaczynają się rozpraszać i gasnąć w olbrzymią złotą koronę, kroplę złota tracącą spójność w oceanicznej czerni.

Podniósł wzrok, żeby skręcić na rampę prowadzącą do jego biura. Młody człowiek powoli schodził mu z drogi, a Byk wcisnął klakson wózka.

– Nie słyszysz syreny? – wrzasnął, mijając młodzieńca.

Dostał w odpowiedzi obojętne kiwnięcie.

– Dobra. – Z terminala zabrzmiał głos Serge'a. – Dostaliśmy

pierwsze analizy ochrony. W tej chwili najlepszy wynik mamy, zakładając, że coś wybuchło w jednym z przewodów zasilania i stopiło systemy zabezpieczeń tak, że nie mogły niczego wyłączyć. Mniej więcej właśnie tyle czasu potrzeba, żeby zmienić cały sterburtowy obwód w stopiony żużel.

– Co wybuchło? – zażądał odpowiedzi Byk.

– Prawdopodobnie silnik manewrowy. To mniej więcej właściwe miejsce. Jeśli zrobi się dość gorąco, woda pomija etap pary i zmienia się od razu w plazmę. Przecina wszystkie ściany dookoła.

Byk wykręcił wózką na skrzyżowaniu i zwolnił, by dać czas kilku pieszym na zejście mu z drogi.

– Dlaczego zrzucili rdzeń?

– Nie wiem, ale pewnie sądzili, że doszło do utraty pola ograniczającego. Sześć ich statków skręca teraz, żeby nie przelecieć przez ten obszar.

– Gdyby stracili pole, byłoby znacznie gorzej. Skręcaliby, żeby uniknąć ciał i odłamków. Ktoś ocalał?

– Tak. Wysyłają prośby o pomoc medyczną i ewakuację. Brzmi dość paskudnie, que no?

– Co z danymi śledzenia? Możemy stwierdzić, kto do nich strzelił?

– Nikt nie strzelał. Albo był to zwykły wypadek, albo...

– Albo?

– Albo nie był.

Byk zagryzł wargę. Wypadek byłby bardzo niedobry. Ludzie ze wszystkich stron struktury władzy Układu Słonecznego byli bardzo nerwowi, a przypomnienie, że flota Ziemi robi się coraz starsza i nie jest w najlepszym stanie technicznym, niczego by nie ułatwiło. Sabotaż zdecydowanie pogorszyłby sytuację. Najbliższe dobrej wiadomości było to, że wszyscy widzieli wybuch i nie było mowy o oskarżeniach o działanie drugiej strony. Gdyby był to pocisk z działa Gaussa lub rakieta, która niezauważona przemknęła się przez system obrony *Seung Una*, misja naukowa zmieniłaby się w otwartą wojnę szybciej, niż Byk zdążyłby o tym pomyśleć.

– Zaoferowaliśmy pomoc? – zapytał.

– Trochę szacunku, szefie – obruszył się Serge. – Ashford usłyszał o

tym dużo wcześniej od nas.

Byk pochylił się do przodu, ściskając kierownicę tak mocno, że zbieleły mu kostki. Serge miał rację. To, co działo się poza statkiem, było problemem Ashforda. Oraz Pa. On był szefem ochrony i musiał się zastanowić, co wymagało zrobienia wewnątrz *Behemota*. Ludzie będą przestraszeni, a jego zadaniem było dopilnowanie, żeby ich strach nie zmienił się w histerię. Obserwacja wybuchającego statku – nawet wrogiego – przypominała wszystkim, jak kruche jest życie oddzielone od próżni jedynie cienką warstwą ceramiki i stali. Zdecydowanie przypomniało o tym jemu. Wózek wjechał na nierówność większą od typowych i jego terminal zsunął się na bok.

– Dobra – rzucił Byk. – Słuchaj, będziemy musieli przygotować środki pomocy na wypadek, gdyby kapitan zdecydował się zaoferować pomoc. Ilu rozbitków możemy wziąć na pokład?

Śmiech Serge'a miał w sobie nutkę histerii.

– Wszystkich. Jesteśmy pieprzonym *Behemotem*. Mamy tu miejsce na całe miasto.

– Dobra – rzucił Byk, uśmiechając się wbrew sobie. – To było głupie pytanie.

– Jedyne, czym musimy się martwić, to...

Linia padła.

– Serge? To nie jest zabawne – rzucił Byk. A po chwili: – Mów do mnie.

– Mamy coś. Transmisja szerokopasmowa z prywatnej korwety *Rosynant*.

– Skąd znam tę nazwę? – zapytał Byk.

– Właśnie – rzucił Serge. – Przełączam.

Ekran terminala zrobił się czarny, mignął, a potem pojawiła się na nim znajoma twarz. Byk zwolnił, patrząc jak James Holden, człowiek, którego oświadczenie o zniszczeniu lodowcowca *Canterbury* rozpoczęło pierwszą wojnę między Ziemią a Marsem, po raz kolejny pogarsza sytuację.

– ...statek, który zbliży się do Pierścienia bez mojej *osobistej* zgody, zostanie zniszczony bez ostrzeżenia. Nie wystawiajcie mojego zdecydowania na próbę.

– O nie – rzucił Byk. – O cholera, nie.

– Moim osobistym celem zawsze było dopilnowanie, by informacje i zasoby były całkowicie dostępne dla wszystkich. Wysiłki poszczególnych osób i bytów korporacyjnych mogły pomóc nam skolonizować planety naszego Układu Słonecznego i umożliwić życie w miejscach, które wcześniej były nieosiągalne, ale zbyt wielkie ryzyko wiąże się z przejęciem kontroli nad Pierścieniem przez jakąś pozbawioną skrupułów jednostkę. Dowiodłem, że jestem godzien zaufania mieszkańców Pasa. Moralnym imperatywem jest, by ten lśniący artefakt był chroniony i rozleję tyle krwi, ile będę musiał, by tego dopilnować.

Byk zgarnął swój terminal i spróbował się połączyć z Ashfordem. Na ekranie błysnęła czerwona koniczynka blokady, przekierowując go do menu umożliwiającego nagranie wiadomości na później. Spróbował z Pa z identycznym skutkiem. Wiadomość Holdena leciała w pętli, powtarzane słowa – równie głupie i toksyczne, jak za pierwszym razem. Byk rzucił przekleństwem i zacisnął zęby. Zakręcił kierownicą, skręcając wózek w najciańszym łuku, jaki potrafił z niego wyciągnąć i wcisnął pedał gazu. Centralne windy były odległe tylko o minutę czy dwie jazdy, mógł się tam dostać. Żeby tylko Ashford nie zrobił niczego głupiego, zanim dostanie się na mostek.

– To prawda, szefie? – zapytał Serge. – Czy Holden przejął w naszym imieniu Pierścień?

– Masz natychmiast zmobilizować wszystkich z ochrony – odpowiedział Byk. – Procedury wrogich działań. Puste korytarze i zamknięte grodzie. Obudź i ubierz wszystkich ludzi z zespołów szturmowego i kontroli zniszczeń. Ty za to odpowiadasz.

– Robi się, szefie – odpowiedział Serge. – Gdzie będziesz, gdyby ktoś pytał?

– Spróbuję dopilnować, żeby nie byli potrzebni.

– Bien.

Znajome korytarze wydawały się dłuższe niż zwykle, a niezręczność podłóg zbudowanych jako ściany i ścian przeznaczonych na sufity była jeszcze bardziej surrealistyczna. Gdyby to był prawdziwy pancernik, dostępna byłaby prosta, bezpośrednia droga.



Gdyby wielki brzuch *Behemota* wirował, byłoby równie dobrze. Siłą woli próbował skłonić wózek do szybszej jazdy, wyciskając z silnika wszystko, co potrafił. Zabrzmiał sygnał alarmowy: Serge wzywał wszystkich na stanowiska bojowe.

Przy windzie zebrał się spory tłum: kobiety i mężczyźni próbowali dostać się na swoje stanowiska. Byk przepchnął się między nimi, choć był tam najniższy. Ziemiańin, jak Holden. Przy windzie aktywował obejście zabezpieczeń, wezwał pierwszą kabinę i wszedł do środka. Wysoki, ciemnoskóry mężczyzna próbował wejść za nim. Byk zatrzymał go dłonią na piersi.

– Weź następną – powiedział. – Nie chcesz trafić tam, gdzie jadę.

Gdy winda wznosiła się do mostka jak do nieba, Byk użył ręcznego terminala, próbując zdobyć jakiejkolwiek informacje. Nie miał dostępu do szyfrowanych kanałów – były dostępne tylko dla kapitana i pierwszej oficer – ale na publicznych mówiono bardzo dużo. Przeleciał przez otwarte strumienie, próbując ogarnąć sytuację, patrząc przez kilka sekund tutaj, kilka sekund tam.

Marsjański zespół badawczy z eskortą darł się na Holdena na każdym kanale, nazywając go terrorystą i zbrodniarzem. Reakcja ziemskiej flotyli była znacznie cichsza. Większość publicznych rozmów skupiała się na koordynowaniu akcji ratunkowej na *Seung Un*. Wysokoenergetyczny gaz uwolniony przez zrzucenie rdzenia zakłócał łączność części załóg ratunkowych, więc ktoś bystry zaczął używać do koordynacji kanałów publicznych. Działania miały w sobie ponurą skuteczność operacji wojskowej, co dało Bykowi cień nadziei dla wciąż żyjących marynarzy na *Seung Un* i wzbudziło obawy przed tym, co nastąpi potem.

Wiadomość Holdena wciąż była odtwarzana na wielu publicznych kanałach. Z początku emitował ją tylko *Rosynant*, ale wkrótce była powtarzana przez inne strumienie wraz z komentarzami. Gdy tylko sygnał dotrze do Pasa i planet wewnętrznych, stanie się jedynym tematem rozmów. Byk mógł sobie wyobrazić negocjacje prowadzone między Ziemią a Marsem, praktycznie słyszał, jak dochodzą do wniosku, że SPZ zrobił się zbyt pewny siebie i trzeba mu było utrzcęć nosa.

Ktoś na *Behemocie* umieścił kopię wiadomości Holdena z nałożonym rozerwanym pierścieniem logo SPZ i komentarzem, według którego był już najwyższy czas, by Pas zajął należne mu miejsce i zyskał szacunek. Byk polecił Serge'owi odszukać strumień i wyłączyć go.

Po całych godzinach, które tak naprawdę trwały jakieś cztery minuty, winda dotarła na mostek, jej drzwi otworzyły się cicho i wypuściły Byka.

Mostka nie zaprojektowano do walki. Zamiast prawdziwych systemów bojowych obejmujących liczne konsole i kontrolowane struktury dowodzenia, pomost *Behemota* zbudowano jak dla największego holownika w historii, tylko że z aniołami dmącymi w złote trąby na ścianach. Stanowiska – pojedyncze konsole z elastycznym trybem aktywacji stanowisk zapasowych – obsadzili rozglądający się na boki i rozmawiający Pasiarze. Stanowisko ochrony znajdowało się za osobnymi drzwiami i nie było obsadzone. Załoga mostka zachowywała się jak dzieci lub cywile, z radosnym podnieceniem na twarzach. Ludzie, którzy nie potrafili rozpoznać niebezpieczeństwa podsuniętego pod sam nos, zakładali, że niezależnie od natury kryzysu, wszystko dobrze się ułoży.

Ashford i Pa siedzieli na stanowisku dowodzenia. Ashford mówił do kamery, rozmawiając z kimś na jednym z pozostałych statków. Pa zmarszczyła czoło i ruszyła w kierunku Byka. Zmrużyła oczy i zacisnęła przy tym wargi tak, że zbieleły.

– Co, u diabła, pan tu robi, panie Baca?

– Muszę porozmawiać z kapitanem – odparł Byk.

– Kapitan Ashford jest w tej chwili zajęty – rzuciła Pa. – Może zauważył pan, że mamy tutaj wyjątkową sytuację. Spodziewałabym się, że będzie pan na swoim stanowisku.

– Tak, pierwsza, ale...

– Pańskie stanowisko nie znajduje się na mostku. Powinien pan natychmiast wyjść.

Byk zacisnął szczęki. Miał ochotę na nią wrzasnąć, ale to nie była dobra chwila na takie zachowanie. Był tutaj, by dopilnować, żeby to wszystko zadziało, a krzyk w niczym by nie pomógł.

– Musimy go zestrzelić, pierwsza – oznajmił Byk. – Musimy strzelić do *Rosynanta* i to natychmiast.

Wszystkie głowy odwróciły się w jego stronę. Ashford zakończył rozmowę i ruszył w ich stronę. Niepewność nadała mu wyniosły wygląd. Spojrzenie kapitana przeskoczyło na moment na członków załogi na stanowiskach i z powrotem na niego. Byk doskonale rozumiał, że Ashford jest świadom bycia obserwowanym. To wpływało na wszystkie jego decyzje, ale nie mieli czasu na prywatność.

– Panuję nad sytuacją, panie Baca – stwierdził Ashford.

– Z całym należnym szacunkiem, kapitanie – odpowiedział Byk – ale musimy zestrzelić Holdena i to zanim zrobi to ktokolwiek inny.

– Nie zrobimy absolutnie niczego, zanim nie dowiemy się, co się tu dzieje – odpowiedział Ashford z niebezpieczną irytacją w głosie. – Wysłałem żądanie wyjaśnień na Ceres, żeby się dowiedzieć, czy ktoś wyżej autoryzował działania Holdena, i monitoruję aktywność ziemskiej floty.

Pomyłka była znacząca. Nie ONZ, ziemskiej. Byk poczuł, jak czerwienieje mu kark. Jawny rasizm i niekompetencja Ashforda doprowadzą ich do śmierci. Zacisnął zęby, opuścił głowę i podniósł głos.

– Sir, w tej chwili Ziemia i Mars intensywnie zastanawiają się...

– To potencjalnie bardzo groźna sytuacja, panie Baca...

– ...nad tym, czy podjąć bezpośrednie działania, czy pozwolić Holdenowi wygrać...

– ...i nie zamierzam być tym, który dopuści gazu do ognia. Eskalacja przemocy w tej sytuacji...

– ...a gdy zaczną strzelać do *niego*, zaczną też strzelać *do nas*.

Głos Pa rozciął powietrze jak pojedynczy flet w symfonii kontrabasów.

– On ma rację, sir.

Byk i Ashford odwrócili się do niej. Zaskoczenie Ashforda było równie wielkie, jak jego. Mężczyzna przy stanowisku czujników powiedział coś cicho do siedzącej obok kobiety, a w nagłej ciszy jego głos rozległ się na całym mostku.

– Pan Baca ma rację – powtórzyła Pa. – Holden przedstawił się jako przedstawiciel SPZ. Dopuszczył się jawnej przemocy przeciwko siłom Ziemi. Dowódcy przeciwnych stron będą musieli uznać nas za jego wsparcie.

– Holden nie jest reprezentantem SPZ – obruszył się Ashford. Widać było, że stracił pewność siebie.

– Zadzwoił pan na Ceres – przypomniał Byk. – Skoro pan nie jest pewien, to oni też.

Twarz Ashford zrobiła się całkiem czerwona.

– Holden nie ma żadnego oficjalnego stanowiska w SPZ od czasu, gdy Fred Johnson zwolnił go za sposób postępowania na Ganimedzie. Jeśli są co do tego jakieś wątpliwości, mogę wyjaśnić pozostałym dowódcom, że Holden nie przemawia w naszym imieniu, ale nikt nie podejmuje żadnych działań. Najlepszym rozwiązaniem będzie poczekanie, aż sytuacja się trochę uspokoi.

Pa spuściła wzrok i znowu spojrzała w górę. Nie miało znaczenia, że upokorzyła Byka i Sam w obecności całego personelu kierowniczego. Liczyło się tylko to, żeby dobrze wykonać następną część. Byk miał ochotę wyciągnąć rękę, dotknąć jej ramienia i tchnąć w nią odwagę do przeciwstawienia się Ashfordowi.

Okazało się, że to niepotrzebne.

– Sir, jeśli nie przejmujemy inicjatywy, zrobi to ktoś inny, a wtedy będzie już za późno na wyjaśnienia. Zaprzeczenia są w porządku, jeśli się im wierzy, ale wszyscy wiedzą, że Holden i jego załoga wcześniej dla nas pracowali, a teraz twierdzą, że nas reprezentują. Mamy cztery godziny opóźnienia do Ceres, nie możemy czekać na odpowiedzi. Musimy jednoznacznie zademonstrować rozdział między nami a Holdenem. Pan Baca ma rację. Musimy zaatakować *Rosynanta*.

Twarz Ashforda zszarzała.

– Nie zamierzam rozpocząć wojny – powiedział.

– Słuchał pan tych samych kanałów, co ja, kapitanie? – zapytał Byk.  
– Wszyscy już myślą, że my to zrobiliśmy.

– *Rosynant* to jeden statek. Możemy go zniszczyć – dodała Pa. – Jeśli zaczniemy walczyć z Ziemią lub Marsem, przegramy.

Prawda została wyłożona na podłodze między nimi. Ashford uniósł

dłoń do podbródka. Spojrzenie jego oczu przeskakiwało na wszystkie strony, jakby czytał coś widocznego tylko dla niego. Każda sekunda braku odpowiedzi coraz bardziej odsłaniała jego tchórzostwo, a Byk wiedział, że kapitan o tym wie. Żywi o to urazę. Ashford był odpowiedzialny, ale nie chciał odpowiedzialności. Od przegranej bardziej bał się utraty wizerunku.

– Panie Chen – odezwał się w końcu Ashford. – Proszę o wiązkę kierunkową do *Rosynanta*. Niech pan powie kapitanowi Holdenowi, że to pilne.

– Tak jest, sir – odparł oficer łączności, a po chwili zgłosił: – *Rosynant* nie przyjmuje połączenia, sir.

– Kapitanie? – odezwał się mężczyzna przy konsoli czujników. – *Rosynant* zmienia kurs.

– Gdzie leci? – zażądał Ashford ze spojrzeniem wciąż utkwionym w Byka.

– Yyy... W naszą stronę? Sir?

Ashford zamknął oczy.

– Pani Corley – warknął. – Proszę włączyć bakburtowe wyrzutnie. Panie Chen, proszę o wiązki kierunkowe do okrętów dowodzenia Ziemi i Marsa, i to natychmiast.

Byk pozwolił sobie na odrobinę rozluźnienia. Poczucie pośpiechu ustąpiło uldze i swoistej melancholii. *Jeszcze raz, pułkowniku Johnson. Jeszcze raz udało się uniknąć śmierci.*

– Konsola uzbrojenia na zielono, sir – zgłosiła oficer uzbrojenia głosem świeżym i podnieconym jak dzieciak w salonie gier.

– Namierzyć cel – polecił Ashford. – Mamy już te wiązki kierunkowe?

– Mamy potwierdzenie odbioru i czekamy, sir – poinformował Chen. – Wiedzą, że chcemy rozmawiać.

– To wystarczy – rzucił Ashford i zaczął maszerować w kółko po mostku, jak kapitan ze starych czasów na drewnianym żaglowcu. Złożył ręce za plecami.

– Cel namierzony – rzuciła oficer uzbrojenia. – Włączają się systemy uzbrojenia *Rosynanta*.

Ashford z kwaśną miną zajął miejsce w fotelu. Byk zrozumiał, że do

tej pory cały czas miał nadzieję, że to może być prawda. Że SPZ mogło próbować przejąć kontrolę nad Pierścieniem.

Facet był idiotą.

– Mam wystrzelić, sir? – zapytała oficer uzbrojenia z napięciem w głosie jak u psa szarpiącego za smycz. Chciała. Bardzo.

W oczach Byka nie zdobyła tym dodatkowych punktów. Zerknął na Pa, ale ona bardzo starannie unikała patrzenia na niego.

– Tak – odpowiedział Ashford. – Proszę. Ognia.

– Torpeda poszła – ogłosiła oficer uzbrojenia.

– Dostałem kod błędu – odezwał się oficer operacyjny. – Mamy informacje z wyrzutni.

Byk z nagłą poczuł kwaśny smak w ustach. Jeśli Holden podłożył bombę także na *Behemocie*, ich problemy mogły się dopiero zaczynać.

– Czy pocisk wyleciał? – ostro zapytała Pa. – Powiedz mi, że nie mamy torpedy zablokowanej w wyrzutni.

– Tak jest, sir – potwierdził oficer operacyjny. – Pocisk wyleciał, mamy potwierdzenie.

– *Rosynant* wykonuje uniki.

– Strzela do nas? – zapytał Ashford.

– Nie, sir. Jeszcze nie, sir.

– Dostaję błędy z sieci elektrycznej, sir. Chyba coś się przepaliło. Możemy...

Na mostku zrobiło się ciemno.

– ...utracić zasilanie. Sir.

Zgasły monitory. Zgasły światła. Jedynym dźwiękiem był szum wymienników powietrza, prawdopodobnie działających z zasilania akumulatorowego. W ciemności zabrzmiał głos Ashforda.

– Pani Pa, czy testowaliśmy już działanie systemów odpalania rakiet?

– Wydaje mi się, sir, że mamy to w planie na przyszły tydzień – odpowiedziała pierwsza oficer.

Byk przestawił jasność ekranu swojego terminala na maksimum, unosząc go jak latarkę. Spojrzał na zestaw oświetlenia awaryjnego zamontowanego na ścianach wokół pomieszczenia, równie czarnego, jak wszystko inne. Kolejny jeszcze niesprawdzony system.

Kilka sekund później połowa załogi mostka wyjęła latarki ze schowków przy konsolach. Na mostku zrobiło się jaśniej od licznych wiązek światła. Nikt nic nie mówił. Nie było takiej potrzeby. Jeśli *Rosynant* wystrzeli, stanowili martwy cel, choć była szansa, że nie stracą całego statku. Gdyby czekali na ostateczną bitwę przeciw Ziemi, Marsowi lub obu, *Behemot* zostałby zniszczony. Zamiast tego właśnie pokazali całemu układowi, jak bardzo są nieprzygotowani. Byk po raz pierwszy w trakcie lotu szczerze ucieszył się, że jest tylko oficerem ochrony.

– Pierwsza? – odezwał się Byk.

– Tak.

– Proszę o pozwolenie na zwolnienie głównej inżynier z aresztu domowego.

W słabym świetle twarz Pa była całkiem szara i ponura jak grób. Mimo wszystko miał wrażenie, że w jej oczach zobaczył błysk rozbawienia.

– Udzielam pozwolenia – odpowiedziała.

# Rozdział szesnasty

## *Holden*

– Hm – odezwał się Amos. – To kurewsko dziwne.

Wiadomość zaczęła się powtarzać.

– Mówi kapitan James Holden. To, co zobaczyliście, to zaledwie demonstracja grożącego wam niebezpieczeństwa...

Na mostku panowała pełna oszołomienia cisza. W końcu Naomi z cichą furią zaczęła stukać w panel operacyjny okrętu. Na skraju pola widzenia Holdena Monika gestem zasygnalizowała do swojej ekipy i Okju uniósł kamerę. Ciche przyzwolenie na zniesienie zasady niewpuszczania cywilów na mostek nagle wydało się zdecydowanym błędem.

– To fałszywka – rzucił Holden. – Nigdy czegoś takiego nie nagrałem. To nie ja.

– Ale trochę nie brzmi jak ty – skomentował Amos.

– Jim – odezwała się Naomi z paniką zniekształcającą jej głos. – To my nadajemy tę transmisję. Jest nadawana w tej chwili z *Rosynanta*.

Holden pokręcił głową, zaprzeczając jej stwierdzeniu. Jedyną rzeczą bardziej absurdalną od tej wiadomości był pomysł, że była nadawana z *jego* statku.

– To my nadajemy tę transmisję – powtórzyła Naomi, waląc dłonią w konsolę. – I nie mogę jej zatrzymać!

Wszystko wydało się oddalać od Holdena, nawet dźwięki mostka docierały z dużej odległości. Rozpoznał w tym objaw paniki, ale poddał się jej, akceptując darowaną przez nią krótką chwilę spokoju.



Monika wykrzykiwała do niego pytania, których prawie nie słyszał. Naomi gorączkowo stuknęła w stację roboczą, przeskakując przez ekrany menu szybciej, niż potrafił nadążyć. Przez okrętowy interkom Aleks wykrzykiwał żądania rozkazów. Siedzący na drugim końcu mostka Amos przyglądał mu się z niemal komicznym zdziwieniem. Dwóch operatorów kamer ze sprzętem w dłoniach próbowało wpiąć się do prycz przeciążeniowych. Cohen unosił się pośrodku pomieszczenia z ustami zaciśniętymi w wyraz niepokoju.

– Zostaliśmy wrobieni – oświadczył Holden. – O to tu chodziło.

Wszystko: marsjańskie wezwanie do sądu, utrata zlecenia na Tytanii, ekipa dziennikarska lecąca na Pierścień, to wszystko prowadziło do obecnej sytuacji. Nie potrafił tylko zrozumieć powodu.

– Co masz na myśli? – zapytała Monika, przepychając się bliżej, żeby trafić w kadr razem z nim. – W co wrobieni?

Amos położył dłoń na jej ramieniu i pokręcił głową.

– Naomi – odezwał się Holden. – czy łączność to jedyny system, nad którym utraciliśmy kontrolę?

– Nie wiem. Tak mi się wydaje.

– To wyłącz ją. Jeśli nie dasz rady, pomóż Amosowi odciąć cały system łączności od zasilania. Wytnij go z cholernego statku, jeśli będzie trzeba.

Znowu kiwnęła głową i obróciła się do Amosa.

– Aleks – powiedział Holden. Monika zaczęła coś do niego mówić, ale uniósł palec, żeby ją uciszyć, więc gwałtownie zamknęła usta. – Daj nam ciąg w stronę *Behemota*. Tak naprawdę wcale nie chcemy przejmować kontroli nad Pierścieniem dla SPZ, ale jak długo wszyscy będą myśleli, że to robimy, to z ich strony grozi nam najmniejsze ryzyko zestrzelenia.

– Co możesz mi powiedzieć o tym, co się tu dzieje? – zapytała Monika. – Jesteśmy w niebezpieczeństwie? Czy to groźne? – Zniknął gdzieś jej zwykły uśmiezek, zastąpił go jawny strach.

– Przypiąć się – odpowiedział Holden. – Wszyscy, i to już.

Okju i Clip byli już przypięci do prycz przeciążeniowych, a Monika i Cohen szybko poszli ich śladem. Cała ekipa dokumentalna miała dość rozsądku, by się nie odzywać.

– Kapitanie – rzucił Aleks. Mówił prawie sennym tonem, którego nabierał w silnie stresujących sytuacjach. – *Behemot* właśnie oświetlił nas laserem celowniczym.

Holden przypiął się do fotela przy stanowisku dowodzenia walką i aktywował je. *Ros* zaczął liczyć statki w promieniu zagrożenia. Okazało się, że promień obejmuje wszystkie. Okręt zapytał go, czy ma oznaczyć któreś jako wrogie.

– Twoje przypuszczenia są równie dobre, jak moje, skarbie.

– Co? – zapytała Naomi.

– Włączacie broń? – rzucił Aleks.

– Nie – odparł Holden.

– Och, bardzo mi przykro to słyszeć – powiedział Aleks. – Bo systemy uzbrojenia właśnie zostały aktywowane.

– Strzelamy do kogoś?

– Jeszcze nie!

Holden polecił *Rosowi* oznaczyć jako przeciwnika każdą jednostkę, która namierzy ich systemami celowania i odczuł ulgę, gdy system zareagował. *Behemot* zmienił na wyświetlaczu kolor na czerwony. Po chwili namysłu kazał jednostce podzielić wszystkie jednostki marsjańskie i ziemskie na dwie grupy. Jeśli zaczną walczyć z jednym statkiem z którejś grupy, będą walczyć ze wszystkimi. Było ich za wiele. *Ros* został uwięziony między należącym do Freda Johnsona dwukilometrowym substytutem męskości SPZ a większością floty marsjańskiej. A za Marsjanami czaił się Pierścień.

– Dobra – rzucił, desperacko próbując wymyślić, co teraz zrobić. Wszelkie możliwe kryjówki były tak daleko, jak to tylko możliwe w Układzie Słonecznym. Od najbliższej skały większej od ich okrętu dzieliły ich dwa miesiące lotu, a wątpił, żeby mógł przez dwa miesiące uciekać trzem flotom i wszystkim ich torpedom. A nawet przez dwie minuty, gdyby do tego przyszło. – Jak idzie z tym radiem?

– Wyłączone – odpowiedział Amos. – Wystarczyło wyjąć wtyczkę.

– Mamy jakiś sposób, żeby powiedzieć wszystkim, że ta transmisja to nie my? W tej chwili z radością ogłoszę pełną i bezwarunkową kapitulację – powiedział Holden.

– Nie bez ponownego włączenia radia – przyznał Amos.

– Wszyscy tam teraz pewnie próbują się z nami skontaktować – rzucił Holden. – Im dłużej nie będziemy odpowiadać, tym gorzej będzie to wyglądać. Co z uzbrojeniem?

– Aktywne, nie strzela – zgłosił Amos. – I nie słucha nas.

– Możemy jemu też odłączyć zasilanie?

– Możemy – przyznał Amos z bolesnym wyrazem twarzy. – Ale cholernie nie chcę tego robić.

– Szybki obiekt! – krzyknęła Naomi.

– Jasna cholera – rzucił Aleks. – SPZ właśnie wystrzeliło w nas torpedę.

Na panelu Holdena od *Behemota* oderwała się żółta kropka, wraz ze wzrostem przyspieszenia zmieniając kolor na pomarańczowy.

– Uniki! – krzyknął Holden. – Możesz ją oślepić, Naomi?

– Nie. Nie mam lasera – odpowiedziała zaskakująco spokojnym głosem. – Ani radia. Środki ochronne nie odpowiadają.

– Ja pierdolę – rzucił Amos. – Dlaczego ktoś miałby ciągnąć nas całą drogę aż tutaj tylko po to, żeby nas zabić? Można to było zrobić na Ceres i oszczędzić sobie podróży.

– Aleks, masz kurs. – Holden przesłał pilotowi wektor, który miał ich przeprowadzić przez sam środek marsjańskiej floty. O ile wiedział, Marsjanie jak dotąd chcieli go tylko aresztować. Z tym mógł się pogodzić. – Czy *Behemot* wystrzelił ponownie?

– Nie – odparła Naomi. – Okręt zgasł. Żadnych aktywnych czujników, żadnych silników.

– Chyba jest trochę za duży i trochę za blisko, żeby się skradać – skomentował Aleks bez śladu rozbawienia. – Idzie koktajl.

Kiedy prycze pakowały w nich mieszankę leków, dzięki którym mieli przeżyć wysokie ciśnienie, Cohen odezwał się nie na temat.

– Pieprzona suka.

Zanim Holden mógł go zapytać, co miał na myśli, Aleks otworzył przepustnicę *Rosa* i statek skoczył jak koń wyścigowy dźgnięty ostrogami. Nagłe przyspieszenie wgniotło Holdena w pryczę na tyle mocno, że na chwilę go oszołomiło. Statek przywrócił go do przytomności, gdy alarm zbliżeniowy pocisków przypomniał o zbliżającej się torpedzie *Behemota*. Nie mogąc nic z nią zrobić, Holden

przyglądał się oznaczającej śmierć pomarańczowej kropce, która coraz bardziej zbliżała się do uciekającego *Rosynanta*. Zerknął na Naomi, która patrzyła na niego równie bezradna jak on, pozbawiona wszystkich sztuczek wraz z wyłączeniem systemu łączności.

Ciążenie nagle zniknęło.

– Mam pomysł – przez interkom powiedział Aleks, a potem statek wykonał kilka gwałtownych manewrów, po których ciężenie znowu ustąpiło.

*Rosynant* wzbogacił swą pieśń o nowy alarm. Brzmiało ostrzeżenie przed zderzeniem. Holden uświadomił sobie nagle, że właściwie nigdy jeszcze nie słyszał tego dźwięku poza ćwiczeniami. Kiedy statki kosmiczne wpadają *na siebie*?

Włączył zewnętrzne kamery, które pokazały jednolicie czarne pole. Przez chwilę sądził, że są uszkodzone, ale po chwili Aleks przejął nad nimi kontrolę i obrócił je wzdłuż bezkresnego pancerza marsjańskiego okrętu. Ostrzeżenie o namierzeniu przez pocisk ucichło.

– Schowałem się przed pociskiem za marsjańskim krążownikiem – wyjaśnił Aleks prawie szeptem, jakby pocisk mógł go usłyszeć, gdyby mówił za głośno.

– Jak blisko nich jesteśmy? – zapytał Holden równie cicho.

– Jakieś dziesięć metrów – Aleks odpowiedział z dumą w głosie. – Mniej więcej.

– Chyba solidnie się wkurzą, jeśli torpeda nie odpuści – zauważył Amos. A chwilę potem: – Nawet nie wiem, co działko obrony punktowej robi z takiej odległości.

Jakby w odpowiedzi krążownik trafił ich laserem celowniczym. A potem zrobiły to też wszystkie pozostałe okręty marsjańskie, dodając do kakofonii kilkadziesiąt kolejnych alarmów.

– Szlag – rzucił Aleks i ciężenie powróciło niczym gładz zrzucony na pierś Holdena.

Żadna z marsjańskich jednostek nie wystrzeliła, ale oryginalna rakietka z powrotem pojawiła się na teleskopie. Wyglądało na to, że skoro *Behemot* został wyłączony z działania, Marsjanie ją naprowadzają. Holden zaczął się zastanawiać, czy przeżył

*dostatecznie* długo, by w końcu zobaczyć prawdziwą współpracę Marsa z SPZ. Wcale nie było to tak satysfakcjonujące, jak się spodziewał.

Marsjańskie okręty przemknęły po obu stronach, gdy *Rosynant* przyspieszył, lecąc przez ich główne zgrupowanie. Holden wyobrażał sobie, jak zestawy namierzania i działka obrony punktowej obracają się, śledząc ich lot. Gdy już ich minęli, dalej nie było nic poza Pierścieniem i bezkresną, upstrzoną gwiazdami czernią.

Plan pojawił się w jego umyśle z chorym, paskudnym uczuciem czegoś koszmarnego, co wiedział od zawsze, ale o czym próbował zapomnieć. Pocisk nadlatywał i nawet gdyby zdołali mu umknąć, będą następne. Nie mogli ich unikać w nieskończoność. Nie mógł się poddać. Na ile wiedział, jego uzbrojenie mogło w każdej chwili zacząć strzelać. Na chwilę mostek wydawał się znieruchomieć, jakby czas zwolnił, jak wtedy, gdy działo się coś katastrofalnego. Był intensywnie świadom Naomi wciskanej w pryczę. Moniki i Okju, z oczami szeroko otwartymi ze strachu i z powodu ciężenia. Clipa, z ręką wciśniętą niezgrabnie w żel przy boku. Luźnej szczęki i bladej twarzy Cohena.

– Huh – burknął do siebie Holden z ciężeniem przygniatającym gardło. Zasygnalizował Aleksowi, żeby wyłączył ciąg i ciężenie znowu zniknęło.

– Pierścień – powiedział. – Celuj w Pierścień. Już.

Powrót ciężenia był jak walnięcie, a Holden obrócił pryczę do panelu i wywołał konsolę nawigacyjną. Kątem oka obserwując zbliżającą się pomarańczową kropkę, przygotował pakiet nawigacyjny dla Aleksa, który zabierze ich z dużą prędkością do Pierścienia, potem wykona zwrot i przeprowadzi niemal samobójcze hamowanie tuż przed wlotem do środka. Mogli wsunąć się tam tuż poniżej ograniczenia prędkości, które zatrzymało *Y Que* i wszystkie szybko lecące sondy od tego czasu. Przy odrobinie szczęścia rakieta zostanie przechwycona przez to, co było po drugiej stronie, a lecący wolniej *Rosynant* nie. Okręt ostrzegł go, że tak wysokie ciężenie przy hamowaniu wiązało się z trzyprocentowym ryzykiem śmierci członków załogi.

Rakieta zabiłaby ich wszystkich.

Holden przesłał pakiet nawigacyjny do Aleksa, prawie oczekując, że ten odmówi. A właściwie licząc na to. Zamiast tego *Ros* przyspieszał przez niekończące się dwadzieścia siedem minut, po których nastąpił mdłący obrót w nieważkości, trwający cztery sekundy i ciąg hamowania trwający cztery i pół minuty, co pozbawiło przytomności wszystkich na okręcie.

\* \* \*

– Obudź się – powiedział Miller w ciemności.

Unosili się w nieważkości. Holden zaczął silnie kaszleć, gdy jego płuca próbowały odzyskać zwykły kształt po koszmarnym przeciążeniu hamowania. Miller unosił się obok niego. Chyba nikt inny jeszcze się nie obudził. Naomi w ogóle się nie ruszała. Holden przyglądał się jej, aż zobaczył łagodne unoszenie się i opadanie jej klatki piersiowej. Żyła.

– Drzwi i kąty – powiedział Miller. Głos miał miękki i chrapliwy. – Mówiłem ci, żebyś sprawdził drzwi i kąty, a ty wpadasz do środka pokoju z fiutem na wierzchu. Miałeś szczęście, sukinsynu. Choć muszę ci przyznać, zachowujesz się jak zwykle.

Coś w sposobie, jaki mówił, sugerowało, że jest normalniejszy niż dotąd. Bardziej opanowany. Jakby odgadując jego myśli, detektyw odwrócił się i popatrzył na niego. Uśmiechnął się.

– Jesteś tu? – zapytał Holden. Wciąż nie myślał jasno po przemęczeniu mózgu ciężeniem i niedotlenieniem. – Jesteś prawdziwy?

– Nie myślisz jasno. Nie śpiesz się. Dogoń. Nie ma pośpiechu.

Holden wywołał obraz z kamer zewnętrznych i wypuścił powietrze w sposób, który prawie zakończył się łkaniem. Rakieta SPZ unosiła się tuż przed ich statkiem, niewiele ponad sto metrów przed dziobem *Rosa*. Silnik torpedy wciąż działał, jej ogon świecił niczym wściekła biała pochodnia rozciągająca się prawie na kilometr do tyłu. Mimo tego pocisk wisiał w przestrzeni bez ruchu.

Holden nie wiedział, czy torpeda była już tak blisko, gdy

przelatywali. Podejrzewał, że nie. Bardziej prawdopodobne było, że po prostu znaleźli się blisko, gdy statek i pocisk przestały się poruszać. Mimo wszystko widok potężnej broni z silnikiem działającym, jakby wciąż próbowała ich sięgnąć, wywołał w nim dreszcz przechodzący wzdłuż kręgosłupa i uczucie, jakby jądra schowały mu się do brzucha. Dziesięć metrów bliżej i zadziałałby zapalnik zbliżeniowy. Rakieta by wybuchła.

Na jego oczach pocisk został powoli odsunięty, odciągnięty w nieznane miejsce przez siłę, która ustawiła ograniczenie prędkości po tej stronie Pierścienia.

- Udało nam się – powiedział. – Przelecieliśmy.
- Owszem – skomentował Miller.
- Tego właśnie chciałeś, prawda? Dlatego to zrobiłeś.
- Przypisujesz mi za dużo zasług.

Amos i Naomi jęknęli i zaczęli się budzić. Ekipa dokumentalna wciąż leżała bez ruchu. Mogli nawet nie żyć. Holden nie potrafił tego stwierdzić bez odpinania się, a jego ciało jeszcze na to nie pozwalało. Miller nachylił się bliżej ekranu, mrużąc oczy, jakby czegoś na nim szukał. Holden wywołał dane czujników. Ekran zalała fala informacji. Liczne obiekty zebrane w promieniu miliona kilometrów, blisko siebie jak ziarna w koszu. A za nimi nic. Nawet gwiazd.

- Co to? – zapytał Holden. – Co tam jest?

Miller zerknął na ekran. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- *Nic* – powiedział trup. A potem: – I to cholernie mnie przeraża.

# Rozdział siedemnasty

## *Byk*

– Kim my, u diabła, jesteśmy? – zapytał Serge, unosząc się przy konsoli ochrony. – Ochroną czy pieprzonymi opiekunkami do dzieci?

– Jesteśmy tym, kto wykona robotę – odpowiedział Byk, ale nie potrafił nadać słowom dużej siły.

Minęło już trzydzieści godzin, od kiedy *Behemot* pogrążył się w mroku, a Byk przespał raptem sześć z nich. Serge, Casimir, Jojo i Corin pracowali przy konsoli po służbie, koordynując działania naprawcze. Reszta personelu ochrony została podzielona na tymczasowe zespoły, tłumiąc dwa wybuchy wywołanych paniką zamieszek, koordynując sprzęt wymagany do uwolnienia tuzina ludzi uwięzionych w magazynach, gdzie nie włączyły się z powrotem wymienniki powietrza i aresztując kilku operatorów mechów, którzy postanowili rozwiązać osobiste porachunki.

Na całym statku przywrócono już oświetlenie. Obudzone ze śpiączki systemy kontroli uszkodzeń pracowały na akord, starając się nadrobić zaległości. Załoga była wyczerpana, przestraszona i na skraju załamania, a James pieprzony Holden uciekł przez Pierścień do tego, co kryło się po drugiej stronie. Biuro ochrony śmierdziało starym potem i przyniesioną wczoraj przez Casimira fasolową masalą. Przez pierwszy dzień większość podświadomie starała się utrzymać zgodną orientację w przestrzeni – stopy w stronę podłogi, głowa do sufitu. Teraz wszyscy unosili się w takich kierunkach, w jakich akurat się zatrzymali. Dla Pasiarzy wydawało się to prawie naturalne, choć Byk



wciąż chwilami doznawał zawrotów głowy.

– Amen alles amen – skomentował Serge ze śmiechem. – Smar dla maszyny, my.

– Miewałem więcej zabawy ze smarem – rzuciła Corin.

Byk zauważył, że zmęczona Corin robiła się sprośna. Z jego obserwacji wynikało, że każdy inaczej reagował na zbyt bliskie otarcie się o śmierć. Niektórzy robili się zli i drażliwi, inni smutni. Zapewne wynikało to z utraty zahamowań. Jeśli zbyt mocno zdarło się fasadę nadmierną ilością pracy, strachu lub obu jednocześnie, na wierzch wypływało to, co kryło się pod spodem.

– No dobra – rzucił Byk. – Wy dwoje idźcie odpocząć. Przypilnuję tej budy do powrotu pozostałych. Zrobiliście więcej niż...

Zadzwoniła konsola ochrony. Dzwoniła Sam. Byk uniósł palec w stronę Serge'a i Corin, a sam przyciągnął się do biurka.

– Sam? – powiedział, odbierając.

– Byk – rzuciła, a ta pojedyncza sylaba, krótka i ostra, niosła w sobie cały ciężar irytacji i złości graniczącej z furją. – Musisz tu przyjść.

– Możesz dzwonić, do kogo tylko chcesz. – W tle zabrzmiał męski głos. – Nie obchodzi mnie to, słyszysz? Już mnie to nie obchodzi. Rób sobie, co chcesz.

Byk sprawdził źródło połączenia. Była w okolicy warsztatów, a to nie było daleko.

– Mam zabrać broń? – zapytał Byk.

– Nie będę ci przeszkadzać, skarbie – odparła Sam.

– Już idę – powiedział i rozłączył się.

– Ghest du – rzuciła Corin do Serge'a. – Jesteś dłużej na nogach. Przypilnuję, żeby się tu nic nie zawaliło.

– Dasz sobie radę? – zapytał Serge, a Byk potrzebował sekundy na zrozumienie, że pytanie jest skierowane do niego.

– Niepowstrzymany – odrzekł Byk, starając się tak myśleć.

Bycie wyczerpanym w nieważkości nie działało tak samo, jak przy ciągu albo w studni grawitacyjnej. Dorastając, Byk często bywał śmiertelnie zmęczony i to uczucie kojarzyło mu się z wrażeniem masy, odpadaniem mięśni od kości jak u za długo gotowanego kurczaka. Poza Ziemią żył już dłużej niż na planecie, ale wciąż nie do

końca rozumiał, jak mógł być zmęczony niemal do poziomu komórkowego, a jednak nie czuć tego w stawach. Intelktualnie wiedział, że przez to wydawało mu się, że potrafi zrobić więcej niż w rzeczywistości. Były też inne oznaki: piasek w oczach, ból głowy rozchodzący się powoli ze środka czaszki, łagodne mdłości. Nic z tego nie działało z równą siłą i nic nie było przekonujące.

Korytarze nie były ani całkiem puste, ani zatłoczone. Nawet w stanie najwyższego alarmu, z każdym zespołem pracującym w nadgodzinach i zarywającym sen, *Behemot* wciąż był pustawy. Przemieszczał się przez statek, odpychając się od uchwytu do uchwytu, szybując długimi korytarzami jak we śnie. Kusiło go, żeby przyspieszyć, uderzając o przemykające obok uchwyty, by odrobinę zwiększyć energię kinetyczną, jak robili to w czasach, gdy jeszcze służył w marines. Tamte zabawy skończyły się niejednym wstrząśnieniem mózgu, a on nie miał teraz na to czasu. I nie był już młody.

Znalazł Sam i jej ekipę w wielkim hangarze serwisowym. Czterech mężczyzn w sprzęcie do spawania unosiło się przy ścianie, mocując przewody do ściany w fontannach iskier i świetle jaśniejszym od słońca. Sam unosiła się w pobliżu, z ciałem odchylonym o czterdzieści pięć stopni względem pracujących. Blisko niej unosił się młody Pasiarz z ciałem ustawionym tak, że był do niej zwrócony stopami. Byk zrozumiał, że to obelga.

– Byk – odezwała się Sam. Twarz młodzieńca wykrzywiła maska wściekłości. – To Gareth. Uznał, że mocowanie przewodów jest ohydne.

– Jestem *inżynierem* – rzucił Gareth, wypowiadając to słowa tak gwałtownie, że nadało mu lekki obrót. – Pracowałem przez osiem lat na stacji Tycho! Nie będę pracował jak jakiś pieprzony *technik*.

Pozostali spawacze nie oderwali się od pracy, ale Byk widział, że wszyscy słuchają. Popatrzył na Sam, której twarz nic nie wyrażała. Nie potrafił stwierdzić, czy wezwanie go na pomoc było dla niej takie trudne, czy też stanowiło część odpłaty za to, jak zdradził ją w sprawie z Pa. Fakt, że był to najkrótszy areszt w historii, w żaden sposób nie osłodził goryczy dostania się w środek maszyny politycznej.

Niezależnie od wszystkiego, eskalowała problem do niego, więc teraz to on musiał sobie z nim poradzić.

Byk odetchnął głęboko.

– To nad czym tu pracujemy? – zapytał, nie dlatego, żeby go to szczególnie obchodziło, tylko dlatego, że mógł w ten sposób zyskać kilka sekund na myślenie, a jego mózg nie pracował optymalnie.

– Jedna z głównych linii przesyłowych rzuca błędami – wyjaśniła Sam. – Mogę spędzić trzy dni na diagnostyce całego układu albo dwadzieścia godzin na ułożeniu obejścia.

– I te przewody są do obejścia?

– Tak.

Byk uniósł pięść w pasiarskim odpowiedniku przytaknięcia, a potem skupił uwagę na chłopaku. Gareth był młody, zmęczony i był Pasiarzem z SPZ, co znaczyło, że nigdy nie przeszedł żadnego rodzaju indoktrynacji wojskowej. Byk uznał, że zanim wezwą pomoc, Sam dostatecznie już na niego nawrzeszczała.

– No dobrze – rzucił.

– Está-hey bzdury to – powiedział mężczyzna, gubiąc poprawną gramatykę.

– Rozumiem – odpowiedział Byk. – Możesz iść. Tylko najpierw pomóż mi założyć twój sprzęt.

Gareth zamrugał. Byk miał wrażenie, że zobaczył cień uśmiechu w kącikach przekrwionych oczu Sam, ale to mogło znaczyć cokolwiek. Satysfakcję ze zmęczenia w głosie Byka lub z powodu zmieszania Graetha, a może zrozumiała, co robi Byk, i uznała, że to całkiem sprytne.

– Porozmawiam później z ludźmi na innych statkach – powiedział Byk. – Z Ziemi lub Marsa. Ktoś będzie wysyłał statek z powrotem, zobaczę, czy uda mi się załatwić ci podwózkę na Ceres.

Gareth otworzył usta, a potem je zamknął jak ryba.

Sam odepchnęła się, zaczepiając jedną ręką osprzęt spawacza, przyciągając ją blisko siebie, żeby przyspieszyć obrót, a potem prostując, żeby wyhamować.

Byk przejął uprząż od niej i zaczął rozpinać taśmy.

– Wiesz, jak to robić? – zapytała Sam.

– Wystarczy na zamocowanie przewodów – odparł Byk.  
– Ochrona poradzi sobie bez ciebie?  
– Skończyłem zmianę. Właśnie wybierałem się przespać, ale to trzeba zrobić, więc mogę się tym zająć.  
– W porządku – zgodziła się Sam. – Weź kawałek na tym końcu, a ja przyślę kogoś, żeby połączył go z przewodem Marca. Za minutę sprawdzę twoje spawy.

– Brzmi nieźle – odparł Byk. Obracał się w tempie kilku stopni na sekundę i pozwolił, by inercja ustawiła go twarzą do chłopaka.

Wciąż był wściekły, ale złość tonęła powoli pod warstwą zawstydzenia. Wyglądał, jakby przetrawiał wszystkie te argumenty i wrzaski na temat nierobienia czegoś, ponieważ było to poniżej jego godności, a teraz szef ochrony poświęcał czas po zakończeniu zmiany na zrobienie tego samego. Byk czuł skupiającą się na nich uwagę pozostałych spawaczy. Zapalił swój palnik, testując go, a powietrze między nimi na chwilę zrobiło się białe.

– No dobra. Zajmę się tym. Możesz już iść, jeśli chcesz.

Chłopak przesunął się, szykując się do odbicia przez hangar i w głąb statku. Byk spróbował sobie przypomnieć, kiedy faktycznie ostatni raz spawał coś w nieważkości. Był dość pewny, że sobie poradzi, ale musiał zacząć ostrożnie. Nagle ramiona Garetha przesunęły się do przodu i już wiedział, że nie będzie musiał. Byk zaczął ściągać taśmy, a Gareth przesunął się, żeby mu pomóc.

– Jesteś zmęczony – powiedział Byk na tyle cicho, żeby nie usłyszeli go pozostali. – Pracowałeś za ciężko i trochę cię to wgryzło. Każdemu się może zdarzyć.

– Bien.

Włożył palnik w rękę chłopaka i ścisnął ją na chwilę.

– To zaszczyt – powiedział. – Bycie tutaj, robienie głównianej roboty, zapracowywanie się, choć nikogo to nie obchodzi – to zaszczyt. Kiedy następnym razem podasz w wątpliwość autorytet głównej inżynier Rosenberg, wyślę cię z powrotem do domu z informacją, że nie dałeś sobie rady.

Chłopak wymamrotał coś, czego Byk nie zrozumiał. Błyski innych palników sprawiły, że na twarzy chłopaka tańczyły białe, brązowe i

znowu białe plamy. Byk położył dłoń na jego ramieniu.

– Tak jest, sir – odpowiedział Gareth.

Byk puścił, a chłopak odepchnął się do ściany, ustawiając się nad czekającym na niego przewodem. Koło łokcia Byka pojawiła się Sam, przysuwając się z miejsca z tyłu nad nim.

– Zadziałało – skomentowała.

– Owszem.

– Nie zaszkodziło, że jesteś Ziemianinem.

– Nie zaszkodziło. Jak to wszystko idzie?

– Rozlatuje się – odparła Sam. – Ale posklejamy to wszystko z powrotem choćby gumą do żucia, jeśli będzie trzeba.

– Przynajmniej nikt do nas nie strzela.

Śmiech Sam miał w sobie trochę ciepła.

– Nie musieliby tego robić dwa razy.

Sygnał alarmu zabrzmiał równocześnie ze wszystkich terminali ręcznych i systemu głośników statku. Byk zacisnął wargi w kreskę.

– Cóż, ten moment wydaje się trochę złowieszczy – skomentowała Sam, zanim na całym statku rozbrzmiał głos kapitana Ashforda.

Otwarta przestrzeń i rozmieszczone w różnych miejscach głośniki sprawiły, że głos zabrzmiał echem jak słowa Boga.

– Mówi kapitan. Właśnie otrzymałem potwierdzenie z centralnego dowództwa SPZ, że działania podjęte przez przestępcę Jamesa Holdena nie były autoryzowane przez żaden organ Sojuszu Planet Zewnętrznych. Jego działania naraziły nie tylko ten okręt, lecz także reputację i dobre imię sojuszu. Poinformowałem dowództwo, że podjęliśmy szybkie i zdecydowane działania przeciw Holdenowi i udało mu się uciec tylko dzięki wycofaniu się do Pierścienia.

– Swoją drogą, dzięki – rzuciła Sam.

– De nada.

– Poprosiłem i otrzymałem – kontynuował Ashford – upoważnienie do kontynuowania działań mających na celu stosowne ukaranie tej zniewagi. Dane z naszych czujników, podobnie jak ze strumieni Ziemi i Marsjan, do których mamy dostęp, wskazują, że *Rosynant* przedostał się przez Pierścień w dobrym stanie i wydaje się, że nie doznał żadnych uszkodzeń, pomimo fizycznych nieprawidłowości po

drugiej stronie. W świetle powyższego podjąłem decyzję, by polecieć za Holdenem przez Pierścień i aresztować go wraz z załogą. Wyślę do szefów wszystkich działów szczegółowe instrukcje z informacjami, jakie przygotowania należy ukończyć, zanim włączymy silniki, ale oczekuję, że wyruszymy w pościg w ciągu najbliższych sześciu godzin. Dla dumy, godności i honoru SPZ wyjątkowo ważne jest, żeby ta zniewaga nie pozostała bez odpowiedzi oraz by to z naszych rąk została Holdenowi wymierzona sprawiedliwość. Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że jestem zaszczycony, służąc z tak mężną załogą, razem wpisujemy się na kartach historii. Wykorzystajcie dostępny czas na odpoczynek i przygotowania. Niech Bóg błogosławi was wszystkich oraz Sojusz Planet Zewnętrznych.

Ashford zakończył przemowę z rozgłośnym kliknięciem z licznych głośników. Zgasły białe światła palników i w hangarze zrobiło się ciemniej. W trzewiach Byka śmiech walczył z desperacją.

– Jak myślisz, upił się? – zapytała Sam.

– Gorzej, jest zawstydzony. Próbuje uratować twarz – odpowiedział Byk.

– *Behemot* narobił w pieluchę w obecności Boga i wszystkich w okolicy, więc teraz będziemy najtwardszymi sukkinsynami w układzie, żeby to nadrobić?

– Mniej więcej.

– Zamierzasz przekonać go, żeby sobie odpuścił?

– Zamierzam spróbować.

Sam podrapała się po policzku.

– Może być trochę trudno po takiej przemowie w stylu *jeszcze raz do wyłomu*.

– Nie odpuści – stwierdził Byk. – Ale muszę spróbować.

\* \* \*

Planety wewnętrzne poleciały w mrok z założeniem, że są żołnierzami wysłanymi do obcej ziemi. Byk pamiętał to uczucie ze swojego pierwszego wylotu: wrażenie, że dom pozostaje gdzieś daleko za nim.

Dla wewnętrznych ekspansja do Układu Słonecznego u podstaw zawsze miała podstawy wojskowe.

Pasiarze nie mieli niczego takiego. Oni byli u siebie. Siły, które sprowadziły ich przodków do Pasa, miały swoje korzenie w handlu, wymianie i przemożnej obietnicy wolności. SPZ zaczęła swoje istnienie bardziej jako związek zawodowy niż jako państwo. Różnica była subtelna, lecz bardzo istotna i objawiała się na dziwne sposoby.

Gdyby znajdowali się na dowolnym ze statków Ziemi lub Marsa, unoszących się w ciemności w pobliżu Pierścienia, Byk wyszedłby ze spotkania, podczas którego został gruntownie i długo zbluzgany kapitana, poszukać pierwszej oficer Pa w kambuzie albo mesie. Jednak to był *Behemot*, więc znalazł ją w barze.

Knajpa była niewielka, z bańkami alkoholu, czekolady, kawy i herbaty, z wbudowaną regulacją temperatury w sutku, dzięki czemu równo letnie napoje mogły być pite w temperaturze od prawie wrzątku do bliskiej lodu. Lokal urządzone jak tani klub nocny, z kolorowymi światłami i niedrogimi błonami graficznymi zasłaniającymi ściany. Przy uchwytach lub linkach mocujących unosiło się kilkoro ludzi, wśród nich Pa.

Kiedy się do niej zbliżył, jego pierwszą myślą było, że potrzebuje fryzjera. Przy braku sztucznego ciężenia ciągu jej włosy unosiły się wokół głowy, zbyt krótkie, by je związać, ale dostatecznie długie, by zasłaniać jej oczy i wciskać się do ust. Chwilę później pomyślał, że wygląda na równie zmęczoną, co on.

– Panie Baca – rzuciła Pa.

– Pierwsza. Mogę się przyłączyć?

– Spodziewałam się pana. Odwiedzał pan kapitana?

Byk wolałby usiąść, choć jedynym powodem był drobny fizyczny akt chwilowego przerwania rozmowy.

– Owszem. Nie ucieszył się na mój widok. Pokazał mi przygotowaną przez panią propozycję sposobu usunięcia mnie ze stanowiska.

– To był plan awaryjny – rzuciła.

– Jasne. Ale ten pomysł, że weźmiemy *Behemota* i przelecimy przez Pierścień... Nie możemy tego zrobić. Jeśli włączymy ciąg, na ogonach siądą nam dwie floty, a nie wiemy, co znajduje się po drugiej stronie,

poza tym, że jest dużo potężniejsze od nas.

– Chce pan, żeby obca cywilizacja poznawała ludzkość na postawie Jima Holdena?

Ashford powiedział to samo, słowo w słowo. Był to jego najrozsądniejszy argument, a teraz Byk wiedział wreszcie, skąd go wziął. Na szczęście miał za sobą długą drogę od windy, wtedy jego niedospany mózg miał czas na wymyślenie kontrargumentu.

– To w ogóle nie będzie miało żadnego znaczenia, jeśli nas rozwałą, zanim tam dotrzemy – odpowiedział. – Naprawdę sądzi pani, że Ziemia i Mars pójdą na tekst, że bawimy się tu tylko w szeryfa? Tam jest całe mnóstwo ludzi uważających, że cokolwiek zrobił Holden, braliśmy w tym udział. Zresztą nawet jeśli nie, ta część, gdzie odsuwają się na bok i pozwalają nam wyjść na prowadzenie, nie ma szans na powodzenie. Może się pani założyć, że dowódca sił marsjańskich pyta w tej chwili swojego pierwszego oficera, czy jego zdaniem obca cywilizacja powinna opierać swój obraz ludzkości na Ashfordzie.

– To było miłe – skomplementowała Pa. – Odwrócenie? Naprawdę dobre.

– Planety wewnętrzne mogą jeszcze nie wysyłać grózb – powiedział Byk – ale...

– Wysyłają. Mars zagroził, że otworzą do nas ogień, jeśli znajdziemy się mniej niż sto tysięcy kilometrów od Pierścienia.

Byk zasłonił usta dłonią. Czuł, jak jego mózg usiłuje zrozumieć jej słowa. Marsjańska flota przesłała im już ultimatum, a Ashford nawet mu o tym nie wspomniał.

– To co my, do diabła, robimy?

– Przygotowujemy się do włączenia silników za cztery godziny i trzy kwadransy, panie Baca – odparła Pa. – Ponieważ taki dostaliśmy rozkaz.

Gorycz przebijała nie tylko z jej głosu, zobaczył ją też w oczach i wykrzywieniu ust. W głowie Byka ścierało się współczucie i wściekłość, a pod nimi narastała panika. Był zbyt zmęczony na prowadzenie tej rozmowy. Zbyt zmęczony, by robić to, co było konieczne. Zmęczenie pozbawiło go całej ostrożności, która normalnie



zmusiłaby go do zawahania się przed otwarciem ust. Gdyby mógł przespać choć kilka godzin, może znalazłby inny sposób, ale teraz musiał grać takimi kartami, jakie mu rozdano.

– Pani się z nim nie zgadza – powiedział Byk. – Gdyby to zależało od pani, nie doszłoby do tego.

Pa pociągnęła długi łyk z bańki, której elastyczna folia wgięła się od ssania. Byk był przekonany, że nie pije dla smaku i jak niespodziewany cios spadło na niego pragnienie napicia się whisky.

– Nie ma znaczenia, co bym zrobiła lub czego bym nie zrobiła – odparła Pa. – To nie moje stanowisko, więc nie do mnie należy decyzja.

– Chyba że coś by się stało kapitanowi – rzucił Byk. – Wtedy to pani by decydowała.

Pa znieruchomiała. Dźwięki muzyki i zmieniające się wzory światła zdawały się oddalać. Znaleźli się we dwoje w prywatnym wszechświecie. Pa wcisnęła kciukiem magnes bańki i przyczepiła ją do ściany obok.

– Minie jeszcze kilka godzin, zanim włączymy silniki. A potem czas lotu. Sytuacja może ulec zmianie, ale nie wezmę udziału w buncie – powiedziała.

– Może nie będzie pani musiała. To nie musi mieć nic wspólnego z panią. Ale o ile nie wyda mi pani jednoznacznego rozkazu, żeby nie...

– Wydaję panu jednoznaczny rozkaz, panie Baca. Rozkazuję panu nie podejmować żadnych działań skierowanych przeciwko kapitanowi. Rozkazuję panu przestrzegać struktury dowodzenia. I jeśli to znaczy, że mam się poświęcić w celu wykonania rozkazów Ashforda, dokonam tego poświęcenia. Rozumie mnie pan?

– Tak – powoli odpowiedział Byk. – Albo wszyscy zginiemy, albo przelecimy przez Pierścień.

# Rozdział osiemnasty

## *Anna*

Na pierwsze nabożeństwo Anny przyszło jedenaście osób. Kontrast wobec jej wspólnoty na Europie z początku był niepokojący. Na Europie około dwudziestu rodzin zbierało się jakieś pół godziny przed rozpoczęciem nabożeństwa, a kilka osób docierało już w jego trakcie. Reprezentowali pełny przekrój wiekowy, od dziadków na wózkach, po krzyczące dzieci i noworodki. Niektórzy w niedzielę zakładali swoje najlepsze formalne stroje, inni ubierali się niedbale. Rozmowy przed ceremonią prowadzono w mieszance rosyjskiego, angielskiego i gwarze planet zewnętrznych. Pod koniec nabożeństwa kilka osób mogło pochrapywać w ławkach.

Jej wierni z FONZ pojawili się jednocześnie dokładnie o dziewiątej pięćdziesiąt pięć. Zamiast wmaszerować i zająć miejsca, wlecieli do sali w luźnej grupie, a potem unosili się we wprawiającej w zakłopotanie chmurze przed jej mównicą. Ubrani byli w nieskazitelne mundury galowe z kantami odprasowanymi tak ostro, że wyglądały, jakby można się było o nie skaleczyć. Nie odzywali się, tylko patrzyli na nią wyczekująco. I wszyscy byli tacy młodzi. Najstarszy nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat.

Niezwykłe okoliczności sprawiły, że jej zwyczajowe nabożeństwo nie miało sensu – nie było potrzeby częstowania dzieci opowieścią ani podawania ogłoszeń parafialnych – więc Anna od razu zaczęła od modlitwy, po której odczytała fragment Pisma Świętego i poprowadziła krótkie nabożeństwo. Rozważała kazanie na temat

obowiązku i poświęcenia, co wydawało się odpowiednim tematem dla wojska, jednak zamiast tego zdecydowała się mówić o Bożej miłości. Biorąc pod uwagę lęk, o którym kilka dni temu mówił Chris, to kazanie powinno się sprawdzić lepiej.

Kiedy skończyła, odmówiła jeszcze jedną modlitwę, a potem rozdała komunię. Łagodny rytuał zdawał się rozładować napięcie, które wyczuwała w sali. Każdy z jedenaściorga młodych żołnierzy podlatywał do jej improwizowanego stołu, brał bańkę soku winogronowego i opłatek, a potem wracał na wcześniejsze miejsce, gdzie unosił się jak poprzednio. Odczytała znajome słowa Mateusza i Łukasza i odmówiła błogosławieństwo. Zjedli chleb i wypili sok z bańki. Jak zawsze od pierwszego nabożeństwa, które pamiętała, Anna poczuła, jak ogarnia ją coś potężnego i cichego, choć odczuła też dreszcz, który próbował wędrować wzdłuż jej kręgosłupa w walce z groźącym jej szczerym śmiechem. Doznała nagłej wizji Jezusa, który poprosił swych uczniów, by robili to, czcząc Jego pamięć, jak obserwuje jej małą wspólnotę unoszącą się w nieważkości i pije odtworzony sok winogronowy z baniek do ssania. Uznała, że może to trochę naciągać granice *tego*, o czym mówił.

Ostatnia modlitwa i nabożeństwo dobiegły końca. Nikt z jej wspólnoty nie ruszył do drzwi. Patrzyło na nią jedenaścioro młodych twarzy pełnych wyczekiwania. Do sali wróciła przytłaczająca aura strachu, którą zdołała odepchnąć podczas komunii.

Anna przepchnęła się przed mównicę i dołączyła do luźnej chmury.

– Mogę się spodziewać kogoś w przyszłym tygodniu? Robię się przy was trochę nerwowa.

Pierwszy odezwał się Chris.

– Nie, było naprawdę bardzo miło. – Wyglądało na to, że chce powiedzieć coś więcej, ale powstrzymał się i zamiast tego popatrzył na swoje ręce.

– Na Europie ludzie przynosili ciastka i kawę, siedzieliśmy razem po nabożeństwie – powiedziała Anna. – Moglibyśmy zrobić coś takiego następnym razem, jeśli chcecie.

Kilka prawie wymuszonych przytaknięć. Muskularna młoda kobieta w mundurze marine wysunęła z kieszeni terminal, żeby

sprawdzić godzinę. Anna poczuła, że ich traci. Potrzebowali od niej jeszcze czegoś, ale nie zamierzali o to prosić. I zdecydowanie nie chodziło o kawę i ciasteczka.

– Przygotowałam całe nabożeństwo o Dawidzie – powiedziała, zachowując luźny ton. Konwersacyjny. – Na temat ciężaru, jakim obarczamy naszych żołnierzy. Poświęceń, o które prosimy was w imieniu pozostałych.

Chris przestał się wpatrywać w swoje dłonie. Młoda marine schowała terminal. Z mównicą za plecami salka była po prostu szarym pudełkiem pozbawionym wyróżniających się cech. Mała grupka żołnierzy unosiła się przed nią, ale nagle doznała zmiany perspektywy i unosiła się nad nimi, spadając między nich. Zamrugła szybko, by pozbyć się tego obrazu i przełknęła ślinę, żeby odsunąć kwaśny smak niespodziewanych mdłości w gardle.

– Dawid? – powiedział młodzieniec z kasztanowymi włosami i ciemną skórą. Jego akcent skojarzył się jej z Australią.

– Król Izraela – wyjaśnił ktoś inny.

– To ta ładniejsza wersja – odparła marine. – Był facetem, który zabił jednego ze swoich ludzi, żeby móc spać z jego żoną.

– Walczył za swój kraj i wiarę – wtrąciła się Anna, używając głosu nauczyciela, stosowanego zwykle podczas zajęć z Biblii dla nastolatków. Głosu jednoznacznie sugerującego, że mówi z pozycji autorytetu. – W tej chwili tylko ta część mnie interesuje. Zanim został królem, był żołnierzem. Często niedocenianym przez tych, którym służył. Wielokrotnie wystawiał własne życie na niebezpieczeństwo, by chronić osoby, którym przysiągł służyć – pomimo tego, że jego władcy nie byli go godni.

Kilka kolejnych przytaknięć. Teraz nikt już nie zaglądał w swój terminal. Poczuela, że zaczyna ich odzyskiwać.

– A przecież ciągle prosimy o to naszych żołnierzy – kontynuowała. – Każdy coś poświęcił, żeby się tu znaleźć. Często nie jesteśmy was godni, a jednak robicie to mimo wszystko.

– To dlaczego pani tego nie zrobiła? – zapytał Chris. – Wie pani, nabożeństwa o Dawidzie.

– Bo jestem przerażona – odparła Anna, ujmując lewą ręką dłoń

Chrisa, a prawą – rękę Australijczyka z drugiej strony. Bez żadnych słów luźna chmura stała się kręgiem ściśniętych dłoni. – Bardzo się boję. I nie chcę mówić o żołnierzach i poświęceniu, wolę mówić o Bogu, który nade mną czuwa. Obchodzi go to, co się ze mną stanie. I pomyślałam, że może inni też woleliby o tym posłuchać.

Kolejne kiwnięcia głowami.

– Kiedy chuderlaki wysadziły tamten statek, myślałam, że wszyscy zginęliśmy.

– Bez jaj – rzuciła marine, ale zaraz posłała Annie zawstydzone spojrzenie. – Przepraszam.

– Nic nie szkodzi.

– Twierdzą, że tego nie zrobili – przypomniała inna kobieta. – Strzelili do Holdena.

– Jasne, a potem ich cały statek tajemniczo się wyłączył. Gdyby piaskarze nie dorwali Holdena, odleciałby bez żadnych przeszkód.

– Chcą lecieć za nim – przypomniała młoda marine.

– Piaskarze mówią, że ich rozwalą, jeśli tam wleczą.

– Pieprzyć piaskarzy – warknął Australijczyk. – Skasujemy wszystkich, jeśli tylko czegoś spróbują.

– Dobrze – wciąła się Anna, zachowując łagodny głos. – Piaskarze to Marsjanie. Wolą, jak się ich nazywa Marsjanami. A nazywanie ludzi z planet zewnętrznych chuderlakami też jest nieuprzejme. Takie epitety to próba dehumanizacji jakiejś grupy, żebyście nie czuli się źle, zabijając ich.

Marine prychnęła i odwróciła wzrok.

– Zresztą – mówiła dalej Anna – walka tutaj to ostatnia rzecz, jaką powinniśmy robić. Zgodzicie się?

– Owszem – rzucił Chris. – Jeśli zaczniemy tu walczyć, wszyscy zginemy. Żadnego wsparcia, uzupełnień, nic, za czym można by się schować. Trzy uzbrojone po zęby floty i żadnej osłony większej od przypadkowego atomu wodoru. Idealny przykład strefy śmierci.

Cisza przedłużała się przez chwilę, w końcu Australijczyk westchnął.

– Właśnie. I coś jeszcze może wyjść z Pierścienia.

Powiedzenie tego na głos i powszechne przytakiwania uwolniły

powietrze od napięcia. Ponieważ wszyscy unosili się w nieważkości, nikt nie mógł się zgarbić, ale ramiona i czoła się rozluźniły. Pojawiło się kilka smutnych uśmiechów. Nawet jej gniewna młoda marine przeciągnęła palcami przez blond włosy i kiwnęła głową, nie patrząc na nikogo.

– Powtórzmy to w przyszłym tygodniu – zaproponowała Anna, póki czuła, że wciąż z nią są. – Możemy przyjąć komunię, a potem może chwilę porozmawiać. A w międzyczasie moje drzwi są zawsze otwarte. Proszę, zadzwońcie do mnie, jeśli będziecie chcieli porozmawiać.

Grupa zaczęła się rozpraszać, kierując się w stronę drzwi. Anna nie puściła dłoni Chrisa.

– Mógłbyś chwilę poczekać? Chciałabym cię o coś zapytać.

– Chris – rzuciła marine z kpiarskim zaśpiewem w głosie. – Zostanie sam na sam z pastorką.

– To nie jest zabawne – odpowiedziała Anna, używając pełnej mocy głosu nauczycielki.

Marine miała dość przyzwoitości, żeby się zaczerwienić.

– Przepraszam, proszę pani.

– Możesz odejść – powiedziała Anna, co dziewczyna natychmiast zrobiła. – Chris, czy pamiętasz tę młodą kobietę, która siedziała w mesie oficerskiej, kiedy pierwszy raz rozmawialiśmy?

Wzruszył ramionami.

– Sporo ludzi przychodziło i wychodziło.

– Ona miała długie, ciemne włosy i wyglądała na bardzo smutną. Miała na sobie cywilne ubranie.

– Och – rzucił Chris z uśmiechem. – Ta urocza. Owszem, pamiętam ją.

– Znasz ją?

– Nie. To chyba cywilny technik, czyści rury czy coś takiego. We flocie jest kilka statków z nimi. Dlaczego pani pyta?

To było bardzo dobre pytanie. Naprawdę nie wiedziała, dlaczego ta śliczna dziewczyna przez kilka ostatnich dni tak bardzo jej ciążyła. Jednak coś w niej utkwilo w pamięci Anny jak kamyk w bucie. Zaczynała czuć irytację i rozdrażnienie, a potem za każdym razem

przypominała się jej twarz dziewczyny. Emanująca z niej złość i poczucie zagrożenia z jej strony. Bliskość tego spotkania z nagłym wybuchem, rozkwitem wrogości i strzelających do siebie ludzi. Nic ich ze sobą nie łączyło, a jednak Anna nie potrafiła się pozbyć wrażenia, że są w jakiś sposób związane.

– Nie wiem... Może dlatego, że martwię się o nią? – odpowiedziała w końcu Anna. Przynajmniej nie skłamała.

Chris zaczął coś robić ze swoim terminalem ręcznym.

– Melba Koh – odezwał się po kilku chwilach. – Inżynier elektrochemii. Prawdopodobnie będzie regularnie odwiedzać nasz okręt całą drogę do domu. Może jeszcze się z nią pani spotka.

– Świetnie – rzuciła Anna, zastanawiając się, czy naprawdę tego chce.

\* \* \*

– Wiesz, co ssie? – zapytała Tilly. Zanim Anna zdążyła się odezwać, Tilly sama udzieliła odpowiedzi: – *To ssie.*

Nie musiała udzielać szczegółowych wyjaśnień. Unosiły się razem blisko stołu w cywilnym bufecie. Do stołu magnetycznie przyczepiło się małe plastikowe pudełko, zawierające różnorodne tubki pełne past z białkiem i węglowodanami w całej gamie kolorów i smaków. Obok na stole tkwiły dwie bańki: z herbatą dla Anny i kawą dla Tilly. Mesa officerska z uprzejmymi kelnerami, daniami gotowanymi na zamówienie i otwartym barem stała się odległym wspomnieniem. Tilly od kilku dni nie piła niczego z alkoholem. Żadna z nich nie jadła też przez ten czas niczego, co wymagało żucia.

– Owies z rodzynekami nie jest taki zły. Wydaje mi się, że może zawierać prawdziwy miód – odpowiedziała Anna, unosząc jedną z plastikowych tubek.

Podróże kosmiczne nie były dla Tilly niczym nowym, jej mąż miał udział w każdej większej skale Układu Słonecznego. Anna podejrzewała jednak, że kobieta jeszcze nigdy w życiu nie musiała jeść czegoś z plastikowej tubki. Każdy pilot, który dopuściłby się

totalnego braku wycucia i doprowadził do nieważkości podczas jednego z posiłków Tilly, zapewne zostałyby zwolnione w następnym porcie.

Tilly wzięła tubkę pasty owsianej, skrzywiła się i odsunęła ją palcami. Pojemnik unosił się koło jej głowy, wirując jak miniaturowy helikopter.

– Annie – zaczęła Tilly. – Gdybym chciała ssać obrzydliwe płyny z miękkiej i nieczułej rury, zostałabym na Ziemi z mężem.

W pewnym momencie Anna stała się dla Tilly *Annie*, a jej protesty w ogóle nie zraziły starszej kobiety.

– W końcu będziesz musiała coś zjeść. Nie wiadomo, jak długo tu będziemy.

– Nie za długo, jeśli będę miał coś do powiedzenia w tej sprawie. – Zza pleców Anny odezwał się grzmiący głos.

Gdyby dotykała podłogi, podskoczyłaby, ale unosząc się w powietrzu, zdołała się tylko szarpnąć niezgrabnie i pisnąć.

– Przepraszam, że cię przestraszyłem – kontynuował Cortez, przesuając się w jej pole widzenia. – Ale miałem nadzieję, że będziemy mogli porozmawiać.

Szedł po podłodze, mając na nogach rozdane przez flotę magnetyczne buty. Anna próbowała je nosić, ale swobodne unoszenie się z nogami przyczepionymi do podłogi wywołało w niej nieprzyjemne uczucie kojarzące się z utonięciem, od czego zrobiło się jej niedobrze jeszcze bardziej niż przy lataniu. Nie korzystała z nich.

Cortez skinął Tilly, posyłając jej przesadnie biały uśmiech na brązowej twarzy. Nie pytając, czy może się do nich przyłączyć, użył ekranu z menu na stole do zamówienia sobie napoju. Tilly odpowiedziała uśmiechem. Był to ten sztuczny *tak naprawdę cię nie widzę* uśmiech, którego używała w przypadku ludzi noszących jej bagaż lub obsługujących stół. Po wzajemnym okazaniu sobie pogardy Tilly zajęła się popijaniem kawy, ignorując jego obecność. Cortez położył dużą dłoń na ramieniu Anny.

– Doktor Wołowodow, zbieram koalicję ważnych konsultantów cywilnych na pokładzie tego okrętu w celu przedłożenia kapitanowi prośby i chciałbym uzyskać pani poparcie.



Anna podziwiała bezwzględną szczerość, którą Cortezowi udało się zawrzeć w zdaniu składającym się niemal wyłącznie z pochlebstw. Cortez trafił tu, ponieważ był duchowym doradcą sekretarza generalnego ONZ, podczas gdy Anna była tu, ponieważ Rada Zjednoczonych Metodystów mogła ją odzalaować, a jej dom akurat znajdował się po drodze. Jeśli znalazła się na liście ważnych doradców, to poprzeczkę ustawiono dość nisko.

– Z przyjemnością o tym porozmawiam, doktorze Cortez – odpowiedziała Anna i sięgnęła po bańkę z herbatą. Dało jej to wymówkę do uwolnienia się od jego chwytu. – Jak mogę pomóc?

– Po pierwsze muszę pochwalić pani inicjatywę urządzenia nabożeństwa dla kobiet i mężczyzn pracujących na tym okręcie. Wstyd mi, że sam o tym nie pomyślałem, ale z radością pójdę w pani ślady. Organizujemy już podobne spotkania z liderami różnych wyznań na pokładzie.

Anna poczuła, że się czerwieni, nawet pomimo pewności, że słowa Corteza miały pomóc nią pokierować. Był w tej grze na tyle dobry, że mógł uzyskać pożądaną reakcję także wtedy, gdy jego ofiara doskonale wiedziała, czego się spodziewać. Anna nie mogła go choć trochę nie podziwiać.

– Marynarze z pewnością to docenią.

– Jednak jest jeszcze coś, co moglibyśmy zrobić – powiedział Cortez.

– Większe dzieło, i właśnie w tej sprawie się do pani zwracam.

Tilly odwróciła się z powrotem do stołu i posłała Cortezowi wrogie spojrzenie.

– Co ty kombinujesz, Hank?

Cortez ją zignorował.

– Anno... czy mogę ci mówić Anna?

– Nadchodzi, Annie – rzuciła Tilly.

– Annie?

– Nie – wtrąciła się Anna. – Może być Anna. Proszę, mów mi Anna.

Cortez kiwnął ku niej dużą, białobrazową głową i oślepił ją śnieżnobiałym uśmiechem.

– Dziękuję, Anno. Chciałem cię poprosić o podpisanie mojej petycji i dołączenie twojego głosu do naszych.

- Naszych?
- Wiesz, że *Behemot* ruszył w stronę Pierścienia?
- Słyszałam.
- Chcemy poprosić kapitana, żeby mu towarzyszył.

Anna dwukrotnie zamrugała, otworzyła usta, żeby odpowiedzieć i odkryła, że nie ma nic do powiedzenia. Zamknęła usta z głośnym kłapnięciem, gdy zobaczyła, że Cortez i Tilly się w nią wpatrują. Wlecieć do Pierścienia? Holden wleciał do środka i wyglądało na to, że jeszcze żyje, ale dostanie się do wnętrza Pierścienia nigdy nie było częścią misji, przynajmniej dla jej cywilnego personelu.

Nikt nie miał najmniejszego pojęcia, jakiego rodzaju struktury czekały po jego drugiej stronie albo jakiego rodzaju zmiany może wywołać w ludziach przejście przez kosmiczny tunel. Ani nawet, czy Pierścień zostanie otwarty. Mógł mieć na przykład zaprogramowany limit masy, ograniczone zasilanie czy cokolwiek. Mógł się po prostu zamknąć po tym, jak przeleci przez niego odpowiednia liczba statków. A nawet zrobić to, gdy statek będzie właśnie przelatował. Anna wyobraziła sobie *Prince'a* przeciętego na pół, z obiema częściami dryfującymi w kosmosie o miliard lat świetlnych od siebie, z ludźmi wylatującymi w próżnię z obu stron.

– Chcemy też, żeby polecieł tam z nami Marsjanie – kontynuował Cortez. – Wysłuchaj mnie. Jeśli połączymy do tego nasze głosy...

– Tak. – Anna odpowiedziała, zanim zorientowała się, że chce to zrobić.

Nie wiedziała, dlaczego Cortezowi na tym zależy, ale wcale jej to nie obchodziło. Może chciał zdobyć więcej głosów w wyborach na Ziemi, może w ten sposób Cortez planował poddać kontroli dowódców wojskowych. Albo uznał, że to jego powołanie. Tak naprawdę nie przyjechali tutaj jako badacze, mieli po prostu być widzialni przez oglądających to wszystko ludzi na Ziemi. Dlatego właśnie po drodze doszło do tyłu protestów i dramatycznych przedstawień. Jeszcze niedawno wszystko to było jednym wielkim spektaklem, jednak teraz sytuacja się zmieniła i to właśnie było odpowiedzią na strach, który widziała podczas nabożeństwa.

Bezpośrednim zagrożeniem wcale nie był Pierścień, przynajmniej

nie teraz. Byli nim ludzie wyładowujący strach na najbliższym przeciwniku, jakiego mogli zobaczyć: na sobie nawzajem. Jeśli SPZ będzie kontynuować realizację swojego planu lotu za Holdenem do Pierścienia, a siły ONZ i Marsa do nich dołączą, nikt nie będzie miał żadnego powodu, żeby strzelać do innych. Ponownie staną się tym, czym byli na początku: wspólną grupą badającą najważniejsze odkrycie w historii ludzkości. Jeśli tu zostaną, trzy gniewne floty będą próbować powstrzymać pozostałe strony przed uzyskaniem przewagi. Wszystko to przetoczyło się przez umysł Anny z uczuciem bardzo przypominającym ulgę.

– Tak – powtórzyła. – Podpiszę petycję. Jest tyle rzeczy, których musimy się dowiedzieć, nauczyć i zabrać ze sobą z powrotem do tych wszystkich przestraszonych ludzi w domu. Tam właśnie się ich dowiemy. Nie tutaj, a po drugiej stronie. Dziękuję, że mnie pan zapytał, doktorze Cortez.

– Hank, Anno. Proszę, mów mi Hank.

– Och – odezwała się Tilly z zapomnianą bańką z kawą, unoszącą się w powietrzu przed nią. – Mamy *totalnie* przesrane.

\* \* \*

– Cześć Nono – odezwała się Anna do kamery panelu łączności w swoim pokoju. – Cześć Nami! Mamusia cię kocha. Tak bardzo, bardzo kocha. – Przytuliła poduszkę do piersi i mocno ją ścisnęła. – To wy. Wy obie.

Odłożyła poduszkę i poświęciła chwilę, żeby się opanować.

– Dzwonię, Nono, żeby znowu cię przeprosić.

# Rozdział dziewiętnasty

## *Melba*

Niesprawiedliwość tego, co się stało, cały czas wyła w głębi jej czaszki, nie pozwalając spać. Sukces był tak blisko. Tak wiele z jej planu *zadziało*. Jednak potem Holden zanurkował do Pierścienia i coś go uratowało, a Melba poczuła, jak w jej brzuch wbija się olbrzymia, niewidoczna pięść. I wciąż tam siedzi.

Oglądała przebieg wydarzeń ze swojej kajuty, siedząc po turecku na pryczy przeciążeniowej z terminalem ręcznym wyszukującym informacje ze wszystkich źródeł. Sieć była tak zapchana ludźmi robiącymi dokładnie to samo, że jej sygnał w żaden sposób się nie wyróżniał. Nikt nie mógł się zastanawiać, dlaczego to ogląda w sytuacji, gdy wszyscy inni robili to samo. Kiedy SPZ wystrzelił, usłyszała, jak ziemskie siły spinają się w oczekiwaniu na serię wywołanych przez sabotaż wybuchów, które nigdy nie nadeszły. Złość na Holdena, oskarżenia i potępienia były niczym polewanie oparzenia zimną wodą. Jej zespół został wezwany na misję ratunkową na *Seung Un* do naprawy wywołanych przez nią zniszczeń, ale sprawdzała wiadomości za każdym razem, gdy tylko miała wolną chwilę. Kiedy Mars skierował lasery celownicze na *Rosynanta*, kierując na niego raketę, roześmiała się w głos. Holden zatrzymał nadawanie jej wiadomości, ale dopiero kosztem całkowitego wyłączenia sprzętu łączności. Nie było mowy, żeby mógł na czas wysłać sprostowanie.

Kiedy przeleciał przez Pierścień, prowadziła równocześnie trzy rozmowy i obserwowała woltomierz pod kątem niebezpiecznych

wahań napięcia. Dopiero gdy zwalniano ich z powrotem na *Cerisiera*, dowiedziała się, że Holden nie zginął. I już mu to nie groziło. Pocisk został zatrzymany, a wróg oszczędzony.

Po powrocie na statek poszła prosto do swojej kajuty, zwinęła się na pryczy przeciążeniowej i próbowała nie poddać się panice. Miała wrażenie, że jej mózg się rozplątał, sprawiając, że myśli rozbiegły się na wszystkie strony. Gdyby Marsjanie sami wysłali kilka rakiet, zamiast po prostu czekać, aż SPZ wykona zadanie, Holden już by nie żył. Gdyby *Rosynant* był o kilka tysięcy kilometrów bliżej *Behemota*, gdy ten wystrzelił, Holden już by nie żył. Przegubowe zawieszenie jej pryczy kołysało się lekko po ostatnim hamowaniu i uświadomiła sobie, że jej ciało się trzęsie, uderzając głową o żel. Gdyby to coś, co zrobiło protomolekułę – bezimienne, złowrogie coś, co czaiło się w bezdennej czerni po drugiej stronie Pierścienia – nie zmieniło praw fizyki, Holden już by nie żył.

Tymczasem Holden żył.

Zawsze wiedziała, że zniszczenie Jamesa Holdena będzie trudne. Niespójności kryły się wszędzie i wystarczyłoby, żeby ktoś uważniej się im przyjrzał. Nie mogła dopasować swojego oświadczenia do ciągu, przy jakim *Rosynant* będzie leciał w chwili, gdy aktywuje pułapkę. Nagranie zawierało artefakty, które zostaną wykryte w wyniku uważnej analizy. Jednak zanim by do tego doszło, miało być już po wszystkim. Historia Jamesa Holdena zostałaby utrwalona. Nowe dowody można było odrzucić jako wymysły miłośników teorii spiskowych. Ale wyłącznie przy założeniu, że Holden i jego załoga zginą. Z ust swego ojca często słyszała pewne powiedzenie: *jeśli ten drugi nie żyje, sędzia musi prześledzić tylko jedną historię*. Kiedy w końcu uda mu się uruchomić sprzęt łączności, zacznie się śledztwo. Zostanie złapana. Dowiedzą się, że to ona.

Oraz – ta myśl wzbudziła miedziany smak w jej ustach – znajdą Rena. Dowiedzą się, że go zabiła. Ojciec się dowie. Do jego celi dotrze wiadomość, że pobiła Rena na śmierć, a to było gorsze od całej reszty. Nie fakt, że to zrobiła, pomyślała Melba. Fakt, że została na tym złapana.

Od drzwi dobiegł dźwięk, trzy silne uderzenia, a ona wbrew sobie

krzyknęła. Jej serce waliło jak oszalałe, a krew napierała na gardło i uderzała o żebra.

– Panno Koh? – zabrzmiał głos Soledad. – Jest tam pani? Czy mogę... chciałabym porozmawiać, jeśli...

Strach w głosie innego człowieka zadziałał na nią jak zawrót głowy. Melba wstała. Albo pilot zmieniał położenie statku, albo faktycznie kręciło jej się w głowie. Nie potrafiła stwierdzić, co jest prawdą. Spojrzała w lustro i zobaczyła w nim kobietę, która prawie mogła być normalną osobą obudzoną z głębokiego snu.

– Chwila – powiedziała, przeczesując włosy palcami i dociskając ciemne loki do skóry. Jej twarz sprawiała wrażenie lepkiej. Z tym nie mogła nic zrobić. Otworzyła drzwi.

Przed nią w wąskim, ciasnym korytarzu stała Soledad. Mięśnie jej szczęk pracowały jakby coś żuła, a spojrzenie szeroko otwartych oczu przesunęło się po Melbie, uciekało i wracało z powrotem.

– Przepraszam, panno Koh, ale nie mogę... nie mogę tego zrobić. Nie mogę tam polecieć. Mogą mnie wyrzucić, ale nie mogę lecieć.

Melba wyciągnęła rękę i położyła dłoń na ramieniu kobiety. Wydawało się, że dotyk zaskoczył je obie.

– Dobrze – powiedziała. – Wszystko będzie dobrze. Gdzie nie możesz lecieć?

Statek się przesunął. Tym razem to nie była jej wyobraźnia, bo Solé też się poruszyła.

– *Prince* – odpowiedziała. – Nie chcę... nie chcę się zgłaszać.

– Zgłaszać do czego? – zapytał Melba. Miała wrażenie, jakby próbowała wyciągnąć dziewczynę z jakiegoś załamania nerwowego. Zostało jej dość samoświadomości, żeby docenić ironię.

– Nie dostała pani wiadomości? Od kierownika podwykonawców.

Melba obejrzała się przez ramię. Jej terminal ręczny leżał na pryczy przeciążeniowej z zielono-czerwonym paskiem na ekranie, informującym o oczekującej wiadomości priorytetowej. Podniosła palec, nie wpuszczając Soledad do pokoju, w pobliże szafki, i chwyciła terminal. Wiadomość została wysłana dziesięć godzin temu z oznaczeniem pilnej i wymagającej odpowiedzi. Przez chwilę Melba zastanawiała się, jak długo leżała na pryczy pogrążona w panice.

Kciukiem potwierdziła odebranie wiadomości. Na ekranie pojawiło się mnóstwo prawniczego tekstu, głośnego jak krzyk.

Danis General Contracting, właściciele i operatorzy połowy cywilnych jednostek wsparcia we flocie – włącznie z *Cerisierem* – powoływali się na klauzulę okoliczności wyjątkowych standardowego kontraktu. Każdy zespół techniczny wybierze jednego ochotnika, który zostanie oddelegowany do tymczasowej służby na FONZ *Thomas Prince*. Wynagrodzenie pozostanie na standardowym poziomie do czasu zakończenia kontraktu, kiedy to zostaną ocenione wszelkie dodatki za zagrożenie lub wyłączenia.

Melba musiała trzy razy przeczytać tekst, by go zrozumieć.

– Nie mogę tam polecieć – mówiła Soledad gdzieś po lewej. W tym powtarzanym wciąż od nowa zdaniu zaczęło brzmieć irytujące jęczenie. – Mój tata. Mówiłam pani o nim. Rozumie pani. Pani siostra też tam była. Musi pani powiedzieć Bobowi albo Stanniemu, żeby to zrobili. Ja nie mogę.

Lecieli za Holdenem. Zamierzali przelecieć przez Pierścień za Holdenem. Jej panika nie tyle ustąpiła, co nagle uległa skupieniu.

– Żadne z was nie musi lecieć – oświadczyła Melba. – Ja się tym zajmę.

\* \* \*

Oficjalne przeniesienie było najłatwiejszą rzeczą, jaką zrobiła od wejścia na pokład. Wysłała wiadomość do oficera do spraw kontaktów ze swoim numerem identyfikacyjnym i krótką wiadomością, że zgadza się na przeniesienie na *Prince'a*. Dwie minuty później miała już swoje rozkazy. Trzy godziny na uporządkowanie spraw na *Cerisierze*, potem do promu i wylot. Wiedziała, że ten czas powinna poświęcić na spotkanie z zespołem i ułatwienie przejęcia kierownictwa komuś z nich. Miała jednak coś innego do załatwienia.

Napełnienie szafki przemysłowym środkiem uszczelniającym było proste. Pianę zaprojektowano tak, by można ją było szybko nakładać i by dała się kształtować przez kilka sekund, zanim żółta gąbka

zmieniała kolor na złoty i twardniała. Nadmiar można było w ciągu godziny usunąć ostrym nożem, ale po tym czasie nie ruszało jej nic poza właściwym typem rozpuszczalnika, a nawet to było nieprzyjemnym, żmudnym procesem.

Jednak zostawienie ciała w miejscu, gdzie ktoś mógł je znaleźć, nie wchodziło w grę. Ktoś zostanie przydzielony na jej pryczę i będzie chciał używać szafki. Zresztą zostawienie tu Rena wydawało się jej niewłaściwe. W związku z tym dwie i pół godziny przed opuszczeniem statku Melba zgarnęła parę sięgających za łokcie rękawic, trzy puszki rozpuszczalnika, rolkę chłonnych ręczników i dużą, hermetyczną skrzynkę na narzędzia, zamykając się z tym wszystkim w kajucie.

Drzwi szafki z początku nie chciały się otworzyć, unieruchomione przez niezauważoną kroplę uszczelnacza, ale kilka aplikacji rozpuszczalnika w aerozolu rozłożyło ją na tyle, że zdołała się w końcu dostać do środka. Pianka utworzyła pojedynczą, nierówną, złotą powierzchnię, jak w małym urwisku. Otworzyła skrzynię na narzędzia, odetchnęła głęboko i zwróciła się w stronę grobu.

– Przykro mi – powiedziała. – Naprawdę jest mi bardzo, bardzo przykro.

Z początku rozpuszczalnik w aerozolu nie wydawał się robić nic poza emitowaniem ostrego zapachu, ale po chwili pianka zaczęła skapywać jak tysiąc owadów wędrujących po kamieniu. W ścianie materiału pojawiły się zagłębienia i kaniony, potem mała strużka szlamu. Oderwała kilka ręczników i położyła na podłodze, by przechwycić płyn.

Jako pierwsze pojawiło się kolano Rena, z okrągłą przykrywką kości i szerniałą skórą wylaniającą się jak skamieniałość z topiącej się piany. Tkanina kombinezonu przesiąkła zgnilizną. Uderzyła w nią woń, choć nie była tak okropna, jak się spodziewała. Wyobrażała sobie, że będzie wymiotować i łkać, ale smród był łagodniejszy. Kiedy chwyciła go za nogi, żeby go wyciągnąć, wypadły z miednicy, więc rozcięła spodnie, owinęła nogi ręcznikami i włożyła je do skrzynki. Jej umysł wyciszył się i uspokoił, jakby była archeolożką wyciągającą na światło dzienne ciało sprzed stuleci. Dotarła do kręgosłupa. Potem natknęła się na jadowitą maź wnętrza rozpuszczonych przez



kwas solny w żołądku, niekontrolowanym już tak, jak za życia. Na końcu wyciągnęła jego głowę, z jasnoczerwonymi włosami, przyciemnionymi i upstrzonymi materią jak nadmiernie eksploatowany kuchenny mop.

Przenosiła kości do skrzynki na narzędzia, zapakowała je wraz z przesiąkniętymi ciałem, płynami i ręcznikami, a potem zamknęła jego nową trumnę, uszczelniła i wprowadziła swój kod do zamka. Zostało jej czterdzieści minut.

Spędziła kolejne dziesięć na czyszczeniu schowka, w którym Ren leżał po śmierci, a potem zdjęła rękawice i wrzuciła je do recyklera. Wykąpała się, próbując zmyć z siebie smród i ze zdziwieniem zauważyła, że łka. Zignorowała to, a gdy przebrała się w nowy kombinezon, łkanie jakby ustało. Zebrała resztę swoich rzeczy, wrzuciła je do torby, zebrała mokre jeszcze włosy w kucyk i zaciągnęła Rena do hangaru, gdzie zbierano rzeczy do przewiezienia na *Prince'a*. Zabrakło jej czasu na pożegnanie się z Soledad, Stannim i Bobem. Żałowała tego, ale ten ciężar mogła unieść.

W sumie było ich około trzydziestu osób. Kobiety i mężczyźni, których widywała na statku, słyszała ich nazwiska raz czy dwa, kiwała im głową na powitanie w kambuzie albo przy urządzeniach do ćwiczeń. Po dotarciu na *Prince'a* zebrano ich w małej białej salce konferencyjnej z ławkami przymocowanymi do podłogi, z układem jak w kościele. Lecieli już z ciągiem, zdążając w stronę Pierścienia i tego, co kryło się po drugiej stronie. Kiedy tryskający nadmiernym entuzjazmem marynarz opowiadał o *Thomasie Prinsie*, rozejrzała się po twarzach ludzi wokół. Starszy mężczyzna z niechlujną białą brodą i oczami w kolorze lodu. Przysadzista blondynka, prawdopodobnie młodsza od niej, ze źle nałożonym cieniem do powiek i ponurym wyrazem twarzy. Wszyscy przylecieli tu z własnej woli. A przynajmniej własnej woli, ograniczonej warunkami kontraktu. Wszyscy lecieli do Pierścienia, w paszczę tego, co czekało z drugiej strony. Zastanawiała się, co mogło ich do tego zmotywować, jakie tajemnice kryły się w *ich* skrzynkach na narzędzia.

– Musicie przez cały czas mieć przy sobie identyfikatory – mówił marynarz, trzymając białą plastikową kartę na smyczy. – To nie tylko

klucze do waszych kajut, dzięki nim dostaniecie też jedzenie w barze dla cywilów. Pomogą wam się również zorientować, czy jesteście tam, gdzie powinniście.

Blondynka obróciła się w stronę Melby i posłała jej gniewne spojrzenie. Melba zawstydzona odwróciła wzrok. Nie chciała się gapić. Jej ojciec zawsze mawiał, by nigdy nie być nieuprzejmą w sposób niezamierzony.

Biała karta marynarza przybrała intensywnie czerwony kolor.

– Jeśli to zobaczycie – powiedział – oznacza to, że jesteście w obszarze z ograniczonym dostępem i musicie natychmiast wyjść. Nie martwcie się za bardzo, to duży statek i wszyscy czasami pomylimy drogę. Podczas pierwszego tygodnia pobytu na pokładzie cztery razy trafiło mi się coś takiego. Nikt nie będzie wam suszył głowy z powodu autentycznej pomyłki, ale ochrona będzie je sprawdzać, więc bądźcie na to przygotowani.

Melba popatrzyła na swój biały identyfikator. Zamieszczono na nim jej nazwisko i zdjęcie poważnej twarzy. Marynarz opowiadał, jak bardzo doceniają ich obecność i jak to ich służba jest zaszczytem dla statku i jego załogi. Że są w tym wszystkim jednym, wielkim zespołem. Poczwała w trzewiach pierwsze poruszenia nienawiści do marynarza, więc spróbowała się zająć czymś innym.

Nie wiedziała, co robi, gdy już znajdą się po drugiej stronie, ale musiała znaleźć Holdena. Musiała go zniszczyć. Dźwiękowca też. Trzeba było zniszczyć lub zdyskredytować wszystko, co prowadziło do niej. Zaczęła się zastanawiać, czy jest jakiś sposób na podrobienie karty albo zdobycie identyfikatora należącego do kogoś o znacznie większych uprawnieniach dostępu. Może takiego, który pozwoli jej na pobranie promu. Będzie się musiała temu przyjrzeć. Została jej improwizacja, więc kluczowe będzie zdobycie najlepszych możliwych narzędzi.

Ludzie wokół niej zaczęli wstawać z miejsc. Na podstawie znudzonych spojrzeń i ciszy domyśliła się, że czeka ich wycieczka po okręcie. Była już na *Thomasie Prinsie* i знаła jego wysokie sufity nad szerokimi korytarzami, gdzie mogło obok siebie iść troje ludzi. Może nie wiedziała, gdzie wszystko się znajduje, ale potrafiła to ukryć.

Ruszyła razem z pozostałymi.

– W razie sytuacji awaryjnej wszystko, co musicie zrobić, to wrócić do swoich kabin i przypiąć się do prycz – mówił marynarz, idąc tyłem, by pouczać ich nawet, gdy szli i objali się o siebie jak bydło.

Ktoś za jej plecami zamuczał cicho, ktoś inny zachichotał. Żart dotarł w mrok kosmosu, gdzie krowy nie miały wstępu.

– Tutaj znajduje się bar cywilny – powiedział marynarz, gdy przeszli przez rozsuwane stalowe drzwi. – Ci z was, którzy byli tu wcześniej, mogą być przyzwyczajeni do żywienia się i picia kawy w mesie oficerskiej, ale teraz, gdy znajdujemy się w trybie działań wojskowych, powinniście przychodzić tutaj.

Cywilny bar był niskim, szarym i prostokątnym pomieszczeniem ze stołami i krzesłami przynitowanymi do podłogi. Siedziało przy nich kilkanaście osób w różnym wieku. Chudy mężczyzna z niemożliwie jasnymi włosami, pijąc coś z bańki, opierał się o ścianę wyłożoną miękką wyściółką. Dwóch starszych mężczyzn w strojach kapłanów i kołnierzykach księży siedziało razem w kącie, jak nie lubiane dzieciaki w kafeterii. Melba zaczęła się już z powrotem zamykać we własnych myślach, ignorując wszystkich, gdy coś przyciągnęło jej uwagę. Znajomy głos.

Siedem metrów od niej Tilly Fagan nachylała się do starszego mężczyzny, który wyglądał, jakby nie mógł się zdecydować między flirtem a irytacją. Włosy zebrała wysoko, a jej śmiech natychmiast przypomniawszy długie, nieprzyjemne przyjęcia, w których uczestniczyły obie ich rodziny. Melba odczuła nagły, atawistyczny wstyd z powodu tak kiepskiego ubioru. Przez koszmarną chwilę jej fałszywa osobowość przepadła i znowu stała się Clarissą.

Zmuszając się do powolnego i spokojnego poruszania, przesunęła się na tył grupy, starając się wyglądać na tak małą i trudną do zauważenia, jak tylko mogła. Tilly zerknęła na gładzącego marynarza i jego stado techników z nieukrywaną irytacją, ale nie zauważyła Melby. Nie tym razem. Marynarz wyprowadził ich z powrotem ze stołówki i ruszył długim korytarzem w stronę nowych kabin. Melba rozpuściła kucyk i przeczesła włosy palcami tak, by zasłaniały jej twarz. Oczywiście, wiedziała, że na pokładzie *Prince'a* znajduje się

delegacja z Ziemi, ale dotąd nie brała jej pod uwagę. Teraz zaczęła się zastanawiać, ile jeszcze osób tutaj znało Clarissę Mao. Doznała koszmarnej wizji skręcenia za róg i natknięcia się na Michę Krauss albo Stevena Comera. Zobaczyła ich oczy rozszerzające się z zaskoczenia i zaczęła się zastanawiać, czy potrafiłaby się zmusić do zabicia ich. Gdyby nie mogła tego zrobić, oznaczałoby to areszt, sensację w wiadomościach i więzienną celę taką, jak jej ojca.

Marynarz opowiadał teraz o ich kajutach, przydzielając je kolejno technikom. Były bardzo małe, ale ponieważ każdy musiał mieć własną pryczę przeciążeniową na wypadek sytuacji awaryjnej, oznaczało to, że nie musieli spać na zmiany. Mogła tam zostać i przekupić innych, żeby przynosili jej jedzenie. Tylko że jeśli da się osaczyć jak szczur, zabicie Holdena stanie się o wiele trudniejsze. Musiał być jakiś sposób...

Marynarz z naciskiem wypowiedział jej nazwisko i dopiero wtedy dotarło do niej, że robi to nie po raz pierwszy.

– Jestem – odpowiedziała. – Przepraszam.

Szybko weszła do swojej kajuty, otwierając drzwi, ponieważ zamek rozpoznał jej biały identyfikator, a potem zamknęła je za sobą. Stała w miejscu przez dłuższą chwilę, drapiąc się po ręce. Kabina była jasna, czysta i tak niepodobna do tej na *Cerisierze*, jak Nepal różnił się od Kolumbii.

– Przyleciałaś tu improwizować – powiedziała, a jej głos brzmiał jakby mówił to ktoś inny. – No to masz. Zaczynaj improwizować.

# Rozdział dwudziesty

## *Holden*

Zamiast przyzwyczać go do obecności kamer, tygodnie i miesiące wywiadów rozwinęły w Holdenie nową maskę. Wersję jego samego, która stawała przed kamerą i odpowiadała na pytania. Wyjaśniała różne rzeczy i opowiadała historie w sposób dostatecznie ciekawy, by skupiać na sobie uwagę. Nie było to coś, co spodziewał się wykorzystać w praktyce.

Jeszcze jedna z wielu niespodzianek.

– To – powiedział Holden, wskazując na duży monitor wideo za sobą na mostku – coś, co nazywamy powolną strefą.

– To straszna nazwa – skomentowała Naomi. Siedziała przy panelu operacyjnym statku, tuż za granicą pola widzenia kamer ekipy dokumentalnej. – Powolna strefa? Serio?

– A masz lepszy pomysł? – zapytała Monika.

Wyszeptała coś do Clipa, który przesunął się kilka stopni w lewo, powoli obracając przy tym kamerę. Pęknięta żyłka w oku zaczynała się goić. Potężne przeciążenie przy hamowaniu przed wlotem do Pierścienia wszystkim dało się we znaki.

– Mnie się podoba nazwa Aleksa – odparła Naomi.

– Niebo dmuchawców? – odpowiedziała Monika z prychnięciem. – Po pierwsze tylko mieszkańcy Ziemi i Marsa mają jakiegokolwiek pojęcie, jak wygląda dmuchawiec, a po drugie nie, to brzmi głupio.

Holden wiedział, że wciąż jest filmowany, uśmiechnął się więc tylko i pozwolił im to załatwić między sobą. Tak naprawdę podobała mu się

nazwa Aleksa. Gdy wyjrzało się na zewnątrz z miejsca, gdzie się znajdowali, faktycznie wyglądało to trochę jak sam środek dmuchawca: niebo wypełnione delikatnie wyglądającymi strukturami ułożonymi w olbrzymią, otaczającą ich sferę.

– Możemy z tym skończyć? – zapytała Monika, posyłając komentarz do Naomi bez patrzenia na nią.

– Przepraszam, że się wtrąciłam – powiedziała Naomi, wcale nie wyglądając przy tym na skruszoną. Mrugnęła do Holdena, który odpowiedział jej uśmiechem.

– I trzy... dwa... – Monika wskazała na niego.

– Na podstawie zebranych jak dotąd danych z czujników, powolna strefa ma około miliona kilometrów średnicy. – Holden wskazał na trójwymiarowe odwzorowanie na ekranie za sobą. – Nie ma tu żadnych widocznych gwiazd, więc nie sposób określić lokalizacji strefy. Jej granicę tworzą tysiąc trzysta siedemdziesiąt trzy pierścienie, rozłożone równomiernie na powierzchni kuli. Jak na razie jedyny, o którym wiemy, że jest „otwarty”, to ten, przez który tu wlecieliśmy. Po drugiej stronie wciąż są widoczne floty, z którymi tu przylecieliśmy, choć Pierścień wydaje się zniekształcać dane wizualne i dane z czujników, przez co odczyty nie są zbyt wiarygodne.

Holden dotknął monitora, a środek obrazu uległ znacznemu powiększeniu.

– Z braku lepszego określenia nazywamy to stacją Pierścienia. Wygląda jak lita kula metalicznej substancji o średnicy około pięciu kilometrów. Wokół niej unosi się pierścień powoli poruszających się obiektów, zawierający między innymi wszystkie sondy, które wysłaliśmy do powolnej strefy, oraz pasiarski statek *Y Que*. Torpeda, która wleciała za nami przez Pierścień, kieruje się w stronę stacji po trajektorii sugerującej, że także stanie się elementem pierścienia śmieci.

Kolejne dotknięcie i centralna kula zajęła cały ekran.

– Nazywamy to stacją w zasadzie wyłącznie dlatego, że siedzi w samym środku powolnej strefy, a przyjmujemy całkowicie nieuzasadnione założenie, że tam właśnie powinna znajdować się jakiegoś rodzaju stacja kontrolna wszystkich wrót. Nie widać, żeby na

powierzchni stacji znajdowały się jakiegokolwiek przerwy. Nic, co by przypominało służę, anteny, zestawy czujników czy coś takiego. Po prostu duża, srebrzysta kula jarząca się błękitem.

Holden wyłączył monitor i obaj operatorzy kamer obrócili się, aby umieścić go na środku obrazów.

– Jednak najbardziej intrygującym aspektem powolnej strefy, będącym źródłem jej nazwy, jest ograniczenie prędkości, wynoszące sześćset metrów na sekundę. Każdy obiekt powyżej poziomu kwantowego poruszający się powyżej tej prędkości jest blokowany przez coś, co wydaje się być polem tłumiącym inercję, a następnie jest przyciągany do śmieci okrążających centralną stację. Przypuszczamy, że to jakiegoś rodzaju system obronny chroniący stację Pierścienia i same bramy. Światło i radar działają normalnie, ale w powolnej strefie nie istnieje promieniowanie obejmujące większe cząstki, jak alfa i beta. To znaczy, przynajmniej poza statkiem. Cokolwiek kontroluje tu prędkość, wydaje się interesować tylko zewnętrzną częścią obiektów, nie ich wnętrzem. Wykonaliśmy kilka testów promieniowania i szybkości przedmiotów wewnątrz statku i jak na razie wszystko działa normalnie, ale ostatnia wystrzelona przez nas sonda została natychmiast przechwycona przez pole i jest teraz w drodze do pierścienia śmieci. Brak promieniowania alfa i beta sugeruje, że w ramach pierścienia śmieci stację okrąża też cienka chmura wolnych elektronów i jąder helu.

– Możesz nam powiedzieć, jakie masz teraz plany? – zapytała zza kamery Monika.

Cohen skierował mikrofon na nią, potem znowu na Holdena.

– Zamierzamy pozostać bez ruchu, uniknąć ściągania na siebie uwagi Pierścienia i dalej badać powolną strefę, używając do tego posiadanych instrumentów. Nie możemy odlecieć, zanim nie naprawimy sprzętu łączności i powiemy wszystkim na zewnątrz, że nie jesteśmy świrniętymi mordercami, którzy chcą zagarnąć Pierścień dla siebie.

– Świetnie! – rzuciła Monika, wystawiając kciuk do góry.

Clip i Okju przeszli się po mostku, nagrywając ujęcia do późniejszego montażu. Filmowali panele instrumentów, monitor za

Holdenem, a nawet Naomi rozłożoną w pryczy przeciążeniowej przy konsoli operacyjnej. Uśmiechnęła się słodko i odegnała ich gestem.

– Jak mają się wszyscy po przeciążeniu? – zapytał Holden, wciąż zerkając na zaczerwienione od krwi oko Clipa.

Cohen dotknął boku i skrzywił się.

– Jedno z moich żeber chyba wsunęło się na miejsce dzisiaj rano. Nigdy jeszcze nie byłem na statku, który robiłby tak gwałtowne manewry. Muszę przyznać, że nabrałem głębszego szacunku dla floty.

Holden odepchnął się od ściany i podleciał do Naomi.

– Skoro mowa o flocie – odezwał się cichym głosem – jak wygląda sytuacja ze sprzętem łączności? Naprawdę chciałbym ogłosić swoją niewinność, zanim ktoś wymyśli sposób na wysłanie tu za nami powolnej torpedy.

Sapnęła na niego z irytacją i zaczęła ciągnąć włosy jak zwykle, gdy pochłaniał ją jakiś złożony problem.

– Ten mały trojan, który wciąż przechwytuje kontrolę – za każdym razem, gdy go usunę i zrestartuję system, pojawia się na nowo. Całkowicie odizolowałam łączność od innych systemów, ale wciąż się tam pojawia.

– A broń?

– Ciągłe się aktywuje, ale nie strzela.

– Musi być między nimi jakiś związek.

– Owszem – potwierdziła Naomi i czekała.

Poczuł nagły dyskomfort.

– Nie powiedziałem ci niczego, czego sama nie wiedziałaś.

– Dokładnie.

Holden przyciągnął się do pryczy przeciążeniowej obok niej i przypiął się. Próbował udawać spokój, ale tak naprawdę im dłużej nie próbowali się bronić ani choćby wysłać czekającej na zewnątrz flocie jakiegoś zaprzeczenia, tym większe istniało ryzyko, że ktoś tam znajdzie sposób na zniszczenie *Rosa*, pomimo ograniczeń powolnej strefy. Wcale nie pomagał fakt, że Naomi nie potrafiła znaleźć rozwiązania. Jeśli ktokolwiek to zrobił, był dość bystry, by przechytryć Naomi w zakresie problemu technicznego, a to oznaczało, że mieli poważny problem.



– Jaki masz następny plan? – zapytał, próbując nie zdradzić głosem odczuwanej niecierpliwości.

Naomi i tak ją usłyszała.

– Robimy sobie przerwę – powiedziała. – Aleks robi przemiatanie lidarem wszystkich pierścieni tworzących granicę powolnej strefy. Po prostu żeby zobaczyć, czy któreś się czymś różnią. I poprosiłam Amosa, żeby naprawił tę żarówkę w łazience. Nic więcej nie możemy zrobić, a chciałem się go pozbyć do czasu, aż wymyślę inny sposób podejścia do problemu z łącznością.

– Co mogę zrobić, żeby pomóc? – zapytał Holden. Do tej pory już trzy razy sprawdził wszystkie pozostałe systemy statku, szukając ukrytych i złośliwych programów. Niczego nie znalazł i nie przychodziło mu do głowy nic więcej, co mogło być użyteczne.

– Już to robisz. – Przy tych słowach Naomi delikatnie wskazała głową w stronę Moniki, nie patrząc przy tym na nią.

– Mam wrażenie, że odwałam tu gównianą robotę.

– Och, daj spokój – odparła Naomi z uśmiechem. – Kochasz być w centrum uwagi.

Właz pokładowy otworzył się z głośnym brzękiem i po załogowej drabinie wspiął się Amos.

– Skurwysyn! – wrzasnął, gdy tylko zamknął się za nim właz.

– Co jest? – zapytał Holden, ale Amos krzyczał dalej.

– Kiedy oderwałem ten niepewny obwód zasilania w łazience, znalazłem tam tego małego drania ukrytego w obudowie lampy i podbierającego zasilanie.

Amos rzucił coś, co Holden ledwie zdążył złapać, zanim uderzyło go w twarz. Przedmiot wyglądał na mały nadajnik z wyprowadzonymi z jednej strony przewodami zasilania. Przysunął go do Naomi, której twarz pociemniała.

– To jest to – powiedziała, sięgając, by wziąć go od Holdena.

– Masz, kurwa, rację, że to jest to – ryknął Amos. – Ktoś ukrył to w kiblu, a to gówno ładowało trojana do naszego systemu przy każdym uruchomieniu.

– Ktoś z dostępem do naszej łazienki – zauważyła Naomi, patrząc na Holdena, ale ten już zrozumiał, jakie będą następne kroki, i zaczął się

odpinać.

– Masz broń? – zapytał Holden Amosa.

Masywny mechanik wyciągnął z kieszeni wielkokalibrowy pistolet i skierował go lufą do pokładu. Gdyby wystrzelił z niego w nieważkości, odrzut pchnąłby go w przeciwnym kierunku, ale ponieważ wokół były ściany, nie był to duży problem.

– Hej – odezwała się Monika z wyrazem twarzy przechodzącym ze zmieszania w strach.

– Ktoś z was przejął nasz sprzęt łączności – powiedział Holden. – Jedno z was pracuje dla tego, kto za tym wszystkim stoi. I ta osoba powinna się teraz przyznać.

– Zapomniałeś nam zagrozić – odezwał się Cohen. Brzmiał prawie na chorego.

– Nie, wcale nie zapomniałem.

Naomi także odpięła swoje pasy i unosiła się teraz obok niego.

– Aleks, zejź na dół – powiedziała po włączeniu panelu ściennego.

– Słuchajcie. – Monika wykonała w powietrzu łagodzący gest. – Popełniacie błąd, obwiniając nas o to.

Clip i Okju przesunęli się za nią, przyciągając do siebie Cohena. Zespół dokumentalistów utworzył mały krąg skierowany na zewnątrz, podświadomie przyjmując pozycję obronną. Kolejny objaw wciąż tkwiących w ludzkich mózgach zachowań rodem z plejstocenu. Aleks przyleciał z kokpitu, a jego zwykle jowialna twarz stwardniała w groźną maskę. W ręku trzymał ciężki klucz.

– Powiedzcie mi, kto to zrobił – powtórzył Holden. – Przysięgam na wszystko, co święte, że jeśli będę musiał, to wyrzucę was wszystkich przez śluzę, żeby chronić ten statek.

– To nie *my* – powiedziała Monika z naciskiem w głosie i strachem na twarzy, który całkowicie pozbawił ją urody gwiazdy filmowej i sprawił, że wyglądała starzej.

– Pieprzyć – warknął Amos, celując w nich z pistoletu. – Wezmę jedno z nich do służby i wyrzucę od razu. Nawet jeśli zrobiło to tylko jedno z nich, mam dwadzieścia pięć procent szansy, że dobrze trafię. Przy drugim szansa wzrośnie do trzydziestu trzech procent, pół na pół przy trzecim, a na taki układ piszę się w każdej chwili.

Holden nie potwierdził groźby, ale też z nią nie polemizował. Niech się pocą.

– Cholera – odezwał się Cohen. – Pewnie nie pomoże, jeśli powiem, że zostałem wystawiony równie mocno, jak wy, prawda?

Monika szeroko otworzyła oczy, a Okju i Clip odwrócili się w stronę niewidomego.

– Ty? – zapytał Holden. W zasadzie nie było żadnego powodu, żeby nie był to on, ale absolutnie nie podejrzewał niewidomego. Poczł się równocześnie zdradzony i winny z powodu własnych uprzedzeń.

– Zapłacono mi za podrzucenie tego sprzętu na statek – wyjaśnił Cohen, wysuwając się z obronnego kręgu i unosząc metr bliżej Holdena. Odsuwając się od grupy, żeby w razie czego nic się im nie stało. Holden zaliczył mu to na plus. – Nie miałem pojęcia, co to robi. Uznałem, że ktoś szpieguje wasze połączenia, to wszystko. Kiedy włączyła się ta emisja i zaczęły latać pociski, byłem równie zaskoczony jak wy. A mój tyłek znalazł się w takim samym niebezpieczeństwie.

– Skurwysyn – powtórzył Amos, tym razem bez emocji. Holden znał go dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że wściekły Amos był znacznie mniej groźny od spokojnego. – Myślałem, że będę miał problem z wyrzuceniem w kosmos ślepcy, ale okazuje się, że zupełnie mi to nie przeszkadza.

– Jeszcze nie – rzucił Holden, gestem odsuwając Amosa. – Kto ci za to zapłacił? Jeśli mnie okłamiesz, pozwolę Amosowi działać.

Cohen uniósł obie ręce w geście poddania się.

– Hej, masz mnie, szefie. Wiem, że mój zadek wisi teraz na włosku, nie mam żadnych powodów, żeby kłamać.

– To mów.

– Spotkałem ją tylko raz – powiedział Cohen. – Młoda kobieta. Miły głos, miała mnóstwo kasy. Poprosiła mnie o podrzucenie tego. Powiedziałem, że jasne, jeśli wprowadzi mnie na ten statek, to podrzucę, co tylko będzie chciała. A chwilę później Monika dostała zlecenie na ten dokument o was i Pierścieniu. Za cholerę nie wiem, jak to załatwiła.

– Skurwysyn – rzuciła Monika, wyraźnie równie zaskoczona tym

wyjaśnieniem, jak pozostali.

Co sprawiło, że Holden poczuł się odrobinę lepiej.

– Kim była ta młoda kobieta z mnóstwem kasy? – zapytał Holden.

Amos się nie ruszył, ale jego pistolet nie był już skierowany w nikogo. W głosie Cohena nie było słyhać najmniejszego śladu nieszczerości. Brzmiał na człowieka świetnie rozumiejącego, że każde słowo może go kosztować życie.

– Nigdy się nie przedstawiła, ale mogę ją łatwo wymodelować.

– Zrób to – rzucił Holden, a potem obserwował, jak Cohen podpina swoje oprogramowanie do modelowania do dużego monitora.

W ciągu następnych kilku minut powoli pojawił się na nim obraz młodej kobiety. Oczywiście, był monochromatyczny, a włosy zostały odtworzone w grupie, nie w poszczególnych pasmach, ale kiedy Cohen skończył, Holden nie miał żadnej wątpliwości co do tożsamości kobiety. Zmieniła się, ale nie na tyle, żeby nie potrafił rozpoznać martwej dziewczyny.

Julie Mao.

\* \* \*

Na statku było cicho. Monika i dwóch operatorów kamer dostali zakaz opuszczania pokładów załogowych, a kiedy Holden ostatni raz sprawdzał, siedzieli razem w kambuzie i milczeli. Zdrada Cohena zaskoczyła także ich i wciąż próbowali sobie z nią poradzić. Sam dźwiękowiec siedział w śluzie. To było pomieszczenie najbardziej przypominające areszt. Holden sądził, że mężczyzna po cichu panikuje.

Aleks wrócił do kokpitu. Amos po wrzuceniu Cohena do śluzi zamknął się w warsztacie, gdzie rozmyślał. Holden dał mu spokój. Z nich wszystkich właśnie Amos najmocniej odczuł zdradę. Holden wiedział, że życie Cohena zależy od tego, czy Amos zdoła mu odpuścić, czy nie. Jeśli zdecyduje się działać, Holden nie będzie w stanie go powstrzymać, choć prawdę mówiąc, nie wiedział nawet, czy chciałby próbować.

Siedział z Naomi na mostku i przyglądał się, jak dziewczyna wprowadza ostatnie poprawki do wreszcie działającego zestawu łączności. Po usunięciu urządzenia Cohena wreszcie mogli zrestartować system bez przejmowania go przez trojana.

Naomi czekała, żeby się odezwał. Nawet z drugiego końca pomieszczenia w układzie ramion widział, jak bardzo jest spięta, tylko że nie wiedział, co powiedzieć. Przez rok Miller był dziwną zjawą, która pojawiała się losowo i mówiła bez sensu, a teraz wszystko, co wtedy powiedział, nabrało wagi mrocznych omenów. Profetyczne zagadki, których znaczenie należy odgadnąć, albo zaryzykować katastrofę. A Miller nie był jedynym upiorem nawiedzającym Holdena.

Do gry dołączyła Julie Mao.

W jakiś sposób, gdy Miller podążał za Holdenem wokół Układu Słonecznego, protomolekuła wykorzystwała Julie, tworząc własne tajne plany. Julie zorganizowała marsjański pozew, który pozbawił go bezpiecznych przystani i pracy. Zorganizowała umieszczenie zespołu dokumentalistów na jego statku i wysłanie ich do Pierścienia. A teraz wyglądało na to, że doprowadziła też do wyszukanej zdrady, która zmusiła go do przelotu przez Pierścień, aby utrzymać się przy życiu. Duch Julie w niczym nie przypominał ducha Millera. Działał, mając w planach bardzo określony cel, dysponował dostępem do pieniędzy i bardzo potężnych ludzi. Jedyne, co miał wspólnego z Millerem, to fakt, że zdawał się skupiać na nim. A jeśli to wszystko było prawdą, to wszystko, co zrobił, miało na celu tylko jedno: sprowadzenie go tutaj. *Zmuszenie* go do przelotu przez Pierścień.

Poczuł wędrujące wzdłuż kręgosłupa mrowienie, od którego zjeżyły mu się włoski na rękach i karku. Włączył najbliższą konsolę i wywołał obraz z zewnętrznych teleskopów. W bezgwiazdnej otchłani nie było nic poza mnóstwem nieaktywnych pierścieni i wielką, niebieską kulą w samym środku. W polu widzenia pojawił się pocisk, który wleciał tu za nimi przez wrota i dołączył do pierścienia obiektów powoli okrążających stację.

Wszystko w końcu do mnie dociera, wydawała się mówić stacja.

– Muszę tam polecieć – powiedział na głos, gdy tylko ta myśl

pojawiła się w jego głowie.

– Gdzie? – zapytała Naomi, odwracając się od swojej konsoli.

Ulga, którą zobaczył na jej twarzy, nie trwała długo. Ukłuło go poczucie winy.

– Na stację. Czy cokolwiek to jest. Muszę tam polecieć.

– Nie polecisz – odparła.

– Wszystko, co zdarzyło się w ciągu ostatniego roku, miało na celu sprowadzenie mnie właśnie tutaj. – Holden obiema dłońmi potarł twarz, równocześnie łagodząc swędzące oczy i kryjąc się przed spojrzeniem Naomi. – A to jedyne miejsce tutaj. Nie ma tu nic innego. Żadnych otwartych wrót, planet ani innych statków. Nic.

– Jim. – W głosie Naomi zabrzmiało ostrzeżenie. – To coś, według którego zawsze musisz być facetem, który idzie...

– Nigdy się nie dowiem, dlaczego protomolekuła ze mną rozmawia, dopóki nie stanę z nią twarzą w twarz.

– Eros, Ganimed, *Agatha King* – wyliczała Naomi. – Zawsze uważasz, że musisz iść.

Holden przestał pocierać twarz i popatrzył na nią. Odpowiedziała spojrzeniem, piękna, zła i smutna. Poczuł, że ściśnięcie gardła grozi mu utratą głosu.

– Nie mam racji? Powiedz mi, że się mylę, a spróbujemy pomyśleć o czymś innym. Powiedz mi, że to wszystko, co się stało, znaczy coś innego, a ja po prostu tego nie dostrzegam.

– Nie – powiedziała znowu, tym razem mając na myśli coś innego.

– W porządku. – Westchnął. – No dobrze.

– Zaczyna mi się nudzić zostawanie z tyłu.

– Nie zostajesz z tyłu – zapewnił Holden. – Utrzymujesz załogę przy życiu, podczas gdy ja robię coś naprawdę głupiego. To dlatego jesteśmy świetnym zespołem. Teraz ty jesteś kapitanem.

– To główniana robota i dobrze o tym wiesz.

# Rozdział dwudziesty pierwszy

## *Byk*

W czasie ostatnich godzin przed przelotem przez Pierścień na *Behemocie* zapanował swoisty spokój. Ludzie rozmawiali w korytarzach i galeriach, ale ich głosy były kontrolowane, ciche, kruche. Zawsze stwarzające problemy niezależne strumienie – teraz zrobiły się mocno przygaszone. Skargi docierające do komisariatu ochrony spadły do zera. Byk miał oko na miejsca, w których zwykle ludzie mogli się upijać i dać się ponieść, ale nie dochodziło do żadnych niepokojących zdarzeń. Nasilenie wiadomości wysyłanych laserem łącznościowym w stronę stacji Tycho i wszystkich innych miejsc bliżej Słońca wzrosło sześciokrotnie. Mnóstwo ludzi na statku chciało coś komuś powiedzieć – dziecku, siostrze, ojcu, ukochanemu – zanim przejdą przez zniekształcający sygnały Pierścień do tego, co znajdowało się po drugiej stronie.

Byk też o tym pomyślał. Po raz pierwszy od miesiący zalogował się do strumienia grupy rodzinnej i dał się zalać informacjom o życiu licznej rodziny Baca. Jedna z kuzynek zaręczyła się, inna się rozwodziła, a wszyscy wymieniali wiadomości i opinie. Ciotka na Ziemi miała problemy z biodrem, ale ponieważ żyła na podstawowym utrzymaniu, trafiła na listę oczekujących na wizytę lekarską. Jego brat wysłał wiadomość z informacją, że dostał pracę na Lunie, ale nie powiedział, jakiego typu to praca ani dla kogo. Byk słuchał głosów członków rodziny, których nie widział nigdy poza ekranem, żywotów, które nie przecinały się z jego życiem. Zaskoczyła go odczuwana do

nich miłość, która powstrzymała go od umieszczenia tam własnego raportu. Tylko by ich wystraszył, nie zrozumieliby. Już słyszał, jak kuzyni mówią mu, żeby opuścił statek i przeszedł na coś, co nie będzie leciało do środka. Zanim wiadomość by do nich dotarła, on już i tak byłby po drugiej stronie.

Zamiast tego nagrał prywatną wiadomość do Freda Johnsona, mówiąc tylko:

– Po tym wszystkim ty będziesz *moim* dłużnikiem.

Godzinę przed przejściem Byk przestawił cały statek w stan gotowości bojowej. Wszyscy w pryczach przeciążeniowych, pojedynczo. Żadnego dzielenia prycz. Wszystkie narzędzia i przedmioty osobiste mają być schowane, wszystkie wózki muszą być zabezpieczone w stacjach dokujących, a grodzie między większymi sekcjami muszą być zamknięte, dzięki czemu w razie wypadku nie stracą powietrza na wszystkich pokładach. Dostał kilka skarg, ale przeważnie było to zwykłe marudzenie.

Lecieli powoli, z ciężeniem ciągu niewiele większym niż tendencja przedmiotów do dryfowania w stronę podłogi. Byk nie potrafił powiedzieć, czy było to podyktowane decyzją techniczną podjętą przez Sam, przez co nie będą poruszać się zbyt szybko w nietypowej przestrzeni z ograniczeniem prędkości po drugiej stronie Pierścienia, czy też Ashford chciał dać czas jednostkom Ziemi i Marsa na dogonienie się, żeby wszyscy przelatywali mniej więcej w tym samym czasie. Tylko w takim razie to nie byłaby decyzja Ashforda. Tego typu dyplomatyczne myślenie było domeną Pa.

Prawdopodobnie w gruncie rzeczy chodziło o to, że główny silnik nie potrafił pracować z dostatecznie małym ciągiem i tyle właśnie mogły zaoferować silniki manewrowe.

Byk nie martwił się siłami Ziemi. To oni zaproponowali umowę i to oni mieli cywilów na pokładzie. Z drugiej strony Mars mógł się nazywać misją naukową, ale ich eskorta składała się z doświadczonych wojskowych, którzy do chwili wtrącenia się Ziemi byli gotowi wybijać dziury w *Behemocie* aż do spuszczenia całego powietrza.

Zbyt wielu ludzi ze zbyt dużą liczbą pomysłów, a wszyscy martwili



się, że ktoś z pozostałych strzelił im w plecy. Ze wszystkich możliwych sposobów na spotkanie z dysponującymi niemal boskimi mocami twórcami protomolekuły ten był najgłupszy, najniebezpieczniejszy oraz – zdaniem Byka – najbardziej ludzki.

Przejście zajęło mierzalny odcinek czasu – potężny kadłub *Behemota* przesuwiał się przez Pierścień kilka sekund. Przez statek przeszedł upiorny jęk, a Byk siedzący w pryczy przeciążeniowej przy konsoli ochrony, czekając na katastrofę, poczuł gęsią skórę na rękach i karku. Przeskakiwał przez obrazy z kamer monitoringu jak ojciec sprawdzający, czy wszystkie okna i drzwi w domu zostały zamknięte na noc, a dzieciaki leżą w łóżkach. Z głębi umysłu wypłynęły wspomnienia strumieni z Erosa: czarne spirale włókien na korytarzach, ciała niewinnych ofiar zniekształcone i rozpadające się na części, zmieniające się w coś innego bez zaliczenia śmierci, błękitne świetliki, których nikt jeszcze nie wyjaśnił. Przełączając obraz, za każdym razem spodziewał się zobaczyć *Behemota* w tym samym świetle i za każdym razem, gdy tak nie było, jego niepokój przeskakiwał do następnego obrazu.

Przełączył się na dane z czujników zewnętrznych. Jasnoniebieski obiekt w centrum sfery anomalii, który – według komputerów – miał wymiary zbliżone do Pierścienia. Wrota prowadzące Bóg wie gdzie.

– Nie wiem, co my tu, u diabła, robimy – rzucił pod nosem.

– A-chatté-men, bracie – zgodził się blady Serge znad swojej konsoli.

Na ręcznym terminalu Byka pojawiła się prośba o połączenie z czerwonym kolorem personelu dowódczego. Odebrał połączenie, czując wzbierający w gardle niepokój. Na ekranie pojawiła się Sam.

– Cześć – rzuciła. – Jeśli chodzi o tę całą sytuację z zachowywaniem się jak podczas walki i siedzeniem w pryczach przeciążeniowych, to byłabym ci naprawdę wdzięczna, gdybyś trochę złagodził ograniczenia i pozwolił nam dopilnować, żeby statek nie rozpadł się na części.

– Masz jakieś alarmy?

– Nie – przyznała Sam. – Ale właśnie wlecieliśmy *Behemotem* w przestrzeń o innych właściwościach, no wiesz, prawa *fizyki* i takie tam. Naprawdę chciałabym się temu przyjrzeć.

– Zaraz za nami leci jeszcze osiem statków – powiedział Byk. – Poczekaj, aż zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Sam uśmiechnęła się w sposób idealnie obrazujący jej irytację.

– Czasami potrafisz być odrobinę paternalistyczny, Byku. Wiesz o tym?

Obok twarzy Sam pojawiło się nowe ostrzeżenie. Anteny łączności odebrały wiadomość o wysokim priorytecie. Z *Rosynanta*.

– Mam tu coś, Sam. Oddzwonię.

– Będę siedzieć w mojej pryczy i nic nie robić – odparła.

Przełączył się na wiadomość. To była transmisja szerokopasmowa. Do kamery patrzyła Pasiarka z czarnymi włosami odgarniętymi z twarzy i zebranymi w sposób, który Bykowi przywiódł na myśl spawanie – miał wrażenie, że gdy tylko skończy mówić, wróci spawać.

– ...Nagata, pierwszy oficer *Rosynanta*. Chcę bardzo jednoznacznie oświadczyć, że wcześniejsza transmisja, w której rościliśmy sobie prawa do Pierścienia, była sfałszowana. Nasz sprzęt łączności został przejęty i utraciliśmy do niego dostęp. Sabotażysta na pokładzie naszego statku przyznał się do tego i po niniejszym przekazie załączam plik danych ze wszystkimi dowodami obciążającymi prawdziwego sprawcę tych przestępstw. Dołączam też krótką prezentację dokumentalną dotyczącą tego, co odkryliśmy w czasie pobytu tutaj, wyprodukowaną przez Monikę Stuart i jej zespół. Chciałabym jeszcze raz powtórzyć, kapitan Holden nie został przez nikogo upoważniony do przejęcia kontroli nad Pierścieniem, nie miał takiego zamiaru, a żadne z nas nie uczestniczyło w sabotażu ani nie wiedziało nic na temat bomby na pokładzie *Seung Un* ani żadnego innego statku. Przylecieliśmy tu wyłącznie jako transport i wsparcie dla zespołu dokumentalnego i nie stwarzamy żadnego celowego zagrożenia dla żadnej innej jednostki.

Serge sapnął bez przekonania.

– Myślisz, że go rozwalili?

– Żeby utrzymać Holdena z dala od kamery? Albo go rozwalili, albo związali – skomentował Byk.

Niby był to żart, ale coś w nim było. Dlaczego tego oświadczenia nie wygłaszał kapitan *Rosynanta*?

– Nie zamierzamy poddawać naszego statku – powiedziała Pasiarka – ale zapraszamy na pokład inspektorów, którzy zweryfikują nasze raporty, pod następującymi warunkami. Po pierwsze, inspektorzy będą musieli przestrzegać podstawowych zabezpieczeń...

Na konsoli pojawiło się pięć powiadomień o łączności, każde z innego statku. Wszystkie szerokopasmowe. Jeśli wlatywali w paszczę potężnej i groźnej obcej inteligencji, to – na Boga – dlaczego nie zrobić tego, spierając się.

– ...niedopuszczalne. Żądamy natychmiastowego poddania się *Tachi* oraz wszystkich osób...

– ...jakie dowody możesz przekazać...

– ...natychmiastowe wydanie Jamesa Holdena w celu przesłuchania. Jeśli wasze twierdzenia zostaną zweryfikowane...

– ...wiadomość będzie powtarzana. *Rosynant*, proszę potwierdzić i wyjaśnić aktywność poza statkiem. Kto tam jest i co robi?

Byk wywołał czujniki i zaczął uważnie przeglądać rejon w okolicy statku Holdena. Znalezienie tego zajęło mu pół minuty. Pojedynczy skafander próżniowy oddalający się od statku, lecący w stronę jarzącej się błękitem struktury na środku sfery. Rzucił coś wulgarnego. Pięć minut później pierwsza oficer *Rosynanta* odezwała się ponownie, potwierdzając jego najgorsze obawy.

– Mówi Naomi Nagada – powiedziała – pierwszy oficer i pełniąca obowiązki kapitana *Rosynanta*. Kapitan Holden chwilowo nie ma możliwości udzielania odpowiedzi na pytania, spotkania się z przedstawicielami statków ani poddania się którejś ze stron. On... – Spuściła wzrok.

Byk nie potrafił stwierdzić, czy widzi w niej strach, wstyd, czy jedno i drugie. Pasiarka odetchnęła głęboko i mówiła dalej.

– Kapitan zbliża się obecnie w skafandrze do bazy pośrodku powolnej strefy. Mamy powody wierzyć, że został tam... wezwany.

Śmiech Byka przyciągnął uwagę Serge'a. Jego zastępca uniósł rękę w pasiarskim odpowiedniku zadania pytania. Byk pokręcił głową.

– Spróbuj po prostu wymyślić sposób, w jaki moglibyśmy to zrobić jeszcze gorzej – powiedział.

\* \* \*

Ashford uparł się na spotkanie osobiste, więc choć Byk rozkazał wszystkim członkom załogi niepełniącym aktywnej służby pozostać w pryzmach, sam podleciał do windy i skierował się na mostek.

Dźwięki załogi składały się w przytłumioną kakofonię. Każde stanowisko żonglowało danymi telemetrii, przełączało sygnały i dane czujników, choć w zasadzie nic się nie działo. Po prostu podniecenie wymagało, by wszyscy byli zajęci, poważni i zaangażowani. Alternatywą podniecenia był strach. Monitory przełączono w tryb wyświetlaczy taktycznych: Ziemią oznaczono na niebiesko, Marsa na czerwono, *Behemota* na pomarańczowo, a artefakt na środku sfery miał kolor intensywnie zielony. Otaczające go śmieci oznaczono na białą. Do tego dwie złote kropki: jedna dla *Rosynanta*, sporo przed pozostałymi statkami, druga dla jego kapitana. Skala była tak mała, że Byk widział kształt większych statków, kanciasty i niezgrabny, w sposób typowy dla struktur budowanych do nieważkości. Wszechświat skurczony do przestrzeni mniejszej od Słońca, a jednak wciąż niesamowicie wielki.

A w tej bańce ciemności, tajemnicy i niepokoju w stronę Holdena sunęły dwie identyczne kropki – niebieska i czerwona – zbliżając się uparcie do małego złotego Holdena. Szalupy marines, niewiele większe od pryzk przymocowanych do silnika fuzyjnego. Byk latał tego typu jednostkami tak dawno temu, że mogło to być w innym życiu, ale jeśli zamknął oczy, wciąż czuł w kościach drżenie silników przenoszone przez powłokę pancerza. Pewnych rzeczy się nie zapomina.

– Ile potrzebujemy czasu – zapytał Ashford – na zebranie równoważnej grupy?

Byk potarł dłonią podbródek i wzruszył ramionami.

– Ile czasu potrzeba, żeby wrócić na Tycho?

Twarz Ashforda zrobiła się czerwona.

– Nie interesują mnie pańskie żarty, panie Baca. Ziemia i Mars wysłały zespoły mające przechwycić wyjętego spod prawa Jamesa

Holdena. Jeśli nie zrobimy tego samego, będziemy wyglądać na słabych. Przylecieliśmy tu dopilnować, by SPZ pozostało równym partnerem planet wewnętrznych i zrobimy to niezależnie od kosztów. Zrozumiano?

– Zrozumiano, sir.

– To ile potrzeba czasu?

Byk spojrział na Pa, która utrzymywała starannie neutralny wyraz twarzy. Znała odpowiedź równie dobrze, jak on, ale nie zamierzała tego mówić. Zostawiając głównianą robotę Ziemianinowi. No cóż, niech będzie.

– Nie da się tego zrobić – odpowiedział. – Każda z tych szalup wiezie pół tuzina marines w pełnych strojach bojowych. Panczerze wspomagane. Może klasy Goliat u Marsjan i Reaver u Ziemian. W każdym razie my nie mamy niczego podobnej klasy. Z kolei żołnierze w tych pancierzach byli szkoleni do tego typu akcji codziennie przez kilka lat. Ja mogę obsadzić prom garścią hydraulików ze strzelbami.

Na mostku zrobiło się cicho. Ashford złożył ręce na piersi.

– Hydraulicy. Ze strzelbami. Tak właśnie nas pan widzi, panie Baca?

– Nie kwestionuję odwagi ani poświęcenia nikogo z tej załogi – odpowiedział Byk. – Wierzę, że każdy zespół, jaki tam wyślemy, będzie gotów oddać życie dla sprawy. Oczywiście, zajmie im to jedynie jakieś piętnaście sekund, a nie chcę wysyłać naszych ludzi na coś takiego.

Implikacje unosiły się w powietrzu łagodnie jak w nieważkości. Ty jesteś kapitanem. Możesz wydać rozkaz, ale ty będziesz odpowiadał za konsekwencje. A oni wiedzą, że Ziemianin powiedział ci, co się stanie. Pa zmrużyła oczy i odwróciła wzrok.

– Dziękuję, panie Baca – powiedział Ashford. – Może pan odejść.

Byk zasalutował, wykonał zwrot i odepchnął się w stronę windy. Załoga mostka za jego plecami znowu zaczęła rozmawiać, choć już nie tak głośno. Prawdopodobnie wszyscy zostaną zjechani po wyjściu Byka tylko za to, że znajdowali się na mostku, gdy Ashford został upokorzony. Istniało niewielkie ryzyko, że w tej sytuacji kogoś tam wyślą. Do jądra, bazy, czymkolwiek to było. Bykowi nie przyszedł do głowy żaden lepszy sposób na osiągnięcie tego, więc uznał go za

zwycięstwo.

W drodze powrotnej na komisariat przejrzał plik przesłany przez *Rosynanta*. Sabotażysta wydawał się wiarygodny. Byk widywał już fałszywe wyznania, więc potrafił rozpoznać ich oznaki, a tutaj żadnych nie dostrzegł. Później jednak wszystko zmieniło się w bajkę dla dzieci. Tajemnicza kobieta, która manipulowała rządami i cywilami, która była gotowa zabić dziesiątki ludzi i zaryzykować życie tysięcy, żeby... co? Przeprowadzić Jamesa Holdena przez Pierścień do miejsca, gdzie się teraz wybierał?

Obraz wygenerowany przez więźnia wyglądał jak wyrzeźbiony z lodu. Nikt nie dodał kolorów. Byk nałożył na obraz oliwkową skórę i brązowe włosy, ale twarz nie wyglądała znajomo. Twierdzili, że to Juliette Mao. Nie była pierwszą osobą zarażoną protomolekułą, ale wszyscy przed nią w taki czy inny sposób wylądowali w sterylizatorze. To ona stała się zarodkiem kryształu, którego Eros użył do budowy Pierścienia. W sumie kim był, by twierdzić, że Julie Mao nie mogła się kręcić po okolicy, wynajmując zdrajców i podkładając bomby?

Problem z żywymi cudami polegał na tym, że w ich obecności wszystko wydawało się możliwe. Obca broń czaiła się na orbicie wokół Saturna przez miliardy lat. Pochłonęła życie tysięcy ludzi, przejmując mechanizmy ich ciał na własne potrzeby. Utworzyła wrota nadprzestrzenne do czegoś w rodzaju nawiedzanej sfery. Więc dlaczego reszta nie miałyby być możliwa? Jeśli to było możliwe, wszystko inne też.

A jednak Byk tego nie kupował.

Po powrocie do konsoli ochrony sprawdził status. Szalupa ziemskich marines poleciała za szybko, próbując wyprzedzić Marsjan. Powolna strefa ich schwytała i szalupa dryfowała teraz pomału w stronę pierścienia śmieci. Istniało ryzyko, że wszyscy na pokładzie zginęli. Marsjańska jednostka leciała dalej, ale Holden dotrze do struktury, zanim go dogonią. Na swój sposób nie było to dobre. Marsjanie od początku byli za bardzo chętni do strzelania, więc szansa na wydobycie z Holdena jakichś odpowiedzi nie była zbyt duża.

Byk wciągnął powietrze przez zęby z na wpół ukształtowanymi pomysłami kłębiącymi się w głębi umysłu. Holden nie zostanie przesłuchany, ale to nie znaczyło, że nie można było nikogo przesłuchać. Sprawdził swoje kody dostępu. Ashford nie zablokował mu dojścia do lasera łączności. Uprzejmość wymagała omówienia tej sprawy z Ashfordem lub przynajmniej z Pa, ale w tej chwili i tak mieli pełne ręce roboty. A jeśli mu się uda, trudno im będzie protestować. Uzyskają argument przetargowy.

Na ekranie pojawiła się pierwsza oficer *Rosynanta*.

– Co mogę dla was zrobić, *Behemot*.

– Mówi Carlos Baca. Jestem szefem ochrony. Chciałem porozmawiać o możliwym uwolnieniu was od problemu.

Uniosła brwi i potrząsnęła głową jakby próbowała powstrzymać się przed uśnięciem. Jej twarz sugerowała inteligencję.

– Mam w tej chwili całkiem sporo problemów – powiedziała. – O którym mówimy?

– Ma pani na pokładzie grupkę cywili. Jeden z nich jest aresztowany. Mars wciąż twierdzi, że lecicie na ich okręcie, a Ziemia zastanawia się, czy rozwaliliście na kawałki jeden z ich statków. Mogę przejąć waszego więźnia i zapewnić pozostałym miejsce bezpieczniejsze niż u was.

– Kiedy ostatnio sprawdzałam, to jak dotąd tylko SPZ do nas strzelił – zauważyła. Ładnie się uśmiechała. Za młoda dla niego, ale dziesięć lat temu mniej więcej teraz zapytałby ją, czy dałaby się zaprosić na kolację. – To nie zapewnia wam miejsca na szczycie mojej listy.

– To przeze mnie – przyznał Byk. – Tym razem tego nie zrobię. – Zarobił tym uśmiech, ale dość blady. Wyglądał jak uśmiech kogoś, kto przeszedł przez piekło. – Słuchaj, dużo się dzieje, a macie tam ludzi, którzy nie są członkami waszej załogi. Musicie im zapewnić bezpieczeństwo, co was rozprasza. Wyślijcie ich tutaj, a wszyscy zobaczą, że nie próbujecie ograniczać dostępu do nich. W ten sposób znacznie łatwiej będzie ludziom uwierzyć, że to wcale nie wy wysadziliście tę bombę na *Seung Un*.

– Mam wrażenie, że przeszliśmy poza gesty dobrej woli – odpowiedziała.

– Mnie się wydaje, że gesty dobrej woli to pani jedyna szansa na uniknięcie polowego awansu – odparł Byk. – Wysłali zabójców za pani kapitanem. I to dobrych. Nikt tutaj nie myśli jasno. A my możemy zacząć łagodzić sytuację. Zachowywać się jak dorośli. Jeśli my to zrobimy, to może oni też. Nikt więcej nie musi ginąć.

– Wątpi nadzieja – rzuciła.

– Ale to cała nadzieja, jaką mogę zaoferować. Jeśli nie macie nic do ukrycia, to im to pokażcie. Pokażcie wszystkim.

Zajęło jej to dwadzieścia sekund.

– Dobrze – powiedziała. – Może ich pan wziąć.



# Rozdział dwudziesty drugi

## *Holden*

– Rety – rzucił do siebie Holden – naprawdę wcale nie chcę tego robić.

Słowa odbiły się echem wewnątrz hełmu, konkurując tylko z cichym szumem radia.

– Próbowałam cię przekonać, żebyś odpuścił – odpowiedziała Naomi, której głos w jakiś sposób zdołał przekazać intymność, pomimo spłaszczenia i zniekształcenia przez małe głośniczki skafandra.

– Przepraszam, nie wiedziałem, że słuchasz.

– Ach – rzuciła. – Co za ironia.

Holden oderwał spojrzenie od wolno rosnącej kuli, która była jego celem, i odwrócił się, by spojrzeć na *Rosynanta* za plecami. Nie zobaczył go do chwili, gdy Aleks odpalił silniczek manewrowy i delikatny stożek pary odbił część błękitnego blasku kuli. Skafander poinformował go, że *Ros* znajduje się ponad trzydzieści tysięcy kilometrów od niego – ponad dwa razy dalej niż mogła się od siebie znaleźć dwójka ludzi na Ziemi – i wciąż się oddalał. On zaś siedział w skafandrze próżniowym z jednorazowym plecakiem odrzutowym, w którym zostało gazu na jakieś pięć minut ciągu. Przez minutę przyśpieszał w stronę kuli, przez kolejną będzie hamował, gdy do niej dotrze. To powinno zostawić dość na powrót do *Rosa*, gdy będzie po wszystkim.

Optyzmizm wyrażony w zachowaniu delty V.

Statki trzech flot zaczęły przechodzić przez wrota, jeszcze zanim rozpoczął swój lot. *Ros* był teraz chroniony przed nimi jedynie bezwzględny ograniczeniem prędkości, obowiązującym w powolnej strefie. Dryfował tuż poniżej prędkości granicznej, by maksymalnie oddalić się od flot. Nawet bez wychodzenia poza obszar wyznaczony wrotami mieli do dyspozycji kulę o średnicy miliona kilometrów. Wrota oddzielało prawie pięćdziesiąt tysięcy kilometrów pustej przestrzeni, ale pomysł wylecenia z powolnej strefy w bezgwiazdną pustkę za nimi wywoływał u Holdena ciarki. Razem z Naomi zgodzili się, że taki manewr należało wykonać tylko w ostateczności.

Jak długo nikt nie mógł wystrzelić z broni balistycznej, *Ros* powinien być dość bezpieczny w pięciuset kwadrylionach kilometrów sześciennych przestrzeni.

Odwrócił się z powrotem za pomocą dwóch ćwierćsekundowych dmuchnięć z plecaka próżniowego i dokonał odczytu odległości od kuli. Wciąż miał przed sobą godziny lotu. Trwający minutę ciąg zastosowany przez niego na początku podróży nadał mu tempo powolnego pełznięcia w skali astronomicznej, a przed wypuszczeniem go *Ros* wykonał zatrzymanie względem kuli. Gdyby statek wypuścił go przy granicy prędkości dopuszczanej przez powolną strefę, w plecaku nie byłoby dość gazu, by zdołał wyhamować lot.

Przed nim, pośrodku bezgwiazdnej czerni, czekała błękitna kula.

Czekała już dwa miliardy lat, aż ktoś przejdzie przez te wrota, jeśli naukowcy nie mylili się co do tego, kiedy Febe została przechwycona przez Saturna. Jednak ostatnio aura niezwykłości protomolekuły i Pierścienia wzbudziła w Holdenie niepokojące wrażenie, że może wszystkie ich założenia dotyczące jej źródła i przeznaczenia były błędne.

Protogen nadał nazwę *protomolekule* i uznał, że było to narzędzie mogące zmienić definicję bycia człowiekiem. Jules-Pierre Mao potraktował ją jako broń. Zabijała ludzi, więc była bronią. Jednak promieniowanie też zabijało ludzi, a medyczne aparaty rentgenowskie wcale nie powstały jako broń. Holden zaczynał mieć wrażenie, że wszyscy zachowywali się jak mały bawiące się mikrofalówką. Po naciśnięciu przycisku w środku zapala się światło,

więc to lampa. Jeśli nacisnąć inny przycisk i wsadzić do środka głowę, przypali ją, więc to broń. Nauczyć się otwierać i zamykać drzwiczki, a dostaniemy schowek. A przez cały ten czas nikt nie miał tak naprawdę pojęcia, co to urządzenie faktycznie robi, może nawet nie miał do tego odpowiedniego aparatu pojęciowego. Żadna mała nigdy nie odgrzewała zamrożonego burrito.

A więc proszę, oto mały szturchający lśniące pudełko i zgadujące, do czego służy. Holden mógł sobie powiedzieć, że w tym przypadku pudełko samo prosiło się o szturchanie, ale nawet to wymagało przyjęcia pewnych założeń. Miller wyglądał na człowieka, kiedyś *był* człowiekiem, więc łatwo było przypisać mu ludzkie motywacje. Miller chciał nawiązać porozumienie. Chciał coś Holdenowi przekazać albo skłonić go do zrobienia czegoś. Ale równie prawdopodobne było – może nawet bardziej prawdopodobne – że Holden antropomorfizował coś dziwniejszego.

Wyobraził sobie, jak ląduje na tej stacji, a Miller mówi do niego *Jamesie Holdenie, tylko ty w całym wszechświecie masz idealny skład chemiczny na doskonałe paliwo do tuneli nadprzestrzennych!* Po czym pakuje go do jakiejś maszyny do przetworzenia.

– Wszystko w porządku? – zapytała Naomi w reakcji na jego chichot.

– Po prostu myślę sobie, jak niezwykle głupie jest to wszystko. Dlaczego nie pozwoliłem ci się przekonać, żeby tego nie robić?

– Wygląda na to, że mi się udało, tylko potrzebowałeś kilku godzin na przetworzenie tego. Mamy podleciec i cię zgarnąć?

– Nie. Jeśli teraz się wycofam, nigdy już nie zbiorę w sobie dość odwagi, żeby spróbować jeszcze raz – odpowiedział Holden. – Jak tam wygląda sytuacja?

– Floty przeleciały w sile około dwudziestu statków, głównie tych cięższych. Aleks wyliczył sposób na odpalenie torpedy z krótkimi impulsami silnika tak, żeby zbliżyć ją do prędkości granicznej, ale bez jej przekroczenia. A to znaczy, że wszyscy na tych statkach robią właśnie to samo. Choć na razie nikt do nas nie strzelił.

– Może zadziałały moje oświadczenia o niewinności?

– Może – odpowiedziała. – Od floty oddzieliły się dwa małe statki,

lecą na kursie do przechwycenia cię. *Ros* nazywa je szalupami abordażowymi.

– Szlag, wysłali za mną marines?

– Rozpędzili się do granicy prędkości, ale *Ros* mówi, że wylądujesz na stacji, zanim cię dogonią. *Tuż* przed tym.

– Szlag – skomentował Holden. – Mam głęboką nadzieję, że znajde drzwi.

– Stracili statek ONZ, ten drugi jest marsjański, więc może zabrali *Bobbie*. Ona może przypilnować, żeby byli dla ciebie mili.

– Nie – stwierdził Holden z westchnieniem. – Wybrali raczej takich, którzy wciąż są na mnie wkurzeni.

Świadomość bycia ściganym przez marines sprawiała, że swędziało go kark. Ponieważ był zamknięty w skafandrze kosmicznym, wydłużyło to tylko listę jego nierozwiązywalnych problemów.

– Mam też dobrą wiadomość. Zespół *Moniki* zostanie ewakuowany na *Behemota*.

– Nigdy jej nie lubiłaś.

– Owszem, nie bardzo.

– Dlaczego?

– Jej praca polega na wygrzebywaniu tego, co zakopane – odpowiedziała *Naomi* lekkim tonem, który prawie zamaskował jej niepokój. – A grzebanie w zagrzebanych sprawach prowadzi do bajzlu takiego, jak ten.

\* \* \*

Gdy Holden miał dziewięć lat, zmarł Rufus, ich labrador. Rufus był dorosłym psem, już kiedy Holden się urodził, więc chłopiec znał go tylko jako wielką, czarną i śliniącą się kulę miłości. Jedne z pierwszych samodzielnych kroków zrobił, trzymając się futra psa. Jako maluch biegał po ich farmie w Montanie, mając Rufusa za jedyną opiekunkę. Holden kochał psa z intensywnością wspólną tylko dzieciom i psom.

Jednak kiedy on miał dziewięć lat, Rufus miał piętnaście, co było

podeszłym wiekiem dla tak dużego psa. Zwierzak zwolnił. Przestał biegać z Holdenem, ledwie potrafiąc zebrać się do truchtu, a potem już tylko chodził powoli. Przestał jeść. A pewnej nocy położył się na boku obok podłogowej kratki ogrzewania i zaczął dyszeć. Mama Elise powiedziała mu, że Rufus prawdopodobnie nie przeżyje do rana, a nawet jeśli da radę, rano będą musieli wezwać weterynarza. Holden ze łzami w oczach przysiągł zostać przy boku psa. Przez pierwsze kilka godzin trzymał głowę Rufusa na kolanach i płakał, gdy pies oddychał z wysiłkiem i od czasu do czasu bez przekonania machał ogonem.

Koło trzeciej nad ranem, wbrew swojej woli i wszystkich dobrych myśli na swój temat, Holden zaczął się nudzić.

Była to lekcja, której nigdy nie zapomniał. Ludzie mieli ograniczony zapas energii emocjonalnej. Niezależnie od tego, jak intensywne były uczucia albo jak emocjonująca sytuacja, nie dało się w nieskończoność utrzymywać napiętych emocji. W końcu człowiek się męczył i chciał tylko, żeby to się już skończyło.

Przez pierwsze godziny lotu w stronę błękitnej stacji Holden czuł zachwyt bezkresem otaczającej go pustej, bezgwiazdnej przestrzeni. Czuł lęk przed tym, czego mogła od niego chcieć protomolekuła, strach przed lecącymi za nim marines, obawę przed dokonaniem błędnego wyboru i że po dotarciu na stację niczego nie znajdzie. Najbardziej ze wszystkiego bał się, że nigdy więcej nie zobaczy Naomi i swojej załogi.

Jednak po czterech godzinach samotności w skafandrze nawet strach się wypalił. Po prostu chciał, żeby już było po wszystkim.

Mając wokół siebie nieskończoną i nieprzerwaną czerń oraz jedyne światło dochodzące z niebieskiej kuli bezpośrednio przed sobą, łatwo było mu odnieść wrażenie, że znajduje się w jakimś olbrzymim tunelu i powoli porusza się w stronę wyjścia. Ludzki umysł nie radził sobie za dobrze z nieskończonymi przestrzeniami. Pragnął ścian, horyzontów, ograniczeń. W razie potrzeby mógł je sobie wygenerować.

Skafander zapiszczał, informując, że czas uzupełnić zapas tlenu. Wyciągnął zapasową butlę z sieci przypiętej do plecaka manewrowego i podłączył ją do gniazda skafandra. Manometr na wyświetlaczu hełmu wrócił do poziomu czterech godzin i tam się

zatrzymał. Następne uzupełnianie przeprowadzi na stacji lub pod kontrolą Marsjan.

Tak czy inaczej nie będzie już sam, a ta myśl przyniosła mu ulgę. Zastanawiał się, co jego matki pomyślałyby o tym wszystkim, czy zaaprobowałyby jego wybory, jak mogłyby zorganizować psa dla swoich dzieci, skoro Naomi nie mogłaby żyć na dnie studni grawitacyjnej. Jego uwaga wędrowała wraz z myślami.

\* \* \*

Obudziło go ostre brzęczenie i przez kilka sekund machał ręką w pustej przestrzeni, próbując wyłączyć budzik. Kiedy w końcu otworzył sklezione snem oczy, zobaczył na wyświetlaczu ostrzeżenie przed zderzeniem. W jakiś sposób zdołał zasnąć i obudził się dopiero kilka kilometrów od stacji.

Z tej odległości rozciągała się jak zakrzywiona ściana metalicznego błękitu, jarząc się wewnętrznym światłem. Nie błyskały żadne alarmy promieniowania, więc cokolwiek wywoływało świecenie, zdaniem skafandra nie stwarzało dla niego zagrożenia. Na wyświetlaczu hełmu przewijał się program lotu napisany przez Aleksa, odliczając do chwili, gdy będzie musiał wykonać trwającą minutę hamowanie. Machanie ręką zaraz po obudzeniu nadało mu łagodną rotację, więc program wyświetlał monit o zgodę na dokonanie korekty kursu. Jako że bezwzględnie ufał Aleksowi w zakresie nawigacji, pozwolił, by skafander automatycznie przeprowadził lądowanie.

Po kilku krótkich impulsach sprężonego gazu leciał odwrócony twarzą do czerni, mając kulę za plecami. Potem zaczęło się trwające minutę hamowanie, które zwolniło jego lot do łagodnego pół metra na sekundę do lądowania. Kopnięciem włączył magnesy butów, nie wiedząc, czy w czymś pomogą – kula wyglądała na zrobioną z metalu, ale to nie znaczyło wiele – i odwrócił się.

Ściana błękitu była niecałe pięć metrów od niego. Holden zgiął kolana, szykując się na wstrząs uderzenia o powierzchnię i mając nadzieję, że zdoła pochłonąć dość energii, by się nie odbić.

Półmetrowe odcinki przemykały co sekundę trwającą równocześnie za długo i za krótko. Mając tylko metr do uderzenia, uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech, więc wypuścił wstrzymywane powietrze.

– No to jedziemy – powiedział w przestrzeń.

– Hej, szefie? – W fali szumów zabrzmiał głos Aleksa.

Zanim Holden odpowiedział, powierzchnia kuli rozsunała się jak przesłona i połknęła go.

\* \* \*

Po przeleceniu przez bramę do wnętrza kuli Holden wylądował na łagodnie zakrzywionej podłodze pomieszczenia w kształcie odwróconej kopuły. Ściany miały metalicznie błękitny kolor typowy dla zewnętrznej powierzchni kuli, a tekstura powierzchni przypominała mech, wszędzie zdawały się migotać maleńkie lampki przypominające świetliki. Skafander zgłosił obecność rzadkiej atmosfery składającej się głównie ze związków benzenu i neonu. Przesłona na suficie znowu się zamknęła, a jego gładka powierzchnia nie wykazywała żadnego śladu widocznego jeszcze przed chwilą otworu.

Miller stał kilka metrów od miejsca lądowania Holdena, w wymiętym szarym garniturze i w kapeluszu – równocześnie zwyczajnymi i egzotycznymi przez niezwykle otoczenie. Wyglądało na to, że zupełnie nie przeszkadza mu brak nadającego się do oddychania powietrza.

Holden rozprostował kolana i z zaskoczeniem odkrył coś w rodzaju oporu ciężenia. Znał ciężenie wirowe i ciężenie ciągu oraz naturalną grawitację planet, tutaj plecak manewrowy ciążył mu na plecach, ale odbierał to inaczej, prawie jakby coś dopychało go z góry, zamiast przyciągania podłoża.

– Hej, szefie? – powtórzył Aleks z nutą niepokoju w głosie.

Miller uniósł rękę gestem sugerującym, że nie ma nic przeciwko. Niema zgoda na udzielenie odpowiedzi.

– Odbieram cię, Aleks. Mów.

– Kula właśnie cię połknęła – poinformował Aleks. – Wszystko w porządku?

– Tak, żadnych problemów. Ale odezwałeś się, zanim wleciałem. Co się dzieje?

– Chciałem cię tylko ostrzec, że towarzystwo jest cholernie blisko. Możesz się ich spodziewać za jakieś pięć minut.

– Dzięki za wiadomość. Mam nadzieję, że Miller ich nie wpuści.

– Miller? – zapytali równocześnie Aleks i Naomi. Musiała monitorować ich rozmowę.

– Zgłoszę się, gdy będę wiedział coś więcej – odpowiedział Holden i sapnął, kończąc zdejmować plecak.

Spadł na podłogę z łomotem, co było dziwne.

Holden włączył zewnętrzne głośniki skafandra i powiedział testowo.

– Miller? – Usłyszał, jak dźwięk jego głosu odbija się od ścian wokół sali. Atmosfera nie powinna być dość gęsta na coś takiego.

– Cześć – odpowiedział Miller głosem niestłumionym przez skafander, jakby stali razem na pokładzie *Rosa*. Wolno kiwnął głową, z twarzą smutnego basseta, wykrzywioną w coś podobnego do uśmiechu. – Lecą tu inni. Są z tobą?

– Nie, nie ze mną – odpowiedział Holden. – To szalupa pełna marsjańskiego zwiadu marines, którzy lecą tu, żeby mnie aresztować. Albo od razu zastrzelić. To skomplikowane.

– Widzę, że beze mnie poznałeś nowych kolegów – skomentował Miller rozbawionym głosem.

– Jak ci leci? – zapytał Holden. – Wydajesz się bardziej... spójny niż zwykle.

Miller wykonał krótki pasiarski gest wzruszenia ramion.

– Co masz na myśli?

– Zwykle gdy rozmawiamy, wygląda to tak, jakby docierała tylko połowa sygnału.

Brwi starego detektywa powędrowały do góry w zaskoczeniu.

– Już mnie widziałeś?

– Wielokrotnie w ciągu mniej więcej ostatniego roku.

– Hm, to dość niepokojące – skomentował Miller. – Jeśli chcą do



ciebie strzelać, lepiej ruszajmy.

Miller zniknął i pojawił się ponownie na skraju przypominającej mech ściany. Holden poszedł za nim, z ciałem walczącym z przyprawiającym o mdłości poczuciem równoczesnej nieważkości i bycia ciężkim. Kiedy się zbliżył, zobaczył spirale w mchu na ścianach. Widział coś podobnego już wcześniej w obecności protomolekuły, ale te były bardzo bujne. Złożone, bogate i głębokie. Przez ścianę przebiegła fala jak po wrzuceniu kamienia do stawu i pomimo posiadania własnego, hermetycznego zapasu powietrza, Holden wyczuł coś przypominającego skórki pomarańczy na deszczu.

– Hej – rzucił Miller.

– Przepraszam – odpowiedział Holden. – Co jest?

– Lepiej się pośpieszmy – zasugerował truposz. Gestem wskazał w stronę czegoś, co wyglądało jak zagięcie dziwnego mchu, jednak gdy Holden się zbliżył, zobaczył za nim szczelinę. Otwór wyglądał na brzegach miękko jak ciało i lśnił czymś. Płakał.

– Gdzie idziemy?

– Głębiej – odpowiedział Miller. – Skoro już tu jesteśmy, pewnie powinniśmy coś zrobić. Choć muszę ci powiedzieć, że masz solidne jaja.

– Dlaczego? – zapytał Holden, przesuwając ręką po ścianie. Do palców skafandra przywarła warstwa śluzu.

– Że tu przyleciałeś.

– Ty mi kazałeś – oburzył się Holden. – Sam mnie tu sprowadziłeś. Razem z Julie.

– Nie chcę rozmawiać o tym, co stało się z Julie – powiedział nieżywy.

Holden wszedł za nim do wąskiego tunelu. Jego ściany były gładkie i organiczne. Przypominało to czołganie się przez głęboką jaskinię lub gardło wielkiego zwierzęcia.

– Zdecydowanie mówisz sensowniej niż zwykle.

– Są tu narzędzia – powiedział Miller. – One nie... nie są prawidłowe, ale przynajmniej tu są.

– Czy to znaczy, że wciąż możesz powiedzieć coś enigmatycznego i zniknąć w chmurce błękitnych świetlików?

– Prawdopodobnie.

Miller nie rozwijał tematu, więc Holden szedł za nim przez kilkadziesiąt metrów tunelem, aż po kolejnym skrucie Miller wyprowadził go do znacznie większego pomieszczenia.

– Uch, niezłe – zdołał powiedzieć.

Ponieważ podłoga pierwszego pomieszczenia i prowadzący od niego tunel skierowane były „w dół”, Holden sądził, że porusza się poziomo pod powierzchnią stacji. Co jednak nie mogło być prawdą, ponieważ pomieszczenie u wylotu tunelu miało sufit znacznie wyżej, niż byłoby to możliwe, gdyby Holden miał rację. Stacja rozciągała się z tunelu w olbrzymią, katedralną przestrzeń, długą na setki metrów. Ściany zbiegały się skosem do kopulastego sufitu, który w środku wznosił się dwadzieścia metrów nad podłogą. Po hali w pozornie losowych miejscach porozstawiane były dwumetrowej grubości kolumny z czegoś podobnego do niebieskiego szkła z czarnymi, rozgałęzionymi żyłami w środku. Kolumny pulsowały światłem, a każdej pulsacji towarzyszył poddźwiękowy impuls odczuwany przez Holden w kościach i zębach. Przywodziły na myśl olbrzymią, starannie kontrolowaną moc. Szepczącego olbrzymia.

– Cholera jasna – powiedział w końcu, gdy odzyskał oddech. – Mamy poważne kłopoty, prawda?

– Owszem – przyznał Miller. – Nie powinieneś być tu przylatywać.

Miller ruszył przez salę, a Holden pośpieszył, żeby za nim nadążyć.

– Czeka! – krzyknął. – Myślałem, że mnie tu chcesz!

Miller obszedł coś, co z daleka wyglądało na niebieski pomnik owada, ale z bliska okazało się wielką zbieraniną metalowych kończyn i wypustek, jak złożony do transportu mech budowlany. Holden spróbował odgadnąć przeznaczenie obiektu, ale po chwili się poddał.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytał Miller, idąc. – Nie wiesz, co jest w środku. Drzwi i kąty. Nigdy nie wchodź na miejsce zdarzenia, zanim się nie upewnisz, że nie ma tam nikogo, kto mógłby cię zastrzelić. Najpierw musisz sprawdzić pokój. Ale może będziemy mieli szczęście. Na razie. Choć nie zalecałbym powtarzania tego.

– Nie rozumiem.

Dotarli do miejsca, gdzie podłogę pokrywało coś przypominającego rżęski albo łodyżki roślin falujące łagodnie na nieistniejącym wietrze. Miller obszedł je dookoła, więc Holden starannie zrobił to samo. Kiedy przechodzili, spośród wypustek wzbiła się chmura świetlików i poleciała do otworu w suficie, gdzie zniknęła.

– W sektorze osiemnastym był taki nielicencjonowany burdel. Weszliśmy tam, spodziewając się zgarnięcia piętnastu, może dwudziestu ludzi. Albo nawet więcej. Weszliśmy do środka i okazało się, że było tam całkiem pusto – powiedział Miller. – Tylko nie dlatego, że się dowiedzieli o naszym rajdzie. Loca Griega usłyszała o tym miejscu i wysłała swoich ludzi, żeby je wyczyścili. Znalezienie ciał zajęło nam prawie tydzień. Według gości z laboratorium wszyscy dostali dwa strzały w głowę mniej więcej wtedy, gdy dopijaliśmy kawę przed wyjściem. Gdybyśmy byli trochę szybsi, trafilibyśmy na egzekucję. Nic tak nie mówi o przepieprzeniu, jak otwarcie drzwi do bandy dzieciaków, które chciały zarobić na szybko parę dolców na seksie, a zamiast tego odwiedził ich na powitanie zorganizowany oddział zabójców.

– Jaki to ma związek z czymkolwiek?

– To miejsce jest takie samo – wyjaśnił Miller. – Coś tu powinno być. Dużo czegoś. Powinno tu być... cholera, nie mam właściwych słów. Imperium. Cywilizacja. Dom. Coś więcej niż dom, *pan*. A zamiast tego jest mnóstwo zamkniętych drzwi i światła sterowane zegarem. Nie chcę, żebyś wlatywał na ślepo w środek czegoś takiego. Skopię ci tyłek.

– Co to, u diabła, ma znaczyć? – zapytał Holden. – Przecież to ty albo protomolekuła, Julie Mao czy cokolwiek, to ty to wszystko urządziłeś. Zlecenie, atak, wszystko.

To zatrzymało Millera. Odwrócił się ze zmarszczonym czołem.

– Julie nie żyje, chłopcze. *Miller* nie żyje. Ja jestem tylko maszyną do znajdowania zgubionych rzeczy.

– Nie rozumiem – wyznał Holden. – Jeśli ty tego nie zrobiłeś, to kto?

– Widzisz, *to* jest dobre pytanie, na kilku poziomach. W zależności od tego, co masz na myśli, mówiąc „to”. – Miller podniósł głowę jak pies łapiący nieznaną zapach na wietrze. – Twoi kumple tu są. Powinniśmy iść. – Ruszył szybszym krokiem w stronę odległej ściany

sali.

– Marines – odezwał się Holden. – Możesz ich zatrzymać?

– Nie – odpowiedział Miller. – Niczego nie chronię. Mogę powiedzieć stacji, że są zagrożeniem, ale to będzie miało swoje konsekwencje.

Holden poczuł ostry niepokój jak uderzenie w żołądek.

– To źle brzmi.

– Nie byłoby to dobre. Chodźmy. Jeśli mamy to zrobić, musimy trzymać się przed nimi.

Sale i korytarze rozszerzały się i zwężały, zbiegając i rozchodząc się od siebie jak naczynia krwionośne jakiegoś olbrzymiego organizmu. Światła skafandra Holdena zdawały się prawie gubić w potężnym mroku, a migotanie błękitnych świetlików nadchodziło falami i znów znikało. Po drodze minęli kolejne metaliczne, podobne do owadów konstrukcje.

– Co to jest? – zapytał Holden, wskazując na mijany właśnie, wyjątkowo duży i groźnie wyglądający model.

– To, co jest potrzebne – odpowiedział Miller, nie odwracając się.

– Świetnie, wróciliśmy do szyfrowania, co?

Miller odwrócił się gwałtownie z zatroskanym wyrazem twarzy i zniknął. Holden też się odwrócił.

Z drugiej strony wielkiej sali z tunelu wyłaniała się postać. Holden widział już kiedyś podobny kształt. Pancierz wspomagany marsjańskich marine składał się w równych częściach z wydajności i groźby.

Nie dało się przed nim uciec. Każdy w takim pancierzu mógł go dogonić, nawet się nie starając. Przełączył radio skafandra na otwartą częstotliwość.

– Hej! Tu jestem. Porozmawiamy o tym – powiedział, a potem ruszył w stronę grupy.

Wszystkich ośmiu marines jednym gestem uniosło broń i otworzyło ogień. Holden spał się, szykując się na śmierć, choć część jego umysłu zdawała sobie sprawę, że nie powinien mieć na to czasu. Z odległości, w której się znajdowali, pociski z ich karabinów i działek powinny dolecieć do niego w ułamku sekundy. Powinien być martwy na długo przed tym, zanim dotarł do niego dźwięk wystrzałów.

A jednak usłyszał gwałtowny i ogłuszający ryk strzelającej broni, choć nic go nie trafiło.

Przed marines utworzyła się niewyraźna chmura szarości. Kiedy w końcu przestali strzelać, chmura zaczęła dryfować w stronę ścian pomieszczenia. Pociski. Zatrzymały się o centymetry od luf karabinów i były teraz odciągane tak, jak obiekty na zewnątrz stacji.

Marines zerwali się do szybkiego biegu przez salę, a Holden spróbował przed nimi uciec. Na swój sposób byli piękni – śmiertelna potęga skafandrów ukształtowana latami treningu sprawiała, że ich bieg przypominał taniec. Nawet bez broni mogli go dosłownie rozerwać na kawałki. Jedno uderzenie pięści takiego pancerza połamałoby wszystkie jego kości i zmieniło wnętrze w miążgę. Mógł ocaleć tylko w jeden sposób – uciekając przed nimi, a na to nie miał szans.

Prawie nie zauważył ruchu, gdy w końcu nadszedł. Całkowicie skupił się na marines, na znanym zagrożeniu. Nie dostrzegł świadomie, że jedna z podobnych do owada rzeczy zaczęła się ruszać, gdy marines zwrócili się ku niej.

Ruchy obcej rzeczy były szybkie i szarpane, jak w mechanizmie sprężynowym, który potrafi działać tylko z pełną prędkością lub wcale. Maszyna z hałasem ruszyła w stronę marines, szarpiąc się przy każdym kroku, wznosząc się prawie metr ponad najwyższego z nich.

Spanikowali w sposób typowy dla ludzi przeszkolonych do spodziewania się paniki. Dwóch zaczęło strzelać z takim samym skutkiem jak wcześniej. Pancerz kolejnego marine wysunął coś na boku i pojawiła się tam lufa dużego kalibru. Holden uciekał jak najdalej od starcia. Był pewien, że wewnątrz pancerzy rozlegają się krzyki, ale nie miał dostępu do ich częstotliwości. Duża lufa rozbłysła białym ogniem wystrzału i w powietrzu poszybował wolno lecący kawał metalu wielkości pięści Holdena.

Granat.

Klikający potwór go zignorował, podchodząc bliżej marines, a granat wybuchł pod stopami owadopodobnej rzeczy, gdzie wylądował. Obce coś szarpnęło się do tyłu, machając kończynami i buchając pyłem z oderwanych kikutów jak dymem z grzybowych

zarodników. Złożony dywan mchu rozjarzył się pomarańczowymi ognikami w miejscach, gdzie przypalił go wybuch.

Wszędzie wokół marines obudziło się do życia kilkanaście kolejnych obcych rzeźb. Tym razem ruszały się szybciej. Zanim żołnierze mogli zareagować, ten, który wystrzelił granat, został łagodnie uniesiony do góry i rozerwany na pół. Krew trysnęła w powietrze, wisząc tam, zdaniem oślepiałego umysłu Holdena, za długo, zanim zaczęła powoli opadać ku podłożu. Pozostali marines zaczęli się wycofywać, kierując broń na obce stwory zbiegające się do zabitego. Żołnierze wrócili do tunelu, którym przyszli. Przegrupowali się.

Obce rzeczy opadły na uszkodzonego kolegę, rozrywając go i tnąc, niszcząc, jakby był wrogiem w równym stopniu, co Marsjanie. A potem, gdy już został zniszczony, pięć potworów zebrało się w spalonym miejscu wybuchu. Zadygotały, znieruchomiały, znowu zadygotały, a potem ze wszystkich pięciu na bliźnę trysnęły cienkie strumienie mętnej, żółtej mazi. Holden czuł równocześnie fascynację i obrzydzenie, obserwując, jak mech rozchodził się po substancji, odrastając, jakby wcale nie został uszkodzony. Jakby w ogóle nie doszło do ataku.

– Konsekwencje – odezwał się obok niego Miller. Brzmiał na zmęczonego.

– Czy oni... czy zmienili biednego drania w kit?

– Owszem – potwierdził Miller. – Ale należało mu się. Ten facet, który tak radośnie użył granatnika, właśnie zabił mnóstwo ludzi.

– Co? Jak?

– Pokazał stacji, że coś poruszającego się z prędkością piłeczki bejsbolowej też może stanowić zagrożenie.

– Stacja będzie się mścić?

– Nie – odpowiedział Miller. – Tylko się chronić. Dokona ponownej oceny możliwych zagrożeń i przejmie kontrolę nad wszystkimi statkami, które mogą stanowić problem.

– Co to w ogóle znaczy?

– To znaczy bardzo zły dzień dla bardzo wielu ludzi. Kiedy cię zwalnia, nie robi tego łagodnie.

Holden poczuł lodowatą rękę zaciskającą się na jego sercu.

– *Ros...*

Przez twarz detektywa przemknął wyraz żalu, może nawet współczucia.

– Może. Nie wiem – wyznał Miller, wzruszając ramionami. – Tak czy siak, właśnie zginęło mnóstwo ludzi.

# Rozdział dwudziesty trzeci

## *Melba*

Uratowała ją Julie. Nie dało się inaczej na to spojrzeć.

Tak jak się tego spodziewała, jej agent u Holdena wszystko wygadał. Odkryty Cohen powiedział wszystko, co wiedział, i dorzucił jeszcze do tego skradziony obraz. Melba miała go na swoim terminalu ręcznym: portret młodej kobiety w formie lodowej rzeźby. Nie wiedziała, że dźwiękowiec zarejestrował dane podczas spotkania, choć powinna była się tego domyślić. Z perspektywy czasu jej błąd był oczywisty.

To powinno było zakończyć sprawę: ludzie władzy powinni go zobaczyć, wzruszyć ramionami i wyrzucić ją przez śluzę. Tylko że do obrazu dołączono błędną interpretację. *Oto*, powiedział Holden, *Julie Mao*, i to właśnie wszyscy w niej zobaczyli. Różnice oczywiste dla niej były dla innych niewidoczne. Spodziewali się zobaczyć infiltrację i zagrożenie ze strony protomolekuły, więc to właśnie zobaczyli.

Zrobiła, co mogła, by nikt nie dostrzegł jej podobieństwa. Spotkała się z Cohenem na Ziemi, przy pełnym ziemskim ciężeniu. Ponieważ *Thomas Prince* leciał już z szybkością bliską granicznej w Pierścieniu, nie było ciężenia ciągu. Jej policzki wyglądały na pełniejsze, a twarz była bardziej zaokrąglona. Miała wtedy rozpuszczone włosy, więc teraz zebrała je w warkocz. Obraz był bezbarwny, nałożyła więc lekki makijaż, żeby zmienić kształt oczu i ust. Zrobienie czegoś radykalnego tylko przyciągnęłoby uwagę, więc ograniczyła się do drobnych rzeczy. Choć możliwe, że nawet to nie było potrzebne.

Na *Thomasie Prinsie* miała pełny harmonogram. Nie dawali jej –



żadnemu z techników – ani jednej wolnej chwili. Nie przeszkadzało jej to. Pomosty i tunele serwisowe były bezpieczne. Nie mogła tam trafić na nikogo, kto znał Clarissę Mao. W największym możliwym stopniu trzymała się z dala od publicznych części statku, dość często prosząc innych techników o przyniesienie tubki czegoś do jedzenia z cywilnego baru.

W czasie wolnym tworzyła swój arsenał.

Na razie Holden był poza jej zasięgiem, co było prawie zabawne. Włożyła tyle wysiłku w sprawienie, żeby wydał się zadufanym w sobie, zatwardziałym megalomanem, a kiedy pozostawiła go samemu sobie, uznał się za *de facto* ambasadora rasy ludzkiej. Julie oszukała i jego. Przy odrobinie szczęścia zginie w strzelaninie lub zostanie zabity przez protomolekułę. Jej zadanie ograniczy się do zniszczenia dowodów na niewinność Holdena. Co nie będzie trudne.

*Rosynant* rozpoczął służbę jako korweta eskortowa pancernika *Donnager*. Był dobrze zaprojektowany i zbudowany, ale też minęły już lata od ostatniej modernizacji. Słabości jego obrony były dość proste. Drzwi towarowe w pobliżu reaktora zostały uszkodzone i naprawione, w związku z czym prawie na pewno były słabsze od oryginalnych. Przednia śluza została pierwotnie zbudowana z usterką oprogramowania, co czyniło ją podatną na hakowanie – prawdziwe okręty marsjańskie zostały już dawno zaktualizowane, ale Holden mógł tego nie zauważyć.

Jej podstawową nadzieją była śluza. Do jej schowka trafił nadajnik dostępowy krótkiego zasięgu, zaprojektowany do wyszukiwania problemów w wadliwych śluzach. Jeśli to zawiedzie, dostanie się przez drzwi towarowe będzie trudniejsze. Miała nadzieję na zdobycie jakichś materiałów wybuchowych, ale *Thomas Prince* bardzo poważnie traktował swoją amunicję. Z drugiej strony manifest wyposażenia obejmował mechy egzozkieletowe. Zakładało się je na tors i ręce – nie były zaprojektowane na nogi – i oferowały palnik umożliwiający naruszenie struktury w dostatecznym stopniu, by użyć wspomaganego do odgięcia płyt. Były też dostatecznie małe i lekkie, by dało się je nieść, a jej karta dostępu miała dostateczny poziom, by system pozwolił jej zabrać jednego.

Gdy dostanie się do środka, później będzie już łatwo. Zabić wszystkich, doprowadzić do przeciążenia reaktora i wysadzić statek na atomy. Przy choćby odrobinie szczęścia ożywi to podejrzenia dotyczące bomby na *Seung Un*. Jeśli uda się jej wydostać, to dobrze, jeśli nie, to nie.

Jedynie problemy polegały na dotarciu tam i odczekaniu wraz ze wszystkimi innymi na to, co stanie się na stacji.

\* \* \*

Spała, gdy nastąpiła katastrofa.

Śniło jej się, że chodzi po polu przed szkołą. Wiedziała, że szkoła płonie i musi znaleźć jakiś sposób na dostanie się do środka. Usłyszała syreny straży pożarnej, ale na niebie nie pojawiły się ciemne kształty. Wewnątrz byli uwięzieni ludzie, a ona powinna się do nich dostać, żeby ich uwolnić, uniemożliwić im ucieczkę albo obie te rzeczy naraz.

Była na dachu, wchodząc przez dziurę. Dym kłębił się wszędzie wokół, ale mogła swobodnie oddychać, bo została uodporniona na płomienie. Opuściła się w dół, dotykając palcami uchwytów do niskiego ciężenia. Uświadomiła sobie, że ktoś chwycił ją za nadgarstek i pomaga jej w zejściu do ciemności i ognia. Ren. Nie potrafiła na niego spojrzeć. Żal i poczucie winy wezbrały w niej jak powódź i spadła do oświetlonego na niebiesko baru z pryzkami przeciążeniowymi w miejscach, gdzie powinny być stoły. Kilka par jadło obiad, rozmawiało i pieprzyło się w półmroku wokół. Mężczyzna po drugiej stronie pryczy był równocześnie Holdenem i jej ojcem. Próbowwała się odezwać, powiedzieć, że nie chciała tego zrobić. Mężczyzna chwycił ją za ramiona i zaczął wciskać w miękki żel. Przez chwilę bała się, że się na niej położy, ale uderzył ją pięścią w mostek z morderczą siłą i obudziła się przy dźwiękach klaksonów i kroplach krwi unoszących się w powietrzu.

Ból w całym ciele był tak potężny i niewytłumaczalny, że wcale nie wydawał się bólem, po prostu był wrażeniem, że coś jest źle. Zakaszłała, tryskając fontanną krwi do kabiny. Pomyślała, że w jakiś

sposób we śnie aktywowała sztuczne gruczoły, że coś stało się tylko z nią, ale alarmy statku sugerowały, że było to coś gorszego. Sięgnęła po swój terminal ręczny, ale nie znalazła go w uchwycie. Zobaczyła, że unosi się metr od drzwi, wirując w powietrzu. Rozchodzące się gwiazdziście pęknięcie w żywicznej obudowie zdradzało miejsce, którym uderzył w coś na tyle mocno, by ulec uszkodzeniu. Dostęp do sieci wyświetlał jaskrawoczerwony pasek. Brak statusu. System nie działa.

Melba przesunęła się do drzwi i otworzyła je.

Martwa kobieta unosząca się w korytarzu miała ręce przed sobą i włosy falujące jak u topielca. Lewa strona jej twarzy miała dziwny kształt, bardziej miękkiej i zaokrąglonej, a do tego niebieskawej. Jej oczy były na wpół otwarte, białka były czerwone od pękniętych żyłek. Melba przepchnęła się za trupa. Dalej w głębi korytarza w powietrzu powoli unosiła się kula krwi wielkości piłki do futbolu, dryfując powoli w stronę kratki wlotu powietrza bez żadnych wskazówek, skąd się tu wzięła.

Na szerszych korytarzach bliżej środka okrętu sytuacja wyglądała gorzej. Ciała unosiły się w każdych drzwiach i każdym przejściu. Wszystko, co nie było przynitowane, wisiało teraz przy ścianach, rzucone w stronę dziobu. Miękkie, szare ściany pełne były wgnieceń w miejscach, gdzie uderzyły w nie ręczne terminale, narzędzia i głowy. Powietrze pachniało krwią i jeszcze czymś; czymś głębszym i bardziej intymnym.

Przed barem troje żołnierzy używało pianki uszczelniającej do mocowania ciał do ścian, żeby nie przeszkadzały. W ciężeniu po prostu zbieraliby trupy na stos, jak drewno.

– Nic ci nie jest? – zapytała jedna z nich.

Melba potrzebowała sekundy na zrozumienie, że kobieta mówi do niej.

– Nie – odpowiedziała. – Co się stało?

– Kto to, kurwa, wie? Jesteś technikiem konserwacji, tak? – zapytała ostro kobieta.

– Tak – potwierdziła. – Melba Koh. Elektrochemia.

– No to zabieraj tyłek do środowiskowego, Koh – rzuciła kobieta. –

Pewnie cię tam potrzebują.

Melba kiwnęła głową, co sprawiło, że zaczęła się obracać do chwili, gdy kobieta wysunęła rękę, żeby ją zatrzymać.

Nigdy jeszcze nie uczestniczyła w bitwie ani nie była na miejscu katastrofy naturalnej. Najbliższy takiemu doświadczeniu był huragan, który uderzył w São Paulo, gdy miała osiem lat, a ojciec ukrył rodzinę w schronach korporacyjnych do czasu, aż zeszła powódź. Więcej zniszczeń widziała na ekranie wiadomości niż na żywo. *Thomas Prince* był obrazem piekła. Mijała grupki pracujących gorączkowo ludzi, ale wszędzie pełno było martwych i umierających. Krople krwi i kawałki strzaskanego plastiku tworzyły chmury w miejscach, gdzie zbierały je prądy powietrza. W nieważkości krew zbierała się na ranach i nie chciała spływać. Stany zapalne były dużo gorsze. Płuca łatwiej napełniały się płynem. Niezależnie od tego, ilu już zginęło, umrze ich jeszcze więcej. Wkrótce. Gdyby nie spała w pryczy przeciążeniowej, zostałaby rzucona na ścianę z prędkością pięciuset metrów na sekundę, jak wszyscy inni. Nie, to nie mogło być prawdziwą liczbą. Czegoś takiego nikt by nie przeżył.

Nie spędzała dotąd wiele czasu na pokładach ze sprzętem do kontroli środowiska. Większość pracy wykonywanej wcześniej ze Stannim i Soledad dotyczyła sterowania zasilaniem. Systemy powietrza i wody miały własnych techników o specjalizacji wyższej od niej. Architektura pomieszczeń sprawiała, że wszystko było blisko siebie, choć równocześnie nie były tak zatłoczone, jak na *Cerisierze*. Wleciała do środka z poczuciem ulgi, jakby dotarcie do celu było równocześnie jakimś wewnętrznym osiągnięciem. Jakby zapewniło jej pewien poziom kontroli.

Powietrze pachniało ozonem i przypalonymi włosami. Młody mężczyzna z twarzą pokrytą czarnofioletowymi siniakami został przymocowany do ściany kawałkiem liny i dwoma elektromagnesami. Machał czymś podobnym do szczotki, z wielką siatką z tkaniny na końcu, jak olbrzymią packą na muchy. Zbierał krew z powietrza. Jego uszkodzona twarz była beznamiętna, pogrążona w szoku. Jego oczy pokrywała rosnąca warstwa łez, oślepiając go.

– Ty! Kim ty, u diabła, jesteś?

Melba się odwróciła. Nowy mężczyzna miał na sobie mundur floty, a jego prawa noga była unieruchomiona nadmuchiwany usztywnieniem. Stopa wystająca z drugiego końca była fioletowosina, a jego oddech brzmiał na wysiłony w sposób przywodzący na myśl zapalenie płuc na skutek wewnętrznego krwotoku.

– Melba Koh. Cywilny technik elektrochemii z *Cerisiera*.

– Kto jest twoim szefem?

– Kierownikiem grupy jest Mikelson – odpowiedziała, z wysiłkiem przypominając sobie jego nazwisko. Spotkała go tylko raz i nie wywarł na niej większego wrażenia.

– Jestem Nikos – przedstawił się mężczyzna ze złamaną nogą. – Teraz pracujesz dla mnie. Chodź.

Odepchnął się sprawniej niż powinno być to możliwe. Poleciała za nim trochę za szybko i musiała złapać uchwyt, żeby nie wpaść mu na plecy. Zaprowadził ją przez długi korytarz do hali technicznej. Przy jednej ze ścian stała olbrzymia bateria metalowych i ceramicznych arkuszy z wymalowanymi wzdłuż boków ostrzeżeniami w ośmiu językach. Ślady spalenizny odmalowały kręgi na najbardziej zewnętrznej płycie, a powietrze śmierdziało spaloną plastiką i czymś jeszcze. Na środku płyty wybito dziurę średnicy ponad pół metra, w której wciąż tkwiło ludzkie ciało utrzymywane na miejscu kawałkami metalu.

– Wiesz co to za miejsce, Koh?

– Przetwórnica powietrza – odpowiedziała.

– To główna jednostka przetwarzania powietrza – powiedział, jakby się nie odzywała. – A to cholernie wielki problem. Przetwórnica zapasowa ciągle jeszcze się pali, a zapasy trzeciego rzutu dadzą nam tylko jakieś siedem godzin. Wszyscy w moim zespole są unieruchomieni albo nie żyją, więc będziesz musiała odbudować to tutaj. Rozumiesz?

Nie potrafię tego, pomyślała. Tak naprawdę nie jestem technikiem elektrochemii. Nie wiem, jak to zrobić.

– Ja... wezmę swoje narzędzia.

– Nie będę cię zatrzymywał – rzucił. – Jeśli znajdę kogoś, kto będzie mógł pomóc, przyślę go tu.

– Byłoby świetnie – odparła. – A co z panem? Wszystko w porządku? Może panu pomóc?

– Tak na oko? Zmiażdżona miednica, może nawet coś gorszego w trzewiach. Co chwilę tracę przytomność – odpowiedział z krzywym uśmiechem. – Ale naćpałem się po same uszy amfą z apteczki i jest robota do zrobienia. Więc leć.

Odepchnęła się. Ścisnęła ją w gardle i czuła, jak jej umysł zaczyna się wyłączać. Przeładowanie. Szok. Przedostała się przez jatkę i zniszczenia do ładowni, gdzie znajdowały się skrzynki z narzędziami z *Cerisiera*. Jej karta pozwoliła je otworzyć. Jedna się roztrzaskała, z pozostałościami zestawu do testów unoszącymi się w powietrzu: odłamki zielonej ceramiki i kawałki złotego drutu. Był tam Ren, jego skrzynia trumienna przesunęła się pomimo zacisków elektromagnetycznych. Przez chwilę ogarnął ją sen o pożarze. Zaczęła się zastanawiać, czy może wciąż śni, a fala śmierci wokół jest tylko częścią mroku czającego się w jej mózgu. Położyła dłoń na skrzynce z Renem, prawie spodziewając się, że zapuka. Dopadły ją nagle zawroty głowy wywołane wrażeniem, że spada razem ze statkiem, który na niej wyląduje. Zmiażdży ją. Cała ta krew i przerażenie, wszystkie trupy unieruchomione, by nie unosiły się w powietrzu, to wszystko zaczęło się tutaj. Każdy popełniony przez nią grzech, wstecz i w przód strumienia czasu, miał swój początek i centrum w kościach pod jej dłonią.

– Przestań – powiedziała. – Po prostu przestań.

Zabrała swoją starą skrzynkę, tę prawdziwą, i ruszyła do maszynowni i roztrzaskanego sterownika przetwarzania powietrza. Nikos znalazł jeszcze dwie osoby: mężczyznę w cywilnym ubraniu i starszą kobietę w mundurze floty.

– Jesteś Koh? – odezwała się kobieta. – Dobrze, chwyć go za nogi.

Melba przyczepiła skrzynkę magnesami do podłogi, a potem przepchnęła się do dziury w procesorze powietrza. Urządzenie zostało obluźwane w obudowie, dając ciału trochę więcej swobody do poruszenia. Chwyciła biodra martwego mężczyzny, ściskając w pięściach jego spodnie. Zapała się o metalową obudowę urządzenia.

– Gotowa? – zapytał mężczyzna.

– Gotowa.

Kobieta odliczyła do trzech i Melba pociągnęła. Przez dłuższą chwilę sądziła, że ciało się nie ruszy, ale coś się rozerwało, co odczuła jako wibracje w dłoniach. Ciało się wysunęło.

– Jeden punkt dla dobrych ludzi – skomentował Nikos. Jego twarz zaczynała się robić szara, jakby umierał.

Pomyślała, że powinien iść do ambulatorium, ale tam pewnie były już tłumy. Mógł umrzeć, wykonując swoją pracę albo czekając na wolne stanowisko medyczne.

– Odsuńcie go. Wynieście na zewnątrz, nie chcemy, żeby podleciał tu z powrotem.

Melba przytaknęła, chwyciła mocno i odepchnęła się po trajektorii, która powinna doprowadzić ją do przeciwległej ściany. Tył głowy trupa został zgnieciony prawie na płasko, ale śmierć nadeszła tak szybko, że prawie nie było krwi. Przy ścianie zamocowała go porcją pianki i trzymała przez chwilę, czekając, aż ta stwardnieje. Twarz trupa znalazła się blisko jej twarzy. Zobaczyła włoski, które pominął przy goleniu. Brząz pustych oczu. Poczula nagle pragnienie pocałowania go, ale odepchnęła je od siebie zniesmaczona.

Sądząc po mundurze, był oficerem. Chyba porucznikiem. Biała karta identyfikacyjna wisząca na jego szyi zawierała zdjęcie z poważnym wyrazem twarzy. Chwyciła ją palcami. Nie porucznik, komandor podporucznik. Komandor podporucznik Stepan Arsenau, który nigdy nie wleciałby do Pierścienia, gdyby nie ona. Który by tu nie zginął. Próbowała poczuć winę, ale nie miała na nią w sobie wolnego miejsca. Miała na rękach już za dużo krwi.

Wyciągnęła rękę, żeby umieścić jego kartę na miejscu, gdy odezwał się cichy głos w jej głowie. *Założę się, że to pozwoli mi wziąć próżniowy plecak manewrowy.* Melba zamrugnęła. Jej umysł nagle odzyskał klarowność i rozejrzała się wokół, czując, jak jej głowę opuszczają resztki snu czy delirium. Miała dostęp do całego potrzebnego jej sprzętu. Na statku panował chaos. To było to. Okazja, na którą czekała. Zerwała kartę ze smyczy i schowała ją do kieszeni, a potem rozejrzała się wokół nerwowo.

Nikt nie zauważył.

Oblizwała wargi.

– Będę potrzebował czegoś do rozbicia tego – mówił młody mężczyzna. – Ścięło nakrętkę śruby, nie wydostanę jej.

Starsza kobieta zaklęła i odwróciła się do niej.

– Masz coś, co pomoże?

– Nie tutaj – odpowiedziała. – Ale wiem, gdzie można znaleźć coś do rozwiercenia.

– Idź szybko, nie chcemy, żeby zepsuło się nam tu powietrze.

– Dobrze. Róbcie, co możecie, a ja zaraz wrócę – skłamała Melba.



# Rozdział dwudziesty czwarty

## *Anna*

Eschatologia od zawsze była dla Anny najmniej lubianym działem teologii. Zapytana o Armagedon mówiła wiernym, że sam Bóg dość niejasno wyrażał się na ten temat, więc nie miało sensu zbytnio się tym przejmować. Powinniście wierzyć, że Bóg robi to, co najlepsze, a uniknięcie Jego gniewu wobec niegodziwych powinno być najmniej rozsądnym uzasadnieniem wiary.

Jednak prawdę mówiąc, zawsze głęboko nie zgadzała się z większością futurystycznych i milenarystycznych interpretacji. Oczywiście, nie w zakresie samej teologii, ponieważ ich przypuszczenia dotyczące prawdziwego znaczenia końca czasu były równie dobre, jak każdego innego. Jej sprzeciw dotyczył głównie poziomu radości ze zgładzenia niegodziwych, co czasem objawiało się w ich naukach. Było to szczególnie zauważalne w niektórych milenarystycznych sektach zapełniających literaturę obrazami Armagedonu. Obrazy przerażonych ludzi uciekających przed jakimś bezkształtnym, ognistym zniszczeniem wypalającym świat za nimi, podczas gdy zadowoleni z siebie wierni – oczywiście właściwego wyznania – przyglądali się z bezpiecznego miejsca, jak Bóg wymierza karę. Anna nie potrafiła zrozumieć, jak ktokolwiek mógł widzieć w czymś takim coś innego niż tragedię.

Żałowała, że nie może im pokazać *Thomasa Prince'a*.

Czytała, gdy to się stało. Terminal ręczny spoczywał na jej piersi oparty o poduszkę, a ręce złożyła za głowę. Zabrzmiał trójtonowy

alarm wysokiego ciężenia, ale był spóźniony. Była już wgniatana w pryczę przeciążeniową tak mocno, że czuła plastik podstawy pryczy nawet przez dwadzieścia centymetrów żelu uderzeniowego. Wydawało się, że trwa to w nieskończoność, choć pewnie było to tylko kilka sekund. Terminal ręczny zjechał po piersi, nagle cięższy od Nami, gdy ostatni raz przytulała córkę. Zostawił po sobie czarnofioletowy pas siniaków na żebrach i uderzył w szczękę tak mocno, że rozbił skórę. Poduszka wgniotła się jej w brzuch jak dziesięciokilowy worek z piaskiem, wciskając jej w usta smak kwasu żołądkowego.

Ale najgorszy był ból ramion. Obie ręce szarpnęły się do tyłu, rozgniatając się płasko na łóżku, wyskakując ze stawów. Kiedy upłynęły ciągnące się w nieskończoność sekundy hamowania, oba stawy wskoczyły na miejsce z bólem jeszcze gorszym niż przy wyskakiwaniu. Prycza żelowa poddana obciążeniu przekraczającemu założenia projektowe nie utrzymała jej tak, jak powinna. Zamiast tego gwałtownie powróciła do wcześniejszego kształtu, wyrzucając ją powolnym ruchem w stronę sufitu kabiny. Próba osłonięcia się rękami wywołała pioruny bólu w ramionach, więc poszybowała do góry i uderzyła w sufit twarzą. Jej podbródek zostawił smugę krwi na pokrytej tkaniną piance.

Anna była osobą łagodną z natury. Nigdy w życiu nie uczestniczyła w bójce. Nigdy nie miała poważniejszego wypadku. Najsilniejszym bólem, jakiego doznała do tej pory, był poród, ale uwolnione zaraz potem endorfiny prawie wymazały go z jej pamięci. Odczucie nagłego i tak silnego bólu w tyłu miejscach jednocześnie sprawiło, że poczuła się oszołomiona i pełna gniewu, który bezskutecznie szukał ujścia. Takie cierpienie jednej osoby nie było sprawiedliwe. Miała ochotę wrzeszczeć na pryczę przeciążeniową, która zdradziła ją, dopuszczając do czegoś takiego, i uderzać sufit za walnięcie jej w twarz, choć jeszcze nigdy w życiu nikogo nie uderzyła i ledwie potrafiła ruszać rękami.

Kiedy w końcu mogła się ruszyć, nie czując zawrotów głowy, zaczęła szukać pomocy i odkryła, że korytarz przed jej kabiną wyglądał dużo gorzej.

Zaledwie kilka metrów od jej drzwi został zmiażdżony młody mężczyzna. Wyglądał jakby jakiś złośliwy gigant nadepnął na niego, a potem rozsmarował podszwą. Chłopak był nie tylko rozbity, lecz także skręcony i rozerwany tak bardzo, że trudno w nim było rozpoznać człowieka. Jego krew spryskała podłogę i ściany, unosząc się wokół trupa w czerwonych kulach jak koszarne ozdoby gwiazdkowe.

Anna zawołała o pomoc. Ktoś odkrzyknął głosem, pełnym płynu i bólu. Ktoś w głębi korytarza. Anna ostrożnie odepchnęła się od klamki swoich drzwi i poszybowała w stronę głosu. Dwie kabiny dalej kolejny mężczyzna był w połowie wewnątrz, w połowie poza swoją pryczą przeciążeniową. Musiał właśnie wstawać z łóżka, gdy nastąpiło hamowanie i wszystko od miednicy w dół miał skręcone i połamane. Jego tors leżał na łóżku z rękami machającymi do niej słabo i twarzą wykrzywioną w bólu.

– Pomóż – poprosił i wykaszał porcję krwi i śluzu, która uniosła się w zielonoczerwonej kuli.

Anna przesunęła się na tyle wysoko, by wcisnąć panel łączności na ścianie bez potrzeby unoszenia ramienia. Nie działał. Świeciły wszystkie kontrolki, które według szkolenia na pokładzie oznaczały awarie zasilania. Chyba nic innego też nie działało.

– Pomóż – powtórzył mężczyzna. Tym razem jego głos był słabszy i bardziej chrapliwy od płynu. Anna rozpoznała Alonza Guzmana, słynnego poetę z Ameryki Południowej. Ktoś jej powiedział, że to ulubieniec sekretarza generalnego.

– Pomogę – powiedziała Anna, nie próbując nawet powstrzymać nagle zbierających się łez. – Pójdę kogoś poszukać – powiedziała po wytarciu oczu ramieniem. – Mam uszkodzone ręce, ale znajdę kogoś.

Mężczyzna zaczął cicho łkać. Anna stopami wypchnęła się z powrotem na korytarz, dryfując pośród zniszczeń w poszukiwaniu kogoś sprawnego.

To była ta część, której milenaryści nigdy nie umieszczali na swoich obrazach.

Uwielbiali sceny prawego Boga wymierzającego karę grzesznej ludzkości. Kochali pokazywać wybranych przez Niego, bezpiecznych

od krzywd, obserwujących z radosnymi twarzami swoje wywyższenie i nieszczęście innych. Ale nigdy nie pokazywali skutków. Nigdy nie pokazywali płaczących, zmiażdżonych i umierających w kałużach własnych płynów. Młodych ludzi zgniecionych w sterty czerwonego mięsa. Młodej kobiety przeciętej na pół, bo przechodziła przez właz, gdy nastąpiła katastrofa.

To właśnie był Armagedon, tak właśnie wyglądał. Krew, rozerwane ciała i wołania o pomoc.

Anna dotarła do skrzyżowania korytarzy i zabrakło jej sił. Ciało bolało ją zbyt mocno, by dalej się ruszać. A ze wszystkich czterech stron ściany i podłogi korytarzy pokryte były skutkami gwałtownej śmierci. Tego było za wiele. Anna przez kilka minut unosiła się w pustej przestrzeni, a potem powoli doleciała do ściany i przywarła do niej. Ruch. Statek się poruszał. Bardzo powoli, ale dostatecznie, by przesunąć ją do ściany. Odsunęła się od niej i znowu się unosiła. Czyli przestali przyśpieszać.

Zrozumiała, że zainteresowanie względnym ruchem okrętu było tylko sposobem jej umysłu na oderwanie się od otoczenia i znowu zaczęła płakać. Uderzyła w nią myśl, że może nigdy nie wrócić z tej podróży. Po raz pierwszy od przylotu do Pierścienia dostrzegła przyszłość, w której nigdy więcej nie przytuli Nami. Nigdy nie powącha jej włosów. Nigdy nie pocałuje Nono ani nie wsunie się obok niej do ciepłego łóżka, przytulając ją. Ból wyrwania z niej tych rzeczy był gorszy od wszystkich doznanych dotąd cierpień fizycznych. Nie wytarła łez wypływających z jej oczu, a one ją oślepiły. Nic nie szkodzi. Nie chciała już nigdy niczego widzieć.

Kiedy ktoś chwycił ją od tyłu i obrócił, spięła się, czekając na jakiś nowy koszmar.

To była Tilly.

– Och, Bogu dzięki – powiedziała kobieta, przyciskając Annę w objęciach na tyle mocno, że na nowo obudziła ból w ramionach. – Poleciałam do twojego pokoju, zobaczyłam krew na ścianach, a ciebie tam nie było, za to tuż przed twoimi drzwiami był trup.

Nie mogąc jej objąć, Anna tylko przyłożyła na chwilę policzek do Tilly. Kobieta odsunęła ją na długość ręki, ale nie puściła.

– Wszystko w porządku? – Patrzyła na rozcięcie na podbródku Anny.

– Z twarzą tak, to tylko drobne rozcięcie. Ale bolą mnie ręce, prawie nie mogę nimi ruszać. Musimy znaleźć pomoc. Alonzo Guzman jest w swoim pokoju i jest ranny. Bardzo poważnie. Wiesz, co się stało?

– Jeszcze nie spotkałam nikogo, kto by wiedział – odpowiedziała Tilly, obracając Annę w jedną stronę, a potem w drugą i przyglądając się jej krytycznie. – Poruszaj rękami. Dobrze. Zegnij łokcie. – Obmacała barki Anny. – Nie są zwichnięte.

– Chyba przez chwilę były – odpowiedziała Anna, gdy już opanowała nagły ból wywołany przez dotyk Tilly. – I boli mnie wszystko inne. Ale musimy się pośpieszyć.

Tilly kiwnęła głową i ściągnęła z ramienia czerwono-biały plecak. Był pełen plastikowych pakietów z drobnym, czarnym tekstem. Tilly wyjęła kilka, przeczytała napisy i schowała je z powrotem. Po kilku próbach zerwała opakowania z trzech małych ampułkostrzykawek.

– Co to jest? – zapytała Anna, ale Tilly po prostu podała jej wszystkie trzy bez odpowiedzi.

Anna poczuła ogarniającą ją falę euforii. Przestały ją boleć barki. *Wszystko* przestało ją boleć. Nawet jej strach przed tym, że nigdy więcej nie zobaczy rodziny, stał się odległym i pomniejszym problemem.

– Spałam, kiedy to się stało – wyjaśniła Tilly, wrzucając puste ampułki z powrotem do zestawu pierwszej pomocy. – Ale obudziłam się, czując się, jakby przejechała po mnie koparka. Mam chyba parę przemieszczonych żeber. Prawie nie mogłam oddychać, więc wydlubałam ten zestaw z szafki awaryjnej w mojej kabinie.

– Nie pomyślałam, żeby tam zajrzeć – przyznała Anna zaskoczona. Niejasno pamiętała, że była zdezorientowana przez ból, ale teraz czuła się *świetnie*. Lepiej niż poprzednio. I była przytomna. Wyjątkowo świadoma. Głupio, że nie pomyślała o apteczce w szafce awaryjnej. W końcu była to sytuacja awaryjna. Miała ochotę walnąć się w czoło za okazanie takiej głupoty. Tilly znowu chwyciła ją za rękę. Czemu ciągle to robiła? Miały coś do zrobienia. Musiały odnaleźć lekarzy i wysłać ich do poety.

– Hej, młoda – powiedziała Tilly – musisz chwilę poczekać, zanim osłabnie trochę pierwsza euforia. Spędziłam pełną minutę, próbując reanimować stertę makaronu z czerwonym sosem, zanim dotarło do mnie, jak bardzo jestem naszprycowana.

– Co to jest? – zapytała Anna, przechylając głowę na bok, przez co brzegi twarzy Tilly zrobiły się trochę niewyraźne.

Tilly wzruszyła ramionami.

– Przypuszczam, że wojskowej klasy amfetamina i środki przeciwbólowe. Dałam ci też coś przeciwzapalnego, bo w sumie dłaczego nie.

– Jesteś lekarką? – zapytała Anna, zdumiewając się, jak *mądra* jest Tilly.

– Nie, ale potrafię przeczytać instrukcje na opakowaniu.

– Ach. – Anna z poważną twarzą kiwnęła głową. – Dobrze.

– Chodźmy poszukać kogoś, kto wie, co się tu dzieje – zaproponowała Tilly, ciągnąc Annę za sobą korytarzem.

– A później muszę odszukać swoich ludzi – powiedziała Anna, pozwalając się ciągnąć.

– Chyba dałam ci za dużo. Nono i Nami są w domu, w Moskwie.

– Nie, moich *ludzi*. Moją wspólnotę. Chrisa i tamtego drugiego chłopaka i marine. Ona jest zła, ale chyba mogę ją przekonać. Muszę ich odszukać.

– Jasne – zgodziła się Tilly. – Może podałam ci trochę za dużą dawkę. Ale znajdziemy ich. Najpierw znajdziemy pomoc.

Anna pomyślała o poecie i poczuła, że zaraz znowu zacznie płakać. Skoro zrobiła się smutna, to może początkowa euforia narkotyku zaczęła trochę ustępować. Przez chwilę nawet tego żałowała.

Tilly zatrzymała się przy drukowanej mapie na ścianie. Znajdowała się tuż obok czarnego i niereagującego panelu sieci. Oczywiście, że na okrętach wojskowych znajdowały się też drukowane mapy. Budowano je przecież z założeniem, że różne systemy przestaną działać, gdy statek zostanie trafiony. Ta myśl też wzbudziła jej smutek. Jakaś odległa część jej świadomości rozpoznała napędzaną narkotykiem huśtawkę emocjonalną, w jaką popadła, ale nie potrafiła nic z tym zrobić. Znowu zaczęła płakać.

– Stanowisko wartownicze. – Tilly stuknęła palcem w punkt na mapie, a potem pociągnęła Annę korytarzem.

Skreśliły dwa razy i trafiły na mały pokój pełen ludzi, broni i komputerów, które wydawały się nadal pracować. Mężczyzna w średnim wieku z czarnymi włosami przeplatany siwizną i ponurym wyrazem twarzy bardzo ostentacyjnie je zignorował. Pozostała czwórka w pomieszczeniu była młodsza, ale równie niezainteresowana ich przybyciem.

– Otwórzcie najpierw 35C. – Starszy mężczyzna mówił do dwóch młodzieńców unoszących się na lewo od niego. Wskazał coś na mapie. – Jest tam tuzin cywilów.

– Sanitariusze? – zapytał jeden z młodzieńców.

– Nie mam żadnych wolnych, a w kambuzie nie ma prycz przeciążeniowych. Wszyscy tam zostali zgnieceni na pastę, choć porucznik kazał zajrzeć mimo wszystko.

– Potwierdzam – odpowiedział młody chłopak i razem z kolegą wypchnęli się z pokoju obok Anny i Tilly, ledwie zerkając na nie po drodze.

– Wy dwaj sprawdźcie korytarze – polecił starszy mężczyzna dwóm pozostałym marynarzom. – Nieśmiertelniki, jeśli znajdziecie, zdjęcia i wymazy, jeśli nie. Wszystko idzie do centrum dowodzenia na czerwonym dwadzieścia jeden, zrozumiano?

– Tak jest – odpowiedział jeden z nich i oni też wylecieli z pokoju.

– Człowiek w 295 potrzebuje pomocy – powiedziała Anna do oficera. – Jest ciężko ranny. To poeta.

Mężczyzna wystukał coś na terminalu biurkowym.

– W porządku, jest w kolejce. Sanitariusze dotrą tam najszybciej, jak będą mogli. Urządzamy tymczasowy obszar ratunkowy w mesie oficerskiej. Sugeruję, żeby udały się tam panie jak najszybciej.

– Co się stało? – zapytała Tilly i złapała uchwyt na ścianie, jakby zamierzała tu dłużej zostać. Anna chwyciła się najbliższej rzeczy w zasięgu ręki, która okazała się być szafką z bronią.

Oficer warty popatrzył na Tilly z góry na dół i chyba doszedł do wniosku, że najprościej będzie spełnić jej żądanie.

– Nie mam pojęcia. Wyhamowaliśmy do całkowitego zatrzymania w

niecałe pięć sekund. Wszystkie uszkodzenia i rany to efekt silnego przeciążenia. Cokolwiek nas schwytało, złapało tylko za kadłub i nie zainteresowało się tym, co w środku.

– Czyli powolna strefa się zmieniła? – zapytała Tilly.

Anna popatrzyła na broń w szafce, trochę lepiej panując nad swoimi emocjami, ale wciąż odczuwała gonitwę myśli. Było tam pełno różnorodnych pistoletów: duże, masywne, z wielkimi lufami i grubymi magazynkami, mniejsze, które wyglądały jak noszone przez policjantów w serialach. A na osobnej półce tasery takie jak ten, który miała na Europie. Tak właściwie niezupełnie takie. To były modele wojskowe. Szare, gładkie i groźnie wyglądające, ze znacznie większą baterią niż w jej modelu. Wyglądały niebezpiecznie pomimo tego, że nie służyły do zabijania. Jej stary taser w domu wyglądał jak mała suszarka do włosów.

– Proszę tego nie dotykać – rzucił oficer. Dopóki nie powiedział tych słów, Anna nawet nie zdawała sobie sprawy, że wyciąga rękę.

– To może oznaczać cholernie dużą liczbę ofiar – skomentowała Tilly. Anna doznała uczucia jakby wracała do rozmowy po utracie sporej jej części.

– Setki tylko na *Prinsie* – potwierdził oficer. – A wcale nie lecieliśmy blisko granicznej prędkości. Niektóre statki leciały. Teraz nie mamy z nimi żadnej łączności.

Anna rozejrzała się po różnych terminalach rozmieszczonych w przestrzeni wokół. Wyświetlały raporty ze zniszczeń, informacje ochrony i rozkazy. Nie rozumiała większości danych. Używano w nich mnóstwa akronimów i numerów. Typowo wojskowy żargon. Na jednym z małych monitorów wyświetlane były zdjęcia ludzi. Anna rozpoznała Jamesa Holdena, potem jego inną wersję, z nierówną brodą. Zdjęcia poszukiwanych? Jednak nie rozpoznała żadnej z kolejnych osób aż do chwili, gdy na ekranie pojawiła się rzeźba tej dziewczyny, którą zastępczyni Holdena, Naomi, obwiniła o atak.

– Może to była dziewczyna z kosmosu – powiedziała Anna, zanim uświadomiła sobie, że chce to zrobić. Wciąż czuła się nacpana i stłumiła ochotę zachichotania.

Wartownik i Tilly wbili w nią spojrzenia.



Anna wskazała na ekran.

– Julie Mao, dziewczyna z Erosa. Ta, którą obwinia *Rosynant*. Może ona to zrobiła.

Zarówno wartownik jak i Tilly obrócili się w stronę ekranu. Kilka sekund później obraz Julie, kosmicznej dziewczyny, zniknął i został zastąpiony przez kogoś nieznanego Annie.

– Ktoś zgarnie Jamesa Holdena do pokoju przesłuchań na kilka godzin, a wtedy będziemy mieć znacznie lepsze pojęcie o tym, kogo należy obwiniać.

Tilly tylko się roześmiała.

– To właśnie ją obwiniają? – zapytała, gdy wyczerpał się jej śmiech.  
– To nie jest Julie Mao. A nie ma mowy, żeby Claire tu była.

– Claire? – zapytali równocześnie Anna i dyżurny.

– To Claire. Clarissa Mao, młodsza siostra Julie. Z tego, co ostatnio słyszałam, mieszka na Lunie z matką. Ale to zdecydowanie nie Julie.

– Jesteś tego pewna? – zapytała Anna. – Bo pierwsza oficer z *Rosynanta* powiedziała...

– Kołysałam obie te dziewczynki na kolanach, gdy były niemowlętami. Mao byli częstymi gośćmi w naszym domu na Baja. W lecie zabierali dzieciaki na pływanie i rybne tacos. A ta tutaj to Claire, nie Julie.

– Och – powiedziała Anna, gdy jej wspomagany narkotykiem mózg odtworzył całą intrygę. Gniewna dziewczyna spotkana w mesie, wybuch statku ONZ, nedorzeczna wiadomość ze statku Holdena, a potem jego twierdzenia o niewinności. – To ona. Ona wysadziła statek.

– Który statek? – zapytał wartownik.

– Ten ONZ, który wybuchł. Przez który tamten statek Pasiarzy strzelił do Holdena. A potem wszyscy przelecieliśmy przez Pierścień, i ona jest *tutaj!* Ona jest na pokładzie tego statku! Widziałam ją w mesie oficerskiej i *wiedziałam*, że coś z nią jest nie tak. Wystraszyła mnie, ale powinnam była coś powiedzieć, tylko że tego nie zrobiłam, bo dlaczego miałabym coś zrobić?

Tilly i wartownik gapili się na nią. Czują, jak umysł przed nią ucieka, a jej usta zdawały się pracować kierowane własną wolą. Oboje patrzyli na nią, jakby oszalała.

- Ona tu jest – powtórzyła Anna, z wysiłkiem zamykając usta.
- Claire? – zapytała Tilly, marszcząc brwi.
- Widziałam ją w mesie oficerskiej. Groziła mi. Była na tym statku. Wartownik skrzywił się, wystukał coś na swoim terminalu, zaklął i wcisnął coś jeszcze.
- Niech to skurwysyn. Okrętowy system rozpoznawania twarzy twierdzi, że mamy dopasowanie w hangarze B.
- Musicie ją aresztować – krzyknęła Anna.
- Hangar B to wyznaczony obszar awaryjny – powiedział oficer. – Jest tam pewnie z innymi ofiarami, połamana w pięciu miejscach. Jeśli to w ogóle ona. Takie główniane reprodukcje prowadzą do sporej liczby fałszywych dopasowań.
- Macie oprogramowanie, które w każdej chwili mogło ją znaleźć? – zapytała Tilly z niedowierzaniem. – Nie *sprawdziliście*?
- Wie pani, kiedy James pieprzony Holden mówi, żeby skakać, to nie pytamy „jak wysoko” – warknął oficer.
- Tam jest śluza – oświadczyła Anna, dźgając dłonią w ekran. – Ona może wyjść. Polecieć gdziekolwiek.
- Na przykład *gdzie*? – odpowiedział oficer.
- Jakby na ten sygnał na ekranie pojawił się zielony alarm włączanego cyklu śluzy.
- Musimy ją złapać – powiedziała Anna, ciągnąc Tilly za rękę.
- Muszą panie udać się do mesy oficerskiej – oświadczył oficer warty. – Wyślę ludzi do aresztowania jej w celu przesłuchania, gdy tylko przestaniemy krwawić. Proszę się tym nie martwić. Chwilowo mamy mnóstwo innych spraw do załatwienia. To może poczekać.
- Ale...
- Do pokoju wleciał młody mężczyzna z lewą połową twarzy zalaną krwią.
- Potrzeba sanitariuszy do sześć-alfa, sir. Mamy tam dziesięcioro cywili.
- Wyślę kogoś, gdy tylko się zwolni – odpowiedział oficer. – Wiemy coś o stanie rannych?
- Wystają im kości, ale żyją.
- Anna wyciągnęła Tilly na korytarz.

– Nie możemy czekać, ona jest niebezpieczna. Już zabiła ludzi, gdy wysadziła tamten statek.

– Jesteś naćpana – powiedziała Tilly, uwalniając rękę i odlatując przez korytarz pod przeciwległą ścianę. – Nie zachowujesz się racjonalnie. Co zamierzasz zrobić, nawet jeśli Claire Mao faktycznie *jest* na tym statku i stała się jakiegoś rodzaju terrorystką? Wysadziła statek. Uderzysz ją swoją Biblią?

Anna częściowo wysunęła z kieszeni taser. Tilly gwałtownie wciągnęła powietrze przez zęby.

– *Ukradłaś to? Oszalałaś?* – zapytała głośnym szeptem.

– Zamierzam ją odnaleźć – odpowiedziała Anna przy akompaniamencie śpiewu narkotyku we krwi, nadającego jej myślom jasny tor. Miała wrażenie, że jeśli zdoła powstrzymać tę Claire, uratuje się przed utratą rodziny na zawsze. Rozumiała, że takie myślenie jest całkowicie irracjonalne, ale i tak mu się poddała. – Muszę z nią porozmawiać.

– Tylko dasz się zabić – rzuciła Tilly. Wyglądała, jakby miała się rozplakać. – Powiedziałaś ochronie. Zrobiłaś, co mogłaś. Opuść. Jesteś pastorką, nie policjantką.

– Będę potrzebować plecaka manewrowego. Wiesz, gdzie je trzymają? Gdzieś blisko słuz?

– Oszalałaś – skomentowała Tilly. – Nie mogę w tym uczestniczyć.

– Nie szkodzi – odpowiedziała Anna. – Wrócę.

# Rozdział dwudziesty piąty

*Holden*

– Naomi – powtórzył Holden. – Odezwij się. Proszę. Proszę, odpowiedz.

Cisza w radiu brzmiała jak groźba. Miller umilkł z ponurym i przeprasającym wyrazem twarzy. Holden zaczął się zastanawiać, ilu ludzi widziało dokładnie ten wyraz twarzy Millera. Wydawał się specjalnie stworzony do słów w rodzaju *doszło do wypadku* oraz *DNA pasuje do pani syna*. Holden czuł, że drżą mu ręce. To nie miało znaczenia.

– *Rosynant*. Naomi, odezwij się.

– To nic nie znaczy – odezwał się Miller. – Może nic jej nie jest, tylko łączność siadła. Albo jest zajęta naprawianiem czegoś.

– Albo jest o centymetry od śmierci – odpowiedział Holden. – Muszę iść. Muszę do niej wrócić.

Miller pokręcił głową.

– Droga z powrotem potrwa dłużej niż lot tutaj. Nie możesz już lecieć tak szybko. Zanim tam dotrzesz, ona zdoła już załatwić wszystkie sprawy wymagające załatwienia.

*Albo będzie martwa*, ale tego Miller nie powiedział. Holden zastanawiał się, o czym świadczyło, że protomolekuła mogła zakładać Millera na rękę jak pacynkę, a detektyw mimo wszystko miał dość rozmysłu, by przemilczeć możliwość, że wszyscy na *Rosie* zginęli.

– Muszę spróbować.

Miller westchnął. Na chwilę jego źrenice błysnęły błękitem, jakby

gdzieś na dnie jego gałek ocznych pływały małe ryby głębinowe.

– Chcesz jej pomóc? Chcesz pomóc im wszystkim? To chodź ze mną. Teraz. Jeśli uciekniesz do domu, nie dowiesz się, co się stało. I możesz nigdy już nie mieć szansy tu wrócić. A na dodatek założę się, że twoi kumple się przegrupowują, a wciąż będą mogli łagodnie wyrwać ci rękę, jeśli cię złapią.

Holden miał wrażenie, jakby dwie wersje jego osoby próbowały rozerwać mu umysł. Naomi mogła cierpieć. Mogła nie żyć. Aleks i Amos też. Musiał im pomóc. Ale była też drobna, cicha część jego osoby zdająca sobie sprawę, że Miller ma rację. Było już za późno.

– Możesz powiedzieć stacji, że na tych statkach są ludzie – zasugerował. – Możesz poprosić, żeby im pomogła.

– Mogę powiedzieć skale, że powinna być sekretarzem generalnym, ale to nie znaczy, że posłucha. To wszystko? – Miller machnął rękami na ciemne ściany. – To jest głupie. Utylitarne. Żadnej kreatywności ani złożonej analizy.

– Poważnie? – zapytał Holden, a jego ciekawość przebiła się przez panikę, gniew i strach. – Dlaczego?

– Czasami lepiej, jeśli pewne rzeczy są przewidywalne. Nikt nie chce, żeby stacja miała własne złe pomysły. Musimy się pośpieszyć.

– Gdzie idziemy? – nie odpuszczał Holden, zatrzymując się na kilka głębszych oddechów. Za długo przebywał w niskim ciśnieniu bez poświęcania dostatecznego czasu na ćwiczenia. Jego wydolność wyraźnie osłabła. Niebezpieczeństwa stania się bogatym i leniwym.

– Będę musiał cię poprosić o zrobienie czegoś dla mnie – odpowiedział Miller. – Potrzebuję dostępu do... cholera, nie wiem. Powiedzmy, że do akt.

Holden przestał dyszeć, wyprostował się i kiwnął Millerowi, żeby znowu ruszyli. Kiedy szli w dół łagodnie pochyłego korytarza, odezwał się znowu.

– Nie jesteś tu już podpięty?

– Jestem świadomy. Stacja jest zablokowana, a ja raczej nie mam hasła administratora. Musisz ją dla mnie otworzyć.

– Nie jestem pewien, co takiego potrafię, czego ty nie umiesz – skomentował Holden. – Poza byciem uroczym gościem na kolacji.

Miller zatrzymał się przy czymś, co wyglądało na kolejny ślepy zaułek, i dotknął ściany, a obok niego otworzyło się przejście. Gestem zaprosił Holdena do środka, potem przeszedł za nim i zamknął za nimi drzwi. Znaleźli się w kolejnej dużej sali, z grubsza ośmiokątnej, o ścianach długości przynajmniej pięćdziesięciu metrów każda. Było tu jeszcze więcej owadopodobnych maszyn, ale nie zobaczył żadnych szklanych kolumn. Zamiast nich w centrum komory wznosiła się olbrzymia konstrukcja ze świecącego się, niebieskiego metalu. Była ośmiokątna, mniejsza wersja wymiarów sali, ale każdy bok miał tylko kilka metrów. Nie świeciła się ani trochę jaśniej niż reszta pomieszczenia, ale Holden czuł, że coś z niej emanuje, czuł prawie fizyczny napór utrudniający zbliżanie się. Skafander poinformował go, że zmienił się skład atmosfery, która zawierała teraz złożone cząsteczki organiczne i azot.

– Czasem samo posiadanie ciała oznacza przyznanie pewnego statusu. Bez cholernego poziomu zaufania nie pozwolą ci chodzić po upadłym świecie.

– Upadłym świecie?

Miller zadrżał i oparł się ręką o ścianę. Był to głęboko ludzki gest niepokoju. Jarzący się mech w ogóle nie zareagował na dotyk. Wargi Millera zaczęły czernieć.

– Upadły świat. Substrat. *Materia*.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Holden.

Miller kiwnął głową, ale wyglądał, jakby miał zwymiotować.

– Nadchodzi chwila, kiedy zacynam wiedzieć rzeczy przerastające moje możliwości przyswojenia. Tu jest lepiej, ale będą pewne pytania, które się we mnie nie mieszczą. Samo myślenie z tymi wszystkimi śmieciami podłączonymi z tyłu głowy jest ostrym sportem kontaktowym, a jeśli dostanę za dużo, to jestem pewien, że... yyy... zrestartują mnie. To znaczy, jasne, świadomość to złudzenie i tak dalej, ale wolałbym raczej jej nie tracić, jeśli to możliwe. Nie wiem, ile będzie pamiętał następny.

Holden stanął, odwrócił się i mocno pchnął Millera. Obaj zatoczyli się do tyłu.

– Mnie wydajesz się całkiem rzeczywisty.

Miller podniósł palec do góry.

– *Wydajesz*. Dobry czasownik. Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego znikam, gdy tylko pojawi się ktoś inny?

– Jestem wyjątkowy?

– Hm, tak daleko bym się nie posunął.

– Dobra – rzucił Holden. – Niech ci będzie. Dlaczego nikt inny cię nie widzi?

– Nie jestem pewien, czy mamy na to czas, ale... – Miller zdjął kapelusz i podrapał się po głowie. – No więc twój mózg ma jakieś sto miliardów neuronów i jakieś pięćset trylionów synaps.

– Czy to będzie na egzaminie?

– Nie bądź dupkiem – powiedział Miller konwersacyjnym tonem i z powrotem założył kapelusz. – A to głównie jest hodowane indywidualnie. Nie ma dwóch dokładnie identycznych mózgow. Zgadnij, ile mocy obliczeniowej potrzeba, żeby dobrze wymodelować choć jeden ludzki mózg? Więcej niż zebrane do kupy wszystkie zbudowane przez ludzi komputery, i to jeszcze zanim zaczniemy uwzględniać to, co dzieje się wewnątrz komórek.

– Dobra.

– Teraz wyobraź sobie te synapsy jako klawisze na klawiaturze. Pięćset trylionów klawiszy. I powiedzmy, że mózg patrzący na coś i myślący „to kwiatek” wciska kilka miliardów tych klawiszy w określonym wzorze. Tylko że to wcale nie takie proste. To nie tylko kwiatek, ale też sterta skojarzeń. Zapachy, dotyk łodyżki na palcach, kwiatek, który kiedyś dałeś mamie, kwiatek wręczony dziewczynie. Kwiatek, który kiedyś przypadkiem rozdeptałeś i zrobiło ci się smutno. A smutek przywołuje całą stertę innych skojarzeń.

– Rozumiem – powiedział Holden, podnosząc ręce w geście poddania się. – To skomplikowane.

– Teraz wyobraź sobie, że musisz wcisnąć dokładnie właściwe klawisze, żeby skłonić kogoś do pomyślenia o osobie, usłyszenia, jak mówi, pamiętania, jakie miała na sobie ubranie, jak pachniała i jak czasem zdejmowała kapelusz, żeby podrapać się po głowie.

– Czeka – rzucił Holden. – Czy ja mam w mózgu kawałki protomolekuły?

– Niezupełnie. Mogłeś zauważyć, że nie jestem zjawiskiem zlokalizowanym.

– Co to, u diabła, znaczy?

– No cóż – powiedział Miller. – Teraz chcesz, żebym wytłumaczył małpie mikrofałę.

– To metafora, której nigdy nie wypowiedziałem na głos. Jeśli nie planujesz mnie wystraszyć na śmierć, musisz się bardziej postarać.

– No więc tak. W tej chwili najbardziej złożona symulacja w dziejach twojego Układu Słonecznego działa tylko po to, żebyśmy mogli udawać, że jestem w jednym pomieszczeniu z tobą. Właściwa reakcja to bycie zaszczyconym. Oraz robienie tego, czego, kurwa, od ciebie potrzebuję.

– Czyli?

– Dotknięcie tego dużego czegoś na środku sali.

Holden znowu popatrzył na konstrukcję i poczuł prawie podprogowe, emanujące z niej ciśnienie.

– Dlaczego?

– Ponieważ – Miller powiedział tonem pouczenia głupiego dziecka – to miejsce jest wyłączone. Nie przyjmuje zdalnych połączeń bez poziomu autoryzacji, którego nie posiadam.

– A ja tak?

– Ty nie nawiązujesz połączenia zdalnego, ty faktycznie tu jesteś. W substracie. W niektórych miejscach to duża sprawa.

– Ale ja właśnie tu wszedłem.

– Miałeś trochę pomocy. Uspokoilem część ochrony, żebyś mógł zająć tak daleko.

– Czyli wpuściłeś tu też marines?

– Otwarte to otwarte. No chodź.

Im bliżej Holden podchodził do ośmioboku, tym trudniej było mu iść. Nie chodziło po prostu o strach, choć lęk spływał kroplami po gardle i ściekał wzdłuż kręgosłupa. Było to fizycznie trudne, jak przepychanie się przez pole magnetyczne.

Kształt był ukruszony na krawędziach, poznaczony cienkimi jak włos liniami we wzorach, które mogły tworzyć ideogramy, ślady rozrostu grzybów albo oba na raz. Wyciągnął rękę i zaswędziały go



zęby.

– Co się stanie? – zapytał.

– Ile wiesz o mechanice kwantowej?

– A ile ty wiesz? – odpowiedział Holden.

– Okazuje się, że całkiem sporo – wyznał Miller z krzywym uśmiechem. – W każdym razie teraz.

– Nie wybuchnę płomieniami ani nic takiego, prawda?

Miller wykonał obiema dłońmi pasiarski gest wzruszenia ramion.

– Nie sądzę. Nie znam do końca wszystkich systemów obronnych.

Ale nie sądzę.

– Czyli – powiedział Holden – *może?*

– Właśnie.

– Dobra. – Holden westchnął i zaczął sięgać do powierzchni. Zatrzymał rękę. – Właściwie to nie odpowiedziałeś mi na pytanie, wiesz?

– Odwlekasz – stwierdził Miller. – O które pytanie ci chodzi?

– Rozumiem, dlaczego nie widzi cię nikt inny. Ale prawdziwe pytanie brzmi: dlaczego ja? To znaczy rozumiem, dobra, bawisz się moim mózgiem i to ciężka praca, a gdyby do tego doszli inni ludzie, z którymi miałbym wchodzić w interakcje, zrobiłoby się za trudno i tak dalej. Ale dlaczego *ja*? Dlaczego nie Naomi, sekretarz generalny ONZ czy ktoś taki?

Miller kiwnął głową, rozumiejąc pytanie. Zmarszczył brwi i westchnął.

– Miller tak jakby cię lubił. Uważał cię za przyzwoitego faceta.

– I tyle?

– A potrzeba ci więcej?

Holden przyłożył dłoń do najbliższej powierzchni. Nic nie wybuchło, nie zajął się płomieniami. Przez rękawice skafandra próżniowego poczuł krótkie, elektryczne mrowienie, a potem już nic, bo unosił się w przestrzeni. Próbował krzyknąć, ale mu się nie udało.

*Przepraszam, powiedział głos w jego głowie. Brzmiał na Millera. Nie chciałem cię tu ściągać. Spróbuj się odprężyć, dobra?*

Holden próbował przytaknąć, ale to też mu się nie udało. Nie miał głowy.

Wrażenie jego ciała zmieniło się, przesunęło i rozszerzyło poza wszystko, co dotąd sobie wyobrażał. Otepiający był sam zakres świadomości. Czuł w sobie gwiazdy i olbrzymią, zawartą w sobie przestrzeń. Myślą przeniósł uwagę do słońca otoczonego przez nieznane mu planety, jakby skupiał się na palcu lub swędzeniu z tyłu karku. Wszystkie światła smakowały inaczej, pachniały inaczej. Chciał zamknąć oczy przed zalewem wrażeń, ale nie potrafił. Nie miał niczego tak prostego jak oczy. Stał się niemierzalnie wielki, bogaty i obcy. Tysiące głosów, miliony, miliardy, wznosiły się w chórze, a on był ich pieśnią. A w swoim centrum miał miejsce, gdzie wszystkie te wątki zbierały się razem. Rozpoznał stację nie po wyglądzie, a po uderzeniach jej serca. Zawierała w sobie milion słońc i kierowała ich mocą. Był ogniwem spoczywającym pomiędzy światami, cudem wiedzy i mocy, która dała mu niebiosy. Jego Babel.

Nagle zgasła gwiazda.

Nie była szczególnie wyjątkowa. Nie była piękna. Ucichło kilka głosów z kwadrylionów, a jeśli nawet wielki chór został bez ich obecności nieco osłabiony, było to niezauważalne. Mimo wszystko przebiegła przez niego zmarszczka. Kolory jego świadomości zawirowały i ściemniały. Troska, ciekawość, zaniepokojenie. Nawet zachwyty. Po raz pierwszy od tysiącleci zdarzyło się coś nowego.

Kolejna gwiazda zamigotała i zgasła. Ucichło jeszcze kilka głosów. Tym razem wszystko się zmieniło, równocześnie powoli i natychmiast. Poczuł szalejącą w sobie wielką debatę rosnącą jak gorączka, jak choroba. Od tak dawna przerósł cokolwiek, co mogło mu zagrozić, że osłabły i uległy zanikowi wszystkie odruchy przetrwania. Holden poczuł lęk, o którym wiedział, że pochodził od niego – człowieka uwięzionego w maszynie – ponieważ jego większa istota nie pamiętała tego uczucia. Olbrzymi parlament zawirował, myśli i opinie, analizy i poezja łączące się i rozpadające na części. Było to piękne jak słońce na plamie oleju i jednocześnie przerażające.

Zgasły trzy słońca i teraz Holden poczuł, że robi się mniejszy. To wciąż było bardzo niewiele, prawie nic. Biała kropka na grzbiecie dłoni, niegojące się otarcie. Plaga wciąż była tylko objawem, ale takim, którego jego olbrzymia świadomość nie mogła zignorować.

Ze stacji w swoim centrum sięgnął do miejsc, w których był, zgasłych, utraconych systemów i sięgnął przez wrota ogniem. Upadłe gwiazdy, teraz zaledwie materia, pusta i martwa, rozdęta. W furii wypełnił ich układy promieniowaniem i żarem, oderwał elektrony od wszystkich atomów i wysadził je. Ich ostateczna śmierć odbiła się echem, a Holden poczuł żalobę i pokój. Rak zaatakował i został wypalony. Nigdy nie zdoła odkupić utraconych umysłów. Z wygnania wróciła śmierć, ale została wypalona ogniem.

Zgasło sto gwiazd.

Pieśń zmieniła się w krzyk rozpacz. Holden poczuł, jak jego ciało przesuwa się w sobie, wściekle jak rój pszczół, uwięzionych i ginących. W rozpacz wypalił setkę słońc, tryskając zniszczeniem ze stacji przez wrota tak szybko, jak pojawiała się ciemność, ale rosnącego cienia nie dało się powstrzymać. W całym jego ciele gasły gwiazdy, głosy przechodziły w ciszę. Śmierć gnała przez próżnię, szybsza od światła i nieustępliwa.

Poczuł decyzję rosnącą w nim jak zarodek kryształu, kształtującą otaczający ją chaos: litą, twardą, stanowczą. Desperacja, żaloba i milion wzajemnych pożegnań. Pojawiło się w nim słowo *kwarantanna*, z logiką typową dla snów, niosąc w sobie bezgraniczny ciężar horroru. Jednak wraz z nim, jak ostatni głos z puszek Pandory, pojawiła się obietnica ponownego zjednoczenia. Pewnego dnia, gdy zostanie znalezione rozwiązanie, zostanie odzyskane wszystko, co utracono. Wrota zostaną otwarte. Olbrzymi umysł odtworzony.

Nadeszła chwila rozpadu, nagła i nieoczekiwana, i Holden rozpadł się na części.

Unosił się w mroku. Pusty, drobny i zagubiony, czekając na spełnienie obietnicy, czekając na cichy chór szepczący o powstrzymaniu Armagedonu; o tym, że nie wszystko zostało utracone. A jednak cisza się utrzymywała.

*Hm, pomyślał do niego Miller. To było dziwne.*

Holden wrócił do swojego ciała, czuł się tak, jakby przeciągano go z powrotem przez nieskończenie długi tunel światła. Przez krótką, oszalamiającą chwilę czuł się za mały, jakby drobna owijka skóry i mięsa miała wybuchnąć od próby zawarcia jego umysłu.

A potem poczuł się po prostu zmęczony i gwałtownie usiadł na podłodze.

– Dobra – powiedział Miller, pocierając policzek otwartą dłonią. – To jakiś początek. Tak jakby wszystko wyjaśnia, choć zarazem nie wyjaśnia niczego. Upierdliwe.

Holden położył się na plecach. Czuł się, jakby ktoś przepuścił go przez rozdrabniacz, a potem kiepsko posklejał z powrotem. Próba przypomnienia sobie uczucia bycia rozmiarów galaktyki wywołała gwałtowny ból głowy, więc przestał.

– Powiedz mi to wszystko, co wyjaśnia – poprosił, gdy przypomniawszy sobie, jak się mówi. Konieczność poruszania wilgotnymi płatkami mięsa w celu ukształtowania słów wydawała się zmysłowa i obsceniczna.

– Wprowadzili kwarantannę układów. Wyłączyli sieć, żeby powstrzymać to, co niszczyło miejscowych.

– Czyli za każdym z tych wrót czeka Układ Słoneczny pełen tego, co zrobiło protomolekułę?

Miller się roześmiał. Coś w tym dźwięku wywołało u Holdena dreszcz.

– To kurewsko mało prawdopodobne.

– Dlaczego?

– Ta stacja czeka na sygnał pozwolenia na otwarcie sieci od około dwóch miliardów lat. Gdyby znaleźli rozwiązanie, nie czekali by tak długo. Cokolwiek to było, chyba dostało ich wszystkich.

– Wszystkich oprócz ciebie – zauważył Holden.

– Nie, chłopcze. Jestem jednym z nich, tak jak *Rosynant* jest jednym z was. *Ros* jest całkiem inteligentny, jak na maszynę. Sporo o was wie. I pewnie gdyby mu ktoś kazał, zdołałby stworzyć zgrubną symulację człowieka. Te rzeczy? To coś, czym się poczułeś? Przy nich jestem jak trochę bardziej zaawansowany terminal ręczny.

– A ta część, która niczego nie wyjaśnia? – zapytał Holden. – Miałeś na myśli to, co ich zabiło.

– Cóż, jeśli mam być szczerzy, to wcale nie takie nic – przyznał Miller, krzyżując ręce. – Wiemy, że zjadło galaktykę obejmującą zbiorową świadomość, jakby była popcornem, a to już coś. I wiemy, że

przeżyło sterylizację obejmującą kilkaset układów gwiazdnych.

Holden doznał wyjątkowo żywego wspomnienia obserwacji, jak stacja miota ogniem przez pierścieniowe wrota, gwiazd po drugiej stronie wybuchających jak balony, samych wrót porzucanych na pastwę ognia i niknących. Samo echo prawie oślepiło go pamiętanym bólem.

– Poważnie wysadzili *gwiazdy*, żeby to powstrzymać?

Obraz Millera poklepał kolumnę na środku sali, choć wiedział, że tak naprawdę Miller jej nie dotyka. Coś naciskało właściwe klawisze jego synaptycznej klawiatury, sprawiając, by myślał, że Miller to robi.

– Owszem. Wyjałowiło cały region. Władowali trochę dodatkowej energii i rozdęli je jak balony.

– Ale nie mogą już tego robić, prawda? To znaczy, jeśli te rzeczy, które wszystkim kierowały, już odeszły, nie ma komu pociągnąć za spust. Nam tego nie robi.

Ponury uśmiech Millera zmroził Holdena do kości.

– Ciągłe ci powtarzam, ta stacja jest w trybie bojowym, młody. Stawia na ostrożność.

– Czy jest jakiś sposób, żeby była trochę bardziej przyjazna?

– Jasne. Skoro tu jestem, to mogę zdjąć blokadę – odpowiedział Miller – ale będziesz musiał...

Miller zniknął.

– Co musiał? – krzyknął Holden. – Co będę musiał?

Zza jego pleców rozbrzmiał wzmocniony elektronicznie głos.

– Jamesie Holdenie, aresztuję cię na mocy władzy Marsjańskiej Republiki Kongresowej. Klęknij i załóż ręce za głowę. Wszelkie próby opierania się spowodują użycie zabójczej siły.

Holden zrobił, co mu kazano, ale odwrócił głowę, żeby się obejrzeć. Do sali weszło siedmiu marines w pancerzach zwiadu. Nie zawracali sobie głowy celowaniem do niego z broni, ale Holden wiedział, że mogli go złapać i rozerwać na strzępy, korzystając z siły pancerzy.

– Poważnie, ludzie, nie mogliście mi dać jeszcze pięciu minut?

# Rozdział dwudziesty szósty

## *Byk*

Głosy. Światło. Uczucie nieprawidłowości głęboko w miejscach, których nie potrafił zidentyfikować. Byk spróbował zacisnąć zęby i odkrył, że jego szczęki są już zaciśnięte tak mocno, że aż bolą. Ktoś krzyknął, ale nie wiedział, skąd dobiega ten dźwięk.

Jego uwagę przyciągnęło światło. Prosta, biała dioda LED z matową osłoną rozpraszającą. Oświetlenie awaryjne. W rodzaju tych, które włączały się przy braku zasilania. Patrzenie na nią bolało, ale robił to, żeby się skupić. Jeśli to nabierze sensu, wróci do niego wszystko inne. O jego uwagę dopominał się brzęczący alarm dochodzący gdzieś z zewnątrz. Z korytarza. Umysł Byka próbował się tam przesunąć, wyjść na korytarz, na szeroki, bezkształtny chaos, ale ściągnął go z powrotem do światła. Przypominało to próbę obudzenia się, tylko że już nie spał.

Powoli rozpoznał w alarmie dźwięk słyszany w okrętowym szpitalu. Leżał w szpitalu, przyczepiony taśmami do łóżka. Uczucie ciągnięcia na rękę pochodziło od wprowadzonej tam do żyły kroplówki. Z przyprawiającym o mdłości zawrotem głowy jego odbiór świata uległ zmianie – nie stał, tylko leżał. Bez ciężenia było to bezsensownym rozróżnieniem, ale wyglądało na to, że ludzki mózg nie potrafił przestać próbować wyróżniać kierunków w przestrzeni. Bolała go szyja. Bolała go głowa. Coś jeszcze było nie tak.

W szpitalu byli też inni ludzie. Kobiety i mężczyźni na wszystkich łóżkach, większość z zamkniętymi oczami. Zabrzmiał nowy alarm:

kobieta po drugiej stronie przejścia zaczęła tracić ciśnienie krwi. Zapaść. Umieranie. Krzyknął i obok niego przeleciał mężczyzna w stroju pielęgniarza. Skorygował coś na panelu sterowania przy jej łóżku, a potem odepchnął się i odleciał. Byk próbował go złapać, gdy przelatował, ale nie dał rady.

Był w swoim biurze. Serge wyszedł już na noc. Z dnia zostało jeszcze kilka pomniejszych zdarzeń, efekt nieustannych tarć dużej załogi z brakami w dyscyplinie. Jak wszyscy inni czekał, żeby zobaczyć, czy Holden i Marsjanie wrócą ze stacji. Czy wyjdzie z niej coś innego. Strach sprawiał, że sen nie był zbyt prawdopodobny. Zaczął oglądać prezentację wysłaną przez *Rosynanta*, z Jamesem Holdenem wyglądającym zaskakująco młodo i uroczo, mówiącym to *właśnie nazywamy powolną strefą*. Pamiętał, że wszyscy zaakceptowali nazwę Holdena na to miejsce i zastanawiał się, czy chodziło o to, że on dostał się tu pierwszy, czy też coś z jego charyzmy przedostało się nawet przez pustkę.

A potem znalazł się tutaj. Czyli ktoś ich zaatakował. Przez ich systemy obronne przedarła się torpeda albo doszło do sabotażu. Może rozpadał się cały cholerny statek.

Przy łóżku znajdował się interfejs łączności. Przyciągnął go do siebie, zalogował się i użył obejścia zabezpieczeń do przełączenia go na pełny statek. Zażądał połączenia z Sam i kilka uderzeń serca później na ekranie pojawił się jej obraz. Włosy unosiły się jej wokół głowy. Nieważkość zawsze przywodziła mu na myśl topielców. Twardówka jej lewego oka miała jasnoczerwony kolor świeżej krwi.

– Byk – rzuciła z uśmiechem wyglądającym na ulgę. – Jezu Chryste z frytkami na boku, nigdy nie sądziłam, że ucieszę się na twój widok.

– Potrzeba mi raportu o aktualnym stanie.

– Jasne – rzuciła. – Lepiej sama do ciebie przyjdę. Jesteś w biurze?

– Szpital.

– Zaraz tam będę – zapewniła.

– Sam. Co się stało?

– Pamiętasz, tego dupka, który wleciał w Pierścień i został zmieniony w marmoladę, gdy jego statek trafił na powolną strefę? To samo.

– Lecieliśmy za szybko? – zapytał Byk.

– Wcale nie. Coś zmieniło zasady. Poleciałam technikom zrobienie kilku testów w celu sprawdzenia, ile wynosi nowe ograniczenie prędkości, ale zostaliśmy schwytani i ściąga nas do tego dużego pierścienia statków. Razem ze *wszystkimi* innymi.

– Cała flotylla?

– Wszyscy, razem z siostrami – potwierdziła Sam. Lekkość słów poległa pod wrażeniem ponurej rozpaczki. – Nikt nie leci samodzielnie, poza promami, które w chwili zdarzenia były w hangarach, a nikt nie chce zaryzykować wysyłania ich zbyt szybko. *Behemot* chyba leciał najwolniej, gdy to się stało. Na innych statkach jest gorzej.

W jego głowie pojawiło się pytanie *jak bardzo źle*, ale coś zabroniło mu wypowiedzieć te słowa. Jego umysł przeskoczył nad nimi, odsunął się. Wezbrało w nim głębokie uczucie nieprawidłowości.

– Jak tylko będziesz mogła – powiedział.

– Już lecę – odpowiedziała Sam i się rozłączyła.

Chciał opaść z powrotem na poduszkę, pragnął poczuć dociskającą go, znajomą dłoń ciężenia. Pragnął słońca Nowego Meksyku, przenikającego przez szklane okno, i otwartej przestrzeni z błękitnym niebem. Nie było tu niczego takiego. I nigdy nie będzie.

*Odpuścisz, gdy będziesz trupem*, pomyślał, a potem znowu włączył panel łączności. Ashford i Pa nie przyjmowali połączeń, ale oboje pozwalali na nagranie wiadomości. Był w trakcie łączenia się z biurem ochrony, gdy zbliżyła się do niego lekarka i zaczęła do niego mówić. Nazywała się Mihn Sterling, była zastępczynią Bennie Cortland-Mapu. Słuchał jej, poświęcając temu tylko część uwagi. Jedna trzecia załogi miała cykl odpoczynku i bezpiecznie spoczywała w pryczach przeciążeniowych. Pozostałe dwie trzecie – włącznie z nim – uderzyło w ściany i pokłady, a trzymane w rękach terminale ręczne przyspieszyły jak pociski. Coś o regeneracji układu, nieważkości i płynie rdzeniowym. Byk zastanawiał się, gdzie jest Pa. Jeśli zginęła, a Ashford został przy życiu, będzie to oznaczało problem.

Wyjście z katastrofy możliwe było tylko na dwa sposoby. Albo wszyscy połączą wysiłki i ludzie przeżyją, albo zostaną przy swoich plemiennych różnicach i strachu, a wtedy zginie jeszcze więcej ludzi.



Musiał znaleźć sposób na skoordynowanie działań z Ziemią i Marsem. Wszystkim będzie brakować zasobów medycznych. Jeśli to miało się udać, musiał zebrać wszystkich razem. Musiał się dowiedzieć, czy Monika Stuart i jej zespół – a przynajmniej ta część jej zespołu, która nie zostanie oskarżona o sabotaż i zgładzona – wciąż żyli. Jeśli uda mu się rozpocząć emisję własnych audycji, czegoś w stylu tych, które zrobiła z Holdenem...

Lekarka robiła się poruszona jakimś tematem. Nie zauważył, gdy do sali wleciała Sam, po prostu unosiła się tam. Lewą nogę miała unieruchomioną prowizoryczną szyną z pianki do pakowania i nylonowej taśmy. Byk wysunął rękę w stronę lekarza, gestem prosząc o ciszę i zwrócił uwagę na Sam.

– Masz raport? – zapytał.

– Mam – potwierdziła. – I złożę go, jak tylko zaczniesz słuchać tego, co ona ma do powiedzenia.

– Co?

Sam wskazała na doktor Sterling.

– Musisz jej posłuchać, Byku. Musisz usłyszeć, co mówi. To ważne.

– Nie mam czasu ani cierpliwości...

– Byk! – warknęła Sam. – Czujesz *cokolwiek* – poważnie cokolwiek – poniżej cycków?

Znowu ogarnęło go poczucie nieprawidłowości, a wraz z nim sięgający trzewi, potworny strach. Ponownie ogarnęły go zawroty głowy i musiał zamknąć oczy. Do jego mózgu dotarły w końcu wszystkie słowa wypowiedane przez lekarkę: *zmiażdżony rdzeń kręgowy, rozproszone krwawienie, porażenie kończyn dolnych*. Zawstydział się, że w jego oczach pojawiły się łzy, rozmazując twarze kobiet.

– Jeśli włókna odrosną nieprawidłowo – mówiła lekarka – uszkodzenia będą trwałe. Nasze ciała nie zostały zaprojektowane do leczenia w nieważkości. Jesteśmy zbudowani tak, żeby wszystko ściekało. Masz naciek krwi i płynu rdzeniowego, który naciska na ranę. Musimy to odciągnąć, ale do tego trzeba usunąć z drogi odłamki kości. Moglibyśmy od razu rozpocząć regenerację, ale mam tu kilkanaście osób, które potrzebują nootropów, żeby utrzymać się przy

życiu.

– Rozumiem – odpowiedział Byk przez gulę w gardle, mając nadzieję, że lekarka przestanie mówić, ale za bardzo się rozpedziła.

– Jeśli zdołamy ustabilizować uszkodzenia i wyeliminować nacisk oraz umieścić pana w przynajmniej jednej trzeciej g, będziemy mieć sporą szansę przywrócenia pewnego poziomu funkcjonowania.

– Dobrze – powiedział Byk. Dobiegające z tła dźwięki alarmów medycznych, głosy i szum wymienników powietrza musiały udawać prawdziwą ciszę. – Co pani proponuje?

– Śpiączkę medyczną – odpowiedziała lekarka bez chwili wahania.

– Możemy spowolnić działanie pańskiego organizmu. Ustabilizować do czasu, aż będziemy mogli pana ewakuować.

Byk zamknął oczy, wyciskając powiekami łzy. Wystarczyło, że się zgodzi i wszystko stanie się problemem kogoś innego. Wszystko sobie pójdzie i obudzi się gdzieś z ciężeniem i ciałem odzyskującym sprawność. Albo wcale się nie obudzi. Chwila się przeciągała. Przypomniawszy sobie, jak chodził między niedziałającymi kolektorami słonecznymi. Wszedł na nie. Przytrzymał kolanami ceramiczne wręgi, gdy inni członkowie jego zespołu je przecinali. Biegał. Przypomniawszy sobie kobietę, z którą spotykał się na stacji Tycho, i wrażenie jej ciała przy swoim. Mógł to odzyskać. A przynajmniej jakąś część. Jeszcze nie przepadło.

– Dziękuję za rekomendację – odpowiedział. – Sam, poproszę teraz o ten raport o uszkodzeniach.

– Byk, nie – poprosiła Sam. – Wiesz, co się stanie, gdy jedna z moich sieci odrośnie nieprawidłowo? Wypalam ją i zaczynam od nowa. Ale to jest biologia. Nie możemy po prostu wydłubać okablowania i uruchomić cię ponownie. Nie możesz tego zwalczyć siłą woli.

– Czy to właśnie robię? – zapytał Byk i zabrzmiał prawie jak zwykle.

– Mówię poważnie – powiedziała Sam. – Nie obchodzi mnie, co obiecałeś Fredowi Johnsonowi albo za jakiego twardziela się uważasz. Zachowasz się jak duży chłopiec, połkniesz gorzkie lekarstwo i poczujesz się *lepiej*. Zrozumiano?

Była na granicy płaczu. Jej twarz pociemniała od krwi. Część z jej ludzi musiała zginąć. Ludzi, których znała od lat. Może nawet całe

życie. Osób, z którymi pracowała każdego dnia. Z niemal duchową przejrzystością dostrzegł głębię jej żalu i poczuł, jak rezonuje z jego własnym. Wszyscy musieli teraz czuć coś podobnego. Wszyscy żyjący na każdym statku widzieli, jak ukochane osoby giną i są kaleczone. A kiedy ludzie pogrążali się w żalu, robili rzeczy, których nie zrobiliby w innej sytuacji.

– Przyjrzyj się naszej sytuacji, Sam – odezwał się łagodnie Byk. – Popatrz na to, co my tu robimy. Niektóre rzeczy nie wrócą do normy. – Sam wytarła oczy mankietem, a Byk zwrócił się do lekarki. – Rozumiem i szanuję pani zalecenie medyczne, ale w tej chwili nie mogę z niego skorzystać. Gdy statek i załoga nie będą narażone na niebezpieczeństwo, rozważę to ponownie, ale do tego czasu ważniejsze jest, żebym pozostał na służbie. Czy może mi pani zapewnić funkcjonowanie umysłu?

– Na razie tak – odpowiedziała lekarka. – Ale zapłaci pan za to później.

– Dziękuję – powiedział Byk głosem miękkim i ciepłym jak flanela. – A teraz, główna inżynier Rosenberg, proszę o raport o zniszczeniach.

\* \* \*

Nie było dobrze.

Najlepsze, co Byk mógł powiedzieć po zapoznaniu się z raportem Sam i skonsultowaniu z lekarzami oraz pozostałościami ochrony, to fakt, że *Behemot* przetrwał sztorm w stanie lepszym, niż niektóre z pozostałych jednostek. Fakt, że został zaprojektowany i zbudowany jako arka pokoleniowa, oznaczał, że wszystkie złącza i systemy środowiskowe stworzono z uwzględnieniem długotrwałego zużycia. Kiedy nastąpiła zmiana, lecieli z prędkością nieznacznie poniżej dziesięciu procent wcześniejszej prędkości, maksymalnej w strefie.

Gwałtowne hamowanie, które dotknęło wszystkie statki równocześnie, spowalniając je z wcześniejszej szybkości do ledwie odczuwalnego dryfu w stronę pierścienia przechwyconych śmieci, trwało niecałe pięć sekund. Gdyby było natychmiastowe, nikt by go

nie przetrwał. Nawet przy hamowaniu rozciągniętym w czasie przeciążenie znajdowało się na granicy możliwego do przeżycia dla wielu z nich. Ludzie śpiący lub siedzący przy konsolach z pryczami przeciążeniowymi mieli szansę. Każdy, kto znajdował się w otwartym korytarzu lub wstający po kawę w niewłaściwym momencie, po prostu zginął. Naliczyli dwieście ofiar śmiertelnych i dwa razy tyle rannych. Trzy statki marsjańskie lecące znacząco szybciej od *Behemota* nie odpowiadały, a reszta zgłaszała dużą liczbę ofiar. Wielkie statki ziemskie były w nieznacznie lepszej sytuacji.

Co gorsza, sygnały radiowe i laserowe wychodzące przez Pierścień do pozostałości floty po drugiej stronie były zniekształcane do tego stopnia, że łączność stała się praktycznie niemożliwa. Nie, żeby miało to większe znaczenie. Powolna strefa – cholera, teraz już i on tak o niej myślał – robiła wszystko, co mogła, by przypomnieć im, jak wielkie panowały w niej odległości. Przy dostępnych teraz dla nich prędkościach dotarcie do Pierścienia trwałoby tyle, ile zajęło im przylocenie tu z Pasa. Przynajmniej miesiące, na dodatek na promach. Wszystkie statki zostały przechwycone.

Wszyscy, którzy pozostali przy życiu, byli zdani tylko na siebie.

Stacja ściągała ich w ciasną orbitę wokół jarzącej się niebieskiej struktury i żaden ciąg nie mógł w najmniejszym stopniu zmienić ich trasy. Nie mogli przyśpieszyć ani zahamować. Nikt nie leciał z ciągiem, co zdecydowanie pogarszało kryzys medyczny, ponieważ nieważkość komplikowała obrażenia. Sieć zasilania *Behemota*, osłabiona już i połamana po katastrofie z wystrzeleniem torpedy, doznała kaskadowej awarii obejmującej cały statek. Zespół Sam wędrował przez jednostkę, resetując wszystkie aktywowane bezpieczniki i dodając do bajzlu nowe łaty. Jeden z ziemskich statków znalazł się na skraju utraty pola magnetycznego w rdzeniu i przeszedł przez automatyczną procedurę wyłączenia, po której jedyne zasilanie zapewniały mu akumulatory, a inny walczył z zapaścią systemów środowiskowych po uszkodzeniu wymienników powietrza. Okręty marsjańskie mogły być w dobrym stanie lub zniszczone, ale marsjański dowódca nie dzielił się informacjami.

Gdyby prowadzili bitwę, oznaczałoby to zawstydzającą porażkę. A

to nawet nie był atak.

– To jak byś to nazwał? – zapytała Pa z ekranu terminala.

Przeżyli oboje: i ona, i Ashford. Ashford jeździł czołgiem po działaniach mających doprowadzić do odzyskania sprawności, próbując mikrozarządzaniem unieważnić kryzys. Pa została przez to u steru i koordynowała działania z innymi statkami. I tak bardziej się do tego nadawała. Przynajmniej była jakaś szansa, że będzie słuchać.

– Gdybym ja to robił, nazwałbym to progresywnym ograniczeniem – powiedział Byk. – Ten dupek, który przestrzelił Pierścień, wleciał tu, robiąc coś bardzo szybkiego i został wyhamowany. Mają tu zasady dotyczące ograniczenia prędkości. Potem Holden i ci marines lecą na stację i coś się dzieje. Ktokolwiek kontroluje stację, ostro ściągnął stery i wszystko zostało znacznie bardziej wyhamowane. Nie znam mechanizmu, dzięki któremu to robią, ale logika jest bardzo podstawowa. Daje nam tyle swobody, ile może, ale im bardziej pieprzymy sytuację, tym mocniej nas ściska.

– Dobra – zgodziła się Pa, przeczesując włosy dłonią. Wyglądała na zmęczoną. – Widzę logikę. Czyli jak długo to coś nie czuje się zagrożone, może sytuacja się nie pogorszy.

– Ale jeśli ktoś się wkurzy – mówił dalej Byk. – Nie wiem. Jakiś marsjański pendejo, który właśnie stracił wszystkich przyjaciół czy coś? Jeśli postanowi uzbroić atomówkę, podlecieć do stacji i odpalić broń, sytuacja może się zrobić gorsza.

– Rozumiem.

– Musimy skłonić wszystkich do współpracy – rzekł Byk. – Ziemię, Marsa i nas. Wszystkich. Bo gdybym to był ja, to eskalowałbym z unieruchomienia przez przyduszenie do zastrzelenia kogoś. Nie chcemy, żeby to coś postępowało zgodnie z tą samą...

– Powiedziałam, że *rozumiem*, panie Baca! – krzyknęła Pa. – To znaczy, że rozumiem, co chce pan powiedzieć. Może pan przestać powtarzać. Bo to, czego mi teraz *nie* potrzeba, to kolejny przekonany o swojej wyższości samiec mówiący mi, jak wysoka jest stawka i że lepiej, żebym niczego nie zepsuła. *Rozumiem. Dziękuję.*

Byk zamrugał, otworzył usta i znowu je zamknął. Na ekranie Pa ścisnęła podstawę nosa. W jej frustracji usłyszał echo zachowania

Ashforda.

– Przepraszam, pierwsza – powiedział. – Ma pani rację. Pozwoliłem sobie na zbyt wiele.

– Proszę się o to nie martwić, panie Baca – powiedziała, nadając każdej sylabie głębsze znaczenie. – Jeśli ma pan jakieś konkretne, określone rekomendacje, moje drzwi są zawsze otwarte.

– Doceniam to – zapewnił Byk. – A więc kapitan...

– Kapitan Ashford robi, co w jego mocy, żeby doprowadzić statek do działania. Uznał, że jego obecność na miejscu pozytywnie wpłynie na morale załogi.

*I jak się to sprawdza?* – chciał zapytać Byk, ale się pohamował. Nie musiał. Pa zobaczyła jego wysiłek.

– Może pan w to wierzyć lub nie, ale wszyscy jesteśmy w tej samej drużynie – rzuciła.

– Będę o tym pamiętał.

Wyraz jej twarzy sposepniał, gdy nachyliła się do ekranu w geście intymności całkowicie sztucznym w świecie nieważkości i połączeń wideo, a jednak mimo wszystko niemożliwym do zignorowania.

– Słyszałam o pańskim stanie. Przykro mi.

– Nic nie szkodzi – rzucił.

– Gdybym rozkazała panu poddać się śpiączce?

Roześmiał się. Nawet to wydało się sztuczne. Przycięte.

– Odejdę, gdy będę gotowy – odpowiedział, dopiero po fakcie uświadamiając sobie, że mogło to znaczyć dwie różne rzeczy. – Jak wyjdziemy z dołka, sprawę może przejąć lekarz.

– No dobrze – powiedziała, a jej terminal zadzwonił. Zakłęła cicho. – Muszę się rozłączyć. Skontaktuję się z panem później.

– Jasne – odpowiedział Byk i zakończył połączenie.

Mądrą decyzją byłoby pójść spać. Nie spał już od czternastu godzin, konsultując się z pozostałymi przy życiu członkami ochrony, planując nowy grafik służby, robiąc wszystko, co mógł z ambulatorium, by pomóc w przywróceniu funkcjonowania statku. Czternaście godzin to nie taka długa zmiana pośrodku kryzysu, tylko że został okaleczony.

Kaleka.

Z mdlącym uczuciem przesunął palcami po gardle, na pierś i do

niewidocznej linii, poniżej której jego skóra przestała sprawiać wrażenie ludzkiej i zmieniła się w coś innego. Mięso. Jego myśli nie chciały się na tym skupić. Bywał już ranny i zawsze z tego wychodził. Cztery czy pięć razy ocierał się o śmierć. Zawsze zdarzało się coś, co podnosiło go na nogi. Zawsze miał szczęście. Tym razem będzie tak samo. W jakiś sposób uda mu się ozdrowieć. Będzie miał kolejną historię do opowiedzenia, choć nie będzie komu.

Wiedział, że się okłamuje, ale co jeszcze mógł zrobić? Poza odsunięciem się. Może powinien. Niech Pa się tym zajmie. Może Ashford spróbuje po swojemu. Nikt nawet by na niego krzywo nie spojrział, gdyby zdecydował się na śpiączkę. Nawet Fred. Cholera, Fred pewnie powiedziała mu, żeby to zrobił. Rozkazały mu to zrobić.

Byk zamknął oczy. Uśnie albo nie. Albo odpłynie w jakiś stan półprzytomności, która nie była niczym do końca. Jedna z lekarek łąkała na korytarzu, wydając powolne, prawie automatyczne dźwięki, bardziej przypominające mdłości niż wyraz żalu. Gdzieś dało się słyszeć mokry kaszel. W tej chwili największym niebezpieczeństwem było zapalenie płuc. Nieważkość mieszała w czujnikach, które aktywowały różne rodzaje kaszlu oczyszczającego płuca, aż robiło się za późno. Poza tym dochodziło do udarów i zatorów, gdy krew, która powinna odpływać pod wpływem ciśnienia, zbierała się w jednym miejscu i krzepła. Na wszystkich statkach było tak samo. Urazy, które można było wyleczyć, zmieniały się w zabójcze z powodu nieważkości. Gdyby tylko mogli włączyć silniki. Wygenerować ciśnienie...

*Wszyscy jesteśmy w tej samej drużynie*, Pa powiedziała w jego półśnie, a Byk nagle całkowicie się obudził. Złapał swój terminal ręczny, ale Ashford i Pa odmawiali przyjmowania połączeń. Był środek ich nocy. Zastanowił się nad aktywacją obejścia awaryjnego, ale się nie zdecydował. Jeszcze nie. Najpierw spróbował Sam.

– Byku? – rzuciła do ekranu. Jej skóra wyglądała szarawo, a w kącikach ust zobaczył kreski, których wcześniej tam nie było. Jej krwistoczerwone oko wyglądało jak omen.

– Hej, Sam. Słuchaj, musimy ściągnąć wszystkie pozostałe załogi z innych statków na *Behemota*. Zebrać wszystkich razem, żeby nikt nie

zrobił nic głupiego.

– Dorzucić jeszcze kucyka?

– Jasne. Rzecz w tym, że musimy dać im powód do przylecenia tutaj. Coś, czego potrzebują, a nie dostaną nigdzie indziej.

– Brzmi świetnie – skomentowała Sam, potrząsając głową. – Może nie jestem u szczytu możliwości intelektualnych, ale czy ty mnie o coś pytasz?

– Wszyscy mamy rannych. Wszyscy potrzebują ciężenia. A ja pytam cię, ile czasu potrzeba by na rozkręcenie cylindra.



# Rozdział dwudziesty siódmy

## *Melba*

Ciemność była piękna i nierzeczywista. Statki zebrane razem przez niezwykłą moc stacji zbliżyły się do siebie bardziej, niż byłoby to możliwe pod kontrolą ludzi. Jedyne światło pochodziło z okazjonalnych reflektorów konserwacji zewnętrznych anten i nieziemskiego blasku stacji. Przypominało to spacer po cmentarzu w świetle księżyca. Pierścień statków i śmieci jarzył się we wschodzącym łuku przed nią i za nią, jakby dowolny wybrany przez nią kierunek prowadził w górę z miejsca, w którym się znalazła.

Skafander próżniowy miał ograniczoną ilość pędnika, a chciała zachować go na ucieczkę. Maszerowała przez próżnię, klikając magnetycznymi butami o kadłub *Prince'a*, aż dotarła do jego skraju i odepchnęła się w pustkę między statkami, celując w marsjański zaopatrzeniowiec. Składany egzozkieletowy mech i śluza awaryjna złożone na jej plecach miały masę prawie pięćdziesięciu kilogramów, ale przy identycznych kursach były równie nieważkie, jak ona. Wiedziała, że to tylko złudzenie, ale w beczasowej przestrzeni między *Thomasem Princem* a znieprawdym *Rosynantem* ciężary zdawały się lekkie.

Skafander oferował prosty wyświetlacz przezierny, na którym *Rosynant* obrysowany był cienką zieloną linią. Nie był najbliższym statkiem. Droga do niego zajmie jej całe godziny, ale nie martwiła się tym. Był równie uwięziony, jak pozostałe, nie mógł nigdzie uciec.

Nuciła pod nosem, wyobrażając sobie dotarcie na miejsce.

Powtarzając procedurę. Pozwoliła sobie pomarzyć o tym, jak tam będzie: Jim Holden wraca ze stacji. Wyobraziła sobie, jak szaleje z wściekłości, widząc, jak niszczy jego statek. Jak łka i błaga o przebaczenie i widziała wyraz rozpaczony w jego oczach, gdy mu odmówi. To były piękne marzenia i otulona nimi bezpiecznie mogła zapomnieć o krwi i koszmarze zostawionym za sobą. Nie tylko o katastrofie na *Prinsie*, ale o wszystkich – o Renie, ojcu, Julie, o wszystkim. Słaby błękitny blask nie-księżycy kojarzył się jej z domem, a zbliżająca się przemoc była jak zbliżająca się do zrealizowania obietnica.

Jeśli był w niej jeszcze jakiś kawałek niej, ułamek Clarissy uważający inaczej; kawałek, który nie został zmiażdżony, był na tyle mały, że łatwo było go zignorować.

Oczywiście, było równie prawdopodobne, że kiedy tam dotrze, wszyscy będą martwi. Katastrofa musiała uderzyć w nich równie mocno, jak w *Thomasa Prince'a* czy pozostałe statki. Załoga Holdena mogła być już tylko stygnącym mięsem, czekającym na jej przybycie i podpalenie stosu pogrzebowego. W tym, pomyślała, też kryło się piękno. Biegła po powłokach statków i przeskakiwała z jednego na drugi jak impuls nerwowy pokonujący synapsy. Jak zły pomysł wymyślany przez olbrzymi, oświetlony księżycem mózg.

Powietrze w skafandrze pachniało starym plastikiem i potem. Uderzenia magnetycznych butów przyciągających ją do statków i ponownie uwalniających przenosiły się w górę nóg: przyciągnięcie i zwolnienie, przyciągnięcie i zwolnienie. A przed nią, powoli jak ruch godzinowej wskazówki analogowego zegara, coraz bardziej rósł zielony obrys *Rosynanta*.

Znała jego specyfikację na pamięć. Studiowała ją całymi tygodniami. Marsjańska korweta, oryginalnie przydzielona do zniszczonego *Donnagera*. Punktami wejścia były śluza załogowa tuż poniżej mostka, rufowe drzwi ładowni i właz techniczny wychodzący pod reaktorem. Jeśli reaktor pracował, właz techniczny był zablokowany. Dziobowa śluza prawie na pewno miała zmieniony profil bezpieczeństwa od czasu przejęcia go przez Holdena. Tylko idiota by go nie zmienił, a Melba nie chciała uwierzyć, że dureń

potrafiłby obalić jej ojca. Rejestr serwisowy, który zdołała podejrzeć, sugerował, że drzwi ładowni zostały już raz przebite. Naprawy niemal zawsze były słabsze od oryginalnej struktury. Wybór był prosty.

Ułożenie statku umieściło drzwi ładowni po jego drugiej stronie, z kadłubem *Rosynanta* kryjącym słaby punkt przed światłem. Melba wkroczyła w cień i zadrżała, jakby w ciemności faktycznie było zimniej. Zamocowała mecha do powłoki skafandra i złożyła go do pozycji roboczej w świetle zintegrowanych reflektorów. Mech miał żółty kolor świeżych cytryn i taśmy policyjnej. Przestrogi wydrukowane trzema alfabetami były jak małe kamienie z Rosetty. Odczuła niewytłumaczalną sympatię do maszyny, gdy mocowała ją do pleców i wsuwała palce w manipulatory. Mecha nie zaprojektowano do przemocy, ale nadawał się do niej. W tym był podobny do niej.

Zapaliła palnik do cięcia, a maska skafandra próżniowego ściemniała. Melba przywarła do statku i zaczęła powolną inwazję. W ciemność wokół niej odpływały iskry i drobne asteroidy stopionej stali. Prace przeprowadzone w miejscu, gdzie drzwi ładowni zostały odgięte i naprawione, były prawie niewidoczne. Gdyby nie wiedziała, gdzie szukać, pewnie nie zauważyłaby słabego punktu. Zastanawiała się, czy wiedzą, że nadchodzi. Wyobraziła sobie, jak kulą się przy ekranach monitoringu z oczami rozszerzonymi strachem z powodu tego, co wgryzało się pod skórę *Rosynanta*. Stwierdziła, że śpiewa sobie cicho fragmenty popularnych piosenek i starych świątecznych melodii, cokolwiek przyszło jej do głowy. Strzępki słów i nut pasujących do szumu wibracji palnika.

Przebiła *Rosynanta*, a od kadłuba odskoczył fragment jarzącej się stali, nie szerszy niż palec. Przez otwór w próżnię nie wylatywało powietrze, czyli ładownia nie była pod ciśnieniem. To znaczyło, że w środku nie doszło do spadku ciśnienia i nie włączyły się alarmy statku. Jeden problem rozwiązał się sam. Odebrała to jak uśmiech losu. Zgasiła palnik i rozłożyła śluzę awaryjną, uszczelniając ją przy włazie. Rozpięła zewnętrzną warstwę, zamknęła ją, odpięła wewnętrzną warstwę i weszła do małego, zrobionego właśnie pokoiku. Nie wiedziała, ile zniszczeń będzie musiała wykonać, żeby dostać się do wewnętrznych części statku, a nie chciała, żeby utrata

atmosfery pozbawiła ją możliwości dokonania zemsty. Holden musiał wiedzieć, kto mu to zrobił, nie powinien oddawać ostatniego tchnienia, myśląc, że statek po prostu się zepsuł.

Ostrożnie wsunęła rękę mecha do otworu, zaparła się i odgięła drzwi ładowni, rozchylając długie płyty stali jak płatki kwiatu. Kiedy otwór był dostatecznie duży, chwyciła jego brzegi w mechaniczne dłonie i wcisnęła się do ładowni. Wzdłuż podłogi i ściany zobaczyła pełno skrzyń towarowych, utrzymywanych na miejscu elektromagnesami. Jedna się roztrzaskała, wyraźnie padając ofiarą katastrofy. W próżni unosiła się chmura pakietów proteinowych. Dioda LED na panelu przy wewnętrznej śluzie powietrznej świeciła na zielono: ładowni nie zablokowano. Czemu miałoby to robić? Wcisnęła przycisk otwarcia śluzy, weszła do środka i aktywowała cykl. Gdy zapaliła się zielona kontrolka ciśnienia, wysunęła ręce z mecha i zdjęła hełm. Nie rozbrzmiewały żadne ostrzeżenia, nie słyszała żadnych krzyczących ani groźących głosów. Udało jej się wejść do środka bez uruchomienia alarmu. Od uśmiechu rozboleły ją policzki.

Włożyła ręce z powrotem do mecha, otworzyła wewnętrzne drzwi śluzy i znieruchomiła. Nadal żadnych alarmów. Melba delikatnie, cicho odepchnęła się na terytorium wroga.

*Rosynanta* zbudowano piętrami, od reaktora, przez pokład maszynowni, warsztat, kambuz, kabiny załogowe i ambulatorium, pokład magazynowy ze śluzą załogową, aż po mostek i stanowisko pilota na samej górze. Przy locie z ciągiem przypominało to wąski budynek, ale bez ciągu na statku nie było żadnych kierunków.

Musiała teraz dokonać wyboru. Ładownia była dostatecznie blisko, by zapewnić jej dostęp do maszynowni i reaktora. Mogła się tam zakraść i doprowadzić do przeciążenia reaktora. Mogła też iść do góry, spróbować zaskoczyć załogę i ustawić samozniszczenie okrętu z pokładu dowodzenia.

Odetchnęła głęboko. Standardowo załoga *Rosynanta* składała się z czterech osób, włącznie z Holdenem, a nie wiedziała, czy ekipa dokumentalistów wciąż jest na pokładzie. Przynajmniej dwie osoby z załogi miały wojskowe szkolenie i doświadczenie. Może zdoła ich pokonać w walce, ale tylko jeśli uda jej się ich zaskoczyć lub walczyć z

nimi pojedynczo.

Ryzyko było za duże. Reaktor był najbliżej, stanowił najłatwiejszy cel i mogła się wydostać przez ładownię. Pchnęła się wzdłuż korytarzy, znanych tylko z symulacji, w stronę reaktora i zniszczenia statku.

Kiedy otworzyła włącz do maszynowni, zobaczyła kobietę unoszącą się nad otwartym panelem sterowania z lutownicą w jednej ręce i kłębem drutu w drugiej. Miała wydłużoną sylwetkę, nieco za dużą głowę kogoś dorastającego w warunkach niskiego ciężenia, brązową skórę i ciemne włosy ściągnięte w prosty ogonek. Naomi Nagata, kochanka Holdena.

Melba odczuła nagłe pragnienie zderzenia z siebie egzozkieletowego mecha, przesunięcia językiem po podniebieniu i odczucia chemicznego doładowania. Chciała chwycić gołymi rękami chudy kark Pasiarki i poczuć, jak pękają kości. W ten sposób idealnie ziściłby się trwający od roku sen o zemście. Tylko że na statku byli jeszcze dwaj członkowie załogi, a ona nie wiedziała, gdzie są. Gwałtownie powróciło przerażenie odczuwane przez nią w obskurnym kasynie w Baltimore. Bezradne czołganie się po podłodze w zapaści po zastrzyku hormonów, gdy ludzie walili w drzwi, żeby dostać się do środka. Nie mogła zaryzykować zapaści do czasu, aż dowie się, gdzie są wszyscy.

Słyszając dźwięk przy drzwiach, Naomi podniosła wzrok z radością w ciemnych oczach, jakby przerwanie pracy było miłą niespodzianką, a potem w jej spojrzeniu zobaczyła szok i zimną furję.

Przez chwilę żadna z nich się nie ruszała.

Kobieta z krzykiem rzuciła się na Melbę, kręcąc przed sobą kłębem drutu. Melba próbowała się uchylić, ale uniemożliwiła jej to masa mecha i jego wolne reakcje. Drut uderzył ją w lewy policzek z dźwiękiem cegły spadającej na ziemię i przez chwilę dzwoniło jej w uszach. Uniosła ramię mecha w niezgrabnym bloku, uderzając Pasiarkę w żebra i nadając im obu ruch wirowy. Sięgnęła do uchwytu, nie trafiła i spróbowała złapać inny. Manipulator mecha zacisnął się na nim, zgniatając metal na płasko i prawie wyrywając go ze ściany, ale Pasiarka była przed nią, kierując się w stronę Melby z zębami wyszczerzonymi jak u rekina. Spróbowała użyć wolnej ręki mecha do

odrzućenia jej, ale kobieta była już zbyt blisko. Chwyciła przód skafandra Melby i użyła zaczepu do walenia jej kolanem w żebra. Każde uderzenie podkreślała słowem.

– Nie. Będiesz. Mi. Niszczyc. Mojego. *Statku*.

Melba poczuła, że jej żebro pęka. Sięgnęła językiem do podniebienia, ale znowu nie zrobiła dwóch kręgów, które napęłniłyby jej krew ogniem. Musiała być przytomna i sprawna po zakończeniu tej walki. Zacisnęła zęby i podwinęła wolną rękę mecha, zginając ją do siebie, a potem gwałtownie zacisnęła dłoń. Pasiarka krzyknęła. Szpon mecha chwycił ją za ramię. Melba ścisnęła jeszcze mocniej i usłyszała stłumiony, mokry dźwięk pękającej kości.

Rzuciła przeciwniczkę przez pomieszczenie najmocniej, jak pozwoliły na to silniki. Kiedy kobieta odbiła się od ściany po drugiej stronie, zostawiła na niej plamę krwi. Melba czekała, obserwując Pasiarkę wirującą w powietrzu, bez żadnego kierunku i bezwładną jak szmaciana lalka opadająca na dno basenu. Na karku i barku kobiety rosła półkula krwi.

– Zrobię, co będę chciała – warknęła Melba głosem, który zabrzmiał jak należący do kogoś innego.

Ostrożnie przesunęła się do panelu sterowania. Jego wierzch zdjęto i przymocowano do pokładu długim kawałkiem taśmy klejącej. Wnętrze było płataniną płytek drukowanych i przewodów. *Rosynant* został uszkodzony podczas katastrofy, ale nie na tyle, by Melba nie mogła zrobić tego, co chciała. Wysunęła się z mecha, trzasnęła kostkami, prześledziła przebieg przewodów do głównych węzłów sterowania i podpięła je z powrotem do panelu. Lokalna kontrola pamięci trwała tylko kilka sekund, a wymusiła rezygnację z pełnego sprawdzenia systemu. Nie potrafiłaby tego zrobić przed opuszczeniem Ziemi, ale Melba Koh spędziła wiele miesięcy, ucząc się o budowie i działaniu okrętów wojskowych. Było to dokładnie coś w rodzaju rzeczy, które Soledad, Stanni i Bob sprawdziliby, pracując przy konserwacji systemów. Jedną z rzeczy, których nauczył ją Ren.

Jej palce zwinęły się, na chwilę tracąc kontakt z klawiaturą, ale szybko się opanowała.

Na ekranie pojawiły się parametry sterowania reaktora. Zwolnienie

pola magnetycznego, które powstrzymywało rdzeń reaktora od przetopienia się przez statek, specjalnie zaprojektowano tak, by nie dało się tego zrobić szybko. Zmiana parametrów reakcji w taki sposób, żeby w końcu przełamała zdolność pola magnetycznego do ograniczenia jej – też nie była łatwa, ale łatwiejsza. A takie podejście zapewni jej dodatkowy czas na poinformowanie Holdena o tym, co zrobiła, oraz ucieczkę ze statku i powrót na *Thomasa Prince'a*. W panującym tam dzisiaj chaosie może nawet nikt nie zorientuje się, że ktoś przeżył zniszczenie *Rosynanta*.

Jej jedynym ostrzeżeniem był ruch na skraju pola widzenia, ale to wystarczyło. Melba wykręciła się z drogi i ciężki klucz Pasiarki ze świstem przeleciał przez miejsce, gdzie przed chwilą była jej skroń. Odepchnęła się do tyłu nogami, gorączkowo wciskając się z powrotem w osłonę mecha. Spięła się, czekając na atak, ale nie nadeszły żadne ciosy. Wepchnęła się w objęcia metalu i gwałtownie wcisnęła dłonie w uchwyty wspomaganych ramion, łapiąc się ściany i odwracając do walki w chwili, gdy Pasiarka popatrzyła na nią znad panelu sterowania. Po jej szyi płynęła krew utrzymywana na miejscu przez napięcie powierzchniowe, ale Pasiarka uśmiechała się z triumfem. Panel sterowania błyskał na czerwono i przesuwwały się przez niego jakieś komunikaty, ale zbyt szybko, by je przeczytać. Światła w maszynowni zgasły, a po chwili do życia obudziły się awaryjne diody LED. Melba znowu poczuła, że ściska ją w gardle.

Kobieta zrzuciła rdzeń. Reakcja, którą chciała doprowadzić do zniszczenia statku, rozpraszała się właśnie w chmurę gazu za jednostką. Uśmiech Pasiarki był groźny i triumfujący.

– To niczego nie zmienia – oświadczyła Melba. Mówienie bolało. – Macie torpedy. Wysadzę jedną z nich.

– Po moim trupie – warknęła Pasiarka i znowu zaatakowała.

Ale jej zamach był krzywy. Niezdarny. Klucz uderzył w staw mecha, ale niczego nie uszkodził. Kobieta odepchnęła się poza jej zasięg chwilę przed tym, jak Melba na nią machnęła. Jej przeciwniczka w ogóle nie ruszała uszkodzoną ręką i zostawiała za sobą wirujące krople krwi za każdym razem, gdy zmieniała kierunek.

Melbę zaciekawiło, dlaczego Naomi nie próbuje wzywać pomocy.

Na tak małym statku otwarcie połączenia było czasem równie proste, jak wypowiedzenie polecenia na głos. Komputer mógł być wyłączony, reszta załogi nie żyć, albo po prostu o tym nie pomyślała. To nie miało znaczenia. Nie zmieniało tego, co Melba musiała zrobić. Przesunęła się w prawo, lecąc przez przestrzeń od uchwytu do uchwytu, ani przez chwilę nie dając Naomi szansy na złapanie jej w powietrzu bez punktu zaczepienia, by mogła wypchnąć ją w powietrze na środku pomieszczenia. Pasiarka przysiadła przy ścianie, ciemnymi oczami rozglądając się na wszystkie strony w poszukiwaniu czegoś, co da jej przewagę. Nie zobaczyła w nich strachu ani innych uczuć. Melba nie wątpiła, że jeśli tylko Naomi będzie miała ku temu okazję, zabije ją.

Dotarła do wjazdu, zaciskając manipulator mecha na uchwycie, a potem uwolniła jedną rękę, by sięgnąć do panelu sterowania. Była to świadoma prowokacja. Zadziałała. Przeciwniczka skoczyła, nie prosto na Melbę a na pokład nad nią, potem odwróciła się, odepchnęła nogami i poleciała w dół, celując piętami w głowę Melby.

Ta szybkim ruchem cofnęła rękę z powrotem do mecha i uniosła wolny manipulator, chwytając Pasiarkę w locie. Trzymany drugą ręką uchwyt oderwał się od ściany i obie odleciały głębiej w otwartą przestrzeń pomieszczenia. W zacisku mecha znalazła się niesprawna ręka Pasiarki, która zaczęła gwałtownie kopać. Jeden z ciosów trafił i Melba na chwilę przestała cokolwiek widzieć. Zamachnęła się ręką, potrząsając Pasiarką w powietrzu jak terier złapanym szczurem, a potem zdołała wykręcić drugą rękę i złapać kobietę za szyję.

Sprawna ręka Pasiarki gwałtownie skoczyła do uchwytu, a na jej twarzy pojawiła się panika. Szeroko otworzyła świecące oczy. Obie dobrze wiedziały, że wystarczyłby drobny ruch palców Melby, żeby zmiażdżyć jej gardło. Poczuli ogarniający ją triumf i potężną falę radości. Może nie było tu Holdena, ale złapała jego kochankę. Zabierze mu kogoś ukochanego, tak jak on zabrał jej ojca. To już nawet nie była walka, tylko sprawiedliwość.

Twarz Pasiarki robiła się coraz bardziej czerwona, a jej oddech nierówny i zduszony. Melba wyszczerzyła się w uśmiechu, ciesząc się chwilą.

– To jego wina – powiedziała. – To wszystko mu się należało.



Naomi próbowała szarpać zaciśnięte szpony mecha. Cieknąca po nich krew mogła pochodzić z wcześniejszej rany albo uścisk mógł już uszkodzić skórę. Melba troszkę mocniej ścisnęła palce, prawie nie używając siły. Silniki wspomagania mecha zaszumiały, zaciskając uchwyt o kolejny milimetr. Pasiarka próbowała coś powiedzieć, przepychając słowa przez dławioną tchawicę, a Melba wiedziała, że nie może pozwolić jej mówić. Nie mogła pozwolić jej na błaganie i płacz o zmiłowanie. Gdyby to zrobiła, Melba nie była pewna, czy potrafiłaby zrobić to, co wymagało dokończenia zadania. *Współczucie jest dla słabych*, usłyszała głos ojca w swoim uchu.

– Jesteś Naomi Nagata – powiedziała Melba. – Ja nazywam się Clarissa Melpomene Mao. Ty i twoi ludzie zaatakowaliście moją rodzinę. To wszystko, co się tu stało; to, co jeszcze się wydarzy – to *wasza wina*.

W oczach Pasiarki gasło światło. Jej oddech robił się coraz bardziej chrapliwy. Wystarczyło tylko ścisnąć. Musiała tylko zebrać palce w pięść, by złamać kark kobiety.

Resztką sił Pasiarka uniosła wolną rękę w obelżywym geście sprzeciwu.

Melba poczuła mrowienie w całym ciele, jakby weszła w strumień wody ze strażackiego węża. Jej głowa powędrowała do tyłu, pociągnięta skurczem kręgosłupa. Gwałtownie rozrzuciła ręce, a palce u nóg zwinęły się, jakby miały się oderwać. Usłyszała własny krzyk. Mech powtórzył jej gest rozłożenia rąk i znieruchomiał, pozostawiając ją ukrzyżowaną w metalowym rusztowaniu. Mrowienie ustało, ale nie mogła się ruszyć. Niezależnie od tego, jak bardzo się starała, mięśnie nie reagowały.

Naomi odsunęła się i oparła o najbliższą ścianę, dysząc i ociekając krwią.

– Kim jesteś? – wycharczała.

*Jestem zemstą*, pomyślała Melba. Ucieleśnieniem twojej śmierci. Ale głos, który usłyszała, zabrzmiał zza jej pleców.

– Anna. Mam na imię Anna. Wszystko w porządku?

# Rozdział dwudziesty ósmy

## *Anna*

Kobieta, Naomi Nagata, odpowiedziała, wykasłując pęcherz krwi.

– Jestem idiotką, oczywiście, że nic nie jest w porządku – powiedziała Anna i podleciała do niej, zatrzymując się, by odepchnąć wciąż drgającą Melbę na drugą stronę maszynowni.

Dziewczyna w mechu przedryfowała przez pomieszczenie, odbiła się od ściany i znieruchomiła kilka metrów dalej.

– Szafka awaryjna – wycharczała Naomi i wskazała czerwony panel na ścianie.

Anna otworzyła ją i znalazła w środku latarki, narzędzia oraz czerwono-białą torbę podobną do tej, którą Tilly nosiła na *Prinsie*. Chwyciła ją. Kiedy Anna wyciągała paczkę bandażu i puszkę rozpylanego koagulantu na paskudną ranę na ramieniu Naomi, Pasiarka sięgnęła po kilka ampułkostrzykawkę i zaczęła je sobie wstrzykiwać po kolei, fachowymi i wyćwiczonymi ruchami. Anna czuła, jakby coś odrywało się w jej rękach za każdym razem, gdy owijała bandażem pierś Naomi i prawie poprosiła o jeszcze jeden zastrzyk dla siebie.

\* \* \*

Kilka lat temu Anna uczestniczyła w seminarium na temat posługi dla uzależnionych od narkotyków. Instruktor, pielęgniarz psychiatryczny, Andrew Smoot, wielokrotnie podkreślał, że narkotyki nie zapewniają

jedynie przyjemności i bólu. Zmieniają sposób odbioru świata, zdzierają zahamowania i najczęściej prowadzą do przesadnego nasilenia najgorszych nawyków lub tendencji przyjmującej je osoby, co nazwał „ześlizgiwaniem się”. Introwertyk zwykle robił się jeszcze bardziej wycofany, a osoba o skłonnościach do agresji dopuszczała się przemocy. Ktoś impulsywny robił się jeszcze bardziej podatny na takie działania.

Anna rozumiała ten proces intelektualnie. Po prawie trzech godzinach wędrówki przez próżnię amfetamina podana jej przez Tilly zaczęła się wyczerpywać, a równocześnie powoli powracała jej jasność myślenia, z której braku nie zdawała sobie dotąd sprawy. Poczula, że zaczyna znacznie lepiej rozumieć, jak wygląda jej staczenie się.

Anna spędziła tylko kilka lat, żyjąc pośród Pasiarzy i mieszkańców planet zewnętrznych, ale to wystarczyło, by zrozumieć, że ich filozofia sprowadza się do „brak wiedzy cię zabije”. Tak naprawdę nie rozumiał tego nikt dorastający na Ziemi, niezależnie od tego, ile czasu spędził później w kosmosie. Żaden Pasiarz nie wbiłby się w skafander próżniowy z plecakiem manewrowym i nie wyleciał przez śluzę, nie sprawdzając wcześniej dokładnie, jak wygląda sytuacja po drugiej stronie. Nawet nie przyszłoby mu to do głowy.

Co gorsza, wypadła przez śluzę, nie zatrzymując się nawet po to, żeby wysłać wiadomość do Nono. W jej głowie echem odbijały się słowa *nie prosisz o pozwolenie, tylko o przebaczenie*. Jeśli zginie, robiąc to, Nono każe zamieścić te słowa na jej grobie jako epitafium. Nigdy nie będzie miała szansy ostatni raz przeprosić.

Pełen jaskrawych kolorów wyświetlacz zdający się stale unosić na skraju pola jej widzenia, niezależnie od tego, gdzie kierowała głowę, twierdził, że miała jeszcze 83 procent tlenu. Niewiedza na temat tego, na ile wystarczał pełny zbiornik powietrza, pozbawiała ją potrzebnego kontekstu.

Gdy spróbowała zwolnić oddech i powstrzymać się przed paniką, wskaźnik przeskoczył na 82 procent. Jak długo utrzymywał się wcześniej na 83? Nie pamiętała. Ogólne uczucie mdłości skłoniło ją do rozważań, jak fatalne byłoby zwymiotowanie do skafandra

kosmicznego, co tylko nasiliło mdłości.

Dziewczyna – Melba czy Claire – była daleko przed nią i zwiększała dystans, poruszając się z gracją wynikającą z wprawy. Dla niej chodzenie w skafandrze kosmicznym z magnetycznymi butami było czymś normalnym. Anna spróbowała przyśpieszyć i zdołała tylko kopnąć sobie drugiego buta i przestawić magnes na taką siłę przyciągania, że nie potrafiła oderwać go od kadłuba. Impet ruchu został powstrzymany potężnym uściskiem magnesu. Po kilku sekundach straconych na znalezienie sposobu rozwiązania problemu w końcu odnalazła elementy sterujące i osłabiła siłę uchwytu do zakresu właściwego dla normalnego człowieka. Zrezygnowała już potem z pośpiechu, skupiając się na bezpiecznym, równym tempie. Powoli do przodu, choć nie miała szans na wygranie wyścigu. Straciła dziewczynę z pola widzenia, ale powiedziała sobie, że to nie ma znaczenia. Domyśliła się, gdzie może się kierować Clarissa Mao. Albo Melba Koh. Kimkolwiek była ta kobieta.

Widziała wcześniej obrazy *Rosynanta* w strumieniach wiadomości. Statek był pewnie tak sławny, jak to tylko możliwe. Rola odgrywana przez Jamesa Holdena podczas zdarzeń na Erosie i Ganimedzie – wraz z prowadzonymi przez niego walkami i akcjami przeciw piratom – sprawiały, że jego mała fregata ciągle pojawiała się w wiadomościach. O ile tylko nie natknie się na dwie zaparkowane obok siebie marsjańskie korwety, Anna będzie umiała go rozróżnić.

I po piętnastu długich minutach udało jej się to.

*Rosynant* przypominał przysadzisty metalowy klin, szeroki, położony na boku przecinak. Płaską powierzchnię kadłuba miejscami przerywały wystające kopułki. Anna nie znała się na statkach dostatecznie, by wiedzieć, co się w nich mieściło. Choć w sumie to okręt wojenny, więc może były to działa, ale zdecydowanie nie drzwi. Statek zwrócony był do niej rufą i jedynym widocznym otworem była wielka dysza silnika. Podeszła do brzegu statku, na którym się znajdowała, i przeszła wzdłuż jego boku, próbując lepiej przyjrzeć się *Rosynantowi*, zanim na niego skoczy. Ironia przyglądania się *Rosynantowi* z rozmysłem tak późno podczas wyprawy wzbudziła w niej śmiech i poczuła, że ustępuje część napięcia i mdłości.

Tuż na prawo od stożka dyszy do statku przywarła plastikowa bańka, blada jak pęcherz. Chwilę później Anna przedostała się przez ranę w boku jednostki i znalazła się w jej środku. Gdy rozglądała się po labiryncie skrzyń przymocowanych magnesami do ścian, dotarło do niej, że nie pomyślała, co zrobi, kiedy już tu dotrze. Czy to pomieszczenie miało jakieś połączenie z resztą statku? Drzwi za jej plecami nie miały śluzu powietrznej, a to prawdopodobnie znaczyło, że zwykle panowała tu próżnia. Nie miała pojęcia, gdzie ktokolwiek mógłby być względem tego pomieszczenia, a co gorsza – nie wiedziała, czy ścigana przez nią dziewczyna wciąż nie siedziała tutaj, kryjąc się za jedną ze skrzyń.

Anna ostrożnie przesuwiała się od skrzyni do skrzyni, przemierzając całą długość wąskiego pomieszczenia. Kawałki plastiku i liofilizowanego jedzenia unosiły się wokół niej jak chmura dziwnych owadów. Uszkodzone skrzynie mogły być pozostałością lotu lub efektem nagłego ograniczenia prędkości, nie było sposobu na sprawdzenie tego. Sięgnęła do małej torby przymocowanej do skafandra i wyciągnęła z niej taser. Nigdy jeszcze nie strzelała z paralizatora w nieważności ani w próżni. Miała nadzieję, że te warunki nie wpływają na działanie broni. Kolejne ryzyko, którego nie podjąłby żaden Pasiarz.

Ku swojej wielkiej uldze na drugim końcu pomieszczenia znalazła służbę, która otworzyła się po naciśnięciu przycisku na panelu. Cykl napełniania trwał kilka minut, podczas których Anna zdjęła z pleców ciężki zestaw manewrowy i uważnie obejrzała taser, upewniając się, że potrafi szybko obsłużyć bezpiecznik. Wojskowy sprzęt zaprojektowano bardzo intuicyjnie, ale nie miał tak wyraźnych oznakowań jak znane jej cywilne modele. Panel błysnął zielenią i otworzyły się wewnętrzne drzwi.

Nikogo nie zobaczyła. Tylko pokład przypominający warsztat z szafkami na narzędzia, blatami i osadzoną w ścianie drabiną. Na obu końcach drabiny znajdowały się włazy – jeden prowadzący w stronę dziobu statku, drugi na rufę. Anna uznała, że ma największe szanse na spotkanie członków załogi, idąc w stronę dziobu, gdy rozległ się głośny metaliczny brzęk i zgasły wszystkie światła.

Chwilę później ożyły osadzone w ścianach żółte diody, a z głośników zabrzmiał ni to męski, ni to kobiecy głos, ogłaszając kilka razy informację o zrzuconiu rdzenia i zasilaniu awaryjnym. Jej hełm stłumił dźwięk, ale i tak upewniła się, że na statku jest powietrze. Zdjęła hełm i zawiesiła go na uprzęży.

Anna była prawie pewna, że rdzeń zrzuca się tylko w sytuacjach awaryjnych, dotyczących maszynowni, więc skierowała się w stronę rufy. Bez nieustannego dudnienia statku i hełmu na głowie słyszała docierające przez właz ciche dźwięki. Potrzebowała kilku długich chwil na zorientowanie się, jak otworzyć właz, a gdy w końcu to zrobiła, kłapa otworzyła się tak gwałtownie, że Anna prawie krzyknęła z zaskoczenia.

Po drugiej stronie Melba właśnie kogoś mordowała.

Pasiarska kobieta z długimi, ciemnymi włosami, w usmarowanym kombinezonie miała właśnie gardło miażdżone mechanicznymi rękami noszonymi przez Melbę. Kobieta – Anna rozpoznała w niej pierwszą oficer Jamesa Holdena, Naomi Nagatę – wyglądała, jakby Melba ciężko ją pobiła. Rękę i ramię miała pokryte krwią, a twarz stanowiła jedną masę zadrapań i siniaków.

Anna opuściła się do sklepionego pomieszczenia. Ściany sali reaktora zakrzywiały się do środka jak w kościele, tworząc katedrę wieku fuzji. Poczowała niemal przemożną potrzebę śpieszenia się, ale wiedziała, że będzie miała tylko jedną szansę na strzał, a nie ufała sobie na tyle, by strzelić w ruchu.

Twarc Naomi ciemniała, wzbierając krwią. Oddychała nierówno i chrapliwie. Pasiarka w jakiś sposób zdołała unieść rękę i pokazać Melbie obelżywy gest. Stopy Anny dotknęły pokładu, a jej buty przywarły do niego. Znajdowała się niecałe trzy metry za Melbą, gdy jej palec nacisnął spust paralizatora, celując w obszar pleców niepokryty przez ramię mecha w nadziei, że taser zadziała przez skafander próżniowy.

Spudłowała, ale wynik i tak był imponujący.

Zamiast przebić tkaninę skafandra Melby, dwie strzałki tasera trafiły w sam środek mecha. Ciągące się za nimi przewody natychmiast zrobiły się jasnoczerwone i zaczęły się rozpadać jak

spalona nić. Taser zrobił się tak gorący, że Anna poczuła to nawet przez rękawicę, więc puściła broń, zanim stopiła się w kulę szarego plastiku. Mech rozgiął się gwałtownie, prostując ręce. W pomieszczeniu rozeszła się woń palonych przewodów elektrycznych. Wszystkie włosy Melby sterczały wyprostowane, a nawet gdy taser przestał działać, jej palce i nogi dalej drgały i szarpały się w niekontrolowany sposób. Na małym ekranie na ramieniu mecha zaczął migać kod błędu.

– Kim jesteś? – zapytała Naomi Nagata, dryfując w sposób sugerujący Annie, że opadłaby na podłogę nawet w najłżejszym ciężeniu.

– Anna. Mam na imię Anna – przedstawiła się. – Wszystko w porządku?

\* \* \*

Po trzecim zastrzyku Naomi odetchnęła głęboko, choć wciąż drżąc.

– Kto to Anna?

– Anna to ja – odpowiedziała i zaśmiała się pod nosem. – Pytasz, kim jestem? Pasażerką *Thomasa Prince'a*.

– ONZ? Nie wyglądasz na kogoś z floty.

– Nie, jestem pasażerką. Należę do grupy doradczej wysłanej przez sekretarza generalnego.

– Cyrk – skomentowała Naomi i syknęła z bólu, gdy Anna mocniej zacisnęła bandaż i aktywowała zaczep, który uniemożliwiał jego rozwinięcie się.

– Wszyscy tak to nazywają – potwierdziła Anna, sprawdzając opatrunek. W tej chwili żałowała, że nie przykładała się bardziej do kościelnych zajęć z pierwszej pomocy. Oczyszczyć drogi oddechowe, zatrzymać krwawienie i unieruchomić uszkodzone kończyny: to w zasadzie cała jej wiedza medyczna.

– Bo tym jest – skomentowała Naomi, a potem sprawną ręką sięgnęła do szczebla pobliskiej drabiny. – To polityczne bzdur...

Jej słowa stłumił mechanicznie brzmiący głos oznajmiający:

– Restart ukończony.

Anna się odwróciła. Melba patrzyła na nie z włosami wciąż sterczącymi sztywno, ale jej ręce nie drgały już w niekontrolowany sposób. Eksperymentalnie poruszyła rękami, a egzoszkieletowy mech zawył, zawahał się i poruszył się posłusznie.

– O kurwa – zaklęła Naomi. Brzmiała na zirytowaną, ale wcale nie na zaskoczoną.

Anna sięgnęła po taser i dopiero po chwili przypomniała sobie, że się stopił. Melba wyszczerzyła zęby.

– Tędy – rzuciła Naomi, a nad nimi odsunął się właz. Anna przemknęła przez niego tuż przed Naomi, która użyła sprawnej ręki do przeciągnięcia się na drugą stronę. Melba rzuciła się za nimi, sięgając nogą, by odepchnąć się od obudowy reaktora.

Naomi podciągnęła nogę, w ostatniej chwili unikając złapania przez szpony mecha, i wcisnęła stopą przycisk blokady, zatraskując właz na nadgarstku mecha. Siłownik włazu zawył, próbując dokończyć zamykanie, i zgniótł szpon w fontannie iskier i oderwanych części. Anna spodziewała się krzyku bólu, który jednak nie zabrzmiał, i dopiero po chwili zrozumiała, że rękawice używane przez Melbę do sterowania maszyną znajdują się w przedramionach mecha, kilka centymetrów poniżej miejsca uszkodzenia. Nie skrzywdziły kobiety, która poświęciła sprawność jednego z chwytaków maszyny, by uniemożliwić zamknięcie włazu. W szczelinie pojawił się drugi szpon, chwytając metal i zginając go.

– Idź – rzuciła Naomi głosem napiętym od bólu, wskazując sprawną ręką następny właz w górze drabiny.

Gdy obie przez niego przeszły, Anna rozejrzała się po pokładzie, na który trafiły. Wyglądał na poziom załogowy. Małe pomieszczenia z drzwiami sprawiającymi wrażenie bardzo cienkich. To nie było dobre miejsce na ukrycie się. Naomi poleciała przez powietrze i mroczne cienie rzucane przez oświetlenie awaryjne, a Anna ruszyła za nią, najszybciej jak mogła, czując coraz mocniej ściskające jej gardło przerażenie.

Po przejściu przez właz na kolejny poziom Naomi zatrzymała się, by przez kilkanaście sekund wystukiwać coś na małym ekranie.



Światła awaryjne zmieniły kolor na czerwony, a na ekranie pojawił się komunikat o blokadzie bezpieczeństwa.

– Ona nie jest tam uwięziona – powiedziała Anna. – Może wyjść przez ładownię. W drzwiach jest dziura.

– Już drugi raz ktoś zrobił nam coś takiego – odpowiedziała Naomi, podciągając się w górę drabiny. – W każdym razie ma na sobie mecha ratowniczego i znajduje się w warsztacie. Połowa znajdującego się tam wyposażenia została stworzona do rozcinania statków. Ona nie jest uwięziona, my tak.

To zdanie kompletnie zaskoczyło Annę. Przecież uciekły, zamknęły za sobą drzwi. To powinno załatwić sprawę. Potworom nie wolno było otwierać drzwi. Takie myślenie było typowe dla dzieci i Anna zaczęła z powrotem wątpić, czy faktycznie uwolniła się już od wpływu narkotyków.

– To co robimy?

– Ambulatorium – odpowiedziała Naomi, wskazując w głąb krótkiego korytarza. – Tędy.

To miało sens. Wyglądająca na delikatną Pasiarka zaczynała przybierać szary odcień skóry, kojarzący się Annie z dużą utratą krwi, a bandaż na jej ramieniu zdołał już przesiąknąć krwią i uwalniał małe, karmazynowe kropelki. Wzięła Naomi za rękę i pociągnęła ją w głąb korytarza, do drzwi ambulatorium. Były zamknięte, a panel obok nich wyświetlał komunikat o blokadzie bezpieczeństwa, tak jak ten przy włączniku na pokład. Naomi zaczęła coś na nim wystukiwać, a Anna czekała na rozsuniecie się drzwi. Zamiast tego opadła przed nie solidnie wyglądająca metalowa płaszczyzna, a panel pod dłońmi Naomi zgasł.

– Gródź ciśnieniowa – wyjaśniła Naomi. – Trudniej się przez nią przebić.

– Ale jesteśmy po tej stronie.

– Właśnie.

– Czy jest tam jakieś inne wejście? – zapytała Anna.

– Nie. Chodźmy.

– Poczekaj – zaprotestowała Anna. – Musimy cię tam umieścić. Jesteś bardzo ciężko ranna.

Naomi odwróciła się i popatrzyła na nią, marszcząc brwi, jakby pierwszy raz zobaczyła Annę. Wyglądała jakby się nad czymś zastanawiała. Anna miała wrażenie, że jest gruntownie oceniana.

– Mam tam dwóch rannych. Moją załogę. Są bezradni – wyjaśniła w końcu Naomi. – Teraz są tak bezpieczni, jak tylko mogę im to zapewnić. A my pójdziemy teraz na pokład wyżej, weźmiemy pistolet i dopilnujemy, żeby ona poszła za nami. Kiedy się pojawi, zabijemy ją.

– Ja nie... – zaczęła Anna.

– Zabijemy. Ją. Możesz to zrobić?

– Zabić? Nie. Nie mogę – przyznała Anna. Co było prawdą.

Naomi patrzyła na nią jeszcze przez chwilę, po czym wzruszyła sprawną dłoń.

– Dobra. W takim razie chodź ze mną.

Przeszły przez kolejny właz na pokład wyżej. Większość przestrzeni zajmowała tu śluza i szafki magazynowe. Niektóre z nich były dość duże, by pomieścić skafandry próżniowe i plecaki manewrowe, inne były mniejsze. Naomi otworzyła jedną z mniejszych szafek i wyciągnęła z niej masywny czarny pistolet.

– Ja też jeszcze nigdy nikogo nie zastrzeliłam – powiedziała, odciągając zamek i wprowadzając pocisk do lufy. Anna miała wrażenie, że nabój wygląda jak maleńka rakietka. – Ale ci dwaj w ambulatorium to moja rodzina, a to mój dom.

– Rozumiem – powiedziała Anna.

– To dobrze, bo nie mogę pozwolić, żebyś... – zaczęła Naomi, a potem jej oczy obróciły się do góry i zrobiła się bezwładna. Z rozluźnionej dłoni wypadł pistolet, odlatując powoli.

– Nie, nie, nie – zaczęła powtarzać spanikowana Anna.

Podleciała do Naomi i chwyciła ją za nadgarstek. Wyczuła puls, ale bardzo słaby. Zaczęła grzebać w zestawie pierwszej pomocy w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby pomóc. Na jednej ze strzykawek napisano, że powstrzymywała ludzi przed popadnięciem we wstrząs, więc Anna wbiła ją w Naomi.

Nie obudziła się.

Powietrze w pokoju zaczęło pachnieć inaczej. Czuła ciepło i woń stopionego plastiku, podobną do zapachu emitowanego przez jej

uszkodzony taser. Na włazie pokładowym pojawiła się plamka czerwieni, zmieniając kolor na żółty, a potem biały. Dziewczyna w mechu przebijała się do nich.

Właz wyżej, prowadzący na dziób statku, był zamknięty i błyskał komunikatem blokady. Naomi nie podała jej kodu obejścia. Śluza była na tym poziomie, ale też była zamknięta.

Właz na pokładzie zaczął się otwierać w nierównych szarpnięciach. Anna słyszała dyszenie i przekleństwa rozrywającej go Melby. Kod blokady Naomi nie zatrzymał jej na zewnątrz, za to zamknął je w środku.

Anna przeciągnęła bezwładne ciało Naomi do jednego z dużych schowków na skafandry próżniowe i wsadziła ją do środka, chowając się tam razem z nią. Drzwi nie miały zamka. Z nieprzytomną kobietą i skafandrem w środku ledwie udało jej się je zamknąć. Umieściła obie stopy w rogu, tam, gdzie drzwiczki szafki stykały się z pokładem, i ustawiła magnesy na pełną moc. Poczula, jak przywierają do metalu, unieruchamiając jej stopy i przyciskając do zamkniętych drzwi.

Po drugiej stronie zazgrzytał metal. Coś mokrego otarło się o kark Anny. Dłoń Naomi, zakrwawiona i bezwładna. Próbowwała się nie ruszyć i nie oddychać zbyt głośno. Jej modlitwa była litanią strachu przeplatanej nadzieją.

Trzasnęły drzwiczki szafki gdzieś po lewej. Potem następne, bliżej. I kolejne. Anna zaczęła się zastanawiać, co się stało z pistoletem Naomi. Był gdzieś tu w szafce, ale nie miała światła i żeby go poszukać, musiałaby odblokować magnesy butów. Miała nadzieję, że nie zostawiła go na zewnątrz z szaloną kobietą. Otworzyły się kolejne drzwi szafki.

Drzwi o centymetry od twarzy Anny przesunęły się, ale się nie otworzyły. Otwory wentylacyjne i szczeliny w drzwiach schowka rozbłysły bielą palnika plazmowego, a potem zgasły.

– Zasilanie awaryjne wyczerpane – oznajmił mechaniczny głos. Przekleństwo za drzwiami było wyrazem czystej frustracji. Chwilę później rozległa się seria stęknień i łomotów: Melba ściągała egzozkielet na tors. Anna poczuła falę nadziei.

– Otwórz – poleciała Melba. Głos miała niski, chropawy i pełen

brutalności.

– Nie.

– Otwórz.

– Ty... słyszę, że jesteś zdenerwowana – powiedziała Anna przerażona własnymi słowami chwilę po tym, gdy je wypowiedziała. – Chyba powinniśmy o tym porozmawiać, jeśli...

Krzyk Melby nie przypominał niczego, co Anna dotąd słyszała: był głęboki, jadowity i dziki.

Gdyby id miało gardło, brzmiałoby właśnie w ten sposób. Jak głos diabła.

Coś uderzyło w metalowe drzwi i Anna cofnęła się gwałtownie. Potem następne uderzenie. I jeszcze jedno. Metal zaczął się wginać, a w szczelinach wentylacyjnych pojawiły się krople krwi. *Jej pięści*, pomyślała Anna. Ona robi to gołymi rękami.

Krzyki były teraz już całkiem dzikie, obsceniczne tam, gdzie zawierały słowa, i nieludzkie jak huragan. Grube metalowe drzwi wgięły się do środka, a zawiasy zaczęły dygotać i ustępować z każdym nowym uderzeniem. Anna zamknęła oczy.

Górny zawias ustąpił, pękając.

A potem bez ostrzeżenia zapadła cisza. Anna czekała pewna, że jest wciągana w pułapkę. Nie słyszała żadnego dźwięku poza cichym zwierzęcym charkotem. Poczowała poruszającą żołądek woń świeżych wymiocin. Po kilku chwilach, które sprawiały wrażenie godzin, wyłączyła magnesy i pchnęła wygięte drzwi, otwierając je.

Melba unosiła się pod ścianą zwinięta w kłębek, dygocząc z rękami przyciśniętymi do brzucha.

# Rozdział dwudziesty dziewiąty

## *Byk*

Tak naprawdę odległość zawsze mierzono czasem. Nie była to rzecz, o której zwykle myślał, ale wymuszony bezruch robił dziwne rzeczy z jego świadomością. Nawet pośrodku nieustannego naporu zdarzeń, rozmów telefonicznych i koordynowania działań oraz besztań przez lekarke czuł, jak część jego umysłu się odrywa. Pojawiały się tam ciągle dziwne pomysły, na przykład ten o mierzeniu odległości czasem.

Przed wiekami podróż przez Atlantyk wymagała miesięcy. W Nowym Meksyku było miasto zwane Wheelless, gdzie według legendy jakimś dawnym podróżnikiem przez pył i skały zepsuł się wóz i uznali, że łatwiej będzie tam zamieszkać, niż ruszyć dalej. Pojawiały się nowe technologie, każda rozwijająca się na bazie wcześniejszych, i miesiące zmieniały się w tygodnie i godziny. Poza studnią grawitacyjną, gdzie maszyny uwolniono z tyranii oporu powietrza i ciężenia, efekt był dużo wyraźniejszy. Przy właściwych pozycjach orbitalnych podróż z Luny na Marsa mogła zająć zaledwie dwanaście dni. Droga z Saturna na Ceres trwała kilka miesięcy. A ponieważ wylecieli w przestrzeń ze swoimi mózgami naczelnymi, które wyewoluowały na równinach prehistorycznej Afryki, wszyscy orientowali się z grubszą, jak to daleko. Z Saturna na Ceres kilka miesięcy. Z Luny na Marsa kilkanaście dni. Odległość była czasem, dzięki czemu ich nie przerażała.

Powolna strefa wszystko zmieniła. Na ekranie statki z Ziemi i Marsa zebrały się razem jak garść zasuszonych fasolek wrzuconych do

jednej miski. Dryfowały teraz, zbliżając się i rozpraszając, zajmując miejsca w pierścieniu przechwyconych śmieci wokół upiornej stacji. W porównaniu z objętością kuli wyznaczonej pierścieniami wydawały się być blisko siebie, jednak odległością między nimi a Pierścieniem był czas, a czas oznaczał śmierć.

Dotarcie promem z najdalszego statku do *Behemota* zajmowało dwa dni przy założeniu, że prędkość maksymalna nie zostanie znowu obniżona. Do najbliższego dałoby się przeskoczyć. Wszechświat ludzi się skurczył i robił się coraz mniejszy. Z każdym połączeniem, każdym ostrym, przestraszonym głosem usłyszonym w ciągu tych długich, gorączkowych godzin Byk nabierał coraz głębszego przekonania, że jego plan może się udać. Bezmiar, dziwność i niezrozumiałe niebezpieczeństwo wszechświata wywołały traumę u wszystkich, których nie zabiły. Panowało powszechne pragnienie powrotu do domu, zebrania się razem, w jednej wiosce. Ten odruch był przeciwieństwem wojny i jak długo mógł go rozdmuchiwać, jak długo reakcją na tragedie blokady była chęć udzielania sobie wzajemnie wsparcia i dopilnowania, by wszyscy otrzymali właściwą opiekę, żal i strach nie muszą się przerodzić w przemoc.

Strumień zmienił kolor z zielonego na niebieski, a potem do kamery profesjonalnie uśmiechała się Monika Stuart. Wyglądała na zmęczoną i poważną, ale bardzo ludzką. Twarz znana wielu ludziom. Taka, którą rozpoznawali, i dobrze się z nią czuli.

– Panie i panowie – zagaiła. – Witamy w pierwszej transmisji Radia Wolna Powolna Strefa, nadającego z tymczasowego studia na pokładzie okrętu SPZ *Behemot*. Jestem obywatelką Ziemi i cywilem, ale mam nadzieję, że ten program może przydać się nam wszystkim w czasach kryzysu. Oprócz przekazywania wszelkich nieutajnionych wiadomości i informacji, które uda nam się zdobyć, będziemy też prowadzić rozmowy z personelem dowódczym statków, przywódcami cywilnymi na pokładzie *Thomasa Prince'a*. Nadamy również audycje muzyczne na żywo. Zaszczycem dla nas jest powitanie pierwszego gościa, wielebnego Hectora Corteza.

Na ekranie pojawiło się nowe okno z kapłanem. Zdaniem Byka wyglądał na mocno wymęczonego. Jego zbyt szeroki uśmiech

wydawał się sztuczny, a śnieżnobiałe włosy wyglądały na niemyte.

– Ojczy Cortezie – odezwała się Monika Stuart. – Uczestniczy pan aktywnie w działaniach mających na celu niesienie pomocy na pokładzie *Thomasa Prince'a*?

Mężczyzna przez chwilę zdawał się jej nie słyszeć. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– To prawda – potwierdził staruszek. – Uczestniczę i to... Moniko, czuję się spokorniały. Jestem... spokorniały.

Byk wyłączył kanał. To przynajmniej było coś. Lepsze niż nic.

Marsjańska fregata *Cavalier*, obecnie pod dowództwem podporucznika Scrupskiego, wyłączała reaktory i przenosiła całą pozostałą załogę i wyposażenie na *Behemota*. *Thomas Prince* zgodził się przenieść wszystkich rannych, zespół medyczny i pozostałych cywilów – poetów, kapłanów i polityków. Włącznie z Hectorem Cortezem o martwym spojrzeniu. To był zaledwie początek, ale też wszystko, co mógł zrobić. Jeśli będą mieli przybywać następni, jeśli *Behemot* miał się stać symbolem spokoju, stabilizacji i pewności, trzeba było czegoś więcej. Kanał wiadomości mógł dać twarz i głos rosnącej konsolidacji. Musiał jeszcze porozmawiać o tym z Moniką Stuart. Może mogliby zorganizować jakieś zbiorowe nabożeństwo za zmarłych. Rada z przedstawicielami wszystkich stron mogłaby przygotować plan ewakuacji i zacząć kierować ludzi z powrotem przez Pierścień i do domu.

Tylko że kiedy nastąpiła blokada, stracili przez nią wszystkie statki dalekiego zasięgu, a sam Pierścień się oddalił, ponieważ musieli poruszać się wolno, a odległość mierzy się czasem.

Zabrzączał jego ręczny terminal i Byk gwałtownie oprzytomniał. Na zewnątrz jego izolatki krzyknęła kobieta i odpowiedział jej męski głos. Byk rozpoznał głosy zespołu ratunkowego próbującego reanimować jakiegoś pechowca. Współczuł lekarzom i sanitariuszom. On zajmował się czymś bardzo podobnym, tylko w innej skali. Ruszył ręką, zgarnął terminal i przyjął połączenie. Na ekranie pojawił się Serge.

– Bist? – zapytał.

– Czuję się świetnie – rzucił cierpko Byk. – Co jest?

– Mars. Złapali go. Wiozą żywy węgiel z powrotem.

Byk odruchowo spróbował usiąść. Nie mógł tego zrobić, więc było to tylko uprzejmą abstrakcją.

– Holden? – zapytał.

– A kogo innego, nie? Jest na szalupie sunącej powoli na FMRK *Hammurabi*. Powinien tam dotrzeć za kilka godzin.

– Nie – odpowiedział Byk. – Muszą go przywieźć tutaj.

Serge uniósł dłoń w pasiarskim przytaknięciu, ale miał sceptyczny wyraz twarzy.

– Asi dultcie si, ale jakoś nie widzę, żeby to zrobili.

Gdzieś daleko w dole poniżej piersi Byka mankiety uciskowe zasyczały i rozděły się, przepychając krew i limfę w ciele, ponieważ nie mógł się ruszać, więc w ten sposób starano się nie dopuścić do gromadzenia się płynów. Nie czuł tego. Gdyby jego nogi się zapaliły, też by tego nie poczuł. Coś głęboko ukrytego i atawistycznego poruszyło się ze strachem i obrzydzeniem, gdy jego tyłomózgowie po raz tysięczny na nowo odkryło kalectwo. Byk nacisnął palcami podstawę nosa.

– Dobra – powiedział. – Zobaczę, co da się zrobić. Co Sam mówi na temat projektu?

– Wyłączyła działa szynowe i pracują nad odcięciem dodatkowych wyrzutni raketowych, ale kapitan się dowiedział i robi wielką awanturę.

– Cóż, kiedyś musiało do tego dojść – skomentował Byk. – Pewnie tym też się zajmę. Coś jeszcze?

– O ile tu *lávè mis yannis*, to chyba masz już dość. Odpocznij chwilę, zajmiemy się resztą, *sa sa*? Nie musisz wszystkiego robić sam.

– Coś muszę robić – rzucił Byk, a jego mankiety rozluźniły się z sykiem. – Będę w kontakcie.

Spięte, ciche głosy oddaliły się wraz z zanikającym smrodem kauteryzowanego ciała. Byk pozwolił sobie skupić spojrzenie na białoniebieskim suficie nad łóżkiem, do którego był przyczepiony.

Holden wrócił. Nie zabili go. Jeśli istniała jedna rzecz, która potencjalnie mogła zniszczyć tworzoną przez niego współpracę, to właśnie konflikt na tle tego, kto powinien smażyć jaja Holdena nad palnikiem.



Byk podrapał się po ramieniu bardziej, żeby coś poczuć, niż z powodu swędzenia, i rozważył konsekwencje. Według procedur powinni go przesłuchać, wsadzić do aresztu i rozpocząć negocjacje z właściwymi organami na Ziemi, prowadzącymi śledztwo w sprawie *Seung Un*. Byk przypuszczał, że tak naprawdę pobiją go i wyrzucą przez służbę. Facet został złapany, ale odpowiadał za zbyt wiele śmierci, by uznać, że będzie tam bezpieczny.

Przyszła pora na ponową próbę wywołania *Rosynanta*. Może tym razem odpowiedzą. Milczeli od czasu katastrofy. Ich anteny łączności mogły zostać uszkodzone, mogli siedzieć cicho w ramach jakiejś taktyki politycznej albo po prostu wszyscy umierali lub zginęli. Ponownie poprosił o połączenie i czekał, nie mając szczególnej nadziei na odpowiedź.

Później, gdy znajdą się poza Pierścieniem, ludzie mogą się spierać o jurysdykcję, ile tylko będą chcieli. W tej chwili Byk musiał ich zmusić do współpracy. Może jeśli...

Wbrew wszelkim oczekiwaniom otworzyło się połączenie z *Rosynantem*. Na ekranie pojawiła się nieznana mu kobieta. Błada skóra, wokół twarzy unosiły się rozpuszczone rude włosy. Mazaj na jej policzku mógł być smarem lub krwią.

– Tak – powiedziała kobieta. – Halo? Kto mówi? Możecie nam pomóc?

– Nazywam się Carlos Baca – przedstawił się Byk, przełykając wstrząs i zmieszanie, zanim wyciekły do jego głosu. – Jestem szefem ochrony *Behemota*. I owszem, mogę wam pomóc.

– Och, Bogu dzięki – odpowiedziała kobieta.

– Może powie mi pani, kim jest, i jak wygląda sytuacja po tamtej stronie?

– Jestem Anna Wołowodow i mam w... hm... areszcie kobietę, która próbowała zabić załogę *Rosynanta*. Użyłam wszystkich środków usypiających z apteczki, bo nie mogę się dostać do ambulatorium. Przykleiłam ją taśmą do fotela. I podejrzewam, że to właśnie ona wysadziła *Seung Un*.

Byk złożył ręce.

– Może powie mi pani coś więcej na ten temat? – zasugerował.

\* \* \*

Kapitan Jakande była starszą kobietą, siwowłosą, z rzeczowym wojskowym podejściem, szanowanym przez Byka nawet pomimo tego, że mu się to nie podobało.

– Wciąż nie dostałam rozkazu wydania więźnia – oznajmiła kapitan Jakande. – I nie uważam za prawdopodobne, żebym miała go otrzymać. Więc w przewidywalnej przyszłości odpowiedź brzmi: nie.

– Mam prom gotowy zabrać jego załogę i kobietę, którą oskarżył o bycie prawdziwą sabotażystką – powiedział Byk. – A kiedy ostatnio sprawdzałem, mieliśmy w kolejce ponad dwudziestu waszych ludzi, którzy mają tu przylecieć, gdy tylko rozkręcimy cylinder.

Jakande kiwnęła głową, potwierdzając jego słowa bez ulegania im. Byk splótł palce i ścisnął, aż zbielały mu kostki, ale zrobił to poza zasięgiem widzenia kamery sprzętu łączności.

– Będzie lepiej dla wszystkich, jeśli zdołamy zebrać nas razem – powiedział. – Połączyć zasoby i zaplanować ewakuację. Jeśli nie macie promów, mogę zaoferować transport dla pani i załogi. Mamy tu mnóstwo miejsca.

– Zgadzą się, że lepiej byłoby, gdybyśmy wszystkim dowodziła jedna osoba – przyznała Jakande. – Jeśli oferuje pan przekazanie *Behemota*, jestem skłonna przejąć kontrolę i odpowiedzialność.

– Nie o tym myślałem – stwierdził Byk.

– Tak myślałam.

– Panie Baca! – warknął Ashford od drzwi.

Byk wyciągnął dłoń w geście „chwileczkę”.

– To temat, do którego będziemy musieli wrócić – powiedział. – Darzę dużym szacunkiem panią oraz pani stanowisko i jestem pewien, że znajdziemy sposób na właściwe załatwienie tej sprawy.

Wyraz jej twarzy jednoznacznie sugerował, że nie zauważyła niczego niewłaściwego.

– Będę w kontakcie – dodał Byk i rozłączył się.

To by było na tyle, jeśli chodzi o przyjemności.

Ashford przeciągnął się przez drzwi, zatrzymując się przy ścianie

najbliżej stóp łóżka Byka. Wyglądał na rozzłoszczonego, ale to był inny rodzaj złości. Byk przyzwyczał się do Ashforda ostrożnego, nawet niepewnego. Ten człowiek taki nie był. Wszystko w jego wyglądzie mówiło o ledwie hamowanej furii. *Żal doprowadza ludzi do szaleństwa*, pomyślał Byk. Żal, poczucie winy i wstyd razem wzięte, mogły prowadzić do czegoś jeszcze gorszego.

Mogły złamać ludzi.

Pa wpłynęła do pokoju za kapitanem, ze spuszczonej oczami. Jej twarz miała ten dziwny, woskowy wygląd, będący skutkiem wyczerpania. Za nią do środka wcisnęła się jeszcze lekarka, a potem Serge i Macondo, którzy bardzo starannie unikali jego wzroku. W małym pokoiku zrobiło się zdecydowanie zbyt tłoczno.

– Panie Baca – odezwał się Ashford, przycinając każdą sylabę. – Rozumiem, że wydał pan rozkaz rozbicia statku. Czy to prawda?

– Rozbicia statku? – zapytał Byk i popatrzył na doktor Sterling. Patrzyła prosto przed siebie nieprzeniknionym wzrokiem. – Kazałem Sam zdjąć działa szynowe, żeby można było rozkręcić cylinder.

– I zrobił to pan bez mojego pozwolenia.

– Pozwolenia na co?

Krew przyciemniła twarz Ashforda, a furia nadała chropawości jego głosowi.

– Działa szynowe stanowią kluczowy element zdolności obronnych tej jednostki.

– Nie, jeśli nie działają – odparł Byk. – Kazałem jej też rozebrać system oczyszczania wody działający wciąż i przebudować go pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, żeby korzystał z obrotów. Czy chce pan, żebym wyliczył wszystkie rzeczy, które kazałem jej przerobić, ponieważ już nie działają, czy interesują nas tylko działa?

– Rozumiem też, że upoważnił pan personel nienależący do SPZ do korzystania z kanałów łączności tego statku? Ziemianie. Marsjanie. Wszyscy ludzie, których mieliśmy tu pilnować.

– Czy naprawdę dlatego tu przylecieliśmy? – zapytał Byk.

Co nie było zaprzeczeniem, a Ashford ewidentnie uznał to za przyznanie się do winy. Zresztą, Byk przecież i tak niczego nie ukrywał.

– Personel wojskowy przeciwnika? Ich też sprowadza pan na pokład mojego statku?

Pa zgodziła się na wszystko, co wymieniał teraz Ashford, ale stała za kapitanem z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, nie odzywając się. Byk nie był pewien, co działo się między kapitanem a jego pierwszą oficer, ale jeśli załatwiali przez niego jakieś wewnętrzne zmagania o władzę, to Byk wiedział, po której stronie wolał się znaleźć. Zacisnął zęby i nie wspominał nic o udziale Pa.

– Tak, sprowadzam tu wszystkich, których tylko mogę. Pomoc humanitarna i konsolidacja kontroli. Podręcznikowe zachowanie. Drugorocznik wiedziałby, że trzeba to zrobić.

Po tych słowach Pa się skrzywiła.

– Panie Baca, przekroczył pan swoje uprawnienia. Zignorował pan strukturę dowodzenia. Niniejszym unieważniam wszystkie wydane przez pana rozkazy i wszystkie wydane przez pana pozwolenia. Zwalniam pana ze służby i nakazuję poddanie uśpieniu medycznemu do czasu, aż możliwa będzie pańska ewakuacja.

– Za chuja – warknął Byk. Nie zamierzał tego robić, ale słowa same mu się wyrwały. Wydawały się teraz unosić w powietrzu między nimi, a Byk odkrył, że naprawdę tak uważał.

– To nie podlega dyskusji – oświadczył Ashford lodowato.

– Owszem, nie podlega – zgodził się Byk. – To pan dowodzi tą misją, a nie ja, tylko dlatego że Fred Johnson uznał, iż załoga nie będzie się czuła komfortowo z Ziemianinem kierującym statkiem Pasiarzy. Dostałeś tę robotę, bo pocałowałaś właściwe polityczne dupy. I wiesz co? Bardzo dobrze. Mam nadzieję, że twoja kariera wystartuje jak pieprzona rakietka. Pa jest tu z tego samego powodu. Ma głowę właściwych rozmiarów, choć przynajmniej jej nie jest pusta.

– To rasistowska obelga – spienił się Ashford, próbując mu przerwać – i nie pozwolę...

– Jestem tu, bo potrzebowali kogoś, kto może wykonać robotę, a wiedzieli, że mamy przerąbane. I wiesz co? Nadal mamy przerąbane. Ale zamierzam nas stąd wydostać i nie pozwolić, żeby Fredowi było wstyd z powodu tego, co tu zrobiliśmy, a ty nie będziesz mi wchodził w drogę, gdy będę się tym zajmował, ty pinche skurwysynu.

– Dość tego, panie Baca. Ja...

– Dobrze wiesz, że to prawda. – Tym razem Byk zwrócił się do Pa. Jej twarz była pusta, zamknięta. – Jeśli on będzie dowodził, wszystko sieprzeży. Widziałas już dość. Wiesz...

– Proszę natychmiast przestać zwracać się do mojej pierwszej oficer, panie Baca.

– ...jakiego typu decyzje podejmuje. Wyśle ich wszystkich z powrotem na ich statki, nawet jeśli będzie to oznaczać ich śmierć, tylko dlatego...

– *Zwalniam* pana. Proszę...

– ...że to nie on ich tu zaprosił. Przez to wszystko...

– ...umilknąć. Nie udzieliłem panu pozwolenia...

– ...sytuacja robi się jeszcze bardziej niebezpieczna, a jeśli ktoś...

– ...na odzywianie się do mojego personelu. Proszę się...

– ...inny wkurzy to coś, możemy wszyscy...

– ...*zamknąć!* – wrzasnął Ashford i odepchnął się do przodu z ustami wykrzywionymi furją. Uderzył w łóżko za mocno, wbijając się w Byka, chwytając go za ramię i potrząsając nim tak mocno, że ten trzasnął zębami. – Kazałem ci się *zamknąć!*

Pod atakiem Ashforda ustąpiły rzepy unieruchamiające ciało Byka. Poczul w karku ostry ból, jakby ktoś wbijał mu w plecy kręgosłup. Spróbował odepchnąć kapitana, ale nie miał się czego chwycić. Kostki jego dłoni uderzyły w coś twardego: stół, ścianę, może coś innego. Nie potrafił stwierdzić, co to. Ludzie wokół zaczęli krzyczeć. Poczucie równowagi wydawało się kompletnie zniekształcone, z bezwładnym ciężarem ciała unoszącym się bezużytecznie w pustym powietrzu, szarpane za rurki i cewniki.

Kiedy świat znów nabrał sensu, unosił się pod kątem czterdziestu pięciu stopni nad stołem, z głową skierowaną w dół. Pa i Macondo trzymali Ashforda za ręce, a kapitan wygiął dłonie w szpony. Serge, przykurczony, unosił się przy ścianie, gotowy do skoku, ale niepewny, w którym kierunku powinien ruszyć.

Przy jego boku pojawiła się doktor Sterling, zbierając jego nogi, a potem szybko i profesjonalnie przeciągając go z powrotem do łóżka.

– Czy moglibyśmy nie atakować pacjenta z uszkodzonym rdzeniem

kręgowym? – powiedziała przy tym. – Czuję się z tym bardzo niekomfortowo.

Kiedy go przypinała, przez szyję i górną część torsu Byka przemknął kolejny gwałtowny atak bólu, piekący i ostry jak diabli. Jedna z rurek unosiła się w powietrzu z przywartą do końcówki krwią i kawałkiem ciała. Nie wiedział, z której części jego ciała się oderwała. Pa patrzyła na niego, a on postarał się zachować spokój w głosie.

– Spieprzyliśmy już dwa razy. Przelecieliśmy przez Pierścień i pozwoliliśmy żołnierzom wejść do stacji. Trzeciej szansy nie dostaniemy. Możemy zebrać wszystkich razem i wydostać ich stąd.

– To bardzo niebezpieczne słowa, proszę pana – warknął Ashford.

– Nie mogę być kapitanem – stwierdził Byk. – Nawet gdybym nie był przykuty do tego łóżka, jestem Ziemianinem. Dowództwo musi być w rękach Pasiarza. Co do tego Fred miał rację.

Ashford wyrwał rękę z uchwytu Pa i Macondo, obciągnął rękawy i oparł się o ścianę.

– Pani doktor, proszę wprowadzić pana Bacę w śpiączkę. To bezpośredni rozkaz.

– Serge – powiedział Byk. – Musisz zamknąć kapitana Ashforda w areszcie, i to natychmiast.

Nikt się nie ruszył. Serge podrapał się po szyi, a dźwięk tarcia paznokciami po szczecinie był głośniejszy niż cokolwiek innego w pokoju. Spojrzenie Pa utkwilo gdzieś w oddali, a jej twarz wyrażała gniew i niesmak. Ashford zmrużył oczy i odwrócił się do niej. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał martwo i bez śladu radości.

– Serge. Słyszałeś szefa.

Ashford zebrał się w sobie, by rzucić się na Pa, ale ochroniarz zdążył już chwycić go za ramię.

– To bunt – warknął Ashford. – Poniesiecie konsekwencje.

– Musi pan pójść z nami – odezwał się Serge.

Macondo złapał Ashforda za drugą rękę, wykręcił ją, unieruchamiając kapitana, i wszyscy trzej opuścili izolatkę. Pa została pod ścianą, trzymając się taśmy, a lekarka mamrocząc coś pod nosem, wymieniła cewniki i sprawdziła monitory i rurki podłączone go jego skóry. Przeważnie niczego nie czuł.

Kiedy lekarka skończyła, opuściła pomieszczenie. Zamknęły się za nią drzwi. Żadne z nich nie odzywało się przez prawie minutę.

– Wygląda na to, że zmieniała się twoja opinia na temat buntu – powiedział w końcu Byk.

– Najwyraźniej – przyznała Pa i westchnęła. – Nie myśli jasno. I za dużo pije.

– To on podjął decyzję, która nas tu wszystkich sprowadziła. Może się podpisać pod wszystkimi trupami na tych wszystkich statkach.

– Chyba nie widzi tego w ten sposób – odparła Pa. – Ale też chyba wkłada *dużo* wysiłku w to, żeby tego tak nie widzieć. I traci kontrolę. On chyba... chyba nie jest w porządku.

– Byłoby łatwiej, gdyby miał jakiś wypadek – skomentował Byk.

Pa zdołała się uśmiechnąć.

– Nie zmieniałam się aż *tak* bardzo, panie Baca.

– Tak myślałem. Ale musiałem to powiedzieć.

– Skupmy się na zapewnieniu wszystkim bezpieczeństwa, a potem na zabraniu ich do domu – powiedziała. – To była miła kariera, dopóki trwała. Szkoda, że tak się kończy.

– Może i tak – skomentował Byk. – Ale przyleciałaś tu zdobywać medale czy robić to, co należy?

Uśmiech Pa był bardzo wąły.

– Miałam nadzieję na oba – wyznała.

– Nie ma niczego złego w odrobinie optymizmu, o ile tylko nie opiera się na nim zasad – skomentował. – Zamierzam ściągnąć wszystkich na *Behemota*.

– Żadnej broni poza naszą – oświadczyła. – Przyjmiemy wszystkich, ale nie wtedy, jeśli to oznacza zbrojne oddziały na statku.

– Już załatwione – zapewnił Byk.

Pa zamknęła oczy. Łatwo było zapomnieć, o ile młodsza jest od niego. To nie była jej pierwsza tura, ale mogła być druga. Byk spróbował sobie wyobrazić, jakie to uczucie: wsadzić do aresztu swojego dowódcę, gdy samemu jest się jeszcze w połowie dzieckiem. Pewnie była przerażona.

– Postąpiła pani słusznie – powiedział.

– A pan musiał to powiedzieć, bo poparłam pański ruch.

Byk kiwnął głową.

– Postąpiłem słusznie. Dziękuję, że mnie pani poparła, kapitanie. Może być pani pewna, że odwdziczę się tym samym, jak długo będzie pani zajmować to stanowisko.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi – zastrzegła.

– Nie musimy, jeśli tylko wykonamy swoją robotę.



# Rozdział trzydziesty

## *Holden*

Marines nie byli łagodni, ale bardzo profesjonalni. Holden widział już wcześniej marsjański pancerz wspomagany, noszony przez zwiadowców marine. Kiedy wracali przez jaskinie i tunele stacji z Holdenem w grubych piankowych kajdanach, przewieszonym przez plecy jednego z żołnierzy jak element wyposażenia, doskonale zdawał sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwo mu grozi. Kobiety i mężczyźni w tych pancerzach oglądali niedawno, jak jedno z nich ginie i jest zjadane przez coś obcego, znajdowali się głęboko na terenie wroga tak nieznanego i niebezpiecznego, jak to tylko możliwe, i była całkiem spora szansa, że to właśnie jego obwiniali za to wszystko. Fakt, że go nie zabili, świadczył o dyscyplinie, wyszkoleniu i profesjonalizmie, które szanowałyby nawet, gdyby nie zależało od tego jego życie.

Nie miał dostępu do częstotliwości, na której się porozumiewali, więc całą drogę od komnaty z wyświetlaczem, czy czymkolwiek była czarna powierzchnia, przebył w upiornej ciszy. Wciąż miał nadzieję na złapanie przebłysku Millera, ale zamiast tego przechodząc po złożonym mchu, mijali owadokształtne maszyny, teraz nieruchome jak rzeźby. Miał wrażenie, że dostrzega coś w rodzaju wzoru w falach i zmarszczkach rozchodzących się po ścianach i podłogach, skomplikowane i piękne jak krople deszczu padające na powierzchnię jeziora albo muzyka. Nie uspokajało go to.

Próbował połączyć się z *Rosynantem*, z Naomi, ale niosący go marine albo wyłączył radio jego skafandra, gdy go unieruchamiali,

albo coś zagłuszało sygnał. Tak czy inaczej, niczego nie słyszał. Ani z *Rosa*, ani od marines, ani od kogokolwiek innego. Miał tylko łagodne kołysanie i prawie niedający się znieść niepokój.

Skafander wyemitował ostrzeżenie o niskim poziomie powietrza.

Nie miał żadnego wyczucia, gdzie się znajdują albo jak daleko zaszli. Powierzchnia stacji mogła być już za końcem najbliższego tunelu, ale równie dobrze mogli przebyć dopiero połowę drogi. Właściwie równie dobrze stacja mogła się zmieniać wokół nich i droga, którą tu dotarli, mogła już nie istnieć. Według skafandra pozostało mu tlenu na dwadzieścia minut.

– Hej! – krzyknął. Próbował machnąć nogami i kopnąć niosącego go człowieka. – Hej! Będę potrzebował powietrza!

Marine nie zareagował. Niezależnie od tego, jak bardzo Holden próbował się rzucić, jego siła i potencjalne punkty zaczepienia były ledwie błędem zaokrąglenia w porównaniu z możliwościami pancerza wspomaganego. Mógł tylko mieć nadzieję, że nie umrze z powodu niedopatrzenia. Martwienie się o to w sumie i tak było lepsze niż przejmowanie się losem Naomi, Aleksa i Amosa.

Wskaźnik powietrza spadł do trzech minut i Holden zdarł sobie gardło krzykiem, gdy niosący go marine lekko przykucnął, podskoczył i stacja zaczęła się oddalać pod ich stopami. Jarząca się powierzchnia zamknęła za nimi przesłonę, automatycznie i bezmyślnie. Szalupa wisiała w próżni nie dalej niż pięćset metrów od nich, a jej zewnętrzne światła czyniły z niej najjaśniejszy obiekt na upiornie bezgwiazdnym niebie. Szybko dostali się do śluzы powietrznej. Skafander Holdena emitował sygnał alarmowy, poziom ditlenku węgla wędrował coraz bliżej krytycznego poziomu i Holden musiał się zmuszać do opanowania oddechu.

Marine przerzucił go na zamontowany do ściany drążek i go do niego przymocował.

– Nie mam powietrza! – wrzasnął Holden. – Proszę!

Żołnierz sięgnął i rozszczelnił przyłbicę jego hełmu. Napływające do środka powietrze pachniało starym plastikiem i śladem starego moczu. Holden upajał się nim jakby pachniało różami. Marine otworzył własny hełm. Jego prawdziwa głowa wyglądała na

niedorzecznie małą w masywnej osłonie bojowego pancerza.

- Sierżancie Verbinski! – warknął kobiecy głos.
- Tak jest, sir – odpowiedział niosący go marine.
- Coś nie tak z więźniem?
- Kilka minut temu skończyło mu się powietrze.

Kobieta sapnęła. Nic więcej nie powiedziano na ten temat.

Ciąg przyspieszenia był prawie niewyczuwalny. Nieznaczone wrażenie wagi osadzającej Holdena w skafandrze, które ustąpiło prawie zaraz po tym, jak się pojawiło. Marines rozmawiali między sobą cicho, ignorując go. To było całe potwierdzenie, jakiego potrzebował. Miller mówił prawdę. Maksymalna szybkość w powolnej strefie znowu uległa zmianie. A patrząc na twarze Marsjan, domyślił się, że wiązało się to z licznymi ofiarami.

– Muszę się skontaktować z moim statkiem – powiedział. – Proszę, czy ktoś może wywołać *Rosynanta*? – Nikt mu nie odpowiedział. Próbował dalej. – Moja załoga może być ranna. Gdybyśmy mogli...

– Niech ktoś uciszy więźnia – rzuciła kobieta, która odezwała się wcześniej.

Nadal jej nie widział. W jego stronę odwrócił się najbliższy marine, mężczyzna z masywną szczęką i skórą tak czarną, że wydawała się prawie niebieska. Holden przygotował się na groźbę przemocy.

– Nic nie możesz zrobić – powiedział zamiast tego żołnierz. – Proszę, nie odzywaj się.

Jego cela w areszcie na *Hammurabim* miała nieco ponad półtora metra szerokości i trzy głębokości. Prycza przeciążeniowa miała kolor brudnoniebieski, a ściany i podłoga były jednolicie białe, jarząc się w ostrym świetle sufitowych diod LED. Wydany mu kombinezon sprawiał wrażenie jakby zrobiono go z grubego papieru i trzeszczał przy każdym ruchu. Kiedy przyszli po niego strażnicy, nie zawracali sobie głowy zakładaniem mu kajdanek na ręce i nogi.

Kapitan unosiła się w pobliżu biurka, z krótko ściętymi włosami nadającymi jej wygląd antycznej rzymskiej cesarzowej. Holdena przypięto do pryczy przeciążeniowej przechylonej lekko do przodu, przez co musiał patrzeć na nią do góry nawet w sytuacji braku jasno zdefiniowanej góry.

– Jestem kapitan Jakande – przedstawiła się. – A pan jest więźniem wojennym. Rozumie pan, co to znaczy?

– Służyłem we flocie – odpowiedział Holden. – Rozumiem.

– To dobrze. Oszczędzi nam to mniej więcej połowę prawniczych bzdur.

– Z przyjemnością powiem pani wszystko, co wiem – zapewnił Holden. – Nie ma potrzeby uciekać się do przemocy.

Kapitan uśmiechnęła się jak zima.

– Gdyby był pan kimkolwiek innym, uznałabym to za figurę retoryczną – stwierdziła. – Jaki jest pański związek ze strukturą w środku powolnej strefy? Co pan tam robił?

Holden spędził tak wiele miesięcy, próbując nie mówić o Millerze, próbując nikomu niczego nie powiedzieć. Poza Naomi, ale nawet w jej przypadku miał poczucie winy, obciążając ją tajemnicą. Z jednej strony szansa pozbycia się ciężaru ciągnęła go jak grawitacja. Z drugiej...

Głęboko wciągnął powietrze.

– To zabrmi trochę dziwnie – zastrzegł.

– W porządku.

– Krótco po tym, jak konstrukt protomolekuły wystartował z Wenus i skierował się poza układ, żeby zacząć montować Pierścień... skontaktował się ze mną detektyw Josephus Miller. Ten, który spadł ze stacją Eros na Wenus. A przynajmniej było to coś, co wyglądało i mówiło jak on. Od tamtej pory pojawiał się co kilka tygodni i w końcu doszedłem do wniosku, że protomolekuła go wykorzystuje. W zasadzie to on i Julie Mao, która była pierwszą zakażoną osobą, próbując skłonić mnie do przelotu przez Pierścień. Miałem wrażenie, że oni... że to chce, żebym tu przyleciał.

Wyraz twarzy kapitan nie uległ zmianie. Holden poczuł dziwny ucisk w gardle. Nie chciał odbywać tej rozmowy w takich warunkach. Chciał rozmawiać z Naomi w ich sypialni na *Rosynancie*. Albo w barze na Ceres. Miejsce było nieistotne, liczyła się osoba.

Czy ona jeszcze żyła? Czy stacja ją zabiła?

– Słucham – ponagliła go kapitan.

– Najwyraźniej się myliłem – przyznał Holden.

Zaczął od podróży do stacji, z obrazem Millera czekającym na niego na miejscu. Atak jej marine i jego konsekwencje według wyjaśnień Millera. Wizje wielkiego imperium i ogarniającego go mroku, śmierci słońc. W miarę mówienia rozluźniał się i słowa wychodziły coraz łatwiej i szybciej. Nawet dla siebie brzmiał jak szalenciec. Wizje niewidoczne dla nikogo innego. Wielkie sekrety ujawnione wyłącznie jemu.

Tylko że to wszystko było pomyłką.

Uważał, że jest ważny. Że jest kimś specjalnym i wybranym i że wszystko, co przydarzyło się jemu i jego załodze, było kierowane przez olbrzymią, tajemniczą siłę. Wszystko źle zrozumiał. *Drzwi i kąty*, powiedział Miller, a ponieważ nie zastanowił się nad tym, co trup naprawdę miał przez to na myśli, wszyscy przelecieli przez Pierścień. I do stacji. Z każdym zdaniem narastała w nim ulga i niesmak do samego siebie. Był durniem tańczącym na skraju przepaści, przekonany, że nie może spaść. Nie on.

– I w końcu znalazłem się tutaj i rozmawiam z panią – podsumował cierpko. – Nie wiem, co będzie dalej.

– Dobrze – powiedziała.

Wyraz jej twarzy niczego nie zdradzał.

– Lepiej będzie przeprowadzić pełne badanie medyczne w celu sprawdzenia, czy nie mam czegoś biologicznie poprzestawianego w mózgu – zasugerował Holden.

– Prawdopodobnie – zgodziła się kapitan. – Na razie mój personel medyczny jest zajęty. Tymczasowo zostanie pan umieszczony w areszcie administracyjnym.

– Rozumiem – powiedział Holden. – Ale muszę się skontaktować z moją załogą. Może pani monitorować połączenie, nie przeszkadza mi to. Po prostu muszę wiedzieć, czy wszystko z nimi w porządku.

Kąt skrzywienia ust kapitan zdawał się pytać, dlaczego jego zdaniem miałyby tak być.

– Postaram się przekazać panu raport – odparła. – W tej chwili wszyscy mają problemy i sytuacja może szybko ulec pogorszeniu.

– Czyli jest źle?

– Owszem.

\* \* \*

W celi czas płynął powoli. Strażnik przynosił tubki z jedzeniem: białka, tłuszcz, woda i pasta warzywna. Czasami dostawał prawie homeopatyczną dawkę curry. Jedzenie przeznaczone do utrzymania przy życiu. Wszystko inne było jego problemem. Holden jadł, bo musiał zostać przy życiu. Musiał odnaleźć swoją załogę i statek. Musiał się stąd wydostać.

Widział upadek olbrzymiego imperium. Widział wybuchające słońca. Oglądał, jak ginie człowiek zabity przez mechanizmy z koszmarów na stacji kosmicznej niezbudowanej przez ludzkie ręce. Potrafił myśleć tylko o Naomi, Amosie i Aleksie. Jak zdołają utrzymać swój statek. Jak zdołają wrócić do domu. A dom oznaczał dowolne miejsce, byle nie tu. Nie po raz pierwszy pożałował, że nie przewozili podejrzanych skrzyń z nieznanym towarem na Tytanię. Unosił się w celi wielkości trumny i próbował nie oszaleć od toksycznego połączenia braku działania i koszmarnego strachu.

Nawet jeśli jego załoga była cała i zdrowa, był teraz w rękach Marsa. Nie skrzywdził *Seung Un*, a wszyscy powinni już to wiedzieć. Nie wyemitował fałszywej transmisji. Mógł zostać oczyszczony z wszystkiego, o co go oskarżano, ale Mars i tak mógł zabrać jego statek. Próbował skupić się na tej rozpaczce, ponieważ choć nie było to przyjemne, byłoby znacznie gorzej, gdyby zachował statek, ale stracił załogę.

– Niezbyt dobrych dobierasz sobie przyjaciół – powiedział Miller.

– Gdzieś ty, u diabła, był? – warknął Holden.

Trup wzruszył ramionami. W ciasnej celi Holden czuł woń jego oddechu. Błękitny świetlik przemknął wokół głowy Holdena jak ciasna aureola i zniknął.

– Ciężkie czasy – powiedział, jakby komentarz miał wszystko wyjaśnić. – W każdym razie o czymś rozmawialiśmy.

– Stacja. Blokada.

– Właśnie – potwierdził Miller, kiwając głową. Zdjął swój niedorzeczny kapelusz i podrapał się po skroni. – To. Rzecz w tym, że

jak długo lata tu wszędzie mnóstwo wysokoenergetycznych kawałków, stacja nie będzie się czuła bezpiecznie. Ile was tam jest? Dwadzieścia dużych statków?

– Chyba mniej więcej tyle.

– Wszystkie mają reaktory fuzyjne. Wszystkie mają potężne wewnętrzne sieci przesyłowe. Samo w sobie to nic wielkiego, ale stację już parę razy wystraszone. Zrobiła się nerwowa. Będziecie musieli przekazać jej wiadomość. Pokazać, że nie jesteście zagrożeniem. Zróbcie to, a jestem przekonany, że pozwoli wam znowu latać. Alternatywą jest rozbicie was na atomy.

– Co takiego?

Miller uśmiechnął się przepraszająco.

– Przepraszam – rzucił. – Taki żart. Po prostu wyłączcie reaktory i wewnętrzne sieci energetyczne. Dzięki temu zejście poniżej progu zagrożenia, a wtedy będę mógł interweniować. To znaczy jeśli zdecydujecie się to zrobić.

– Co to znaczy, *jeśli*?

Holden zmienił pozycję i otarł się łopatkami o sufit. Nie mógł się tu przeciągnąć, nie było tu dość miejsca na dwóch ludzi.

Nie było tu dość miejsca na dwóch ludzi.

Przez ułamek sekundy jego mózg próbował pomieścić równocześnie dwa obrazy – Millera unoszącego się obok niego i zbyt małą celę – lecz zawiódł. Poczuł, jakby po plecach przemaszerowała mu cała kolonia mrówek. Obie te rzeczy nie mogły być równocześnie prawdziwe, więc jego mózg zadrżał i uciekł przed faktem, że naprawdę tak było. Miller zakaszłał.

– Nie rób tego – poprosił. – I bez tego nie jest łatwo. Przez *jeśli* mam na myśli to, że to blokada blokady. Nie mogę wybrać, która część pułapki nie zostanie zrealizowana. Jeśli wyłączę hamowanie, a wy zaczniecie gorączkowo lecieć do domu albo do siebie strzelać, czy co tam jeszcze, to oznacza także otwarcie wrót. Wszystkich.

– Włącznie z tymi do wypalonych gwiazd?

– Nie – odparł Miller. – Te wrota przepadły. Po drugiej stronie pozostałych są tylko prawdziwe układy gwiazdne.

– Czy to problem?

– To zależy, co przez nie przejdzie – stwierdził Miller. – To bardzo dużo drzwi do otwarcia na raz.

Jedynym dźwiękiem był szum wymienników powietrza. Miller kiwnął głową, jakby Holden coś powiedział.

– Druga opcja to wymyślenie sposobu na wymknięcie się z powrotem do domu z ogonem między nogami i próbowanie udawania, że to się wcale nie zdarzyło.

– Myślisz, że powinniśmy to zrobić?

– Myślę, że było tu kiedyś imperium obejmujące tysiące gwiazd. Ten zarazek z Eros to tylko jedno z ich narzędzi. Klucz nastawny. A tam pojawiło się coś, co *ich* załatwiło. Cokolwiek to było, może nadal tkwić za jedną z tych bram i czekać, aż ktoś zrobi coś głupiego. Więc może wolelibyście raczej zostać tutaj. Spłodzić małe dzieci. Żyć i umrzeć w mroku. Ale przynajmniej *tamto* pozostanie tam.

Holden wyciągnął rękę do pryczy przeciążeniowej, żeby się zatrzymać. Jego serce waliło jak po biegu, a ręce miał lepkie i blade. Czuł, że grożą mu wymioty, i zaczął się zastanawiać, czy zdoła na czas uruchomić odsysanie. W jego wspomnieniach umierały gwiazdy.

– Myślisz, że to właśnie powinniśmy zrobić? – zapytał. – Siedzieć cicho i zabrać się stąd w cholere?

– Nie. Ja chcę je otworzyć. Dowiedziałem się już tutaj wszystkiego, co mogłem, zwłaszcza przy blokadzie. Chciałbym się dowiedzieć, co się stało, a to oznacza wybranie się tam i przyjrzenie się miejscu zdarzenia.

– Jesteś maszyną do odkrywania faktów.

– Właśnie – potwierdził Miller. – Weź pod uwagę źródło, dobrze? Możesz chcieć porozmawiać o tym z kimś, kto nie jest trupem. Wy macie do stracenia znacznie więcej niż ja.

Holden zastanawiał się przez chwilę, a potem się uśmiechnął. I roześmiał się.

– Nie jestem pewien, czy to ma jakieś znaczenie. Moja pozycja nie pozwala mi ustanawiać zasad – zauważył.

– To prawda – zgodził się Miller. – To nic osobistego, ale niezbyt dobrych dobierasz sobie przyjaciół.



# Rozdział trzydziesty pierwszy

## *Melba*

Siedziała w więziennej celi, gdy rozkręcili cylinder. W poprzednim życiu cela była jakiegoś typu oddziałem weterynaryjnym dla dużych zwierząt. Może dla koni albo krów. Dwanaście zagród, po sześć z każdej strony, ze stalowymi ścianami i prętami. Prawdziwymi prętami, jak na starych filmach, tylko że z małymi drzwiczkami u góry – mogli przez nie wrzucać siano. Wszystko inne miało jałowy, biały kolor. Wszystko było zamknięte. Nie miała ubrania, zastąpił je prosty, bladoróżowy kombinezon. Zabrali jej ręczny terminal. Nie tęskniła za nim. Unosiła się pośrodku dostępnej przestrzeni ze ścianami tuż poza zasięgiem palców rąk i stóp. Potrzebowała kilkunastu prób, żeby tu trafić, za każdym razem delikatniej odpychając się od ścian, aby użyć dostatecznie drobnego ruchu, by opór powietrza zatrzymał ją tam, gdzie nic nie mogło jej dotknąć ani ona nie mogła się o nic otrzeć. Gdzie mogła się unosić i być uwięziona w unoszeniu.

Mężczyzna w sąsiedniej celi odbijał się od ścian. Śmiał się i krzyczał, ale głównie rozmyślał ponuro. Ignorowała go. Nie było to trudne. Otaczające ją powietrze delikatnie się poruszało, jak zawsze na statku. Słyszała kiedyś opowieść o jednostce, na której obieg powietrza zepsuł się pośrodku nocnej zmiany. Cała załoga zmarła, dusząc się w otaczających ich bańkach powietrza bez tlenu, topiąc ich we własnym ditlenku węgla. Nie wierzyła, by ta historia była prawdziwa, ponieważ raczej by się obudzili. Dyszeliby i rzucali się odruchowo, wydostając się z prycz, więc by przeżyli. Ludzie, którzy

chcieli żyć, robili takie rzeczy. Z drugiej strony ludzie pragnący śmierci po prostu się unosili.

Na całym statku zabrzmiały klaksony, rezonując przez pokłady, brzmiąc niczym trąby sądu ostatecznego. Najpierw ostrzeżenie. Potem drugie. I jeszcze jedno. A potem pręty w ciszy oddaliły się od niej, opadając, a tylna ściana dotknęła jej ramienia, jakby chciała zwrócić jej uwagę, ale wstydziła się poprosić. Centymetr po centymetrze, coraz większa część jej skóry opierała się o ścianę. Ściana dotykała jej przez prawie minutę, z energią i inercją składającą je niczym dłonie w modlitwie. Nie widziała przyspieszania cylindra. Czuła tylko, jak obroty pchają ją do przodu, a potem z powodu ruchu – w dół. Jej ciało zsuwało się centymetr po centymetrze, opadając wzdłuż ściany w stronę pokładu. Zaczęło nabierać wagi, stawy w kolanach i kręgosłupie zmieniały kształt, przejmując obciążenie. Przypomniła sobie przeczytaną kiedyś informację o tym, że kobieta powracająca po długim czasie pobytu w nieważkości mogła urosnąć prawie pięć centymetrów tylko dlatego, że z dysków w jej kręgosłupie ciężenie nie wypychało nieustannie płynu. Połączenie tego efektu z zanikiem mięśni oznaczało, że odzyskanie wagi – w ciężeniu wirowym, ciągu lub prawdziwej grawitacji – było czasem największej liczby urazów. Dyski międzykręgowe powinny być naciskane, płyny powinny być do nich dostarczane i wyciskane na zewnątrz. Bez tego zmieniały się w wodne balony i czasami pękały.

Jej kolana otarły się o podłogę, a potem zaczęły się w nią wciskać. Minęła już godzina, od kiedy rozległy się sygnały klaksonów. Znowu pojawiła się góra i dół i pozwoliła im się objąć. Złożyła się w sobie, pusta jak mokry papier. W podłogę wbudowano kratkę odpływową, a biała ceramika nie została zbrukana zwierzęcą krwią ani szczynami. Światła w górze zamigotały i wróciły do spokojnego świecenia. Drugi więzień krzyczał, domagając się czegoś. Może jedzenia. Wody. Strażnik odprowadził go do ubikacji.

Przyzwyczała się już do tych statkowych. Nie zawołała o żadną pomoc dla siebie, po prostu czuła, jak jej ciało robi się cięższe, przyciągane w dół. A ponieważ w dół, to i na zewnątrz. To nie było prawdziwe ciężenie, to nie była prawdziwa waga. Jej masa po prostu

bezsukutecznie próbowała odlecieć w mrok. Ktoś przyszedł do drugiego więźnia. Patrzyła na grube plastikowe buty przechodzące przez jej pole widzenia. Potem głosy. Słowa takie jak *lojalny* i *bunt*. Zwroty w rodzaju *we właściwej chwili* oraz *przywrócenie porządku*. Przepłynęły przez nią i pozwoliła im odejść. Głowa bolała ją trochę w miejscu, gdzie skroń opierała się o podłogę. Chciała spać, ale bała się śnić.

Znowu kroki, minęły ją te same buty, tyle że idące w przeciwną stronę. Znowu głosy. Wróciły buty. Głęboki, metaliczny brzęk kajdan podnoszonych z podłogi zagrody. Jej ciało się nie ruszyło, ale skupiła uwagę. Strażnik się zmienił. Kobieta z szerokimi ramionami i pistoletem w dłoni. Popatrzyła na Melbę, wzruszyła ramionami i ustawiła ręczny terminal w jej polu widzenia.

Mężczyzna na ekranie nie wyglądał na gliniarza. Skórę miał jasnobrązową, jak masa na ciasteczka. W kształcie jego twarzy było coś dziwnego – szeroki podbródek, ciemne oczy, zmarszczki na czole i w kącikach ust – których nie mogła zidentyfikować, aż się odezwał i zobaczyła to wszystko w ruchu. Wtedy stało się jasne, że leży na plecach i patrzy w górę do kamery.

– Nazywam się Carlos Baca – powiedział leżący. – Odpowiadam za bezpieczeństwo na *Behemocie*. To więzienie, w którym się pani znajduje, należy do mnie.

*W porządku*, pomyślała Melba.

– Sądzę, że ma pani historię do opowiedzenia. Rejestry ONZ z pani DNA twierdzą, że jest pani Melbą Koh. Z drugiej strony kilka osób, którym nie mam powodu nie wierzyć, przekonuje mnie, że naprawdę nazywa się pani Clarissa Mao. Pierwsza oficer *Rosynanta* mówi, że próbowała ją pani zabić, a ta rosyjska pastorka potwierdza jej historię. Do tego dochodzi inżynier dźwięku twierdzący, że wynajęła go pani do umieszczenia sprzętu przechwytyjącego komputery na pokładzie *Rosynanta*. – Na chwilę umilkł. – Chce pani coś z tego skomentować?

Obudowę terminala ręcznego zrobiono z zielonej ceramiki. A może lakierowanego metalu. Nie plastiku. Wąskie zadrapanie na ekranie sprawiało, że mężczyzna miał dodatkową bruzdę na policzku, jak piracka blizna z pojedynku w książeczkach dla dzieci.

– No dobrze, to może tak – powiedział. – Lekarz twierdzi, że ma pani zestaw zmodyfikowanych gruczołów. Coś w rodzaju wspomaganie używanego przez terrorystów, gdy planują coś spektakularnego i trudnego do wykrycia. I wie pani, nie przejmują się tym, czy za kilka lat nie zmieni to ich układu nerwowego w zupę. To nie jest coś, na co byłoby stać technika serwisu. Trudno byłoby też o rozsądny powód.

Wrażenie było bardzo dziwne: czuła masę głowy napierającą na podłogę, a równocześnie patrzyła z dołu przez kamerę na twarz leżącego mężczyzny. Podejrzewała, że efekt był częściowo wynikiem długiej nieważkości. Jej mózg wciąż przyzwyczajał się do ciężenia wirowego po dłuższym czasie kierowania się wskazówkami wizualnymi, a teraz miała przed sobą coś bardzo nietypowego. Intelktualnie wiedziała, w czym rzecz, ale część jej mózgu zajmująca się analizą wciąż nie chciała odpuścić.

Mężczyzna na ekranie – przedstawił się, ale nie zapamiętała nazwiska – zacisnął wargi, a potem odkaslnął. Dźwięk był mokry, jakby walczył z zapaleniem płuc.

– Nie wydaje mi się, żeby rozumiała pani powagę swojej sytuacji – powiedział. – Ludzie oskarżają panią o wysadzenie ziemskiego okrętu bojowego, a dostarczane przez nich poszlaki i dowody wyglądają bardzo solidnie. Może mi pani wierzyć, ONZ nie ma poczucia humoru w takich sprawach. Zabiją panią. Rozumie to pani? Postawią panią przed wojskowym trybunałem i przez piętnaście albo dwadzieścia minut wysłuchają kilku prawników. A potem rozwalą pani mózg. Mogę pani pomóc tego uniknąć, ale musi pani ze mną rozmawiać.

– Wiesz, co myślę? Nie sądzę, żebyś była profesjonalistką. Raczej amatorką. Popełniłaś sporo błędów typowych dla amatora i sytuacja wymknęła ci się spod kontroli. Powiesz mi, czy mam rację, i będziemy mogli coś z tym zrobić. Ale jeśli będziesz dalej odstawiać, ten numer z katatonią... wylądujesz przed plutonem egzekucyjnym. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Miał dobry głos. Miał coś, co jej nauczyciel śpiewu nazwałby szeroką skalą. Głęboki, ale pełen wydźwięków. Był to rodzaj głosu, jakiego spodziewała się u człowieka solidnie doświadczonego przez

życie. Jej śpiew był zawsze zbyt piskliwy, podobnie jak u ojca. Biedny Petyr nigdy nie potrafił utrzymać melodii. Pozostali – Michael, Anthea, Julie i mama – mieli bardzo czyste głosy. Jak flety. Problem z fletem polegał na tym, że nie mógł nie być czysty. Nawet smutek brzmiał sztucznie i przesadnie, gdy wyrażał go flet. Piszczalki miały w sobie głębsze buczenie, nieczystość, która nadawała dźwiękowi autentyczność. Ona i ojciec byli piszczałkami.

– Corin? – powiedział mężczyzna na ekranie. – Czy ona rozumie, co ja mówię?

Kobieta z pistoletem uniosła terminal ręczny, popatrzyła w dół na Melbę, a potem spojrzała na ekran.

– Nie sądzę, szefie.

– Lekarz mówił, że nie odniosła żadnych uszkodzeń mózgu.

– Owszem – zgodziła się kobieta. – Ale to nie znaczy, że wszystko z nią w porządku.

Westchnięcie było bardzo głośne.

– No dobra – powiedział męski głos. – Będziemy musieli podejść z innej strony. Mam pomysł, ale na razie powinnaś wrócić.

– Sa sa – odpowiedziała kobieta. Wyszła z celi. Kraty znowu się zamknęły. Były na tyle wąskie, by nie przeszło między nimi końskie kopyto. Mogła sobie wyobrazić konia próbującego kopać, spanikowanego po uwięzieniu nogi między prętami. To nie byłoby dobre. Lepiej uniknąć takiego problemu. Mądrzej. Łatwiej uniknąć problemu, niż go rozwiązywać. Ktoś kiedyś jej to powiedział, ale nie wiedziała kto.

– Hej. Hej – odezwał się drugi więzień. Nie krzyczał, po prostu mówił dość głośno, by jego głos do niej dotarł. – Czy to prawda? Masz implanty gruczołowe? Możesz wyrwać drzwi? Jestem kapitanem tego statku. Jeśli mnie stąd wyciągniesz, będę mógł ci pomóc.

Julie miała najlepszy głos, tylko że nie chciała śpiewać. Nie lubiła się prezentować. Przedstawienia robił ojciec. Zawsze prowadził, gdy mieli cokolwiek śpiewać, zawsze ustawiał wszystkich do rodzinnych zdjęć. Wiedział, czego chciał, i wiedział, jak to zdobyć. Tylko że teraz siedział w więzieniu. Nie miał nawet nazwiska, jedynie numer. Zaczęła się zastanawiać, czy jego cela była podobna do jej celi. Byłoby to miłe.

Tylko że, oczywiście, jego była w pełnym ciężeniu, a u niej ciężenie wirowe nie sięgało nawet połowy g. Może jedną trzecią, albo nawet mniej. Jak na Marsie albo na Ceres. Zabawne, że ze wszystkich miejsc zamieszkałych przez ludzi to Ziemia zawsze miała największe ciężenie. Tak jakby możliwość ucieczki z domu oznaczała możliwość ucieczki przed wszystkim.

– Jesteś tam? Jesteś przytomna? Widziałem, jak cię przynosili. Pomóż mi, to pomogę tobie. Amnestia. Możesz uzyskać amnestię. I ochronę. Nie mogą dokonać ekstradycji z Ceres.

To nie była prawda, dobrze o tym wiedziała. Irytacja prawie skłoniła ją do odpowiedzi. Skłoniła ją do wykonania *ruchu*. Ale nie do końca. Podłogę wyłożono jednolitą płytą polimerową uformowaną w skos do kratki ściekowej. Leżała z głową przy samej podłodze, więc odpływ był ledwie czarną kreską na polu bieli. Krukiem na zamarzniętym jeziorze.

– Zostałem uwięziony w wyniku nielegalnego buntu – powiedział mężczyzna. – Możemy sobie wzajemnie pomóc.

Nie była do końca pewna, czy można było jej jeszcze pomóc. A jeśli tak, to co takiego właściwie miałyby to być. Pamiętała, że kiedyś czegoś chciała. Holden. Właśnie. Chciała jego śmierci i czegoś znacznie od niej gorszego. Jej fantazje na ten temat były potężne, prawie jak wspomnienia. Ale nie, ona to *naprawdę* zrobiła. Wszyscy go nienawidzili. Próbowali go zabić. Tylko że coś poszło nie tak i teraz sądzili, że zrobiła to Julie.

Była tak blisko. Gdyby zdołała zniszczyć *Rosynanta*, nigdy by jej nie znaleźli. Gdyby na nim zginęła, nigdy nie byłiby pewni, a Holden zostałby zapamiętany w historii jako nadęty, przekonany o swojej wyższości drań, którym naprawdę był. Ale jej ojciec by wiedział. Hen, daleko stąd, usłyszałby o tym, co zaszło, i domyśliłby się, że to jej dzieło. Jego córki. Tej, z której wreszcie mógłby być dumny.

Dotarło do niej, że drugi więzień przestał mówić. Bardzo dobrze. Irytował ją. Bolały ją kolana. Skroń bolała w miejscu, gdzie opierała się o podłogę. Odleżyny to skutek nacisku. Zaczęła się zastanawiać, ile czasu potrzeba, żeby skóra zaczęła się rozpadać od braku ruchu. Prawdopodobnie całkiem długo, a ona przecież w zasadzie była

zdrowa. Ciekawe, ile czasu minęło, od kiedy się poruszyła. Dość długo. Stwierdziła, że jest z tego powodu dziwnie dumna.

Znowu rozległy się kroki. Tym razem więcej. Plastikowe buty emitowały satysfakcjonujące plaskanie przy każdym kroku, ale towarzyszyły im teraz też inne odgłosy. Wysokie, klikające dźwięki, jak psie pazury na kafelkach. Obudziła się w niej drobna iskierka ciekawości, jak świeczka w katedrze. Buty podeszły, a z nimi małe niebieskie baleriny. Kostki starszej kobiety. Kraty zastukały metalicznie i rozsunęły się. Baleriny zawahały się na progu, a potem weszły. Gdy tylko znalazły się w ruchu, kroki zrobiły się pewne. Celowe.

Kobieta w balerinach usiadła, opierając się plecami o ścianę. Z góry popatrzyła na nią Tilly Fagan. Miała ufarbowane włosy, użyła niemożliwie czerwonej szminki, od której jej usta wydawały się pełniejsze niż były w rzeczywistości.

– Claire, skarbie? – Słowa były łagodne i nieswoje. – To ja.

W jej kręgosłupie i policzkach pojawiło się napięcie. Napięcie i obrażenie z powodu napięcia. Ciocia Tilly nie miała prawa tu być. Nie powinno jej tu być.

Tilly wyciągnęła rękę i pogłaskała ją po głowie jakby Clarissa była kotem. To był pierwszy ludzki dotyk, jaki pamiętała od chwili odzyskania przytomności. Pierwszy łagodny dotyk, jaki w ogóle pamiętała. Kiedy Tilly się odezwała, jej głos był cichy, łagodny i pełen żalu.

– Znaleźli twojego przyjaciela.

*Nie mam przyjaciela*, pomyślała, a potem coś głęboko pod mostkiem przesunęło się i zrobiło się puste. Ren. Znaleźli Rena. Wyciągnęła rękę spod ciała i przycisnęła wierzch dłoni do ust. Łzy były ciepłe, nieoczekiwane i napływały jak powódź. Znaleźli Rena. Otworzyli jej skrzynkę na narzędzia i znaleźli jego kości, a teraz Soledad będzie wiedzieć. Oraz Bob i Stanni. Dowiedzą się, co zrobiła. Pierwsze łkanie było jak kaszel, a potem nadeszły kolejne i Tilly objęła ją ramionami. A ona, na miłość Boską, krzyczała i płakała w biodra Tilly Fagan, podczas gdy ta głaskała ją po głowie i łagodnie uciszała.

– *Przepraszam* – wykrzyczała. Słowa rozrywały jej gardło. Miały w

sobie zadziory. – *Przepraszam. Tak mi przykro.*

– Wiem, skarbie. Wiem.

Obejmowała teraz Tilly, ukrywając twarz w jej boku, tuląc się do niej, jakby ciało kobiety mogło uratować ją przed pogrążeniem się. Przed utonięciem. Strażnik coś powiedział i poczuła, że Tilly przecząco kręci głową. Ruch przeniósł się przez jej ciało.

– Zrobiłam to – wyznała. – Zabiłam go. Myślałam, że muszę. Kazałam mu popatrzeć na odczyt, żeby się schylił, żeby zgiął szyję, a potem to *zrobiłam*. I ja... i ja... i ja... O Boże, będę rzygać.

– Rzyga plebs – odpowiedziała Tilly. – Damy są niedysponowane.

Roześmiała się. Clarissa też się roześmiała, a potem opuściła głowę i znów zapłakała. Klatka piersiowa bolała ją tak bardzo, że była pewna, że naprawdę coś się tam stało. Tętniak, zator płucny, coś takiego. Żal nie mógł przecież dosłownie sprawiać wrażenia złamanego serca, prawda? Tak się tylko mówiło.

Trwało to całą wieczność. I jeszcze dłużej, a potem zwolniło. Jej ciało zrobiło się całkowicie bezwładne. Bluzka Tilly przesiąkła jej łzami, smarkami i śliną, ale Tilly wciąż siedziała jak na początku. Nadal gładziła Clarissę po głowie. Jej paznokcie śledziły krzywiznę ucha.

– Umieściłaś bombę na *Seung Un* – powiedziała Tilly – i wrobiłaś w to Jima Holdena.

To nie było pytanie ani oskarżenie. Nie chciała, żeby Clarissa się przyznała, tylko potwierdziła. Clarissa kiwnęła głową na podołku Tilly. Kiedy się odezwała, jej głos prawie charczał, a gardło sprawiało wrażenie przejechanego szczotką do butelek.

– On skrzywdził tatę. Musiałam coś zrobić.

Tilly westchnęła.

– Twój ojciec to gnojek pierwszej klasy – powiedziała, a ponieważ to ona mówiła, słowa nie bolały.

– Muszę iść powiedzieć szefowi – przeproszającym głosem powiedziała strażniczka. – To znaczy, o tym, co się stało. Chciał, żebym złożyła raport.

– Nie będę cię zatrzymywać – odpowiedziała Tilly.

– Musi pani iść ze mną – powiedziała kobieta. – Nie mogę pani z nią



zostawić. To nie jest bezpieczne.

Zacząła panikować. Nie mogła być sama. Nie teraz. Nie mogli jej zamknąć samotnie.

– Proszę nie być śmieszna – odparła Tilly. – Proszę iść i robić, co tylko pani musi. Ja zostanę tu z Claire.

– Yyy... Wie pani, ta dziewczyna zabiła sporo ludzi.

Cisza trwała tylko chwilę i Clarissa bez ruszania głową wiedziała, jaki wyraz twarzy miała teraz Tilly. Strażniczka odchrząknęła.

– Będę musiała zamknąć drzwi.

– Proszę zrobić, co potrzeba – zgodziła się Tilly.

Kraty przesunęły się i trzasnęły. Brzęknął zamykany zamek. Oddaliły się kroki. Clarissa płakała za Renem. Może inni przyjdą później. Martwi żołnierze z *Seung Un*. Kochanka Holden, którą pobiła i zmasakrowała. Wszyscy mężczyźni i kobiety nieżyjący dlatego, że polecili za Holdenem przez Pierścień. Może będzie miała dla nich łyzy, ale na razie łyzy były tylko dla Rena i nie sądziła, że te skończą się w ciągu jej życia.

– Zasługuję na śmierć – powiedziała. – Stałam się kimś bardzo złym.

Tilly nie zaprotestowała, ale też nie przestała jej koić.

– Chciałabym, żebyś z kimś porozmawiała – powiedziała.

# Rozdział trzydziesty drugi

## *Anna*

Najpierw przybyła ochrona: trzech żołnierzy w promie z karabinami i kajdankami dla Melby. Albo Clarissy. Kimkolwiek była. Potem, znacznie później, dotarła pomoc medyczna, zabierając załogę *Rosynanta*.

Transport dla Anny przyleciał prawie dzień później, nie dlatego, że zapomnieli, po prostu miała niższy priorytet. Biorąc pod uwagę przebieg wydarzeń, uznała, że niższy priorytet prawdopodobnie oznaczał, że jej sytuacja wygląda całkiem dobrze.

Po dotarciu na *Behemota* spodziewała się spotkania z kimś z ochrony statku. Albo, jeśli czuli się dość dobrze, może z Naomi i pozostałymi dwoma członkami załogi *Rosynanta*.

Zamiast tego w hangarze promów zastała Hectora Corteza. Uśmiechnął się na jej widok i uniósł rękę, machając jej lekko na powitanie. Ruch przypominał jej dziadka w ostatnich latach jego życia: był ostrożny i trochę niezdarny. Pomyślała, że przez kilka ostatnich dni Cortez postarzał się o dziesięć lat, a potem dotarło do niej, że musiała nie docenić rozmiarów katastrofy.

– Anno – powiedział na powitanie. – Tak się cieszę, że cię widzę.

Olbrzymi cylinder *Behemota* został wprowadzony w ruch wirowy, tworząc przyprawiające o zawroty głowy sztuczne ciężenie. Stopy Anny przekonywały ją, że stoi na pewnym gruncie, ale jej ucho wewnętrzne twierdziło, że zsuwa się w bok i próbowało przechylić ciało w przeciwną stronę. Wrażenie nie było na tyle silne, by

uniemożliwić chodzenie, ale wszystko przez to robiło się trochę odrealnione. Fakt, że jej policzek ucałował Hector Cortez, celebryta i kapłan potężnych, nie osadził jej mocniej w rzeczywistości.

– Ja też się cieszę, że cię widzę – odpowiedziała. – Nie wiedziałam, że jesteś na *Behemocie*.

– Wszyscy przylecieliśmy – wyjaśnił. – Zostawili na pokładzie *Thomasa Prince’a* najmniejszą możliwą załogę, a reszta przyleciała tutaj. Ci, którzy zostali. Straciliśmy tak wielu. Wczoraj uczestniczyłem w nabożeństwie za poległych. Ojciec Michel. Rabbi Black. Paolo Sedon.

Anna poczuła ukłucie niepokoju.

– Alonzo Guzman?

Cortez pokręcił głową.

– Ani żywy, ani martwy – powiedział. – Wprowadzili go w śpiączkę medyczną, ale nie spodziewają się, żeby przeżył.

Anna przypomniała sobie błagalne spojrzenie jego oczu. Gdyby szybciej znalazła dla niego pomoc...

– Przykro mi, że nie dotarłam na nabożeństwo – odpowiedziała.

– Wiem – zapewnił Cortez. – Dlatego właśnie chciałem się z tobą spotkać. Możemy porozmawiać?

– Oczywiście – zapewniła Anna. – Ale nie wiem, gdzie powinnam teraz iść.

– W takim razie oprowadzę cię – zaoferował staruszek, obracając się częściowo i wyciągając rękę w stronę hangaru promowego. – Chodź ze mną, a zapoznam cię z cudownym wynalazkiem zwanym windą.

Anna roześmiała się i pozwoliła się poprowadzić. On też szedł bardzo ostrożnie. Nie dreptał, ale też nie wyciągał nóg. Wydawał się być innym człowiekiem niż ten, który skłonił trzy frakcje ludzkości do wspólnego przelotu przez Pierścień i wkroczenia w nieznanne. Chodziło też o coś więcej, niż tylko sposób, w jaki się trzymał.

– Pomyślałem, że dobrze byłoby, gdyby osoby, które podpisały petycję, zabrały głos podczas nabożeństwa – powiedział. – Chciałem, by nasz żal został usłyszany.

– Nasz żal?

Przytaknął.

– Twój. Mój. Nas wszystkich, którzy doradzaliśmy przyłot w ten mrok. Kierowała nami pycha i ucierpieli przez nią niewinni. Zginęli, słuchając naszych złych rad. Bóg mnie upokorzył.

Jego głos wciąż miał w sobie bogactwo wieloletniej praktyki, ale brzmiała w nim nowa nuta. Spod bogactwa tonów przebijało niemal dziecięce biadolenie. Równocześnie obudziły się w niej współczucie oraz irytacja.

– Nie jestem pewna, czy tak na to patrzę – odpowiedziała. – Nie przylecieliśmy tu dla własnej chwały. Zrobiliśmy to, by powstrzymać ludzi przed walką. Aby przypomnieć sobie i innym, że w tym wszystkim jesteśmy razem. Nie mogę tego uważać za zły impuls. I nie sądzę, żeby to, co się z nami stało, było karą. Czas i przypadek...

– ...rządzi wszystkim – dokończył Hector. – Tak.

Gdzieś z tyłu na chwilę zaryczał silnik manewrowy promu, potem zgasł. W jego stronę maszerowała para Pasiarzy ze skrzynkami narzędziowymi w dłoniach. Cortez się zmarszczył.

– Ale nawet uwzględniając to, co wyrosło z tego ziarna, wciąż nie uważasz, że zostaliśmy ukarani? Że decyzja nie została podjęta z powodu arogancji?

– Historia pełna jest ludzi dochodzących do siebie po poprzedniej katastrofie – skomentowała Anna. – To, co się stało, było okropne. *Jest* okropne. Ale nie widzę w tym Bożej kary.

– A ja tak – powiedział Cortez. – Wierzę, że wkroczyliśmy w domenę zła. I co więcej, doktor Wołowodow, obawiam się, że zostaliśmy przez nie zbrukani.

– Nie rozumiem...

– Tu jest diabeł – oświadczył Cortez. Pokręcił głową na widok wzbierającego protestu Anny. – Nie jakiś przerysowany demon. Nie jestem głupi. Ale diabeł zawsze pojawiał się w ludziach, gdy sięgali za daleko, kiedy nie zadali sobie pytania, czy *powinni* zrobić coś tylko dlatego, że *mogą*. My... nie, *ja* wpadłem w tę pułapkę. I co gorsza, otworzyliśmy dla niego szeroki szlak. Historia nie będzie dobrze wspominać tego, co zrobiliśmy.

\* \* \*

Anna знаła całkiem sporą liczbę członków kościoła Świętych w Dniach Ostatnich. Zgadzała się z metodystami w kilku pomniejszych kwestiach, takich jak abstynencja od alkoholu, co dawało im poczucie solidarności podczas spotkań ekumenicznych. Fakt, że nie zgadzali się w pewnych zasadniczych sprawach, takich jak natura Boga oraz Jego plan dla wszechświata, zdawał się mieć znacznie mniejsze znaczenie, niż Anna sądziła. Zwykle byli pełni radości, skupieni na życiu rodzinnym i niepozorni.

Stojąc w trzewiach *Behemota*, Anna nigdy nie domyśliłaby się, że mogli zbudować coś takiego, jak ten potężny statek pokoleniowy. Był taki wielki i ekstrawagancki. Kojarzył się z religijnym krzykiem w pustkę kosmosu. *Wszechświat jest zbyt wielki, by nasz statek przeleciał przez niego w rozsądnym czasie? Nie szkodzi, zabierzemy do środka wszystkie potrzebne nam kawałki świata, a potem polecimy we własnym tempie.* Wewnętrzne ściany obrotowego cylindra zakrzywiały się w oddali, efekt Coriolisa udawał masę, a metalowe żebrowania i płyty udawały podłogę czekającą na glebę, rośliny i zwierzęta gospodarskie. Przez środek cylindra, pół kilometra nad głową Anny, biegła długa i wąska struga jaskrawożółtego światła, opromieniając ich wszystkich. Słońce rozciągnięte w kreskę na niebie. Sam pomysł tego statku był arogancki, wyzywający i megalomański.

Annę zachwyił.

Idąc przez szeroką, pustą połąć stali, która powinna być pokryta glebą i uprawami, pomyślała, że tego rodzaju zuchwałość była czymś, co ludzkość utraciła w ciągu ostatnich kilku stuleci. Kiedy starożytni morskcy podróżnicy wchodzili na skrzypiące pokłady swoich drewnianych stateczków i próbowali znaleźć drogi przez olbrzymie oceany Ziemi, czy ich podróże były mniej niebezpieczne niż ta, którą zaplanowali sobie mormoni? Czy ich cel był choć trochę mniej tajemniczy? A jednak w obu przypadkach kierowało nimi pragnienie przekonania się, co znajduje się na drugim końcu długiej drogi. Kierowała nimi potrzeba zobaczenia brzegów, których nie widział

wcześniej nikt inny. Jeśli pokazać człowiekowi zamknięte drzwi, to niezależnie od tego, ile znajdzie otwartych, zawsze będzie go męczyło to, co kryje się za tymi zamkniętymi.

Byli ludzie, którzy widzieli w tym pragnieniu słabość. Wadę gatunku. Ludzkość jako wirus. Stworzenie, które nigdy nie przestaje wypełniać całej dostępnej sobie przestrzeni. Na podstawie ostatniej rozmowy sądziła, że Hector zdawał się skłaniać ku temu spojrzeniu. Jednak sama odrzucała ten pomysł. Gdyby ludzkość dało się zaspokoić, wciąż wszyscy żyliby na drzewach, żywiąc się owadami wydłubanymi sobie wzajemnie z futra. Anna chodziła po księżycu Jowisza. Patrzyła w górę na osłoniętą kopułę, wielką, czerwoną plamę, z odległości tak małej, że widziała wiry i prądy większe od rodzimej planety. Piła wodę pochodzącą z lodowców starych jak sam Układ Słoneczny. A wszystko to możliwe było właśnie dzięki temu brakowi zadowolenia ludzkości, jej zuchwałości.

Patrząc na wirujący wokół niej maleński świat, była pewna, że któregoś dnia to właśnie da im też gwiazdy.

Na obóz uchodźców składało się miasteczko z namiotów i tymczasowych struktur z prefabrykatów ustawionych na wewnętrznej powierzchni cylindra, a długa wiązka jasnego jak słońce światła oświetlała to wszystko z góry jak w wiosenne popołudnie na Ziemi. Znalezienie namiotu Chrisa Williama zajęło jej prawie pół godziny. Łącznik z *Thomasa Prince'a* przekazał jej, że młody oficer przeżył katastrofę, ale doznał przy tym bardzo poważnych obrażeń. Anna chciała go odszukać, a może przez niego – także resztę małej wspólnoty utworzonej podczas lotu do Pierścienia.

Trafiła w końcu na miejsce dzięki pytaniom i pomocnym ludziom. Nie miała jak zapukać ani zadzwonić, więc tylko podrapała paznokciami po klapie namiotu.

– Chris? Jesteś tam?

– To pani, pastor Anno? Proszę wejść.

Oficer włącznikowy nie podał żadnych szczegółów obrażeń Chrisa, więc wchodząc, Anna przygotowała się na najgorsze. Młody porucznik leżał na typowo wojskowej pryczy, podparty kilkoma poduszkami. Na jego kolanach leżał mały terminal, wyraźnie odłożony tuż przed jej

wejściem. Jego lewa ręka i lewa noga kończyły się przy środkowych stawach.

– Och, Chris, tak...

– Jeśli pani następne słowo to „przykro” – przerwał jej – to zeskoczę i skopię pani tyłek.

Anna zaczęła się śmiać, choć w oczach wzbierały jej łzy.

– Przepraszam, ale teraz jest mi przykro z powodu bycia mi przykro. – Usiadła na brzegu jego pryczy i ujęła jego dłoń. – Jak się masz, Chris?

– Poza paroma oczywistymi wyjątkami – machnął skróconą lewą ręką – wyszedłem z katastrofy w stanie lepszym niż większość. Nie miałem nawet poważniejszych siniaków.

– Nie wiem, jak działa wojskowe ubezpieczenie zdrowotne... – zaczęła Anna, ale Chris nie dał jej dokończyć.

– Pełna terapia regeneracyjna. Jeśli uda się nam stąd wydostać i wrócić do cywilizacji, czeka mnie kilka miesięcy bólu i swędzenia, a potem będę miał w pełni funkcjonalne, nowe kończyny.

– Brzmi nieźle – skomentowała Anna. Chciała zaoferować pokrycie jego leczenia, nie wiedząc, czy w ogóle ją na to stać. Na chwilę wypełniły ją równocześnie ulga i wstyd. – Masz jakieś wiadomości od innych członków naszej grupy? Jeszcze nie miałam czasu ich poszukać.

– Ach tak – ze śmiechem odpowiedział Chris. – Słyszałem. Ja tu sobie leżałem, a pani odstawiała komandoskie rajdy. Gdybym wiedział, że szkolono was do zwalczania napakowanych terrorystów, jako dziecko bardziej uważałbym w kościele.

– Uciekałam przed nią, aż dostała zapaści, a potem przykleiłam ją taśmą do fotela. To nie było bardzo heroiczne.

– Ja dostanę medal za spadnięcie na właz ciśnieniowy, utratę ręki i nogi, żeby uratować siedmioro marynarzy przed uwięzieniem w uszkodzonej części statku. Byłem wtedy nieprzytomny, ale wydaje się, że to nie ma znaczenia. Heroizm to łatka, którą większość ludzi dostaje za rzeczy, których nigdy by nie zrobili, gdyby się chwilę nad nimi zastanowili.

Te słowa wzbudziły w Annie śmiech.

– Ostatnio sporo myślałam o czymś bardzo podobnym. – Chris opadł z powrotem na swoje poduszki i kiwnięciem głowy zaprosił ją, do kontynuowania.

– Mam na myśli łatki. Etykiety. Ludzie mówią, że obcy są źli, bo nas skrzywdzili. Ale nie znając kontekstu, co my naprawdę wiemy?

– Właśnie – zgodził się Chris. – Jeśli stracę dwie kończyny, bo po pijaku wpadnę pod kombajn, to jestem idiotą. Jeśli stracę te same kończyny, bo przypadkiem stałem obok właściwych drzwi, gdy statek został uszkodzony, jestem bohaterem.

– Może to właśnie jest aż tak proste. Nie wiem. Mam wrażenie, jakby miało się stać coś bardzo ważnego, a my wszyscy z wyprzedzeniem próbujemy zdecydować, co to będzie.

Chris w zamyśleniu podrapał się po kikutach lewej nogi, a potem się skrzywił.

– Na przykład?

– Przelecieliśmy przez Pierścień, żeby nie pozwolić, by to James Holden jako pierwszy rozmawiał z obcymi. Ale przecież to ten sam człowiek, który pomógł wysłać Erosa na Wenus, zamiast pozwolić mu na zniszczenie Ziemi. Czemu uznaliśmy, że nie uniesie roli pierwszego człowieka, jakiego spotkają obcy? A teraz coś dało nam klapsa, zabierając broń, ale nie zabijając. To powinno coś znaczyć. Coś tak potężnego z pewnością mogło nas zabić równie łatwo, jak pozbawiło nas pazurów. A jednak tego nie zrobiło. My za to zamiast próbować odkryć znaczenie tego faktu, jesteśmy tak obolali, że nazywamy to złem. Mam wrażenie, że zachowujemy się jak ukarane dzieci, które widzą w karze tylko złośliwość rodziców.

– Zatrzymali nasze statki, żeby... co? Rozbroić nas? – zapytał Chris.

– Kto wie? – odpowiedziała Anna, wzruszając ramionami. – Wiem za to, że nie zadajemy tych pytań. Ludzie robią paskudne rzeczy, kiedy się boją, a w tej chwili wszyscy bardzo się boimy.

– Tara zginęła – wtrącił Chris.

Anna wyteńczyła myśli, próbując przypomnieć sobie, kim była Tara.

– Krótkie blond włosy – podpowiedział Chris, widząc jej zmieszanie.  
– Była marine.

– Och nie – odpowiedziała Anna, znowu czując wzbierające łzy.



Zginęła jej gniewna marine. Przepadła przyszłość, w której pracowała z Tarą nad odkryciem źródła jej wiecznego gniewu. Wszystkie przygotowane już w głowie rozmowy, kierunki drażenia, przewidywana satysfakcja, gdy zdoła doprowadzić marine do otwarcia się przed nią. Przepadły, jakby ktoś pstryknął przełącznikiem. Trudno było nie zrozumieć choćby częściowo podejścia Corteza. W końcu obcy zabili kogoś z jej wspólnoty.

*Ale może nie celowo*, a zamiar miał znaczenie. Inaczej wszechświat nie miałby żadnego sensu.

Zdołała przetrwać wizytę do końca, nie wydając się – miała nadzieję – zbyt rozproszona. Potem poszła do przydzielonego jej namiotu i spróbowała odpocząć. Nie miała powodu liczyć na sen. Gdy w końcu znalazła swoje miejsce, pojawiła się Tilly Fagan. Anna uniosła rękę na powitanie, ale zanim zdążyła się odezwać, Tilly objęła ją i ścisnęła tak mocno, że usłyszała, jak strzelają jej żebra. Tilly okazała się zaskakująco silna jak na tak szczupłą kobietę.

– Byłam na siebie wściekła, że pozwoliłam ci wyjść – powiedziała Tilly ściskając ją jeszcze mocniej i opierając się całą sobą o Annę. Była ciężka. Obie znajdowały się w wirującym cylindrze, a trzeba było trochę czasu, żeby się do tego przyzwyczaić.

– Chyba byłam... nie do końca sobą – przyznała Anna, gdy Tilly w końcu trochę odpuściła.

– To też była moja wina – stwierdziła Tilly i znów ścisnęła mocniej.

Anna zrozumiała, że może to tylko przeczekać i zaczęła klepać Tilly po plecach, aż przyjaciółka wreszcie się odpręży.

Po kilku chwilach Tilly puściła Annę i cofnęła się o krok, z błyszczącymi oczami, ale uśmiechem na ustach.

– Cieszę się, że nie zginęłaś. Wszyscy inni z *Prince'a* się wykopyrtnęli. – Anna postanowiła nie pytać, co to znaczy. – *Behemot* stał się naszym nowym domem – mówiła dalej Tilly. – Jeśli nie uda się nam znaleźć sposobu na ucieczkę z tego miejsca, tutaj przetrwamy najdłużej. A przez to statek zrobił się najbardziej pożądaną lokalizacją w powolnej strefie.

– No cóż, to... ważne.

Tilly się roześmiała. Wyciągnęła papierosa i zapaliła go. Widząc

zdziwienie na twarzy Anny, wyjaśniła.

– Tutaj to dozwolone. Sporo Pasiarzy pali. Najpierw przejmują się filtrami, a potem sami rekreacyjnie wciągają do płuc trujące cząstki stałe. Fantastyczna kultura.

Anna z uśmiechem pomachała ręką, żeby odpędzić dym.

– No dobrze. – Tilly udąa, że tego nie widzi. – Zażądałam, żeby pozwolili mi lecieć pierwszym promem. Udało ci się wyciągnąć Holdena?

– Nie znalazłam go – odparła Anna. – Tylko jego załogę. Ale chyba udało mi się uratować im życie.

W pierwszej chwili pomyślała, że wyraz twarzy Tilly stał się chłodniejszy, ale to nie było prawdą. To nie był chłód, a ból. Anna położyła dłoń na ramieniu Tilly.

– Jest ktoś, z kimś powinnaś porozmawiać – powiedziała starsza kobieta. – I pewnie ci się to nie spodoba, ale zrobisz to dla mnie. Nigdy więcej o nic cię już nie poproszę, a ty kupisz tym sobie zapas kosztownych przysług na całe życie.

– Cokolwiek mogę zrobić.

– Pomożesz Claire.

Anna poczuła się, jakby nagle znalazła się w próżni. Przez chwilę znowu słyszała chrapliwe krzyki i czuła uderzenia przenoszone przez ustępujące drzwi szafki. Usłyszała, jak Chris mówi jej, że Tara zginęła. Zobaczyła Corteza i usłyszała rozpacz w jego głosie. Odetchnęła głęboko.

– Owszem – potwierdziła. – Oczywiście, że tak.

# Rozdział trzydziesty trzeci

## *Byk*

– Musi pan wstać – powiedziała doktor Sterling. Obroty zmieniły kształt jej twarzy, ściągając w dół policzki i włosy. Wyglądała na starszą i bardziej znajomą.

– Myślałem, że nie powinienem nigdzie chodzić – odpowiedział Byk i zakaszłał.

– To było w czasach, gdy martwiłam się o pański rdzeń kręgowy. Teraz martwię się płucami. Ma pan dość problemów z pozbywaniem się wydzielin i jestem w zasadzie gotowa nazwać to łagodnym zapaleniem płuc.

– Nic mi nie będzie.

– Ciężenie wirowe nie pomoże wiele, jeśli będzie pan leżał płasko na plecach – odpowiedziała, podkreślając słowa klepieniem w ramię.

– Musi pan trochę siedzieć.

Byk zacisnął zęby.

– Nie mogę usiąść – przypomniał. – Nie mam mięśni brzucha. *Niczego* nie mogę zrobić.

– Ma pan regulowane łóżko. – Lekarka nie przejęła się jego tłumaczeniem. – Proszę je wyregulować. Siedzieć w pozycji pionowej, ile tylko pan będzie mógł.

– Czy to nie doprowadzi do jeszcze większego pogorszenia stanu mojego kręgosłupa?

– Możemy założyć usztywnienia – stwierdziła. – W każdym razie, może pan żyć bez działających nóg, ale nie bez działających płuc.

Szpital się zmienił. Rozkręcenie cylindra oznaczało usunięcie tylu zmian wprowadzonych w celu przekształcenia statku pokoleniowego w okręt wojenny, ile tylko się dało. Stanowiska medyczne i prysznic obrócono o dziewięćdziesiąt stopni, przygotowując je do korzystania z nich przy ciężeniu ciągu. To, co – jak się zdawało – w zamierzonych czasach zaprojektowano jako podłogi, stało się ścianami, a teraz wróciło do funkcji podłogowej. Wszystkie zmiany były tylko zawahaniem. Potknięciem w przemysłowej stali i ceramice. Jakby coś zostało złamane i nieprawidłowo odrosło.

– Zrobię, co będę mógł – powiedział Byk, zaciskając zęby, żeby powstrzymać kolejny atak kaszlu. – Ale skoro mam siadać, to mogę przynajmniej dostać coś, co będzie się choć trochę poruszać? Mam już dość siedzenia przez cały czas w tym samym pokoju.

– Nie zalecam tego.

– Zamierza mnie pani powstrzymać?

– Nie.

Oboje na chwilę umilkli. W powietrzu między nimi zawisła frustracja i wrogość. Żadne z nich nie spało ostatnio wystarczająco długo, by zapewnić organizmowi regenerację. Oboje pracowali zbyt ciężko, by utrzymać innych przy życiu. I nie zamierzali się wzajemnie uszczęśliwiać.

– Zrobię, co się da, pani doktor – powiedział w końcu Byk. – Jak wygląda sytuacja?

– Ludzie umierają. Ale już wolniej. W tej chwili prawie wszystkie najgorsze przypadki albo zostały ustabilizowane, albo zmarły. Chwilowo wygląda to w zasadzie tak samo dla wszystkich: opatrywanie ran i leczenie podtrzymujące. Staramy się wyszukiwać ludzi, którzy doznali jakichś przeoczonych wcześniej obrażeń wewnętrznych, i próbujemy ich złapać przed zapaścią. Odpoczynek, płyny, lekki wysiłek i modlitwa.

– Dobrze – powiedział, a jego terminal zabrzęczał. Kolejne żądanie połączenia. Tym razem z *Hammurabiego*, marsjańskiej fregaty, na której trzymali kapitana Jima Holdena.

– A jak to wygląda z pańskiej strony? – zapytała doktor Sterling. Mocno zacisnęła wargi. Znała odpowiedź.

Byk użył panelu sterowania łóżka do uniesienia się w coś przypominającego pozycję siedzącą. Od razu poczuł różnicę w oddechu, ale przez to jeszcze trudniej było mu powstrzymać kaszel.

– Odpowiem za chwilę – powiedział, przyjmując połączenie. Na ekranie pojawiła się kapitan Jakande.

– Kapitanie. – Byk uczynił z jej tytułu powitanie.

– Panie Baca – odpowiedziała. – Dostałam pańską ostatnią wiadomość.

– Nie spodziewam się, żeby dzwoniła pani w celu zorganizowania przeniesienia więźnia i reszty pani załogi?

Nie uśmiechnęła się.

– Chciałam podziękować za zorganizowanie obszaru szpitalnego dla naszego personelu medycznego. Jednakże nie prześlemy już żadnego więcej personelu na pański statek, podobnie nie przekazemy więźnia w pańskie ręce.

– Nie ma pani na statku wystarczającej liczby ludzi, żeby go obsłużyć. To nawet nie jest bazowa załoga. Uwzględniając rannych, personel medyczny i ranny personel medyczny, mam tu dwie trzecie pani stanu.

– I bardzo za to dziękuję.

– Chcę powiedzieć, że zostało pani mniej niż jedna trzecia załogi. Wszyscy robią podwójne albo potrójne zmiany. Ziemia wciąż rzuca hasłami o przeniesieniu Holdena do nich do czasu, aż zostaną wyjaśnione oskarżenia dotyczące *Seung Un*. – Nie wspomniał o wyznaniu Clarissy Mao. Tę kartę mógł wykorzystać innym razem. Uniósł rękę. – Wszyscy widzieliśmy, jak ktoś nam bliski umiera z powodu czegoś, czego nie rozumiemy. Wszyscy jesteśmy pogrążeni w żalu i strachu. Jeśli nie zbierzemy się razem, ktoś zrobi coś, czego wszyscy będziemy żałować.

– Marsjański kodeks wojskowy wymaga...

– Mam tu otwarte śledztwo. Podzielę się wszystkimi zebranymi informacjami. Niektóre z nich są cholernie interesujące.

Coś poruszyło się w jego płucach i zaczął kaszeć tak mocno, że nie mógł mówić ani słuchać. W jego ustach zebrała się flegma, więc nachylił się, opierając się na rękach, żeby ją wypluć. Może faktycznie

coś było w tym siedzeniu.

– Marsjański kodeks wojskowy zabrania wydawania więźniów z wyjątkiem przypadków wymiany, które zostały zatwierdzone przez rząd. Nie możemy rozmawiać z MRK, więc nic nie zostanie zatwierdzone.

– Mogłaby mi się pani poddać.

Tym razem się roześmiała. Pękła maska wojskowej poprawności.

– Chciałabym. Mogłabym się wreszcie wyspać. Ale ta pańska puszka nie mogłaby nas pokonać nawet, gdybyśmy *mogli* walczyć.

– A nie możemy, więc została nam w zasadzie wymiana gniewnych listów z dwudziestu kroków. Dziękuję za połączenie – powiedział. – Powiem kapitan, że nic z tego. Ale wie pani co, zapytam o coś. Co zrobicie, jeśli Ziemia wyśle kilkadziesiąt marines z palnikami i nożami kuchennymi?

– Będziemy walczyć palnikami i nożami – odparła. – *Hammurabi* rozłącza się.

Byk przez pół minuty wpatrywał się w pusty ekran, zanim go odłożył. Będzie musiał powiedzieć Pa, ale nie cieszył się na to. Miała i tak pełne ręce roboty, koordynując wszystkie te rzeczy, którymi nie mógł się zająć, ponieważ został uwięziony w szpitalu.

Niezależnie od statusu prawnego Holdena dla Ziemi i Marsa, niezależnie od tego, ilu ludzi weźmie na siebie winę za rzeczy, o które go oskarżano, to nie miało znaczenia. Było tylko pretekstem. Był jedyną osobą nieobjętą traktatami wojskowymi, którą można było przesłuchać w sprawie tego, co znajdowało się na stacji kosmicznej obcych. Chciała go Ziemia, chciał go SPZ. Miał go Mars i nie zamierzał wypuścić choćby z powodu satysfakcji z posiadania czegoś, czego chcieli inni.

A pręcej czy później jakiś Marsjanin obciążony za dużym stresem i za małą ilością snu, uznający Holdena winnym za ściągnięcie ich wszystkich przez Pierścień, postanowi zemścić się za nieżywego kochanka lub przyjaciela. Byk podrapał się po szyi, czując pod palcami szorstką szczecinę. Jego puste ciało rozciągało się przed nim w jednej trzeciej ziemskiego ciężenia.

– Byk?

Podniósł wzrok. Jeśli to możliwe, pielęgniarz wydawał się jeszcze bardziej zmęczony od lekarki.

– Masz gości, jeśli mogę ich wpuścić – powiedział.

– To zależy. Kto przyszedł?

– Kapłan – odpowiedział pielęgniarz.

Byk dopiero po chwili zrozumiał, że to zawód, nie nazwisko.

– Rosjanka z *Rosynanta*?

Pielęgniarz pokręcił głową.

– Ten polityk, Cortez.

– Czego chce?

– Moim zdaniem? Uratować pańską duszę. Mówił coś o chronieniu ludzkości przed diabłem. Chyba chce pańskiej pomocy w tym zbożnym dziele.

– Powiedz mu, żeby poszedł porozmawiać z Sergem w biurze ochrony. Kto jeszcze czegoś ode mnie chce?

Wyraz twarzy pielęgniarza uległ zmianie. Przez chwilę Byk nie był pewien, co było w niej takiego dziwnego, a potem uświadomił sobie, że pierwszy raz widzi na jego twarzy uśmiech.

– Ktoś ma dla pana mały prezencik – powiedział pielęgniarz, a potem wyjrzał na korytarz. – Dobra, wchodźcie.

Byk znowu zakaszłał, zbierając kolejną porcję flegmy.

W drzwiach pojawiła się wyszczerzona Sam. Za jej plecami dwóch techników niosło niebieską plastikową skrzynię – tak wielką, że mogłaby zmieścić całą panią inżynier.

– Rosenberg? Marnowałaś czas, w którym powinnaś naprawiać mój statek?

– Musisz zaliczyć jeszcze jeden bunt, zanim statek będzie twój – odcięła się Sam. – I owszem, kiedy załoga usłyszała o tym, co zaszło między tobą a Ashfordem, niektórzy postanowili zmontować ci mały prezencik.

Byk się poruszył, ale zdołał się złapać. Był tak przyzwyczajony do posiadania mięśni korpusu utrzymujących równowagę ciała, że wciąż zaskakiwało go, gdy zaczynał się przewracać. Był to jeden z powodów, dla których tęsknił za nieważkością. Sam nie zauważyła albo udała, że nie zauważa. Przesunęła się na bok i chwyciła dźwignię otwarcia

skrzyni niczym iluzjonista planujący zaprezentować sztuczkę. W drzwiach pojawiła się doktor Sterling z cieniem nieśmiałego uśmiechu na ustach. Byk poczuł się, jakby trafił na urządzone dla niego przyjęcie-niespodziankę.

– Zaczynam się czuć nieswojo – wyznał.

– Zaczynasz mądrzeć – odpowiedziała. – Gotowy?

– Jasne, że raczej nie.

Skrzynia rozłożyła się na boki. Mech w jej wnętrzu wyglądał na bardzo skomplikowane, masywne i grube urządzenie. Byk roześmiał się, bo nie przyszło mu do głowy nic do powiedzenia.

– To standardowy mech załadunkowy – wyjaśniła Sam – ale wyciągnęliśmy część wzmocnień z jego brzucha i włożyliśmy zamiast nich medyczny uciskowy skafander ortezowy. Zastąpiliśmy wspomaganie nóg prostym sterownikiem na dżojstik. Tańczyć się w tym nie da i wciąż będziesz potrzebował pomocy z kibelem, ale przynajmniej uwolnisz się od łóżka. Nie jest tak wygodny, jak wysokiej klasy wózek, ale dotrzesz w tym w każde miejsce na statku, bez względu na to, czy przygotowano je dla niepełnosprawnych, czy nie.

Byk miał wrażenie, że znowu będzie kaszlał, ale poczuł wzbierające w oczach łzy.

– O cholera, Sam.

– Nic z tych rzeczy, dzieciuchu. Wsadźmy cię do środka i wyregulujemy podpory.

Sam chwyciła go za jedno ramię, pielęgniarz za drugie. Dziwnie było poczuć się niesionym. Byk nie pamiętał, kiedy ostatni raz ktoś go podniósł. Orteza wewnątrz mecha przypominała pas wyszczuplający, a Sam umieściła taśmy wzdłuż rozpór mecha, żeby jego nogi nie latały luźno. Było to odwrócenie zwykłego mechanizmu: zamiast używania nóg do poruszania mechem używał maszyny do poruszania nogami. Po raz pierwszy od katastrofy Byk przeszedł przez krótki korytarz na oddział szpitalny. Sam dotrzymywała mu kroku, przyglądając się mechanizmowi jak kwoka zabierająca pisklaki na pierwszy spacer. Towarzyszące mu uczucie nieprawidłowości nie ustąpiło, ale osłabło.

W sali zobaczył najciężej rannych ze wszystkich trzech stron:



kobiety i mężczyzn, Pasiarzy, Ziemiaków i Marsjan. Łysy mężczyzna ze skórą o niezdrowym, żółtym kolorze z wysiłkiem próbował oddychać; kobieta o wyglądzie tak młodym, że Bykowi trudno było uwierzyć, że to nie dziecko, leżała w łóżku prawie nago, ze skórą przeważnie spaloną i nieobecny wyrazem oczu; masywny mężczyzna z brodą godną starotestamentowych proroków i silnym owłosieniem na ciele jęczał i rzucał się pomimo uśpienia. W jednorazowych szpitalnych szlafrokach z plastiku nie było widać, kto należy do której strony. Byli ludźmi na jego statku, więc to on za nich odpowiadał.

Na końcu korytarza w drzwiach stała Corin z pistoletem na biodrze. Jej salut był na granicy między poważnym a prześmiewczym.

– Macht sly, szefie – powiedziała. – Pasuje.

– Dzięki – odpowiedział Byk.

– Chce pan zobaczyć więźniów?

– Jasne – potwierdził Byk.

Nie planował iść w żadne konkretne miejsce, ale skoro mógł, to mógł. Oddział zamknięty był znacznie mniejszy, ale poza ochroną przy drzwiach, nie było tu żadnych innych oznak, że pacjenci czymś się różnią. *Więźniowie* było mocnym słowem. Nikt z nich nie miał zasądanego więzienia. Byli tam cenni cywile z Ziemi i najwyżsi stopniem ranni Marsjanie. Każdy, kto zdaniem Byka mógł być szczególnie przydatny, teraz lub później. Wszystkie łóżka były zajęte, a doliczył się dwunastu.

– Jak ci się chodzi? – zapytała Sam.

– Mam wrażenie, że ściąga trochę na prawo – przyznał Byk.

– Tak, myślałam, że może...

Z najdalszego łóżka zabrzmiał nowy głos, słaby i niepewny, ale charakterystyczny.

– Sam?

Jej uwaga przeskoczyła w głąb sali i Sam zrobiła kilka niepewnych kroków w stronę kobiety, która się odezwała.

– Naomi? Och, jasny szlag, skarbie. Co ci się stało?

– Wdałam się w bójkę – powiedziała pierwsza oficer *Rosynanta* przez posiniaczone i pęknięte wargi. – Skopałam jej tyłek.

– Znasz Nagatę? – zapytał Byk.

– Ze starych, złych czasów – potwierdziła Sam, biorąc ją za rękę. – Przez sześć dni mieszkaliśmy razem, gdy pokłóciła się z Jimem Holdenem.

– Gdzie – wydusiła Naomi. – Gdzie jest moja załoga?

– Są tutaj – odpowiedział Byk, podchodząc mechem bliżej. – Wszyscy oprócz Holdena.

– Nic im nie jest?

– Bywało lepiej – odezwał się łysiejący, nieco pulchny mężczyzna ze skórą koloru grzanki. Mówił z akcentem z doliny Marinera lub zachodniego Teksasu na Ziemi. Trudno było je rozróżnić.

– Aleks – powiedziała Naomi. – Gdzie jest Amos?

– Na sąsiednim łóżku. Dużo sypia. A w ogóle to co się stało? Zostaliśmy aresztowani?

– Doszło do wypadku – odpowiedział Byk. – Mnóstwo ludzi zostało rannych.

– Ale nie jesteśmy aresztowani? – upewnił się Aleks.

– Nie.

– No to w porządku.

Naomi Nagata wyraźnie rozluźniła się na łóżku. Świadomość, że jej załoga jest żywa i jest przy niej, miała bardzo duże znaczenie. Byk zapamiętał to sobie na wypadek, gdyby ta informacja miała się przydać później.

– Kobieta, która was zaatakowała, została aresztowana – poinformował.

– To ona. Z bombą – powiedziała Naomi.

– Sprawdzamy to – odparł, starając się mówić pocieszającym tonem. Efekt został zepsuty przez kolejny atak kaszlu.

Naomi zmarszczyła brwi, przypominając coś sobie. Byk pożałował, że nie może jej wziąć za rękę. Nawiązać porozumienia. Mech był niezłym sposobem na poruszanie się po okolicy, ale na wiele sposobów go ograniczał.

– Jim? – zapytała.

– Kapitan Holden został zatrzymany przez flotę marsjańską – wyjaśnił Byk. – Próbuję negocjować przekazanie go pod naszą opiekę, ale jak na razie nie idzie mi za dobrze.

Naomi uśmiechnęła się, jakby przekazał jej dobrą wiadomość, i kiwnęła głową. Zamknęła oczy.

– A co z Millerem?

– Z kim? – zapytał Byk, ale ona już usnęła.

Sam przeszła do łóżka Aleksa, a Byk podszedł, by popatrzeć na śpiącego mechanika z *Rosynanta*. Amos Burton. W tej chwili wszyscy wyglądali dość żałośnie i było ich zdecydowanie za mało, żeby bezpiecznie obsługiwać statek taki jak ich. Może Jakande mogłaby skorzystać z ich porad.

Do czasu przejęcia Holdena będzie miała nad nimi przewagę. Ten człowiek był swoistym symbolem, a doprowadzanie do spokoju, gdy nie było ku temu powodów, wymagało symboli. Kapitan Jakande nie ustąpi, bo gdyby to zrobiła, po powrocie do domu zostałaby postawiona przed sądem wojskowym. Jeśli wróci. Bykowi się to nie podobało, ale rozumiał. Gdyby byli gdziekolwiek poza powolną strefą, machaliby szabelkami i szczyrzyli zęby, ale zamiast tego mogli tylko rozmawiać...

Bykowi nagle zaschło w ustach. Sam wciąż patrzyła na łóżko Naomi Nagaty z twarzą pełną złości i rozpacz.

– Sam – rzucił Byk. – Masz chwilę?

Podniosła głowę i przytaknęła. Byk przesunął mały dżojstik i mech niezgrabnie zawrócił. Pokierował go z powrotem przez drzwi i do jego prywatnego pokoiku. Zanim tam dotarli, na twarzy Sam zaczęła się rysować ciekawość. Byk, kaszląc, zamknął drzwi. Trochę kręciło mu się w głowie, a jego serce wyraźnie przyśpieszyło. Strach, podniecenie lub ustawienie w pionie po raz pierwszy od przejścia przez Pierścień: nie wiedział.

– Co jest, szefie?

– Laser łącznościowy – rzucił Byk. – Powiedzmy, że chciałbym z niego zrobić broń. Jaką największą moc da się przez niego przepchnąć?

Sam zmarszczyła czoło bardziej, niż gdyby tylko dokonywała w głowie obliczeń. Ciężenie wirowe sprawiało, że wydawała się starsza. A może był to efekt nurzania się w śmierci i strachu.

– Mogę uzyskać z niego temperaturę wnętrza gwiazdy na ułamek

sekundy – powiedziała po chwili. – Ale to tylko przypiecze tę stronę statku na tyle, żeby śmierdziała izolacją.

– A co możesz uzyskać z, powiedzmy, trzech takich strzałów? Tak, żeby nie stopić naszego statku?

– Jeśli się nie śpieszysz, to i bez przeróbek możemy spokojnie przepalić się przez kadłub. Pewnie mogłabym trochę skrócić ten czas.

– Zajmij się tym, dobrze?

Sam pokręciła głową.

– Co? – zapytał Byk.

– Ta duża jarząca się kula na zewnątrz może wyłączyć inercję, jeśli poczuje się zagrożona. Mam wątpliwości, czy robienie ze światła broni to dobry pomysł. Poważnie, co będzie, jeśli to coś postanowi zatrzymać wszystkie fotony czy coś w tym stylu?

– Jeśli będziemy to mieć, nie będzie trzeba go używać.

Sam znowu pokręciła głową.

– Nie mogę tego dla ciebie zrobić, Byku.

– A co z kapitan? Zrobisz to dla Pasiarki?

Policzki Sam zrobiły się czerwone. Mógł to być wstyd albo gniew.

– To cios poniżej pasa.

– Przepraszam, ale przyjmiesz bezpośredni rozkaz od kapitan Pa?

– Od niej? Tak. Ale nie dlatego, że jest Pasiarką, tylko dlatego, że jest kapitanem, i ufam jej ocenie.

– Bardziej niż mojej.

Sam uniosła ręce w pasiarskim wzruszeniu ramionami.

– Kiedy ostatni raz wykonałam twoje polecenia bez gadania, wylądowałam w areszcie domowym.

Byk musiał jej przyznać rację. Niezgrabnie wyciągnął rękę z mecha, wziął swój ręczny terminal i wysłał prośbę o priorytetowe połączenie z Pa. Odebrała niemal natychmiast. Ona też wyglądała na starszą, zużytą, pewną i solidną. Kryzys jej służył.

– Panie Baca – powiedziała. – Na czym stoimy?

– Kapitan Jakande nie zamierza ściągać tu swoich ludzi, choć wszyscy wiedzą, że tak byłoby lepiej. I nie odda Holdena.

– Trudno – skomentowała Pa. – Przynajmniej próbowaliśmy.

– Ale może się pani poddać – zasugerował Byk. – A wydaje mi się, że

dużo łatwiej będzie zostać szeryfem, jeśli będziemy mieć jedyną broń w powolnej strefie.

Pa przekrzywiła głowę.

– Słucham – powiedziała.

# Rozdział trzydziesty czwarty

## *Clarissa*

Strażnicy przyszli, przynosząc niewielkie racje batonów białkowych i odliczone butelki z wodą, zaprowadzili więźniów do łazienki, trzymając pistolety w gotowości, a potem zabrali ich z powrotem. Przez większość czasu Clarissa leżała na podłodze lub rozciągała się, nuciała pod nosem stare piosenki lub rysowała sobie paznokciami wzory na skórze przedramion. Nuda byłaby miazdząca, gdyby ją odczuwała, ale wydawała się oderwana od czasu.

Płakała tylko, gdy pomyślała o zabiciu Rena i gdy przypominała sobie ojca. Jedyne, na co w jakimś stopniu czekała, to kolejna wizyta Tilly z jej tajemniczą przyjaciółką. I śmierć.

Kobiety przyszły pierwsze, a gdy się pojawiły, Clarissa natychmiast ją rozpoznała. Z rudymi włosami ściągniętymi w dół przez obroty jej twarz wyglądała łagodniej, ale oczu nie mogłaby zapomnieć. Kobieta z kambuza *Thomasa Prince'a*. A potem z *Rosynanta*. Anna. Powiedziała Naomi, że ma na imię Anna.

Jeszcze jedna osoba, którą Clarissa próbowała kiedyś zabić.

– Mam pozwolenie na rozmowę z nią – powiedziała Anna.

Strażnik – mężczyzna o szerokiej twarzy i bliznach na ręce wyglądających prawie jak ozdoba – złożył ręce na piersi.

– Jest tutaj, si no? Rozmawiaj.

– Absolutnie nie – zaprotestowała Anna. – To prywatna rozmowa. Nie mogę jej odbywać w obecności innych osób.

– Nie możesz jej odbywać nigdzie indziej – odpowiedział strażnik. –

Wiesz, ilu ludzi zabiła ta coya? Ma implanty. Jest groźna.

– Ona wie – odezwała się Clarissa, a Anna posłała jej uśmiech jakby dzieliły jakiś żart.

W trzewiach Clarissy obudził się niepokój. Było coś niebezpiecznego w kobiecie, która po byciu zaatakowaną potrafiła traktować to jako coś, co zbliżyło ją z napastniczką. Clarissa zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę chce z nią rozmawiać.

– To ryzyko, na które jestem gotowa – oświadczyła Anna. – Może nam pan znaleźć jakieś miejsce. Pokój przesłuchań. Macie coś takiego, prawda?

Strażnik osiadł głębiej na kolanach i biodrach, emanując bezruchem.

– Może tu pani zostać, aż słońce się wypali – oświadczył. – Te drzwi zostaną zamknięte.

– Nic nie szkodzi – powiedziała Clarissa.

– Owszem, szkodzi – nie zgodziła się Anna. – Jestem jej pastorką i musimy porozmawiać o prywatnych sprawach. Proszę otworzyć drzwi i zabrać nas gdzieś, gdzie będziemy mogli pomówić w spokoju.

– Jojo – odezwał się kapitan z drugiego końca sali. Ashford. Tak się nazywał. – Wszystko w porządku. Możesz je wsadzić do chłodni na mięso. Nie jest używana i ma zamek od zewnątrz.

– Wtedy dostanę martwą kapłankę, ano sa?

– Wierzę, że nic mi nie grozi – odpowiedziała Anna.

– To wierzy pani w próżniowe wróżki – burknął strażnik, ale otworzył drzwi celi.

Kraty się rozsunęły. Clarissa się zawahała. Zza strażnika i kapłanki przyglądał się jej obalony kapitan Ashford, wyglądając przez kraty, by lepiej widzieć. Potrzebował golenia i wyglądał, jakby płakał. Przez chwilę ścisnęła zimne stalowe pręty drzwi celi. Poczowała niemal przemożne pragnienie zamknięcia ich, wycofania się.

– Wszystko w porządku – powiedziała Anna.

Clarissa puściła drzwi i wyszła. Strażnik wyciągnął pistolet i przycisnął jego lufę do jej szyi. Anna przybrała zboląły wyraz twarzy, a Ashford nawet nie drgnął.

– Czy to konieczne? – zapytała Anna.

– Implanty – przypomniał strażnik i dźgnął Clarissę, żeby ruszyła przed siebie. Poszła.

Chłodnia była ciepła i większa od bufetu na *Cerisierze*. Wzdłuż podłogi, sufitu i obu ścian biegły pasy metalu z wgłębieniami co kilka centymetrów, pozwalając niedoszłym mormońskim kolonistom zamocować w wybranych miejscach ścianki działowe. W sumie nie było nic dziwnego w tym, że zagrody weterynaryjne zmienione na więzienie znajdowały się blisko rzeźni. Z osadzonych w ścianach diod LED jarzyło się ostre białe światło, niezmiękczone i kierunkowe, rzucając ostre cienie.

– Wróć za piętnaście minut – oświadczył strażnik, przepychając Clarissę przez drzwi. – Jeśli coś mi się nie spodoba, zastrzelę cię.

– Dziękuję za zapewnienie nam prywatności – powiedziała Anna, wchodząc za nią do środka. Drzwi się za nimi zamknęły. Trzask zamka brzmiał jak odgłos zamykających się wrót piekieł. Zamigotały światła, a pierwszą, pełną dezaprobaty myślą, która przemknęła Clarissie przez głowę, było: *nie powinni byli podpinąć magnesu blokującego do tego samego obwodu, co panel sterowania*. Nagle odkryta pozostałość z poprzedniego życia.

Anna zebrała się w sobie, uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

– Już się spotkałyśmy – powiedziała – ale właściwie nie zostałyśmy sobie przedstawione. Jestem Anna.

Całe życie kierowania się etykietą wymusiło na Clarissie przyjęcie oferowanej dłoni. Anna miała bardzo ciepłe palce.

– Moja pastorka? – powiedziała.

– Przepraszam – odparła Anna. – Nie chciałam niczego sugerować. Po prostu się rozzłościłam i chciałam mieć jakąś przewagę.

– Znam ludzi, którzy robią gorsze rzeczy. Kiedy się rozzłoszczą.

Clarissa puściła dłoń kobiety.

– Jestem znajomą Tilly. Pomogła mi po rozbiciu statku. Byłam ranna i nie myślałam zbyt jasno, a ona mi pomogła – wyjaśniła.

– Jest w tym dobra.

– Znała też twoją siostrę. I ojca. Całą rodzinę – dodała Anna, a potem niecierpliwie zacisnęła wargi. – Szkoda, że nie dali nam krzeseł. Czuję się, jakbyśmy stały na przystanku autobusowym.



Anna głęboko wciągnęła powietrze, wypuściła je przez nos, a potem usiadła na środku pomieszczenia ze skrzyżowanymi nogami. Poklepała metalowy pokład obok siebie. Clarissa zawahała się, ale po chwili usiadła. Nagle naszło ją wspomnienie z czasów, gdy miała pięć lat i siedziała na dywanie w przedszkolu.

– Tak lepiej – skomentowała Anna. – Tilly sporo mi o tobie powiedziała. Martwi się.

Clarissa przechyliła głowę. Wydawało się to właściwą chwilą na odpowiedź. Nawet czuła potrzebę odezwania się, ale nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć. Po chwili Anna odezwała się ponownie, próbując jeszcze raz nienachalnie skłonić ją do odpowiedzi.

– Ja też się o ciebie martwię.

– Dlaczego?

Spojrzenie Anny na chwilę zrobiło się nieostre. Wyglądało to tak, jakby prowadziła jakiś wewnętrzny dialog. Ale tylko przez chwilę. Nachyliła się do przodu, składając dłonie.

– Wcześniej ci nie pomogłam. Widziałam cię tuż przed wybuchem na *Seung Un* – powiedziała. – Tuż przed tym, jak odpaliłaś bombę.

– Wtedy było już za późno – odparła Clarissa. – Ren już nie żył. Nie mogłaś tego zatrzymać.

– Masz rację – zgodziła się Anna. – Ale to nie jedyny powód, dla którego tu jestem. Ja także... też kogoś straciłam. Kiedy wszystkie statki stanęły, straciłam kogoś.

– Kogoś ważnego dla ciebie – uściśliła Clarissa. – Kogo kochałaś.

– Prawie nie znałam tej osoby, ale bardzo odczułam jej stratę. A na dodatek bałam się ciebie. *Nadal* się boję. Ale Tilly dużo mi o tobie mówiła, a to pomogło mi uporać się z częścią strachu.

– Nie z całym?

– Owszem, nie z całym.

Coś głęboko w strukturze statku uderzyło potężnie, a wszystkie ściany wokół nich dźwięczały przez chwilę jak w olbrzymim, odległym dzwonie.

– Mogłabym cię zabić – stwierdziła Clarissa. – Zanim zdążą otworzyć drzwi.

– Wiem. Widziałam.

Clarissa wyciągnęła rękę i położyła dłoń na żebrowanym zagłębieniu. Metal był gładki i chłodny w dotyku.

– Czyli chcesz wyznania? – zapytała.

– Jeśli je zaoferujesz.

– Zrobiłam to – oświadczyła Clarissa. – Dokonałam sabotażu na *Rosynancie* i *Seung Un*. Zabiłam Rena. Zabiłam kilkoro ludzi na Ziemi. Sfałszowałam swoją tożsamość. Całą. Jestem winna.

– Dobrze.

– Skończyliśmy?

Anna podrapała się po nosie i westchnęła.

– Przyleciałam do Pierścienia, choć to bardzo nie podobało się mojej żonie. Choć znaczyło to, że przez wiele miesięcy nie zobaczę mojej córeczki. Powiedziałam sobie, że chciałam go zobaczyć, żeby pomóc ludziom znaleźć w nim sens, czymkolwiek jest, żeby się go nie bali. Ty przyleciałaś tutaj, żeby... uratować swojego ojca. Odkupić go.

– Tak powiedziała Tilly?

– Nie ujęła tego tak uprzejmie.

Clarissa roześmiała się chrapliwie. Wszystko, co mogła powiedzieć, wydawało się trywialne. Gorzej, naiwne i głupie. *Jim Holden zniszczył moją rodzinę oraz chciałam, żeby ojciec był ze mnie dumny i myliłam się.*

– Zrobiłam, co zrobiłam – powiedziała tylko. – Możesz im to przekazać. Ochronie. Możesz powiedzieć, że do wszystkiego się przyznałam.

– Jeśli tego chcesz, to im powiem.

– Tak. Chcę tego.

– Dlaczego próbowałaś zabić Naomi?

– Chciałam zabić ich wszystkich – wyjaśniła Clarissa, a wypowiedzenie każdego słowa wymagało dużego wysiłku, jakby były zbyt duże, by zmieścić się w jej gardle. – Byli jego częścią, a ja chciałam go zniszczyć. Żeby przestał istnieć. Chciałam, żeby wszyscy wiedzieli, że to zły człowiek.

– Nadal tego chcesz?

– Już mnie to nie obchodzi – odparła Clarissa. – Możesz im to

powiedzieć.

– A Naomi? Pójdę ją odwiedzić. Czy chciałabyś, żebym jej coś od ciebie przekazała?

Clarissa przypomniała sobie spuchniętą, posiniaczoną i krwawiącą twarz kobiety. Rozprostowała i ścisnęła palce, czując wokół nich rękawicę mecha. Złamanie jej karku było niczym, wystarczyło odrobinę mocniej zacisnąć dłoń. Zastanawiała się, dlaczego tego nie zrobiła. Nie była pewna, czy napawała się chwilą, czy w głębi duszy się wahała, a pamięć podsuwała oba wyjaśnienia z równą siłą. Albo żadne z nich.

– Powiedz jej, że życzę jej powrotu do zdrowia.

– Naprawdę tak myślisz?

– Czy tylko jestem uprzejma? – zapytała Clarissa. – Powiedz jej, co chcesz. Nie obchodzi mnie to.

– W porządku – stwierdziła Anna. – Mogę cię o coś zapytać?

– Mogę się nie zgodzić?

– Tak.

Cisza trwała nie dłużej niż trzy oddechy.

– Możesz mnie o coś zapytać.

– Czy pragniesz odkupienia?

– Nie wierzę w Boga.

– W takim razie czy chciałabyś zostać odkupiona przez coś innego niż Bóg? Gdyby było dla ciebie wybaczenie, przyjąłabyś je?

Wściekłość zrodziła się w brzuchu Clarissy i wykwitła w jej piersi. Wywinęła jej wargi i zmarszczyła brwi. Po raz pierwszy, od kiedy straciła przytomność, próbując się przebić przez drzwi szafki na *Rosynancie*, przypomniała sobie, jak odczuwa się złość. Jak jest potężna.

– Dlaczego miano by mi cokolwiek wybaczać? Zrobiłam to. To wszystko.

– Ale gdyby...

– Co to byłaby za sprawiedliwość? „Och, zabiłaś Rena, ale teraz tego żałujesz, więc już dobrze”? *Pieprzyć* to. A jeśli tak właśnie działa Bóg, to jego też *pieprzyć*.

Trzasnęły drzwi chłodni. Clarissa obejrzała się na nie zła z powodu

kiepskiej chwili, ale zaraz potem zrozumiała, że usłyszeli jej krzyk. Chcieli uratować kapłankę. Zaciśnęła dłonie w pięści i popatrzyła na nie. Zabiorą ją z powrotem do celi. W trzewiach i gardle czuła, jak bardzo tego nie chciała.

– Wszystko w porządku – powiedziała Anna na widok strażnika wchodzącego do chłodni z bronią wycelowaną w Clarissę. – Nic się nie dzieje.

– Właśnie że nie – warknął strażnik. Miał ostry i skupiony wzrok. Wystraszony. – Czas minął. Koniec spotkania.

Anna popatrzyła na Clarissę w sposób sugerujący frustrację. Nie na nią, a na tę sytuację. Na to, że wszystko nie było takie, jak chciała. Z tym uczuciem Clarissa mogła sympatyzować.

– Chciałbym znowu z tobą porozmawiać – powiedziała Anna. – Jeśli się zgodzisz.

– Wiesz, gdzie mieszkam – Clarissa skomentowała ze wzruszeniem ramion. – Nie wychodzę zbyt często.

# Rozdział trzydziesty piąty

*Anna*

Kiedy tam dotarła, Byka nie było w biurze. Muskularna młoda kobieta z pistoletem w kaburze na biodrze wzruszyła ramionami, gdy Anna zapytała, czy może na niego zaczekać, a potem zajęła się pracą, ignorując ją. Ekran ścienny ustawiono na strumień Radia Wolna Powolna Strefa, gdzie młody Ziemianin nachylał się w stronę Moniki Stuart i mówił z przejęciem. Miał jasnorożową skórę, ale nie wyglądało to na jego naturalny kolor. Anna pomyślała, że wygląda jak obrany.

– Nie zmieniłem zdania co do autonomii dla brazylijskich stref wspólnych interesów – powiedział. – Jeśli już, to moje spojrzenie na tę kwestię uległo pogłębieniu.

– Pogłębieniu? – zapytała Monika. Wydawała się szczerze zainteresowana. To był dar.

Obrany mężczyzna czubkami palców dotknął powietrza. Anna była pewna, że widziała go na pokładzie *Thomasa Prince'a*, ale za nic nie potrafiła sobie przypomnieć jego nazwiska. Miała niejasne wrażenie, że jest malarzem. W każdym razie jakimś artystą.

– Wszyscy się zmieniliśmy – powiedział. – Przylatując tutaj. Przechodząc przez próby, które spadły na nas wszystkich, *zostaliśmy* zmienieni. Kiedy wrócimy, nikt z nas nie będzie taki sam, jak wcześniej. Tragedia, strata i poczucie *zdumienia* zmienia znaczenie bycia człowiekiem. Rozumie pani, co chcę powiedzieć?

Co dziwne, Anna sądziła, że rozumie.

Bycie kapłanem oznaczało wkraczanie w ludzkie życie. Anna udzielała porad członkom wspólnoty, udzielała im ślubów, chrzcila ich dzieci, a w jednym, tragicznym przypadku rok później odprawiła ceremonię pogrzebową niemowlęcia. Członkowie wspólnoty zapraszali ją do uczestniczenia w najważniejszych chwilach swojego życia. Była do tego przyzwyczajona i przeważnie ta głęboka więź z nimi dawała jej satysfakcję. Wykreślanie przebiegu życia było jak tworzenie mapy sposobów, w jakie każde zdarzenie zmieniało daną osobę, zostawiając po drugiej stronie kogoś innego. Przejście przez Pierścień i tragedie, które się z tym wiązały, nie mogły nikogo z nich zostawić takim samym.

Migracja z reszty floty na *Behemota* trwała w najlepsze. Na całej zakrzywionej wewnętrznej powierzchni cylindra mieszkalnego wyrastały miasteczka namiotowe, niczym kwiaty na płaskiej, stalowo-ceramicznej glebie. Anna widziała, jak wysocy, kościści Pasiarze pomagają ściągać z wózków medycznych rannych Ziemiaków, podłączają im kroplówki i inny sprzęt medyczny, układając poduszki i wycierając czoła z potu. Wewnętrzni i zewnętrzni bez komentarza rozładowywali skrzynie w mieszanych grupach. Nawet pomimo niedawnej katastrofy Annie robiło się od tego cieplej na duszy. Może trzeba było prawdziwej tragedii, żeby skłonić wszystkich do współpracy, ale przynajmniej do tego doszło. Zrobili to. Była w tym nadzieja.

Gdyby teraz jeszcze potrafili osiągnąć taki stan bez krwi i krzyków...

– Twoje działania krytykowano – powiedziała Monika Stuart – jako nawoływanie do przemocy.

Obrany mężczyzna przytaknął.

– Kiedyś się z tym nie zgadzałem – odpowiedział. – Jednak doszedłem do wniosku, że to może być prawda. Sądzę, że po dotarciu tutaj konieczne są pewne zmiany.

– Z powodu Pierścienia?

– I powolnej strefy. Oraz tego, co tu zaszło.

– Czy będzie pan zachęcał innych artystów politycznych do przybycia tutaj?

– Zdecydowanie.

Chris, jej młody oficer, zapytał o zorganizowanie nabożeństw dla mieszanej grupy na pokładzie *Behemota*. W pierwszej chwili myślała, że chodzi mu o różne religie, ale okazało się, że miał na myśli grupę wyznaniową z Ziemią, Marsjanami i Pasiarzami. Mieszana, jakby Bóg dzielił ludzi na podstawie ciężenia, w którym dorastali. Anna pomyślała wtedy, że tak naprawdę nie ma czegoś takiego, jak „mieszana” grupa wyznaniowa. Niezależnie od tego, jak wyglądali ani jak Go nazywali, gdy grupa ludzi wspólnie wzywała Boga, wszyscy stawali się jednością. Nawet jeśli w ogóle nie było Boga, był tylko jeden albo całe ich mnóstwo, to nie miało znaczenia. *Wiara, nadzieja i miłość*, napisał Paweł, *z nich zaś największa jest miłość*. Wiara i nadzieja były dla Anny bardzo ważne, ale rozumiała teraz tekst Pawła w sposób wcześniej dla niej nieosiągalny. Miłość nie potrzebowała niczego innego. Nie potrzebowała wspólnej wiary ani wspólnej tożsamości. Pomyślała o swojej córce i poczuła falę tęsknoty i samotności. Prawie czuła Nami w ramionach, prawie czuła jej uzależniający zapach noworodka. Ugandyjka Nono i *Rosjanka* Anna złączyły się w jedno, tworząc Nami. Nie mieszankę, nic tak prymitywnego. Coś więcej niż tylko suma części oraz ich pochodzenia. Coś nowego, indywidualnego i unikalnego.

Czyli nie *mieszana grupa*, po prostu *grupa*. Coś nowego, doskonałego i unikalnego. Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby Bóg widział to inaczej. Anna była też przekonana, że wie, jak poprowadzić pierwsze nabożeństwo. Była w połowie zapisywania na terminalu ręcznym planu kazania o „braku mieszanych grup w oczach Boga”, gdy w drzwiach pojawił się Byk, przy każdym kroku jęcząc i dudniąc mechanicznymi nogami. Anna pomyślała, że nadaje mu to więcej powagi niż wcześniej. Poruszał się ze zdecydowaniem wymuszonym mechaniczną koniecznością, którą łatwo było pomylić z formalnością i poczuciem własnej ważności. Elektryczne jęki maszyny i ciężkie dudnienia kroków były niczym heroldowie obwieszczający jego przybycie.

Anna wyobraziła sobie irytację Byka, gdyby mu to powiedziała, i zachichotała lekko w duchu. Byk mówił coś właśnie do podwładnego i w ogóle jej nie zauważył.

– Nie obchodzi mnie, co o tym myślą, Serge. Zgodnie z porozumieniem nie wpuszczamy na statek żadnego uzbrojonego personelu wojskowego. Nawet gdyby nie miały wbudowanych działek, te skafandry same w sobie stanowią broń. Skonfiskuj ich sprzęt albo wyrzucić z cholernego statku.

– Si, jefe – odpowiedział towarzyszący mu mężczyzna. – Ale jak mam je otworzyć, sa sa? Otwieraczem do puszek?

– Oczaruj ich. Jeśli teraz nie możemy ich do niczego zmusić, gdy jesteśmy w dobrych stosunkach, to co zrobimy, jeśli postanowią się na nas pogniewać? Jeśli czterech marines w pancerzach zwiadu zdecyduje, że rządzą tym statkiem, to tak do cholery będzie, więc musimy im zabrać pancerze, zanim o tym pomyślą. W ogóle nie chcę tego mieć w cylindrze, zamknij je w zbrojowni na mostku.

Serge nie wyglądał na zadowolonego.

– Może chociaż jakaś pomoc?

– Bierz, ilu chcesz, ale jeśli nie będziesz ich potrzebował, to tylko wkurzysz marines, a jeśli będą potrzebni, to w sumie i tak nie pomogą.

Serge stanął na chwilę z otwartymi ustami, a potem zamknął je z głośnym kłapnięciem i wyszedł. Byk kiwnął głową Annie.

– Co mogę dla pani zrobić, pastorko?

– Proszę mówić mi Anna. Przyszłam porozmawiać o Clarissie Mao.

– Jeśli nie jest pani jej adwokatem ani przedstawicielem związku zawodowego...

– Jestem jej kapłanką. Co się z nią teraz stanie?

Byk znowu westchnął.

– Przyznała się do wysadzenia statku. Po czymś takim nie zdarzy się nic dobrego.

– Ludzie mówią, że wyrzucił pan w próżnię człowieka za sprzedaż narkotyków. Twierdzą, że jest pan twardy. Zimny.

– Doprawdy? – zapytał Byk.

Anna nie potrafiła stwierdzić, czy zdziwienie w jego głosie jest szczere, czy szydercze.

– Proszę jej nie zabijać – powiedziała, nachylając się bliżej i patrząc mu w oczy. – Proszę nikomu nie pozwolić jej zabić.



– Dlaczego? – Powiedział to w sposób, który nie był wyzwaniem ani groźbą. Zabrzmiało to tak, jakby faktycznie nie znał odpowiedzi i sam się nad nią zastanawiał.

Anna zdławiła niepokój.

– Martwej nie pomogę.

– Bez urazy, ale to naprawdę nie mój problem.

– Sądziłam, że stanowi pan tu prawo i porządek.

– Zależy mi raczej na porządku.

– Ona zasługuje na rozprawę, ale jeśli wszyscy dowiedzą się o niej tego, co pan, nie doczeka jej. Będą zamieszki, zabiją ją. Proszę mi przynajmniej pomóc zapewnić jej proces.

Potężny mężczyzna westchnął.

– To w końcu chce pani sądu czy tylko sposobu na zyskanie czasu?

– Chcę czasu – przyznała Anna.

Byk kiwnął głową, ważąc coś w myślach, a potem gestem zaprosił ją do swojego biura. Kiedy usiadła obok jego podniszczonego biurka, zaczął się tłuc w małej przestrzeni, robiąc kawę. Wydawało się to ekstrawagancją, biorąc pod uwagę wprowadzone właśnie racjonowanie wody, ale Anna przypomniała sobie, że Byk jest drugą najpotężniejszą osobą w powolnej strefie. Przywileje rangi.

Nie miała ochoty na kawę, ale przyjęła zaoferowany kubek, by pozwolić Bykowi na okazanie hojności. Hojność teraz może prowadzić do hojności później, gdy poprosi o coś, na czym naprawdę będzie jej zależało.

– Kiedy Holden zacznie mówić ludziom, kto naprawdę dokonał sabotażu na *Seung Un* – a to Jim Holden, więc powie – ludzie z ONZ zgłoszą się po Clarissę. A jeśli pójdą mi na rękę dostatecznie, bym mógł zebrać tu wszystkich razem i zapewnić im bezpieczeństwo do czasu wydostania się z tej pułapki, zamierzam im ją wydać. Nie ze statku, tylko tutaj.

– Co z nią zrobią? – Anna dla towarzystwa napiła się kawy. Oparzyła jej język i smakowała jak kwas.

– Prawdopodobnie podstawią ją przed sądem złożonym z oficerów wyższej rangi, przeprowadzą krótki proces i wrzucą ją do recyklera. Normalnie powiedziałbym, że wyrzucą przez śluzę, ale biorąc pod

uwagę okoliczności, wydaje się to marnowaniem zasobów. Zapasy wysłane z domu będą potrzebować tyle samo czasu na przelot przez powolną strefę, ile na dotarcie do Pierścienia.

Mówił bezbarwnym, wypranym z uczuć głosem. Omawiał logistykę, nie życie młodej kobiety.

– Wierzy pan w Boga, panie Baca? – zapytała Anna, tłumiąc wewnętrzne drżenie.

Musiała mu uznać na plus, że próbował nie przewrócić oczami. Prawie mu się udało.

– Wierzę w cokolwiek, co pomaga przetrwać noc.

– Proszę nie być aroganckim – rzuciła Anna i poczuła satysfakcję, widząc, że trochę się wyprostował. Z jej doświadczenia wynikało, że większość upartych mężczyzn miała równie uparte matki, a wiedziała, jak to wykorzystać.

– Proszę posłuchać – odezwał się Byk, próbując odzyskać inicjatywę. Anna nie dała mu dojść do głosu.

– Niech pan na chwilę zapomni o Bogu – powiedziała. – Czy wierzy pan w koncepcję wybaczenia? Możliwość odkupienia? W wartość każdego ludzkiego życia, niezależnie od tego, jak bardzo jest zbrukane i zepsute?

– Cholera, nie – rzucił Byk. – Uważam, że można zabrnąć tak daleko, że nie da się zrównoważyć szali.

– Brzmi jak coś podyktowanego doświadczeniem. Jak daleko pan dotarł?

– Dostatecznie daleko, by wiedzieć, że jest coś takiego jak „za daleko”.

– I nie ma pan problemu z ocenianiem, gdzie znajduje się ta granica?

Byk pociągnął za ramię swojego mecha, przesuwając masę w trzymających go pasach. Popatrzył smętnie na biurowe krzesło, którego nie mógł już używać. Anna mu współczuła – został okaleczony w najgorszej możliwej chwili, a teraz próbował utrzymać swój światek w porządku, bez opamiętania spalając ostatnie resztki sił. Podbite oczy i żółta skóra nagle zaczęły dla niej wyglądać jak migające ostrzeżenie o rozładowaniu akumulatora, informujące o prawie

całkowitym wyczerpaniu energii. Doznała poczucia winy z powodu obciążania go kolejnym problemem.

– Nie chcę zabijać tej dziewczyny – powiedział i wypił kolejny łyk okropnej kawy. – Właściwie to wcale mnie nie obchodzi, o ile tylko siedzi zamknięta i nie stwarza zagrożenia dla mojego statku. Tak naprawdę powinna pani porozmawiać z Holdenem. To on może nakreślić tłum z pochodniami i widłami.

– Ale Marsjanie...

– Poddali się dwadzieścia godzin temu.

Anna zamrugła.

– Od wielu dni czekali na okazję do tego – wyjaśnił Byk. – Musieliśmy po prostu znaleźć sposób, żeby pozwolić im zachować twarz.

– Zachować twarz?

– Mogą opowiedzieć historię, w której nie będą wyglądali na słabych. To wszystko, czego potrzebowali. Tylko że gdybyśmy czegoś nie znaleźli, zostaliby na stanowiskach aż do śmierci z wyczerpania. Nic nigdy nie zabiło więcej ludzi niż strach przed wydaniem się mięczakiem.

– Czyli Holden tu przyleci?

– Jest już na promie, eskortowany przez czterech marines w pancerzach wspomaganych, co przysparza mi kolejnego bólu głowy. Wie pani co? Nie będę wspominał o dziewczynie, dopóki nie będę miał ku temu powodu. Ale co zrobi Holden, to będzie już zależało tylko od niego.

– Dobrze, w takim razie porozmawiam z nim, gdy tylko przyleci – oświadczyła Anna.

– Powodzenia – rzucił Byk.

# Rozdział trzydziesty szósty

## *Holden*

Kiedy Marsjanie po niego przyszli – dwóch mężczyzn i dwie kobiety, wszyscy w mundurach i z bronią – otumaniony odosobnieniem umysł Holdena wysunął od razu kilkanaście różnych pomysłów. Kapitan znalazła dla niego miejsce w pokładowym szpitalu i chciała go znowu przesłuchać w sprawie tego, co działo się na stacji, albo wyrzucą go przez śluzę, albo dowiedzieli się, że Naomi nie żyje, albo dowiedzieli się, że żyje. Miał wrażenie, że każdy neuron w ciele, od mózgu po palce stóp, był na skraju pobudzenia. Potrzebował całego opanowania, na jakie potrafił się zdobyć, żeby nie odbić się od ściany celi, skacząc na wąski korytarz.

– Więzień się zidentyfikuje – powiedział jeden z mężczyzn.

– James Holden. Znaczy... nie macie tu przecież wielu więźniów, prawda? Bo próbowałem znaleźć kogoś do rozmowy, od kiedy tu siedzę, tak jakby od dziesięciu lat, i jestem przekonany, że oprócz mnie nie ma tu nawet jednego kłębka kurzu.

Zagryzł wargi, żeby przestać mówić. Zdecydowanie za długo był sam i za długo był przestraszony. Aż do tej chwili nie rozumiał, jak to na niego wpłynęło. Nawet gdyby w chwili wylądowania na pokładzie *Hammurabiego* był całkiem zdrowy psychicznie, bez zmiany sytuacji taki stan nie mógł utrzymać się zbyt długo.

– Nagranie potwierdzi, że więzień zidentyfikował się jako James Holden – oświadczył mężczyzna. – Proszę z nami.

Korytarz przed celami był tak wąski, że dwoje strażników z przodu

i dwoje z tyłu praktycznie tworzyło ściany. Niskie marsjańskie ciśnienie sprawiało, że ich ciała bardziej przypominały budowę Pasiarzy niż jego, a cała czwórka garbiła się lekko, pochylając się nad nim. Holden jeszcze nigdy w życiu nie czuł takiej ulgi z powodu znalezienia się w wąskim, ciasnym korytarzu. Jednak nawet ta ulga została stłumiona przez niepokój. Strażnicy w zasadzie go nie popchnęli, po prostu zaczęli się przemieszczać z przekonaniem, które automatycznie zasugerowało, że powinien zrobić to samo. Właz znajdował się zaledwie pięć metrów dalej, ale po pobycie w celi wydało mu się to dużą odległością.

– Dostaliście jakieś wiadomości z *Rosa*?

Nikt się nie odezwał.

– Co... yyy... co się dzieje?

– Ewakuujemy pana – wyjaśnił mężczyzna.

– Ewakuujecie?

– W ramach warunków poddania się.

– Warunków poddania? Poddajecie się? Dlaczego się poddajecie?

– Przegraliśmy w politykę – rzuciła kobieta za jego plecami.

Jeśli szalupa, na którą go załadowali, nie była tą samą, która przywiozła go ze stacji, to była na tyle podobna, że nie potrafił zauważyć różnicy. Tym razem towarzyszyło mu tylko czterech żołnierzy, ale wszyscy mieli na sobie pełne pancerze bojowe. Resztę miejsc zajęli mężczyźni i kobiety w standardowych mundurach floty. Holden w pierwszej chwili pomyślał, że są ranni, ale kiedy przyjrzał się uważniej, stwierdził, że u nikogo nie widzi nic poważniejszego od lekkich urazów. Wrażenie złamania pochodziło z wyczerpania widocznego w twarzach i ciałach. Pojazd włączył silniki bez żadnego ostrzeżenia, ale ciągnął ledwie poruszył pryzkami przeciążeniowymi. Otaczający go Marsjanie spali lub patrzyli przed siebie ponuro. Holden zaczął się drapać pod twardym, elastycznym plastikiem unieruchamiającym jego nadgarstki i kostki, ale nikt go przed tym nie powstrzymywał. Co mogło być dobrym znakiem.

Spróbował dokonać obliczeń w głowie. Jeśli nowa prędkość maksymalna wynosiła tyle, ile szybkość wystrzelonego granatu, to w ciągu każdej godziny lotu... Był zbyt zmęczony, żeby dojść do jakichś

rozsądnych wartości. Gdyby miał swój terminal ręczny, obliczenia zajęłyby mu kilka sekund. Mimo wszystko nie sądził, żeby prośba o niego została dobrze przyjęta. I nie miało to znaczenia.

Usnął, obudził się, usnął ponownie. Alarm zbliżeniowy wyrwał go ze snu o pieczeniu chleba z kimś, kto był jego ojcem Caesarem, ale także Fredem Johnsonem, który próbował znaleźć sól. Potrzebował chwili na przypomnienie sobie, gdzie jest.

Szalupa była na tyle mała, że gdy ktoś po drugiej stronie zastukał w śluzę, Holden to usłyszał. Ze swojego miejsca nie zobaczył otwierania włazu. Pierwsze, co poczuł, to nieco inny zapach powietrza. Coś bogatego i dziwnie wilgotnego. A potem w jego polu widzenia pojawiło się czterech ludzi. Pasiarze. Kobieta o szerokiej twarzy, barczysty mężczyzna z uderzająco białą brodą i dwóch ogolonych na gładko facetów – tak podobnych do siebie, że mogli być bliźniakami. Bliźniacy mieli na przedramionach wytatuowane rozerwane kręgi SPZ. Cała czwórka nosiła pistolety w kaburach.

*Behemot*, pomyślał Holden. Poddali się *Behemotowi*. Dziwne.

Jeden z marines, wciąż w pancerzu bojowym, podleciał do nich. Pasiarze nie okazali ani śladu strachu. Holden uznał im to na plus.

– Jestem sierżant Aleksander Verbinski – przedstawił się Marsjanin.

– Rozkazano mi przekazać tę szalupę wraz z załogą i kompanią zgodnie z warunkami poddania się.

Kobieta i białobrody mężczyzna spojrzeli po sobie. Holden miał wrażenie, że widzi w ich oczach wymieniane pytanie – *powiesz im, że nie mogą zabrać do środka skafandrów?* Kobieta wzruszyła ramionami.

– Bien alles – powiedziała. – Witamy na pokładzie. Wprowadźcie ich w sześciopakach, a wszystkim się zajmiemy, sa sa?

– Tak, proszę pani – odpowiedział Verbinski.

– Corin – odezwał się jeden z bliźniaków. Kobieta odwróciła się do niego i zobaczyła, że ten głową wskazuje Holdena. – Pa con esá parlan, si?

Kobieta uprzejmie kiwnęła głową.

– Holdena weźmiemy od razu – powiedziała.

– Wy tu rządzicie – skomentował marine.

Słyszając ton jego głosu, Holden pomyślał, że równie spokojnie zgodziłby się na zastrzelenie go. Choć może to tylko jego paranoja.

Pasiarze wyprowadzili go przez służbę i długą rurę z mylaru na pokład techniczny *Behemota*. Czekają tam kilkanaście osób z włączonymi terminalami, przygotowanych na długą, nużącą pracę administracyjną rejestracji pokonanych przeciwników. Holden ominął kolejkę, choć nie był pewien, czy to powód do zadowolenia.

Kobieta unosząca się obok masywnych drzwi w miejscu połączenia sekcji technicznej z cylindrem wyglądała na zbyt młodą na swoje naszywki kapitańskie. Jej ściągnięte w ciasny kok włosy przypomniały mu jedną z nauczycielek jeszcze z czasów dorastania na Ziemi.

– Kapitanie Pa – odezwała się kobieta z ochrony, Corin, sądząc po tym, jak nazwał ją jeden z bliźniaków. – Chciała pani z nim porozmawiać.

– Kapitanie Holden. – Pa przywitała go, kiwając głową. – Witamy na pokładzie *Behemota*. Udzielę panu swobody poruszania się po statku, ale musi pan zrozumieć, że obowiązują pewne ograniczenia.

Holden zamrugnął. Spodziewał się przynajmniej kolejnego aresztu, a swoboda na statku była w tej chwili praktycznie równa wolności. Przecież nie było wielu miejsc, w które mógł się udać.

– Och. W porządku – odpowiedział.

– Będzie pan zobowiązany stawiać się na odprawy za każdym razem, gdy zostanie pan na nie wezwany. Bez wyjątków. Nie wolno panu rozmawiać o tym, co stało się lub się nie stało na stacji – z nikim, poza mną i moim szefem ochrony.

– Wiem, jak to wyłączyć – rzucił Holden.

Wyraz twarzy młodszego kapitan uległ zmianie.

– Co takiego?

– Wiem, jak skłonić protomolekułę do zdjęcia z nas wszystkich blokady – powiedział, i zaczął powtarzać wszystko, co powiedział kapitan Jakande: widzenie Millera, plan przestawienia stacji na niższy poziom gotowości, dzięki czemu truposz mógłby ją wyłączyć.

Starał się przy tym mówić spokojnie, jak rozsądny, racjonalny człowiek. Nie posunął się do tego, by opowiedzieć o olbrzymiej, niszczącej cywilizację inwazji, która unicestwiła twórców

protomolekuły. I bez tego wszystko to brzmiało kiepsko.

Pa słuchała uważnie z beznamiętną twarzą. Nie chciałby grać przeciw niej w pokera. Dopadło go silne, bolesne wspomnienie Naomi mówiącej mu, że nauczy go grać w pokera, i ścisnęło go w gardle.

Podleciał do nich ochroniarz z białą brodą, ciągnąc za sobą dwóch Marsjan o gniewnych twarzach.

– Kapitanie? – odezwał się Pasiarz z ledwie ukrywaną furią w głosie.

– Jedną chwilę, panie Gutmansdottir – odpowiedziała i zwróciła się z powrotem do Holdena. Wydawała się przytłoczona, choć świadczyło o tym tylko napięcie szczęki, jeśli w ogóle. – Ja... wezmę to pod uwagę, ale jeśli chodzi o najbliższą przyszłość...

– A co z moją załogą?

– Są w cywilnym szpitalu – odpowiedziała Pa, a białobrody mężczyzna odchrząknął w sposób zdradzający, że wcale nie musiał tego robić. – Korytarze są oznakowane. Przepraszam.

– Kapitanie, nowi więźniowie zabrali ze sobą mnóstwo kontrabandy – wyrzucił z siebie Gutmansdottir, wyraźnie akcentując „więźniów”. – Pomyślałem, że zechce się pani tym zająć, zanim sprawa trafi do Byka.

Pa odetchnęła głęboko i odepchnęła się w stronę ochroniarza. Kilka sekund później Holden zrozumiał, że nie tylko go zwolniono, co właściwie o nim zapomniano. Spadł ze szczytu listy spraw, którymi młoda kapitan musiała zająć się *natychmiast*, więc pieprzyć go. Przeleciał przez punkt przejścia na platformę, gdzie obracała się oś małego świata. Zaczynała się tam długa rampa dla wózków, więc ruszył nią, a obroty powoli zmieniały czystą siłę Coriolisa w poczucie wagi. Czuł w kolanach, jak długo znajdował się w nieważkości, i zaczął mieć nadzieję, że pokładowy szpital nie znajduje się za daleko.

Z drugiej strony, gdyby znajdowali się na drugim końcu układu, zgarnąłby skafander próżniowy, tyle zapasowego powietrza, ile by mógł, i ruszyłby do nich. Świadomość, że oddycha tym samym powietrzem, co Naomi, Aleks i Amos, działała na niego jak narkotyk.

Tylko że kapitan Pa właściwie tego nie powiedziała.

Stwierdziła tylko, że jego załoga tam jest. Mogło się w tym zdaniu



czaić stwierdzenie „pozostała”. Spróbował biec, ale stracił oddech już po kilku minutach i musiał się zatrzymać, żeby dojść do siebie.

Rozciągał się przed nim olbrzymi korpus cylindra: świat zwinięty w rurę. Długi pas sztucznego słońca jarzył się nad nim, teraz, gdy miał już wyraźną górę i dół, sięgając przez dwa kilometry do skrzyżowanej wstążki rampy na drugim końcu, identycznej jak ta, na której się znajdował. Wokół nieznośnej jasności unosiły się cienkie pierścienie chmur. Powietrze było lepkie, ciepło napierało na skórę, ale mógł sobie wyobrazić, jak nagą, metalową powierzchnię bębna pokrywa zieleń, słodki zapach kwiatów jabłoni, z chłodzącym wszystko cyklem parowania i kondensacji. A przynajmniej jeśli nie chłodzącym, to czyniącym z tego miejsca wietrzne letnie popołudnie.

Tak wyglądało marzenie. Czyjeś inne, skazane teraz na porażkę, ale godne. Piękne nawet w ruinach.

– Kapitanie Holden? Mogę z panem porozmawiać?

Odezwała się do niego drobna kobieta z rudymi włosami zebranymi w warkocze, ubrana w niewyróżniający się brązowy kombinezon. Wyglądała jak pewne siebie kobiety w średnim wieku, które zawsze przywodziły mu na myśl matki.

– Jestem Annuszka Wołowodow – przedstawiła się z uśmiechem. – Ale może się pan do mnie zwracać Anna.

– Możesz mi mówić Jim – odpowiedział, wyciągając rękę. Prawie odzyskał siły po biegu.

Anna ścisnęła jego dłoń bez śladu strachu. Widocznie nie dotarła jeszcze do niej jego reputacja „najgroźniejszego człowieka w Układzie Słonecznym”.

– Europa Wschodnia? – zapytał.

– Rosja – potwierdziła, przytakując. – Urodziłam się w mieście Kimry, ale większość dorosłego życia spędziłam w Moskwie. Pan jest z Ameryki Północnej?

– Z Montany. Spółdzielnia rolnicza.

– Słyszałam, że Montana jest ładna.

– Dobra gęstość zaludnienia. Nadal więcej krów niż ludzi.

Anna kiwnęła głową i poprawiła swoje ubranie. Holden odniósł wrażenie, że tak naprawdę chciała powiedzieć coś innego, ale nie

umiała przejść do rzeczy.

– Kimry takie było. Wiesz, to ośrodek turystyczny, nad jeziorami... – zaczęła kobieta.

– Anno – Holden uciął jej łagodnie. – Chcesz mi coś powiedzieć?

– Owszem – potwierdziła. – Chcę cię poprosić, żebyś nie mówił nikomu o Clarissie i o tym, co zrobiła.

Holden kiwnął głową.

– Dobra – powiedział. – Kim jest Clarissa i co zrobiła?

Kobieta przekrzywiła głowę.

– Nie powiedzieli ci?

– Chyba niezbyt mnie lubili – przyznał Holden. – Czy powinienem o czymś wiedzieć?

– To trochę niezręczne. Tuż po katastrofie dziewczyna przedstawiająca się jako Melba zaatakowała twój statek – wyjaśniła Anna. – To długa historia, ale dotarłam tam za nią i próbowałam pomóc. Twoja pierwsza oficer, Naomi, została ranna w ataku. Ciężko.

Holden poczuł, że wszechświat się kurczy. Naomi została skrzywdzona, gdy on kręcił się po stacji z Millerem. Trzęsły mu się ręce.

– Gdzie ona jest? – zapytał, nie będąc pewnym, czy chodzi mu o Naomi, czy o kobietę, która ją skrzywdziła.

– Naomi jest tutaj. Sprowadzili ją na *Behemota* – wyjaśniła Anna. – Jest teraz w ambulatorium i poddają ją leczeniu. Zapewnili mnie, że dojdzie do siebie. Reszta twojej załogi też tam jest. Ucierpieli wcześniej, kiedy doszło do zmiany ograniczenia prędkości.

– Żyją?

– Tak – zapewniła Anna. – Żyją.

Połączenie ulgi, żalu, złości i poczucia winy sprawiło, że statek zawirował mu pod nogami. Anna wyciągnęła rękę i pomogła mu ustać na nogach.

– Kim jest ta Melba i dlaczego zaatakowała moją załogę?

– To nie jest jej prawdziwe imię. Moja przyjaciółka ją zna, zna jej rodzinę. Najwyraźniej ma coś w rodzaju obsesji na twoim punkcie. Nazywa się Clarissa Mao.

Mao.

Tajemnicza i potężna Julie. Julie odtworzona przez protomolekułę jak jego duch Millera. Julie, która zatrudniła dźwiękowca Cohena do zhakowania ich statku, Julie, którą wyrzeźbił dla nich później, choć nigdy nie wyglądała *do końca* właściwie. Julie, która manipulowała każdym szczegółem jego życia przez ostatni rok, żeby zmusić go do przelotu przez bramę i dotarcia na stację.

To wcale nie była Julie.

– Nie jest z nią dobrze – mówiła Anna – ale wierzę, że można do niej dotrzeć. Jeśli będzie czas. Ale jeśli ją zabiją...

– Gdzie jest Naomi? Wiesz, gdzie ona jest?

– Tak – potwierdziła Anna. – Bardzo przepraszam – dodała po chwili. – Chyba za bardzo pogrążyłam się we własnym problemie. Zaprowadzić cię do niej?

– Proszę – powiedział.

Piętnaście minut później Holden znalazł się na oddziale szpitalnym. Wszedł do małego pokoju, który przydzielono jego małej rodzinie. Naomi leżała na noszach na kółkach, z jedną ręką w nadmuchiwanym usztywnieniu. Twarz miała upstrzoną częściowo zagojonymi siniakami. W oczach zapiekły go łzy i przez chwilę nie potrafił się odezwać. Obudziła się w nim mordercza furia. To nie była katastrofa. To nie był wypadek. Ktoś jej to zrobił.

Na jego widok uśmiechnęła się z łagodnym rozbawieniem.

– Cześć – powiedziała.

Natychmiast znalazł się przy jej boku, trzymając zdrową dłoń, mając gardło zbyt ściśnięte, by się odezwać. W oczach Naomi też pojawiły się łzy, ale nie było w nich gniewu. Zdumiało go, jak bardzo był z tego powodu wdzięczny.

– Anna – powiedziała Naomi. Wydawała się szczerze cieszyć na jej widok, co było dobrym początkiem. – Jim, poznałeś Annę? Uratowała mnie przed tą świruską z mechem ratowniczym.

– Nas chyba też uratowała – dorzucił Amos. – Więc dzięki za to, Ruda. Chyba jestem twoim dłużnikiem.

Holden dopiero po chwili zrozumiał, że „Ruda” oznacza Annę. Ona też wydawała się zaskoczona tym przydomkiem.

– Cieszę się, że mogłam pomóc, ale obawiam się, że byłam wtedy

naćpana po uszy środkami przeciwbólowymi. Równie dobrze mogło pójść w przeciwną stronę.

– Po prostu weź marker i zaznaczaj – odpowiedział Aleks. – Jak tylko wykombinujesz, do czego przydaje się Amos, będziesz mogła handlować.

– Dupek – skomentował Amos i rzucił w niego poduszką.

– Dziękuję – powiedział Holden. – Jeśli ich uratowałaś, jestem ci winien wszystko.

– Cieszę się, że mogłam pomóc – powtórzyła. – Wyglądasz lepiej niż kiedy ostatni raz cię widziałam – zwróciła się do Naomi.

– I lepiej się czuję – potwierdziła kobieta, a potem krzywiąc się, poruszyła uszkodzoną ręką. – Zobaczymy, jak będzie z ruchem, kiedy już kości się zrosną.

Anna kiwnęła głową i uśmiechnęła się, ale po chwili jej uśmiech zgasł.

– Jim? Przepraszam, ale wciąż musimy porozmawiać – zwróciła się do niego. – Może na osobności?

– Nie. Nie spodziewałem się, że jeszcze zobaczę tych ludzi. Zostaję tutaj. Jeśli chcesz ze mną rozmawiać, zrób to przy nich.

Kobieta przebiegła wzrokiem po członkach załogi. Wyraz jej twarzy mógł zdradzać nadzieję lub uprzejmą rezygnację.

– Potrzebuję czegoś – powiedziała w końcu.

– Cokolwiek – odpowiedział natychmiast Amos, lekko unosząc się na łóżku.

Holden wiedział, że Anna nie zrozumie, jak bardzo dosłownie Amos to traktował. Miał nadzieję, że kapłanka nie będzie chciała niczyjej śmierci.

– Jeśli to mamy – dodał Aleks – należy do ciebie.

Amos przytaknął.

Anna skierowała odpowiedź do Holdena.

– Rozmawiałam z szefem ochrony i zgodził się nie ujawniać wyznania Clarissy. Tego wszystkiego, co zrobiła. Ale wy też musicie o tym nie mówić.

Holden zmarszczył czoło, ale nie odpowiedział.

– Dlaczego? – zapytała Naomi.

– Cóż – stwierdziła Anna. – To James Holden. Ma reputację ujawniania informac...

– Nie pytam, dlaczego prosisz nas – ucięła jej Naomi. – Dlaczego nie chcesz, żeby ludzie się dowiedzieli?

Anna pokiwała głową.

– Jeśli to się rozniesie, to biorąc pod uwagę naszą sytuację, prawdopodobnie skazą ją na śmierć.

– I dobrze – rzucił Holden.

– W zasadzie to sobie zasłużyła – dodał Amos.

Anna uniosła ręce przed sobą i kiwnęła głową. Nie chciała w ten sposób wyrazić, że się z nimi zgadza, tylko że ich słyszy. Że rozumie.

– Chcę, żebyście jej przebaczyli – powiedziała. – Jeśli nie z żadnego innego powodu, to jako przysługę dla mnie. Powiedzieliście, że mogę prosić o cokolwiek. Tego właśnie chcę.

W zapadłej ciszy Amos odetchnął głęboko. Brwi Aleksa zawędrowały prawie na czubek jego głowy.

– Dlaczego? – zapytała znowu Naomi, spokojnym głosem.

Anna zacisnęła wargi.

– Ona nie jest zła. Wierzę, że Clarissa postąpiła w ten sposób kierowana miłością. Chorą, ale miłością. A jeśli zginie, nie będzie już dla niej żadnej nadziei. A ja muszę mieć nadzieję.

Holden zobaczył, jak jej słowa przepływają przez Naomi, wzbudzając w jej oczach nagły ból, którego nie rozumiał. Poruszyła wargami, odsłaniając zęby. Jej szept zabrzmiał obscenicznie i był tak cichy, że nie usłyszał go nikt poza nim. Ścisnął jej dłoń, czując kości jej palców na swojej ręce.

– Dobrze – powiedziała Naomi. – Będziemy cicho.

W jego piersi zbudziła się furia. Nagle nie miał problemu z mówieniem.

– A ja nie – powiedział. – Mówimy o szalonej członkini klanu Mao, ci ludzie *dwukrotnie* próbowali zabić wszystkich w Układzie Słonecznym; mówimy o kobiecie, która poleciała za nami aż do Pierścienia i próbowała nas zabić. Zabić ciebie. Wysadziła statek kosmiczny pełen niewinnych ludzi tylko po to, żeby mnie wrobić. Kto wie, ilu jeszcze ludzi zabiła? Jeśli ONZ będzie chciała ją wsadzić do

śluzy, to sam wcisnę cholerny przycisk.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Holden obserwował, jak zapada się twarz Anny tracącej nadzieję. Aleks zaczął się śmiać i wszyscy odwrócili się w jego stronę.

– Jasne – odezwał się pilot z charakterystycznym akcentem. – Chcę tylko powiedzieć, że Naomi została pobita, była tylko w pół drogi do śmierci, ale może odpuścić Clarissie, to nic wielkiego. Tymczasem kapitanowi skrzywdzili *dziewczynę*. To on jest tutaj *prawdziwą* ofiarą.

W pokoju znowu zapadła cisza, gdy wszyscy wstrzymali oddech. Krew ciemnymi plamami wypłynęła Holdenowi na twarz, szumiąc w uszach jak rzeka. Ból, nienawiść i wściekłość. Jego umysł zdawał się migotać, przełączając się między nimi, poczuł przemożną chęć uderzenia Aleksa za obelgę.

A potem w końcu zrozumiał jego słowa, zobaczył spojrzenie Naomi utkwione w swoich oczach i wszystko odpłynęło. Chciał zapytać *dlaczego*, ale to nie miało znaczenia. To była Naomi, a ona podjęła decyzję. Nie jemu było się mścić.

Opadł z sił. Był wyczerpany. Miał ochotę zwinąć się na podłodze, mając swoich ludzi wokół, i spać wiele dni. Spróbował się uśmiechnąć.

– Rety – powiedział w końcu. – Czasami jestem prawdziwym dupkiem.

– Nie – odparł Amos. – Jesteśmy w tym razem. Sam zabiłbym Clarissę za to wszystko, co zrobiła. Ale Ruda poprosiła nas, żeby odpuścić, a Naomi na to poszła, więc my chyba też musimy.

– Nie, nie zrozum mnie źle – zwrócił się Holden zimnym głosem do Anny. – Nigdy nie wybaczę tej kobiecie tego, co zrobiła. Nigdy. Ale nie wydam jej ONZ, w ramach przysługi dla ciebie oraz dlatego, że jeśli Naomi potrafi to odpuścić, to ja chyba też muszę.

– Dziękuję – odpowiedziała Anna.

– Jeśli coś się zmieni, Ruda – powiedział Amos – daj nam znać. Bo wciąż z dziką rozkoszą mogę ją zamordować.

# Rozdział trzydziesty siódmy

## *Clarissa*

Z początku nie wiedziała, na czym polega zmiana. Objawiała się w drobiazgach. Podłoga, na której wcześniej mogła spać kamiennym snem, nagle zrobiła się niewygodna. Zaczęła się częściej zastanawiać, co robi jej ojciec w swojej celi odległej o pięć miliardów kilometrów oraz – prawdopodobnie – w innym wszechświecie. Stukała dłońmi o pręty krat, żeby wsłuchiwać się w drobne różnice dźwięków wydawanych przez uderzone pręty. I nienawidziła.

Nienawiść nie była niczym nowym. Żyła z nią tak długo, że wspomnienia z czasów przed nią też niosły barwy wściekłości i prawości. Tylko że wcześniej nienawidziła Jima Holdena, a teraz Clarissy Mao. Nienawiść do siebie miała w sobie pewną czystość, która bardzo jej się spodobała. Coś z katharsis. Jim Holden wysunął się spod jej pragnienia zemsty, odmawiając ulegnięcia jej. Mogła żyć w płomieniach i wiedzieć, że na nie zasłużyła. To było jak granie na najłatwiejszym poziomie trudności.

Uderzyła w pręty. Różnice tonów między nimi były zbyt małe, żeby zagrać melodię. Gdyby było to możliwe, zagrałaby, po prostu żeby się czymś zająć. Zastanawiała się, czy jej dodatkowe gruczoły mogłyby dostarczyć dość siły, by zdołała wygiąć kraty lub unieść drzwi z zawiasów. Nie, żeby to miało znaczenie. Ucieczka z celi w najlepszym razie oznaczałaby zastrzelenie przez strażnika z SPZ. W najgorszym dałaby jej wolność.

Przynajmniej kapitan przestał się do niej odzywać. Obserwowała

nieustannie odwiedzających go gości. Orientowała się już całkiem dobrze, którzy strażnicy byli mu posłuszni. Odwiedziło go też kilku Marsjan w wojskowych mundurach oraz kilku oficerów ONZ. Przychodzili spotkać się z kapitanem Ashfordem, rozmawiali przyciszonymi głosami ludzi, którzy brali siebie i innych bardzo poważnie. Rozpoznawała te dźwięki z czasów, gdy podsłuchiwała rozmowy ojca. Pamiętała, że kiedyś robiło to na niej duże wrażenie, a teraz chciało jej się śmiać.

Krążyła po swoim maleńkim świecie. Robiła pompki, przysiady i wszystkie te bezsensowne ćwiczenia możliwe w niskim ciężeniu. I czekała na karę lub koniec świata. Kiedy spała, przychodził do niej Ren, więc starała się nie spać za dużo.

I powoli, z rosnącym przerażeniem zaczęła rozumieć, że odczuwana zmiana była powrotem do siebie. Budzeniem się. Po porażce na *Rosynancie* zapadła w coś w rodzaju spokoju. Oderwała się od wszystkiego. Jednak nawet wcześniej żyła tak jakby we śnie. Nie potrafiła stwierdzić, czy zaczęło się to w chwili zabicia Rena, czy kiedy przyjęła fałszywą tożsamość, stając się Melbą Koh. Albo nawet wcześniej. Gdy usłyszała o aresztowaniu ojca. Niezależnie od tego, kiedy zatraciła siebie, teraz zaczynała do siebie powracać i wrażenie było takie, jakby cała jej świadomość mrowiła. Było to gorsze od bólu i doprowadzało ją do szału.

Im bardziej się nad tym zastanawiała, tym lepiej rozumiała psychiczne gierki, które odgrywała z nią rudowłosa kapłanka. Kapłanka oraz, na swój sposób, Tilly Fagan. Może Anna przyszła do niej, myśląc, że obietnica wybaczenia była konieczna, by wyciągnąć z niej przyznanie się do winy. Jeśli tak, to była podwójnie głupia: po pierwsze sądząc, że Clarissa nie przyzna się do tego, co zrobiła, a po drugie, bo uważała, że wybaczenie jest czymś, czego dziewczyna chce. Albo przyjmie.

*Chciałabym z tobą jeszcze porozmawiać*, powiedziała i wtedy wydawało się to brzmieć szczerze. Prawdziwie. Tylko że nie wróciła. Mała, racjonalna część umysłu Clarissy wiedziała, że tak naprawdę to wcale nie było tak dawno temu. Przebywanie w celi zmieniało sposób odczuwania czasu i sprawiało, że czuła się izolowana. W sumie o to



chodziło z zamknięciem w celi. Mimo wszystko, Anna nie wróciła. Podobnie jak Holden. Albo Naomi, której Clarissie nie udało się zabić. Skończyli z nią, w sumie dlaczego nie mieliby tego zrobić? Clarissa nie miała im już nic więcej do zaoferowania. Może poza ostrzeżeniem, że na statku lada chwila znowu dojdzie do zmiany władzy, jeśli to w ogóle miało znaczenie. Przejmowanie się tym, kto zasiądzie w kapitańskim fotelu przeklętego statku, zdawało się bardzo małostkowe. To jakby kłócić się o to, kto jest najładniejszą dziewczyną w obozie koncentracyjnym.

Mimo wszystko było to jedyne dostępne jej przedstawienie, więc je obserwowała.

Głosy z drugiej celi przybrały nowy ton. Pojawił się w nich pośpiech. Wiedziała, że akcja rozegra się lada chwila, jeszcze zanim przyszedł do niej elegancko ubrany mężczyzna. Stał przed jej drzwiami i patrzył do środka. Białe, idealnie ułożone włosy zdecydowanie dodawały mu lat. W profesjonalnie dobrotliwych oczach czaił się mrok. Kiedy chwycił dłońmi kraty, wyglądało to tak, jakby to on był uwięziony, nie ona.

– Domyślam się, że mnie nie pamiętasz – odezwał się. Głos miał równocześnie słodki i smutny.

– Ojciec Cortez – odparła. – Pamiętam, kim jesteś. Grywałeś w golfa z moim ojcem.

Zaśmiał się z żalem, odsuwając stopy od krat w taki sposób, że jego głowa się do nich zbliżyła.

– Owszem, ale to było dawno temu. Nie mogłaś mieć więcej niż... ile? Siedem lat?

– Później widywałam cię w wiadomościach.

– Ach – powiedział. Patrzył w pustkę. – To też wydaje się być dawno temu. Właśnie rozmawiałem z kapitanem. Powiedział, że próbował przekonać cię do przyłączenia się do nas, choć nie odniósł na tym polu sukcesów.

Pojawiło się dwóch strażników, szli korytarzem między zagrodami. Rozpoznała w nich sojuszników Ashforda. Cortez w ogóle nie zwrócił na nich uwagi.

– Owszem, nie udało mu się – potwierdziła. – Często kłamie – dodała

po chwili.

Cortez uniósł brwi.

– Kłamie?

– Powiedział, że może mi załatwić amnestię. Kiedy wrócimy do domu, może mnie zabrać na Ceres i zapewnić ochronę SPZ. Tylko że tak naprawdę nie może tego zrobić.

Cortez głęboko wciągnął powietrze i powoli je wypuścił.

– Owszem, nie może. Mogę być z tobą szczery?

– Wydaje się, że nie bardzo mam cię jak powstrzymać – odpowiedziała Clarissa.

– Uważam, że mamy wiele wspólnego. Masz krew na rękach. Krew niewinnych ludzi.

Chciała zadrwić, udać, że wcale się tym nie przejmuje, ale poczuła się tylko obnażona i niedojrzała. Cortez mówił dalej, jakby tego nie zauważył. Może tak właśnie było.

– Ja... odegrałem dużą rolę w sprowadzeniu nas przez wrota. Połączone siły, reprezentujące wszystkie trzy frakcje ludzkości, złączone we wspólnej sprawie. – W jego słowach brzmiała gorycz, ale po chwili się uśmiechnął i pomyślała, że może jest w nim coś równie skrzywdzonego, jak w niej. – Próżność to ryzyko zawodowe ludzi mojej profesji. Obawiam się, że walczyłem z nim bez wielkiego powodzenia.

– To ja zmusiłam Holdena do przelotu przez Pierścień – powiedziała Clarissa niepewna, czy przyznaje się do przestępstwa, czy oferuje Cortezowi drogę wyjścia.

– Tak. A ja poprowadziłem za nim pozostałych. Przez to zginęli. Stało się tak, ponieważ oślepiłem ich i nie pozwoliłem dostrzec grożącego im niebezpieczeństwa. Poprowadziłem moją trzodę do rzeźni. Sądziłem, że pokładam wiarę w opatrności, ale...

W jego oczach pojawiły się łzy i przybrał pusty wyraz twarzy.

– Ojcie? – powiedziała.

– Kiedy byłem dzieckiem, moja kuzynka znalazła trupa – wyznał Cortez. – Ciało leżało w wąwozie za naszą ziemią. Sprowokowała mnie do tego, żebym poszedł tam i obejrzał trupa. Bardzo się bałem, ale poszedłem i trzymałem głowę wyprostowaną, udając, że się nie boję,

żeby się nie bać. Kiedy dotarła karetka, dowiedzieliśmy się, że ten człowiek zmarł na jedną ze starych gorączek krwotocznych. Przez resztę wakacji musiałem profilaktycznie brać leki przeciwwirusowe. A więc być może zawsze to robiłem. Sądziłem, że pokładam wiarę w opatrności, ale być może tylko tłumiałem własne lęki. A te doprowadziły do śmierci bardzo wielu ludzi.

– To nie twoja wina.

– Ale to mój problem. I być może moje porażki służyły większemu dobru. Miałaś rację, moja droga. Nie będzie amnestii dla ciebie ani dla mnie. Ale z powodów innych niż sądzisz.

Clarissa wstała. Spojrzenie Corteza napierało na nią jak ciężar. Intymność wyznania starszego mężczyzny oraz strach i żal niesiony z taką godnością sprawiały, że szanowała go pomimo odczuwanej niechęci.

– Niebezpieczeństwo stwarzane przez obcych jest zbyt wielkie. Sądzienie, że możemy ich wykorzystać albo traktować jak równych sobie było objawem pychy, a dotychczasowa liczba ofiar będzie ledwie kroplą w morzu. Oddaliśmy się w ręce diabła. Nie wszyscy to rozumieją, ale ty może tak.

Z zaskoczeniem poczuła ściskający gardło niepokój. W dalszej części korytarza brzęknął metal. Otworzyły się drzwi do celi Ashforda. Jeden ze strażników coś powiedział, ale Cortez skupiał na niej całą uwagę, a wrażenie było takie, jakby lał strumień zimnej wody na oparzenie.

– Chyba tak – potwierdziła cicho.

– To ja doprowadziłem do uwolnienia kapitana Ashforda, ponieważ obaj doszliśmy do takich samych wniosków, z którymi nie zgodziłaby się obecna kapitan. Kiedy zaczęli tu sprowadzać załogi różnych statków, by zamieszkali wspólnie, udało im się to częściowo dzięki stworzeniu broni.

– Broń tu nie działa.

– Ale światło tak, a to z niego zrobili broń. Laser łączności został wzmocniony na tyle, by rozcinać kadłuby. A można go wzmocnić jeszcze bardziej. Dostatecznie, jak sądzimy, żeby zniszczyć Pierścień i zamknąć wrota.

– Znajdziemy się po ich niewłaściwej stronie – zauważyła Clarissa.

– Owszem. Ale jeśli będziemy czekać, przylecą tu następni. Będzie ich kusić. Powiedzą, że jeśli zdołamy kontrolować wrota, czeka nas świetlana przyszłość. Już słyszę ich głosy.

– Sam pan to mówił. *Był* pan jednym z nich.

– Byłem, i dostałem prawdziwą nauczkę. A tobą kierowała nienawiść, prawda?

Ashford roześmiał się głośno.

– Witamy z powrotem, kapitanie – powiedział jeden ze strażników.

Clarissa zastukała palcami w kraty, które zadźwięczały.

– Myliliśmy się – stwierdził Cortez. – Ale teraz możemy to naprawić. Możemy ochronić całą ludzkość przed popełnieniem tych samych błędów. Możemy ich osłonić. Tylko to wymaga poświęcenia.

– Nas. Nas wszystkich.

– Tak. Zginiemy tu w mroku, odcięci od wszystkich, których uratujemy. Będziemy też napiętnowani przez ludzi po tej stronie. Możemy zostać ukarani. Nawet zabici. – Przesunął dłonie, by dotknąć jej palców. Kontakt skóry ze skórą podziałał na nią jak wstrząs. – Nie będę cię okłamywał, Clarisso. To, o co cię proszę, nie zapewni ci żadnej nagrody w tym życiu.

– O co mnie prosisz? – zapytała. – Co chcesz, żebym z tym wszystkim zrobiła?

– Ludzie będą próbować nas powstrzymać. Mogą próbować zabić kapitana. Rozumiem, że modyfikacje wprowadzone w twoim ciele mogą potencjalnie zwiększyć twoje naturalne możliwości do wyjątkowego poziomu. Chodź z nami. Dopilnuj, by kapitanowi nic się nie stało i by nie został powstrzymany. Być może nie będziesz musiała robić niczego poza byciem świadkiem. A może twoja obecność zapewni różnicę między sukcesem a porażką.

– Tak czy tak, będę martwa.

– Owszem. Ale jedno będzie tylko śmiercią, drugie będzie miało znaczenie.

Kapitan Ashford ze strażnikami szli w ich stronę. Stukot obcasów o pokład przypominał ciche tykanie mechanicznego zegara. Rozmowa z Cortezem zbliżała się do końca i poczuła rozgoryczenie. Nie chciała, żeby Ashford przychodził. Chciała tu zostać, rozmawiając z

wielebnym o poświęceniu i śmierci. O ciężarze zrobienia czegoś tak złego, że nie dało się zrównoważyć szali tak długo, jak żyła.

Choć Cortez wykrzywił usta, jego jasne oczy uśmiechały się do niej. W niczym nie przypominał jej ojca. Twarz miał zbyt miękką, szczękę zbyt szeroką. Emanował szczerością, podczas gdy ojciec zawsze sprawiał wrażenie drwienia ze świata za swoją maską. Ale w tej chwili zobaczyła w nim Julesa-Pierre'a Mao.

– Ludzie, których zabiliśmy... – zaczęła. – Jeśli to zrobimy, oni też nie zginęli bez powodu.

– Lecz z najszlachetniejszej przyczyny – zgodził się Cortez.

– Musimy iść – powiedział Ashford, a Cortez cofnął się od drzwi, składając dłonie. Kapitan zwrócił się do niej. Jego zbyt duża głowa i szczupła sylwetka Pasiarza nadała mu wygląd kogoś z niedobrego snu. – Ostatnia szansa – powiedział.

– Pójdę – zdecydowała Clarissa.

Brwi Ashforda powędrowały do góry i rzucił szybkie spojrzenie na Corteza. Jego wargi uniosły się w uśmiechu.

– Jesteś pewna? – zapytał, ale zadowolenie w głosie jasno zdradzało, że tak naprawdę nie interesowało go jej zdanie ani powody.

– Dopilnuję, żeby nikt cię nie zatrzymał – oświadczyła.

Ashford przez chwilę patrzył na Corteza, a wyraz jego twarzy zdradzał, że jest pod wrażeniem. Zasalutował jej, a ona – niezgrabnie – odpowiedziała tym samym.

Wychodząc z celi, odczuła chwilową dezorientację niezwiązaną ze zmianą ciężenia albo siłą Coriolisa. Był to jej pierwszy krok na wolności od czasu *Rosynanta*. Ashford szedł przed nią, jego strażnicy rozmawiali o akcjach grupowych i blokowaniu *Behemota*. Maszynownia i mostek nie znajdowały się w obrotowym cylindrze, więc musieli przejąć kontrolę nad punktami transferowymi na północnym i południowym końcu cylindra oraz nad łączącą je zewnętrzną windą. Jak utrzymać spokój w cylindrze do czasu zablokowania go, kto śledził wroga, kto był po ich stronie, a kogo trzeba będzie przekonać. Clarissa nie słuchała uważnie. Bardziej zwracała uwagę na idącego obok niej Corteza i poczucie zostawienia za sobą w celi jakiegoś ciężaru. Czekala ją śmierć, ale przez nią

wszystko, co zrobiła do tej pory źle, nagle nabierze sensu. Każde dziecko zrodzone na Ziemi, Marsie lub stacjach Pasa będzie chronione przed protomolekułą dzięki temu, co teraz zrobią. A Soledad, Bob, Stanni, jej ojciec, matka i rodzeństwo dowiedzą się, że zginęła. Wszyscy, którzy znali i kochali Rena, będą mogli spać spokojnie, wiedząc, że jego zabójczyni została wymierzona sprawiedliwość. Nawet ona będzie mogła spać lepiej, jeśli uda się jej zasnąć.

– A ona ma implanty bojowe – mówił Ashford, gestem wskazując w jej stronę.

Jeden ze strażników obejrzał się na nią. Ten z odbarwionymi oczami i blizną na policzku. Jojo.

– Jest pan pewien, kapitanie, że jest jedną z nas?

– Wróg mojego wroga, Jojo – odpowiedział Ashford.

– Ręczę za nią – zapewnił Cortez.

*Nie powinieneś*, pomyślała Clarissa, ale nie powiedziała tego na głos.

– Claro – rzucił Jojo z pasiarskim gestem będącym odpowiednikiem wzruszenia ramionami. – Będzie na mostku z tu alles tu.

– W porządku – zgodził się Ashford.

Przejście wychodziło na znacznie szerszy korytarz. Białe diody LED na ścianach wyglądały blado i jałowo. Kilkanaście osób uzbrojonych w broń pociskową, kobiet i mężczyzn, siedziało w wózkach elektrycznych lub stało obok nich. Clarissa pragnęła, by powietrze pachniało inaczej, ale tak nie było. Czują tylko plastik i ciepło. Kapitan Ashford i trzech uzbrojonych ludzi zajęli miejsca w wózku na przedzie.

– Trochę potrwa, zanim statek zostanie w pełni zabezpieczony – powiedział Cortez. – Będziemy musieli zebrać wszystkich możliwych sojuszników. Stłumić opór. Gdy tylko zbierzemy wszystko, czego potrzeba, i wydostaniemy się z cylindra, nie będą mogli nas zatrzymać. – Brzmiał, jakby próbował się przekonać do uwierzenia w coś. – Nie bój się. To wszystko dzieje się z określonego powodu. Jeśli będziemy mieć wiarę, nie będzie się czego bać.

– Nie boję się – odparła Clarissa.

Cortez popatrzył na nią z uśmiechem w oczach. Kiedy popatrzył w jej oczy, jego uśmiech osłabł. Odwrócił wzrok.

# Rozdział trzydziesty ósmy

## *Byk*

Byk spróbował nie kaszleć. Lekarka wsłuchiwała się w jego oddech, przesunęła stetoskop o kilka centymetrów i znowu słuchała. Nie potrafił stwierdzić, czy mały metalowy dysk jest zimny. Nie czuł go. Wykasłał zbitą grudę śluzu i przyjął zaoferowaną przez lekarkę chusteczkę, by mógł ją wypluć. Zapisała kilka uwag w swoim terminalu ręcznym. Światło ekranu zdradzało, jak bardzo była zmęczona.

– Trochę się pan oczyszcza – odezwała się. – Ale liczba leukocytów wciąż przebija wszystkie normy.

– A kręgosłup?

– Pański kręgosłup jest w fatalnym stanie i sytuacja się pogarsza. Co znaczy, że coraz trudniej będzie go naprawić.

– To poświęcenie.

– Kiedy będzie miał pan dość? – zapytała.

– To zależy, co ma pani na myśli, mówiąc „dość” – odparł Byk.

– Chciał pan zebrać wszystkich razem. Są razem.

– Na połowie statków wciąż są załogi.

– Tylko bazowe – odpowiedziała lekarka. – Wiem, ilu ludzi ma pan na tym statku. Leczę ich. Chciał pan zebrać wszystkich razem. Są razem. Czy to wystarczy?

– Byłoby miło dopilnować, żeby ludzie nie zaczęli do siebie strzelać – rzucił Byk.

Lekarka z irytacją uniosła rękę.

– Czyli pozwoli mi pan wykonać moją pracę, gdy tylko ludzie przestaną być ludźmi.

Byk się rozeźmiał, co było błędem. Jego kaszel zrobił się teraz głębszy, dudniąc w klatce piersiowej, ale nie był gwałtowny. Zanim zbierze się do porządnego, skręcającego trzewia ataku, potrzebował działających mięśni brzucha. Lekarka podała mu kolejną chusteczkę. Skorzystał z niej.

– Jak tylko będziemy mieć wszystko pod kontrolą – powiedział – będzie mnie pani mogła uspić, dobra?

– Czy do tego w ogóle dojdzie? – zapytała.

Wszyscy chcieli to wiedzieć, niezależnie od tego, czy to mówili, czy nie. Prawdę mówiąc, plan wcale mu się nie podobał. Częściowo dlatego, że zaproponował go James Holden, częściowo ponieważ wywodził się od protomolekuły, a po części bardzo chciał, żeby się ziścił. Alternatywą było rozpoczęcie ewakuacji wszystkich, których mógł ewakuować za pomocą posiadanych promów, tylko że tych nie zbudowano do lotów dalekiego zasięgu. To się nie mogło udać.

Musieli zacząć produkować żywność. Generować glebę do wypełnienia wnętrza cylindra. Uprawiać rośliny pod paskiem fałszywego słońca biegnącego wzdłuż osi *Behemota*. I opanować cholerną temperaturę. Musiał dopilnować, żeby przetrwali, cokolwiek miało to znaczyć. Śpiączka medyczna mogła trwać bardzo długo, gdy statki lecące wolniej od porządnie rzuconej piłki leciały przez pustkę szerszą od ziemskich oceanów.

Wszystkie powody, dla których tu przylecieli – Ziemia, Mars, SPZ, wszyscy – wydawały się niemal niemożliwie odległe. Przejmowanie się miejscem SPZ w rachunku politycznym układu przypominało próbę przypomnienia sobie, czy oddał pieniądze facetowi, który postawił mu piwo, kiedy miał dwadzieścia lat. Z pewnego dystansu przeszłość staje się nieistotna. Nie liczyło się nic, co stało się poza powolną strefą. W tej chwili ważne było tylko utrzymanie porządku do czasu, aż stwierdzą, czy szalony plan Holdena był czymś więcej, niż tylko zwariowanym urojeniem.

A do tego musiał oddychać.

– Może się udać. Kapitan pracuje nad planem, który może oddać



nam latanie. Może – podkreślił. – A skoro czekamy, sądzi pani, że mogłaby mnie pani czymś naszprycować?

Skrzywiła się, ale wyciągnęła inhalator z półki przy łóżku i rzuciła mu go. Jego ręce wciąż działały. Potrząsnął pojemnikiem dwukrotnie, przystawił ceramiczną dyszę do ust i wciągnął zawartość. Sterydy pachniały jak ocean i trochę piekły. Spróbował nie zakaszleć.

– To niczego nie naprawi – skomentowała. – W ten sposób tylko maskujemy objawy.

– Tylko tyle, żebym dotrwał – rzucił Byk, próbując się uśmiechnąć. Prawdę mówiąc, czuł się fatalnie. Nawet nie obolały, po prostu zmęczony. I chory. Oraz zdesperowany.

Schował inhalator i skierował maszynę na korytarz. Sale pokładowego szpitala wciąż były pełne. Gromadzące się ciepło nadawało wszystkiemu nieprzyjemne, duszne uczucie tropikalnego lata. Woń ciał i chorób, krwi i zepsucia, sztucznych roślinnych zapachów środków dezynfekcyjnych sprawiały, że pomieszczenia wydawały się mniejsze niż były w rzeczywistości. Dzięki wprawie coraz lepiej radził sobie z mechanicznymi nogami. Używał dwóch dżojstików do schodzenia z drogi pielęgniarzom i terapeutkom, starając się nie przeszkadzać, na ile tylko pozwalał mu mech, i skierował się z powrotem do biura ochrony.

Zadzwoił jego ręczny terminal. Dojechał do zakrętu korytarza, stanął w rogu, żeby nikomu nie przeszkadzać, a potem puścił dżojstiki i wyciągnął terminal. Corin z prośbą o połączenie. Przyjął rozmowę.

– Corin – rzucił. – Co dla mnie masz?

– Szefie – powiedziała. Napięcie w jej głosie natychmiast go pobudziło. – Robi pan ćwiczenia?

– Co się dzieje?

– Jojo i Gutmansdottir właśnie przyszli i powiedzieli, że przejmują biuro ochrony. Kiedy im powiedziałam, że nie zgodzę się na to do czasu zakończenia zmiany, wyciągnęli na mnie broń.

Byk poczuł ogarniający go mroczny niepokój. Mocniej ścisnął terminal i z wysiłkiem nie podniósł głosu.

– Co takiego?

Wywołał interfejs ochrony, ale system odrzucił jego uprawnienia.

Został odcięty od systemów dowodzenia. Działali szybko.

– Miałam nadzieję, że to jakiś test. Sądząc po tym, co mówili, chyba mieli nadzieję pana tam znaleźć. Idę do Serge'a. Próbuję się zorientować, co się tam, u diabła, dzieje. Jeśli to zła decyzja...

– Dobra. Wyszłaś stamtąd i postąpiłaś bardzo słusznie. Gdzie powinni teraz być?

– Sir?

– Mieli swoją zmianę. Gdzie powinni teraz być?

Przez chwilę na szerokiej twarzy Corin malowało się zmieszanie. Patrzył, jak zaczyna rozumieć, a w jej oczach pojawia się spokój i groźne skupienie. Nie musiała tego mówić. Jojo i Gutmansdottir pilnowali więźniów. Czyli Ashforda.

Pa powinna była pozwolić mu zabić drania.

– Dobra. Znajdź Serge'a i ludzi, którym ufasz. Musimy ograniczyć to gównno.

– Bien.

Spróbują się dobrać do zbrojowni. Jeśli mieli za sobą ochronę, broń i sprzęt już należały do nich. Byk beznamiętnie rzucał cichą litanią wulgaryzmów, próbując skupić się na myśleniu. Gdyby wiedział, ilu z jego ludzi odwróciło się od Ashforda, wiedziałby, z kim może pracować.

– Nie możemy pozwolić mu na to, żeby dostał się do Moniki i studia rozgłośni – powiedział. – Jeśli wyda się, że walczymy w cylindrze, spróbują tu wysłać tuzin idiotycznych misji ratunkowych w celu wydostania swoich ludzi.

– Mamy się tam zebrać? – zapytała Corin.

– Nie zbierajcie się nigdzie – odpowiedział Byk. – Przynajmniej do czasu, aż będziemy wiedzieć, z czym mamy do czynienia. Po prostu zgromadź jak najwięcej ludzi i broni jak tylko zdołasz i bądź w kontakcie.

Musiał stworzyć jakiś plan. Musiał go mieć już teraz, tylko że jego mózg nie działał tak, jak powinien. Był chory. Szlag, umierał. Wydawało się głęboko niesprawiedliwe, że przy tym wszystkim musiał jeszcze improwizować.

– Idź do Serge'a – polecił. – Potem będziemy się martwić, co dalej.

Muszę porozmawiać z kilkoma osobami.

– Bien, szefie – odparła Corin i rozłączyła się.

Zza rogu wyłonił się pielęgniarz pchający stół i Byk musiał schować terminal, żeby zejść mu z drogi. Natychmiast pożałował, że nie może równocześnie iść i trzymać terminala. Wysłał żądanie priorytetowego połączenia z Pa. Przez dłuższą chwilę był pewien, że nie odbierze, że Ashford już się do niej dobrał. Potem ekran zamigotał i zobaczył ją. Nie widział, w jakim jest pomieszczeniu, ale w tle rozbrzmiewały jakieś głosy.

– Panie Baca – powiedziała Pa.

– Ashford uciekł – oznajmił. – Nie wiem, ilu ma ze sobą ludzi ani co robi, ale kilku moich właśnie wyciągnęło broń i przejęło kontrolę nad komisariatem.

Pa zamrugwała. Musiał jej przyznać, że ani przez chwilę nie okazała strachu, zobaczył tylko przerzucenie biegów w głowie.

– Dziękuję, panie Baca – odpowiedziała.

Z ruchu jej obrazu na ekranie widział, że już odchodzi z miejsca, w którym była. Idzie w jakieś miejsce, w którym nie spodziewają się jej zastać. On też powinien zrobić dokładnie to samo.

– Spróbuję skontaktować się z panią, gdy będę się lepiej orientował w sytuacji – powiedział.

– Doceniam to – rzuciła. – Mam w pobliżu kilka osób, którym ufam. Właśnie tam idę.

– Przypuszczam, że będzie próbował przejąć rozgłośnie.

– W takim razie trzeba będzie wzmocnić ochronę – powiedziała Pa.

– Może to tylko kilku idiotów – zasugerował Byk. – Ashford może też próbować się nie wychylać.

– Albo może szykować się do wrzucenia nas obojga do recyklera na glebę – odparła Pa. – Którą z opcji pan obstawia?

Byk się uśmiechnął. Prawie szczerze.

– Proszę na siebie uważać, pani kapitan.

– Pan też, panie Baca.

– I hej – dodał. – Przepraszam, że panią w to wpakowałem.

Tym razem to Pa się uśmiechnęła. Wyglądała na zmęczoną. Na starą.

– Nie podejmował pan za mnie żadnych decyzji – stwierdziła. – Jeśli mam zapłacić za grzechy, przynajmniej proszę przyznać, że są moje.

Jej spojrzenie przeskoczyło z kamery terminala na coś poza ekranem. Zacisnęła wargi i zamknęła połączenie. Byk musiał zwalczyć ochotę natychmiastowego wywołania nowego połączenia, żeby się dowiedzieć, co się stało. Ale nie było na to czasu, musiał się śpieszyć. Spróbował połączyć się z Ruiz w infrastrukturze i Chenem, ale nie dostał odpowiedzi. Zastanawiał się, ilu stronników Ashford miał wśród wyższej kadry. Przeklął siebie za dopuszczenie, by Ashford przemknął pod jego radarem. Tylko że był taki zajęty...

Spróbował połączenia z Sam, która odebrała niemal natychmiast po wywołaniu.

– Mam problem – powiedział. – Ashford próbuje odzyskać statek. Ma po swojej stronie część ochrony.

– I przejął maszynownię – dodała Sam.

Byk oblizwał wargi.

– Gdzie jesteś?

– W tej chwili? Zabawne, że o to pytasz. W maszynowni. Ashford wyszedł jakieś pięć minut temu. Miał krótką listę rzeczy, którymi powinnam się zająć i ze dwa tuziny gości z bronią i groźnymi minami. Temu facetowi odbiło, Byku. Poważnie. Kiedyś był palantem, ale teraz... Chce zniszczyć Pierścień. Ta twoja sztuczka z laserem łączności – Ashford chce go jeszcze doładować.

– Chyba żartujesz.

– Nie.

– Chce zniszczyć naszą drogę do *domu*?

– Nazywa to uratowaniem ludzkości przed zagrożeniem ze strony obcych – potwierdziła Sam. Spojrzenie miała twarde.

– Dobra – rzucił Byk, choć nic w tym nie brzmiało zbyt dobrze.

– I nie żywi do ciebie przyjaznych uczuć. Jesteś w jakimś bezpiecznym miejscu?

Byk rozejrzył się po korytarzu. Nie było się tu gdzie ukryć. Zresztą nawet gdyby mógł się schować, był tylko jednym człowiekiem w zmodyfikowanym mechu załadunkowym i bez kręgosłupa poniżej połowy piersi.

– Nie – przyznał. – Chyba nie.  
– To może lepiej się zbieraj.  
– Nie mam żadnego bezpiecznego miejsca do ukrycia się – stwierdził Byk.

Ktoś na drugim końcu połączenia krzyknął i Sam obejrzała się w tamtą stronę.

– Próbuje zebrać wszystkich techników, jakich mogę – odkrzyknęła.  
– Sytuacja jest nieco niezorganizowana. Mieliśmy trochę problemów ze zmieniającymi się nagle zasadami fizyki. Może zauważyliście.

Pierwszy głos znowu coś wykrzyczał. Byk nie słyszał słów, ale znał ton głosu. Garza. Facet, który zawsze przynosił kawę każdemu, kto utknął w biurze ochrony. Garza był jednym z nich. Byk pożałował, że nie znał go lepiej. Zwłaszcza po katastrofie powinien był więcej uwagi poświęcać swoim ludziom. Powiniennem był się tego spodziewać. To była jego wina. To wszystko było jego winą.

Sam spojrzała z powrotem na ekran. Na niego.

– Dobra, skarbie – powiedziała. – Powinieneś zniknąć. Kieruj się na drugi poziom, sekcja M. Jest tam trochę pustych schowków. Drzwi mają domyślne kody. Same zera.

– Dlaczego są na domyślnych?

– Bo w środku nic nie ma, szefunciu, a wymiana kodów do pustych magazynów nigdy nie trafiła na szczyt mojej listy zadań. Czy to naprawdę dobra chwila?

– Przepraszam – rzucił Byk.

– Nie przejmuj się – odpowiedziała. – Oboje jesteśmy teraz trochę zestresowani. Po prostu schowaj się, zanim ktoś urwie ci głowę. A Pa...

– Pa wie. Ona też się schowa.

– No dobrze. Spróbuję zebrać ci jakąś pomoc.

– Nie – odpowiedział Byk. – Nie wiesz, komu możesz ufać.

– Owszem, wiem – zaprotestowała Sam. – Nie kłóćmy się przy dzieciach.

Głos ściągnął go z powrotem na korytarz przy centrum medycznym. Nie jęki rannych, nie profesjonalny spokój pielęgniarzy. Ktoś podniecony i agresywny. Zły. Ktoś odpowiedział mu cichym głosem, a potem ten pierwszy zabrzmiał znowu *Czy ja wyglądam jakby mnie to*

*obchodziło?* Szykowały się kłopoty, a jego pierwszym odruchem było skierować się właśnie tam. Jego praca polegała na trafianiu w sam środek sytuacji i pilnowaniu, by nikomu nie stała się krzywda, a jeśli już komuś musiała się stać, to jemu niech to będzie on. Najpierw on, potem ci źli.

– Muszę iść – powiedział i rozłączył się.

Potrzebował tylko chwili na schowanie terminala i umieszczenie dłoni z powrotem na dżojstikach mecha. Dość długo, by zwalczyć odruchy. Przesunął mecha na ruch w głąb korytarza, z dala od głosów. To byli ludzie Ashforda i jego stronników. Jeśli teraz zostanie złapany, na nic się nikomu nie przyda. Była spora szansa, że go po prostu zabiją. Może nawet nie wysiłą się, żeby go doprowadzić do służby. Nogi mecha poruszały się powoli. Nawet przy pełnej prędkości było to tempo zwykłego marszu. Głosy za plecami zmieniły ton. Coś trzasnęło. Usłyszał, jak jego lekarka krzyczy i z niepokojem czekał na wystrzały. Jeśli zaczną strzelać, będzie musiał wrócić. Mech zbliżał się do drzwi, w stronę wyjścia i tego, co mogło udawać bezpieczeństwo. Byk naciskał dżojstik do przodu tak mocno, że rozbolewały go palce, jakby siła nacisku mogła skłonić maszynę do zrozumienia niebezpieczeństwa.

Głosy zrobiły się głośniejsze, zbliżały się. Byk przesunął mecha tak, żeby iść przy ścianie. Jeśli ktoś wyjdzie z za rogu za nim, da mu to dodatkowy ułamek sekundy, zanim zostanie zauważony. Grube metalowe nogi przesuwają się do przodu, zmieniały punkt podparcia, przesuwają się ponownie.

Drzwi były półtora metra od niego. Metr. Pół. Puścił dźwignię, trochę za szybko sięgając do drzwi i musiał przesunąć mecha do przodu, zanim spróbował ponownie. Pocił się i miał nadzieję, że tylko ze strachu. Jeśli coś w jego trzewiach pękło, nie będzie o tym wiedział. Pewnie to tylko strach.

Drzwi się otworzyły, a on znowu wcisnął mały dżojstik do przodu. Mech przeprowadził go przez wyjście, a on zamknął za sobą drzwi. Nie miał czasu na czekanie ani myślenie. Skierował mecha w głąb kolejnego korytarza, w kierunku wind i długiej podróży na drugi poziom, do sekcji M.

Przestronne wewnętrzne korytarze i przejścia *Behemota* nigdy jeszcze nie wydawały się równie wrogie. W miarę jak zjeżdżał, ciężenie wirowe robiło się nieznacznie silniejsze. Jego pozbawione czucia ciało zawisło trochę ciężej w uprzęży. O ile nie znajdzie sposobu na włożenie rąk do wnętrza ramy mecha, wkrótce będzie potrzebował czyjejs pomocy do wymiany worka na mocz. Biorąc pod uwagę fakt, że łokcie nie zginały się w drugą stronę, raczej będzie potrzebna pomoc. A jeśli jego kręgosłup nie odrośnie, jeśli nie wyprowadzą *Behemota* i wszystkich na jego pokładzie z pułapki, w którą złapała ich protomolekuła, to właśnie w ten sposób dożyje końca swoich dni.

Nie myśl o tym, powiedział sobie. To zbyt daleko. Nie myśl o tym. Po prostu rób, co do ciebie należy.

Nie skorzystał z jednej z głównych wewnętrznych wind. Istniało zbyt duże ryzyko, że ludzie Ashforda będą ich pilnować. Zamiast tego znalazł jeden z długich, spiralnych korytarzy technicznych i ustawił mecha na samodzielny ruch. Jeśli podejdzie zbyt blisko do którejś ze ścian, będzie mógł go skorygować, ale to przynajmniej da mu kilka chwil. Wyciągnął ręczny terminal. Trząśł się, a jego skóra wyglądała na szarą.

Serge odebrał prawie natychmiast.

– Ganne nacht, szefie – powiedział wytatuowany Pasiarz. – Zastanawiałem się, kiedy się zgłosisz.

– Ashford – rzucił Byk.

– Już w tym siedzę – powiedział Serge. – Wygląda na to, że ma mniej więcej jedną trzecią naszych i bandę szalonych coyo z innych statków. W tej chwili kontrolują punkty przejścia z cylindra na północ do mostka i na południe do maszynowni, biuro ochrony oraz zbrojownię, wilcze stada chodzą przez cylinder i przysparzają nam kłopotów.

– Jak są uzbrojeni?

– Nicht tak bien sa moi – odparł z uśmiechem Serge. – Myślą, że odcięli nas też od łączności, ale mam otwartą furtkę do systemu.

– Co takiego?

– Zawsze gotów na merde mal, ja. Później mnie opieprzysz – stwierdził Serge. – Zbieram drużyny, oczyścimy cylinder. Stłumimy to

wszystko bez problemu do wieczora.

– Musisz uważać z tymi ludźmi, Serge.

– Będę, szefie. Wiem, co robię. Znam ten statek lepiej, niż ktokolwiek. Znajdź sobie bezpieczne miejsce, daj nam to załatwić.

Byk przełknął ślinę. Oddawanie kontroli bolało.

– Dobra.

– Próbowaliśmy się skontaktować z kapitan – rzekł Serge.

– Ostrzegłem ją. Może odmawiać przyjmowania połączeń do czasu, aż lepiej zorientuje się, komu może ufać – wyjaśnił Byk. Nie dodał, *albo mogli ją znaleźć.*

– Jasne – rzucił Serge i Byk usłyszał w jego głosie, że przyszło mu do głowy to samo. – Kiedy załatwimy Ashforda?

– Nie mamy zgody na zabicie go – przypomniał Byk.

– Myślisz, że zostanie nam wybaczone, jak komuś omsknie się palec?

– Prawdopodobnie.

Serge uśmiechnął się szeroko.

– Muszę lecieć, szefie. Jak tylko es se cerrado i zrobią cię pierwszym, pamiętaj o oddaniu mi swojego fotela, no?

– Pieprzyć – odpowiedział Byk. – Kiedy będzie po wszystkim, ty możesz być pierwszym.

– Trzymam cię za słowo, szefie – rzucił Serge i zamknął połączenie.



# Rozdział trzydziesty dziewiąty

## *Anna*

Pierwsze kazanie, które Anna wygłosiła przed wspólnotą, zaraz po skończeniu seminarium, gdy była przepełniona zapalem, zapisała sobie maczkiem na siedemnastu stronach. Była to długa analiza pierwszego rozdziału Malachiasza, skupiająca się na nawoływaniu przez proroka, by nie składać Bogu zbyt małych ofiar i tego, jak przekładało się to na współczesną wiarę. Kazanie było szczegółowe, wsparte wszystkimi dowodami i argumentacją, jakich mogły dostarczyć skrupulatna natura Anny i siedem lat studiów. Pod koniec Anna była pewna, że usnęli dokładnie wszyscy jej słuchacze.

Wyciągnęła z tego ważne wnioski. Było na świecie miejsce na szczegółową analizę Biblii. Było nawet na to miejsce w obecności wspólnoty. Ale nie po to ludzie przychodzili do kościoła. Nauka o Bogu była częścią uczucia zbliżania się do Niego i związku z Nim, i to właśnie ta bliskość liczyła się najbardziej. Obecnie kazania Anny obejmowały przeważnie stronę lub dwie notatek i dużo więcej mówienia z głębi serca. Wygłosiła swoje przesłanie na temat „mieszanych” kościołów w oczach Boga bez zaglądania w notatki choćby raz i miała wrażenie, że poszło jej bardzo dobrze. Po krótkiej modlitwie Pasiarze, Marsjanie i Ziemianie razem ustawili się w kolejce do przyjęcia sakramentu, stali w zgodnej ciszy. Kilkoro uściśnęło sobie dłonie i poklepało się po plecach. Anna miała wrażenie, że mogło to być najważniejsze przesłanie, jakie kiedykolwiek wygłosiła.

– Cóż, nie była to najgorsza rzecz, jakiej kiedykolwiek słuchałam – skomentowała Tilly po zakończeniu nabożeństwa. Miała nerwowy wygląd; typowy dla osoby, która miała ochotę na papierosa, ale Anna poprosiła ją o niepalenie w namiocie do nabożeństw, a ona się zgodziła. – Choć muszę przyznać, że mam niską tolerancję na pełnię miłości wspólnoty.

– Bardzo mi to pochlebia – wyszeptała Anna, a potem ucisnęła dłoń Pasiarki, która ze łzami w oczach podziękowała jej za zorganizowanie spotkania. Tilly poczęstowała kobietę swoim najbardziej nieszczerym uśmiechem, ale zdołała powstrzymać się od wywrócenia oczami.

– Potrzebuję drinka – skomentowała, gdy tylko kobieta wyszła. – Chodź ze mną, postawię ci lemoniadę.

– Zamknęli bar. Racjonowanie żywności.

Tilly się roześmiała.

– Mam dostawcę. Jeden gość sprzedał mi butelkę ich najlepszego bimbru z Ganimeda za skromne tysiąc dolców. Lemoniadę dorzucił gratis.

– Tysiąc...

– Stanie się jedna z dwóch rzeczy – powiedziała Tilly, wyciągając papierosa i wsadzając go sobie do ust bez zapalania. – Albo się stąd wydostaniemy i wrócimy do Układu Słonecznego, gdzie jestem bogata i tysiąc dolarów nie ma znaczenia, albo się nie wydostaniemy i nic nie będzie miało znaczenia.

Anna kiwnęła głową, bo nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć. Choć bardzo lubiła Tilly i zaczęła polegać na jej przyjaźni, czasami zdarzały się sytuacje przypominające jej, jak bardzo różniły się ich światy. Gdyby z Nono miały luźny tysiąc dolarów ONZ, pieniądze natychmiast trafiłyby na fundusz Nami przeznaczony na opłacenie studiów. Tilly nigdy w życiu nie musiała poświęcić luksusu, żeby zdobyć coś niezbędnego. Jeśli we wspólnocie doszło do jakiegoś rzeczywistego przemieszania, to właśnie było to. Jedną z rzeczy, które niewątpliwie łączyły marynarzy z flot planet wewnętrznych i Pasiarzy, był fakt, że nikt z nich nie będzie tego wieczoru pił alkoholu za tysiąc dolarów, poza Tilly.

Bóg mógł nie dbać o status finansowy, ale On był w tym jedyny.

– Przyznaję, że lemoniada brzmi miło – powiedziała Anna, wachlując się ręcznym terminalem.

Wielki cylinder mieszkalny *Behemota* zbudowano do pomieszczenia znacznie większej liczby ludzi niż było ich tu obecnie, ale przerabiając jednostkę na okręt wojenny, usunięto sporo systemów kontroli środowiska. Wyglądało na to, że docierają do granic możliwości przetwarzania atmosfery. Albo po prostu klimatyzacji. Temperatura była generalnie wyższa niż komfortowa dla kogoś dorastającego w Rosji i ostatnio mieszkającego na lodowych księżycach Jowisza.

Po jeszcze jednej kolejce pożegnań w namiocie z ostatnimi członkami wspólnoty Anna wyszła za Tilly na zewnątrz. Przed namiotem nie było wiele chłodniej, ale obrót cylindra i systemy oczyszczania powietrza wspólnie generowały łagodny wiatr. Tilly krytycznie popatrzyła na jej zaczerwienioną twarz i włosy sklezione potem.

– Nie martw się – powiedziała. – Są tu wszyscy, którzy mieli być. Kilka dni temu słyszałam, jak Cortez rozmawiał z jakąś szychą z SPZ. Goręcej już raczej nie będzie, a jak tylko znajdą sposób na obniżenie temperatury, który nie obejmuje wypuszczenia atmosfery w kosmos, zrobią to.

Anna nie mogła się nie roześmiać. Kiedy Tilly uniosła brew, wyjaśniła.

– Przelecieliśmy przez cały Układ Słoneczny prawie do orbity Neptuna, świata tak zimnego i odległego od Słońca, że nie wiedzieliśmy nawet o jego istnieniu, zanim Bouvard zauważył, że coś zmienia orbitę Urana.

Brwi Tilly powędrowały jeszcze wyżej.

– Mhm.

– A kiedy tu dotarliśmy, kto wie, jak daleko od Słońca, mając miliardy kilometrów pustej przestrzeni we wszystkie strony? Jakoś udało nam się sprawić, żeby było ciasno i gorąco.

– Bogu dzięki, Pasiarze pomyśleli o zabraniu ze sobą tego kołowrotka dla myszy – skomentowała Tilly, wchodząc do swojego namiotu. Opadła na składane krzesło i zaczęła grzebać w stojącej obok

plastikowej chłodziarce. – Wyobrażasz sobie upchnięcie wszystkich na pokładzie *Prince'a*? Spalibyśmy po dwanaście osób na pryczy. Ci Pasiarze mają uroczą kulturę.

Anna zdjęła sutannę i położyła ją na brzegu pryczy Tilly. Pod spodem miała białą bluzkę i spódnicę do kolan, w tym zestawie było znacznie mniej gorąco. Tilly wygrzebała z chłodziarki plastikową bańkę lemoniady i podała jej, a potem nalała sobie szklaneczkę czegoś przejrzystego jak woda i pachnącego jak szpitalny środek do dezynfekcji. Anna wzięła bańkę i zdziwiła się, że jest chłodna w dotyku. Na jej powierzchni zbierały się już małe kropelki wody. Dotknęła chłodnym naczyniem karku i poczuła rozkoszny dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

– Jak udało ci się zdobyć lód?

– To suchy lód – wyjaśniła Tilly, zapalając papierosa, a potem wypiała pierwszą porcję alkoholu. – Najwyraźniej ludzie w przetwarzaniu atmosfery mogą go zrobić dość prosto. W okolicy pełno luźnego ditlenku węgla.

Skoro Tilly wydawała tysiąc dolarów na butelkę wypijanego przez nią środka do dezynfekcji, Anna wolała nie wiedzieć, ile kosztowały ją stałe dostawy lodu. Przez chwilę piły w zgodnej ciszy, a chłodna lemoniada w cudowny sposób leczyła spowodowane przegrzaniem wyczerpanie Anny. Tilly zasugerowała znalezienie czegoś do jedzenia, więc wyszły z namiotu w poszukiwaniu kiosku z zaopatrzeniem.

Przez tłoczne miasteczko namiotowe szli ludzie z bronią.

– To nie wygląda dobrze – skomentowała Tilly. Faktycznie. To nie byli znudzeni ochroniarze z pistoletami w kaburach, a Pasiarze o ponurych twarzach z karabinami szturmowymi i strzelbami trzymanymi w kurczowo zaciśniętych dłoniach. Grupa idąca między namiotami liczyła przynajmniej dwanaście osób i wyraźnie czegoś szukali. Albo kogoś.

Anna pociągnęła Tilly za rękaw.

– Może powinniśmy spróbować zebrać ludzi z powrotem w namiocie kościelnym, żeby to przeczekać.

– Annie, jeśli zaczną tu latać kule, nawet Bóg nie zrobi z tego namiotu bezpiecznej kryjówki. Chcę wiedzieć, co się tu dzieje.

Anna z oporami poszła za nią ścieżką równoległą do trasy uzbrojonej grupy idącej z wyraźnym celem, zatrzymującej się czasami, żeby zajrzeć do namiotów lub cicho przepytała ludzi. Anna zaczęła się bać, choć nie była pewna powodu.

– Och – odezwała się Tilly. – Zaczyna się.

Zza jednego z większych namiotów wyłonił się zastępca Byka – Anna sądziła, że nazywa się Serge – prowadząc ze sobą pół tuzina ochroniarzy. Oni też byli uzbrojeni, choć tylko w pistolety. Nawet dla niedoświadczonego oka Anny różnica między sześcioma ludźmi z pistoletami a dwunastoma z bronią automatyczną była bardzo duża. Na twarzy Serge'a rysował się lekki uśmiezek, jakby tego nie zauważył. Anna zobaczyła zatrzymującą się za nim muskularną młodą kobietę z biura ochrony, choć na jej twarzy wyraźnie rysował się niepokój. Co dziwne, widok cudzego zmartwienia sprawił, że Anna poczuła się lepiej.

– Żadnej broni w cylindrze, sa sa? – odezwał się Serge do grupy uzbrojonych Pasiarzy, choć siła jego głosu jasno sugerowała, że przemawia też do gapiów. – Rzućcie ją.

– Wy macie broń – odpowiedziała szyderczo Pasiarka. Trzymała w gotowości karabin.

– Jesteśmy policją – powiedział Serge z uśmiechem, opierając dłoń na rękojęści pistoletu.

– Już nie – odpowiedziała i szybkim ruchem uniosła karabin, strzelając mu w głowę.

Na jego czole pojawił się mały otwór, a w powietrzu za nim rozprysła się chmura pomarańczowej mgiełki. Powoli opadł na podłogę z rysującym się na twarzy wyrazem lekkiego zdziwienia.

Anna poczuła, że zbiera się jej na wymioty i musiała się schylić i zacząć głęboko oddychać, by się przed nimi powstrzymać.

– Jezu Chryste – rzuciła Tilly zdławionym szeptem.

Szybkość, z jaką sytuacja zmieniła się z niepokojącej w przerażającą, zaparła Annie dech w piersi. *Właśnie zobaczyłam, jak człowiekowi rozwalają mózg.* Nawet po horrorze katastrofy powolnej strefy była to najgorsza rzecz, jaką widziała w życiu. Ochroniarz nie spodziewał się, że kobieta do niego strzeli, nie podejrzewał

prawdziwej natury zagrożenia i zapłacił za to najwyższą możliwą cenę.

Na tę myśl Anna zwymiotowała na swoje buty, a potem dławiąc się, opadła na kolana. Tilly opadła na podłogę obok niej, nawet nie zauważając, że kolana jej spodni wylądowały w kałuży wymiocin.

– Musimy iść – wyszeptała Tilly po chwili tulenia jej.

Anna przytaknęła, bo bała się otworzyć usta, żeby znowu nie stracić kontroli. Kilkanaście metrów od nich Pasiarze rozbierali zespół ochrony i wiązali im ręce za plecami za pomocą pasków plastiku.

Przynajmniej nie strzelali do nikogo więcej.

Tilly pomogła jej wstać, a potem pośpieszyły do jej namiotu, zapominając o jedzeniu.

– Na tym statku dzieje się coś bardzo niedobrego – oznajmiła Tilly.

Anna musiała stłumić szaleńczy chichot. Biorąc pod uwagę okoliczności, sytuacja musiała być naprawdę bardzo zła, skoro Tilly uznała, że zrobiło się jeszcze gorzej. Jasne, wszyscy byli uwięzieni na orbicie wokół stacji kosmicznej obcych, która co jakiś czas zmieniała prawa fizyki i zabiła mnóstwo ludzi, ale teraz postanowili jeszcze do siebie strzelać.

Tak, bardzo zła.

\* \* \*

Hector Cortez przyszedł do namiotu Tilly jakąś godzinę po strzelaninie. Anna i Tilly spędziły ten czas, trzymając się jak najbliżej podłogi namiotu, ustawiając nieliczne meble Tilly w rodzaj barykady wokół ścianek. Miało to w sobie coś z odprawiania rytuału magicznego. Tak naprawdę nic w namiocie nie mogło zatrzymać pocisku, ale i tak to zrobiły. Fort z koca chroniący przed potworami.

Na szczęście nie dotarły do nich już żadne odgłosy strzałów.

Kilka razy wyglądały z namiotu i widziały mniejsze grupki dwóch lub trzech Pasiarzy patrolujących cywilną przestrzeń. Anna unikała patrzenia im w oczy, a oni ją ignorowali.

Kiedy Cortez przyszedł, odchrząknął głośno przed namiotem, a

potem zapytał, czy może wejść. Obie bały się odpowiedzieć, ale wszedł pomimo to. Na zewnątrz czekało na niego kilkoro ludzi, choć Anna nie widziała, kim byli.

Rozejrzał się po mrocznym wnętrzu, popatrzył na śmieszoną barykadę, a potem wyciągnął z niej krzesło i usiadł na nim bez słowa komentarza.

– Strzelanie się skończyło. Można bezpiecznie usiąść – powiedział, wskazując gestem pozostałe krzesła. Wyglądał lepiej niż zdarzyło mu się to od dłuższego czasu. Jego garnitur był wyczyszczony, Cortez znalazł też jakiś sposób na umycie gęstych, siwych włosów. Ale nie chodziło tylko o to. Wróciła część jego pewności siebie. Znowu wydawał się z przekonaniem być u steru.

Anna wstała z podłogi i usiadła na krześle. Po chwili namysłu Tilly zrobiła to samo.

– Przykro mi, że się przestraszyłyście – powiedział z uśmiechem, który wcale nie sugerował, że jest mu przykro.

– Co się dzieje, Hank? – zapytała Tilly, mrużąc oczy. Wyciągnęła z paczki papierosa i zaczęła się nim bawić, nie zapalając go. – Co ty kombinujesz?

– Niczego nie *kombinuję*, Matyldo – odpowiedział Cortez. – A dzieje się to, że na statku przywrócono legalną władzę i kapitan Ashford znowu jest u władzy.

– Dobra, *Hector* – powiedziała Tilly – ale jaki ty masz w tym udział? Dla mnie to wygląda na politykę SPZ. W co ty grasz?

Cortez zignorował ją i zwrócił się do Anny.

– Anno, czy możemy porozmawiać na osobności?

– Tilly może słuchać wszystkiego... – zaczęła Anna, ale Tilly uciszyła ją machnięciem.

– Pójdę sobie zapalić.

Kiedy wyszła z namiotu, Cortez przysunął swoje krzesło na tyle blisko, że jego kolana prawie dotykały kolan Anny. Nachylił się do przodu, ujmując jej dłonie. Anna nigdy dotąd nie miała wrażenia, że Hector jest nią zainteresowany seksualnie, ale w jakiś sposób ta bliskość sprawiała wrażenie nieprzyjemnie intymnej. Inwazyjnej.

– Anno – powiedział, ściskając jej dłonie. – Sytuacja na tym statku za

chwilę ulegnie dramatycznej zmianie, podobnie jak nasze powołanie. Tak się złożyło, że kapitan Ashford ufa mi i słucha moich rad, dzięki czemu miałem pewien wpływ na kierunek tych zmian.

Wymuszona intymność połączona z gorzkim smakiem w ustach po byciu świadkiem zamordowania człowieka wzbudziły w niej nieoczekiwaną złość. Wyrwała dłonie z jego uścisku gwałtowniej niż zamierzała, a potem poczuła satysfakcję, widząc na jego twarzy zaskoczenie i urazę.

– Miło z twojej strony – powiedziała, pilnując neutralnego tonu głosu.

– Doktor Wołowodow... *Anno*, chciałbym uzyskać twoje wsparcie. – Anna nie zdołała na czas powstrzymać prychnięcia niedowierzania, ale nie ustępował. – Umiesz trafiać do ludzi. Ja dobrze sobie radzę przed kamerą, ale nie jestem tak dobry w rozmowach na żywo, a ty właśnie tak wypadasz najlepiej. To twój dar, a my stoimy przed bardzo trudnymi osobistymi wyborami. Sytuacjami, które ludziom trudno będzie zrozumieć. Chciałbym, aby twój głos ich uspokoił.

– O czym ty mówisz? – zapytała Anna, ledwie wyduszając słowa przez rosnącą w gardle gulę. Miała wrażenie, że za chwilę zostanie objawiona jakaś straszna tajemnica. Cortez emanował niezwyciężoną pewnością prawdziwej wiary.

– Zamierzamy zamknąć bramę – wyjaśnił. – Dysponujemy bronią, która naszym zdaniem do tego wystarczy.

– Nie – odpowiedziała Anna, bardziej z niedowierzaniem, niż przecząc jego twierdzeniu.

– Owszem. Nawet teraz inżynierowie pracują nad modyfikacją lasera łączności tego statku, zwiększając jego moc na tyle, by zniszczył Pierścień.

– Nie to miałam na myśli – zaczęła Anna, ale Cortez tylko mówił dalej.

– Jesteśmy zgubieni, ale możemy ochronić tych, którzy zostali za nami. Możemy usunąć największe zagrożenie, jakie kiedykolwiek stanęło przed rasą ludzką. Musimy tylko poświęcić wszelką nadzieję powrotu. To mała cena za...

– Nie. – Tym razem Anna powiedziała to z większą siłą. – Nie



możesz decydować za tych wszystkich ludzi. – *Za mnie*, pomyślała. *Nie możesz mi w taki sposób zabrać żony i córki. Tylko dlatego, że się boisz.*

– W czasach wielkiego niebezpieczeństwa i poświęceń, takich jak te, niektórzy wychodzą na czoło i podejmują trudne decyzje. Zrobił to Ashford, a ja go wspieram. Naszym zadaniem teraz jest dopilnowanie, by ludzie to zrozumieli i współpracowali z nami. Muszą wiedzieć, że ich ofiara ochroni miliardy ludzi, których zostawiliśmy w domu.

– Nie wiemy tego – odpowiedziała Anna.

– Ta stacja pochłonęła już życie setek, może tysięcy ludzi.

– Dlatego, że wciąż podejmujemy decyzje, nie znając ich konsekwencji. Ścigaliśmy Holdena przez Pierścień, wysłaliśmy żołnierzy na stację, by na niego polowali, ciągle coś robimy, nie mając informacji, a potem jesteśmy obrażeni, gdy to nas boli.

– To nie był ból. To nas zabiło. Wielu z nas.

– Zachowujemy się jak dzieci – rzuciła Anna, wstając i mówiąc do niego z góry. – Które oparzyły sobie ręce o gorący piec, a potem sądzą, że rozwiązaniem jest zniszczenie wszystkich pieców.

– Eros – zaczął Cortez.

– To *my* to zrobiliśmy! Tak samo było z Ganimedem, Febe i całą resztą. To nasze dzieło. Wciąż bezmyślnie robimy różne rzeczy, a ty uważasz, że rozwiązaniem jest zrobienie tego jeszcze raz. Sprzymierzyłeś się z głupimi ludźmi, pełnymi przemocy, i próbujesz się przekonać, że głupota i przemoc to właściwe rozwiązanie. To ciebie też czyni głupim. Nigdy ci nie pomogę. Od tej chwili będę z tobą walczyć.

Cortez wstał i zawołał do ludzi czekających na zewnątrz. Do namiotu wszedł Pasiarz z ochronnym pancerzem na piersiach i karabinem.

– Mnie też zastrzelisz? – zapytała Anna, starając się zawrzeć w tych słowach jak najwięcej pogardy.

Cortez odwrócił się do niej plecami i wyszedł z mężczyzną.

Anna opadła na krzesło, czując nagle, że nogi ma jak z gumy. Zgięła się w pół i zaczęła się kiwać, z drzeniem oddychając głęboko, żeby się uspokoić. Udało się jej nie zemdleć.

– Skrzywdził cię? – zapytała Tilly z za jej pleców. Przyjaciółka

łagodnie położyła dłoń na plecach Anny.

– Nie – odpowiedziała Anna. Technicznie rzecz biorąc, nie było to kłamstwo.

– Och, Annie. Mają Claire. Nie pozwolili mi z nią porozmawiać. Nie wiem, czy była zakładnikiem, czy...

Zanim uświadomiła sobie, co zamierza zrobić, Anna zerwała się na równe nogi i wybiegła z namiotu. Musieli iść w stronę windy biegnącej wzdłuż boku cylindra, łączącej przejścia do pokładu dowodzenia i maszynowni. Skierują się na mostek. Ludzie w typie Corteza i Ashford, ludzie pragnący władzy, musieli mieć swój mostek. Pobiegnęła w stronę windy najszybciej, jak mogły ją ponieść nogi. Właściwie nie biegała od wielu lat. Mieszkanie na małej stacji wydrążonej w lodzie Europy nie prowokowało do uprawiania takich sportów. Bardzo szybko dostała zadyszki, ale biegła dalej, ignorując mdłości i kłucie w żebrach.

Dotarła do windy w chwili, gdy Cortez i jego mała grupa uzbrojonych zbirów wsiadali do środka. Clarissa stała z tyłu grupy, wyglądała na drobną i kruchą w otoczeniu żołnierzy w pancerzach. Kiedy drzwi zaczęły się zamykać, uśmiechnęła się do Anny i uniosła rękę.

A potem zniknęła.

# Rozdział czterdziesty

## *Holden*

– Hej, kapitanie? – odezwał się Amos z łóżka. – To był trzeci uzbrojony patrol, jaki przeszedł obok tej sali w ciągu ostatnich trzech godzin. Coś się dzieje.

– Wiem – potwierdził cicho Holden.

Stało się jasne, że sytuacja na *Behemocie* uległa zmianie. Po korytarzach chodzili ludzie z bronią i groźnymi minami. Któryś z nich odciągnął na bok lekarkę i odbył z nią krótką, ale głośną kłótnię, a potem wyprowadził pacjenta w kajdankach. Wyglądało to na bunt, choć według Naomi szef ochrony, Byk, dokonał już buntu i przejął kontrolę nad statkiem z rąk oryginalnego pasiarskiego kapitana. A nie zdarzyło się nic, co wyjaśniłoby, dlaczego nagle potrzebował znacznie więcej ludzi z bronią na korytarzach lub dlaczego konieczne były aresztowania.

Wszystko sprawiało wrażenie przygotowań do wojny lub ich tłumienia.

– Nie powinniśmy czegoś zrobić? – zapytał Amos.

Tak, pomyślał Holden. Powinniśmy. Wrócić na *Rosynanta* i ukryć się do czasu, aż Miller zrobi to, co zaplanował, i zwolni statki w powolnej strefie. A wtedy trzeba by włączyć maksymalny ciąg, wynieść się stąd i nigdy już nie wracać. Niestety, jego załoga wciąż była rozłożona, a na niego też nie czekała szalupa oferująca podwiezienie na jego statek.

– Nie – odpowiedział zamiast tego. – Przynajmniej do czasu, aż

zrozumiemy, co się tu dzieje. Właśnie *wyszedłem* z więzienia i nie śpieszy mi się, żeby znowu tam trafić.

Aleks usiadł na łóżku i jęknął z wysiłku. Czubek głowy miał owinięty bandażami poplamionymi krwią, a lewa strona jego twarzy wyglądała na spuchniętą i rozbitą. Ograniczenie prędkości rzuciło go twarzą w jeden z ekranów kokpitu. Gdyby nie był przynajmniej częściowo przypięty do fotela, pewnie już by nie żył.

– Może powinniśmy sobie znaleźć jakieś spokojniejsze miejsce i tam przeczekać – zasugerował. – Nie wygląda na to, żeby mieli opory przed aresztowaniem pacjentów.

Holden przytaknął ruchem pięści. Zaczynał przejmować pasiarskie gesty od Naomi, ale za każdym razem, gdy przyłapał się na ich stosowaniu, czuł się niezręcznie, jak dziecko udające bycie dorosłym.

– Moje doświadczenia na pokładzie tego statku ograniczają się do doku i tego pokoju. Nie mam pojęcia, gdzie znaleźć jakieś spokojniejsze miejsce.

– No cóż – odezwała się Naomi. – I tak jesteś w lepszej sytuacji od nas. Żadne z nas nie było przytomne, gdy nas tu sprowadzali.

Holden zeskoczył z brzegu jej łóżka i podszedł do drzwi, zamykając je cicho. Rozejrzał się za czymś, czym mógłby je zablokować, ale szybko uznał, że to się nie uda. Przestrzenie mieszkalne w cylindrze *Behemota* zbudowano z myślą o małej masie, a nie wytrzymałości. Ściany i drzwi w szpitalu zrobiono z cienkich jak papier warstw epoksydu i plecionki z włókien węglowych. Solidne kopnięcie prawdopodobnie wystarczyłoby do przebicia ściany. Zablokowanie drzwi zasugerowałoby tylko patrolom, że coś jest nie w porządku, a potem opóźniłoby je o pół sekundy przy wchodzeniu do środka.

– Może ta kapłanka nam pomoże – zasugerował Aleks.

– Właśnie – poparł go Amos. – Ruda wydaje się być dobrym człowiekiem.

– Nie przystawiaj się do pastorki – rzucił Holden, celując w Amosa palcem wskazującym.

– Ja tylko...

– Co zresztą nie ma znaczenia, bo jeśli ma choć pół mózgu – a podejrzewam, że ma go znacznie więcej – jest teraz zajęta

ukrywaniem się. A poza tym nie jest stąd, potrzebujemy kogoś miejscowego.

– Sam – powiedziała Naomi w chwili, gdy Holden myślał dokładnie o tej samej osobie. – Jest głównym inżynierem na tej łajbie. Nikt nie zna jej tak jak ona.

– Jest nam winna jakieś przysługi? – zapytał Holden.

Naomi posłała mu kwaśne spojrzenie, a potem wyjęła mu z uchwytu jego własny ręczny terminal.

– Nie. To ja jestem jej dłużna jakiś tysiąc – powiedziała, wysyłając prośbę o połączenie z Sam. – Ale to przyjaciółka, przysługi nie mają znaczenia.

Położyła terminal na łóżku z włączonym głośnikiem. Potrójny sygnał nieodebranego połączenia głosowego rozbrzmiewał co sekundę. Aleks i Amos z szeroko otwartymi oczami wpatrywali się w urządzenie jakby było bombą, która w każdej chwili może wybuchnąć. Holden pomyślał, że na swój sposób to prawda. Byli w tej chwili tak bezradni, jak chyba jeszcze nigdy. Nagle zapragnął, by pojawił się Miller i naprawił wszystko magią obcych.

– Jo – zabrzmiał głos z terminala. – Kostki.

Gdzieś w ciągu ostatniego roku Sam nadała Naomi przydomek Kostki. Holden nigdy nie domyślił się powodu, a Naomi nie zaoferowała wyjaśnienia.

– Sammy. – Ulga w głosie Naomi była bardzo oczywista. – Bardzo, bardzo potrzebujemy twojej pomocy.

– To zabawne – odpowiedziała Sam. – Bo ja właśnie myślałam o wstąpieniu tam i poproszeniu *was* o pomoc. Przypadek? Czy coś więcej?

– Chcieliśmy cię poprosić o pomoc w znalezieniu jakiejś kryjówki – krzyknął Amos. – Jeśli szukasz tego samego, masz przerąbane.

– Nie, to dobry pomysł. Mam miejsce, gdzie możecie się na trochę schować, a ja przyjdę się tam z wami spotkać. Kostki, za chwilę wyślę ci plan. Po prostu idź według mapy. Przyjdę tam najszybciej, jak będę mogła. Uważajcie na siebie, dzieciaki.

– Ty też, Sammy – odpowiedziała Naomi i rozłączyła się. Kilka sekund robiła coś przy terminalu. – Dobra, widzę. Wygląda na

nieużywany skład kilkaset metrów w stronę rufy i zgodnie z obrotem.

- Ty prowadzisz – powiedział do niej Holden, a potem zapytał: – Czy wszyscy potrafią chodzić?
- Amos i Aleks kiwnęli głowami, ale Naomi zaprotestowała.
- Czaszka Aleksa trzyma się na kleju. Jeśli straci równowagę i się przewróci, więcej nie wstanie.
- Hej, pierwsza – zaprotestował Aleks. – Mogę...
- Naomi nie może chodzić – zauważył Amos. – Trzeba ją posadzić na łóżku na kółkach razem z Alekssem i wyprowadzić ich stąd. Ja pójdę pierwszy. Daj mi tę mapę.

Holden nie dyskutował. Podniósł Naomi z łóżka, próbując unikać wszelkich gwałtownych ruchów, a potem posadził obok Aleksa.

- Dlaczego to ja pcham, zamiast iść na przedzie?
- Złamał sobie lewą rękę – wyjaśniła Naomi, przysuwając się jak najbliżej do Aleksa, a potem przypinając oboje taśmą do łóżka. – Oraz wszystkie żebra z lewej strony – dodała, gdy Amos zaczął protestować.
- Jasne – rzucił Holden, łapiąc uchwyty łóżka i zwalniając stopą hamulce kół. – Prowadź.

Amos poprowadził ich przez korytarze prowizorycznego szpitala, uśmiechając się do wszystkich napotkanych osób, szedł swobodnym krokiem nadającym mu wygląd kogoś zmierzającego w konkretne miejsce, ale bez przesadnego pośpiechu. Nawet mijany uzbrojony patrol ledwie na niego zerknął. Kiedy z zaciekawieniem przyjrzeni się Holdenowi pchającemu dwoje rannych na tym samym łóżku, odezwał się do nich.

- Po dwie osoby na łóżku. Robi się tu za ciasno.

Machnęli, żeby przeszedł, a na ich twarzach zobaczył tylko ponure znużenie.

Holden nie miał dotąd okazji rozejrzeć się po pozostałej części szpitala. Po opuszczeniu doku śpieszył się do pokoju swojej załogi i od tamtej pory z niego nie wychodził. Teraz jednak, idąc przez korytarze i skrzyżowania w stronę wyjścia, mógł przyjrzyć się pełnemu zakresowi zniszczeń, jakie wywołała katastrofalna zmiana maksymalnej prędkości w strefie.

Wszystkie łóżka we wszystkich salach były pełne rannych, czasami

dotyczyło to też ławek i krzeseł w poczekalniach. Większość ran obejmowała uderzenia lub połamane kości, ale niektóre były cięższe. Zobaczył kilka amputowanych kończyn oraz całkiem sporo unieruchomionych w stelażach ludzi z poważnymi urazami kręgosłupa. Od fizycznych obrażeń bardziej uderzał widok ogłuszenia i wstrząsu na wszystkich twarzach. Tego rodzaju wyraz twarzy kojarzył się Holdenowi z ofiarami lub świadkami brutalnego przestępstwa. Kilka miesięcy temu *Rosynant* wyszedł i unieszkodliwił piracki statek handlarzy niewolników i pobici, głodujący więźniowie wyciągnięci z jego ładowni właśnie tak wyglądali. Nie tylko skrzywdzeni, ale odarci z nadziei.

Ktoś w fartuchu lekarskim przyglądał się Holdenowi pchającemu wózek obok niego, śledząc ruch, ale bez śladu ciekawości w przemęczonym spojrzeniu. Z małego pomieszczenia po prawej Holden usłyszał charakterystyczny trzask elektronarzędzia do zgrzewania ran, a powietrze wypełniła woń pieczonego mięsa.

– To straszne – wyszeptał do Naomi.

Kiwnęła głową, ale się nie odezwała.

– Nikt z nas nie powinien tu przylatywać – skomentował Aleks.

*Drzwi i kąty*, ostrzegł go Miller. Miejsca, gdzie łatwo zginąć, jeśli się nie uważa. Gdzie zastawiają zasadzki. *Mógł być trochę bardziej jednoznaczny*, pomyślał Holden, a potem wyobraził sobie, jak Miller wzrusza ramionami i zmienia się w chmurę błękitnych światełek.

Idący kilka metrów przed nimi Amos dotarł do skrzyżowania czterech korytarzy i skręcił w prawo. Zanim Holden przebył połowę odległości do zakrętu, z lewego korytarza wyłoniło się dwóch zbirów z SPZ.

Zatrzymali się i popatrzyli na Naomi i Aleksa leżących ciasno na szpitalnym łóżku. Jeden z nich uśmiechnął się obleśnie i odwrócił do towarzysza. Holden prawie usłyszał mający właśnie paść dowcip o dwojgu ludzi w jednym łóżku. Uśmiechnął się na niego z wyprzedzeniem i przygotował śmiech, ale zanim żartowniś się odezwał, zrobił to jego towarzysz.

– To James Holden.

Potem wszystko zdarzyło się bardzo szybko.

Faceci z SPZ sięgnęli do przewieszonych przez ramiona strzelb. Holden pchnął łóżko w ich biodra, odrzucając ich do tyłu, i rozejrzał się gorączkowo po korytarzu w poszukiwaniu broni. Jeden ze zbirów zdołał ściągnąć strzelbę z ramienia i chwycić ją, ale Naomi przesunęła się na łóżku i wbiła mu piętę w krocze. Jego partner cofnął się, dokończył ściągnięcie broni i wycelował w nią. Holden zaczął biec ze świadomością, że jest zbyt wolny, wiedząc, że zobaczy Naomi zabitą, zanim zdąży dotrzeć do strzelającego.

A potem obaj przeciwnicy obrócili się do siebie i zderzyli się twarzami. Opadli na podłogę, puszczając strzelby z pozbawionych czucia dłoni. Za nimi stał Amos, krzywiąc się i masując lewe ramię.

– Przepraszam, kapitanie – odezwał się. – Poszedłem trochę za bardzo do przodu.

Holden oparł się o ścianę, czując, że nogi ledwo są w stanie go utrzymać nawet w tak niskim ciężeniu.

– Nie przepraszaj. Dobra akcja. – Ze znaczącym spojrzeniem kiwnął głową w stronę nadal masowanego przez Amosa ramienia. – Myślałem, że ręka jest złamana.

Amos prychnął.

– Nie odpadła. Mam tam jeszcze dość na paru takich idiotów. – Schylił się i pozbawił nieprzytomnych mężczyzn broni i amunicji.

Z tyłu podeszła pielęgniarka z plastikowym pudełkiem w dłoni i pytaniem na twarzy.

– Nie ma tu nic ciekawego – zapewnił Holden. – Za chwilę nas nie będzie.

Wskazała pobliskie drzwi.

– Magazynek. Tam nikt ich nie zobaczy przez dłuższą chwilę. – Potem odwróciła się i poszła tam, skąd przyszła.

– Niezła zabawa – skomentowała z łóżka Naomi.

– Nie wszyscy w SPZ nas nienawidzą – odpowiedział Holden, obchodząc łóżko, żeby pomóc Amosowi przeciągnąć nieprzytomnych mężczyzn do schowka. – Przez ponad rok robiliśmy dla nich dobrą robotę. Ludzie to wiedzą.

Amos podał Holdenowi kompaktowy pistolet i dwa zapasowe magazynki. Holden schował broń za pasem spodni i ukrył go,



wyciągając na wierzch koszulę. Amos zrobił to samo z drugim pistoletem, a potem położył strzelby przy Naomi i ukrył je pod kocem.

– Nie chcemy żadnej strzelaniny. – Holden ostrzegł Amosa, gdy ponownie ruszyli.

– Racja – zgodził się Amos. – Ale jeśli i tak na jakąś trafimy, dobrze będzie mieć broń.

Wyjście ze szpitala znajdowało się niedaleko w głąb prawego korytarza i nagle znaleźli się na zewnątrz. A przynajmniej na tyle na zewnątrz, na ile było to możliwe w olbrzymim cylindrze mieszkalnym *Behemota*. Z zewnątrz struktura szpitala wyglądała na tanią i zbudowaną w pośpiechu. Barak wielkości boiska do piłki nożnej wykonany z pokrytych epoksydem włókien węglowych i szklanych. Kilkaset metrów dalej, jak pryszczce na gładkiej skórze cylindra, wyrastały namioty prowizorycznego miasteczka.

– Tędy – powiedziała Naomi, wskazując w stronę porządniej wyglądającej struktury ze stali.

Holden znowu zaczął pchać wózek, a Amos szedł kilka metrów przed nimi, uśmiechając się i kiwając głową każdemu, kto na nich spojrzał. Coś w jego twarzy sprawiało, że szybko odwracali wzrok i przestawali się nimi interesować.

Kiedy zbliżali się do przysadzistej metalowej struktury, w jej boku otworzyły się drzwi, w których pojawiła się Sam, machając na nich niecierpliwie ręką. Kilka minut i parę krętych korytarzy później znaleźli się w małym, pustym pomieszczeniu z metalowymi ścianami. Amos natychmiast opadł na podłogę, rozciągając na niej płasko lewą rękę i plecy.

– Au – powiedział.

– Jesteś ranny? – zapytała Sam, zamykając za nimi drzwi małą metalową kartą kodową, a potem rzucając ją Naomi.

– Wszyscy są ranni – odpowiedział Holden. – Co się tu, u diabła, dzieje?

Sam wydeła wargi i przesunęła brudną dłoń przez swoje rude włosy. Widoczne w nich smugi czerni sugerowały, że robiła to dość często.

– Ashford z powrotem przejął kontrolę nad statkiem. Zorganizował

jakąś koalicję z szychami z floty ONZ, Marsjanami i częścią ważnych cywili.

– Dobra – odpowiedział Holden, uświadamiając sobie, że brak znajomości wcześniejszej sytuacji uczynił dla niego tę wypowiedź zupełnie pozbawioną znaczenia. – Czyli ludzie krążący po korytarzach z bronią są od Ashforda?

– Owszem. Zgarnia wszystkich, którzy pomogli Bykowi i Pa przy pierwszym buncie, albo, no wiesz, każdego, kogo uważa za zagrożenie.

– Sądząc po tym, że próbowali nas zastrzelić, to jesteśmy na tej liście – skomentowała Naomi.

– Zdecydowanie. – Sam przytaknęła. – Nie udało mi się skontaktować z Pa, ale Byk do mnie dzwonił, więc wiem, że jest wolny.

– Sam – powiedział Holden, machając ręką w sposób, który uznał za uspokajający. – Pamiętaj, że nie mam pojęcia, kim są ci ludzie ani dlaczego są ważni, a nie bardzo mamy czas na prezentację biografii. Powiedz nam to, co najważniejsze.

Sam zaczęła protestować, ale wzruszyła ramionami i skrótowo opisała plan użycia lasera łącznościowego.

– Jeśli zrobię to, czego ode mnie chcą, będziemy w stanie wycisnąć z niego impuls o temperaturze wyższej od temperatury Słońca na jakieś trzy czwarte sekundy. Tylko przy okazji stopi się ta strona statku.

– Czy on o tym wie? – z niedowierzaniem zapytała Naomi.

– Nie obchodzi go to. I niezależnie od tego, czy to zadziała na Pierścień, czy nie, musimy go powstrzymać. Obecnie na tym statku są tysiące ludzi i wszyscy zginą, jeśli Ashford zrealizuje swój plan.

Holden usiadł na brzegu łóżka z głębokim sapnięciem.

– Och, czyli jesteśmy najmniejszym problemem – skomentował. – Nagle sytuacja zrobiła się dużo poważniejsza.

Sam przechyliła głowę, patrząc na niego z pytaniem na twarzy.

– Widziałem, co ta stacja robi z zagrożeniami – wyjaśnił Holden. – Miller mi pokazał, kiedy tam byłem. Według niej te wszystkie ograniczenia powolnej strefy to tylko środki ostrożności niezagrażające życiu. Jeśli tamta duża niebieska kula uzna, że stanowimy realne zagrożenie, wyjałowi nasz Układ Słoneczny.

– Kim jest Miller? – zapytała Sam.

– Martwy gość – rzucił Amos.

– I jest na stacji?

– Najwyraźniej. – Amos wzruszył prawym ramieniem.

– Jim? – Naomi położyła mu dłoń na ramieniu. Pierwszy raz słyszała, żeby mówił o swoich doświadczeniach na stacji, a on poczuł ukłucie winy, że nie powiedział jej nic wcześniej.

– Coś ich atakowało, władców protomolekuły, czy kimkolwiek byli. Ich obrona powodowała, że gwiazdy w każdym... *zakazonym* Układzie Słonecznym zmieniały się w supernową. Ta stacja może niszczyć gwiazdy, Naomi. Jeśli Ashford to zrobi, to zabije wszystkich ludzi. Absolutnie każdego.

Przez bardzo długą chwilę panowała cisza. Amos przestał pocierać swoje ramię i posapywać. Naomi patrzyła na niego z łóżka z szeroko otwartymi oczami i lękiem na twarzy oddającym jego uczucia.

– No cóż – odezwała się w końcu Sam. – To chyba dobrze, że nie zamierzam mu na to pozwolić, prawda?

– Słucham? – z podłogi odezwał się Amos.

– Nie wiedziałam o tej sprawie z duchami i obcymi – stwierdziła Sam głosem jasno dającym do zrozumienia, że nie do końca kupuje historię Holdena. – Ale sabotuję przeróbki lasera. Opóźnię proces, wprowadzając do układu słabe punkty, które będą wywalać wszystko za każdym razem, gdy spróbuje to odpalić. Awarie powinno się dać łatwo wyjaśnić, ponieważ, co oczywiste, systemu nigdy nie projektowano na coś takiego, a ten statek to i tak sterta gratów trzymających się na taśmie klejącej.

– Ile możesz nam dać czasu?

– Dzień. Może półtora.

– Chyba cię kocham – oświadczył Aleks głosem zniekształconym bólem i lekami.

– Wszyscy cię kochamy – zapewnił Holden, wspierając kolegę. – To świetnie, ale nie ma nas wielu, a to duży, skomplikowany statek. Pytanie brzmi: jak możemy przejąć nad nim kontrolę?

– Byk – odpowiedziała. – Dlatego chciałam się z wami skontaktować. Byk jest w tej chwili w kiepskim stanie i potrzebuje pomocy, a ja nie

znam na tym statku nikogo innego, komu ufam. – Ostatnią część skierowała do Naomi.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy – zapewniła Naomi, wyciągając rękę.

Sam przeszła przez pokój i uścisnęła ją.

– Czego tylko potrzebujesz, Sammy. Powiedz nam, gdzie jest Byk, a wyślę moich chłopaków, żeby go zgarnęli.

Amos z sapnięciem dźwignął się z podłogi i podszedł do łóżka na kółkach.

– Tak jest, Sam, czego tylko potrzebujesz. Na tym etapie jesteśmy ci dłużni z milion, a ten Ashford wydaje się być dupkiem.

Sam uśmiechnęła się z ulgą i ścisnęła palce Naomi.

– Naprawdę to doceniam. Ale musicie uważać. Ashford ma wszędzie wiernych sobie ludzi, a oni nie wahają się zabijać. Jeśli na nich wpadniecie, będą kłopoty.

Amos wyciągnął spod koca jedną ze strzelb i oparł ją sobie niedbale o ramię.

– Można mieć nadzieję.

# Rozdział czterdziesty pierwszy

## *Byk*

Schowki były za duże na więzienie. Tak naprawdę były przewidziane jako magazyny na zasoby potrzebne do rozpoczęcia na nowo upraw po setce katastrof ekologicznych. Nasiona, gleba i dość sprężonego wodoru i tlenu do odtworzenia płytkiego oceanu arki pokoleniowej. Byk przeprowadził swojego mecha przez wielką, otwartą przestrzeń, szeroką i wysoką jak katedra, lecz bez choćby jednej podobizny Boga. Była to świątynia poświęcona technice i przydatności, pięknu funkcjonalności i wielkości eksperymentu, który miał wysłać ludzi między gwiazdy.

Wszystko wokół niego zmieniało się w łajno. Wszystkie informacje, które zdołał zebrać skulony nad ręcznym terminalem, jakby próbował do niego wpełznąć, wskazywały, że Ashford przejął maszynownię i reaktor na południu cylindra oraz stanowiska dowodzenia na północy. Jego oddziały bezkarnie przemieszczały się przez cylinder. Pa zniknęła i mogła nie żyć. Sporo ludzi wciąż było lojalnych wobec niej, włącznie z nim samym – co odkrył z zaskoczeniem – ale jeśli jej ciało zostanie znalezione w jakimś recyklerze, ta lojalność szybko zgaśnie. Zrobił wszystko, co mógł. Nie miał władzy, więc próbował finezji, a kiedy to zawiodło, sięgnął po władzę. Przyjął masakrę tysięcy ludzi dokonaną przez stację protomolekuły i na jej fundamencie prawie zbudował miasto. Zarzewie cywilizacji na skraju pustki. Może gdyby był trochę bardziej bezwzględny, wszystko by zadziało. Kiedy tak szedł powoli przez olbrzymią komorę, to właśnie nie dawało mu

spokoju. Nie jego grzechy, nawet nie zabici przez niego ludzie, a myśl, że gdyby zabił jednego lub dwóch więcej, może to by wystarczyło.

Nawet z tym mrokiem w sercu nie potrafił nie dać się poruszyć skalą stalowo-ceramicznych konstrukcji. Przemysłowemu pięknu projektu. Żałował, że to wszystko nie poleciało do gwiazd, zamiast wlecieć w bramę piekła. Żałował, że nie udało mu się doprowadzić wszystkiego do działania.

Spróbował zadzwonić do Serge'a, ale ten nie odebrał. Spróbował z Corin. Chciał znowu zadzwonić do Sam, ale nie mógł ryzykować, że Ashford dowie się o ich kontaktach. Sprawdził strumień transmisji Radia Wolnej Powolnej Strefy, ale Monika Stuart i jej ekipa niczego nie ogłaszała. Pozwolił sobie na nadzieję, że plan Ashforda zawali się tak, jak wszystkie jego dotychczasowe plany. Choć tym razem nie było na to wielkich szans. Ashford chciał po prostu coś zniszczyć, a to zawsze było łatwiejsze od tworzenia.

Pomyślał o nagraniu ostatniej wiadomości do Freda Johnsona, ale nie wiedział, czy chce przeproszać, wywołać w nim współczucie czy poczucie winy za osadzenie u władzy nadąsanego małego chłopca, którym był Ashford, więc zamiast tego czekał z nadzieją na coś niespodziewanego. I może dla odmiany – dobrego.

Usłyszał kroki dobiegające od strony rufowego korytarza. Więcej niż jedna osoba. Dwie, może trzy. Jeśli to ludzie Ashforda, nie będzie musiał się zbytnio martwić, co miałyby powiedzieć Fredowi. Wyciągnął pistolet z kabury i sprawdził magazynek. Ciche, metaliczne dźwięki odbijały się echem. Kroki zwolniły.

– Byk? – zabrzmiał znajomy głos. – Jesteś tam?

– Kto pyta? – zapytał Byk, a potem zakaszłał. Splunął na pokład.

– Jim Holden – odpowiedział głos. – Nie zamierzasz mnie zastrzelić, prawda? Bo Sam zasugerowała, że w zasadzie jesteśmy po tej samej stronie.

Do magazynu wszedł Holden. To jego miała na myśli, mówiąc, że wie, komu może zaufać. Miała trochę racji. Holden był poza wszelkimi strukturami dowodzenia, a swoją reputację zbudował na byciu człowiekiem bez podtekstów. Facetem ze strzelbą za jego plecami był Amos Burton. Przez chwilę Byk był zaskoczony, widząc ранego

Ziemianina na nogach, ale przypomniał sobie własny stan i uśmiechnął się. Opuścił pistolet, ale go nie schował.

– A dlaczego miałyby tak uważać? – zapytał.

– Wspólni wrogowie – wyjaśnił Holden. – Musimy powstrzymać Ashforda. Jeśli zrobi to, co planuje, wszyscy utkniemy tu aż do śmierci, ale też jestem prawie pewien, że Pierścień zabije wszystkich po drugiej stronie. Ziemia, Mars. Pas. Wszyscy zginą.

Byk poczuł, jak osiada coś w głębi jego piersi. Nie wiedział, czy to tylko ciężar potwierdzenia jego najgorszych obaw, czy też po prostu działo się coś niemiłego w jego płucach. Schował pistolet do kabury, chwycił dżojstiki i ruszył w stronę mężczyzn. Teraz, gdy byli tu inni ludzie, ruchy mecha wydawały się głośniejsze.

– Dobra – powiedział Byk. – To może zaczniesz od początku i wyjaśnisz, o czym ty, u diabła, mówisz?

Byk stykał się już z charyzmą. Wrażeniem, że niektórzy ludzie przechodzili przez życie w aurze bycia lubianym lub w aurze władzy. Coś takiego miał Fred Johnson, przebłyski tego samego dostrzegł i u Holdena. Właściwie w bezwzględnej szczerości Holdena było coś, co przypominało Bykowi szczerość młodego Freda Johnsona. Przedstawił sytuację w prosty, rzeczowy sposób – stacja nie zdejmie blokady do czasu, aż wyłączą wszystkie reaktory i dostateczną ilość elektroniki na statkach; twórcy protomolekuły zostali pochłonięci przez jakąś tajemniczą siłę, potężniejszą nawet od nich; stacja zniszczy Układ Słoneczny jeśli uzna, że ludzie i ich broń stanowią prawdziwe zagrożenie – dzięki któremu to wszystko wydawało się prawdopodobne. Może chodziło o głębię jego przekonania, a może był to po prostu talent, z którym rodzili się niektórzy. Byk poczuł rosnący szacunek dla Jima Holdena, taki sam, z jakim traktował grzechotnika. Ten człowiek był niebezpieczny przez to, jaki był.

Gdy Holdenowi zabrakło pary i zaczął powtarzać, że muszą powstrzymać Ashforda, że Sam próbuje kupić im czas i że bazowe załogi na innych statkach muszą wyłączyć swoje reaktory i systemy zapasowe, Byk podrapał się po brodzie.

– A jeśli Ashford ma rację? – zapytał.

– Nie rozumiem – wyznał Holden.

– To wszystko, co wydostałeś z obcego – jeśli on cię okłamał, to co wtedy?

Holden mocno zacisnął szczękę, ale po chwili kiwnął głową.

– To możliwe – przyznał. – Nie mam żadnego sposobu na sprawdzenie tego. Ale Sam mówi, że Ashford zamierza poświęcić *Behemota*, strzelając do Pierścienia, a jeśli Miller mówił prawdę, to równocześnie poświęci wszystko inne. Czy jesteś gotów na takie ryzyko?

– Uznanie twoich racji też będzie ryzykiem – stwierdził Byk. – Może go powstrzymamy i uratujemy układ, a może zostawimy Pierścień otwarty dla inwazji przez rzeczy, które wyjedzą nam mózgi. Rzut monetą, ese. A nie mamy czasu tego sprawdzać. Żadnego sposobu na upewnienie się. Tak czy tak, to ryzyko.

– Owszem – potwierdził Holden. – To jak, co zamierzasz zrobić?

Byk westchnął i znowu zaczął kaszleć. Śluz zbierający mu się w ustach smakował jak aerozol ze sterydami. Splunął. Do tego się wszystko sprowadzało. Tak naprawdę to nie było pytanie.

– Chyba musimy odzyskać maszynownię – powiedział. – Pewnie będzie to paskudna walka, ale trzeba to zrobić. Przy obracającym się cylindrze jedyna droga między maszynownią a pokładami dowodzenia to zewnętrzna winda, można się też dostać przez punkt transferowy od strony dowodzenia, a potem przez całą drogę do punktu transferowego maszynowni, z mnóstwem ludzi i spowalniającym ich ciężeniem wirowym. Wszelkie jego posiłki nie zdążą tam dotrzeć przed rozstrzygnięciem walki.

– Sammy już jest w maszynowni – przypomniał Amos. – Może uda się jej przygotować teren, zanim tam wejdziemy.

– Byłoby dobrze – zgodził się Byk.

– A kiedy już ją przejmujemy? – zapytał Holden.

– Pewnie trzeba będzie wpuścić na mostek mnóstwo azotu i wyciągnąć ich, jak już usną – zasugerował Byk. – Jeśli kapitan Pa jeszcze żyje, będą jej problemem.

– A jeśli nie? – rzucił Amos.

– Wtedy będą moim – przyznał Byk.

Uśmiech Amosa sugerował, że zrozumiał słowa Byka dokładnie tak,



jak zostały zamierzone.

– A reaktor? – zapytał Holden. – Zamierzasz go wyłączyć?

– To plan awaryjny – z krzywym uśmiechem stwierdził Byk. – Wyłączymy go. I namówimy wszystkich innych do tego samego.

– Mogę spytać o powód?

– Możliwe, że uda nam się zdjąć blokadę przez to coś i nie zniszczyć Słońca, nawet jeśli Ashfordowi uda się strzelić – wyjaśnił Byk.

– Dobra – zgodził się Holden. – Mam swoją załogę. Ale jesteśmy trochę poobijani.

– Za to czystego serca – wtrącił Amos.

– Nie wiem, ilu ludzi mi zostało – przyznał Byk. – Jeśli zdołam się z paroma skontaktować, powinienem się dowiedzieć.

– To gdzie się urządzimy?

Byk się zastanowił. Jeśli mieli atakować maszynownię, pomocne będzie odwrócenie uwagi. Coś, co odciągnie Ashforda od naprawdę ważnych działań. Gdyby był jakiś sposób spoliczkowania go, nakłucia jego dumy. Ashford nie był człowiekiem, który przed katastrofą gruntownie wszystko przemyślał, ale nie można mu było odmówić ostrożności. Gdyby był jakiś sposób na rozzłoszczenie go, przełamanie tej ostrożności. Tylko że zrobienie tego i przekazanie wiadomości na inne statki, że muszą wyłączyć reaktory wymagałoby więcej czasu, niż miał do dyspozycji, chyba że...

– Tak – powiedział kwaśno. – Wiem, gdzie pójdziemy. Choć dotarcie tam może być trochę niebezpieczne. Ludzie Ashforda są w całym cylindrze.

– Teraz już mniej niż gdy wyruszaliśmy – skomentował Amos.

Byk nie poprosił o wyjaśnienie.

– Prowadź – powiedział Holden. – Pójdziemy za tobą.

Byk stuknął palcami w dżojstiki. W duchu poczuł wstyd i niezręczność. Na twarzy Holdena pojawił się cień niezrozumienia. Byk poczuł silny niesmak do siebie. Właśnie miał wystawić na niebezpieczeństwo bandę cywili, żeby ściągnąć uwagę Ashforda, chciał to zrobić z własnej, nieprzymuszonej woli, a jednak wstydził się rzeczy, nad którymi nie miał żadnej kontroli. Nie wiedział, co to mówiło na jego temat, ale uznał, że raczej nic dobrego.

\* \* \*

Radio Wolna Powolna Strefa mieściło się w pomieszczeniach przeznaczonych na administrację kolonii. Wąskie przestrzenie biurowe podzielono na ściany zgodnie z pierwotnym układem statku, gdy nazywał się jeszcze *Nauvo* i nakład pracy wymagany do przerobienia pomieszczeń na coś użyteczniejszego nie okazał się wart wysiłku. Byk przekazał je Monice Stuart i jej ekipie, ponieważ niewiele go to kosztowało. Coś, czego nie potrzebował – stare biura – w zamian za coś, czego chciał: znajomą twarz i niosący spokój głos, pomagające zmienić *Behemota* w miejsce zebrania pełnej i uszkodzonej floty.

Studio transmisyjne urządzono, ustawiając przy ścianie arkusz formowanego zielonego plastiku, który ktoś oderwał od podłogi. Światła zmontowano prowizorycznie, mocując je do wszystkich możliwych powierzchni. Byk rozpoznał większość twarzy, choć wielu nie znał. Oczywiście, znał Monikę Stuart. Jej ekipa produkcyjna zmniejszyła się do jednej Ziemiarki, Okju, i ciemnoskórego Marsjanina, nazywanego Clip. Holden wezwał tu swoją załogę, ale jeszcze nie dotarli.

Byk rozważył układ pomieszczeń pod kątem taktycznym. Zablockowanie przejść byłoby łatwe. Niskie ściany między stanowiskami biurowymi zapewniały sporo osłony, a były dostatecznie solidne, by zatrzymać większość pocisków. Godzina albo dwie z zapasem stali i paroma spawaczami mogłoby zmienić to miejsce prawie w fortecę. Miał nadzieję, że nie będzie to potrzebne. Tylko z drugiej strony pragnął, by tak się stało.

– Wróciliśmy, gdy tylko zaczęły się walki – powiedziała Monika. – Pomyślałam, że lepiej nie wychodzić bez znajomości sytuacji.

– Dobry plan – pochwalił Byk, a jego terminal zasygnalizował nadchodzące połączenie. Uniósł palec i wcisnął przycisk przyjęcia połączenia.

Na ekranie pojawiła się twarz Corin. Wyglądała na bladą. W szoku. Znał ten wyraz twarzy.

– Jak źle to wygląda?

– Mam około trzydziestu ludzi, sir – powiedziała Corin. – Uzbrojonych i opancerzonych. Kontrolujemy bufet i większość cywilów. Gdy Ashford zdobył kontrolę nad przejściami do cylindra, przeważnie się wycofali.

– Pa?

– Żyje – zgłosiła Corin. – W kiepskim stanie, ale żyje.

– Uznamy to za zwycięstwo.

– Straciliśmy Serge'a – oznajmiła Corin spokojnym i bezbarwnym głosem.

O to chodziło. Byk poczuł odruchowo nasuwające się *przykro mi*, ale je zdławił. Później. Później będzie mógł zaoferować współczucie. W tej chwili miał miejsce tylko na siłę.

– Dobra – powiedział. – Sprowadź do biur administracji kolonialnej kogo tylko możesz. Z bronią. Ściągnij tu całą posiadaną broń.

– Nowa kwatera główna?

– Komisariat ochrony na uchodźstwie – odpowiedział Byk, a Corin prawie się uśmiechnęła.

Nie było w tym radości, ale może odrobina rozbawienia. Na razie wystarczy. Zasalutowała, a on odpowiedział gestem na tyle podobnym, na ile potrafił, a potem się rozłączył.

– Czyli to przewrót – skomentowała Monika.

– Technicznie rzecz biorąc, kontrprzewrót – sprecyzował Byk. – Pytała pani, czego od niej chcę. Chcę, żeby informowała pani o tym, co się tu dzieje. Transmisja. Na *Behemota* i pozostałe statki floty. Cholera, nawet na stację, jeśli będzie słuchać. Kapitan Ashford został odsunięty ze stanowiska z powodu problemów ze zdrowiem psychicznym. Przeżył zbyt silny wstrząs. Wraz z wiernymi sobie ludźmi zamknęli się w centrum dowodzenia, a zespół ochrony *Behemota* wejdzie tam, żeby go wyciągnąć.

– A czy coś z tego jest prawdą?

– Może połowa – przyznał Byk.

Za plecami Moniki Ziemiańska o szeroko rozstawionych oczach, Ojku, podniosła wzrok, a potem popatrzyła gdzieś w dal.

– Nie zamierzam nadawać propagandy – obruszyła się Monika.

– Ashford chce doprowadzić do śmierci nas wszystkich – zauważył Byk. – Może nawet jeszcze wszystkich w domu, jeśli zrobi to, co zaplanował. Katastrofa i wszystko, przez co tu przeszliśmy, to były szturchańce dla dzieci. On chce wszcząć prawdziwą walkę.

Dziwne, jak wypowiedzenie tych słów sprawiło, że wydały się realne w sposób, którego nie miały w ustach Holdena. Choć właściwie wciąż nie był pewien, czy wierzył, że to prawda. Tylko że w tej chwili potrzebował, żeby tak było, więc było. Oczy Moniki zrobiły się trochę bardziej okrągłe, a na jej policzkach pojawiły się czerwone plamy.

– Kiedy będzie po wszystkim – powiedziała – chcę pełnej historii. Na wyłączność. Wszystkiego, co się tu naprawdę dzieje. Dlaczego wszystko potoczyło się właśnie w ten sposób. Szczegółowe wywiady ze wszystkimi graczami.

– W tej chwili nie mogę mówić za nikogo, poza sobą – przyznał Byk. – Ale dla mnie to uczciwa wymiana. Poza tym chcę, żeby przekonała pani pozostałe statki floty do wyłączenia reaktorów i sieci energetycznych oraz wyciągnięcia baterii z każdego urządzenia, które je ma.

– Ponieważ?

– Ponieważ próbujemy zdjąć blokadę z naszych statków – wyjaśnił. – Wrócić do domu. A jeśli nie zdołamy powstrzymać Ashforda, to zdjęcie blokady będzie naszą jedyną szansą na powstrzymanie stacji przed odwetem na ludziach po drugiej stronie Pierścienia.

A także ponieważ jeśli obelgi i prowokacje, fałszywe zagrożenia i odwracanie uwagi zawiedzie, to wystarczy. Jeśli Ashford zobaczy wykonywanie innego planu, jeśli zobaczy, jak *jego* heroiczny gest, *jego* wielkie poświęcenie jest mu zabierane, przyjdzie tu. Zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby wyłączyć studio, a każdy karabin, który skieruje tutaj, będzie jednym mniej w maszynowni lub na mostku.

Monika wyglądała na skonsternowaną.

– A niby jak mam ich do tego przekonać?

– Mam na to pewien pomysł – stwierdził Byk. – Znam taką pastorkę, która zbiera na swoich nabożeństwach ludzi z prawie każdego statku. Myślę, że powinniśmy ją zatrudnić.

*Nawet, nie dodał, jeśli postawi to ją na linii ognia.*

# Rozdział czterdziesty drugi

## *Clarissa*

Nadszedł koniec. Skończyło się całe bieganie dookoła i na Ashforda opadło coś w rodzaju spokoju. Na Corteza. Na nich wszystkich. Wydano rozkaz zabezpieczenia wszystkich punktów transferowych. Nikomu nie wolno było wchodzić do cylindra ani z niego wychodzić. Nie teraz. Już nigdy.

Czuła prawie ulgę.

– Myślałem o twoim ojcu. – Cortez odezwał się, gdy winda wznosiła się do punktu transferowego, a ciężenie obrotów zanikało, zastępowane przez coraz większy efekt Coriolisa. Czyniąc wszystko lekko nierealnym, jak sen o nieoczekiwanej chorobie. – Był bardzo sprytnym człowiekiem. Niektórzy powiedzieliby, że błyskotliwym, ale też bardzo cenił sobie prywatność.

*Próbował zmienić protomolekułę w broń i sprzedać ją na aukcji,* pomyślała Clarissa. Ta myśl powinna zaboleć, ale nic nie poczuła. To był tylko fakt. Atomy żelaza powstawały w gwiazdach, przekaźnik mocy Daimo-Koh miał jedno wejście mniej niż standardowe modele, jej ojciec próbował zrobić broń z protomolekuły. Nie wiedział, czym jest. Nikt nie wiedział. Ale to nie powstrzymało ich przed dłubaniem w niej. Żeby zobaczyć, co uda im się zrobić. Dopadło ją nagle wspomnienie nagrania wideo pijanego żołnierza wręczającego swój karabin szturmowy szympansowi. To, co stało się później, w zależności od nastroju, uznawała za śmieszne lub tragiczne. Jej ojciec wcale nie różnił się tak bardzo od szympansa. Po prostu działał w

większej skali.

– Żałuję, że nie miałem okazji lepiej go poznać – powiedział Cortez.

Razem z nimi w windzie był Ashford i siedmioro jego ludzi. Kapitan stał na przedzie z rękami złożonymi za plecami. Większość jego ludzi to także byli Pasiarze. Długie sylwetki, duże głowy. Ren wyglądał podobnie. Jakby wszyscy należeli do tej samej rodziny. Żołnierze Ashforda mieli pistolety i kamizelki kuloodporne. Ona nie. A jednak ciągle przyłapywała ich na zerkaniu na nią. Wciąż myśleli o niej jak o Melbie. Była terrorystką i morderczynią z modyfikacjami bojowymi. Fakt, że wyglądała jak normalna młoda kobieta, tylko zwiększał wrażenie jej niezwykłości. To dlatego Ashford tak bardzo chciał mieć ją po swojej stronie. Była ozdobą. Trofeum ukazującym jego siłę i zasłoną kryjącą wcześniejszą porażkę utraty statku.

Pragnęła, żeby ktoś z nich się do niej uśmiechnął. Im bardziej zachowywała się jak Melba, tym bardziej czuła, że wraca ta jej wersja, wsiąkając w nią jak atrament przesączający się przez papier.

– Kiedyś twój brat Petyr pojawił się w budynku Organizacji Narodów Zjednoczonych, kiedy go właśnie odwiedzałem.

– To musiał być Michael – skorygowała. – Petyr nie znosi ONZ.

– Doprawdy? – powiedział Cortez z łagodnym śmiechem. – Mój błąd.

Winda dotarła do osi cylindra, zwalniając łagodnie, żeby mogli się unieruchomić przy poręczach, zamiast zostać wyrzuconymi w sufit. Za nimi seria potężnych przewodów i transformatorów zasilala długie, liniowe słońce cylindra. Zanim przyleciała do Pierścienia, nigdy nie myślała na poważnie o równoważeniu obciążeń i systemach kontroli środowiska. Takie rzeczy były dla innych. Dla maluczkich. Teraz, dzięki zdobytej wiedzy, skala projektu *Behemota* była oszałamiająca. Żałowała, że pozostali tego nie zobaczyli. Soledad, Bob i Stanni. Oraz Ren.

Rozsunęły się drzwi i Pasiarze ruszyli w głąb stacji z gracją kobiet i mężczyzn, którzy spędzili dzieciństwo w nieważkości i niskim ciśnieniu. Ona i Cortez nie zawstydzili się, ale nigdy nie będą mieli wdzięku Pasiarza w nieważkości.

Pokład dowodzenia był piękny. Łagodne, pośrednie oświetlenie wyeliminowało wszystkie cienie. Melba poleciała za Ashfordem i

Pasiarzami, płynąc przez powietrze jak delfin w morzu.

Sam mostek również został pięknie zaprojektowany. Mieścił się w długim, rombowym pomieszczeniu z panelami sterowania osadzonymi na ceramicznych pulpitych. Na jednym z końców rombu znajdowały się drzwi prowadzące do biura kapitana, na drugim – do stanowiska ochrony. Osadzone na przegubach kardanowych prycze przeciążeniowe wyglądały nie jak konieczne elementy wyposażenia, a bardziej jak piękne wykwity statku. Jak orchidee. Na ścianach namalowano anioły i sielskie sceny. Efekt tylko odrobinę psuło sześć otwartych paneli technicznych, z wciąż nieukończonymi naprawami po gwałtownym zatrzymaniu. Nawet wnętrzości mostka były na swój sposób piękne. Clarissa stwierdziła, że ma ochotę podejść i popatrzeć do środka, żeby sprawdzić, czy zdoła się zorientować w ich działaniu.

Przy panelach unosiło się trzech mężczyzn, sami Pasiarze.

– Witamy z powrotem, kapitanie – powiedział jeden z nich.

Ashford poszybował do stanowiska kapitańskiego. Trzech żołnierzy przedryfowało, zajmując stanowiska na korytarzu, a pozostali ustawili się wokół pomieszczenia tak, by mieć na oku drzwi. Każdy, kto spróbowałby zdobyć mostek, musiałby przejść przez grad pocisków. Clarissa przyciągnęła się do drzwi stanowiska ochrony, głównie żeby zejść innym z drogi, a Cortez podążył za nią z poważnym, skupionym i trochę podnieconym wyrazem twarzy.

Ashford wystukał serię poleceń, a jego panel sterowania zmienił wygląd i rozjarzył się nieco jaśniej. Śledził odczyty na ekranach. Oświetlony od dołu wyglądał nie jak mężczyzna pragnący poświęcić siebie i załogę w celu uratowania ludzkości, ale jak niskiego poziomu naukowiec próbujący zmusić symulację do działania według jego zamierzeń.

– Jojo? – odezwał się, a głos strażnika więziennego odpowiedział z okolic jednego z paneli, jakby mężczyzna stał tuż obok niego.

– Jestem, kapitanie. Mamy zablokowany punkt tranzytowy do maszynowni. Jeśli ktokolwiek spróbuje tamtędy przejść, trafi to piekła.

– Doskonale – pochwalił Ashford. – Mamy główną inżynier Rosenberg?

– Tak jest, sir. Wprowadza właśnie modyfikacje do sprzętu łączności.

– Jeszcze?

– Jeszcze, sir.

– Dziękuję – rzucił kapitan, a potem zaczął coś robić na ekranie, głośno stukając w niego palcami. – Sam. Ile jeszcze, zanim zostaną wprowadzone modyfikacje?

– Dwie godziny – odpowiedziała.

– Dlaczego tak długo?

– Muszę obchodzić wszystkie zabezpieczenia w układach sterowania – wyjaśniła. – W system wbudowano mnóstwo elementów, które mają uniemożliwić coś takiego.

Ashford zmarszczył brwi.

– Dwie godziny – rzucił i zamknął połączenie.

Zaczął się czekanie. Dwie godziny później Sam wyjaśniła, że system celowniczy został przesunięty w obudowie podczas katastrofy. Generalnie znaczyło to opóźnienie w namierzaniu, ale ponieważ zamierzali go użyć tylko raz, korygowała ustawienie. Jeszcze trzy godziny. Potem otrzymała sygnał o błędzie pętli i musiała wysledzić jego źródło. Kolejne dwie godziny.

Clarissa widziała, jak Ashford robi się coraz bardziej ponury z każdą wymówką i każdą godziną poza pierwotnie wyznaczony termin. Znalazła ubikacje umieszczone na tyłach stanowiska ochrony i zaczęła się zastanawiać nad zdobyciem kilku tubek z jedzeniem. Jeśli jedyny czynny bufet znajdował się w cylindrze, mogło to stanowić problem. Cortez przypiął się do pryczy przeciążeniowej i spał. Strażnicy powoli robili się coraz bardziej niespokojni. Clarissa spędziła godzinę, przechodząc od panelu technicznego do panelu, przyglądając się płytom sterowania i przełącznikom zasilającym mostek. Zaskakujące, jak wiele z nich było takich samych jak te, z którymi pracowała na ziemskich statkach, lecąc tutaj. W sumie jeśli skaleczył się Ziemiańcin i Pasiarz, obaj krwawili tak samo. Jeśli otworzyć panel techniczny na *Behemocie* i Prinsie, na obu statkach znajdzie się tak samo kiepskie bufory spadku napięcia.

Zastanawiała się, jak *Behemot* czuł się, będąc *Behemotem*, a nie



*Nauvoo*. Zastanawiała się, jak ona czuła się, będąc Clarissą Mao, a nie Melbą Koh. Czy statek poczuje szlachetność swego poświęcenia? Zagubiony na zawsze w otchłani, ratujący innych, składający się w ofierze. Symetria wydawała się znacząca, ale to wrażenie mogło być tylko wynikiem połączenia strachu i niepewności.

Siedem godzin po zajęciu mostka Ashford znowu dźgnął konsolę sterowania, odczekał kilka sekund i walnął w nią na tyle mocno, że uderzenie pchnęło go z powrotem w pryczę. Dźwięk przemocy wyrwał Corteza ze snu i uciszył rozmowy prowadzone przez strażników. Ashford zignorował wszystkich i znowu stuknął w ekran. Jego palce wydawały dźwięki podobne do gradu uderzającego w skałę.

Światło z ekranu zamigotało.

– Sir?

– Gdzie jest Sam Rosenberg? – warknął Ashford.

– Ostatnio widziałem ją, sir, jak sprawdzała zapasowe źródło zasilania dla pola magnetycznego reaktora. Mam jej poszukać?

– Kto jest jej zastępcą?

– Anamarie Ruiz.

– Proszę przysłać obie na mostek. W razie potrzeby pod strażą.

– Tak jest, sir.

Ashford zamknął połączenie i odsunął się od konsoli, szeleszcząc pryczą przeciążeniową na łożyskach.

– Jakiś problem, kapitanie? – zapytał Cortez. Jego głos brzmiał trochę niewyraźnie.

– Nic, z czym sobie nie poradzę – odpowiedział Ashford.

Minęła prawie kolejna godzina, zanim Clarissa usłyszała, jak otwierają się drzwi zewnętrznej windy. W korytarzu zabrzmiały nowe głosy. Z pozoru luźne rozmowy ukrywały głębszy niepokój. Ashford poprawił swój mundur.

Do sali wleciały dwie kobiety. Pierwsza była ładnym rudzielcem z pobrudzonymi smarem włosami ściągniętymi w kok i twarzą w kształcie serca. Przywiodła jej na myśl Annę. Druga była szczupła nawet jak na Pasiarkę, ze skórą w kolorze suchej ziemi i brązowymi oczami, tak ciemnymi, że prawie czarnymi. Za nimi pojawili się trzej mężczyźni z pistoletami.

– Główna inżynier Rosenberg – powiedział Ashford.

– Sir – odpowiedziała rudowłosa. Nie brzmiała ani trochę jak Anna.

– Mamy już czwarte opóźnienie w ostatniej chwili. Im więcej czasu zmarnujemy, tym bardziej jest prawdopodobne, że zbuntowane elementy w cylindrze zaczną wywoływać niepokoje.

– Robię, co mogę, kapitanie. Jeśli coś nie wyjdzie, nie będzie drugiej szansy. Musimy to zrobić porządnie.

– Dwie godziny temu powiedziała pani, że będziemy gotowi do strzału za dwie godziny. Możemy strzelać?

– Nie, sir – odpowiedziała. – Sprawdziłam specyfikację i zabezpieczenia reaktora nie pozwolą na wydanie potrzebnej nam mocy. Produkuję właśnie nowe bezpieczniki, które nam tego nie spieprzą. A potem będę musiała jeszcze wymienić część okablowania.

– Ile to zajmie? – zapytał Ashford. Mówił szorstkim głosem.

Clarissa odniosła wrażenie, że usłyszała w nim groźbę, ale inżynier na nią nie zareagowała.

– Sześć, sześć i pół godziny – odparła. – Drukarki nie pracują zbyt szybko.

Ashford kiwnął głową i zwrócił się do drugiej kobiety. Ruiz.

– Zgadza się pani z tą oceną?

– Z całym szacunkiem dla inżynier Rosenberg, nie – odpowiedziała Ruiz. – Nie rozumiem, dlaczego zamiast tego nie możemy użyć pianki przewodzącej.

– Ile czasu by to zajęło?

– Dwie godziny – odpowiedziała Ruiz.

Ashford wyciągnął pistolet. Broń wypaliła, zanim główna inżynier zdążyła szerzej otworzyć oczy. W zamkniętym pomieszczeniu dźwięk był prawie ogłuszający. Głowa Sam odskoczyła do tyłu, a jej nogi kopnęły do przodu. W powietrzu zadrżała jaskrawoczerwona kula, uwalniając mniejsze kropelki. Aktywne księżyce wokół martwej planety.

– Pani Ruiz – powiedział Ashford. – Ma być pani gotowa do strzału za dwie godziny.

Przez chwilę kobieta milczała. Potem potrząsnęła głową jakby próbowała wydostać się ze snu.

– Sir – wydusiła.

Ashford się uśmiechnął. Cieszył się wywołanym efektem.

– Może pani iść. Tik, tak. Tik, tak.

Ruiz ze strażnikami wylecieli z pomieszczenia. Ashford schował pistolet.

– Niech ktoś posprząta ten bajzel – rzucił.

– Mój Boże – powiedział Cortez głosem gdzieś w pół drogi między modlitwą a przekleństwem. – O mój Boże. Coś ty zrobił?

Ashford wykręcił szyję. Zbliżyli się dwaj strażnicy. Jeden z nich trzymał w rękach odkurzacz. Kiedy go włączył, niewielki silnik zawył. Po wciągnięciu krwi dźwięk silnika opadł o pół nuty, z E do Dis.

– Zastrzeliłem sabotażystkę – wyjaśnił Ashford – i oczyściłem drogę do ocalenia ludzkości przed zagrożeniem.

– Zabiłeś ją – powiedział Cortez. – Nie miała rozprawy. Obrony.

– Ojcie Cortezie – odpowiedział Ashford. – Mamy wyjątkowe okoliczności.

– Ale...

Ashford odwrócił się, pochylając do przodu swoją trochę za dużą, pasiarską głowę.

– Z całym należnym szacunkiem, to mój statek. Moi ludzie. I jeśli sądzisz, że jestem gotów na kolejny bunt, to bardzo grubo się mylisz. – W głosie kapitana pobrzmiwało coś w rodzaju napięcia pijanego gotowego do bójki.

Clarissa położyła dłoń na ramieniu Corteza i pokręciła głową.

Starszy mężczyzna zmarszczył brwi, przeczesał dłonią siwe włosy i przybrał profesjonalną maskę współczucia.

– Rozumiem potrzebę dyscypliny, kapitanie – odezwał się. – A nawet pewnego poziomu przemocy, jeśli jest wymagana, ale...

– Nie zmuszaj mnie do wsadzenia cię z powrotem do cylindra – warknął Ashford.

Cortez zamknął usta i pochylił głowę jakby upokorzenie było dla niego czymś zupełnie nowym. Choć Clarissa wiedziała, że to nieprawda, i tak poczuła współczucie. Widział martwych ludzi. Widział, jak giną. Zobaczenie, jak ktoś jest mordowany, było innym doświadczeniem. A zabicie kogoś było jeszcze innym doświadczeniem,

więc na pewien sposób go wyprzedzała.

– Chodźmy – powiedziała. Cortez na nią zamrugał. W jego oczach pojawiły się łzy, rozlewające się mniej lub bardziej równo na twaródkach, niezdolne do tego, by spłynąć. – Łazienka jest tam. Zaprowadzę pana.

– Dziękuję.

Dwóch strażników owijało martwą inżynier taśmą. Pocisk trafił tuż nad jej prawym okiem i do tego miejsca przywarła półkula krwi, drżąc, ale nie rosnąc. Kobieta już nie krwawiła. *Była wrogiem*, pomyślała Clarissa, ale ta idea miała w sobie coś niepewnego. Jakby przymierzała nowy żakiet, sprawdzając, czy będzie pasować. *Była wrogiem i zasługiwała na śmierć, choć miała rude włosy jak Anna*. Ta myśl nie niosła ze sobą takiej dawki komfortu, jakiej się spodziewała.

W łazience Cortez umył twarz i dłonie mokrymi ręcznikami, a potem włożył je do recyklera. Clarissa w duchu prześledziła ich los do mieszarki i dalej, przez wnętrza statku. Wiedziała, jak wyglądałoby to na *Cerisierze* lub *Prinsie*. Tutaj mogła się tylko domyślać.

Próbujesz się czymś zająć, odwrócić uwagę, powiedziała mała część jej umysłu. Myśl dotarła do niej w słowach, dokładnie tak. Nie z zewnątrz, nie od kogoś innego. Jakaś jej część mówiła do reszty. *Próbujesz się czymś zająć, odwrócić uwagę.*

*Od czego?* – zastanawiało ją.

– Dziękuję – zwrócił się do niej Cortez. Jego uśmiech wyglądał teraz bardziej znajomo. Bardziej przypominał człowieka znanego z ekranów. – Wiedziałem, że pojawi się opór przed zrobieniem właściwej rzeczy, ale nie byłem na niego gotów. Nie byłem gotowy duchowo. To mnie zaskoczyło.

– Tak bywa – zgodziła się Clarissa.

Cortez przytaknął. Był mniej więcej w wieku jej ojca. Spróbowała sobie wyobrazić Julesa-Pierre'a Mao unoszącego się w nieważkości i płaczącego nad martwą inżynier. Nie potrafiła. W ogóle nie mogła go sobie tu wyobrazić, nie potrafiła sobie przypomnieć, jak dokładnie wyglądał. Pamiętała tylko jego władzę, błyskotliwość i silną pozycję społeczną. Fizyczne detale były nieistotne. Cortez popatrzył na siebie

w lustrze i próbował przybrać spokojny wyraz twarzy.

On za chwilę zginie, pomyślała. Zamierza skazać siebie i wszystkich na tym statku na śmierć, tu, w ciemności, ponieważ uważa, że to słuszne i szlachetne. Czy to właśnie planował zrobić Ashford? Teraz żałowała, że nie rozmawiała z nim więcej, gdy razem byli więźniami. Powinna była zrozumieć, kim był. Dlaczego był gotów zginąć dla tej sprawy. A co ważniejsze, dlaczego był gotów zabijać. Może chodziło o altruizm i szlachetność. Może o strach. Albo o smutek. Jak długo robił to, co wymagało zrobienia, powody nie miały znaczenia, ale stwierdziła, że ją to ciekawi. Przynajmniej wiedziała, dlaczego ona tu jest. Żeby się odkupić. Zginąć z jakiegoś powodu i coś naprawić.

Próbujesz się czymś zająć, odwrócić uwagę.

– ...nie sądzisz? – zapytał Cortez. Uśmiechał się łagodnie i smutno, a ona nie miała pojęcia, co takiego powiedział.

– Chyba tak – rzuciła i odepchnęła się od framugi, żeby zrobić mu miejsce.

Cortez przeciągnął się za pomocą uchwytów, próbując utrzymać ciało skierowane głową w stronę sufitu, a stopami do podłogi, choć pełzanie wzdłuż ścian byłoby chyba bezpieczniejsze i szybsze. Było to coś, co ludzie żyjący z wagą robili odruchowo. Clarissa zauważyła to tylko dlatego, że sama tego nie robiła. Pokój był tylko pokojem, bez góry i dołu, cokolwiek mogło być podłogą, ścianą lub sufitem. Spodziewała się fali zawrotów głowy, które nie nadeszły.

– Wiesz, że to nie ma znaczenia – powiedziała.

Cortez uśmiechnął się do niej, pytając przekrzywiając głowę.

– Jeśli wszyscy jesteśmy ofiarami, nie ma znaczenia, kiedy odejdziemy – wyjaśniła. – Odeszła chwilę przed nami. My odejdziemy trochę później. Nie ma znaczenia, czy wszyscy z własnej woli trafimy na ołtarz, prawda? Liczy się tylko to, że zniszczymy Pierścień, dzięki czemu wszyscy po drugiej stronie będą bezpieczni.

– Tak, racja – zgodził się Cortez. – Dziękuję, że mi przypomniałaś.

W sąsiednim pokoju zabrzmiał sygnał alarmu i Clarissa odwróciła się w jego stronę. Ashford rozpiął pasy i unosił się nad panelem sterowania z twarzą wykrzywioną furją.

– Co się dzieje, Jojo?

– Sir, chyba mamy problem...

# Rozdział czterdziesty trzeci

## *Holden*

Wszystko w byłych biurach administracji kolonii wzbudzało u Holdena smutek. Ponure, standardowo zielone ściany, zestaw boksów w centralnej przestrzeni roboczej, brak okien lub ozdób architektonicznych. Mormoni planowali kierować pierwszą międzygwiazdą kolonią ludzkości z miejsca wyglądającego jak typowe biuro rachunkowe. Było rozczarowujące. *Witamy w naszej trwającej stulecia podróży do stworzenia ludzkiej kolonii na planecie innej gwiazdy! Tu jest twój boks.*

Przestrzeń wykorzystano w sposób, który przynajmniej nadał jej wrażenie zamieszkanego. Cały jeden schowek zajmowało prowizorycznie sklecone radio, podłączone do głównego zestawu nadajników. Jego rozmiary świadczyły bardziej o pośpiesznej konstrukcji niż o mocy transmisji. Bieżąca flota zajmowała tak małą przestrzeń, że mogłaby odbierać przyzwoitą krótkofalówkę. Ekran dotykowy na jednej ze ścian pełnił funkcję tablicy biurowej, z listami potencjalnych wywiadów i wiadomości, wypisanymi wraz z nazwiskami osób do kontaktu i ewentualnym poziomem zainteresowania. Holden poczuł się mile połączony, widząc swoje nazwisko obok notatki *gorący temat, znaleźć sposób na rozmowę.*

Teraz w pomieszczeniu wrzało aktywnością. Ludzie Byka docierali tu po kilkoro na raz. Większość miała ze sobą torby pełne broni lub amunicji. Kilkoro przyniosło narzędzia w formowanych plastikowych skrzynkach z kołami u dołu. Przygotowywali się do wzmocnienia

byłego biura i zrobienia z niego minifortecy. Holden oparł się o nieużywane biurko i próbował nie wchodzić nikomu w drogę.

– Hej – powiedziała Monika, pojawiając się przy nim znikąd. Kiwnęła głową w stronę tablicy. – Kiedy usłyszałam, że wróciłeś ze stacji, miałam nadzieję, że uda mi się zrobić z tobą wywiad. Choć chyba straciłam szansę.

– Dlaczego?

– W świetle tego końca świata spadłeś o kilka kratek w harmonogramie transmisji.

Holden kiwnął głową, a potem wzruszył ramionami.

– Już byłem sławny. To wcale nie jest takie fajne.

Monika usiadła na biurku obok niego i podała mu bańkę z pićem. Kiedy Holden spróbował, odkrył, że zawiera doskonałą kawę. Na chwilę zamknął oczy i westchnął z przyjemnością.

– Dobra, teraz trochę się w tobie zakochałem.

– Nie drażnij się z dziewczyną – odpowiedziała. – Czy to zadziała? Ten plan Byka?

– Oficjalnie?

Ktoś zaczął spawać arkusz metalu do ściany, zmuszając oboje do uniesienia rąk i przesłonięcia oczu. Zapachniało siarką i gorącą stalą.

– Zawsze – zapewniła Monika. – Zadziała?

– Może. Nie bez powodu okręty wojskowe zawsze są wysadzane, gdy tylko ktoś przejmie maszynownię. Jeśli nie rządysz w tym miejscu, statek nie należy do ciebie.

Monika uśmiechnęła się, jakby wszystko nabrało dla niej sensu. Holden zastanawiał się, ile faktycznie rozumiała. Nie była korespondentką wojenną, tylko autorką programów dokumentalnych, która we właściwej chwili trafiła w niewłaściwe miejsce. Z żalem dopił resztę kawy i poczekał, czy zapyta go jeszcze o coś. Jeśli będzie miły, może zaoferuje mu drugą porcję.

– A ta Sam, da radę to zrobić? – zapytała.

– Sam utrzymuje *Rosa* w powietrzu już od prawie trzech lat. Była jedną z najlepszych i najbardziej błyskotliwych inżynierów Tycho. Tak, jeśli znajdzie się w twojej maszynowni i cię nie lubi, masz przerąbane.



– Chcesz jeszcze kawy?

– Dobry Boże, tak – powiedział Holden, wyciągając bankę jak uliczny żebrak.

Zanim Monika ją wzięła, podszedł do nich Byk w swoim mechanicznym chodziku. Zaczął coś mówić, ale przekształciło się to w trwający kilka sekund atak mokrego, zaflegmionego kaszlu. Holden pomyślał, że Byk wygląda jak ktoś umierający po kawałku.

– Przepraszam – rzucił Byk, spluwając do przygotowanej szmatki. – To odpychające.

– Jeśli umrzesz – rzuciła Monika – nie dostanę mojego wywiadu.

Byk kiwnął głową i znowu zaczął kaszleć.

– Jeśli umrzesz – odezwał się Holden – mogę dostać twoje rzeczy?

Byk wykonał szeroki, zamaszysty gest obejmujący biuro wokół nich.

– Kiedyś, chłopcze, to wszystko będzie twoje.

– Jakie wieści? – zapytał Holden, unosząc bankę do ust i z rozczarowaniem odkrywając, że nadal jest pusta.

– Corin znalazła pastorkę, siedziała z połową swojej wspólnoty w namiocie kościelnym.

– Świetnie – skomentował Holden. – Wszystko zaczyna się układać.

– Nawet lepiej niż myślisz. Połowę ludzi w tamtym namiocie stanowili marsjańscy żołnierze. Przyjdą z nią. Powiedziała, że potwierdzą jej historię, gdy poprosi inne statki o wyłączenie zasilania. Zresztą nie zaszkodzi mieć tu ekstra kilkadziesiąt sprawnych osób do obsadzenia obrony, gdy Ashford nas zaatakuje.

Podczas gdy Byk mówił, Holden zobaczył Amosa wchodzącego do biura, pchającego przed sobą łóżko z Alekssem i Naomi. Poczul, jak rozluźniają się spięte mięśnie, z których napięcia nawet nie zdawał sobie dotąd sprawy. Byk nadal mówił o wykorzystaniu nowych sił w planach obrony, ale Holden przestał słuchać. Patrzył, jak Amos przesuwa łóżko do spokojnego kąta na tyłach pomieszczenia, a potem podchodzi nieśpiesznie, zatrzymując się obok nich.

– Na zewnątrz nic nowego – zgłosił Amos, gdy Byk skończył mówić.

– Przez cylinder chodzą takie same niewielkie patrole zbirów Ashforda, ale nie wyglądają, jakby wiedzieli, że coś się szykuje.

– Dowiedzą się, gdy tylko rozpoczniemy pierwszą transmisję –

stwierdziła Monika.

– Jak twoje ramię? – zapytał Holden.

– Boli.

– Pomyślałem, że dobrze byłoby, gdybyś objął dowodzenie obroną tego miejsca, gdy już gównem trafi do wentylatora.

– Hm, dobra – zgodził się Amos. Wiedział, że Holden prosi go o chronienie Naomi i Aleksa. – To chyba oznacza, że będziesz musiał...

Przerwało mu głośnie buczenie dochodzące z kieszeni Byka. Szef ochrony wyciągnął pokiereszowany terminal ręczny i popatrzył na niego jakby mógł wybuchnąć.

– Czy to alarm? – zapytał Holden.

– Sygnał alarmowy na moim prywatnym kanale ochrony – wyjaśnił Byk, nadal nie odbierając. – Tego kanału może używać tylko personel dowódczy.

– Ashford próbuje cię wyśledzić? – zapytał Holden, ale Byk go zignorował i odebrał połączenie.

– Mówi Byk. Ruiz, ja... – zaczął Byk, ale zaraz urwał i tylko słuchał.

Sapnął kilka razy, choć Holden nie potrafił stwierdzić, czy miały to być potwierdzenia, czy zaprzeczenia. Kiedy skończył rozmowę, rzucił terminal na biurko za plecami, nie patrząc na niego. Jego brązowa skóra, ostatnio sina z powodu choroby, zrobiła się prawie biała. Sięgnął obiema rękami do oczu, by wytrzeć wypływające z nich łzy. Holden nie podejrzewał, że ten mężczyzna jest zdolny do płaczu.

– Ashford – zaczął Byk, ale dopadł go długi atak kaszlu wyglądający podejrzanie podobnie do łkania. Kiedy w końcu przestał, jego oczy i usta pokrywał śluz. Wyciągnął chusteczkę z kieszeni i wytarł większość z twarzy. – Ashford zabił Sam – oznajmił.

– Co?! – krzyknął Holden. Jego mózg odmawiał uwierzenia, że mogła to być prawda. Wyraźnie usłyszał słowa, ale one nie mogły być prawdziwe, musiał coś źle usłyszeć. – Co?

Byk odetchnął głęboko, jeszcze raz wytarł twarz szmatką i wyjaśnił.

– Ściągnął ją na mostek, żeby zapytać o modyfikację lasera, a potem ją zastrzelił. Mianował Anamarie Ruiz główną inżynier.

– Skąd wiesz? – zapytała Monika.

– Bo Ruiz właśnie do mnie zadzwoniła. Chce się stamtąd wynieść w

cholere – wyjaśnił Byk. Z jego twarzy zniknęły już prawie wszystkie ślady bólu. Jeszcze raz głęboko, drżąco, wciągnął powietrze. – Wie, że Ashfordowi kompletnie odbiło, ale co może zrobić?

Holden pokręcił głową, wciąż odmawiając uwierzenia w to, co usłyszał. Błyskotliwa, mała Sam, która naprawiała jego statek, najlepsza przyjaciółka Naomi, w której podkochiwali się Aleks i Amos. *Ta Sam nie mogła nie żyć.*

Amos patrzył na niego. Dłonie wielkiego mężczyzny zacisnęły się w pięści, a kostki świeciły bielą.

– Musimy utrzymać to miejsce – powiedział Holden, mając nadzieję zbić nadciągające słowa Amosa. – Musisz go pilnować, bo inaczej to wszystko się rozleci.

– W takim razie ty go zabij – odpowiedział Amos głosem przerażająco bezbarwnym i pozbawionym emocji. – Żadnych bzdur ze stawianiem przed sądem. Żadnego prawego pośród barbarzyńców. Albo go, kurwa, zabijesz, albo, Bóg mi świadkiem...

Holden poczuł nagły atak mdłości, który prawie powalił go na kolana. Odetchnął głęboko kilka razy, żeby się ich pozbyć. Musieli to zrobić, żeby uhonorować pamięć Sam. Po wszystkim, co dla nich zrobiła. Pamiętając o wszystkim, co dla nich znaczyła. Została im przemoc, kłótnia o najlepszy sposób na zemstę. Sam, która, o ile wiedział, nigdy w życiu nie skrzywdziła drugiej osoby. Czy tego by chciała? Mógł ją tu sobie wyobrazić, jak mówi Amosowi i Bykowi, żeby dali sobie spokój z testosteronem i zachowywali się jak dorośli. Od tej myśli prawie zwymiotował.

Monika położyła dłoń na jego barku.

– Dobrze się czujesz?

– Muszę powiedzieć Naomi – zdołał tylko wydusić, a potem zepchnął jej dłoń i ruszył przez podłogę falującą pod jego stopami, miał wrażenie, że znalazł się na chwiejnym pokładzie statku rzucanego przez fale.

Naomi zareagowała tylko smutkiem, nie złością. Płakała, ale nie żądała zemsty. Przez łzy powtarzała imię Sam, ale ani razu nie wezwała Ashforda. To wydawało się właściwą reakcją. Objawem miłości.

Obejmował płaczącą Naomi, gdy głośno podszedł do niego Byk. Ogarnął go atak złości, ale się opanował.

– Czego?

– Słuchaj – odezwał się Byk, obiema rękami pocierając się po zaroście. – Wiem, że to główniana chwila, ale musimy porozmawiać o tym, co będzie dalej.

Holden wzruszył ramionami.

– Sam zginęła, a była dość kluczowa w naszych planach.

– Rozumiem – odezwała się Naomi. – Pójdę.

– Co? – powiedział Holden, czując się jakby prowadzili rozmowę w jakimś kodzie, którego nie zrozumiał. – Gdzie pójdziesz?

– Po śmierci Sam Naomi jest najlepszą inżynier na pokładzie – stwierdził Byk.

– A co z tą Ruiz? Myślałem, że teraz to ona jest główną inżynier.

– Ona odpowiadała za infrastrukturę – wyjaśnił Byk. – A ja widziałem kartotekę Nagaty. Ma odpowiednie wykształcenie i doświadczenie. Do tego jej ufamy. Jeśli ktoś ma zająć miejsce Sam...

– Nie – odpowiedział Holden bez namysłu. Naomi była ranna. Nie mogła w takim stanie wywalczyć sobie drogi do maszynowni. A Sam została zabita.

– Pójdę – powtórzyła Naomi. – Moja ręka do niczego się nie nadaje, ale mogę chodzić. Jeśli ktoś mi pomoże, gdy już się tam znajdziemy, mogę załatwić mostek i wyłączyć reaktor.

– Nie – zaprotestował ponownie Holden.

– Tak, ja też – dodał Aleks. Siedział na brzegu łóżka zwrócony tak, że na nich nie patrzył. Wcześniej trząsał się, jakby płakał, ale nie wydał żadnego dźwięku. Jego głos brzmiał sucho, jak opadłe liście szeleszczące na wietrze. Krucho i pusto. – Ja chyba też muszę iść.

– Aleks, ty nie... – zaczęła Naomi, ale mówił dalej przez jej słowa.

– Kiedy zostawiliśmy *Rosa*, nikt nie wyłączył jego baterii, więc jeśli mamy wszystko powylączyć, tam też ktoś to musi zrobić.

Byk kiwnął głową. Holden miał ochotę walnąć go za godzenie się z tym.

– A to powinienem być ja – dodał Aleks. – Mogę się zabrać z resztą do maszynowni, zgarnąć skafander z plecakiem manewrowym i użyć

rufowej służy do wyjścia.

Amos podszedł i stanął za Bykiem, z twarzą wciąż wypraną z emocji, ale dłońmi zaciśniętymi w pięści.

– Aleks idzie?

– Nowy plan – powiedział Byk na tyle głośno, żeby wszyscy go usłyszeli.

Ludzie przestali robić to, czym się zajmowali, i podeszli, żeby posłuchać. Musiało ich w międzyczasie dotrzeć więcej, bo w biurze było już prawie pięćdziesiąt osób. W głębi pomieszczenia stała grupka ludzi w mundurach wojskowych. Była z nimi Anna, rudowłosa pastorka. Trzymała za rękę bardzo chudą kobietę, która na zmianę paliła papierosa i stuknęła w przednie zęby paznokciem małego palca. Byk zauważył ich równocześnie z Holdenem i zamachał, żeby podeszli.

– Chodź tu, Anno – powiedział. – Mamy tu już prawie wszystkich, więc tak to przeprowadzimy.

W pokoju znowu zapadła cisza.

Anna podeszła do Byka i czekała. Jej chuda przyjaciółka podeszła razem z nią, patrząc na tłumek wokół pastorki podejrzliwym wzrokiem ochroniarza.

– Za... – Byk urwał, żeby spojrzeć na pobliski panel ścienny z zegarem – ...trzydzieści minut wezmę zespół składający się z członków ochrony i załogi *Rosynanta* do południowego punktu transferowego cylindra. Zdobędziemy punkt transferowy i uzyskamy dostęp do poziomu maszynowni. Gdy tylko przejmemy kontrolę nad maszynownią, Monika i jej zespół zaczną nadawać, wyjaśniając reszcie floty potrzebę wyłączenia zasilania. Pani pastor, wtedy właśnie przyjdzie kolej na panią.

Anna odwróciła się i uśmiechnęła do swojej grupy stanowiącej zbieraninę ludzi z mundurach różnych służb i planet. Większość była w widoczny sposób ranna lub okaleczona. Niektórzy dość poważnie.

– Wyłączenie planujemy docelowo na godzinę 19.00 miejscowego czasu, czyli za około dwie i pół godziny od teraz. Będą musieli w ciągu tych dwóch godzin wszystko powyłączać. To nasze okno. Musimy w ciągu tych dwóch godzin wyłączyć *Behemota*.

– Zrobimy to – powiedziała Naomi.

– Tylko że kiedy zacznie się nasza transmisja, Ashford prawdopodobnie spróbuje zdobyć to miejsce. Amos i reszta mojego zespołu wraz z wszystkimi ochotnikami spośród pozostałych postara się utrzymać to miejsce najdłużej, jak to możliwe. Im więcej zbirów zdołacie tu związać walką, tym mniej będzie próbowało odebrać nam maszynownię. Ale musicie się obronić. Jeśli nie zdołamy utrzymać Anny i jej ludzi dostatecznie długo w eterze, żeby przekonać wszystkich do planu wyłączenia, to wszystko się skończy, zanim na dobre się zacznie.

– Utrzymamy się – zapewnił Amos.

Nikt nie zaprotestował.

– Gdy tylko zdobędziemy kontrolę nad maszynownią, wyślemy zespół do przodu, żeby zakuć załogę mostka – mamy nadzieję, że nieprzytomną – i przejmemy kontrolę nad statkiem. Światła zgasną, obcy pozwolą nam odlecieć, a my na dobre zabierzemy się z tego żalostnego kawałka przestrzeni. Jak wam się to podoba?

Zadając pytanie, Byk podniósł głos, starając się wywołać krzyk entuzjazmu grupy, która posłusznie tym odpowiedziała. Ludzie zaczęli rozchodzić się z powrotem do swoich zadań. Holden ścisnął zdrową rękę Naomi i podszedł do Anny. Wyglądała na zagubioną. Po drodze chwycił za rękę Amosa.

– Anno – odezwał się. – Pamiętasz Amosa?

Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

– Witaj, Amos.

– Jak leci, Ruda?

– Amos będzie tu, żeby chronić ciebie i pozostałych – kontynuował Holden. – Jeśli będzie ci czegoś trzeba, powiedz mu. Mogę bezpiecznie powiedzieć, że jak długo on będzie żył, nic nie dostanie się tu, żeby przeszkodzić ci w wykonaniu twojego zadania.

– Prawda – poświadczył Amos. – Proszę pani.

– Hej, chłopaki – zawołał ktoś od drzwi. – Zobaczcie, kto przyszedł za mną do domu. Mogę ich zatrzymać?

Holden poklepał Annę w ramię i posłał Amosowi znaczące spojrzenie. *Chroń ją własnym życiem.* Amos odpowiedział skinieniem.

Wydawał się lekko urażony.

Holden zostawił ich razem i dogonił Byka idącego w stronę drzwi. Obok framugi stała oficer ochrony Corin, zastępczyni Byka, uśmiechając się szeroko.

– Chodźcie, chłopcy – powiedziała, a do pokoju weszło czterech Marsjan z wojskowymi fryzurami.

Stali pewnie na lekko rozstawionych nogach i powoli rozglądali się po pomieszczeniu. Holden znał kogoś, kto zawsze w ten sposób wchodził do nowego miejsca. Bobbie. Pożałował, że jej tu nie ma. Mężczyzna na czele wyglądał zdecydowanie znajomo.

– Sierżancie Verbinski – odezwał się Byk do jednego z nich. – Co za niespodzianka.

Holden nie rozpoznał podoficera bez pancerza. Wyglądał solidnie.

– Sir – odpowiedział Verbinski. – Słyszałem, że zamierzacie rozpocząć walkę o wydostanie nas stąd.

– Owszem – potwierdził Byk. – Zamierzam.

– Wygląda to na słuszną sprawę – odpowiedział Verbinski. – Potrzebuje pan trepów bez innego zajęcia?

– O tak – zapewnił Byk z szerokim uśmiechem. – Zdecydowanie tak.

# Rozdział czterdziesty czwarty

## *Anna*

Zawiedli.

Anna przyglądała się zajęтым kobietom i mężczyznom w biurze stacji radiowej, zakładającym pancerze, ładującym broń, obwieszającym się granatami, i czuła tylko smutek i rozpacz.

Profesor historii na uniwersytecie powiedział jej kiedyś, że przemoc to coś, do czego ludzie uciekają się, gdy zabraknie im lepszych pomysłów. Jest atrakcyjna, bo prosta, bezpośrednia i prawie zawsze stanowi realną opcję. Kiedy nie potrafisz wymyślić dobrej odpowiedzi na argument przeciwnika, zawsze możesz walnąć go w twarz.

Zabrakło im pomysłów, więc sięgali po prostą, bezpośrednią i zawsze realną opcję zastrzelenia wszystkich, z którymi się nie zgadzali. Nienawidziła tego.

Monika złapała jej spojrzenie z drugiego końca pokoju i uniosła zapraszająco mały termos z kawą. Anna z uśmiechem odmówiła gestem.

– Oszalałaś? – zapytała Tilly. Siedziała na podłodze obok niej w rogu biura, starając się nie wchodzić nikomu w drogę. – Ta kobieta ma jedyną przyzwoitą kawę na całym statku. – Zamachała do Moniki, wskazując na siebie.

– Powinnam była spędzić więcej czasu, rozmawiając z Cortezem – stwierdziła Anna. – Ten kapitan SPZ może być nieustępliwy, ale mając dość czasu, może dotarłabym do Corteza.

– Życie jest skończone, moja droga, a Cortez to dupek. Wszystkim



nam będzie lepiej, jeśli przed końcem tego wszystkiego ktoś poczęstuje go kulką. – Tilly z wdzięcznym uśmiechem przyjęła kawę nalaną przez Monikę.

Reporterka odstawiła termos i usiadła na podłodze obok nich.

– Hej, my... – zaczęła, ale Anna jej nie zauważyła.

– Wcale tak nie myślisz – powiedziała do Tilly z irytacją w głosie. – Cortez nie jest złym człowiekiem. Jest przestraszony i niepewny, dokonał paru złych wyborów, ale w najgorszym razie zszedł na złą drogę, ale nie jest zły.

– Nie zasługuje na twoje współczucie – odpowiedziała Tilly i szybko dopiła resztkę kawy, jakby była na nią zła.

– O kim... – zaczęła znowu Monika.

– Zasługuje. Naprawdę na nie zasługuje – oświadczyła Anna. Obserwowanie młodych kobiet i mężczyzn przygotowujących się do wojny, gotujących się do zabijania i giniecia na jej oczach wywołało w niej większą złość na Tilly, chociaż tak naprawdę kobieta na nią nie zasługiwała. Ale teraz Anna zrobiła się bardzo zła. – Właśnie o to chodzi. Oni wszyscy zasługują na współczucie. Jeśli Byk ma rację odnośnie do Ashforda i ten faktycznie oszalał ze strachu, poniżenia i urazu wywołanego przez śmierć jego załogi, to zasługuje na nasze współczucie. Znalezienie się w takiej sytuacji jest straszne. Cortez zasługuje na zrozumienie, ponieważ robi dokładnie to, co my. Próbuje znaleźć właściwy sposób postępowania w niemożliwej sytuacji.

– Och – wydobyła z siebie Monika. – Cortez. On jest...

– To bzdury, Annie. Dokładnie tak możesz się dowiedzieć, kto jest tym dobrym, a kto złym: obserwując, co robią, gdy karty zostaną rzucone na stół.

– Tu nie chodzi o bycie dobrymi albo złymi – zaprotestowała Anna.

– Owszem, wybraliśmy strony, ponieważ niektóre działania, które zamierzają wykonać, będą miały dla nas poważne konsekwencje, i próbujemy ich powstrzymać, ale ty próbujesz ich demonizować, robić z nich wroga. Problem polega na tym, że kiedy już ich powstrzymamy i nie będą mogli nam już zaszkodzić, nadal będą demonami. Pozostaną wrogiem.

– Wierz mi – odpowiedziała Tilly – kiedy się stąd wydostanę,

uczynię celem swojego życia spalenie Corteza na popiół za to, co tu zrobił.

– Dlaczego?

– Jak to, „dlaczego”?

– Nie będzie już na statku, próbując zniszczyć Pierścień. Nie będzie już wspierał Ashforda. Znikną wszystkie okoliczności, które czynią z niego wroga. Jaką wartość da ci trzymanie się nienawiści?

Tilly odwróciła się i zaczęła grzebać w kieszeni, szukając papierosów. Zapaliła jednego gwałtownie, bardzo stanowczo nie patrząc na Annę.

– W takim razie jak wygląda odpowiedź? – zapytała Monika po kilku chwilach pełnej napięcia ciszy.

– Nie wiem – przyznała Anna, podciągając nogi i opierając brodę na kolanach. Wcisnęła plecy tak głęboko w róg pokoju, jak tylko mogła, podświadomie, z uporem dziecka szukając bezpiecznego miejsca. Jednak twarde, zielone ściany nie zapewniały komfortu.

– Czyli to tylko kwestia akademicka – stwierdziła Monika.

Tilly prychnęła potakująco, wciąż nie patrząc na Annę.

Ta wskazała na ludzi szykujących się do walki.

– Ilu z nich dzisiaj wieczorem będzie martwych?

– Nie da się tego przewidzieć – powiedziała Monika.

– Jesteśmy im winni szukania innych odpowiedzi. W tym razem zawiedliśmy. Zabrakło nam pomysłów, więc teraz zamiast znalezienia rozwiązania sięgamy po broń. Ale może następnym razem, jeśli zastanowimy się nad tym, co nas tutaj doprowadziło, może następnym razem znajdziemy inną odpowiedź. W pewności nie ma miejsca na przemoc.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Tilly gniewnie zapaliła kolejnego papierosa, Monika pisała coś szybko na swoim terminalu, a Anna przyglądała się, jak inni szykują się do wojny i próbowała dopasować imiona do twarzy. Nawet jeśli dziś wygrają, istniało spore ryzyko, że jutro poprowadzi niejeden pogrzeb.

Z głośnym stukaniem podszedł do nich Byk, zatrzymując maszynę z łąkami silników. W ciągu kilku ostatnich godzin jego stan wyraźnie się pogorszył. Kaszlał rzadziej, ale zaczął dużo częściej korzystać z

inhalatora. Nawet maszyna wydawała się przejmować chorobę – brzmiała ostrzej i ruszała się mniej płynnie. Jakby mech i Byk złączyli się w jedną istotę, umierając wspólnie.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała Anna. Przez chwilę zastanawiała się, czy powiedzieć mu, że potrzebuje odpoczynku, ale porzuciła tę myśl. Nie chciała przegrywać jeszcze jednego sporu.

– Za chwilę będziemy gotowi do godziny zero – rzekł Byk, a potem stłumił mokry kaszel. – Macie wszystko, czego wam potrzeba?

Nie, pomyślała Anna. Potrzeba mi odpowiedzi, która nie obejmuje tego, co właśnie zamierzacie zrobić.

– Tak – odpowiedziała zamiast tego. – Monika robi notatki do audycji. Ja zebrałam listę wszystkich statków, z których mamy przedstawicieli. Kilku nam brakuje, ale mam nadzieję, że wspólnota planetarna wystarczy, żeby zgodzili się współpracować. Bardzo pomógł mi w tym Chris Williams, młodszy oficer z *Prince'a*.

– A ty? – zapytał Byk, wyciągając grubą rękę w stronę Moniki.

– Mój zespół jest gotowy do nadawania – zapewniła. – Trochę się martwię o wyemitowanie wszystkiego, zanim ludzie Ashforda nas powstrzymają.

Byk się roześmiał. Dźwięk brzmiał mokro i nieprzyjemnie.

– Chwileczkę – zawołał do Jima Holdena, który zajmował się ponownym składaniem rozmontowanego karabinu i rozmową z jednym z marsjańskich marines.

Holden odłożył częściowo zmontowaną broń na stół i podszedł do nich.

– Co jest?

– Te panie potrzebują rękojmi, że zapewnimy im ochronę na dość długo, by można było ukończyć audycję – wyjaśnił Byk.

Holden zamrugał dwukrotnie, raz na Byka, potem na trzy kobiety siedzące po turecku na podłodze. Anna musiała stłumić chichot. Holden był tak komicznie szczery, że miała ochotę go przytulić i poklepać po głowie.

– Amos dopilnuje, żeby nikt wam nie przeszkodził – oświadczył w końcu.

– Jasne – skomentował Byk. – A teraz powiedz im, dlaczego ma je to uspokoić.

– Och. No cóż, gdy Amos jest zły, to robi się najwredniejszym i najgroźniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem, i jest gotów przejść przez całe morze osobiście zabitych ludzi, żeby pomóc przyjacielowi. A jedna z jego najlepszych przyjaciółek została właśnie zamordowana przez ludzi, którzy spróbują odbić to biuro.

– Słyszałam o tym – odezwała się Anna. – Przykro mi.

– Tak – powiedział Holden. – A ostatnimi ludźmi w galaktyce, którymi chciałbym teraz być, są ci, którzy spróbują się tu dostać, żeby was powstrzymać. Amos niezbyt dobrze radzi sobie z żalem, dla niego zwykle zmienia się on w złość lub przemoc. Mam wrażenie, że właśnie szykuje się do wylania na stronników Ashforda całego morza złości.

– Zabijanie ludzi nie sprawi, że poczuje się lepiej – oświadczyła Anna, żałując tych słów niemal od razu po tym, jak je wypowiedziała. Ci ludzie zamierzali ryzykować życiem, żeby je ochronić. Nie potrzebowali jej moralizowania.

– Właściwie – odpowiedział Holden z lekkim uśmiechem – Amos jest szczególnym przypadkiem. Co do większości ludzi miałabyś rację, ale to się nie sprawdza u Amosa.

Anna spojrzała przez pokój na Amosa. Siedział spokojnie przy frontowych drzwiach do biura rozgłośni, trzymając na kolanach jakąś bardzo dużą strzelbę. Sam też był duży: wysoki i barczysty, z bardzo muskularnymi rękami i szeroką klatką piersiową, ale z wygoloną na gładko głową i szeroką twarzą dla Anny wcale nie wyglądał na zabójcę. Sprawiał wrażenie przyjaznego mechanika. W rodzaju tych, którzy przychodzą naprawić cieknące rury albo włożyć nowe filtry do wymiennika powietrza. A według Holdena mógłby zabić bez wahania, żeby ją ochronić.

Wyobraziła sobie próbę wyjaśnienia Nono ich obecnej sytuacji. Widzisz, wylądowałam z zabójcami, ale to w porządku, bo to właściwi zabójcy. Dobrzy zabójcy. Nie strzelają do niewinnych kobiet na stanowisku głównego inżyniera. Strzelają do ludzi, którzy to robią.

Monika pytała o coś Holdena. Kiedy zaczął odpowiadać, Anna

wstała i oddaliła się, przepaszając wszystkich i nikogo. Szła przez zatłoczone biuro, po drodze uśmiechając się i poklepując ludzi po ramionach, rozdzielając między wszystkich łagodną falę otuchy. To było jedyne, co mogła im zaoferować.

Podciągnęła nieużywane krzesło do Amosa i usiadła przy nim.

– Ruda – rzucił, lekko kiwając jej głową.

– Przykro mi. – Położyła dłoń na jego rękę.

Popatrzył na nią tak, jakby nie potrafił się domyślić, co to takiego.

– Dobrze – odpowiedział, nie zadając nasuwającego się pytania. Nie udając, że nie rozumie.

Anna natychmiast go polubiła.

– Dziękuję, że to robisz.

Amos obrócił się na miejscu w jej stronę.

– Nie musisz...

– Za kilka godzin wszyscy możemy być martwi – stwierdziła. – Chcę, żebyś wiedział, że wiem, co robisz, i znam powody, ale wcale mnie to nie obchodzi. Dziękuję, że nam pomagasz.

– Szlag, Ruda – rzucił Amos, poklepując jej dłoń na swojej ręce. – Musisz być cholernie dobrą kaznodziejką. Sprawiasz, że równocześnie czuję się najlepiej i najgorzej od bardzo długiego czasu.

– To wszystko, co chciałam powiedzieć – oświadczyła Anna, potem jeszcze raz klepnęła jego rękę i wstała.

Zanim zdążyła się oddalić, Amos chwycił ją za rękę w niemal bolesnym uścisku.

– Nikt ci dzisiaj nie zrobi krzywdy.

Nie zabrzmiało to jak przechwałki, tylko jak proste stwierdzenie faktu. Uśmiechnęła się do niego i zabrała dłoń. Dobroduszni nieskruszeni zabójcy nie byli czymś, co pasowało do jej wizji świata i nie była pewna, jak mieliby się w niej zmieścić. Teraz jednak musiała go jakoś wpasować.

– Dobra, ludzie, słuchajcie. – Przez hałas rozmów przebił się głos Byka i zapadła cisza. – Godzina zero. Podzielmy zespoły i ruszajmy.

Na Annę padł cień. Tuż obok niej stał Amos, trzymając swoją dużą strzelbę.

– Obrona! – zawołał. – Do mnie.

Kilkanaście osób wyłoniło się spośród zebranych i podeszło do Amosa. Anna została otoczona silnie uzbrojonymi i opancerzonymi Psiarzami z kilkoma wmieszanymi między nich mieszkańcami planet wewnętrznych. Nie była wysoka, więc teraz poczuła się jakby wpadła do studni.

– Przepraszam – powiedziała, ale nikt jej nie usłyszał.

Silna dłoń chwyciła ją za rękę, przeciągnęła przez ludzką gęstwę i ustawiła na jej zewnątrz. Amos posłał jej uśmiech.

– Znajdź sobie spokojny kąt, Ruda.

Anna pomyślała o próbie przejścia przez pokój z powrotem do Tilly i Moniki, ale po drodze stało zbyt wielu ludzi. Amos emanował czymś w rodzaju osobistego pola siłowego, które powstrzymywało innych przed staniem zbyt blisko, więc Anna po prostu stanęła przy nim, żeby nikt jej nie zdeptał. Amos nie wyglądał, jakby mu to przeszkadzało.

– Zespół szturmowy! – zawołał Holden. – Do mnie.

Wkrótce miał wokół siebie grupę dwudziestu kilku osób, włącznie z Naomi i Aleksem z *Rosynanta*, czterema marsjańskimi marines, grupą ochroniarzy Byka i samym Bykiem. Jedynymi w tej grupie osobami bez żadnych widocznych urazów byli marines. Aleks i Naomi wyglądali najgorzej. Ręka Naomi była ciasno owinięta uprzężą, która unieruchamiała rękę i bark, a kobieta krzywiła się też przy każdym kroku. Twarz Aleksa była tak mocno napuchnięta, że jego lewe oko było prawie całkowicie zamknięte. Bandaże wokół głowy miał poplamione krwią.

To ludzie, którzy pomogli powstrzymać Protogen, którzy walczyli z potworami wokół Ganimeda, powiedziała sobie. Są twardzi, poradzą sobie. Nie brzmiało to przekonująco nawet w jej głowie.

– No dobra – powiedział Byk. Tłum zdawał się czekać na jego ostatnie słowa. – To chyba wszystko. Dobrych łowów.

Kilka osób zaklaskało lub odkrzyknęło do niego, ale większość milczała. Po drugiej stronie sali Monika rozmawiała ze swoim kamerzystą. Anna wiedziała, że powinna do niej dołączyć, ale stwierdziła, że wcale nie ma na to ochoty. Ci wszyscy ludzie będą ryzykować życiem, żeby zapewnić jej czas. *Jej*. A więc to od niej

zależało, czy cały plan powiedzie się, czy zakończy się klęską. Jeśli nie zdoła przekonać całej flotyli statków z trzech niezbyt sobie przychylnych rządów, że wyłączenie zasilania na kilka godzin byłoby właściwym ruchem, to wszystko pójdzie na marne. Stwierdziła, że pragnie jak najbardziej opóźnić tę chwilę. Żeby jeszcze przez jakiś czas to nie ona była za to wszystko odpowiedzialna.

– Lepiej idź, Ruda – wyszeptał do niej Amos.

– A co będzie, jeśli są zbyt przerażeni, żeby wyłączyć swoje statki? – zapytała. – Jesteśmy w nawiedzonym domu, a ja mam właśnie powiedzieć wszystkim, że jedynym sposobem na ucieczkę jest zgaszenie wszystkich świateł. Na ich miejscu uznałabym to za mało przekonujące.

Amos z namysłem pokiwał głową. Anna czekała na słowa zachęty.

– Tak – powiedział w końcu. – Będzie ciężko. Moje zadanie jest dużo prostsze. Powodzenia.

W jakiś sposób szczerść, która nie próbowała nawet w żaden sposób osłodzić jej zadania, przełamała strach Anny i kobieta parsknęła śmiechem. Nie zastanawiając się ani chwili, objęła Amosa w pasie i mocno go przytuliła.

– Jeszcze raz dziękuję – powiedziała, puszczając go po kilku sekundach. – Byłam strasznym mięczakiem. Jesteś dobrym człowiekiem, Amosie.

– Skąd, wcale nie. Po prostu trzymam się dobrego towarzystwa. Ruszaj, Ruda. Muszę się zająć walką.

Zespół szturmowy ruszał do drzwi, a Anna odsunęła się, żeby zejść im z drogi.

– Bądź tutaj, kiedy wrócę, wielkoludzie – powiedział Holden, zatrzymując się przy Amosie.

Amos uściskał jego dłoń i klepnął go w plecy. Twarz Holdena zdradzała troskę. Anna doznała nagłej wizji przyszłości, jak któregoś dnia wysyła Nami do szkoły, bojąc się, że nie będzie jej tam, żeby się nią opiekować, ale i tak będzie musiała puścić ją samą.

– Dopilnuj, żeby Naomi i Aleks byli bezpieczni – odpowiedział Amos i pchnął Holdena w stronę drzwi.

Z miejsca, w którym stała, Anna widziała, że po tych słowach

bruzdy niepokoju na twarzy Holdena jeszcze się pogłębiły. On też będzie musiał pozwolić im odejść. Nawet jeśli wszyscy przeżyją atak na maszynownię, Aleks opuści statek, żeby polecieć na *Rosynanta*, a Naomi zostanie, żeby dopilnować wyłączenia zasilania, gdy Holden będzie kontynuował marsz na mostek. Anna wiedziała, że ta mała załoga była ze sobą już od kilku lat. Zastanawiała się, czy zdarzało im się już w taki sposób dzielić i ze sobą walczyć.

Twarz Holdena zdawała się sugerować, że nie.

Anna przyglądała się, jak wychodzą, znowu starała się zapamiętać twarze i imiona, próbując nie myśleć o powodzie. Monika chwyciła ją i zaczęła ciągnąć w stronę prowizorycznego studia wiadomości.

– Czas zacząć pracę – powiedziała.

Zostawiła Annę tuż poza polem widzenia kamery i wyszła przed niczym nieozdobioną zieloną ścianę, której używali jako tła.

– Witajcie – powiedziała, przybierając radosny wyraz twarzy i ton głosu. – Jestem Monika Stuart i pozdrawiam ze studia Radia Wolna Powolna Strefa. Mam dzisiaj bardzo ciekawych gości, włącznie z doktor Anną Wołowodow oraz licznymi oficerami ONZ i Marsa. Jednak co bardzo ekscytujące, przekażemy wam dzisiaj najważniejszą wiadomość, jaką dotąd nadawaliśmy. Dzisiaj powiemy wam, jak wrócić do domu.



# Rozdział czterdziesty piąty

## *Byk*

Byk miał wrażenie, że czas przepływa jak coś fizycznego, jakby leciał przez niego i nie mógł się zatrzymać. Anamarie Ruiz została godzina na zdecydowanie, czy robi to, czego chciał Ashford, czy da się zabić. Jeśli nie będzie musiała wybierać, nie dokona złego wyboru, a każda minuta, podczas której nie było go na pokładzie maszynowni, coraz bardziej zbliżała ich do punktu bez powrotu.

Opuścili biura administracji w małym konwoju. Sześć wózków elektrycznych wiozących dwadzieścia pięć osób, włącznie z Jimem Holdenem i trzema czwartymi jego załogi, czterema marsjańskimi marines, równo dwunastoma członkami załogi *Behemota*, tymi, którzy zachowali lojalność względem Pa, oraz pięcioma ziemskimi żołnierzami, których Corin znalazła w cylindrze i zabrała ze sobą. Mieli trochę pancerzy do zwalczania zamieszek, bo okazało się, że nie zabrano ich ze zbrojowni, zanim przejęły ją siły Ashforda. Do tego nieciekawą kolekcję pistoletów na pociski i strzelb z pociskami żelowymi – broń przeznaczoną do poskromienia przeciwnika bez trwałych obrażeń i taką, która zabijała. Czterej marsjańscy marines mieli najlepszą broń, jaką udało im się znaleźć, ale nie było tego wiele. Wszystko to na kilometr śmierdziało improwizacją.

Byk nie mógł usiąść, więc zdjął dach z jednego z wózków i stanął mechem na pace. Sunął przez gorące, duszne powietrze cylindra jak figura na dziobie jakiegoś potępionego pirackiego statku. Corin siedziała za kierownicą zgarbiona, jakby siłą woli mogła zwiększyć

prędkość pojazdu. Marsjański sierżant Verbinski, który sprowadził Jima Holdena na *Behemota* w kajdankach, siedział obok niej i wyglądał równocześnie na skupionego i zdeprymowanego.

Jechali przez główne korytarze, kierując się na południe. Opony kłapały głośno o pokład. Wysoko w górze krzywiznę cylindra oświetlał długi, wąski pasek oślepiającej bieli. Południowy punkt transferowy wznosił się przed nimi jak ceramiczne urwisko.

Ludzie rozchodzili się przed nimi, robiąc miejsce. Byk przyglądał się im. Widział gniew, strach i ciekawość. To byli jego ludzie. Nie wszyscy byli nimi od początku, ale to on sprowadził ich tu, na *Behemota*. Sprawił, że statek stał się ważny, a SPZ zajęło kluczową rolę w eksploracji przestrzeni za Pierścieniem. Ziemianie, Marsjanie i Pasiarze. Ci, którzy przeżyli. Kiedy wszystkie twarze zwracały się w jego stronę, obracając się za przejeżdżającym konwojem jak słoneczniki na Ziemi podążające za łukiem Słońca, zastanawiał się, co pomyślałby o tym Fred Johnson. To wszystko od początku było strasznym bagnem, nie było co do tego wątpliwości. Miał nadzieję, że kiedy przyjdzie pora na rozliczenia, okaże się, że zrobił więcej dobrego niż złego.

– Nie mamy wielkich sił – odezwał się Verbinski, wykręcając szyję i oglądając się na Byka. – Jak pan myśli, ilu ludzi będzie na nas czekać?

– Nie jestem pewien – odpowiedział Byk. – Pewnie trochę więcej niż nas, ale będą podzieleni między maszynownię i mostkiem.

– Oni też są tak pokiereszowani jak my?

Byk obejrzał się przez ramię. Prawdę mówiąc, przynajmniej połowa ludzi, których zabierał właśnie do walki, już była ranna. Byli tam ludzie z nadmuchiwanymi usztywnieniami utrzymującymi w jednym kawałku ich ręce i szwami trzymającymi razem skórę. W normalnych okolicznościach połowa jego sił wciąż leżałaby w szpitalu. Szlag, sam też nie powinien pchać się w strefę walk, tylko że nie zamierzał zostawać na tyłach i wysyłać ludzi do walki, do której sam się nie stawiał.

– Raczej tak – odpowiedział.

– Wie pan, gdybyśmy wciąż mieli te pancerze wspomagane, które nam pan zabrał, mógłbym zrobić to sam. Nawet nie z drużyną. Ja sam.

- Jasne. Wiem o tym.
- Pewnie teraz żałuje pan, że mi trochę nie zaufał, co?
- Trochę żałuję – przyznał Byk.

Były dwa sposoby na dotarcie do punktu transferowego. Winda była dość duża, żeby pomieścić połowę ich sił w pudle na tyle małym, że po otwarciu drzwi u góry jeden granat załatwiłby prawie wszystkich. Alternatywą była szeroka, skośna rampa wznosząca się z podłogi cylindra i wędrująca ciasną spiralą aż do osi. Jej nachylenie było zgodne z kierunkiem obrotu cylindra, więc im szybciej jechali do góry, tym bardziej opony wózków wciskały się w podłogę. Tutaj na dole nie miało to większego znaczenia, ale gdy dotrą na górę, gdzie walka będzie prowadzona praktycznie w nieważkości, liczył się będzie każdy okrucuch stabilizacji i kontroli.

Od strony osi padły pierwsze strzały, rozrzucając odłamki ceramiki przed kołami pierwszego wózka. Byk spróbował wygiąć szyję na tyle, żeby zobaczyć, czy atakowano ich z punktu transferowego, czy z jakiejś barykady po drodze.

– Juarez! – krzyknął Verbinski. – Osłaniaj nas.

– Tak jest, sir – odkrzyknął głos z jednego z wózków w głębi konwoju.

Byk obrócił mecha na tyle, by obejrzeć się przez ramię. Na trzecim wózku jeden z marsjańskich marines położył się na plecach ze skierowanym do góry długim karabinem z celownikiem optycznym. Wyglądał jakby drzemał do chwili, gdy jego karabin wypalił. Byk znowu spróbował spojrzeć do góry, ale mech mu to uniemożliwił. Wyjął z kieszeni terminal i użył jego kamery jak lustro. Wysoko w górze w nieważkości unosiło się ciało z różową chmurą krwi wokół pasa.

– Jednego mniej – skomentował Verbinski.

Podczas szybkiej jazdy do góry ostrzał nie ustępował. Odgłos półprzylepnych opon odrywających się od podłoża zmieniał ton w miarę, jak napierało na nie coraz mniej wagi. Byk czuł, jak jego ciało robi się coraz lżejsze. Brzeg rampy stał się teraz urwiskiem sięgającym trzysta metrów w dół, do dna cylindra. Ludzie Ashforda byli nad nimi, ale teraz już nie tak daleko, więc Byk zobaczył metalowe barykady

przyspawane do ścian i pokładu. Był boleśnie świadom faktu, że jest najwyższym celem. Swędziała go szyja.

Zza barykad wyłoniły się dwie głowy. Błyski wystrzałów z luf wyglądały jak iskry. Za jego plecami szczeknął marsjański karabin i jeden z obrońców zrobił się nagle bezwładny, a drugi się schował.

– Dobra – odezwał się Byk. – Bliżej nie damy rady bez osłony.

Corin skrzyła nos wózka do ściany i schowała się za nim razem z Verbinskim. Następny wózek nadjechał i powtórzył jej manewr. Znajdowali się w mikrograwitacji. Może jedna dziesiąta g, może mniej. Byk musiał włączyć magnesy w stopach mecha, żeby nie oddryfować. Zanim udało mu się wyjść z wózka, walka była prowadzona już daleko z przodu. Ruszył mechem, wychodząc poza zaimprovizowaną barykadę z wózków. Najbliższy z nich był niecałe dziesięć metrów od pierwszej z barykad Ashforda, a Jim Holden, Corin i jeden z Ziemiaków przywarli już do osłony przeciwnika, wychylając się z boków, strzelając i chowając się. W powietrzu unosiła się kwaśna woń spalonego prochu.

– Gdzie jest Naomi? – krzyknął Byk.

Nie miał pojęcia, czy ktokolwiek z personelu technicznego w środku poza Ruiz był wciąż wierny Pa, a jeśli ich jedyna prawdziwa inżynier zostanie zabita, zanim dotrą do maszynowni, będzie bardzo zły. Coś wybuchło za barierą i w powietrze wyleciały dwa ciała. Światło mieli za plecami, więc nie potrafił stwierdzić, czy to jego ludzie, czy Ashforda. Zatrzymał się przy ostatnim z wózków. Walka toczyła się już daleko z przodu, prawie przy samym punkcie transferowym. To było dobrym znakiem. Oznaczało, że wygrywają.

Za kierownicą wózka wciąż siedział chudy mężczyzna. Na oko miał niewiele ponad dwadzieścia lat, brązową skórę i krótko ścięte włosy. Dziura w jego piersi przestała już krwawić, a spojrzenie miał puste. Byk poczuł żal, ale odsunął go od siebie. Wiedział. Wszyscy wiedzieli. Nie tylko decydując się na udział w tej walce, ale kiedy postawili stopy na pokładzie *Behemota* i wylecieli poza najdalszą bazę zamieszkałą przez ludzi – wiedzieli, że mogą nie wrócić. Może nawet wiedzieli, że to, co ich zabije, to może nie być Pierścień, a ludzie lecący obok nich. Ludzie tacy jak Ashford. Jak on.

– Przepraszam, ese – powiedział Byk i znowu nacisnął na dżojstiki.

Siły Ashforda się cofały. Teraz nie było już co do tego wątpliwości. Verbinski i jego drużyna prowadzili zabójczy i bardzo profesjonalny ostrzał. Snajper, Juarez, nie strzelał często, ale prawie każdy jego strzał był śmiertelny. Połączenie ciągłego ostrzału z broni automatycznej i okazjonalnego, lecz zabójczego szczekania snajperki Juareza zmuszało wroga do cofania się do punktu transferowego, jakby blokowali hetmana na szachownicy. Nawet najpotężniejsza broń Ashforda nie mogła znaleźć bezpiecznego kąta ostrzału, a Verbinski nie zmniejszał ciśnienia, napierając i napierając, aż ludzie Ashforda załamali się i zaczęli uciekać.

Sam punkt transferowy był krótkim korytarzem z grodziami awaryjnymi na obu końcach. Na oczach Byka potężne, pomalowane na czerwono okrągłe włązy jęknęły i zaczęły się przetaczać na miejsce. Nie wystarczą do powstrzymania Byka i jego ludzi, ale ich spowolnią. Może za bardzo.

– Biegiem! – krzyknął Byk, a potem dopadł go atak kaszlu, którego nie potrafił powstrzymać. Kiedy się z nim wreszcie uporał, wychrypiął: – Dalej, dranie! Do środka, zanim nas zablokują!

Rzucili się przez powietrze, nie przestając strzelać. Hałas był ogłuszający i Byk mógł sobie tylko wyobrażać, jak dźwięki te brzmiały z większej odległości. Odległy grzmot w miejscu, które nigdy nie zaznało deszczu. Pchnął mecha do przodu, z łomotem przebierając magnetycznymi stopami, a drzwi obracały się, zamykając się coraz bardziej. Wszedł do korytarza jako ostatni. Na jego drugim końcu w powietrzu unosiła się chmura dymu i krwi. Gródź po drugiej stronie była prawie zamknięta, ale z boku korytarza Naomi Nagata grzebała po łokcie w panelu technicznym, mając za plecami Holdena z karabinem szturmowym. Kiedy Byk się zbliżył, wyciągnęła coś ze środka. W korytarz trysnął strumień czarnych kropli i powietrze wypełniła ostra woń płynu hydraulicznego. Gródź przestała się zamykać.

W panującym chaosie trudno było mieć pewność, ale Byk miał wrażenie, że zostało mu jeszcze od piętnastu do dwudziestu sprawnych ludzi. Nie było rewelacyjnie, ale mogło być gorzej. Kiedy

już dostaną się do maszynowni, sytuacja znowu się zmieni. Będą mieli osłonę. Niestety, pierwsze kilka metrów za drugimi drzwiami będzie strefą śmierci. Było to miejsce, przez które wszyscy jego ludzie musieli przejść, żeby dostać się gdziekolwiek indziej. Jeśli ludzie Ashforda mieli jakiegokolwiek wyczucie taktyki, będą tam siedzieć, czekając na pierwsze oznaki ruchu.

Był to impas, ale to on będzie musiał go przełamać. Verbinski przemknął obok, poruszając się w nieważkości jak ryba w wodzie. Odwrócił się, dotknął stopami ściany i praktycznie całkowicie się zatrzymał.

– Przejście przez to będzie nieprzyjemne – powiedział Marsjanin.

– Właśnie o tym myślałem – stwierdził Byk.

Verbinski popatrzył na nie do końca zamknięte drzwi jak ślusarz oceniający deski.

– Byłoby miło, gdybyśmy mieli jakieś materiały wybuchowe – rzucił. – Coś, co trochę oczyści obszar. Da nam trochę wolnej przestrzeni.

– Próbujecie mi coś powiedzieć, sierżancie?

Verbinski wzruszył ramionami i wyciągnął z kieszeni cienką czarną kasetę. Byk zmarszczył brwi.

– Zaczepny? – zapytał.

– Dwa tysiące kilodżuli. Nazywamy je łamaczami kości.

– Przeszmuglowaliście broń na mój statek, sierżancie?

– Czułem się bez nich trochę goły.

– Tym razem odpuszczę – powiedział Byk i uniósł ręce, zbierając ludzi wokół siebie.

Ukryli się za na wpół zamkniętą grodzia. Verbinski przeczołgał się na jej powierzchnię i wyjrzał za krawędź, chowając się z powrotem szybko jak język jaszczurki. W miejscu, gdzie znajdowała się jego głowa, powietrze przecięło kilka pocisków. Marsjanin unosił się w powietrzu z nogami w pozycji lotosu i uzbroił swój mały czarny granat. Byk czekał, mając u boków Holdena i Corin.

– Tylko żeby się upewnić – odezwał się Holden. – Wrzucamy granaty do miejsca kontrolującego reaktor?

– Owszem – potwierdził Byk.

– To jaki jest najgorszy scenariusz?

– Najgorszy scenariusz jest taki, że przegramy, a Ashford zniszczy Układ Słoneczny – odpowiedział Byk. – Utrata szczelności reaktora i śmierć nas wszystkich to tak naprawdę drugi scenariusz w kolejności.

– To raczej niezbyt dobrze świadczy o naszej sytuacji – skomentował Holden.

Verbinski uniósł zaciśniętą pięść i wszyscy w grupie osłonili uszy dłońmi. Sierżant zrobił jakiś szybki ruch palcami i rzucił czarną kasetę przez otwór między drzwiami a korytarzem. Wybuch nastąpił niemal natychmiast. Byk czuł się jakby został rzucony na dno basenu. Jego wzrok pulsował w rytmie bicia serca, ale i tak pchnął dźwostki do przodu. Dzwoniło mu w uszach i poczuł, że częściowo traci świadomość. Kiedy wprowadzał swojego mecha przez szczelinę do maszynowni, pomyślał, że będzie miał szczęście, jeśli nie zemdleje podczas strzelaniny. Złamał sobie kręgosłup, a jego płuca były w połowie wypełnione syfem. Nikt nie pomyślałby o nim gorzej, gdyby został z tyłu. Tylko że wcale go nie obchodziło, co ludzie o nim myśleli. Takimi rzeczami przejmował się Ashford.

Walka po drugiej stronie była krótka. Obrońcom granat zaszkodził dużo bardziej. Połowa żołnierzy rzuciła broń, zanim do środka weszli wszyscy ludzie Byka. Tylko Garza jeszcze się trzymał, broniąc długiego korytarza między główną maszynownią a panelem sterowania głównymi antenami łączności do chwili, gdy Corin wychyliła się i strzeliła mu w podstawę nosa, osiągając pistoletem to, co byłoby trudnym strzałem dla snajpera z lunetą. Sześciu ludzi Ashforda wzięli żywcem, wiążąc im ręce plastikowymi opaskami zaciskowymi do kabli i mocując do uchwytów na ścianach. Nikt z nich nie był z ekipy Byka.

Ruiz znaleźli pod stołem tokarki, leżała zwinięta z rękami wokół kolan. Kiedy wyszła, jej skóra była wyraźnie szara i trzęsły się jej ręce. Naomi ją minęła, przechodząc od panelu wyświetlacza do odczytów na różnych elementach wyposażenia, sprawdzała, co zostało wyświetlone w jednym miejscu w porównaniu z komunikatami z innych urządzeń. Holden trzymał się jej jak rzep psiego ogona.

– Anamarie – powiedział Byk. – Dobrze się czujesz?

Ruiz kiwnęła głową.

– Dziękuję – powiedziała, ale zanim zdołała powiedzieć coś więcej, wtrąciła się Naomi, opierając się o biurko.

– Czy tutaj pracowała Sam? – zapytała.

Ruiz patrzyła na nią przez chwilę pustym wzrokiem. W końcu przytaknęła, choć ruch wydawał się niepewny.

– Co tam widzisz? – zapytał Byk. – Możesz to wyłączyć?

– Jeśli chcesz po prostu zrzucenia rdzenia, pewnie mogę to zrobić – odpowiedziała Naomi. – Ale nie wiem, czy wtedy zdołam znowu włączyć reaktor, a na tym statku jest kilka osób, które mogą chcieć dalej oddychać. Lepsze byłoby kontrolowane wyłączenie.

Byk się uśmiechnął.

– Musimy wszystko wyłączyć – odezwał się Holden. – Reaktor. Sieć zasilania. Wszystko.

– Wiem, skarbie – rzuciła Naomi, a Holden zrobił minę jakby się obraził.

– Przepraszam.

Ktoś krzyknął w jednym z dalszych kątów pomieszczenia. Przez otwartą przestrzeń nadleciała Corin, trzymając spokojnie w duszeniu Ziemianina, którego Byk nie rozpoznał. Pomyślał, że jego zastępczyni może trochę za bardzo cieszyć się tą częścią. To mogło nie być zdrowe.

– Nie wiem, co Sam zrobiła, żeby sabotować działanie głównego lasera – powiedziała Naomi. – Muszę zrobić audyt, zanim będę mogła to cofnąć. A bez... – Naomi urwała. Wysunęła szczękę do przodu. Odchrząknęła i przełknęła ślinę. – Bez Sam będzie dużo trudniej. To był jej statek.

– Możesz po prostu wyłączyć laser? – zapytał Byk.

– Jasne – potwierdziła Naomi. – Jeśli tylko nikt nie będzie do mnie strzelał, gdy będę się tym zajmować.

– A co z wpuszczeniem na mostek wystarczającej ilości azotu, żeby wszyscy tam ucieli sobie drzemkę?

– Mogę w tym pomóc – zaoferowała się Ruiz. Jej głos brzmiał trochę pewniej.

– Dobra – rzucił Byk. – Zrobimy tak. Nagata dowodzi maszynownią. Będziesz robić wszystko, co ci powie.



Ruiz przytaknęła, zbyt otępiała, żeby protestować.

– Waszym głównym priorytetem – kontynuował Byk – jest wyłączenie lasera, żeby nikt z tych pendejos na mostku nie mógł z niego wystrzelić. Drugim priorytetem jest zmodyfikowanie kontroli środowiskiem na mostku. A trzecim wyłączenie statku w taki sposób, żeby dało się go potem z powrotem włączyć i zobaczyć, czy duch pana Holdena dotrzyma obietnicy.

– Sir – potwierdziła Naomi.

– Corin! – krzyknął Byk. Na chwilę zatrzymał go kaszel. Wciąż nie był zbyt gwałtowny i niczego nie wykasływał. Nie wiedział, czy to dobry znak, czy powinien się martwić.

Corin odbiła się w stronę panelu sterowania. Byk powiedział:

– Ty i Holden polecicie szybem zewnętrznej windy z garścią opasek zaciskowych. Kiedy wszyscy tam usną, dopilnujecie, żeby nie zaczęli się rzucać i nie zrobili sobie krzywdy.

Uśmiech Corin był bardzo zimny. Może się okazać, że Ashford przestanie być problemem do rozwiązania. Byk próbował wzbudzić w sobie jakieś uczucia w związku z tym, ale jego ciało sprawiało wrażenie, jakby nie spał od tygodnia.

– Dlaczego ja mam to zrobić? – zapytał Holden.

– Żebyś nie wchodził jej w drogę – wyjaśnił Byk. – Dopilnujemy, żeby twoja pierwsza była bezpieczna. Potrzebujemy jej.

Widział protesty Holdena zbierające się jak burza, ale Naomi je zatrzymała.

– W porządku.

I to zdawało się załatwić sprawę.

– Aleks poleci do *Rosa* wyłączyć wszystko, co zostało aktywne – stwierdził Holden, wzruszając ramionami. – Zanim pójdę, pomogę mu założyć skafander.

– Dobra – zgodził się ponuro Byk. Jeśli miało to pomóc, był gotów udawać, że poszli na jakiś kompromis. Usłyszał śmiech i rozpoznał tembr głosu sierżanta Verbinskiego. – Przepraszam.

Mech ruszył głośno przez pokład, stukając i dźwięcząc metalowymi stopami z magnetycznymi zaczepami. Wszyscy pozostali unosili się swobodnie w powietrzu, ale Byk wiedział, że mając bezwładne trzy

czwarte ciała, nie potrafiłby manewrować. Miał wrażenie, że został jedyną osobą ograniczaną przez ciężenie.

Verbinski ze swoją drużyną znajdowali się w pomieszczeniu obok magazynku. Jeden z marines został postrzelony w łokieć. Jego przedramię było masą kości i mięsa, ale śmiał się i rozmawiał z innymi, którzy opatrywali mu ranę. Byk zastanawiał się, jak bardzo go naszprycowali. Ściągnął spojrzenie Verbinskiego i gestem poprosił go do siebie.

– Ty i twoi ludzie – powiedział, gdy znaleźli się poza zasięgiem ich słuchu. – Odwaliliście świetną robotę.

– Dziękuję – odpowiedział Verbinski. Przez skromność przeświecała duma. – Robimy, co w naszej mocy. Ale gdybyśmy mieli nasze skafandry...

– Rzecz w tym – nie dał mu dokończyć Byk. – Te granaty? Ile ich jeszcze masz?

– Pół tuzina – przyznał Verbinski.

– Właśnie. – Byk westchnął. – To nic osobistego, ale będę musiał je skonfiskować.

Przez chwilę Verbinski wyglądał na zszokowanego. Potem się roześmiał.

– Nigdy nie odpuszczasz – skomentował.

# Rozdział czterdziesty szósty

## *Clarissa*

– Co się dzieje, Jojo?

– Chyba mamy problem, sir. Proszę spojrzeć.

Na monitorach pojawiła się Monika Stuart, z profesjonalnie spokojną twarzą wydawała się istotą z innej rzeczywistości.

– Dzisiaj – powiedziała z dłońmi złożonymi na podołku, i błyskiem w oku – powiemy wam, jak wrócić do domu.

– Co. Do. *Cholery!* – wrzasnął Ashford, rozrzucając ręce. – Co to ma być?

– Nadają nową audycję, sir – powiedział jeden z ochroniarzy.

Clarissa obserwowała, jak Ashford odwraca się i posyła mu spojrzenie, a mężczyzna kurczy się pod jego ciężarem.

– Wiadomość na wyłączność w Radiu Wolna Powolna Strefa – mówiła Monika. – Mamy powody wierzyć, że jeśli wszyscy w zjednoczonej ludzkiej flocie ograniczymy emisję energii na tyle, że przestaniemy być odbierani jako zagrożenie...

– Wyłączyć ją – warknął Ashford. – Wezwijcie wszystkich, którzy wciąż są w cylindrze, i wyłączcie ten kanał. Daj mi Ruiz. Jeśli będzie trzeba, odetniemy zasilanie całej tej sekcji.

– Czy to coś, czym musimy się przejmować? – zapytał Cortez. W jego głosie słyszało się ton narzekania. – Chyba nic, co teraz powiedzą, nie może mieć znaczenia, prawda?

– To mój statek! – wrzasnął Ashford. – To ja tu dowodzę.

– Ale kiedy już zniszczymy Pierścień...

Clarissa położyła dłoń na ramieniu Corteza i pokręciła głową.

– On jest ojcem – powiedziała. – Statek to jego dom.

– Dziękuję – powiedział do niej Ashford, ale wciąż nie spuszczał wzroku z Corteza. – Cieszę się, że ktoś tu rozumie, jak to działa.

– Wysłano zespół do stłumienia ich – poinformował Jojo. – Mam do tego odciągnąć także ludzi ze straży?

– Wszystko, czego będzie potrzeba – powiedział Ashford. – Masz to załatwić.

Widok na ekranie się przesunął i pojawiła się na nim twarz Anny. Miała ściągnięte do tyłu włosy i zrobiony makijaż. Clarissa poczuła dziwne ukłucie w piersi: żal i niepokój. *Wynoś się stamtąd*, pomyślała w stronę ekranu. *Bóg nie zatrzyma dla ciebie pocisków*.

– Idea polega na tym – powiedziała Anna – że stacja zaklasyfikowała nas jako nieustanne zagrożenie. Jej działania wobec nas były dotąd podyktowane czymś w rodzaju strachu. A właściwie nie. Ostrożnością. Jesteśmy dla niej równie nieznani i nieprzewidywalni, jak ona dla nas. W związku z tym mamy powody wierzyć, że jeśli zacniemy się wydawać mniej groźni, może złagodzić swoje ograniczenia.

Kamera przeniosła się z powrotem na Monikę Stuart, która poważnie kiwała głową. Emanowała wszystkimi drobnymi fizycznymi sugestiami, że Anna jest poważną kobietą, a z jej zdaniem należy się liczyć.

– I na czym dokładnie polega pani plan? – zapytała Monika.

Anna roześmiała się radośnie.

– Nie mogę powiedzieć, że to mój plan. Sądzymy, że jeśli wyłączymy wszystkie reaktory na wszystkich statkach i ograniczymy poziom zużycia energii, stację da się przekonać do... no cóż, żeby przestała w nas widzieć zagrożenie, a dostrzegła ciekawostkę. No wiesz, popatrz na to wszystko z jej perspektywy. Otworzyły się wrota i zamiast przylotu tego, czego się po nich spodziewała, pojawił się statek lecący balistycznie z ogromną prędkością. A potem flotyła nowych statków i uzbrojeni żołnierze, którzy weszli na pokład samej stacji i zaczęli tam strzelać. Gdyby to się zdarzyło u nas, nazwalibyśmy to inwazją.

– Czyli dając sygnał, że nie zamierzamy eskalować ataku...

– ...damy temu, z czym mamy tu do czynienia, możliwość i okazję, żeby nie eskalowało działań przeciw nam – dokończyła Anna. – Traktowaliśmy protomolekułę i wszystkie te rzeczy, które z niej powstały, jako...

Ekran zgasł. Ashford zmarszczył brwi, patrząc na panel sterowania, wywołując i odrzucając informacje twardymi, głośnymi uderzeniami palców. Cortez unosił się obok Clarissy ze zmarszczonym czołem. Upokorzony. Doprowadził do ucieczki Ashforda i umożliwił odbicie *Behemota* i w jego oczach widziała, że nie tak wyobrażał sobie dalszy przebieg wydarzeń. Zastanawiała się, czy na twarzy jej ojca rysował się ten sam wyraz w jego celi na Ziemi, czy gdziekolwiek go osadzili.

– Ruiz – warknął Ashford. – Raport. Jak wygląda nasz status?

– Wciąż mam jeszcze pół godziny, sir. – Z głośnika zabrzmiał głos kobiety.

– Nie pytałem, ile zostało pani czasu – stwierdził kapitan. – Domagam się raportu.

– Przewodnik został położony, teraz się utwardza – poinformowała kobieta. – Wygląda na to, że będzie gotowy na czas. Znalazłam w systemie bezpieczników miejsce, które Sam... w którym Sam wstawiła odcięcie mocy.

– Zastąpiła to pani?

– Tak, ale nie wiem, czy nie ma innych. Mogła dokonać sabotażu całego obwodu.

– No cóż – odpowiedział kapitan. – Ma pani pół godziny na sprawdzenie.

– To właśnie robię. Sir.

Ashford znowu stuknął w panel sterowania. Clarissa stwierdziła, że bardzo chciałyby, żeby znowu włączył kanał wiadomości. Chciała wiedzieć, co mówi Anna, nawet jeśli tylko po to, żeby zabić czymś czas. Powietrze na mostku nie było takie ciepłe i duszne jak w cylindrze, ale jego chłód nie przynosił komfortu. Jeśli już, to bardziej podkreślał czas spędzony na czekaniu. Jej brzuch przypominał sobie o głodzie i zaczął głośno narzekać, a wyobrażała sobie, że inni czują się podobnie. Siedzieli na mostku największego statku kosmicznego zbudowanego jak dotąd przez ludzkość, uwięzionego w bezgwiazdnej

czerni przez obcą moc, którą ledwie zaczynali rozumieć, ale wciąż podlegali ograniczeniom przyziemnych potrzeb ciała, a ich poziom cukru we krwi robił się dość niski. Zastanawiała się, jak świadczył o niej fakt, że niecałe dwie godziny temu widziała, jak ktoś na jej oczach zabija kobietę, a teraz mogła myśleć tylko o jedzeniu. Zastanawiała się, co pomyślałaby o tym Anna.

– Uciszyliście już te suki? – warknął Ashford.

– Zespoły tłumiące docierają właśnie do biur administracji kolonii, sir – odpowiedział Jojo. A po chwili: – Napotykają opór.

Ashford się uśmiechnął.

– Mamy namierzenie? – zapytał.

– Sir? – odpowiedział pytająco jeden ze strażników.

– Czy systemy celowania lasera łączności są aktywne?

– Yyy... Tak. Reagują.

– W takim razie podczas sprzątania na dole możemy się przygotować do strzału, prawda?

– Tak jest, sir.

Clarissa bez angażowania świadomości trzymała się uchwytu na ścianie, obserwując działania kapitana i jego ludzi. Trudno jej było pamiętać, jak mały jest Pierścień i jak wielka dzieli ich od niego odległość. Musiała podziwiać precyzję i uwagę potrzebną do zniszczenia go. Piękno takiego działania było prawie chirurgiczne. Stanowisko ochrony za jej plecami obudziło się do życia, emitując dźwięki. Pośród licznych sygnałów ostrzegawczych usłyszała jakiś znajomy głos. Rozejrzała się. Nikt nie zwracał na nią uwagi, więc delikatnie odepchnęła się do tyłu.

Monitor stanowiska ochrony wciąż wyświetlał kanał wiadomości. Monika Stuart wyglądała na bardzo bladą pod makijażem, mocno zaciskała szczęki i wargi. Siedząca obok niej Anna nerwowo ścisnęła dłoń końcówkę kciuka. Między nimi na noszach częściowo siedział mężczyzna.

– ...wszystko, co możemy, żeby współpracować. – Młody człowiek mówił z przekonaniem do kamery.

– Dziękuję, poruczniku Williams – odezwała się Monika Stuart. – Wolałabym nie wprowadzać do tego wszystkiego dodatkowych

komplikacji, ale właśnie mi powiedziano, że przed drzwiami naszego studia pojawili się uzbrojeni ludzie i najwyraźniej jesteśmy właśnie atakowani. – Zaśmiała się nerwowo, co zdaniem Clarissy prawdopodobnie było kodem prezenterów wiadomości na *o mój Boże, zginę podczas transmisji*.

Głos Anny zabrzmiał na chwilę, zanim skierowała się na nią kamera.

– To wyjątkowa sytuacja – powiedziała – ale sądzę, że coś takiego może się teraz dziać na każdym statku, który nas teraz słucha. Jako społeczność znaleźliśmy się w punkcie, w którym musimy dokonać wyboru. A przecież wszyscy jesteśmy przestraszeni, cierpimy i mamy za sobą ciężkie urazy. Nikt z nas nie jest pewien, jakie działania będą właściwe. A...

Annie na chwilę przerwały dobiegające spoza kamery, charakterystyczne dźwięki wystrzałów. Zbladła, ale tylko odchrząknęła i mówiła dalej.

– A przemoc jest reakcją na strach. Mam jednak bardzo dużą nadzieję, że dojdziemy do porozumienia i...

– Zginie, przemawiając – odezwał się Cortez. Clarissa nie usłyszała ani nie wyczuła, kiedy się do niej zbliżył. – Darzę tę kobietę olbrzymim szacunkiem.

– Ale uważa pan, że się myli.

– Sądzę, że jej optymizm jest nieuzasadniony – odpowiedział Cortez.

– ...jeśli eskalujemy nasze ataki na stację i Pierścień – powiedziała Anna – musimy się liczyć z tym, że ten cykl będzie trwał dalej, coraz bardziej się nasilając i robiąc się coraz bardziej niebezpiecznym, aż jedna ze stron zostanie zniszczona, a chciałabym...

– Co, pana zdaniem, powiedziałyby o pańskim pesymizmie? – zapytała Clarissa.

Cortez popatrzył na nią oczami szeroko otwartymi z zaskoczenia i rozbawienia.

– Moim pesymizmie?

Clarissa musiała stłumić nagłą, silną potrzebę przeproszenia.

– A jak inaczej by pan to nazwał?

– Spojrzeliśmy tutaj diabłu w oczy – odpowiedział Cortez. – Według

mnie to realizm.

Wcale nie spojrzaleś w oczy diabła, pomyślała. Tylko zobaczyłeś, jak ginie trochę ludzi. Nie masz pojęcia, czym jest prawdziwe zło. Jej pamięć jakby się zacięła i na chwilę znowu znalazła się na *Cerisierze*, czując, jak czaszka Rena ustępuje pod jej dłonią. Jest różnica między tragedią a złem, a ja właśnie jestem tą różnicą.

– Kapitanie! Strzały w maszynowni!

Cortez odwrócił się z powrotem w stronę mostka i niezgrabnie pchnął się przez powietrze. Clarissa popatrzyła jeszcze raz na ekran z Anną, która nachylała się i pchała powietrze dłońmi, jakby mogła przesłać przez kamerę do oczu patrzących spokój i opanowanie. Potem poleciała za Cortezem.

– Ilu zdjęli? – Ashford zażądał informacji.

– Nie wiemy, sir – odpowiedział Jojo. – Mam strumień wideo.

Obudził się monitor. Pokład maszynowni zamigotał, obraz zmienił się w wielkie piksele, powrócił. Kilkunastu ludzi Ashforda celowało z broni w drzwi ciśnieniowe unieruchomione w dwóch trzecich do zamknięcia. Ashford napierał na pasy fotela, próbując bardziej zbliżyć się do obrazu. Coś – mały obiekt lub artefakt strumienia wideo – przemknęło przez ekran i wszystko zrobiło się białe. Kiedy obraz wrócił, Ashford rzucił mocnym przekleństwem.

Opancerzeni ludzie wlatywali do środka jak piasek spadający przez szczelinę klepsydry. Clarissa rozpoznała Jima Holdena po jego sposobie poruszania się – intymność długiej obsesji uczyniła go równie oczywistym, jak członków jej rodziny. Czyli wysoka postać obok niego musiała być Naomi, którą Melba prawie zabiła. A potem, blisko końca, jedyny idący w nieważkości, Carlos Baca. Byk. Szef ochrony i największy wróg Ashforda. Szedł przez pokład z nogami spiętymi taśmami i mechaniczną konstrukcją, poruszał się powoli, krok za krokiem. Jeden z ludzi Ashforda próbował strzelić i został zabity, a jego ciało wykręciło się w powietrzu w sposób przywodzący na myśl rozciętą na pół gąsienicę. Uświadomiła sobie, że słyszany przez nią dźwięk to cicho klnący pod nosem Ashford. Wydawało się, że nie robi przerw na nabranie powietrza.

– Zablokować perymetr – wrzasnął Ashford. – Ruiz! Ruiz! Musimy



strzelić. Musimy natychmiast strzelić!

– Nie mogę – odpowiedział kobiecie głos. – Nie mamy połączenia.

– Nie obchodzi mnie, czy jest stabilne, muszę strzelić już!

– Nie jest niestabilne – odpowiedziała kobieta. – *W ogóle* go nie ma.

Ashford walnął pięścią w panel sterowania i skrzywił się. Nie wiedziała, czy złamał sobie kostki, ale wcale by jej to nie zdziwiło. Przez następnych piętnaście minut przyglądali się, jak rozgrywa się walka z napastnikami zdobywającymi maszynownię. Clarissa próbowała kontrolować lokalizację Holdena i Naomi, tak jak mogłaby zwracać uwagę na dwójkę ulubionych drugoplanowych aktorów w filmie.

– Przekierować zespoły tłumiące – polecił Ashford.

– Tak... ach...

Ashford zwrócił się do Jojo. Twarz strażnika zrobiła się blada.

– Mam problem z reakcją pulpitu. Chyba... chyba nas odcinają.

Furia Ashforda osiągnęła szczyt, zmieniając się po chwili w śmiertelny spokój. Unosił się w swojej pryczy ze złożonymi rękami, czubkami palców wskazujących dotykał dolnej wargi.

– Sterowanie środowiskiem nie reaguje – poinformował Jojo głosem, w którym zaczęło brzmieć coś bliskiego panice. – Zmieniają atmosferę, sir.

– Skafandry – rzucił Ashford. – Będziemy potrzebować skafandrów.

Clarissa westchnęła i skoczyła przez kabinę w stronę otwartych paneli technicznych.

– Co robisz? – krzyknął do niej Ashford.

Nie odpowiedziała.

Struktura wewnętrzna *Behemota* nie różniła się tak bardzo od każdego innego mostka, choć oferowała więcej redundancji niż się spodziewała. Gdyby statek pozostał w oryginalnej postaci, byłby bardziej odporny, jednak wymogi okrętu wojennego były nieco inne niż wymogi eleganckiej arki pokoleniowej i niektóre z powielonych systemów usunięto, żeby zrobić miejsce na działka obrony punktowej, działka elektromagnetyczne i torpedy. Włączyła monitor, obserwując rosnący na mostku poziom azotu. Bez wzrostu poziomu ditlenku węgla nawet nie poczuliby duszności. Po prostu chwila zawrotów

głowy i utrata świadomości. Zastanawiała się, czy Holden pozwoliliby im umrzeć w ten sposób. Holden prawdopodobnie nie, ale nie zakładałaby się co do Byka.

To nie miało znaczenia. Ren dobrze ją wyszkolił. Wyłączając pojedynczy obwód, zamknęła zdalny dostęp do systemów środowiskowych.

– Sir! Odzyskałem kontrolę nad atmosferą! – krzyknął Jojo.

– No to daj nam tu trochę cholernego powietrza! – odkrzyknął Ashford.

Clarissa popatrzyła na swoje dzieło z uczuciem spokojnej dumy. To, co zrobiła, nie było ładne i nie chciałaby zostawiać systemu w takim stanie zbyt długo, ale zrobiła, co potrzeba, i nie wyłączyła przy tym całego systemu. Biorąc pod uwagę okoliczności, dobrze się spisała.

– Co masz? – warknął Ashford.

– Mam układy mechaniczne, atmosferę... wszystko lokalne dla pokładu dowodzenia, sir.

*Jakby podziękowanie cię zabiło*, pomyślała Clarissa, szybując z powrotem do drzwi stanowiska ochrony.

– Czy możemy im zrobić to samo? – zapytał Ashford. – Możemy ich pozbawić powietrza?

– Nie – odpowiedział Jojo. – Kontrolujemy tylko warunki lokalne. Ale przynajmniej nie będziemy potrzebować tych skafandrów.

Grymas Ashforda zmienił charakter, ani na chwilę nie przechodząc w uśmiech.

– Skafandry – powiedział. – Jojo. Czy mamy dostęp do pancerzy wspomaganych, które Pa zabrała tym marsjańskim marines?

Jojo zamrugał, a potem gwałtownie przytaknął.

– Tak, sir.

– Znajdź czterech ludzi, którzy się do nich zmieszczą. Potem pójdziesz do maszynowni i oddasz mi kontrolę nad moim statkiem.

Jojo zasalutował z szerokim uśmiechem.

– Tak jest, sir.

– I Jojo? Jeśli *ktokolwiek* wejdzie ci w drogę, zabijesz go. Zrozumiano?

– Jasne jak słońce.

Strażnik odpiął się i ruszył w stronę korytarza. Usłyszała stamtąd głosy ludzi szykujących się do walki. *Musimy się liczyć z tym, że ten cykl będzie trwał dalej, coraz bardziej się nasilając i robiąc się coraz bardziej niebezpiecznym, aż jedna ze stron zostanie zniszczona.* Kto to powiedział? Wydawało jej się, że gdzieś to niedawno słyszała. System wentylacji sterowany lokalnie działał z nieco innym rytmem, z podmuchami z wymienników dochodzącymi kilka sekund częściej i trwającymi trochę krócej. Zastanawiała się, dlaczego tak się działo. Było to coś, co Ren by wiedział. Było to coś, co teraz zauważyła tylko ona.

Ren. Spróbowała go sobie teraz wyobrazić. Spróbowała zobaczyć siebie jego oczami. Niedługo zginie. Niedługo zginie, a dzięki temu wszyscy będą bezpieczniejsi. To nie zwróci mu życia, ale sprawi, że jego śmierć będzie coś znaczyła. I zapewni mu zemstę. Mimo wszystko w duchu nie potrafiła zobaczyć, żeby się z tego powodu uśmiechnął.

Pół godziny później do pokoju niezgrabnie weszli czterej ludzie wybrani przez Jojo. Panczerze wspomagane sprawiały, że trudno było się w nich poruszać bez wpadania na różne rzeczy. Ich kadłuby lśniły czernią i czerwienią, rozpraszając padające na nie światło. Skojarzyły jej się z olbrzymimi żukami.

– Nie mamy amunicji, sir – powiedział jeden z nich. Jojo. Głośniki skafandra nadały jego głosowi sztucznie płaskie i mechaniczne brzmienie.

– To pobijcie ich na śmierć – rzucił Ashford. – Waszym głównym celem jest reaktor. Jeśli zdołacie tylko doprowadzić do wystrzelenia z lasera, to i tak wygramy. Poza tym chcę zabicia Byka i jego sojuszników. Każdy, kto nie walczy aktywnie po waszej stronie, uznawany jest za wroga. Jeśli nie są z nami, są przeciwko nam.

– Tak jest, sir.

– Sir! – odezwał się jeden z ludzi przy konsolach.

– Czego?

– Chyba mamy kogoś w szybie zewnętrznej windy.

– Grupa szturmowa?

– Nie, ale mogą zastawiać tam pułapkę.

Clarissa się odwróciła.

Na konsoli ochrony wciąż wyświetlany był strumień wiadomości. Kobięce głosy z okazjonalnym dźwiękiem strzałów. Ludzie Ashforda jeszcze nie zdobyli stacji. Zaciekało ją, czy zastrzelą Monikę Stuart i Annę przed kamerami, na oczach wszystkich oglądających. A potem zastanowiła się, jak by temu zapobiegła, gdyby chciała. Przecież nie wiązałoby się to z żadnymi konsekwencjami. Jeśli wygrają i zniszczą Pierścień, wszyscy i tak tu zginą, w taki czy inny sposób. Kilka wcześniejszych śmierci po drodze nie powinno niczego zmienić. Kiedy nie liczyło się, co będzie później, każdy mógł zrobić cokolwiek. Nie było żadnych konsekwencji.

Tylko że zawsze wszyscy umierają. Próbujesz odwrócić swoją uwagę od czegoś.

Cortez unosił się w pomieszczeniu ochrony. Jego twarz oświetlał od spodu ekran monitora. Obejrzał się, gdy się zbliżała, z łagodnym i spokojnym uśmiechem.

– Ashford wysyła ludzi do odbicia maszynowni – powiedziała.

– To dobrze. Bardzo dobrze.

– ...na *Corvusierze* – mówiła ciemnoskóra kobieta. – Znacie mnie, możecie mi zaufać. Prosimy tylko o wyłączenie reaktora na kilka godzin i wyciągnięcie baterii z zasilania awaryjnego. Wyłączcie systemy, żebyśmy mogli się stąd wydostać.

– Tak bardzo cenią sobie własne życie – skomentował Cortez. – Nie biorą pod uwagę ceny, jaką niesie ze sobą ich przetrwanie. Ceny dla wszystkich.

– Nie biorą – zgodziła się Clarissa, ale coś jej nie pasowało w tych słowach. Coś ją uwierało. – Wierzy pan w odkupienie?

– Ależ oczywiście – zapewnił Cortez. – Wszystko w życiu nauczyło mnie, że nie ma niczego, co całkowicie odsuwałoby nas od możliwości uzyskania Bożej łaski, choć czasami wymagane poświęcenie jest boleśnie wielkie.

– ...jeśli tylko się zjednoczymy – powiedziała na ekranie Anna, nachylając się do kamery. Lok jej rudych włosów wydostał się z gumki i opadł na jej lewe oko. – Razem możemy to rozwiązać.

– A co z tobą? – zapytał Cortez. Położył dłoń na jej plecach. – Wierzysz w odkupienie?

– Nie – przyznała. – Tylko w ofiarę.

– Mao – warknął Ashford w drugim pomieszczeniu. – Chodź tutaj.

Clarissa poszybowała do drzwi. Twarz kapitana wyglądała na jeszcze bardziej szarą, niż poprzednio. Wokół jego oczu pojawiły się obrzmienia, które w ciąży byłyby ciemnymi kręgami.

– Kapitanie?

– Rozumiesz, jak to wszystko jest okablowane.

– Trochę – powiedziała.

– Mam dla ciebie zadanie.

# Rozdział czterdziesty siódmy

## *Holden*

Rozciągał się przed nim cały szyb windy, biegnący na zewnątrz dwukilometrowego cylindra *Behemota*. Naomi walczyła z systemami o kontrolę nad statkiem, więc większość układów pomocniczych była wyłączona lub korzystanie z nich nie było bezpieczne. Główna kabina windy została zablokowana w połowie szybu. W magazynie blisko szczytu szybu znajdowała się druga kabina, ale można ją było aktywować tylko po usunięciu głównej prowadnicy i zablokowaniu jej, więc zamiast wygodnej, czterominutowej jazdy, droga na mostek sprowadzała się do dwóch kilometrów w nieważkości przez całkowitą próżnię z dużym, stalowo-ceramicznym pudłem w połowie drogi.

Mogło być gorzej. Na podstawie strumieni z kamer monitoringu, do których zdołała się podpiąć Naomi, można było stwierdzić, że Ashford nie spodziewał się nikogo na mostku z tej strony. Gdy dowiedział się o ataku na maszynownię, wzmocnił swoją pozycję w punkcie tranzytowym od strony pokładu dowodzenia. Jak dotąd nie wzmocnili sił broniących szybu. Spodziewali się mieć kontrolę nad obydwoma jego końcami i najwyraźniej jeszcze do nich nie dotarło, że to już nie jest prawda.

Byk ostrzegł go, że w stresie spowodowanym sytuacją Ashfordowi może odbić, ale generalnie nie jest głupi. Jego kariera na stanowisku kapitana SPZ nie kryła żadnych poważniejszych błędów – aż do tej wyprawy – i dlatego właśnie Fred Johnson uznał go za bezpieczny wybór. Holden nie mógł liczyć na to, że przeciwnik będzie popełniał

błędy, które wszystko ułatwią. Jednak jeśli Naomi zwycięży w maszynowni, to nie będzie miało znaczenia. Zanim dotrą na mostek, wszyscy będą tam spokojnie spać.

Holden puścił sobie w hełmie na niskiej głośności dźwięk transmisji Radia Wolna Powolna Strefa. Anna i Monika wciąż opowiadały flocie o potrzebie wyłączenia wszystkich reaktorów i zapasowego zasilania, w tle dawało się słyszeć okazjonalne salwy z broni automatycznej. Przez to wszystko szalone słowa Anny wydawały się dużo bardziej rozsądne. Holden przyznał Monice punkty za wymyślenie, że tak zabrzmiałoby to dużo lepiej. Jak do tej pory odgłosy walki nie sprawiały wrażenia ciężkich. Amos pewnie się nudził.

Przygotowali plan i jak na razie wszystko przebiegało mniej więcej tak, jak na to liczyli. Myślenie o tym wzbudzało w Holdenie coraz większe przerażenie.

Bez ostrzeżenia zgasło oświetlenie z diod LED w ścianach szybu. Holden włączył reflektory skafandra, ale nie zwolnił. Kiedy światła włączyła też Corin, zaczął rzucać dziwny, podwójny cień.

– Nie jestem pewien, czy to znaczy, że wygrywamy, czy przegrywamy – odezwał się, żeby tylko coś powiedzieć.

Corin mruknęła coś niezobowiązująco, a potem rzuciła:

– Widzę kabinę.

Holden odchylił tułów do tyłu, żeby poświecić reflektorami dalej w głąb szybu. Jakieś sto metrów dalej zobaczył dół kabiny windy w formie ściany z metalu i kompozytów.

– Powinien tam być właz techniczny.

Corin uniosła pięść na potwierdzenie i wciąż lecąc w głąb szybu, zaczęła grzebać w torbie, którą zabrała z maszynowni. Wyciągnęła z niej ręczny palnik plazmowy.

Holden obrócił ciało tak, żeby uderzyć w kabinę stopami, a potem kopnięciem aktywował magnesy butów. Podszedł do włazu i spróbował go otworzyć, ale tak jak podejrzewali, był zablokowany od środka. Corin zaczęła rozcinać go, nie czekając, aż ją o to poprosi.

– Jesteś tam, Byku? – zapytał Holden, przełączając się na uzgodniony wcześniej kanał.

– Jakież problemy?

– Nie, przecinamy tylko kabinę windy i chciałem się zgłosić.

– Dobra – odpowiedział Byk, przeciągając to słowo. – Tutaj idzie jak po maśle. Przejęliśmy kluczowe systemy, wyłączyliśmy laser i pracujemy nad wyłączeniem reaktora.

– Co przeoczyliśmy? – zapytał Holden.

Palnik Corin zatrzeszczał i zgasł, a ona zaczęła prowadzić pełną inwektyw rozmowę z sobą podczas wymiany baterii na nową.

– Naomi nie ma dostępu do systemów mostka. Całkowicie ją odcięli, co znaczy, że wszyscy tam będą przytomni.

A to znaczyło, że on i Corin będą musieli przebić się przez przynajmniej piętnaścioro ludzi Ashforda, prawdopodobnie nawet więcej. Przez wąskie drzwi i długi korytarz bez żadnej osłony. Przy tym zdobycie maszynowni wyglądało jak bułka z masłem.

– Nie damy rady tego zrobić we dwoje – powiedział Holden. – Nie mamy szans.

Słuchająca rozmowy przez radio Corin popatrzyła do góry. Uderzyła pięścią we właz kabiny windy, a wycięty kawałek wleciał do wnętrza z krawędziami wciąż jarzącymi się czerwienią. Nie ruszyła do środka, czekając na wynik jego rozmowy z Bykiem. Przybrała neutralny wyraz twarzy, który mógł znaczyć cokolwiek.

– Wysyłamy pomoc, więc siedźcie przy włączniku wejściowym na mostek i czekajcie na... – urwał, a Holden usłyszał, że ktoś do niego mówi, choć słowa były zbyt ciche, żeby je zrozumieć. Brzmiało to na Naomi.

– Co jest? – zapytał Holden, ale Byk nie odpowiedział.

Przez kilka minut po stronie Byka prowadzona była coraz bardziej ożywiona rozmowa. Odpowiedzi Byka były fragmentami, które bez kontekstu nic Holdenowi nie mówiły. Czekał niecierpliwie.

– Dobra, nowy problem – oznajmił w końcu Byk.

– Większy niż „nie dostaniemy się na mostek żywi”?

– Owszem – potwierdził Byk. Holden poczuł, że jego żołądek zmienia się w kamień. – Naomi zauważyła coś na kamerze monitoringu, którą zostawili na korytarzu przed mostkiem. Z pokładu dowodzenia wyszło właśnie czworo ludzi w pancerzach wspomaganych. To pancerze, które zabraliśmy Marsjanom. Nie mamy



sposobu na śledzenie ich, ale domyślam się, gdzie się kierują.

Tyle mocy Ashford mógł wysłać tylko w jedno miejsce. Do maszynowni.

– Uciekajcie – powiedział Holden z paniką większą niż chciałby przyznać. – Natychmiast uciekajcie!

Byk się zaśmiał. Ten dźwięk nie podniósł go na duchu.

– Och, przyjacielu, to będzie problem dla ciebie, zanim stanie się problemem dla nas.

Holden czekał. Corin wykonała dłońmi gest wzruszenia ramionami i weszła do kabiny windy, żeby otworzyć górny właz. Nie było potrzeby go rozcinać, zamek znajdował się od wewnątrz.

– Są tylko trzy sposoby na dotarcie tutaj – wyjaśnił Byk. – Mogą przejść dołem, przez cylinder, ale to kłopotliwe. Do korytarza technicznego po drugiej stronie cylindra nie da się wejść, gdy ten się obraca. A to zostawia tylko jedną dobrą drogę na przejście na południe tej bestii.

– Prosto przez nas – uzupełnił Holden.

– Właśnie. I wiesz co? Wasze zadanie właśnie się zmieniło.

– Działania opóźniające – rzuciła Corin.

– Daj tej pani nagrodę. Możemy wciąż to wygrać, jeśli zapewnimy Naomi trochę więcej czasu. I to wy będziecie musieli się tym zająć.

– Byku – odezwał się Holden. – Jesteśmy tu we dwójkę z lekkimi karabinkami szturmowymi i pistoletami. Ci ludzie mają pancerze zwiadu. Widziałem, jak to działa z całkiem bliska. Nie będziemy opóźnieniem, tylko różową chmurą, przez którą przelecą z pełną prędkością.

– Nie będzie aż tak źle. Nie jestem idiotą, wyciągnąłem amunicję z tych pancerzy i na dodatek na wszelki wypadek wyrwałem jeszcze styki spustowe w działkach.

– To właściwie dobra wiadomość, ale czy oni nie mogą nam po prostu pourywać kończyn?

– Owszem – rzucił Byk. – Więc nie dajcie się złapać, jeśli tylko dacie radę. Dajcie nam tyle czasu, ile tylko będziecie mogli. Rozłączam się.

Holden popatrzył na Corin, która spojrzała na niego z wciąż tym samym neutralnym wyrazem szerokiej twarzy. Jego serce biło jak

oszała. Wszystko przybrało wrażenie niemal bolesnej rzeczywistości. Jakby właśnie obudził się ze snu.

Za chwilę zginie.

– Pora na odstawienie ostatniego bastionu – powiedział, starając się zachować spokojny głos.

– To miejsce równie dobre, jak każde inne. – Wskazała na wielką skrzynię kabiny windy. – Użyjmy górnego wjazdu jako osłony, będą musieli nas zaatakować przez otwarty tunel, a bez broni palnej atak będzie kontaktowy. Możemy w nich posłać sporo pocisków, zanim się zbliżą.

– Corin – odpowiedział Holden. – Czy ty kiedyś widziałaś jeden z tych pancerzy w działaniu?

– Nie. Czy to zmienia to, co musimy tu zrobić?

Zawahał się.

– Nie – przyznał. – Chyba tak naprawdę nie zmienia. – Zdjął karabin szturmowy z pleców i zostawił go unoszącego się obok. Sprawdził stan amunicji. Wciąż miał sześć magazynków, które wsadził sobie do bandoliera.

Nie zostało im nic innego, jak czekać.

Corin znalazła sobie miejsce obok wjazdu, gdzie mogła zaczepić się jedną stopą o uchwyt na płaszczyźnie, która przy locie z ciągiem byłaby ścianą. Osiadła tam, wpatrując się w szyb windy przez celownik. Holden spróbował zrobić to samo, ale zrobił się nerwowy i musiał zacząć się ruszać.

– Naomi? – odezwał się, przełączając się na ich prywatny kanał, miał nadzieję, że wciąż ma włączone radio.

– Jestem – odpowiedziała po kilku sekundach.

Holden zaczął odpowiadać, ale urwał. Wszystko, co przychodziło mu do głowy, wydawało się trywialne. Zamierzał powiedzieć, że kochał ją, od kiedy tylko ją poznał, ale to było niedorzeczne. Kiedy się poznali, prawie nie zwrócił na nią uwagi. Była po prostu wysoką, chudą inżynier. Kiedy poznali się lepiej, stała się wysoką, chudą i genialną inżynier, ale to wszystko. Miał wrażenie, że z czasem zostaną przyjaciółmi, ale prawdę mówiąc, prawie nie pamiętał teraz osoby, którą był na *Canterbury*.

Wszyscy coś stracili w związku z protomolekułą. Gatunek jako całość utracił poczucie swojej wyjątkowości. Najważniejszej roli w uniwersalnym planie stworzenia.

Holden utracił swą pewność.

Kiedy sięgał myślami do człowieka, którym był przed zniszczeniem *Canta*, pamiętał kogoś przepełnionego prawą, niemal religijną pewnością. Prawda była prawdą, zło było złem, a linię kreśliło się dokładnie w tym miejscu. Części tej pewności pozbawił go czas spędzony z Millerem. Praca dla Freda Johnsona, jeśli nie pozbawiła go reszty, to zdecydowanie ją stępiła. Jej miejsce zajęło coś w rodzaju pełzającego nihilizmu. Wrażenie, że protomolekuła złamała rasę ludzką w sposób, którego nigdy nie da się naprawić. Ludzkość otrzymała wyrok śmierci w zawieszeniu na dwa miliardy lat, w dodatku o tym nie wiedziała, a czas właśnie minął. Zostało jej tylko wrzeszczenie i kopanie.

Co dziwne, to właśnie Miller oddał mu poczucie celu w życiu. Lub czymkolwiek był konstrukt udający Millera. Tak naprawdę nie pamiętał wersji siebie, która dokładnie wiedziała, gdzie kreśliło się wszystkie granice. Niczego już nie był pewien. Jednak cokolwiek wystartowało z Wenus i zbudowało Pierścień, stworzyło też Millera.

I chciało rozmawiać. Z nim.

Może nie było to wiele. Nowy Miller nie mówił z wielkim sensem. Miał jakiś cel, którego nie wyjaśniał. Protomolekuła nie wydawała się specjalnie żałować spowodowanej przez nią śmierci i chaosu.

Ale chciała rozmawiać. I to z nim. Holden zrozumiał, że znalazł w tym jakiś cel, pocieszenie. Może istniał sposób na wydostanie się z tego chaosu. Może zdoła pomóc go znaleźć. Zrozumiał, że chwycenie się pomysłu, że protomolekuła, a przynajmniej jej agent Miller, wybrała go na ich kontakt, podsyciło wszystkie jego najgorsze skłonności do arogancji i wywyższania się. Z drugiej strony, było to lepsze od rozpacz.

A teraz, gdy dopiero zaczynał dostrzegać wątlą ścieżkę z dziury, którą wykopała protomolekuła, a ludzkość rzuciła się w nią z samobójczym szaleństwem, teraz zostanie zabity z powodu jeszcze jednego człowieka z większym apetytem na władzę niż rozumem.

Wydawało się to nieuczciwe. Chciał przeżyć, żeby zobaczyć, jak ludzkość odbija się od dna. Chciał być tego częścią. Po raz pierwszy od bardzo dawna miał wrażenie, że może zmienić się w człowieka sprawiającego różnicę.

I chciał to wyjaśnić Naomi. Powiedzieć jej, że zmieniał się w lepszego człowieka. W osobę, która zobaczyłaby w niej wiele lat temu kogoś więcej, niż tylko dobrą inżynier. Jakby będąc teraz inną osobą, mógł retroaktywnie naprawić płytkiego, próżnego mężczyznę, którym wtedy był. Może nawet uczynić się godnym jej.

– Lubię cię – powiedział zamiast tego.

– Jim – odpowiedziała po chwili. Mówiła napiętym głosem.

– Twoje towarzystwo sprawiało mi przyjemność, od kiedy tylko się poznaliśmy. Nawet gdy byłaś tylko inżynierem i członkiem załogi, byłaś bardzo sympatyczna.

W radiu słyszał tylko szum statyki. Holden wyobraził sobie Naomi zamykającą się w sobie, spuszczać włosy na oczy, żeby ukryć je, tak jak zwykle robiła to, doświadczając niekomfortowej sytuacji emocjonalnej. Oczywiście, było to głupie. Bez ciężenia jej włosy nie mogły zrobić nic takiego. Ale ten obraz wywołał u niego uśmiech.

– Dziękuję – powiedział, zwalniając ją. – Dziękuję za wszystko.

– Kocham cię, Jim – odpowiedziała w końcu.

Holden poczuł, że jego ciało się rozluźnia. Zobaczył nadchodzącą śmierć, ale już się jej nie bał. Będzie mu brakować tych wszystkich dobrych rzeczy, które nastąpią, ale pomoże je urzeczywistnić. I kochała go bardzo dobra osoba. To było więcej, niż większość ludzi osiągała w ciągu całego życia.

Rozległ się niski zgrzyt, przechodzący w wyższe tony. Przez chwilę Holden myślał, że to Naomi krzyczy do mikrofonu. Prawie zaczął ją uspokajać, ale zrozumiał, że czuje wibracje stopami. Dźwięk nie dochodził przez radio, był przenoszony przez jego buty ze ścian windy. Wibrował cały statek.

Holden przytknął hełm do ściany, żeby lepiej słyszeć i wrzask statku zrobił się prawie ogłuszający. Urwał się po ciągnącej się w nieskończoność minucie z rozbijającym uszy bdrzękiem. Zapadła cisza.

- Co, do kurwy...? – cicho rzuciła Corin.
- Naomi? Byk? Ktoś jest na linii? – wrzasnął Holden, myśląc, że cokolwiek się stało, rozerwało statek na części.
- Tak – odpowiedział Byk. – Jesteśmy tu.
- Co... – zaczął Holden.
- Zmiana zadania – Byk nie dał mu dokończyć. – Ten dźwięk to wciśnięcie hamulców na cylindrze mieszkalnym. Katastrofalna zmiana inercji wersja 2.0. W tej chwili całe mnóstwo ludzi w tym cylindrze jest rzuconych na boki.
- Dlaczego mieliby to zrobić? Tylko żeby zatrzymać transmisję?
- Nie – odpowiedział z westchnieniem Byk. Brzmiał jak człowiek, któremu właśnie powiedziano, że będzie musiał odpracować dwie zmiany. – To znaczy, że uważają, że ufortyfikowaliśmy szyb windy, więc przyjdą z innej strony.
- Już wracamy – powiedział Holden, gestem przywołując do siebie Corin.
- Nic z tego – zaproponował Byk. – Jeśli uda im się włączyć z powrotem laser, gdy Ashford będzie dalej siedział przy tym panelu sterowania, przegramy.
- To co? Mamy się tam dostać, przebić na mostek i zastrzelić wszystkich, podczas gdy ich ludzie będą się wbijać do maszynowni i zabijać was wszystkich?
- W westchnieniu Byka usłyszał zmęczenie.
- Owszem.

# Rozdział czterdziesty ósmy

## *Byk*

Wystrzelili z szybu technicznego jak wybuch. Cztery czerwono-czarne potwory o z grubsza humanoidalnych kształtach. Byk i ludzie, których zdołał zebrać, otworzyli ogień, gdy tylko ich zobaczyli. Kilkanaście karabinów przeciw tornadu.

– Nie pozwólcie im dostać się do sterowania reaktorem – krzyknął Byk.

– Potwierdzam – odpowiedział jeden z Ziemiaków. – Jakiś pomysł, jak ich powstrzymać, sir?

Żadnego nie mieli. Jedną ręką wystrzelał cały magazynek pistoletu, drugą kierował mecha do tyłu przez pokład. Jeden z marsjańskich marines przeleciał górą po skosie, strzelając z karabinu. Na napierśniku najbliższego napastnika pojawiły się małe białe ślady, jak odciski palców dziecka na szybie. Mężczyzna w pancerzu wspomaganym dotarł do najbliższej stacji roboczej, jedną ręką wyrwał z pokładu pryczę przeciążeniową i rzucił nią jak wielką piłką do bejsbola. Prycza przemknęła ze świstem przez powietrze i roztrzaskała się o ścianę. Gdyby ktoś znalazł się na jej drodze, uderzenie byłoby gorsze od pocisku.

Byk ciągle się cofał. Kiedy skończyły mu się naboje w magazynku, skupił się całkowicie na kierowaniu mechem. Ostatni napastnik, który wyłonił się z szybu, próbował skoczyć przez salę, ale wzmocnienie pancerza nadało mu za dużą prędkość. Czerwono-czarna smuga walnęła w ścianę po drugiej stronie z odgłosem samochodu

zderzającego się ze ścianą.

– I dlatego – w słuchawkach zabrzmiał głos sierżanta Verbinskiego – spędzamy sześć miesięcy na ćwiczeniach, zanim wsadzą nas do tych pancerzy. – Wydawał się rozbawiony. To dobrze, że ktoś miał dobry humor.

Walka w nieważkości komplikowała taktykę strzelaniny, ale podstawowe zasady zostawały takie same. Utrzymać teren, kryć się za osłoną, mieć kogoś, kto zajmie przeciwnika, gdy trzeba będzie zmienić pozycję. Byk niemal natychmiast zorientował się, że problem polegał na tym, że nie dysponowali niczym, co mogłoby uszkodzić przeciwników. W najlepszym razie mogli emitować głośnie dźwięki i mieć nadzieję, że ludzie w pancerzach bojowych ulegną odruchowej ostrożności. To nie mogło zapewnić wygrania wojny. Szlag, to ledwie odrobinę spowalniało przegranie bitwy.

– Naomi – odezwał się Byk. – Jak ci tam idzie?

– Mogę rzucić rdzeń i całkowicie wyłączyć tego drania. Daj mi tylko jeszcze trzy minuty – odpowiedziała. Słyszał skupienie i walkę w jej głosie. Determinację. Co nie miało żadnego znaczenia.

– Nie ma mowy – odpowiedział.

– Po prostu... trzymajcie się.

– Idą teraz w tamtą stronę – powiedział Byk. – A my nie możemy zrobić absolutnie nic, żeby ich zatrzymać.

Czterech atakujących skakało przez maszynownię jak koniki polne, potężnymi ciałami uderzali w ściany i konsole, przy każdym walnięciu zdzierając kawałki powierzchni. Na tym etapie ich największą szansą była możliwość, że przeciwnik pozabija się sam, uderzając się o ściany. Byk cofnął się w stronę wejścia do cylindra, potem zajął pozycję za skrzynią i zaczął strzelać do wroga, próbując ściągnąć ich w swoją stronę. Jeśli uda mu się wyciągnąć ich do cylindra mieszkalnego, może da radę zamknąć punkt transferowy i zmusić drani do przebijania się z powrotem. Może nawet dałoby to Naomi te trzy minuty, których potrzebowała.

Ludzie w pancerzach wspomaganych chyba w ogóle go nie zauważyli. Jeden z nich złapał blat, zginając stal rękawicą pancerza, i zaczął przeciągać się ręka za ręką w stronę pulpitu sterowania

reaktora.

– Czy ktoś może zatrzymać tego gościa? – zapytał Byk. Nikt na tej częstotliwości nie odpowiedział. Westchnął. – Naomi. Musisz natychmiast uciekać.

– Rdzeń zrzucony. Mogę też wyłączyć sieć, tylko kilka minut.

– Nie masz ich. Wychodź natychmiast, a ja spróbuję wprowadzić cię z powrotem do środka, gdy sytuacja się uspokoi.

– Ale...

– Nikomu nie przydasz się martwa – powiedział.

Na kanale zapadła cisza i przez dłuższą chwilę myślał, że Pasiarka została złapana i zabita. Potem wyleciała z korytarza głową do przodu, ze sprawną ręką i włosami unoszącymi się za nią jak lotki stabilizatorów. Najbliższy z ludzi w pancerzach wspomaganych spróbował ją złapać, ale już jej nie było w tym miejscu, a oni nie czuli się dość pewnie, by za nią skoczyć.

Byk zobaczył, jak jeden z przeciwników z czymś się zмага. Pistolet. Potężna rękawica była zbyt gruba, by zmieścić się w osłonie spustu, więc napastnik zerwał ją i osadził pistolet w pięści, co wyglądało jak dziecięca zabawka trzymana przez rosłego mężczyznę. Byk wystrzelił w niego kilka razy, nie mając większej nadziei na jakieś uszkodzenia.

Czterech Ziemiaków krzyknęło jednym głosem i rzuciło się na tego z pistoletem. Napastnik nie wystrzelił, po prostu machnął wielką metalową ręką przez powietrze, rozrzucając ludzi Byka jakby byli wróblami.

Jego ludzie zostaną pozabijani – już *byli* zabijani – a on nie mógł zrobić nic, żeby to powstrzymać.

– Dobra, dzieci – powiedział. – Pakujemy się i wracamy do domu. Tu się robi za gorąco.

– Byk! – krzyknął Verbinski. – Od tyłu!

Byk spróbował obrócić mecha, ale coś mocno uderzyło go w plecy. Magnetyczne stopy zatrzeszczały i straciły kontakt z podłożem, odrywając go w powietrze. Świat wokół niego zaczął się jarzyć na złoto i niebiesko, a jego świadomość odpływała. Niejasno był świadom obecności czyjejś ręki na swoim ramieniu, spowalniającej jego upadek, a potem zobaczył twarz Naomi. Coś zadrapało ją w policzek i



miała na nim długi pęcherz trzymającej się skóry krwi. Spróbował się obrócić, ale bez powodzenia. Racja. Nie miał kręgosłupa. Powinien był o tym pamiętać.

– Co? – zapytał.

– Odcięli nas od cylindra – wyjaśniła Naomi i obróciła go tak, żeby stopy mecha dotknęły pokładu.

W powietrzu unosiło się mnóstwo śmieci. Powyginane kawałki metalu i odłamki strzaskanej ceramiki, rozpryski krwi, powoli zbierające się i rosnące jak planety powstające z pyłu. Z resztek panelu sterowania strzelały łuki elektryczne, a roztrzaskane szkło unosiło się, rzucając kolorowe rozbłyski światła. W przejściu do punktu transferowego stało dwóch ludzi w pancerzach wspomaganych, wyglądali jak przymurowani do tego miejsca. Jeden miał karabin, trzymał go za lufę jak maczugę, drugi w każdej ręce trzymał pistolet z oderwaną osłoną spustu. Trzeci machał kończynami w powietrzu tuż nad szybem technicznym, przez który tu weszli, starając się o coś zaczepić. Czwarty szedł po pokładzie w ich stronę – ostrożnymi i kontrolowanymi ruchami, żeby nie wzbić się w powietrze.

– Śluza szybu windy – powiedział Byk. – Wycofujemy się.

– Wszyscy – powiedziała Naomi do terminala ręcznego. – Na mój znak wycofujemy się do szybu windy. Już!

Naomi obróciła go, przytuliła się do jego pleców uchwytem ratowniczym i skoczyła. Pistolety przeciwnika zaczęły strzelać. Byk kątem oka zobaczył, jak pocisk przechodzi przez nogę jakiejś kobiety. Zobaczył grymas na jej twarzy i tryskającą fontanną krwi. *Przepraszam*, pomyślał.

Przed nimi rosła ściana ze śluzą szybu windy i Naomi odepchnęła się od niego, lądując na płaszczyźnie z wdziękiem kobiety urodzonej w nieważkości. Przez powietrze nadleciały dwa kolejne ciała, oba marsjańskich marines. Rozpoznał mężczyznę – Juareza – i kobietę zwaną Cass. Naomi wcisnęła panel sterowania i drzwi do śluzy zaczęły się zamykać. Gdy otwór wydawał się już za wąski dla człowieka, do środka dostały się jeszcze dwie osoby. Sierżant Verbinski i człowiek z ochrony, który opowiedział się po stronie Byka.

Kręciło mu się w głowie. Czuł się tak, jakby właśnie przebiegł trzydzieści kilometrów w gorącym słońcu Nowego Meksyku. Klasnął w dłonie, nie tyle, żeby zwrócić uwagę ludzi zebranych w śluzie, ile żeby pomóc sobie skupić uwagę i trochę oprzytomnieć.

– Ten szyb jest w próżni – przypomniał. – Jeśli tam właśnie idziemy, potrzebujemy skafandrów. Szafki są tam. Zobaczmy, co mamy do dyspozycji.

Zadźwięczało potężne uderzenie w drzwi śluzy. Potem następne.

– Chyba lepiej się pośpieszyć – dodał.

– Ty się nie zmieścisz – zauważył Verbinski. – Nie z tym sprzętem.

– Owszem – zgodził się Byk. – Racja.

– Chodź, wielkoludzie – powiedział sierżant. – Wyciągnijmy cię z tego.

*Nie*, chciał powiedzieć Byk. *Tak będzie dobrze*. Ale Juarez i druga marine już odpinali jego pasy, a potem wyciągnęli go z mecha zrobionego dla niego przez Sam. Znowu był kaleką. To nie była prawda. Był kaleką od chwili katastrofy, teraz miał tylko jedno narzędzie mniej.

Bywało już, że miał do dyspozycji jeszcze mniej.

Walenie w drzwi śluzy robiło się coraz głośniejsze, bardziej intensywne. A oprócz uderzeń zaczęły dochodzić do nich dźwięki przypominające odrywanie czegoś. Wyobraził sobie, jak pancierz wspomagany chwytą w potężne palce kawał stali i ciągnie, rozrywając powłokę statku. Przesunął się z powrotem do swojego mecha, ciągnąc ciało za sobą, bezużyteczne jak balast. Otworzył schowek i wyciągnął z niego resztę amunicji do pistoletu i ręczny terminal. Przez chwilę nie rozpoznawał płaskiego czarnego pakietu, który wyciągnął po nich. A potem sobie przypomniał.

– Jeśli nie zostajemy, lepiej ruszajmy – rzucił Verbinski.

– Chodźmy – zgodził się Byk, wsuwając granaty do kieszeni na udzie skafandra próżniowego.

Naomi włączyła cykl śluzy. Dźwięki ataku robiły się coraz cichsze i cichsze w miarę odpompowywania powietrza, a potem otworzył się przed nimi szyb. Pełny kilometr do zablokowanej kabiny, potem kolejny za nią do... czego? Ashforda? Pewnej śmierci? Byk nie wiedział

już, przed czym uciekał. Albo do czego.

Odpychali się kolejno, przeciągając się przez próżnię. Verbinski i ochroniarz, Naomi i marine, potem Byk i Juarez. Bez ujmowania tego w słowa każdy dobrał się do pary z kimś z innej strony. W zawodzącym umyśle Byka pojawiła się myśl, że to ważne.

– Juarez? – W radiu zabrzmiał głos Verbinskiego, zaskakując Byka.

– Sir.

– Jeśli będziesz mógł dobrze wymierzyć, myślisz, że zdołasz strzaskać wizjery tych skafandrów?

– Może pańskiego – odpowiedział Juarez. – Mój utrzymuję w bardzo dobrym stanie.

– Zrób, co możesz – rzucił Verbinski.

Byk poczuł, gdy przeciwnik przebił się do śluzy. Nie potrafił dokładnie powiedzieć, co było objawem. Może lekki napór fali uderzeniowej, delikatny jak szept podmuch atmosfery. Spojrzał za swoje bezwładne stopy i zobaczył światło na dnie szybu, choć żadnego nie powinno tam być. W tej chwili w maszynowni aktywowało się pewnie z tysiąc zabezpieczeń. Miał taką nadzieję. Daleko w dole zobaczył błysk wystrzału, ale byli tak daleko przed nimi, że pocisk prawie na pewno uderzył w ścianę szybu i wytracił energię, zanim do nich dotarł.

Juarez odwrócił się z karabinem unieruchomionym między stopami. Jego twarz zrobiła się bardzo spokojna i łagodna, a broń błysnęła.

– Jednego dostałem, Verb – powiedział. A potem: – Sierżancie?

Verbinski nie odpowiedział. Wciąż się unosił, sunąc wzdłuż stalowych szyn prowadzących kabinę windy, ale oczy miał zamknięte. Jego twarz była bezwładna, a na ustach i nosie pojawiła się piana. Byk nie wiedział nawet, że podoficer jest ranny.

– Sierżancie! – krzyknęła Juarez.

– Odszedł – powiedziała Cass.

Reszta drogi do windy była czystym koszmarem. Ciało Byka nieustannie dryfowało za nim w niekontrolowany sposób, a jego płuca wydawały się pełne i mokre. Z drugiej strony przestał kaszleć. Nie wiedział, czy to dobrze. Kiedy dotarli do windy, szczęśliwy strzał

ich prześladowców trafił ochroniarza w plecy, wysadzając jego butlę z tlenem. Byk oglądał, jak mężczyzna ginie, ale tego nie usłyszał. Właz wypalony przez Corin w podstawie kabiny windy wydawał się zbyt mały, by przez niego przejść, ale przełożył do środka jedną rękę, a Naomi przeciągnęła go do końca.

W kabinie Juarez ustawił się do strzelania w napastników przez otwór. Byk nie wiedział, ile amunicji zostało marine, ale nie wątpił, że musiał się zbliżyć do końca zapasów. Gdyby tylko było tu jakieś ciężenie, oparłby się bez sił o ścianę. Zamiast tego przełączył radio skafandra na kanał Naomi.

– Daj mi pistolet – powiedziała, zanim zdążył się odezwać. – Daj mi coś.

– Idź dalej – odpowiedział. – Dotrzyj do szczytu szybu.

– Ale...

– Może zdołasz dla nich otworzyć właz. Dostać się na mostek.

– Nie da się uzyskać dostępu do sterowania od środka szybu.

– W tej głównianej łajbie nigdy nie wiadomo – odpowiedział Byk. – Ktoś może będzie musiał tam wcisnąć przycisk samozniszczenia. Wcale by mnie to nie zdziwiło.

– Tak wygląda twój plan B?

– Wydaje mi się, że na tym etapie dotarliśmy już do planu Z – przyznał Byk. – W każdym razie, jesteś inżynierem. Tutaj za cholere nic nie zrobisz. A słyszałem, jak wcześniej rozmawiałaś z Holdenem. Równie dobrze możesz go jeszcze raz zobaczyć. Nie, żeby coś nas to kosztowało.

Obserwował jej twarz, gdy podejmowała decyzję. Strach, rozpacz, żal, spokój – w tej kolejności. Imponująca kobieta. Pożałował, że nie miał okazji lepiej jej poznać. A skoro mogła latać z Jimem Holdenem i jeszcze go kochać, to może on też nie był aż tak zły, jak sądził Byk.

– Dziękuję – rzekła, a potem odwróciła się i ruszyła wzdłuż szybu windy w stronę pokładu dowodzenia i swojej miłości.

*To było słodkie*, pomyślał Byk. Karabin Juareza znowu błysnął, a Byk przełączył częstotliwości radia, żeby słyszeć oboje marines.

– Wy też powinniście iść. Kierujcie się na górę, zobaczcie, czy uda wam się zdobyć mostek.

– Jesteś pewien? – zapytała Cass spokojnym i profesjonalnym głosem. – Mamy tu osłonę, dalej w górę nie będzie lepszego miejsca.

– Tak, jestem całkowicie pewien – potwierdził Byk.

– A co z tobą? – zapytał Juarez.

– Ja tu zostanę – oświadczył.

– Dobra, brachu – zgodził się Juarez, a potem odleciał razem z Cass.

Byk pomyślał o spojrzeniu w głąb szybu, żeby zobaczyć, jak blisko był przeciwnik, ale nie zrobił tego. Kosztowałoby go to za dużo energii, a gdyby teraz dostał pocisk w oko... cóż, byłoby mu przykro. Małe pudło kabiny windy oświetlone tylko reflektorkiem jego skafandra, wyglądało na monochromatyczne i bezbarwne. Wciągnął powietrze najgłębiej, jak potrafił. Nie był to zbyt głęboki oddech. Wyciągnął z kieszeni granaty, po jednym do każdej ręki, i ostrożnie przestawił je na najkrótsze opóźnienie.

Czyli tu właśnie zginie. Nie było to jego pierwszym wyborem, ale do diabła z tym. Pewnie było to lepsze od powrotu do domu i nieprawidłowej regeneracji kręgosłupa. Widział gości, którzy całe życie egzystowali oszołomieni lekami osłabiającymi ból po nieudanej regeneracji. Do tej pory nie pozwalał sobie o tym myśleć. Teraz był to bezpieczny temat.

Próbował zdecydować, czy żałuje śmierci, ale prawdę mówiąc, był zbyt kurewsko zmęczony, żeby się tym przejmować. I za cholere nie mógł oddychać. Żałował, że nie zabił Ashforda, ale to nie było nic nowego. Żałował, że nie zdołał pomścić Sam ani dowiedzieć się, czy Pa jeszcze żyje. Albo czy Ashford faktycznie mógłby zniszczyć Pierścień. Jeśli było mu z jakiegoś powodu przykro, to z faktu, że wszystko, co zostało teraz w prowadzone w ruch, będzie działać dalej bez niego, a on nigdy się nie dowie, jak to się skończy. Nigdy się nie dowie, czy cokolwiek, co zrobił, sprawiło jakąś różnicę.

Zamigał jego ręczny terminal. Żądanie połączenia od Moniki Stuart. Przez chwilę zastanawiał się, czego od niego chce, a potem przypomniał sobie, że Ashford zatrzymał cylinder. Musiało tam być paskudnie. Przełączył połączenie do skafandra. Bez obrazu, ale połączenie głosowe wystarczy.

– Byk – powiedziała kobieta. – Jesteśmy tu atakowani. Anna chyba

nie żyje. Co się tam, u diabła, dzieje? Jak długo jeszcze?

– No cóż, straciliśmy maszynownię – odpowiedział. Poczł ból z powodu Anny, ale w tej chwili była tylko jedn z wielu. – Praktycznie wszyscy w grupie uderzeniowej nie żyją. Zostało może pięć osób w szybie windy, ale tamci siedzą na górze i na dole, więc w zasadzie mamy przesrane. Udało się nam zrzucić rdzeń, ale sieć energetyczna wciąż jest aktywna, a energii jest dość, żeby strzelić z lasera. Ludzie Ashforda pewnie są już w maszynowni i włączają wszystko z powrotem, a nie widzę żadnego cholernego sposobu na powstrzymanie ich.

– O mój Boże – wyszeptała Monika.

– Tak, jest paskudnie.

– Co... co zamierzasz z tym zrobić?

Przez właz w podłozie rozbłysło światło. Drobinki pyłu i kawałki metalu zalśniły w nim jakby unosiły się w wodzie. Patrzył na to z uśmiechem na twarzy. To znaczyło, że bandyci są prawie tutaj, ale widok był naprawdę bardzo ładny. Przypomniał sobie, że Monika jest na linii. O coś go zapytała.

– Tak... – powiedział. – Ta sprawa z wyłączeniem zasilania statku i uratowaniem wszystkich? Chyba nam się to nie uda.

– Nie możesz się poddawać – powiedziała. – Proszę. Musi być jakiś sposób.

*Nie musi*, pomyślał, ale nie powiedział tego. Anna sądziła, że jest. I co z tego ma? *Ale jeśli jest, to mam nadzieję, że ktoś z was go znajdzie.*

– Jak bardzo źle wygląda to u was? – zapytał.

– Jest... okropnie. Jakby znowu nastąpiła katastrofa.

– Tak, wyobrażam sobie – powiedział Byk.

– Nie możemy kontynuować – wyznała Monika. – O Boże, co my teraz zrobimy?

Światło robiło się silniejsze. Jaśniejsze. W jego blasku nie widział już pyłków kurzu.

– Monika? – powiedział Byk. – Słuchaj, bardzo przepraszam, ale tak jakby muszę iść, dobra? Róbcie, co w waszej mocy. Trzymajcie się, dobrze? I hej, jeśli to wszystko się uda...

– Tak?

– Powiedz Fredowi Johnsonowi, że jest moim dłużnikiem.

Zamknął połączenie i odłączył ręczny terminal. Wziął po granacie do każdej dłoni z kciukami na zawleczkach. Przez otwór wsunęła się głowa, potem szybko się cofnęła. Kiedy nikt nie strzelił, głowa wróciła trochę wolniej. Byk uśmiechnął się i kiwnął do niej przyjaźnie. Ciemna osłona przesunęła się i zobaczył patrzącego na siebie Casimira. Byk wyszczerzył się w uśmiechu. Wreszcie coś przyjemnego. Drobną nagrodą na pożegnanie.

– Hej – powiedział, choć mężczyzna nie mógł go usłyszeć. – Przytrzymaj mi to.

Rzucił oba granaty i patrzył na wyraz twarzy mężczyzny, gdy zrozumiał, czym są.

# Rozdział czterdziesty dziewiąty

## *Anna*

Anna odzyskała przytomność, unosząc się splątana z Okju, kamerzystką, dwoma krzesłami biurowymi i fikusem w doniczce. Ktoś odpalał długi sznur trzaskających fajerwerków. Ktoś inny krzyczał. Widziała niewyraźnie, więc zamrugła i potrząsnęła głową, żeby przywrócić ostrość widzenia. Co okazało się być błędem, ponieważ potrząśnięcie głową wywołało ostry ból wzdłuż kręgosłupa i prawie znowu pozbawiło ją przytomności.

– Co? – próbowała powiedzieć, ale z jej ust wydobył się tylko niewyraźny bełkot.

– Chryste, Ruda, myślałem, że jesteś już załatwiona – odpowiedział znajomy głos. Szorstki, ale przyjazny. Amos. – Nie chciałbym złamać danego słowa.

Anna z powrotem otworzyła oczy, uważając, by nie ruszać głową. Wisiała w powietrzu pośrodku pomieszczenia, w którym mieściło się studio. Okju unosiła się obok niej, ze stopą wsuniętą pod jej pachę. Anna wyplątała nogi z krzeseł biurowych, o które się zahaczyły, i odsunęła fikusa od twarzy.

Odpalono kolejne fajerwerki w długich, szarpanych ciągach. Oszołomiony mózg Anny potrzebował kilku sekund na zrozumienie, że to odgłosy strzelaniny. Amos opierał się o ścianę pokoju obok frontowych drzwi, wyciągając magazynek z karabinu i wymieniając go na nowy płynnymi ruchami wynikającymi z długiej praktyki. Po drugiej stronie drzwi jeden z przygarniętych przez nich żołnierzy ONZ



strzelał do kogoś na zewnątrz. Pociski z drugiej strony oderwały kawałki formowanego włókna szklanego z tylnej ściany, kilka metrów od miejsca, w którym unosiła się Anna.

– Skoro jeszcze żyjesz – odezwał się Amos, a potem urwał, żeby wyrzeć za róg i wystrzelić krótką serię. – To pewnie lepiej będzie, jak zabierzesz się ze środka pokoju.

– Okju – powiedziała Anna, szarpiąc rękę kobiety. – Obudź się. Musimy się ruszać.

Pociągnięta ręka Okju poruszyła się bezwładnie, a kobieta zaczęła się powoli obracać w powietrzu. Anna zobaczyła, że jej głowa jest zgięta pod ostrym kątem do ramion, ma bezwładną twarz, a oczy patrzą w pustkę. Odruchowo odsunęła się od niej, gdy prymitywna istota mieszkająca u podstawy kręgosłupa kazała jej jak najszybciej oddalić się od trupa. Krzyknęła i odepchnęła się stopami od ciała Okju, wysyłając ją i siebie w przeciwne strony. Kiedy uderzyła o ścianę, chwyciła obudowę lampy LED i przywarła do niej z całą siłą. Ból w szyi i głowie nieustannie atakował ją pulsowaniem.

Dźwięki strzałów nie ustawały. Amos i jego nieliczna, mieszana grupka obrońców strzelali przez wszystkie otwory biura, z których kilka wycięto specjalnie do tego celu.

Byli atakowani. Ashford wysłał swoich ludzi, żeby ich powstrzymali. Do Anny gwałtownie wróciły wspomnienia ostatnich kilku chwil. Okropny zgrzytliwy dźwięk, rzucenie w bok na ścianę.

Ashford musiał zatrzymać cylinder, żeby ich powstrzymać i żeby jego ludzie mogli ich powystrzelać. Ale skoro Okju zginęła na skutek gwałtownego zatrzymania, to taki sam efekt musiał się powtórzyć dziesiątki, może setki razy w całej prowizorycznej społeczności *Behemota*. Ashford był gotów zabić wszystkich, żeby postawić na swoim. Anna poczuła rosnącą furję i ucieszyła się, że nikt nie pomyślał, by dać jej broń.

– Wciąż nadajemy? – krzyknęła do Amosa przez grzechot strzałów.

– Nie wiem, Ruda. Monika jest w pokoju radiowym.

Anna przeciągnęła się wzdłuż ściany do schowka, w którym ustawili sprzęt do nadawania. Drzwi były otwarte i zobaczyła unoszącą się w środku Monikę, która sprawdzała urządzenia. Nie było

tam dość miejsca na nie obie, więc Anna tylko otworzyła drzwi trochę szerzej i zapytała.

– Wciąż nadajemy? Możemy wrócić na antenę?

Monika roześmiała się bez rozbawienia, ale się nie odwróciła.

– Myślałam, że nie żyjesz.

– Żyję, ale Okju zginęła. Chyba złamała sobie kark. Wezmę kamerę, jeśli chcesz. Gdzie jest Clip?

– Clip pomagał Amosowi i został postrzelony w biodro. Wykrwawia się w sąsiednim biurze. Tilly mu pomaga.

Anna wepchnęła się do małego pomieszczenia i położyła dłoń na ramieniu Moniki.

– Musimy wrócić na wizję. Musimy dalej nadawać albo to wszystko będzie na próżno. Powiedz mi, co mam robić.

Monika znów się roześmiała, potem odwróciła się i strzepnęła dłoń Anny ze swojego ramienia.

– Jak myślisz, co się tu dzieje? Ludzie Ashforda na zewnątrz próbują się tu dostać i nas pozabijać. Byk i jego ludzie stracili maszynownię, a Juarez mówi, że Byk został zabity. Kto wie, ilu ludzi...

Anna zaczęła się stopą o klamkę, chwyciła Monikę za ramiona i walnęła reporterką o ścianę.

– Czy sprzęt do nadawania dalej działa? – Zdumiało ją, jak spokojnie brzmiał jej głos.

– Został trochę poobijany, ale...

– Czy. On. Działa.

– Tak – potwierdziła Monika. Zabrzmiało to jak przestraszony pisk.

– Ustaw mi kanał, którego używał zespół szturmowy, i daj słuchawki – poleciła Anna, a potem puściła ramiona Moniki.

Reporterka zrobiła, co jej kazano, ruszając się szybko i tylko okazjonalnie posyłając jej przestraszone spojrzenie. *Stałam się przerażająca*, pomyślała Anna. Posmakowała tej myśli i stwierdziła, że wcale nie jest tak nieprzyjemna, jak się spodziewała. To były przerażające czasy.

– Kurwa! – krzyknął Amos z drugiego pokoju.

Kiedy Anna wyjrzała, zobaczyła jednego z młodych marsjańskich oficerów unoszącego się blisko środka sali, rozpylał w powietrzu

wokół małe kulki krwi. Jej przyjaciel, Chris, rzucił się przez salę, odpychając się zdrową nogą i chwycił rannego jedną ręką, a potem zaciągnął go w bezpieczniejsze miejsce.

– Kończy nam się czas – zwróciła się Anna do Moniki. – Pracuj szybciej.

W odpowiedzi Monika podała jej zestaw słuchawkowy z mikrofonem.

– Halo? Tu Anna Wołowodow z Radia Wolna Powolna Strefa. Czy ktoś został jeszcze na tym kanale?

Ktoś odpowiedział, ale nie usłyszała słów przez grzmot pobliskich wystrzałów.

– Proszę powtórzyć – powiedziała Anna po podkręceniu głośności na maksimum.

– Jesteśmy – powiedział James Holden ogłuszająco głośno.

– Ilu was zostało i jak wygląda sytuacja?

– No cóż – powiedział Holden, po czym urwał i sapnął, jakby przez kilka sekund mocno się wyteżał. Kiedy znowu się odezwał, brakowało mu tchu. – Siedzimy w szybie windy tuż przed służą pokładu dowodzenia. Jest nas tu troje. Byk i pozostali marines walczą z zespołem wysłanym przez przeciwnika głębiej w szybie. Nie mam pojęcia, jak im to idzie. Nie mamy się już gdzie wycofywać, więc jeśli ktoś nie zdecyduje się otworzyć wjazdu i wpuścić nas na mostek, w zasadzie skończyły nam się możliwości.

Ostatnią część jego zdania prawie zagłuszyła potężna kanonada ze strony napastników w biurze. Amos i jego ludzie skulili się przy płytach wzmocnień przymocowanych do ścian. Dźwięki wystrzałów i odgłosy pocisków uderzających w metal były ogłuszające. Gdy ogień osłabł, do pokoju wbiegło dwóch ludzi w pancerzach ochrony, siejąc na wszystkie strony ogniem z broni automatycznej. Dwóch ludzi Amosa zostało trafionych i w powietrzu pojawiły się kolejne kulki krwi. Amos chwycił mężczyznę, który przebiegł przez drzwi jako drugi i oderwał go od podłogi, przy której trzymały go magnesy, a potem rzucił na partnera. Zaczęli wirować razem, lecąc przez pokój, a Amos wypuścił w nich długą serię ze swojego karabinu. Powietrze wypełniło tak wiele unoszących się czerwonych kul różnych

rozmiarów, że trudno było cokolwiek zobaczyć. Reszta ludzi Amosa otworzyła ogień i atak podkomendnych Ashforda został najwyraźniej odparty, ponieważ przez drzwi nie wbiegł nikt więcej.

– Czy możemy wam jakoś pomóc? – Anna krzyknęła do Holdena.

– Sądząc po odgłosach, ty też jesteś w niezłym gównie, pastorko – odpowiedział Holden. Mówił zmęczonym głosem. Smutnym. – O ile nie masz pod ręką sterowania dostępnym do mostka, to chyba raczej powinnaś się skupić na swoich problemach.

Z biura dalej dobiegały wystrzały, ale rzadsze. Amos odepchnął duży atak i teraz tylko strzelali do siebie na pokaz. Monika patrzyła na nią, czekając, aż wyda kolejny rozkaz. W jakiś sposób to ona zaczęła tu dowodzić.

– Przełącz mnie na nadawanie do strumienia Radia Wolna Powolna Strefa – poleciła Anna. W gruncie rzeczy w tej chwili mogła już tylko zaoferować mówienie.

Monika przytaknęła i skierowała w jej twarz obiektyw małej kamery.

– Tu Anna Wołowodow, nadaję ze studia Radia Wolna Powolna Strefa do każdego na pokładzie *Behemota*, kto wciąż nas słucha. Nie udało się nam utrzymać maszynowni, więc nasz plan wyłączenia reaktora i zabrania wszystkich z powrotem do domu też się nie udał. Mamy ludzi uwięzionych w szybie zewnętrznej windy, którzy nie mogą się dostać na mostek. Proszę, jeśli ktokolwiek, kto tego słucha, może pomóc – niech to zrobi. Potrzebujemy cię. Potrzebują cię wszyscy w tej flotyli. Potrzebują cię ludzie ginący na progu twoich drzwi. A co najważniejsze, potrzebują cię ludzie zostawieni na Ziemi, Marsie i w Pasie. Jeśli kapitan zrobi to, co zaplanował, jeśli wystrzeli z lasera w Pierścień, wszyscy w domu także zginą. Proszę, jeśli mnie słyszysz, pomóż nam.

Urwała, a Monika odłożyła kamerę.

– Czy to zadziała? – zapytała Monika.

Anna zamierzała zaprzeczyć, gdy tuż przy niej zabrzączał ścienny panel łączności.

– Skąd to wiesz? – zapytał głos. Młody, kobiecy, smutny. Clarissa. – To, co powiedziałaś o zniszczeniu Ziemi, jeśli zaatakujemy Pierścień,

skąd o tym wiesz?

– Clarissa – odpowiedziała Anna. – Gdzie jesteś?

– Tu, na mostku. Przy konsoli ochrony. Oglądałam twoją transmisję.

– Czy możesz otworzyć drzwi i wpuścić naszych ludzi?

– Tak.

– A zrobisz to?

– Skąd – powtórzyła Clarissa, ani odrobinę nie zmieniając tonu głosu – wiesz to, co powiedziałaś?

Człowiek, którego generalnie obarcza się winą za wybuch dwóch wojen obejmujących cały Układ Słoneczny, dostał tę informację od stworzonego przez protomolekułę ducha, którego nie widzi nikt inny. To nie było szczególnie przekonujące uzasadnienie.

– James Holden zdobył tę informację podczas swojego pobytu na stacji.

– Czyli to *on* powiedział, że tak się stanie – powątpiewającym tonem stwierdziła Clarissa.

– Tak.

– To skąd wiesz?

– Nie wiem, Claire – przyznała Anna, przejmując zdrobnienie używane przez Tilly, żeby stworzyć jakąś więź. – Nie wiem. Ale Holden wierzy, że to prawda, a konsekwencje w przypadku, gdyby miał rację, są zbyt wielkie, by ryzykować. Więc przyjął to na wiarę.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

– Z kim tu rozmawiasz – zapytał męski głos po drugiej stronie połączenia.

Anna potrzebowała chwili, by rozpoznać w nim Corteza. Wiedziała, że jest na mostku z Ashfordem, ale w jakiś sposób przypomnienie, że stanął po stronie ludzi, którzy zabili Byka, stało się zbyt bolesne. Musiała się powstrzymać, żeby go nie zbluzgać.

– Anna chce, żebym otworzyła śluzę windy i wpuściła na mostek drugą stronę. Chce pomocy w powstrzymaniu Ashforda przed zniszczeniem Pierścienia. Twierdzi, że jeśli to zrobimy, doprowadzi to do śmierci wszystkich na Ziemi.

– Nie słuchaj jej – powiedział Cortez. – Ona po prostu się boi.

– Boi się? – krzyknęła Anna. – Słyszysz te dźwięki, Hector? To

strzały. Kule latają tu, nawet gdy rozmawiamy. Jesteś zamknięty w bezpiecznym i przytulnym pomieszczeniu na mostku, planując zniszczenie czegoś, czego nie rozumiesz, podczas gdy ja ryzykuję postrzał, żeby cię zatrzymać. Kto się tu boi?

– Boisz się poświęcenia koniecznego, żeby ochronić ludzi, których zostawiliśmy w domu. Myślisz tylko o sobie! – odkrzyknął do niej.

Anna usłyszała w tle dźwięk zamykanych drzwi. Ktoś zamknął drzwi do stanowiska ochrony, żeby kłótni nie usłyszano na mostku. Jeśli to Clarissa, to był to dobry znak.

– Clarisso. – Anna starała się mówić jak najspokojniejszym głosem pomimo ciągle dobiegających zza pleców odgłosów strzelaniny. – Claire, ludzie czekający przed drzwiami śluzę zginą, jeśli ich nie otworzysz. Są tam uwięzieni. Idą do nich inni, którzy chcą ich zabić.

– Nie zmieniaj tematu – warknął Cortez.

– Tam są Holden i Naomi – kontynuowała Anna, ignorując go. – I Byk. Ashford chce ich wszystkich zabić.

– Nie groziłoby im niebezpieczeństwo, gdyby nie zwrócili się przeciwko prawomocnemu dowództwu Ashforda – powiedział Cortez.

– To troje ludzi, którzy świadomie zdecydowali się dać ci drugą szansę – powiedziała Anna. – Byk zdecydował się chronić cię przed zemstą floty ONZ, choć nie miał ku temu żadnego powodu. Kiedy ją o to poprosiłam, Naomi wybaczyła ci, że prawie ją zabiłaś. A Holden zgodził się nie robić ci krzywdy, pomimo twoich licznych prowokacji przeciw niemu.

– Ci ludzie to *przestępcy*... – Cortez próbował wejść jej w słowo, ale utrzymała stały poziom głosu i nie przerywała.

– To ludzie, którzy ci wybaczyli, ludzie starający się pomóc innym. Ludzie, którzy oddali życie, żeby ocalić obcych, są po drugiej stronie tamtych drzwi i umierają. Tego nie muszę przyjmować na wiarę. To fakt. To się dzieje w tej chwili.

Anna urwała, czekając na jakiś znak, że Clarissa słucha. Żadnego nie dostała. Nawet Cortez przestał się odzywać. Konsola łączności syczała cicho, co było jedyną oznaką, że wciąż jest włączona.

– Proszę cię o pomoc właśnie tym ludziom – odezwała się znowu Anna. – Proszę cię o zdradzenie człowieka, który zabijał niewinnych

ludzi dla własnej wygody. Zapomnij o Ziemi, o Pierścieniu i o wszystkim innym, co musisz przyjąć na wiarę. Zadaj sobie to pytanie: czy chcesz pozwolić, żeby Ashford zabił Holdena i Naomi? Żadnej wiary. Tylko to proste pytanie, Claire. Czy możesz pozwolić im zginąć? Jakiego wyboru dokonali, gdy zapytano każde z nich o to samo w stosunku do ciebie?

Anna zdawała sobie sprawę, że mówi chaotycznie. Wiedziała, że się powtarza, ale i tak musiała się zmusić, żeby przestać mówić. Nie była przyzwyczajona do próby ratowania czyjejs duszy, nie widząc tej osoby, aby ocenić efekt jej słów na podstawie reakcji. Ciągle próbowała wypełnić to puste miejsce kolejnymi słowami.

– Mnie też nie podoba się pomysł, że ci ludzie mają zginąć – odezwał się Cortez. Zdawał się smutny, ale nieugięty w swoim stanowisku. – Jednak istnieje konieczność poświęcenia. Poświęcenie dosłownie znaczy *uczynić świętym*.

– Poważnie? – Anna zaśmiała się bez rozbawienia. – Będziemy się pojedynkować na etymologię?

– Mamy tu do czynienia z czymś, na co ludzkość nie jest gotowa – powiedział Cortez.

– Nie tobie o tym decydować, Hank – odpowiedziała gwałtownie Anna, dźgając palcem w radio, jakby było jej rozmówcą. – Pomysł o ludziach, których zabijasz. Spójrz, z kim pracujesz, i powiedz mi, że z czystym sumieniem jesteś pewien, że postępujesz właściwie.

– Argumentacja przez skojarzenie? – zapytał Cortez. – Doprawdy? Boże narzędzia nigdy nie były doskonałe. Jesteśmy upadłymi ludźmi, ale mamy siłę woli, by zrobić to, co konieczne, nawet wobec śmiertelnej kary, i to właśnie czyni z nas stworzenia moralne. A ty ze wszystkich ludzi...

Na chwilę w głośniku zapadła cisza.

– Cortez? – zapytała Anna.

Jednak kiedy Cortez znów się odezwał, nie mówił do niej.

– Co ty robisz, Clarisso?

Głos dziewczyny brzmiał spokojnie, prawie na rozespany.

– Otworzyłam drzwi.

# Rozdział pięćdziesiąty

## *Holden*

Naomi zdjęła panel dostępu ze ściany obok śluzy na pokład dowodzenia. Wczołgała się do połowy do środka tak, że wystawał tylko jej brzuch i nogi. Holden zablokował magnetyczne buty obok zewnętrznych drzwi śluzy i czekał na jej polecenia. Co jakiś czas prosiła go o ponowną próbę otwarcia drzwi, ale jak dotąd każda próba zawiodła. Corin unosiła się obok niego, zaglądając w głąb szybu windy przez celownik karabinu. Kilka minut temu zobaczyli w dole silny rozbłysk światła, a po chwili ściany zawibrowały. Zdarzyło się coś gwałtownego i wybuchowego.

Holden, który przeniósł się już na drugi ostatni bastion tego dnia, zaczął odbierać całą sytuację ze swoistym ponurym poczuciem humoru. Jeśli chodzi o miejsca na śmierć, mała platforma między szybem windy a śluzą była równie dobra, jak każde inne miejsce. Była to nisza w ścianie szybu, szeroka na jakieś trzy metry. Podłogę, ściany i sufit wykonano z takiego samego kompozytu stali i ceramiki, jak zewnętrzny kadłub statku. Tylną ścianę stanowiły drzwi śluzy, a z przodu mieli pustą przestrzeń, gdzie zwykle zatrzymywała się winda. Przynajmniej kiedy ludzie Ashforda przylecą tu na nich z głębi szybu, podłoga niszy zapewni im jakąś osłonę.

Naomi przesunęła się trochę w bok i machnęła jedną nogą. Holden słyszał przez radio, jak sapnęła z wysiłkiem, próbując złapać coś tuż poza zasięgiem.

– Mam cię – rzuciła triumfalnie. – Dobra, spróbuj teraz!



Holden wcisnął przycisk otwarcia zewnętrznych drzwi śluzy. Nic się nie stało.

– Próbujesz? – zapytała Naomi.

Wcisnął przycisk jeszcze dwa razy.

– Jasne. Nic.

– Szlag. Mogłabym przysiąc...

Corin przesunęła się na tyle, żeby posłać mu sardoniczne spojrzenie, ale nic nie powiedziała.

Prawdę mówiąc, Holdenowi skończyło się paliwo do emocji. Doznał swojej egzystencjalnej chwili prawdy, gdy sądził, że czeka go ostatnie starcie przy windzie, by kupić Naomi czas. Potem dostał odroczenie, gdy napastnicy wybrali inną drogę, ale na linii ognia znalazła się Naomi, co w zasadzie było jeszcze gorsze. A potem pokazała się kilka minut temu, mówiąc, że Byk wysłał ją przodem, żeby otworzyła drzwi, podczas gdy sam pilnował tyłów.

Jak dotąd każdy stworzony przez nich plan spektakularnie zawodził, mnożąc liczbę ofiar na każdym kroku. Teraz znaleźli się w kolejnym ostatnim punkcie oporu, mając za sobą zamknięte drzwi, przed sobą zbirów Ashforda i żadnej drogi ucieczki. Powinno go to przerażać, ale teraz Holden czuł się już tylko śpiący.

– Spróbuj teraz – poprosiła Naomi.

Holden kilka razy dźgnął palcem przycisk, nawet na niego nie patrząc.

– Nic z tego.

– Może... – powiedziała i przesunęła się, znowu kopiąc nogami.

– Dwa obiekty – ostrzegła Corin ostrym i szumiącym w radiu głosem.

Nigdy jeszcze nie słyszał jej głosu na żywo, nie przez radio. Zastanawiał się, czy bez pośrednictwa elektroniki brzmi tak samo. Podszedł do brzegu platformy i spojrzał w dół, bo magnetyczne buty oszukały jego mózg, że znowu istnieje góra i dół.

Patrząc przez lunetę karabinu, zobaczył dwóch marsjańskich marines sunących przez szyb najszybciej, jak pozwalały im na to tanie skafandry próżniowe. Jeszcze ich nie rozpoznawał. Nie było z nimi Byka.

– Spróbuj teraz – odezwała się Naomi.

– Zajęty – odpowiedział Holden, skanując przestrzeń za Marsjanami w poszukiwaniu ścigających. Nikogo nie zobaczył.

Naomi wyczołgała się ze swojego panelu i podleciała do niego, żeby zobaczyć, co się dzieje. Marines sunęli w ich stronę szybem z dużą prędkością, w ostatniej chwili odwrócili się i uderzyli w sufit stopami, gwałtownie się zatrzymując. Potem odepchnęli się i wylądowali obok Holdena, przyczepiając się do podłoża magnetycznymi butami.

Holden widział teraz przez ich przyłbice i rozpoznał snajpera – Juareza – oraz ciemnoskórą kobietę, której imienia nigdy nie zanotował w pamięci.

– Straciliśmy blokadę – powiedział Juarez. W jednej ręce trzymał swój długi karabin, a w drugiej świeży magazynek. Załadował broń i powiedział do partnerki, że to jego ostatni.

– Trzy – odpowiedziała po sprawdzeniu swojej upręży.

– Raport – rzucił Holden, odruchowo przechodząc w tryb dowódcy wojskowego. Był porucznikiem we flocie, a Juarez tylko kapralem. Szkolenie wpajane im na temat tego, kto wydaje rozkazy, a kto je wykonuje w walce, zapadło bardzo głęboko.

– Zdjąłem jednego przeciwnika strzałem w głowę i sądzę, że drugi został zneutralizowany naszymi pozostałymi materiałami wybuchowymi. Brak danych o pozostałych dwóch. Mogli zostać zranieni lub zabici w wybuchu, ale nie możemy na to liczyć.

– Byk? – zapytała Corin.

– To on trzymał granaty. Ten drugi przeciwnik to jego dzieło.

– Byk – powtórzyła Corin, tym razem się dławiąc. Holden poczuł zaskoczenie, widząc łzy w jej oczach. – Musimy po niego iść.

– Nic z tego – odpowiedział Juarez. – Winda stała się barierą, on jest w środku. Cokolwiek zrobimy, żeby wydobyć jego ciało, aktywnie osłabi to naszą pozycję obronną.

– Pieprz się – warknęła Corin, robiąc gniewnie krok w stronę Juareza i unosząc dłonie zaciśnięte w pięści. – Nie zostawimy go...

Zanim zdołała zrobić kolejny krok, Holden złapał ją za uprząż broni i poderwał z podłogi, a potem odwrócił i walnął nią o najbliższą ścianę. Usłyszał przez radio, jak uchodzi z niej powietrze w sapnięciu.

– Później będziesz go opłakiwać – powiedział, nie puszczając. – Kiedy będzie po wszystkim. Wtedy będziemy opłakiwać ich wszystkich.

Chwyciła dłońmi jego nadgarstki i przez jedną przerażającą chwilę Holden myślał, że spróbuje z nim walczyć. Miał poważne wątpliwości odnośnie do możliwości wygrania zapasów w stanie nieważkości z masywną oficer ochrony. Ale ona tylko oderwała jego dłonie od swojej uprząży i odepchnęła się z powrotem na podłogę.

– Zrozumiano, sir – powiedziała.

– Wracaj na straż – powiedział Holden głosem najłagodniejszym, jak potrafił.

Podeszła do brzegu platformy. Juarez przyglądał się temu bez komentarza.

– Jaki mamy plan, sir? – spytał po chwili sugerującej szacunek.

– Naomi próbuje otworzyć drzwi, ale na razie bez powodzenia. Wysadzenie windy mogło wam dać parę dodatkowych minut, ale może to wszystko.

– Postaramy się je jak najlepiej wykorzystać – odpowiedziała druga marine z lekkim uśmiechem.

Juarez roześmiał się i klepnął ją w plecy.

– Czyli to nasza ostateczna pozycja obronna. Dobra osłona i pole ostrzału. Jeśli będę miał szczęście, może rozbiję jeszcze jeden wizjer. Cass, może weź prawy róg, Corin będzie mogła trzymać lewy, a ja się ustawię tu, na środku. Holden będzie mógł przechodzić na tę stronę, która będzie bardziej obciążona.

Urwał, kiwając w stronę Holdena.

– Jeśli się pan zgodzi, sir.

– Zgadzam się – odpowiedział Holden. – Właściwie to przekazuję ci pełne dowodzenie taktyczne nad tą pozycją. Będę próbował pomóc Naomi z drzwiami. Krzycz, jeśli będziesz miał kłopoty.

Juarez kopnięciem wyłączył magnesy butów, odbił się do góry i zaczepił na suficie. Wyprostował się, kierując długi karabin nad głowę, prosto w głąb szybu. Z perspektywy Holdena wyglądał jak zwisający z sufitu, dobrze uzbrojony nietoperz.

– Ruch – ostrzegł Juarez prawie natychmiast.

– Cholera – rzuciła marine o imieniu Cass. – Szybko przebili się przez barierę.

– Wygląda na to, że jeszcze nie przeszli, ale ściana się wygina jakby walili w nią pięściami.

– Mam pomysł – oświadczyła Naomi i podeszła do krawędzi platformy, a potem po ścianie na przeciwną stronę szybu windy.

– Gdzie idziesz? – zapytał Holden.

– Panel – rzuciła tylko w odpowiedzi i otworzyła pokrywę panelu dostępu na ścianie szybu windy, a potem weszła do środka. Otwór był na tyle duży, że całkowicie w nim zniknęła.

Holden nie sądził, żeby było tam coś, co mogłoby im pomóc otworzyć śluzę, ale już się nie przejmował. Pozostając tam, Naomi była schowana, ludzie Ashforda mogą nie zwracać sobie głowy szukaniem jej. Prawdopodobnie nie wiedzieli zbyt dobrze, przeciwko komu i w jakiej liczbie walczyli w maszynowni.

– No to idą – rzucił Juarez, patrząc w głąb szybu przez lunetę snajperki. – Zostało dwóch. – Lufa karabinu rozbłysła. – Szlag, pudło. – Strzelił jeszcze dwa razy.

Cass zaczęła strzelać z karabinu szturmowego pojedynczymi strzałami, za każdym razem starannie celując. Wrogowie byli niecały kilometr od nich. Holden nie sądził, żeby zdołał z tej odległości trafić w zaparkowany prom, a co dopiero w szybko poruszający się cel wielkości człowieka, ale po spędzeniu pewnego czasu z Bobbie Draper wiedział, że skoro Cass strzelała, to znaczyło, że jej zdaniem miała szansę na trafienie. Nie zamierzał się z nią spierać.

– Osiemset metrów – powiedział Juarez jakby podawał komuś godzinę. – Siedemset pięćdziesiąt. – Znowu wystrzelił.

Cass wystrzeliła ostatni pocisk z magazynka, a potem wymieniła go jednym płynnym ruchem. Został jej już tylko jeden w zapasie. Holden wyciągnął trzy magazynki ze swojego bandoliera i zostawił je unoszące się koło jej lewego łokcia. Kiwnęła głową w podzięcie, nie przerywając strzelania. Juarez strzelił jeszcze dwa razy, a potem powiedział:

– Koniec. – Dalej wpatrywał się w celownik, podając Cass odległość.

Kiedy dotarli na pięćset metrów, Corin też zaczęła strzelać.

Holden pomyślał, że to wszystko było bardzo odważne. Nikt z nich nie był gotów się poddać, niezależnie od szans. Ale było to też bezcelowe. Juarez miał jedyną broń, która mogła w jakiś sposób zagrozić przeciwnikom w najnowocześniejszych pancerzach wspomaganych zwiadu, a wystrzelał się do zera, zaliczając tylko jedno zabójcze trafienie. Posyłali więc mnóstwo pocisków w zbliżającego się wroga, bo to właśnie robili ludzie tacy jak oni, gdy nie było żadnych szans na przeżycie. W końcu jednak Ashford wygra. Gdyby Holden nie był tak wyczerpany emocjonalnie, byłby wkurzony.

Diody LED szybu windy obudziły się nagle do życia, zalewając wszystkich białym światłem. W ich stronę leciało dwóch żołnierzy w skradzionych pancerzach wspomaganych. Zanim miał czas się zastanowić, dlaczego wróciło zasilanie, rozległ się łomot, który poczuł przez stopy. Rozsunęła się spora część ściany szybu i do środka na hydraulicznych siłownikach powoli wsunęła się zapasowa kabina, blokując się po chwili w szynach. Na panelu kontrolnym kabiny rozbłysły kontrolki, gdy jej systemy przeszły cykl rozgrzewania. A potem światło na panelu rozbłysło trzy razy na czerwono i kabina pomknęła po szynach z dużą prędkością.

– Hm – rzucił Juarez.

Uderzenie pędzącej kabiny zapasowej o nieruchomą kabinę główną wstrząsnęło ścianami na tyle mocno, że hełm Holdena zadźwięczał jak dzwon.

– No proszę – rzuciła Cass.

Corin wychyliła się nad krawędzią platformy, spojrzała w dół i krzyknęła obelżywie w próżnię.

Kilka sekund później z otwartego panelu technicznego wyłoniła się głowa Naomi. Popatrzyła na nich i pomachała.

– Zadziałało?

Holden stwierdził, że jest zbyt wyczerpany, żeby poczuć ulgę.

– Tak sędzę.

– Pancerze są dość twarde – skomentował Juarez. – Mogły to przeżyć. Ale przy tej prędkości ktokolwiek był w środku, teraz pewnie zmienił się w płyn.

Naomi przeszła po ścianie szybu windy i z powrotem zeszła na ich

platformę.

– Nie jestem dobra z bronią – powiedziała prawie przeprasającym tonem.

– Nie – zgodził się Juarez, rękami wykonując gest poddania się. – Po prostu rób to po swojemu. I daj znać, jeśli będę ci przeszkadzał.

– Niestety, to nie rozwiązuje naszego problemu – dodała Naomi, wciąż tonem przeprosin.

Ponieważ nie mógł jej pocałować w skafandrze próżniowym, Holden objął ją i przycisnął do swojego boku.

– Bardzo się cieszę, że rozwiązałaś nasz problem z rozerwaniem na części.

– Szamie, otwórz się – powiedziała Corin, która odwróciła się, żeby spojrzeć na śluzę, gdy Naomi o niej wspomniała.

I wtedy drzwi do śluzy się otworzyły.

– Jasny gwint! – wykrzyknął Holden. – Czy właśnie użyłaś magii?

– Mrugała zielona kontrolka cyklu – odpowiedziała Corin.

– Ty to zrobiłaś? – Holden zwrócił się do Naomi.

– Nie.

– W takim razie musimy uważać. – Holden oddał swój karabin i pozostałe magazynki Juarezowi, a potem wyciągnął pistolet. – Juarez, kiedy otworzą się wewnętrzne drzwi, idziesz na szpicy.

Cass przytaknęła, a Naomi wcisnęła przycisk cyklu. Zewnętrzne drzwi zamknęły się i przez dwie pełne napięcia minuty równoważyło się ciśnienie powietrza. Kiedy w końcu otworzyły się wewnętrzne drzwi, wszyscy poza Naomi kierowali w nie broń.

Po drugiej stronie nie było niczego poza krótkim korytarzem prowadzącym do kolejnej windy i drugim przejściem w połowie, odchodzącym w lewo.

– Ten korytarz prowadzi na mostek – powiedziała Corin. – Pięć metrów długości i jakieś półtora szerokości. Jest tam właz, ale zamyka się i blokuje tylko w razie awaryjnej dekompresji. Albo jeśli ktoś przy konsoli ochrony wciśnie obejście.

– W takim razie to nasz pierwszy cel – zdecydował Holden. – Cass, kiedy tam wejdziemy, ty idź w prawo i przejmij konsolę ochrony. Juarez, ty w lewo i spróbuj odciągnąć ogień od Cass. Corin i ja

pójdziemy też w prawo i spróbujemy dopaść Ashforda. Jeśli przystawimy do niego broń, chyba wszystko powinno się skończyć. Ty zostań tutaj, Naomi, ale bądź gotowa przybiec, gdy zawołamy. Twoim zadaniem będzie przejęcie kontroli nad statkiem.

– Dość gówniany plan, poruczniku – skomentował Juarez z krzywym uśmiechem.

– Masz jakiś lepszy?

– Nie, więc zrobmy to. – Juarez przystawił karabin do ramienia i ruszył w głąb korytarza szybkim przesuwem magnetycznych butów.

Cass ruszyła zaraz za nim z ręką na jego plecach. Holden poszedł jako trzeci, mając za sobą Corin. Naomi została przy drzwiach windy, nerwowo ściskając torbę z narzędziami.

Kiedy dotarli do skrzyżowania, Juarez zasygnalizował zatrzymanie, a potem wyjrzał za róg. Po chwili cofnął głowę.

– Czysto do punktu wejścia na mostek. Kiedy ruszymy, musimy iść szybko. Nie zatrzymujcie się z żadnego powodu. Tutaj wygramy maksymalną agresją.

Po rundzie potwierdzeń odliczył w dół do trzech, krzyknął „już, już, już”, wyskoczył za róg i został natychmiast postrzelony.

Było to tak nieoczekiwane, że Cass odruchowo cofnęła się o krok, wchodząc na Holdena. Juarez krzyknął z bólu i rzucił się z powrotem do korytarza. W ściany i pokład uderzały pociski. Po długiej ciszy próżni w szybie windy odgłosy strzałów i uderzeń kul dezorientowały. Ogłuszały.

Cass i Holden chwycili Juareza za ręce i odciągnęli go za róg, poza zasięg pocisków. Cass osłaniała skrzyżowanie, a Holden sprawdził obrażenia Juareza. Miał rany postrzałowe w biodrze, przedramieniu i stopie. Żadna nie wyglądała na śmiertelną, ale razem groziły szybkim wykrwawieniem. Odciągnął go w głąb korytarza, do śluzy. Wskazał na szafkę awaryjną, a Naomi podążyła wzrokiem za jego gestem i kiwnęła głową.

– Zrób, co możesz – rzucił i wrócił przez korytarz do Cass.

Odezwała się, kiedy położył dłoń na jej ramieniu, żeby dać jej znać, że tam jest.

– Sądząc po nasileniu ognia, dziesięciu do dwunastu strzelających.

Głównie lekkie karabinki szturmowe i pistolety. Jedna strzelba. Ten korytarz to strefa śmierci, nie przejdziemy przez niego.

– Kurwa! – wrzasnął Holden z frustracją. Wszechświat znowu poczekał, aż został kompletnie pokonany, rzucił mu strzępek nadziei, a potem znowu go wyrwał.

– Nowy plan? – zapytała Corin.

– Chyba odpowiedzieć ogniem – stwierdził, częściowo wychylił się za róg i szybko posłał trzy pociski.

Schował się z powrotem na czas, by uniknąć salwy, która rozerwała ścianę obok niego. Kiedy nasilenie strzałów zmalało, Cass rzuciła się przez otwór na drugą stronę. Był to ryzykowny ruch, ale dostała się tam w całości i zaczęła się wychylać, żeby prowadzić ostrzał z karabinu szturmowego. Kiedy ogień przeciwnika zmusił ją do schowania się, Corin wychyliła się zza Holdena i posłała kilka strzałów.

Zanim jednak zdążyła się z powrotem schować, pocisk przebił ramię jej skafandra próżniowego, wysyłając w powietrze białą wyściółkę i czarny żel uszczelniający.

– Nie jestem ranna, nie jestem ranna – krzyknęła, a Cass wychyliła się i strzeliła znowu, żeby nie dać obrońcom spokoju.

Holden obejrzał się w głąb korytarza, gdzie Naomi zdejmowała skafander z Juareza, spryskując jego rany bandażami w aerozolu.

Kolejna fala wystrzałów zmusiła Cass i Corin do schowania się. Kiedy strzelanina na sekundę osłabła, Holden wychylił się i wystrzelił jeszcze kilka razy.

To właśnie robili ludzie tacy jak oni, gdy nie było żadnych szans.



# Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

## *Clarissa*

– Coś ty, u diabła, zrobiła? – wrzasnął Ashford. Miał spuchniętą i zaczerwienioną twarz. Furia rozchyłała jego wargi jak u psa szczerzącego zęby.

Clarissa zdawała sobie sprawę, że powinna się bać. Powinna coś czuć. Zamiast tego wzruszyła ramionami jak w wieku czternastu lat i powiedziała to jeszcze raz.

– Otworzyłam drzwi.

W korytarzu na ułamek sekundy pojawił się mężczyzna, a ludzie Ashforda otworzyli ogień, zmuszając go do schowania się.

– Mam pięciu ludzi w korytarzu – poinformował jeden z techników. Patrzył na obraz z kamery monitoringu. – Trzy kobiety, dwóch mężczyzn. Jedna z nich to Corin. Chyba jest tam też Jim Holden.

Ashford z obrzydzeniem pokręcił głową.

– Dlaczego, do cholery, ich tu wpuściłaś? – zapytał. Jego głos ociekał jadem.

– Ja ich nie zabiłam – odpowiedziała Clarissa – więc ty też tego nie zrobisz.

– Była wzburzona emocjonalnie – wtrącił się Cortez, wpychając się między nią a Ashforda. Osłaniając ją swoim ciałem. – Źle zrozumiała coś, co powiedziałem. To nie było złośliwe działanie, kapitanie. Dziewczyna tylko...

– Niech ktoś ją zastrzeli – rzucił Ashford.

– Nie! – krzyknął Cortez. Brzmiał tak, jakby to jego miano zabić.

Stojący najbliżej niego strażnik odwrócił się. Lufa jego broni nagle wydała się ogromna, ale gdy rozległ się strzał, nie był przeznaczony dla niego. Na brzegu korytarza prowadzącego na mostek mignął kształt – może kobiecy, może męski – i pokój wypełnił huk wystrzałów. Zapomniana Clarissa przepchnęła się z powrotem przez drzwi do biura ochrony. Cortez ruszył za nią z rękami przy uszach, żeby osłonić się przed hałasem, kulą lub jednym i drugim. Położył dłoń na jej ramieniu, jakby chciał ją pocieszyć, ale to tylko pchnęło ją bliżej podłogi, a jego w stronę sufitu.

– Och – powiedział cicho Cortez. – Nie powinnaś była tego robić. Nie powinnaś była tego robić.

Na monitorze konsoli stanowiska ochrony wciąż przemawiała Anna. Radio Wolna Powolna Strefa, nieustająco. Z mostka dobiegła nowa kanonada.

– Zabijcie ich! – krzyknął Ashford. – Zabijcie wszystkich!

Jednak sądząc po dźwiękach, strażnicy wcale nie rzucili się do korytarza. Nie musieli. Prędzej czy później Holden, Naomi i pozostali ludzie z nimi wystrzelają się z amunicji, a wtedy zginą. Albo amunicja skończy się Ashfordowi i jego ludziom, wtedy zabije ich Holden. Tak czy tak, dla niej nie wyglądało to dobrze. Ale to nie szkodzi. Przecież po to właśnie tu przybyła.

Tylko że...

– Słyszałeś, co powiedziała? Co powiedziała Anna?

– Anna Wołowodow poważnie myli się w sprawie tego, co się tu dzieje – odpowiedział Cortez. – Pomyłką było samo dopuszczenie jej do tego projektu. Wiedziałem, że zamiast niej powinienem był poprosić o Muhammeda la Mubiego.

– Czy słyszałeś, co *powiedziała*?

– O czym ty mówisz, dziecko?

– Powiedziała, że jeśli zaatakujemy Pierścień, podejmie on działania przeciwko ludziom po drugiej stronie. Przeciw wszystkim.

– Nie może tego wiedzieć – odpowiedział Cortez. – To po prostu rzeczy, które wróg mówi, żeby nas oszukać.

– To nie była ona – wyjaśniła Clarissa. – Holden jej powiedział.

– Ten sam James Holden, który rozpoczął wojnę, „mówiąc” ludziom

różne rzeczy?

Clarissa przytaknęła. Rzeczywiście, rozpoczął przynajmniej jedną wojnę. Zniszczył Protogen, ale robiąc to, przewrócił klocki domina, które w końcu doprowadziły do obalenia Mao-Kwik i jej ojca. To było jego dzieło.

Ale.

– Nie kłamał. To wszystko, co zrobił. Ani razu nie skłamał.

Cortez otworzył usta, żeby odpowiedzieć, wykrzywiając przy tym pogardliwie twarz, ale zanim się odezwał, znowu zagrzmiały wystrzały. Poczula, jak się od nich skurczył w sobie. Powietrze wypełniało się smrodem spalonego prochu, a wymienniki powietrza przełączały się właśnie w tryb filtrowania cząstek stałych. Słyszała różnicę w obrotach wentylatorów. Prawdopodobnie nikt inny na mostku nie miał pojęcia, co to znaczy. Dla nich byłby to po prostu wyższy ton wiatraków. Jeśli w ogóle coś zauważą.

Cortez przeczesał palcami włosy.

– Trzymaj się na uboczu – powiedział. – Kiedy będzie po wszystkim, kiedy już to zrobi, porozmawiam z Ashfordem. Wyjaśnię mu, że nie zamierzałaś podważać jego władzy. To był błąd. Wybacz ci.

Clarissa spuściła głowę. Czula zmieszanie, a głód i huk wystrzałów w niczym jej nie pomagał. Tam, w korytarzu, siedział Jim Holden. Człowiek, dla którego zniesławienia i zniszczenia posunęła się tak daleko, a teraz nie chciała jego śmierci. Jej ojciec był na Ziemi i właśnie zamierzała uratować go wraz ze wszystkimi innymi, albo też wszystkich zniszczyć. Zabiła Rena i nie istniało nic, co mogłoby to kiedykolwiek naprawić. Nawet gdyby dla niego zginęła.

Była tak pewna. Dała z siebie tak wiele. Oddała wszystko, a teraz czuła się tylko pusta. I zbrukana. Pieniądze, czas i wszystkie te osoby, którymi mogła się stać, gdyby nie modliła się nieustannie przed ołtarzem rodzinnego nazwiska, na którym i tak już wszystko poświęciła. Teraz zaoferowała swoje życie, tylko że po rozmowie z Anną nie była już taka pewna, czy to też nie byłoby pustą ofiarą.

Jej zmieszanie i rozpacz były jak szum w uszach, a głos, który się przez nie przebił, był, o dziwo, jej własnym: pogarda, wściekłość i jeden pewnik, którego powinna się trzymać.

– Kim jest *Ashford*, żeby miał mi cokolwiek wybaczać? – zapytała.

Cortez spojrział na nią i zamrugał, jakby zobaczył ją po raz pierwszy.

– A skoro już o tym mowa – dodała – kim *ty*, u diabła, jesteś?

Odwróciła się i lekko odepchnęła się w stronę drzwi, zostawiając Corteza za sobą. *Ashford* i jego ludzie byli uzbrojeni, wszyscy czekali na następną okazję do strzału. Rozciągnięty za kapitańskim panelem sterowania *Ashford*, z pistoletem unoszącym się obok, walnął dłonią w pulpit.

– Ruiz! – wrzasnął. Głos miał chrapliwy. Od ilu godzin już czekali na nadejście tej apokalipsy? Słyszała zmęczenie w jego głosie. – Jesteśmy gotowi do strzału? Powiedz mi, że możemy strzelać!

Zabrzmiął głos kobiety, piskliwy od strachu.

– Gotowi, sir. Sieć energetyczna jest z powrotem aktywna. Wszystkie kontrolki diagnostyczne świecą na zielono. Powinno zadziałać. Proszę mnie nie zabijać. *Proszę*.

Czyli przyszła ta chwila. I niemal z fizycznym kliknięciem wiedziała nagle, jak to naprawić, jeśli był jeszcze czas.

Przystawiła koniec języka do podniebienia i nacisnęła, obracając dwa razy w łagodnych kręgach w lewo. Dodatkowe gruczoły w jej ciele obudziły się do życia, jakby na nią czekały, i świat na chwilę zrobił się biały. Wydawało jej się, że mogła krzyknąć przy pierwszym uderzeniu hormonów, ale kiedy wróciła do siebie – do kogoś lepszego od siebie – nikt na nią nie zareagował. Wszyscy kierowali broń w głąb korytarza. Wszyscy skupieni na zagrożeniu stwarzanym przez *Jamesa Holdena*, tak jak kiedyś ona. Wszyscy poza *Ashfordem*. Puścił swoją broń, zostawiając pistolet unoszący się w powietrzu, i wystukiwał instrukcje odpalenia lasera. Tyle miała czasu. Za mało. Nawet naćpana po uszy bojowymi prochami nie mogła zrobić tego, co potrzeba, zanim *Ashford* odpali laser.

Czyli stał się pierwszym krokiem.

Oparła obie stopy na framudze drzwi i odbiła się w otwartą przestrzeń mostka. Powietrze zdawało się gęste i lepkie, jak woda bez wyporu. Zza rogu korytarza wyskoczyła kobieta, strzelając w stronę *Ashforda*, a jego ludzie odpowiedzieli ogniem rozjarzającym lufy ich

broni i przechodzącym w dym, a potem wykwitającym ponownie. Nie widziała pocisków, ale przez ułamek sekundy ścieżki ich przelotu przez powietrze pozostawały widoczne. Tunele pustki w pustce. Podciągnęła kolana do piersi. Prawie dotarła do Ashforda. Jego palec opadał, gotowy dotknąć ekranu sterowania, być może gotowy odpalić laser łączności. Kopnęła najmocniej jak mogła.

Uczucie naprężenia się mięśni, więzadeł i ścięgien zmuszonych do wysiłku przekraczającego maksymalne obciążenia robocze było ostrym bólem, któremu jednak towarzyszyła radość. Tylko minimalnie źle wybrała chwilę. Nie trafiła Ashforda w środek ciała, tylko ramię i głowę. Poczowała uderzenie całym ciałem, poczuła, jak jej szczęka zamyka się gwałtownie od uderzenia. Ashford odleciał przez powietrze od panelu sterowania, szeroko otwierając oczy. Dwóch strażników zaczęło odwracać się w jej stronę, ale wygięła ciało na podstawie pryczy przeciążeniowej, a potem się rozprostowała, odlatując. Pistolety rozbłysły, najpierw jeden, potem drugi, potem oba razem, wyglądały jak błyskawice podczas burzy. Pomknęły pociski, a ona zawirowała w powietrzu, przyciągając ręce do ciała, żeby obracać się szybciej. Gwintując się.

Jedna z kobiet w korytarzu zajrzała do środka, siejąc pociskami przez pokój. Kula trafiła jedną ze strażniczek i Clarissa zobaczyła, jak kobieta odlatuje w stronę najdalszej ściany. Przypominało to oglądanie klatek starego filmu. Kobieta w korytarzu, potem lufa jej broni błyskająca ogniem, potem Clarissa się obróciła. Strażnik, ciągle w tym samym miejscu, ale z krwią tryskającą już z szyi, z niewielką falą rozchodzącą się po skórze z miejsca uderzenia, jak fala od kamienia wrzuconego do stawu, potem się obróciła. Strażnik padający do tyłu, z krwią strzelającą strumieniem, niczym rozkwitająca róża. Wiedziała, że to samo byłoby z nią. Chemikalia płynące przez jej krew i rozjarzające mózg jak w ataku padaczki nie mogły zmienić możliwości jej ciała. Nie mogła uskoczyć przed kulą, gdyby któraś ją dopadła. Miała więc zamiast tego nadzieję, że żadna jej nie trafi i zrobi to, co potrzeba.

Panel dostępu był otwarty, odsłaniając wnętrze statku. Chwyciła się łagodnie brzegu panelu, zwalniając ruch. Na jej dłoni, w

miejscu, gdzie skórę przeciął metal, pojawiła się krew. Nie poczuła bólu, tylko coś w rodzaju ciepła. Jak przesłana przez ciało wiadomość, którą mogła zignorować. Bufor spadku napięcia był umiejscowiony za panelem kontrolnym matrycy. Wsunęła ku niemu dłoń, głaszcząc palcami jasną, formowaną ceramikę. Wskaźnik usterek świecił na zielono. Wciągnęła powietrze, chwyciła bufor, wcisnęła go, obróciła i pociągnęła. Urządzenie zostało w jej dłoni.

Ktoś strzelił. Na ścianie obok niej pojawiła się bruzda, rozpryskując kawałki metalu. Strzelali do niej. Albo obok niej. Nieistotne. Odwróciła ceramiczny element i osadziła go z powrotem. Wskaźnik buforu przez chwilę migał na czerwono, a potem zaświecił zielenią. Dokładnie tak, jak pokazał jej Ren. *Fatalny projekt*, pomyślała z uśmiechem i wcisnęła przycisk resetowania bufora. Wystrzelono jeszcze dwukrotnie, a grzmot wystrzałów naparł na jej bębunki jak uderzenia. Czas dostał czkawki. Nie wiedziała, jak długo wciska reset, czy może puściła go i znowu wcisnęła. Pomyślała, że już powinno być po wszystkim, ale czas był taki nieprzewidywalny. Świat znowu przeskoczył. Zaczynał się jej zjazd.

Kontrolka bufora zaświeciła się na czerwono. Clarissa uśmiechnęła się i odprężyła. Zobaczyła kaskadę awarii, jakby sama była statkiem. Jeden błędny odczyt powodował kolejny i następny, prowadząc do szybkiej i coraz poważniejszej awarii. Układ nerwowy *Behemota* wyczuwał zagrożenie, którego nie potrafił zdefiniować. Robił, co mógł, żeby się zabezpieczyć, a przynajmniej, żeby jego stan się nie pogorszył.

Zamykał się.

Odwróciła się. Ashford stał na swojej pryczy, jedną ręką trzymając się pasów bezpieczeństwa i wciskając stopy w żel. Jego usta tworzyły kwadratowy otwór czystej furii. Dwóch jego ludzi odwróciło się w jej stronę, celując do niej z broni z niemal pustymi twarzami.

Za nimi, daleko z drugiej strony mostka, w drzwiach do biura ochrony rysowała się sylwetka Corteza. Na jego twarzy widać było niepokój i zaskoczenie. Pomyślała, że nie jest człowiekiem, który dobrze radzi sobie z nieoczekiwanymi zdarzeniami. To musiało być dla niego trudne. Do tej pory nie zauważyła, jak bardzo przypominał

jej ojca. Może to coś w kształcie szczęki. Albo oczu.

Zamigotały światła. Poczwała, że jej ciało zaczyna dygotać. To już koniec. Dla niej, dla nich wszystkich. Pierwsze drgnięcie zapaści szarpnęło jej plecami jak skurcz. Poczwała falę mdłości. Nie obchodziło jej to.

Zrobiłam to, Ren, pomyślała. Pokazałeś mi jak, a ja to zrobiłam. Chyba właśnie wszystkich uratowałam. My to zrobiliśmy.

Ashford złapał swój unoszący się w powietrzu pistolet i skierował go w jej stronę. Usłyszała jego krzyk, jakby rozdzierało się mięso. Za nim krzyczał Cortez, rzucając się w powietrze. W dłoni staruszka zobaczyła kontaktowy paralizator, a rozpacz na jego twarzy wzbudziła jej wdzięczność. Dobrze było wiedzieć, że na jakimś poziomie przejmował się tym, co się z nią działo. Światła zamigotały jeszcze raz i zgasły w chwili, gdy Ashford skierował w nią broń. Nie włączyło się oświetlenie awaryjne.

Wszystko skryła ciemność, a potem na chwilę pojawiło się światło.

A potem czerń.

# Rozdział pięćdziesiąty drugi

## *Holden*

Holden wyrzucił pusty magazynek i sięgnął po następny. Jego palce trafiły w puste miejsce tam, gdzie spodziewał się go znaleźć. Niezbyt dobrze kontrolował zużycie amunicji. Chciał zatrzymać przynajmniej jeden magazynek w rezerwie. Corin strzelała z automatu zza jego pleców. Miała przy pasie zapasową amunicję do pistoletu. Nie pytając, zaczął wyciągać magazynki z jej paska i wsuwać w uchwyty na swoim. Wystrzeliła jeszcze kilka pocisków i poczekała, aż skończy. Taka to była walka.

Cass wychylała się za róg i strzelała. Pociski z drugiej strony uderzały wszędzie po jej stronie korytarza – poza tym miejscem, gdzie faktycznie była. Holden miał właśnie krzyknąć, żeby się schowała, gdy zgasły światła.

I nie tylko światła.

Zmieniło się na raz tyle elementów jego fizycznej sytuacji, że jego mózdzek nie potrafił za tymi zmianami nadążyć. Powiedział mu, że powinien mieć mdłości na wypadek, gdyby został zatruty. Pracował, opierając się na algorytmach reakcji powstałych pięćdziesiąt milionów lat temu.

Holden padł na kolana, zgięty w pół gwałtownym atakiem mdłości, a nagłe pojawienie się ciężenia było tylko jedną z licznych zmian. Jego kolana uderzyły o podłogę, bo nie miał już na sobie ciężkiego skafandra próżniowego. A to znaczyło też, że czuł woń powietrza. Na pierwszy plan wysuwał się bagienny, ostry zapach siarki. Ucho



wewnętrzne nie zgłosiło obecności siły Coriolisa, czyli nie wirowali. Nie słyszał żadnych dźwięków silnika, czyli *Behemot* nie leciał na ciągu.

Obmacał podłoże wokół siebie. Sprawiała wrażenie gleby. Wilgotna, miękka ziemia, małe kamienie. Coś, co sprawiało wrażenie niskich roślin.

– Och, hej, przepraszam – odezwał się głos. Miller.

Zrobiło się jaśniej bez żadnego widocznego źródła światła. Holden klęczał nago na szerokiej równinie porośniętej czymś, co wyglądało na mieszaninę mchu i trawy. Było ciemno jak podczas księżycowej nocy, ale w górze nie świeciły żadne księżyce ani gwiazdy. W oddali zobaczył coś, co przypominało las. Jeszcze dalej góry. Miller stał kilka metrów od niego, patrząc w górę, na niebo, wciąż ubrany w swój stary, szary garnitur i nedorzeczny kapelusz. Ręce wsadził do kieszeni, a marynarka marszczyła się wokół nich.

– Gdzie? – zaczął Holden.

– Ta planeta jest w katalogu. Najbardziej zbliżona do Ziemi, jaką znalazłem. Pomyślałem, że będziesz się tu lepiej czuł.

– Jestem na niej?

Miller się roześmiał. Coś w brzmieniu jego głosu zmieniło się od ostatniej rozmowy z Holdenem. Brzmiał na spokojniejszego, pełnego. Potężnego.

– Chłopcze, nawet *ja* tu nie jestem. Ale potrzebowaliśmy miejsca do rozmowy, a to wydawało się miłsze od białej pustki. Mam teraz trochę wolnej mocy obliczeniowej.

Holden wstał, zawstydzony swoją nagością nawet w symulacji, ale nie miał żadnego sposobu, żeby coś z tym zrobić. Jednak jeśli to *była* symulacja, to nasuwało kolejne pytania.

– Wciąż uczestniczę w strzelaniu?

Miller odwrócił się, nie do końca twarzą do niego.

– Hm?

– Kiedy mnie chwyciłeś, uczestniczyłem w strzelaniu. Jeśli to tylko symulacja w moim mózgu, czy to znaczy, że dalej latają kule? Unoszę się w powietrzu z zapadniętymi oczami czy coś takiego?

Miller wyglądał, jakby się przejął.

– Może.

– Może?

– Może. Słuchaj, nie martw się tym, to nie potrwa długo.

Holden podszedł, żeby stanąć obok niego i spojrzeć mu w oczy. Miller posłał mu swój uśmiech smutnego basseta. Jego oczy jarzyły się elektrycznym błękitem.

– Ale zrobiliśmy to, prawda? Zeszliśmy poniżej progu mocy?

– Tak. A ja przekonałem stację, by uznała was za śmieci i skały.

– Czy to znaczy, że ocaliliśmy Ziemię?

– Cóż – odpowiedział Miller z pasiarskim gestem wzruszenia dłońmi. – *Również uratowaliśmy Ziemię.* To nigdy nie był element planu, ale to miły bonus.

– Miło, że się przejmujesz.

– Och – rzucił Miller z tym samym, nieco przerażającym śmiechem.

– Wcale się nie przejmuję. To znaczy, pamiętam, że byłem człowiekiem. Ta symulacja jest dobra. Ale pamiętam, nie przejmując się tym tak naprawdę. Rozumiesz, co mam na myśli?

– W miarę.

– Och, hej, spójrz na to – powiedział Miller, wskazując na czarne niebo.

W jednej chwili pojawiło się na nim mnóstwo jarzących się na niebiesko Pierścieni. Ponad tysiąc bram powolnej strefy, orbitujących wokół nich jak nasiona dmuchawca Aleksa, widziane ze środka kwiatu.

– Ta-dam! – wykrzyknął Miller.

Wszystkie bramy równocześnie zmieniły kolor i stały się lustrami odbijającymi tysiące innych układów słonecznych. Holden zobaczył obce gwiazdy i planety wirujące na orbitach wokół nich. Uznał, że Miller pozwala sobie na trochę artystycznej swobody z symulacją.

U jego stóp rozległo się skrzeczenie, więc spojrział w dół i zobaczył coś przypominającego żabę o długich kończynach, z szarawą skórą i bez widocznych oczu. Usta stworzenia były pełne ostrych zębów, a Holden stał się bardzo świadom swoich nagich palców ledwie kilkanaście centymetrów dalej. Miller odrzucił stwora kopniakiem, nawet na chwilę nie patrząc w jego kierunku. Zwierzę umknęło przez

pole na swych za długich kończynach.

– Wszystkie wrota zostały otwarte?

Miller posłał mu pytające spojrzenie.

– No wiesz – sprecyzował Holden. – W rzeczywistości?

– Czym jest rzeczywistość? – Miller odpowiedział pytaniem, znowu patrząc na jarzące się wrota i nocne niebo.

– Miejsce, gdzie żyję?

– No dobra. Tak, wszystkie wrota są otwarte.

– I lecą przez nie floty najeźdźców ze strasznymi potworami, żeby nas pozabijać?

– Jeszcze nie – stwierdził Miller. – Co samo w sobie jest dość ciekawe.

– Żartowałem.

– Ja nie – rzucił Miller. – To było skalkulowane ryzyko. Ale na razie wygląda czysto.

– Z drugiej strony, możemy przelecieć przez te wrota. Możemy tam polecieć.

– Możecie – stwierdził Miller. – I jak was znam, zrobicie to.

Holden na chwilę zapomniał o Ashfordzie, *Behemocie*, śmierci i przemocy oraz tysiącu innych spraw, które odwracały jego uwagę od tego, gdzie naprawdę się znaleźli. Co naprawdę robili.

Co to wszystko znaczyło.

Będzie świadkiem tego, jak ludzkość wkracza między gwiazdy. On, Naomi, ich dzieci i dzieci ich dzieci. Tysiące planet, żadnych ograniczeń na prokreację. Nowa złota era gatunku. I to wszystko możliwe na swój sposób dzięki *Nauvoo*. Fred będzie mógł powiedzieć mormonom. Może teraz przestaną ciągać go po sądach.

– Rety – powiedział w końcu.

– No dobra, ale nie rozpędzaj się tak – powiedział Miller. – Ciągłe cię ostrzegam. Drzwi i kąty, chłopcze. Tam właśnie cię dopadną. Ludzie są zbyt cholernie głupi, żeby słuchać. No cóż, niedługo się nauczycie, a nie moim zadaniem jest prowadzić gatunek za rączkę, żeby zrobić następne kroki.

Holden pogrzebał w roślinach na ziemi wielkim palcem stopy. Z uszkodzonej łodyżki zaczął wypływać przejrzysty płyn o zapachu

miodu. Miller powiedział, że ta planeta jest w katalogu stacji. *Któregoś dnia mógłbym tu mieszkać.* Ta myśl była oszalamiająca.

Obraz na niebie przesunął się i teraz zobaczył wszystkie uwiecznione wokół stacji statki. Dryfowały powoli, oddalając się od siebie.

– Puściłeś je?

– Nie ja. Stacja zdjęła blokadę – wyjaśnił Miller. – A ja na stałe wyłączyłem system obronny. Już go nie potrzeba. Był bardzo niebezpieczny, gdyby jedna z was, małp, wsadziła palec gdzieś, gdzie nie powinna. Czy ten fiut Ashford naprawdę sądził, że może uszkodzić wrota?

– A po drugiej stronie tych wrót naprawdę są planety takie jak ta?

– Niektóre z nich, może. Kto wie? – Miller znowu odwrócił się do Holdena z błękitnymi oczami upiornymi i pełnymi tajemnic. – Ktoś tam toczył wojnę, chłopcze. Taką, która obejmowała galaktykę, albo jeszcze więcej. Moja drużyna przegrała i teraz przepadli. Minęło kilka miliardów lat. Kto wie, co czeka po drugiej stronie tamtych wrót?

– Pewnie się dowiemy – odpowiedział buńczucznie Holden, choć mimo wszystko poczuł lęk.

– Drzwi i kąty – powtórzył Miller. Coś w jego głosie powiedziało Holdenowi, że to ostatnie ostrzeżenie.

Popatrzyli w górę, na niebo, obserwując, jak statki powoli się od nich oddalają. Holden czekał na wystrzelenie pierwszych rakiet, ale nie doszło do tego. Wszyscy byli dla siebie mili. Może to, co zaszło na *Behemocie*, zmieniło ludzi. Może zabiorą ze sobą tę zmianę tam, skąd przybyli i zakażą nią innych. Było to bardzo wielkie marzenie, ale Holden był przecież nieuleczalnym optymistą. Przekazywać ludziom informacje, których potrzebują. Zaufać, że postąpią właściwie. Nie znał żadnego innego sposobu na rozegranie tego.

A może ruchy statków były tylko zabawą Millera z symulacją i ludzkość naprawdę niczego się nie nauczyła.

– No dobrze – odezwał się Holden po kilku minutach obserwacji nieba. – Dzięki za wizytę. Chyba lepiej będzie, jak wrócę do mojej strzelaniny.

– Jeszcze z tobą nie skończyłem – odpowiedział Miller. Użył lekkiego tonu, ale słowa zabrzmiały groźnie.

– Dobra.

– Nie zbudowano mnie do naprawiania rzeczy zepsutych przez ludzi – stwierdził Miller. – Nie przybyłem tu, żeby otworzyć dla was bramy, zdjąć blokadę i pozwolić wam polecieć. To przypadek. To, co mnie stworzyło, po prostu buduje drogi, a teraz wykorzystuje mnie, żeby dowiedzieć się, co się stało z obejmującą całą galaktykę cywilizacją, która jej to zleciła.

– Dlaczego to ma znaczenie, jeśli faktycznie wszyscy przepadli?

– Nie ma – przyznał Miller, wzruszając ramionami. – Ani trochę. Jeśli ustawisz komputer nawigacyjny na *Rosie*, żeby cię gdzieś zabrał, a sekundę później padniesz trupem, czy *Ros* może uznać, że to już nie ma znaczenia i nie poleci?

– Nie – potwierdził Holden, rozumiejąc i odnajdując współczucie dla tego sztucznego Millera, którego dotąd zupełnie się nie spodziewał.

– Powinniśmy byli połączyć się z siecią. Właśnie to próbujemy zrobić i nie ma znaczenia, że sieci już nie ma. To, co wyleciało z Wenus, jest głupie, chłopcze. Potrafi zrobić tylko jedno. Nie umie prowadzić śledztwa. Ja tak. A ono mnie miało, więc będę prowadził to śledztwo pomimo tego, że żadna z odpowiedzi nie będzie miała żadnego znaczenia dla wszechświata jako takiego.

– Rozumiem – przyznał Holden. – Powodzenia, Miller, ja...

– Powiedziałem, że jeszcze z tobą nie skończyłem.

Holden cofnął się o krok, nagle przestraszony kierunkiem, w którym mogła się potoczyć ta rozmowa.

– Co to znaczy?

– To znaczy, młody, że potrzebuję podwózki.

Holden unosił się w nieważkości w skafandrze w absolutnej ciemności. Ludzie krzyczeli. Rozległ się odgłos wystrzału, potem cisza, elektryczny trzask i jęk.

– Stop! – krzyknął ktoś. Holden nie rozpoznał głosu. – Niech wszyscy przestaną strzelać!

Ponieważ ktoś powiedział to z autorytetem w głosie, przestali. Holden przez chwilę zmagął się z kontrolkami na nadgarstku i w końcu włączył reflektor skafandra. Reszta jego zespołu szybko poszła w jego ślady. Corin i Cass wciąż były żywe. Holden zastanawiał się, ile

rzeczywistego czasu zajęła jego wycieczka do symulacji.

– Nazywam się Hector Cortez – oznajmił głos, który przed chwilą zażądał wstrzymania ognia. – Co się tu dzieje? Czy ktoś wie?

– Już po wszystkim – odkrzyknął Holden, a potem rozluźnił ciało, wisząc w korytarzu. Był tak zmęczony, że musiał się zmagać sam z sobą, żeby od razu nie usnąć. – Już po wszystkim. Możecie wszystko włączyć z powrotem.

Na mostku zaczęły się pojawiać światła, gdy ludzie wyciągali swoje ręczne terminale i awaryjne latarki.

– Zadzwońcie do Ruiz – powiedział Cortez. – Niech przyśle tu zespół, żeby naprawić to, co zrobiła Clarissa. Musimy odzyskać zasilanie statku. W tej chwili ludzie w cylindrze mieszkalnym będą panikować. I sprowadźcie medyków.

Holden zaczął się zastanawiać, gdzie się podział Ashford i dlaczego ten cały Cortez wydaje rozkazy. Ale mówił właściwe rzeczy, więc odpuścił. Przepchnął się na mostek, gotów pomóc, gdzie będzie mógł, ale ciągle trzymał rękę przy pistolecie. Cass i Naomi zamieniły się przy Juarezie, więc Naomi mogła pomóc przy naprawach.

Clarissa, poprzednio Melba, unosiła się przy otwartym panelu technicznym z krwią sączącą się z rany postrzałowej. Cortez przyciskał do niej bandaż z pakietu ratunkowego. Ashford unosił się po drugiej stronie pomieszczenia z bezwładnymi ustami i drgającymi mięśniami. Przez chwilę zastanawiał się, czy kapitan nie żyje, ale w gruncie rzeczy nie obchodziło go to.

– Naomi. Zadzwoń do studia radiowego. Zobacz, czy mają sprawną łączność. Dowiedz się, co z Anną, Moniką i Amosem. A potem spróbuj się skontaktować z *Rosem*. Naprawdę chciałbym się stąd wynieść w cholerę.

Kiwnęła głową i podjęła próbę nawiązania połączenia.

– Przeżyje? – zapytał Holden siwowłosego mężczyznę opatrującego Clarissę.

– Tak sądzę – odpowiedział. – To jej dzieło – dodał, machając dookoła, żeby wskazać brak światła i zasilania.

– Hm – zareagował Holden. – Chyba zaczynam się cieszyć, że nie wyrzuciliśmy jej przez śluzę.

# Rozdział pięćdziesiąty trzeci

## *Clarissa*

Budziła się etapami, świadoma dyskomfortu, zanim zorientowała się, co ją boli. Świadoma, że coś jest nie tak, zanim jeszcze mogła zacząć zbierać jakąś historię, ramę nadającą znaczenie uczuciu bycia luźną, grzechoczącą skrzynką na narzędzia. Nawet gdy wróciły najbardziej abstrakcyjne części jej istoty – imię, lokalizacja – Clarissa była głównie świadoma, że coś ją uszkodziło. Że coś z nią jest nie w porządku.

Pokój był brudny, powietrze o kilka stopni za ciepłe. Leżała na wąskim, przepoconym łóżku z wiszącym nad głową workiem kroplówki dożylniej. Znaczenie tego faktu docierało do niej bardzo długo. Worek tam wisiał. Nie unosił się. Istniało ciśnienie. Nie wiedziała, czy to obroty czy ciąg, albo nawet spokojne przyciąganie masy, dostępne tylko na powierzchni planet. Nie miała kontekstu, żeby je rozróżnić. Ale miło było znowu mieć wagę. To znaczyło, że coś się udało. Coś działało.

Kiedy zamknęła oczy, śniło jej się, że zabiła Rena, a potem ukryła jego ciało wewnątrz swojego, więc nie mogła dopuścić do tego, żeby ktoś zrobił jej badanie obrazowe ze strachu, że znajdą go w jej wnętrzu. Miło było się obudzić i przypomnieć sobie, że wszyscy już wiedzieli.

Czasami przychodziła Tilly i siadała przy jej łóżku. Wyglądała, jakby płakała. Clarissa chciała ją pytać, co się stało, ale nie miała na to siły. Czasami była przy niej Anna. Lekarka, która się nią zajmowała, była piękną starszą kobietą o oczach, które widziały już wszystko.

Cortez nigdy nie przyszedł. Sen i jawa zaczęły się w sobie zatracać. Podobnie jak choroba i zdrowienie. Wyznaczenie granicy między nimi stało się trudne, jeśli nie niemożliwe.

Raz obudziły ją głosy, zniechęcony głos Holdena. Stał przy nogach jej łóżka z rękami złożonymi na piersi. Obok niego stała Naomi, a potem pozostali. Ten jasny, o wyglądzie kierowcy ciężarówki, i ciemnoskóry, podobny do nauczyciela. Amos i Aleks. Załoga *Rosynanta*. Ludzie, których nie udało jej się zabić. Ucieszyła się na ich widok.

– Absolutnie nie ma mowy – oświadczył Holden.

– Spójrz na nią – powiedziała Anna.

Clarissa wykręciła szyję, żeby spojrzeć na kobietę stojącą u wezłowia. Pastorka wyglądała na starszą. Po przejściach. A może wydestylowaną. Wygotowaną do czegoś będącego jej esencją. Była w tym piękna. Piękna, straszna i bezkompromisowa w swoim współczuciu. Miała to wypisane na twarzy. Trudno było przez to na nią patrzeć.

– Zostanie zabita – stwierdziła Anna.

Aleks, nauczyciel, podniósł rękę.

– Chcesz powiedzieć, że zostanie postawiona przed sądem, z obrońcą, za zabicie mnóstwa ludzi, o których bardzo dobrze wiemy, że ich zabiła.

*Zrobiłam to*, pomyślała Clarissa. *To prawda*. Stojąca nad nią Anna złożyła dłonie.

– Rzecz w tym, że tego właśnie chcę – odpowiedziała. – Procesu. Obrońców. Sprawiedliwości. Ale potrzebuję kogoś, kto dowiezie ją bezpiecznie stąd przed sąd na Lunie. Zaczęła się ewakuacja, a wy macie jedyny niezależny statek w powolnej strefie. Jesteście jedyną załogą, której mogę zaufać, że bezpiecznie ją stąd wywiezie.

Naomi spojrzała na Holdena. Clarissa nie potrafiła odczytać wyrazu jej twarzy.

– Nie wpuszczę jej na mój statek – burknął Holden. – Próbowała nas zabić. I prawie *udało* jej się z Naomi.

– Ale też uratowała was oboje – przypomniała Anna. – Podobnie jak wszystkich innych.



– Nie jestem pewien, czy jednorazowe okazanie się przyzwoitym człowiekiem oznacza, że jestem jej coś winien – nie ustępował Holden.

– Nie twierdzę, że tak jest – zgodziła się Anna. – Ale jeśli nie będziemy traktować jej z tym samym poczuciem sprawiedliwości, którego wymagamy dla siebie...

– Słuchaj, Ruda – odezwał się Amos. – Wszyscy w tym pokoju, może poza tobą i kapitanem, mają elastyczne poczucie moralności. Nikt z nas nie ma czystych rąk. Nie w tym rzecz.

– To kwestia taktyki – zgodził się Aleks.

– Tak? – zapytał Holden.

– Tak – potwierdziła Naomi. – Udawanie, że Clarissa sama w sobie nie stanowi zagrożenia. Przyjęcie jej na pokład, nawet tylko w celu przetransportowania w bezpieczne miejsce, wystawia nas na zagrożenie ze strony trzech systemów prawnych, a nasza sytuacja jest już... niepewna, to chyba dobre słowo.

Clarissa sięgnęła do góry, chwyciła bluzkę Anny i pociągnęła jak dziecko matkę.

– To w porządku – wychrypiała. – Rozumiem. Wszystko w porządku.

– Ile? – zapytała Anna. A potem, widząc ich puste spojrzenia, wyjaśniła. – Jeśli to tylko kwestia ryzyka w stosunku do korzyści, ile byłoby to dla was warte?

– Więcej niż masz – odpowiedział Holden, ale przeproszającym tonem głosu. Nie chciał rozczarować Anny ani zrobić tego, o co prosiła. Dla niego nie było dobrego wyjścia z tej sytuacji.

– A gdybym kupiła *Rosynanta*? – zapytała Anna.

– Nie jest na sprzedaż – oświadczył Holden.

– Nie od was. Wiem o waszych problemach prawnych. Co by było, gdybym odkupiła *Rosynanta* od Marsa. I przekazała wam oficjalnie prawo własności do niego.

– Zamierzasz kupić okręt wojenny? – zainteresował się Aleks. – Kościoły robią takie rzeczy?

– Jasne – zgodził się Holden. – Zrób to, a ja ją stąd wywiozę.

Anna uniosła wyprostowany palec, a potem wyciągnęła z kieszeni ręczny terminal. Clarissa widziała, że trzęsą jej się ręce. Postukała w

ekran, a kilka sekund później z pudełka zabrzmiał znajomy głos.

– Annie – odezwała się Tilly Fagan. – Gdzie jesteś? Siedzę właśnie na przyjęciu z pół tuzinem bardzo ważnych ludzi, którzy zanudzają mnie na śmierć. Mogłabyś przynajmniej przyjść tu na chwilę i pozwolić się sobą pozachwycać.

– Tilly – odpowiedziała Anna. – Pamiętasz o tej naprawdę kosztownej przysłudze, którą jesteś mi winna? Wiem już, czego chcę.

– Zamieniam się w słuch – stwierdziła Tilly.

– Chcę, żebyś kupiła *Rosynanta* od marsjańskiego rządu i oddała go kapitanowi Holdenowi.

Tilly milczała. Clarissa oczyma duszy zobaczyła unoszące się brwi kobiety.

– To jedyny sposób, żeby zadbać o Clarissę – dodała Anna.

Sapnięcie Tilly mogło być westchnięciem lub śmiechem.

– Do cholery, dlaczego nie? Powiem Robertowi, żeby to zrobił. Posłucha. Wyjdzie go taniej niż rozwód. Coś jeszcze, skarbie? Skoro już przy tym jesteśmy, może mam zmienić orbitę Ziemi?

– Nie – odpowiedziała Anna. – To aż nadto.

– Masz cholerną rację. Przyjdź tu szybko. Poważnie, wszyscy się nad tobą rozplývają i będę miała dużo więcej frajdy, obserwując na żywo, jak zaczną się do ciebie przepychać.

– Przyjdę – obiecała pastorka. Schowała terminal ręczny z powrotem do kieszeni i ujęła dłoń Clarissy. Miała ciepłe palce. – I co?

Holden zbladł. Przeniósł wzrok z Clarissy na Annę i z powrotem, a potem długo wypuszczał wstrzymywane wcześniej powietrze.

– Uch – powiedział. – Rety. Dobra. Ale możliwe, że nie polecimy prosto do domu. Może być?

Clarissa wyciągnęła rękę, zdumiona jej ciężarem. Potrzebowali chwili, żeby zrozumieć, co robi. Potem Holden – człowiek, dla którego poniżenia i zabicia poruszyła niebo i ziemię – uścisnął jej dłoń.

– Miło mi pana poznać – wychrypiała.

\* \* \*

Na kostkę założyli jej medyczną bransoletę, ustawioną do podania jej silnego środka usypiającego na sygnał dowolnego członka załogi, w przypadku wykrycia dowolnych produktów jej sztucznych gruczołów lub w przypadku opuszczenia przez nią załogowych pokładów statku. W sumie były to trzy kilogramy formowanego plastiku, trzymające się jej nogi jak natrętny biurokrata. Transferu dokonano podczas nabożeństwa ku czci poległych. Kapitan Michio Pa, z twarzą wciąż zabandażowaną po walce, mówiła w samych superlatywach o kilkunastu poległych członkach załogi, a potem wysłała ich prochy w pustkę. Byli wśród nich Carlos Baca i Samara Rosenberg. Następnie każdy z dowódców pozostałych statków flotylli kolejno zajmował miejsce przed kamerami na pokładzie swojego statku, mówiąc kilka słów i przełączając się na następną jednostkę. Nikt nie wspomniał o Ashfordzie, zamkniętym i nafaszerowanym środkami uspokajającymi. Nikt nie wspomniał o niej.

To była ostatnia ceremonia przed wylotem. Przed powrotem. Clarissa oglądała ją na swoim terminalu ręcznym, gdy nie patrzyła na ekran prezentujący widok z zewnętrznych kamer promu. Stacja obcych była nieaktywna. Nie jarzyła się, nie reagowała, dla czujników nie była niczym więcej niż unoszącą się w bezgwiazdnej pustce olbrzymią masą różnych metali i struktur węglowych.

– Wiesz, nie wszyscy wracają – powiedział Aleks. – Zespół marsjański planuje tu zostać, posprawdzać wszystkie bramy. Zobaczyć, co jest po drugiej stronie.

– Nie wiedziałam – przyznała Clarissa.

– Właśnie. To tutaj – powiedział pilot, wskazując w stronę ekranu, gdzie kapitan ONZ z zaangażowaniem przemawiała do kamery, z oczami twardymi jak kamień i szczęką wysuniętą w oporze przeciw recytowanemu nazwiskom poległych. – To punkt przejściowy. Wcześniej to wszystko było strachem. Później będzie chciwością. Ale teraz... – Westchnął. – Cóż, to przynajmniej miła chwila.

– Owszem – zgodziła się Clarissa.

– To tak kontrolnie, nadal planujesz zabić kapitana? Bo wiesz, jeśli tak, to wydaje się, że jesteś nam winna przynajmniej ostrzeżenie.

– Nie planuję – odparła.

– A gdybyś?  
– To bym zaprzeczyła. Ale nie planuję.  
– W porządku.  
– Dobra, Aleks – odezwał się z tyłu Holden. – Daleko jeszcze?  
– Zaraz zapukamy – odpowiedział Aleks. Faktycznie zapukał w panel sterowania i na ekranie zapaliły się zewnętrzne światła *Rosynanta*. Statek jarzył się złotem i srebrem na tle czerni, wyglądał jak miasto widziane z dużej wysokości. – Dobra, ludzie. Jesteśmy w domu.

\* \* \*

Kabina Clarissy była większa od tej na *Cerisierze*, choć mniejsza od zajmowanej na *Prinsie*. Z drugiej strony, z nikim nie musiała się nią dzielić. Była jej na tyle, na ile cokolwiek do niej należało.

Do ubrania miała tylko kombinezon z wyszytą nazwą *Tachi*. Kosmetyki obejmowały standardowy zestaw pokładowy. Nie miała nic swojego. Nic do niej nie należało. Trzymała się swojego pokoju, wychodząc tylko do kambuza i łazienki, gdy było to konieczne. Kierował nią nie tyle strach, co poczucie chęci niewchodzenia im w drogę. To nie był jej statek, to nie była jej załoga. Nie była jedną z nich i nie zasługiwała na to. Była opłaconym pasażerem, a nie kimś, kogo przyjęli z własnej woli. Świadomość tego faktu bardzo jej ciążyła.

Z czasem kajuta zaczęła bardziej sprawiać wrażenie celi na *Behemocie*, niż czegokolwiek innego. To w końcu skłoniło ją do częstszego wychodzenia. Ale tylko trochę częstszego. Wcześniej widziała kambuz w symulacjach, gdy planowała sposób zniszczenia go, szukała miejsca na ukrycie obejścia. Na żywo wyglądał inaczej. Nie był większy ani mniejszy, po prostu był inny. Załoga poruszała się w przestrzeni, przechodząc z miejsca na miejsce, przemieszczając się do części statku, które były dla niej niedostępne. Jedli posiłki i organizowali spotkania, ignorując ją, jakby była duchem. Jakby straciła już swoje miejsce na świecie.

\* \* \*

– Mamy poważny problem – odezwał się ponurym głosem Holden. – Skończyła się kawa.

– Ciągłe jest piwo – zauważył Amos.

– Owszem – przyznał Holden. – Ale piwo to nie kawa. Poprosiłem o pomoc *Behemota*, ale nie dostałem odpowiedzi, a nie bardzo wyobrażam sobie lot w bezmiar nieznanej pustki bez kawy.

Aleks spojrzał na Clarissę i uśmiechnął się szeroko.

– Kapitan nie lubi sztucznej kawy, jaką robi *Ros* – wyjaśnił. – Puszczaj po niej gazy.

Clarissa nie odpowiedziała. Nie była pewna, czy powinna to robić.

– Wcale nie – obruszył się Holden. – Był tylko ten jeden raz.

– Więcej niż raz, kapitanie – rzucił dobrodusznie Amos. – I bez urazy, ale śmierdzi wtedy, jakby do tyłka weszła ci wiewiórka i tam zdechła.

– Dobra – rzucił Holden. – Tobie akurat nie wypada narzekać. Jeśli dobrze pamiętam, to ja czyściłem twoją kabinę po tym eksperymencie z gulaszem na wódce.

– Ma punkt – przyznał Aleks. – To było wredne.

– Prawda, praktycznie wysrałem wtedy wyściółkę jelita – powiedział Amos z filozoficznym wyrazem twarzy – ale i tak stawiam to przeciw pierdom kapitana.

Aleks zaczął udawać, że się dławi, a Amos wypuścił powietrze z wargami przystawionymi do dłoni, emitując niedwuznaczny dźwięk. Naomi patrzyła to na jednego, to na drugiego tak, jakby nie wiedziała, czy śmiać się, czy im przyłożyć.

– Nie miewam gazów – oświadczył Holden. – Po prostu bardziej lubię smak prawdziwej kawy.

Naomi położyła dłoń na przedramieniu Clarissy i nachyliła się do niej. Jej uśmiech był łagodny i kompletnie nieoczekiwany.

– Czy wspominałam już, jak miło jest mieć na tym statku drugą kobietę? – powiedziała.

To był żart. Clarissa rozumiała. Ale ten żart ją obejmował, nie

wykluczał, i zaskoczyły ją własne łzy.

\* \* \*

– Doceniam, że mówisz w ten sposób o Byku – powiedział męski głos.

Przechodząca przez statek Clarissa nie rozpoznała go. Nieznany głos na statku kosmicznym przykuł jej uwagę jak dziwny dźwięk w sypialni. Znieruchomiała.

– Przyjaźniliśmy się przez wiele lat i... i będzie mi go brakować.

Przesunęła się i nachyliła w stronę kabin załogi. Holden miał otwarte drzwi i siedział na swojej pryczy przeciążeniowej, patrząc w górę na monitor. Zamiast taktycznego ekranu statków, stacji i Pierścienia widniała na nim twarz mężczyzny. Rozpoznała Freda Johnsona, zdrajcę dla Ziemi i szefa Sojuszu Planet Zewnętrznych. Rzeźnika stacji Anderson. Wyglądał staro, z prawie całkiem siwymi włosami i białkami oczu w kolorze starej kości słoniowej.

– Wiele od niego wymagałem – mówił dalej na nagraniu. – Oddał mi bardzo wiele. To... skłoniło mnie do myślenia. Mam bardzo zły zwyczaj, kapitanie, prosić ludzi czasem o więcej, niż mogą dać. Żądania więcej, niż uczciwie mogą oczekiwać. Zastanawiam się, czy nie postąpiłem z tobą w ten sposób.

– Jej, serio tak myślisz? – Holden rzucił do ekranu, choć na ile mogła stwierdzić, nie nagrywał.

– Jeśli tak było, przepraszam. Tak między nami. Jak dowódca z dowódcą. Żałuję niektórych z podjętych przeze mnie decyzji. Przypuszczam, że na swój sposób możesz to zrozumieć. Zdecydowałem, że *Behemot* zostanie na miejscu. Wysyłamy do niego glebę i materiały potrzebne do rozpoczęcia upraw w cylindrze. Oznacza to, że flota wojenna SPZ właśnie straciła swoją największą jednostkę, ale wygląda na to, że na zbadanie czekają tysiące planet, a posiadanie jedynej stacji benzynowej na rogatkach to zbyt dobra pozycja, by z niej zrezygnować. Gdybyś wraz z załogą chciał pomóc w organizowaniu tego wszystkiego, eskortować parę statków z

Ganimeda do Pierścienia, mógłbym ci zaoferować kilka kontraktów. To ta część oficjalna. Porozmawiaj z innymi i daj znać, jaką podejmiecie decyzję.

Fred Johnson kiwnął głową do kamery i ekran przełączył się na błękitną pustkę z domyślnym symbolem rozerwanego kręgu SPZ. Holden obejrzał się przez ramię. Zobaczyła, że ją zauważył.

– Cześć – rzuciła.

– Cześć.

Przez chwilę oboje milczeli. Nie wiedziała, co powiedzieć. Chciała go przeprosić, podążyć tą samą drogą, którą przed chwilą pokazał jej Fred Johnson, ale nie potrafiła.

Czekała, żeby sprawdzić, czy Holden wyciągnie do niej rękę. Kiedy tego nie zrobił, odepchnęła się od framugi i ruszyła z powrotem do swojej kabiny. Czowała ciężkość i napięcie w żołądku.

Nie byli przyjaciółmi. I nie zostaną nimi, ponieważ niektórych rzeczy nie dało się naprawić.

Musiała się z tym pogodzić.

\* \* \*

Amos pachniał rozpuszczalnikiem i potem. Ze wszystkich członków załogi najbardziej przypominał znanych jej ludzi. Soledad i Stanniego. Oraz Rena. Przyszedł do kambuza ze sprzętem do spawania na plecach, z maską odsuniętą do góry. Uśmiechnął się na jej widok.

– Nieźle tu nabałaganiałaś – powiedział. Wiedziała, że gdyby miał ku temu powód, zabiłby ją bez chwili wahania, ale do tego czasu będzie jowialny i dobroduszny. To znaczyło dla niej więcej, niż się spodziewała. – W sumie miałaś mecha ratowniczego, a one są w zasadzie zaprojektowane do rozrywania stali.

– Na koniec już go nie miałam – powiedziała. – Skończyło mi się zasilanie. Szafkę w śluzie zniszczyłam gołymi rękami.

– Serio? – zapytał.

– Serio.

– No cóż – skomentował, wyciągając z ekspresu bańkę z kawą i

podlatując do kuchennego stołu. – W takim razie to imponujące.

Wyobrazila go sobie przy pracy, z maską na twarzy, iskrami, migotaniem wielkiego, przygarbionego cienia. Hefajstos, kowal bogów, pracujący w swej podziemnej kuźni. Takie skojarzenia były typowe dla Clarissy Mao. Melba Koh pomyślałaby tylko o temperaturze łuku i składzie spawanych metalowych płyt. Nie mogła mieć obu tych myśli, ale też żadna nie była do końca jej.

Wisiała w pustce. Później, gdy statek leciał już na ciąg i sztuczna grawitacja przytrzymywała ją na pokładzie, wciąż się unosiła. Jej świat opierał się na historiach o tym, kim jest. Córka Julesa-Pierre'a, siostra Julie Mao, szefowa zespołu na *Cerisierze*, narzędzie zemsty jej ojca. Teraz była nikim. Była bagażem na statku dawnego wroga, przewożonym z jednego więzienia do drugiego i nawet nie miała o to żalu. Ostatni raz, gdy czuła się tak bezimienna, musiała jeszcze siedzieć w woreczku owodniowym.

– Miałaś jakiś problem?

– Hm?

– Powiedziałaś, że nieźle tam nabałaganiałam. W czym problem?

– Właz pokładowy między warsztatem a tym poziomem się zacina. Od kiedy go odgięłaś. Blokuje się mniej więcej w połowie drogi.

– Sprawdziłaś ramię odginające?

Amos popatrzył na nią, marszcząc brwi. Wzruszyła ramionami.

– Czasami siłowniki drzwi wywierają nierówne obciążenie, gdy zaczynają się zużywać. Wymieniliśmy je pewnie ze cztery czy pięć podczas lotu w tę stronę.

– Tak?

– Tylko sugestia – powiedziała. Po chwili odezwała się ponownie. – Kiedy wrócimy na Lunę, pewnie mnie zabiją, prawda?

– Tak, jeśli będziesz miała szczęście. ONZ wciąż ma w kodeksie karę śmierci, ale nieczęsto z niej korzystają. Moim zdaniem raczej na resztę życia wsadzą cię do małej celi. Osobiście wolałbym kulę.

– Ile potrwa, zanim tam dolecimy?

– Jakies pięć tygodni.

Przez chwilę oboje milczeli.

– Będzie mi brakowało tego miejsca – powiedziała.



Amos wzruszył ramionami.

– Ramię siłownika, co? Warto sprawdzić. Chcesz mi z tym pomóc?

– Nie mogę – przypomniała, wskazując obejmę na nodze.

– Cholera, mogę to przeprogramować. Przynajmniej na tyle, żebyś mogła zejść do warsztatu. Weźmiemy ci pas z narzędziami, Złotko. Otwórzmy to dziadostwo.

Godzinę później przesuwała dłonią po ramie drzwi, szukając charakterystycznych zadrapań miejsc blokowania. *To ja*, pomyślała. *Ja to zepsułam*.

– Jak myślisz, Złotko? – zapytał z tyłu Amos.

– Dobrze jest móc coś naprawić – odpowiedziała.

# Epilog

## *Anna*

Anna usiadła w sali obserwacyjnej *Thomasa Prince'a* i popatrzyła na gwiazdy.

Sala była pomieszczeniem w kształcie kopuły, której każdą powierzchnię pokryto ekranem wysokiej rozdzielczości, łącznie wyświetlającym 360-stopniowy widok na zewnątrz. Dla siedzącej tam Anny przypominało to lot przez kosmos na parkowej ławce. Sala stała się jej ulubionym miejscem na statku, z gwiazdami jarzącymi się jaskrawymi, stałymi barwami bez atmosfery wywołującej miganie. Teraz wydawały się tak bliskie. Jakby mogła sięgnąć ręką i ich dotknąć.

Jej terminal ręczny zapiszczał, przypominając, że jest w połowie nagrywania wiadomości wideo. Skasowała czas spędzony na wpatrywaniu się w gwiazdy i wróciła do nagrywania.

– Ten list od biskupa kongregacji okazał się prośbą o formalne spotkanie. Najwyraźniej ktoś złożył na mnie skargę. Prawdopodobnie Ashford. Siedzi po uszy w problemach prawnych z SPZ, ale i tak znajduje czas, żeby sprawiać problemy innym. Ale nie martw się tym. Zapytaj, odpowiem, miałam bardzo dobre powody do wszystkiego, co zrobiłam. Mnóstwo ludzi, z którymi pracowałam we flocie, zaoferowało swoje poparcie, ale chyba nie będę go potrzebować. A przy okazji, zaprosiłam moją przyjaciółkę, Tilly Fagan, żeby odwiedziła nas w Moskwie. Jest dość jadowita, marudna i w ogóle nie ma społecznych filtrów. Spodoba ci się. Nie może się doczekać, żeby

poznać Nami.

Anna urwała, żeby dołączyć do wiadomości zdjęcie, które zrobiła Tilly. Kobieta patrzyła w kamerę zmrużonymi oczami, parę sekund przed warknięciem do Anny, żeby „zabrała jej sprzed twarzy to cholerstwo”. W jednej ręce trzymała papierosa, drugą wskazywała oskarżycielsko. Nie było to najładniejsze z posiadanych przez nią zdjęć Tilly, ale za to najbardziej oddawało jej charakter.

– A skoro mowa o Nami, bardzo dziękuję, za przesłane przez ciebie nagranie. Nie mogę uwierzyć, jaka jest już duża. I raczkuje w pełnym ciężeniu, jakby się w nim urodziła. Za chwilę zaczniesz chodzić. Dziękuję, że zabrałaś ją do domu. Czasami żałuję, że nie poleciałam z wami. Właściwie to przez większość czasu. Ale potem myślę o tym wszystkim, co zrobiłam wewnątrz Pierścienia, i zastanawiam się, czy coś z tego skończyłoby się inaczej, gdybym nie pomogła. Takie myślenie wydaje się aroganckie, ale wierzę też, że Bóg daje ludziom okazję do znalezienia się w miejscach, gdzie powinni być. Może byłam potrzebna. Mimo wszystko po powrocie zamierzam być bardzo skruszona. Ty, biskup, Nami, moja rodzina... będę musiała przeproszać mnóstwo ludzi.

Anna usłyszała słowa Nono tak wyraźnie, jakby znalazła się z nią w jednym pomieszczeniu. *Ty nigdy nie pytasz o pozwolenie, tylko później przepasz.* Roześmiała się, aż zaczęły jej łzawić oczy. Wytarła je i znowu odezwała się do kamery.

– Wciąż tu jesteś, Nono. Wciąż w mojej głowie. Ale oddałabym wszystko, żebyś mnie objęła. *Prince* potrzebuje jeszcze miesiąca na powrót do domu. To cała wieczność. Kocham cię.

Podniosła przyniesioną ze sobą poduszkę i mocno przytuliła ją do piersi.

– To ty i Nami. Wy obie. Tak bardzo was kocham.

Zakończyła nagrywanie i wysłała je z prędkością światła, Nono dostanie wiadomość, zanim *Prince* dotrze na miejsce. Co i tak było za wolno. Wytarła łzy, które zebrały się w kącikach jej oczu.

Na zewnątrz niebo rozświetlił rozbłysk, długa na kilka centymetrów linia ognia. Kolejny statek we flotyli wracającej do domu. Skoro był tak blisko, to zapewne był to jeden ze statków

eskortujących *Prince'a*. Wreszcie wracał, choć bez wielu marynarzy, których zabrał do Pierścienia. Rodziny będą czekać na zabranie ukochanych do domów, ale zamiast nich dostaną tylko flagi, odznaczenia pośmiertne i listy z wyrazami współczucia. To nie wystarczy do zapełnienia luk, które pojawią się w ich życiu. To nigdy nie wystarczało.

Jednak statki z Ziemi, Marsa i różnych stacji planet zewnętrznych wracały do domu. I niosły ze sobą wieści o największej okazji, jaką kiedykolwiek zaoferowano ludzkości. Nadzieja pośrodku wielkiego smutku i tragedii.

Czy Nami spędzi swoje życie przy jednym z tych punktów światła, w które teraz Anna się wpatrywała? Niewykluczone. Jej córeczka urodziła się w świecie, w którym rodziców nie było stać na zapewnienie jej rodzeństwa, gdzie będzie musiała pracować dwa lata tylko po to, żeby dowieść rządowi, że zasługuje na wykształcenie. W którym szybko ubywało zasobów, a coraz więcej z tego, co pozostało, pochłaniała walka z gromadzeniem się odpadów.

Teraz jednak będzie dorastać w świecie bez ograniczeń. W którym krótka podróż pozwala na dotarcie do gwiazd i skarbów kryjących się na ich planetach. Gdzie wykonywana praca i zdobyte wykształcenie oraz liczba urodzonych dzieci zależały od własnego wyboru, nie rządowych pozwoleń.

Myślenie o tym przyprawiało o zawroty głowy.

Ktoś wszedł do sali za jej plecami, stukając butami o podłogę.

– Tilly, właśnie wysłałam... – zaczęła Anna, ale urwała, gdy po odwróceniu się zobaczyła Hectora Corteza.

– Doktor Wołowodow – powiedział tonem łagodnych przeprosin.

– Doktorze Cortez – odpowiedziała. Ich odnowiona formalność wydawała się Annie trochę śmieszna, ale Hector się przy niej upierał.

– Usiądź, proszę. – Poklepała ławkę obok.

– Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam – powiedział, siadając i patrząc na gwiazdy. Nie patrzył na nią. Już nie patrzył jej w oczy.

– Ależ skąd. Właśnie nagrałam wiadomość do domu i napawam się widokiem.

Przez kilka chwil siedzieli w ciszy, oglądając gwiazdy.

– Esteban przegrał – odezwał się Cortez tak, jakby cały czas o tym rozmawiali.

– Nie wiem... Och, sekretarz generalny. Naprawdę?

– Nowym sekretarzem generalnym została Nancy Gao. Wyraźnie widać, że maczała w tym ręce Chrisjen Avasarala.

– Kto?

Cortez się roześmiał. Śmiech brzmiał szczerze, był miłym, grzmiącym dźwiękiem rodzącym się w trzewiach.

– Och, ucieszyłaby się, słysząc te słowa.

– Kto to?

– To polityk, na którą nikt nigdy nie głosował, która kieruje ONZ jak własnym folwarkiem i pilnuje, żeby jej nazwisko nie trafiało do wiadomości. Fakt, że kontroluje rząd twojej planety, a ty nigdy o niej nie słyszałaś, oznacza, że jest bardzo, bardzo dobra.

– Och – zareagowała Anna. Nigdy nie interesowała się polityką. Uważała, że jest to druga najgorsza rzecz wymyślona przez ludzkość, zaraz za lutefiskiem<sup>[1]</sup>.

Znowu zapadła długa cisza. Anna zastanawiała się, gdzie jest Tilly i czy przyjdzie tu uratować ją z niezręczności tego spotkania.

– Postawiłaś na właściwego konia – powiedział w końcu Cortez. – Ja wybrałem złego. Mam nadzieję, że nie będziesz mi tego mieć za złe. Pomimo dzielących nas różnic, bardzo cię szanuję. Nie byłoby mi miło, gdybyś mnie znienawidziła.

– Nie nienawidzę, Hectorze – odpowiedziała Anna, ujmując obiema dłońmi jego dłoń i ściskając ją. – Ani trochę. To, przez co przeszliśmy, było straszne. Wszyscy podejmowaliśmy złe decyzje, bo się baliśmy. Ale jesteś dobrym człowiekiem. Wierzę w to.

Cortez posłał jej wdzięczny uśmiech i poklepał jej dłoń. Anna kiwnęła głową w stronę świecących na ścianach jasnych punktów.

– Tyle gwiazd – powiedziała. – Niektóre z nich kiedyś mogą należeć do nas.

– Zastanawiam się – odpowiedział Hector głosem cichym i smutnym. – Zastanawiam się, czy powinniśmy je mieć. Bóg dał człowiekowi Ziemię. Nigdy nie obiecywał mu gwiazd. Zastanawiam się, czy poleci tam za nami.

Anna jeszcze raz ścisnęła jego dłoń i puściła.

– Wierzę, że Bóg jest większy od tego wszystkiego. Jak długo to jest prawdą, nigdy nic, czego się dowiemy, nie może być atakiem na Niego.

Cortez mruknął coś niejednoznacznie.

– Chcę, żeby ona je miała – powiedziała, wskazując na świetlne punkty wokół. – Moja mała Nami. Chciałabym, żeby któregoś dnia to wszystko było jej.

– Cokolwiek tam znajdzie – stwierdził Cortez – pamiętaj proszę, że to przyszłość, którą to ty dla niej wybrałaś.

Jego słowa były pełne nadziei i groźby.

Tak jak gwiazdy.

---

1 Norweska potrawa na bazie suszonego dorsza o bardzo intensywnej woni.

# Podziękowania

Jesteśmy winni podziękowania większej liczbie osób, niż pozwala na to dostępne miejsce. Ta książka i cała seria nie powstałyby bez ciężkiej pracy naszego agenta, Danny'ego Barora, oraz wsparcia i poświęcenia Toma Boumana, Susan Barnes, Ellen Wright, Tima Holmana, Aleksa Lencickiego i całej ekipy wydawnictwa Orbit. Dziękujemy fantastycznemu Danielowi Dociu za ilustrację na okładce, obok której ludzie nie mogą przejść obojętnie, oraz Kirkowi Beneshoffowi za stworzenie cudownego projektu, który łączy całą serię. Nigdy nie będziemy w stanie właściwie wyrazić naszej wdzięczności Carrie, Kat i Jayné za informacje i wsparcie oraz Scarlet za pozwolenie skupienia uwagi na *Pogromcach mitów* w czasie, gdy pracujemy. Dziękujemy całej ekipie *Pogromców mitów* za stworzenie programu tak wciągającego dla ciekawych świata sześciolatków. Jeszcze raz dziękujemy całej grupie Sake River. Wiele z najlepszych części tej książki to ich zasługa. I jak zwykle, wszystkie błędy, niezręczności i rażące partactwa są naszą winą.

# O autorze

James S. A. Corey to pseudonim piszących fantastykę autorów Daniela Abrahama i Ty Francka, asystenta George R. R. Martina. Obaj mieszkają w Albuquerque, stan Nowy Meksyk, USA.

Więcej informacji na temat tej serii znajdziesz na:

[www.the-expanse.com](http://www.the-expanse.com).